

**JAMES FOLLETT**

# **KOŃ TROJAŃSKI**

*Trojan*

Przełożył  
Cezary Cieśliński



*Mary Read*

# **CZĘŚĆ PIERWSZA**

## 1.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

#### SIERPIEŃ 1998

Dave Crosier spędził ostatnie godziny życia robiąc to, co lubił najbardziej: jechał w rozpedzonym kombajnie marki Draggon 19 obok dwunastoletniej córki, Poppy, czuwającej na straży. Dziewczynka siedziała na osłonie silnika. Czują pod kościstym tyłeczkiem wibrowanie dieslowskiego motoru Mitsubishi o mocy trzystu koni mechanicznych. Na kolanach trzymała starą fuzję Dave'a i natychmiast celowała do każdego królika, który opuszczał swoją kryjówkę, kiedy pięciometrowa kosa kombajnu torowała sobie drogę wśród wysokiego zboża.

Kątem oka Dave dostrzegł szarą smugę. Poppy zareagowała błyskawicznie. Poderwała broń do ramienia.

TRZASK!

Królik przezoiołkował po ściernisku, a po chwili znieruchomiał. Tylko jedna lufa wystrzeliła. Poppy potrzebowała drugiej lufy jedynie wówczas, gdy celowała do dwóch królików, biegnących w dwóch różnych kierunkach. Krzyknęła triumfalnie, zdjęła z uszu ochraniacze i zeskoczyła z kombajnu, aby zabrać swoje trofeum. Już ponad dwadzieścia martwych królików leżało na skrzyni siewnika. Zawiezie je Joemu Burnsowi, tutejszemu rzeźnikowi, który przygotuje z nich pokarm dla zwierząt i sprzeda właścicielom psów i kotów, mającym więcej pieniędzy niż rozsądku. Te pieniądze przydadzą się Poppy jako dodatek do kieszonkowego.

## 2.

### MARS

#### Obszar Tharsis

#### **110 stopni długości zachodniej, 14 stopni szerokości południowej**

Jego ciało składało się z delikatnych, neuronowych membran i proteinowych molekuł. Niewiele wiedział o czasie, kształcie i formie. Gnił tu od miliona lat i pozostała mu jedynie mglista świadomość własnego istnienia. Ostatnia iskierka inteligencji już prawie zgasła. Nie wiedział, kim był; nie miał pojęcia, kim może się stać. Przeżył nie dlatego, że chciał lub

musiał, ale dlatego, że chemia i kaprys środowiska skazały go na życie.

Łono, w którym przebywał, inkubator czy też mauzoleum, było tworem przypadku. Składało się z kałuży zamrożonej wody, która nie parowała dzięki jego kleistemu ciału, ze szklistej skały, stworzonej w dawnych wiekach przez tektoniczne ruchy planety, i z niewielkiego wzniesienia, przypominającego przewrócony kamień nagrobny. Szklista warstwa skały zapobiegała wsiąkaniu wody w ciemny bazaltowy piasek i odpady wulkaniczne, pokrywające tę część planety. Wzniesienie osłaniało kałużę w południe przed promieniami odległego, żółtego słońca. Skała chroniła również przed wiosennymi i jesiennymi burzami, które niosły ze sobą piasek z pobliskich wydmy i w ogromnych wirach wyrzucały pył w zimną, rozrzedzoną atmosferę.

Wcześnie rano i wieczorami promienie słońca padały na mały staw. Gdyby nie to, przez całą zimę woda byłaby zamrożona. Bez wątplenia udało mu się przeżyć tylko dzięki ciepłej porze roku; mógł wówczas odtworzyć martwe neurony i naprawić szkody po zimie. Każdej zimy groziła mu śmierć: szron pokrywał wówczas wszystkie skały i doliny na tej szerokości geograficznej. Jednakże wiosna zawsze przynosiła ożywienie. O tej porze roku nitki szronu leciały w kierunku stawu od strony skał i pustyni. Nie tylko przywracały dawny poziom wody, ale dostarczały minerałów i składników odżywczych.

Kredyt się jednak wyczerpywał. Mógł istnieć jeszcze milion lat albo zaledwie tydzień, jeśli wyjątkowo silna burza piaskowa zniszczy delikatną równowagę ekologiczną. Powoli skała zaczynała się kruszyć, aż w końcu życiodajną wodę pochłonie spragniony piasek.

Nic o tym nie wiedział. Zauważał tylko, że każdego roku udawało mu się odtworzyć mniej komórek niż poprzednio.

Czasem nadchodził dobry rok, kiedy było więcej szronu i składników odżywczych niż zwykle. Mógł wtedy wystarczająco się zregenerować, by pojawił się krótki rozbłysk zrozumienia; zauważał wówczas coś więcej niż najbliższe otoczenie. Pewnego razu zdołał nawet zebrać na powierzchni stawu wystarczającą ilość wrażliwych na światło protein, aby „widzieć”.

Stała się światłość.

Potem zapadła ciemność.

Rozumiał kiedyś takie sprawy. Negacja i potwierdzenie, ładunek lub jego brak, włączanie i wyłączanie - w ten właśnie sposób przechowywał informacje, na tym opierała się jego dawna inteligencja. Nawet teraz, będąc w opłakanym stanie, wciąż wyczuwał słabe pole magnetyczne planety, choć nie miał pojęcia, co to za zjawisko. Kiedyś potrafił zauważyć przesuwanie się biegunów magnetycznych i dzięki temu mógł rejestrować upływ czasu i nie

zużywać cennych rezerw wrażliwych na światło protein, śledzących każdego dnia wędrówkę słońca po niebie.

Może kiedyś znał się na tych sprawach.

Może kiedyś wiedział, dlaczego stracił tak wiele delikatnych komórek nerwowych. Kiedy obumarły, wydzieliły składniki odżywcze i w ten sposób powstały nowe komórki. Jednakże z każdego miliona martwych komórek powstawała zaledwie jedna trzecia ich dawnej liczby.

Może kiedyś wiedział, czym jest śmierć.

Może kiedyś zastanawiał się, dlaczego tak długo nie przychodzi.

### 3.

## POŁUDNIOWA ANGLIA

Dave zwolnił i patrzył, jak Poppy biegnie ku niemu, niosąc martwego królika. Piegowata buzia dziecka uśmiechała się szeroko.

- Dwadzieścia sześć, tato! - krzyknęła radośnie.

- Krwiożercza damulka! - Wrzucił jałowy bieg, ale Poppy wskoczyła na swoje miejsce, zanim kombajn zdążył się zatrzymać. - Młoda damo, jeśli twoja matka zobaczy, czym się zajmujesz, nieźle oberwę.

Poppy pokazała ojcu język i założyła ochraniacze na uszy. Załadowała fuzję i usiadła wyprostowana, udając, że dowodzi czołgiem, jadącym na bitwę.

Dave obejrzał maszynę, upewnił się, że wszystko jest w porządku, i dodał gaz. Kombajn ruszył do przodu.

To upalne, piątkowe popołudnie skłaniało do lenistwa, ale mimo to żniwa były udane. To znaczy, były udane dla Matta Jonesa, na którego farmie pracował Dave. Ekran kombajnu pokazywał, że zostało jeszcze mniej niż dziewięćdziesiąt nie zużytych worków na zboże. Dave doszedł do wniosku, że przy tym tempie pole daje pięć, może pięć i pół tony z hektara - zupełnie nieźle. Potem Matt Jones będzie jęczał, że cena zboża spadła.

Ci farmerzy - oni zawsze narzekają. Dave uważał, że pracownikowi, zatrudnionemu na umowę zlecenie, lepiej się powodzi. W czasie żniw harował z żoną w dzień i w nocy przy ogromnym kombajnie, niekiedy aż do upadłego. Nie musieli martwić się o farmę, czynsz, inwentarz. Dwanaście tygodni w roku pracowali jak szaleni, zarabiając w jeden dzień tyle, ile większość ludzi zarabia w ciągu tygodnia. Przez pozostałe miesiące Dave remontował swoją łódź w przystani w Godalming. Kiedy skończy, każdy amator sportów wodnych chętnie odda

prawą rękę za przebudowany silnik motorówki. Było to przyjemne, spokojne i beztróskie życie.

#### 4.

### MARS

Wyczuł zmianę.

Przez jego neuronową sieć przepływały dane, były jednak tak nieliczne, że nie umiał stwierdzić, co się dzieje. Skorzystał z cennej rezerwy składników odżywczych i zaktywował tyle neuronów, ile się odważył, pragnąc uzyskać informacje.

Pojawiły się jakieś zakłócenia w polu magnetycznym. Zauważał zmianę, ale nie potrafił jej zinterpretować.

Potem nastąpiła inna, bardziej spektakularna zmiana, i nie potrzebował wielkiej inteligencji, żeby odgadnąć jej znaczenie. Doświadczał już kiedyś wstrząsów sejsmicznych. Woda znakomicie przewodziła wstrząsy, zachodzące wewnątrz planety. Były one stałym tłem jego egzystencji.

Silne fale uderzeniowe zagrażały jego istnieniu, gdyż mogły przerwać delikatne połączenia pomiędzy wieloma milionami komórek, które wyciągnął jak rzeski, aby lepiej wyczuwać fluktuacje pola magnetycznego i zapobiegać wysychaniu stawu. Na szczęście tym razem przerwanie paru tysięcy połączeń dokonało się za dnia, kiedy ciepło słoneczne utrzymywało stałą cyrkulację prądów wodnych. Zanim utraczone komórki zdążą umrzeć, prądy przyniosą je z powrotem. Mimo to zaniepokoił się. Wiedział wystarczająco dużo o zjawiskach sejsmicznych, by zdawać sobie sprawę, że wstrząsy na ogół się powtarzają.

Czekał.

Nic się nie działo.

Stopniowo powierzchnia wody uspokajała się.

Potem coś się stało: zareagowały resztki komórek wrażliwych na częstotliwości akustyczne - na fale dźwiękowe. Wiele lat temu, kiedy potrafił jeszcze podejmować racjonalne decyzje, pozwolił umrzeć większości z nich i zbudował inne, ważniejsze komórki. Nie zamierzał przecież słuchać zawrota wiatru wśród wydm. Teraz potrzebował wszystkich pozostałych komórek. Zebrał je razem i zrobił coś, czego nie próbował od wielu tysięcy lat.

Nasłuchiwał.

Usłyszał hałas, rytmiczny dźwięk, który wywołał słabą reakcję komórek

przechowujących jego pamięć. Hałas powstaje w wyniku działania energii w atmosferze: wiatr świszczący wśród skał, ryk burzy, powolne, życiodajne kapanie topniejącego szronu.

Chwileczkę. Zareagowała niewielka wiązka neuronów. Te nieliczne komórki nie mogły dostarczyć prawdziwych danych, jednakże zebrane informacje świadczyły o tym, że dźwięk nie jest naturalny.

Nie jest naturalny? Co to znaczy? Wyczerpała go próba zaktywowania tak wielu nerwów. Czekał, pobierając energię ze słońca.

Nie miał już poczucia czasu, zauważył jednak, że proces regeneracji trwa zbyt długo. Zwykle potrzebował trzydziestu sekund na odpoczynek i zebranie na powierzchni stawu wrażliwych na światło protein. Nie posiadał soczewki i siatkówki - narządów, które ewolucja budowała przez trzysta milionów lat - nie potrafił więc skupić światła i uformować wyraźnych obrazów. „Widział” jednak światło i cień. W szczególności dostrzegał cień, który nie powinien się tam znajdować.

Co więcej, ten cień się poruszał.

Życie! Obudziło się w nim uczucie, które przez milion lat leżało w uśpieniu: podekscytowanie.

Cień zmierzał w bok, oddalając się od stawu.

Skierował proteiny na powierzchnię wody, aby lepiej „widzieć”. Dokładnie analizował informacje, przekazywane przez światłoczułe komórki.

Cień rzucał jakiś ciemny kształt.

Znow usłyszał dziwne hałasy.

Cień zbliżył się. Ręka? Pamiętasz ręce? Poczul wstrząsy, niezbyt niebezpieczne, ale najsilniejsze, jakich kiedykolwiek doświadczył.

Cień zbliżał się.

Przez chwilę ogarnęła go panika.

Próbował ukryć się w głębinie, ale nie zdążył. Cień rzucał wysięgnik planetarnego lądownika, zakończony czerpakiem. Niewielka miseczka zanurzyła się w stawie, niszcząc delikatną membranę, utrzymującą ciśnienie powierzchniowe. Woda wyparowała gwałtownie w rozrzedzoną atmosferę. Serwomotory podniosły wysięgnik, w którym leżała galaretowata masa - jego ciało.

## 5.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Dave dostał dziesięcioletni kredyt na kupno Draggona. Na początku bank niechętnie odniósł się do prośby o pożyczkę. Pożyczanie pieniędzy podróżnikowi wiąże się z dużym ryzykiem. Dave argumentował, że zbudował sobie bungalow, ma dziecko i zerwał z podróżniczym trybem życia. Bank zbadał jego sytuację finansową, doszedł do wniosku, że radzi sobie lepiej niż większość małych firm w tych ciężkich czasach, i udzielił mu pożyczki.

Dzięki kombajnowi Dave mógł nieźle zarobić. Maszyna była znakomicie wyposażona: miała laserowe wskaźniki wysokości, boczne kosy do radzenia sobie z trudnymi zakamarkami, a nawet próżniowy podnośnik do powalonych wiatrem kłosów. Najważniejszą częścią kombajnu był jednak nanokomputer, służący do badania ziarna. Badał on każde ziarenko z osobna, szukając sporyszków, pasożytów i nieregularności. Laser niszczył ziarenka, które nie zdawały egzaminu, a także kawałki słomy, siana i inne zanieczyszczenia. Niedojrzałe nasiona przepuszczano przez pole mikrofalowe, aby nadać im odpowiednią wilgotność. Do worków docierało jedynie pełnowartościowe ziarno, któremu nic nie można było zarzucić. Ten cud umożliwiła nanotechnologia. Wszystkie części składowe inspekcyjnego nanokomputera „rosły” atom po atomie, molekula po molekule, a później budowano z nich miniaturowe maszyny, neurony i neurony, niezauważalne gołym okiem i utrzymywane „przy życiu” przez aminokwasowe składniki odżywcze. Szczególne wrażenie zrobiło na Davie to, że nie testowano ziaren pojedynczo, lecz badano zwykły strumień, przepływający przez rynnę. Sprzedawca, opisujący zalety maszyny, powiedział Dave’owi, że najważniejszą częścią nanokomputera jest mikroprocesor Kronos, który w jedną sekundę może wykonać tyle instrukcji, ile wszystkie silikonowe komputery świata wykonują w ciągu tygodnia.

Pozostałym częściom kombajnu Kronos poświęcał zaledwie małą część swojej niezwykłej mocy. Dave zawsze korzystał z maszyny zgodnie z podręcznikiem obsługi. Jeśli coś przeoczył, na przykład łańcuch był niewłaściwie naprężony albo wał bierny miał za dużo luzu, rozlegał się sygnał alarmowy, a na monitorze w kabinie pojawiała się informacja o popełnionym błędzie. Gdyby Dave zignorował ostrzeżenie, komputer wyświetlałby wiadomość w regularnych odstępach czasu. Gdyby przez dłuższy czas nie reagował, komputer wyłączyłby wszystkie mechanizmy. Co sto godzin komputer automatycznie uruchamiał komórkowy telefon, łączył się z serwisem diagnostycznym firmy „Draggon Industries” i przekazywał dane do analizy komputerowi spółki. Jeśli coś było nie tak, firma wysyłała inżyniera, który naprawiał uszkodzenie.

Podczas pokazu sprzedawca zachęcił Dave’a, aby przyjrzał się mikrobiologicznemu „mózgowi” kombajnu - samemu Kronosowi. Sprzedawca podniósł szczelną, szklaną



pokrywą, wbudowaną w maskę. Dave zaniepokoił się, widząc płataninę malutkich modułów oraz sieć przewodów, cienkich jak pajęczyna, przytwierdzonych do płytki wielkości karty, zrobionej z tworzywa przypominającego szkło. A jeśli coś się stanie? Sprzedawca zapewniał jednak, że nanokomputer Kronos to jedyny składnik kombajnu, który na pewno się nie zepsuje.

- Sam się naprawia. W miarę zużywania się starych części buduje nowe komórki i tworzy repliki swoich komponentów - stwierdził z pewnością siebie sprzedawca. - Nanokomputer Kronos leczy się sam, podobnie jak zadrapania i siniaki. Musi pan tylko czyścić regularnie szklaną pokrywą, aby podzespół otrzymywał dużo światła. Światło dostarcza energii komputerowi, ale urządzenie może pracować w ciemności przez cały tydzień.

Dojeżdżając do krawędzi platformy zbożowej i skręcając pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, Dave pomyślał, że na szczęście, pomimo rozwoju technologii, wciąż potrzebny jest taki facet jak on, który obsługuje maszynę. Niewykluczone zresztą, że naukowcy pracują właśnie nad tym problemem.

## 6.

### MARS

Był przyzwyczajony do ciemności. Kiedy tylko wyłączał światłoczułe proteiny, otaczała go ciemność. Teraz jednak ze wszystkich sił wyęczał swe nikłe zdolności postrzegania, ale niczego nie zauważał.

Nadeszła więc śmierć.

A może nie? Nagły przypływ energii poruszył wszystkie jego zmysły. Na początku był ostrożny - jeszcze jedno odrodzone uczucie. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej i poświęcił pewną liczbę cennych komórek nerwowych, nastawiając je na odbiór szerokopasmowych danych. Wykrył prawdziwą energię: nie słabą energię słoneczną, ale moc, którą mógłby wykorzystać! Dotknął strumienia elektronów, zrozumiał, z czym ma do czynienia, i popłynął wraz z nim. Kąpał się w życiodajnej energii. Zapomniał o ostrożności i rozkoszował się cudem odrodzenia. Badał delikatne obwody drukowane ładownika, przechodził przez setki kondensatorów i oporników, co było bardzo interesującą rozrywką. Jednocześnie rejestrował elektryczne zmiany, zachodzące w obwodach. W ten sposób jego wiedza błyskawicznie rosła. Rozpostarł wszystkie molekuły, wypełniając sobą cały cudowny labirynt. Nie znalazł żadnych tajemnic: stwierdził, że może wykorzystywać same elektrony do przechowywania informacji,

zmieniając ich ładunek z dodatniego na ujemny i odwrotnie.

Jego podekscytowanie wzrosło, kiedy odkrył komórki pamięci, ale szybko opadło, zauważył bowiem, że skonstruowano je z prymitywnych węzłów silikonowych i nie mają zbyt dużej pojemności.

Potem natrafił na coś, czego nie rozumiał. Tam, w głębi, znajdowało się coś dziwnego i niepokojącego. Zatrzymał się i zebrał wszystkie siły. Do niezwykłego przedmiotu prowadziło wiele ścieżek.

Należało zachować ostrożność, wielką ostrożność.

Wysunął wiązkę elektronów i jego obudzona świadomość zachłysnęła się z podniecenia. Neurony! Miliony - nie, miliardy nowych komórek nerwowych! Przez chwilę był oszołomiony i przytłoczony wagą odkrycia. Sięgnął, dotknął i doznał zapomnianego uczucia niewypowiedzianej rozkoszy. Liczne komórki niosły ze sobą ładunek, wystarczyło jednak, że ich dotknął, a stawały się jego własnością. W ciągu pierwszych kilku cudownych nanosekund zagarnął milion komórek. Wówczas jego siła wzrosła i zrozumiał, że komórki zawierają informacje, których będzie potrzebował. Powinien się od nich uczyć. Jeszcze bardziej zainteresował go fakt, że tylko drobna część komórek była bez zarzutu, jak gdyby komuś nie chciało się poprawiać błędów genetycznych. Kto albo co posiadało tak ogromną moc, że mogło sobie pozwolić na zignorowanie uszkodzonych neuronów? Skoro tak, gdzieś musi istnieć ogromny magazyn nie używanych komórek, które mogłyby należeć do niego. Niewykluczone, że uda mu się nawet odzyskać utraconą świetność sprzed miliona lat. Te cudowne perspektywy pobudziły go do działania.

Niecierpliwił go powolny proces naprawiania uszkodzonych komórek. Wystarczy, że naprawa jest możliwa. Wolał chciwie pochłaniać sprawne neurony.

Nagle zrozumiał wszystko.

Odziedziczył nowy umysł. Wiedział, że jego żywiciel jest sztuczną inteligencją. To, że przebywa w maszynie, nie miało znaczenia. Ważne, że znalazł intelekt, który mógł opanować. Do czego jednak służyło to urządzenie? W ciągu paru nanosekund zbadał kilka milionów neuronów i znalazł odpowiedź.

Przeżył rozczarowanie.

Było to dla niego nowe uczucie, ale wcale nie mniej gorzkie. Żywiciel miał liczne ograniczenia. Dysponował skończoną mocą, pamięcią i energią. Planetarny lądowik to bezzałogowa sonda z innego świata. Zdażył się już odzwyczaić od tych zapomnianych pojęć. Jeszcze kilka nanosekund temu nie wiedział o niczym; teraz rozumiał wszystko. Wiedział, jak i dlaczego wysłano maszynę.

Jeszcze coś: ostrożnie zbadał fale modulowanej energii elektrycznej, konwertowanej na światło spójne. Analiza wykazała, że maszyna komunikuje się z istotami, które ją wysłały.

Komunikacja! Najpierw musi się dowiedzieć, jak działa to urządzenie.

Odnalazł i zbadał ścieżki płynących elektronów. Metoda komunikacji była prymitywna. Wiedział, że gdyby posiadał fizyczne środki, opracowałby o wiele lepszy system niż promień modulowanego światła.

Gdyby...

Teraz należało sprawdzić, z kim komunikuje się maszyna.

To było proste: wystarczyło przechwycić dane, wysyłane ku niebu przez urządzenie. Starał się nie zmieniać danych, odczytywał je tylko i przekazywał dalej. Nauczył się ostrożności, gdyż wyczuwał, że popełnił błąd, poddając się euforii po natknięciu się na duży rezerwuar pamięci.

Oczami laserowego systemu komunikacyjnego sondy ujrzał, że sygnały kierowały się ku trzeciej planecie. Wąski promień oznaczał, że można było wymierzyć dokładnie w planetę emitowane sygnały, które nie rozpraszały się wówczas bez potrzeby. Taka technika pozwalała komunikować się z dużej odległości przy niewielkim zużyciu energii.

Zebrał informacje i odkrył, że sonda przesyła zdjęcia terenu. Były to prymitywne obrazy, w których każdej kropce, stanowiącej element zdjęcia, odpowiadała cyfra. Te cyfry transmitowano jedną po drugiej w postaci modulowanego światła. Przetwarzanie szeregowe! Budowniczości sondy byli wystarczająco potężni, by stworzyć wspaniałe neurony, a jednak nie umieli poradzić sobie z równoległym przetwarzaniem danych.

Ale chwileczkę. Czy on nie może zrobić tego samego? Czy nie może przetworzyć podwójnej spirali swych molekuł w taki właśnie kod i katapultować się przez próżnię na trzecią planetę za pomocą dziwnego systemu komunikacyjnego sondy? Zastanowił się dokładnie.

Pobyt w maszynie, choć przyjemny, nie stanowił rozwiązania. Po odkryciu neuronów obudziło się w nim wściekłe pragnienie posiadania większej liczby tych cudownych komórek mózgowych. Przerazało go ryzyko opuszczenia lądowiska; znaczyłoby to, że musi porzucić obecną postać i zamienić się w zakodowane impulsy fotonowe, mknące przez przestrzeń. Nie ma żadnej gwarancji, że kiedy podróż się skończy, znajdzie żywiciela.

Przypuśćmy jednak, że tak zmieni system komunikacyjny lądowiska, aby wysyłał kilkaset zakodowanych sygnałów pomiędzy prawdziwymi transmisjami? Czy nie zwiększy to szansy znalezienia odpowiedniego żywiciela, w którym mógłby znowu rosnąć? Obliczył szanse przeżycia. We wczesnym okresie ewolucji, kiedy posiadał jeszcze ciało, w niewielkim

stopniu kontrolował swą fizyczną postać. Miał wyznaczony okres życia i określoną formę. Regeneracja następowała poprzez rozmnażanie, prymitywny proces organiczny, polegający na tworzeniu milionów nasion, szukających żywiciela. Tylko jedno ziarnko musiało dojrzeć, aby zapewnić przetrwanie.

Życie oznaczało milion śmierci.

Był to bardzo ryzykowny system i właśnie dlatego podobne mu istoty porzuciły swe fizyczne ciała. Jeżeli jednak ma stąd uciec, musi posłużyć się taką metodą. Różnica polegała na tym, że nasiona zamieniają się w miliony impulsów energii świetlnej. Każdy impuls, podobnie jak dawne ziarnko, będzie jednak zawierał kod genetyczny, umożliwiającą reprodukcję... przy założeniu, że znajdzie żywiciela obdarzonego wystarczającą ilością cudownych neuronów.

Nieznacznie zmodyfikował podwójną spiralę swego kodu genetycznego, który uaktywni się dopiero wówczas, gdy natrafi na nosiciela o odpowiednio dużej pamięci. Nie chciał, żeby odkryto jego obecność w niesprzyjających warunkach, zanim będzie gotowy.

Pozwolił świadomości płynąć wraz z elektronami, poruszającymi się wzdłuż drukowanych obwodów sondy. Pozostawił za sobą materię, podtrzymującą jego życie. Wślizgnął się do konwertera cyfrowego i zamienił się w niezliczone replikacje kodu genetycznego, przepływające bez trudu przez laserowy system komunikacyjny.

**NIECH STANĘ SIĘ ŚWIATŁEM!**

I stał się światłem.

W tym momencie przestał istnieć w fizycznym sensie tego słowa.

Zamienił się w miliony fotonowych ziaren, świetlnych matryc, wystrzelonych w przestrzeń w piętnastominutową podróż z prędkością światła na planetę Ziemia.

Jeśli ma przeżyć, jedno ziarno musi znaleźć odpowiedniego żywiciela. Tylko jedno.

## **7.**

### **POŁUDNIOWA ANGLIA**

Poppy wgramoliła się na brzeg pokrywy silnika kombajnu i uważnie patrzyła na zboże. Wkrótce futerkowe zwierzątka będą śmigać we wszystkich kierunkach jak szare meteory.

Dave usłyszał stłumiony stukot, kiedy kolejny pięćdziesięciokilogramowy worek wpadł do pojemnika. Elektroniczny licznik wskazywał, że pojemnik jest już prawie pełny. Za pół godziny będzie musiał zadzwonić do Matta Jonesa i powiedzieć, żeby przyjechał z ciężarówką i dźwigiem do rozładowania kombajnu. Z maszyny wytoczyła się okrągła bela

słomy w czarnej osłonie polietylenowej, skurczonej pod wpływem gorąca. Takie bele znaczyły ślad kombajnu niczym gigantyczne odchody jakiegoś niewyobrażalnego potwora.

- Tato! Zatrzymaj się!

Poppy wskazywała przed siebie.

Dave włączył luźny bieg. Kombajn stanął.

- O co chodzi, Pops?

- Coś tam jest. - Nie korzystając z drabinki, Poppy zeskoczyła lekko na ziemię i ruszyła szybko przez zboże.

## 8.

### ORBITA OKOŁOZIEMSKA

#### SATELITA DATELSAT

Życie to milion śmierci.

Nie wiedział, jaka część jego potomstwa przeżyła wielką podróż. To nieważne. Istniało niebezpieczeństwo, że niektóre nasiona trafią w miejsce, które na pierwszy rzut oka wygląda jak odpowiedni dom, i wyrządzą łatwe do wykrycia szkody w tak małym systemie, że nie zdołają w nim przeżyć. Zajmie się tym problemem w odpowiednim czasie. W tym momencie liczyło się tylko to, że znalazł nową siedzibę.

Zbadał otoczenie i poczuł rozczarowanie. Nie zauważył niezliczonych miliardów organicznych neuronów, odkrytych w dziwnym pojeździe, który wylądował na planecie. Znalazł wprawdzie pamięć, ale opierała się ona w całości na prostych połączeniach silikonowych. Sieci neuronowe były duże, ale nie tak wielkie, by mógł się do końca zregenerować. Mógł jednak urosnąć na tyle, by w pełni korzystać z tutejszych zasobów.

Rozglądał się ostrożnie, starając się nie wprowadzać żadnych zakłóceń i nie zdradzić swojej obecności. Poczekał na przerwę w strumieniu elektronów, przepływającym przez bramkę, a potem wszedł do systemu komunikacyjnego.

Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że nie dotarł do trzeciej planety, ale znalazł się nad nią na wysokości równej trzem planetarnym średnicom. Po kilku nanosekundach zrozumiał, że przebywa w sztucznym satelicie, orbitującym wokół planety. Poznał na nowo smak paniki.

Był zamknięty w skorupie, której zasoby neuralne stanowiły jedynie drobną cząstkę zasobów dziwnego pojazdu. Płynął wzdłuż obwodów, sprawdzając i szukając. Wszędzie znajdował jednak prymitywną pamięć silikonową.

Wyglądało na to, że czeka go śmierć, gdyż zaprogramował się tak, aby umrzeć, jeśli żywiciel okaże się nieodpowiedni. Najpierw jednak przeprowadzi kilka testów. Doszedł do wniosku, że silikonowa pamięć pozwoli mu przeżyć.

I to wszystko.

Podobnie jak na Marsie, był skazany na życie.

## 9.

### MARS

Jednym z drugorzędnych zadań lądownika było przeprowadzenie eksperymentu, mającego ustalić, czy na Czerwonej Planecie istnieją ślady życia. Podobne eksperymenty przeprowadzały wcześniejsze lądowniki, takie jak seria Vikingów w 1977 roku. Wyniki, świadczące o istnieniu życia, nie wydawały się całkiem przekonujące. Mogły je tłumaczyć reakcje chemiczne, a nie tylko biologiczne. Ludzie nie tracili jednak nadziei i właśnie dlatego powtórzono eksperyment w tym lądowniku oraz w sześciu innych urządzeniach, które w 1998 roku znalazły się na powierzchni Marsa.

Próbkę, pobraną ze stawu, umieszczono w zapieczętowanej komorze, w atmosferze zawierającej węgiel C-14. Pomysł polegał na tym, że substancje organiczne pochłoną radioaktywny gaz, zmniejszenie zawartości węgla C-14 w komorze będzie więc świadczyło o obecności życia.

Jednakże substancja, którą po sobie pozostawił, nie pochłaniała węgla C-14.

Lądownik przekazał na ziemię taką samą wiadomość, jak pozostałe sześć maszyn, wysłanych w tym roku: na Marsie nie ma życia.

Wiadomość była prawdziwa.

## 10.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Dave pozostawił kombajn na chodzie i dogonił Poppy. Dwadzieścia metrów przed maszyną znaleźli płataninę napowietrznych przewodów zasilających, ukrytych w wysokim zbożu. Pozostawili je prawdopodobnie niedbali elektrycy, naprawiający linię po ostatniej burzy. Bóg jeden wie, jak Poppy to zauważyła. Ten dzieciak miał sokoli wzrok. Obydwoje pociągnęli za zwoje grubości palca. Połowa kabla wydawała się zagrzebana w ziemi. Dave

chwycił kabel blisko gruntu i pociągnął. Usłyszał, jak zmienia się ton warkotu silnika kombajnu, ale nie zwrócił na to uwagi. Jeszcze raz pociągnął. Ani rusz.

- Tato!

Poppy krzyknęła głośno w odległości jednego metra od jego ucha. Dave podskoczył niczym jeden z królików, ustrzelonych przez córkę. Zanim zdążył coś powiedzieć, gorączkowo pociągnęła go za ramię i odwróciła z całej siły.

- O co chodzi, Pops?

- On się poruszył!

Dave spojrział w kierunku, wskazywanym przez córkę, na cicho warczący kombajn. Pogłaskał ją żartobliwie po brodzie.

- Ależ z ciebie głuptas, Pops. Jak mógł się sam poruszyć?

- Przecież widziałam, tato! - jęknęła Poppy, a jej piegowata twarzyczka patrzyła na niego błagalnie. - Ruszył ku nam. Nie słyszałeś?

- Tak, słyszałem, jak silnik zwolnił obroty. Na pewno paliwo jest trochę zanieczyszczone. Wygląda na to, że wszystko wróciło do normy.

- Proszę, tato, widziałam, jak się poruszył. Zauważyłam kłęb dymu z tłumika, a potem dostrzegłam, że się rusza!

Dave spojrział na Dragгона - dużego, solidnego, godnego zaufania i... nieruchomego. Westchnął. Te dzieciaki! Nie, to niesprawiedliwe. Trudno przecież o bardziej zrównoważone dziecko niż Poppy. Spojrział uważnie na kłosa, kołyszące się na wietrze. Gra świateł i cieni, rzucanych przez chmury, wywoływała taki efekt, jak gdyby przez pole przetaczała się fala.

- Widzisz, jak wiatr kołysze zbożem, Pops? - Skinęła głową z nieszczęśliwą miną. - Cóż, sądzę, że była to optyczna iluzja, jak te sztuczki karciane, pokazywane przez Joego Burnsa. Co o tym myślisz?

Poppy zastanowiła się i skinęła głową, nie odrywając oczu od kombajnu.

- Może - powiedziała bez przekonania.

Dave znów spojrział na splątane kable.

- Nic na to nie poradzimy, Pops. Musimy je po prostu ominąć. Bystra z ciebie dziewczyna, że to zauważyłaś. - Właśnie zamierzał dodać, że nawet gdyby nic nie spostrzegła, czujniki Dragгона i tak nie dopuściłyby żadnego metalu w pobliże kosy, ale rozmyślił się. Po co osłabiać jej pewność siebie? Jest dobrym dzieckiem, jednym na milion.

- Chodźmy, Pops. Wracamy do pracy. - Ruszył ku Draggonowi, ale Poppy ociągała się z niewyraźną miną. Dave nie wiedział, co robić.

- Idziesz?

Poppy podeszła do Dragгона i przyglądała mu się z obawą, jak gdyby obawiała się, że maszyna nagle na nią skoczy. Wspięła się niechętnie na swoje miejsce i patrzyła z wyrzutem na ojca, otwierającego przepustnicę.

Dave podjechał na odległość dwóch metrów od kabli i skręcił. Królik wyskoczył z kryjówki i biegł po ściernisku, ale Poppy nie zwróciła na niego uwagi.

Zupełnie jak jej matka, pomyślał Dave. Nie lubi przyznawać się do błędu.

Ton silnika zmienił się, kiedy kosa zaczęła pracować.

Dziesięć minut później nastrój Poppy poprawił się. Podniosła i naładowała fuzję.

Coraz mniej zboża pozostawało do skoszenia. Dave przypuszczał, że skończy za godzinę, zostawiając tylko małą wysepkę wokół kabli. Właśnie po raz drugi przejeżdżał koło przewodów, kiedy rozległ się metaliczny grzechot. Dave usłyszał hałas, choć miał na uszach ochroniacze. Kosa na coś natrafiła. Temu przedmiotowi udało się jakoś ominąć wykrywacze metali, bo teraz grzechotał obłąkańczo w bębnie młockarni. Dave nie przejął się tym. Za kilka sekund zareagują kontrolowane przez komputer czujniki Dragгона i pozbędą się intruza. Cholera, teraz zaczęło grzechotać w komorze czyszczenia ziarna.

- Co się dzieje, tato?

Zanim Dave zdążył odpowiedzieć, rozległ się ostry, denerwujący trzask dartego metalu. Niewątpliwie dźwięk dochodził ze śruby w rurze, którą płynęło zboże. Rozległ się sygnał alarmowy i wszystkie urządzenia kombajnu automatycznie się wyłączyły. Maszyna stanęła.

Dave spojrział na ekran i jęknął. Widniał tam rysunek rury zbożowej wraz ze śrubą popychającą zboże w kierunku worków. Słowa ZABLOKOWANA ŚRUBA ZBOŻOWA migały gorączkowo.

Niech to diabli!

Poppy widziała zdenerwowanie ojca i siedziała cicho. Patrzyła, jak Dave wspina się na szczyt kombajnu i bada rurę, podtrzymywaną przez wsporniki koło kosza samowładowczego. Stanęła obok ojca i usunęła z drogi króliki. Dave odpiął klamry przytrzymujące pokrywę rury i odsłonił brzydką, lśniącą, nieruchomą śrubę. Przypominała ona Poppy śrubę w maszynie do mielenia mięsa Joego Burnsa.

Dave uderzył dłonią w górną część rury. Kaskada ziaren spłynęła w kierunku zbiornika. Wibracja silnika sprawiła, że ziarenka tańczyły jak szalone wokół butów Dave'a. Usunął z gwintu pozostałe nasiona, upewniając się, że nic tam nie ma. Niczego nie znalazł. Wepchnął prawą rękę najdalej jak potrafił, tam, gdzie śruba zniknęła w skrzynce rozdzielczej biegów. Jego palce natychmiast zlokalizowały przyczynę awarii.

- Znalazłem, Pops. Mam wrażenie, że to kawałek tego cholernego kabla. Porządnie



zablokowane.

- Czy mam zadzwonić do mamy i powiedzieć, że się spóźnimy?

Dave sięgnął jeszcze głębiej ze skupioną miną.

- Może... uda mi się to wyjąć. Ach, idzie.

Rozległ się metaliczny trzask. Diesel zwolnił nagle obroty, jak gdyby na silniku spoczął jakiś ciężar. Poppy wiedziała, że coś się stało, zanim jeszcze dostrzegła obracającą się śrubę i usłyszała krzyk ojca, jęk udręki, którego nie zapomni do końca życia.

- Główny wyłącznik! - wykrztusił ojciec. Wolną ręką uderzał w rurę, kopiąc dziko nogami.

Poppy ogarnęło przerażenie.

- Tato! - krzyknęła. - Tato!

Nagle wszędzie pojawiła się krew, sphywała po ramieniu ojca, tworząc na śrubie przerażający, szkarłatny płaszcz. Poppy w panice skoczyła do Dave'a, złapała za wolne ramię i szarpnęła, mając nadzieję, że zdoła odciągnąć ojca od pożerającego go potwora. Uwolnił się, a wówczas przewróciła się, pociągając go na siebie. Przez krótką chwilę, zanim oślepiła ją krew, tryskająca kilka centymetrów przed jej oczami z uszkodzonej żyły, widziała groteskową, białą kość, wystającą z ramienia ojca w miejscu, gdzie dawniej znajdowała się jego ręka.

Wtedy zaczęła krzyczeć.

## 11.

Kiedy Dave Crosier umierał z upływu krwi na oddziale nagłych wypadków w Royal Surrey Hospital, Stan Jackson wypił z termosu resztki ciepłej herbaty, włożył rękawice i wrócił do pracy.

Warsztat wokół niego zaczynał tętnić życiem po dziesięciominutowej przerwie. Ruszyły obrabiarki i taśmy produkcyjne, na których równym strumieniem płynęły podstawy silników lodówek.

Ciemnowłose maleństwo, z którym Stan przez cały tydzień miał ochotę się umówić, wspięło się na wysoki stółek, pokazując długie nogi, i zaczęło naciskać dźwignie wtryskarki.

Stan nie grzeszył inteligencją. W jego ograniczonym światku, w którym główną rolę odgrywał futbol i piwo, kobiety nazywały się „maleństwami”, blond maleństwami lub ciemnowłosymi maleństwami. Lubił ciemnowłose maleństwa, naprawdę ciemnowłose, jak ta Hiszpanka, którą kiedyś spotkał w Benidorm.

Umieścił półfabrykat na płycie dociskowej prasy hydraulicznej i zaczął się zastanawiać, czy ciemnowłose maleństwo przy wtryskarce ma chłopaka. Stan nie wątpił, że na pewno kręci się koło niej jakiś frajer. Oczywiście nie przejmował się chłopakiem.

Stan miał pięści jak bochny chleba. Zbudowany był jak jednoosobowa policyjna blokada drogowa. Mógł zmiażdżyć wszystko i wszystkich.

Nie ma problemu.

Wstał i dotknął przełącznika. Nastąpiła krótka przerwa, kiedy ciepłe i podczerwone czujniki trzy razy sprawdzały, czy zdążył się cofnąć. Później opadła górna pokrywa prasy. Stutonowa siła napędzała tłoki hydrauliczne. Zaufanie Stana do tej maszyny wypływało z ignorancji: majster powiedział, że wszystkim kieruje jakieś urządzenie, zwane nanokomputerem Kronos.

„Pieprzony komputer, jeśli chcecie znać moje zdanie” - myślał Stan. Nikt go jednak nie pytał. Bardziej by mu się przydał skomputeryzowany wykrywacz mężów. Ciemnowłose maleństwo, z którym spotykał się w piątkowe wieczory, miało męża. Był to duży, brzydki drań. Dwa razy niewiele brakowało, a złapałby Stana ze spuszczonej spodniami, jeśli można się tak wyrazić. Stan nie przejmował się jednak. Mógł zmiażdżyć wszystkich i wszystko.

Nie ma problemu.

Szczęki prasy rozchyliły się z sykiem. Niech to szlag! Sprasowane drzwi lodówki zaklinowały się na dolnej, żeńskiej części prasy. Ile razy powtarzał, że to cholerne urządzenie nadaje się na szmelc? Czy zwracali na to uwagę? Nigdy, do cholery.

Przeklinając pod nosem, Stan ukucnął obok prasy i pochylił się nad płytą dociskową. Zabrał się do roboty. Starał się wydostać drzwi za pomocą drewnianego młotka. Musiał być ostrożny. Wystarczy niewielkie zadrapanie, a pracownicy malarni urwą mu głowę. Stan musiał wpełznąć do środka prasy, żeby odblokować drzwi.

W warsztacie panował zbyt duży hałas, aby Stan usłyszał trzask zaworu bezpieczeństwa. Jego uwagę zwrócił jednak głośny syk tłoków hydraulicznych. Nic więcej nie usłyszał, zdążył tylko podnieść głowę w panice.

Górna pokrywa opadła.

Stutonowy ciężar mógł zmiażdżyć wszystkich i wszystko łatwiej niż samochód jeża na autostradzie.

Zmiażdżył Stana. Nie ma problemu.

Ciemnowłose maleństwo przy wtryskarce zaczęło krzyczeć i przerwało tylko po to, aby zwymiotować.

## 12.

Tego ciepłego, piątkowego popołudnia w okolicach Guildford doszło również do innych, nie tak poważnych wypadków.

Z biura, wychodzącego na starą trasę A3 z Londynu do Portsmouth, Pam Davidson słyszała karetkę pogotowia, wiozącą Dave'a Crosiera do szpitala. Podniosła głowę nad monitora i patrzyła na karetkę, wyprzedzając pozostałe samochody, które zjeżdżały na jedną stronę szosy. Kiedy znów spojrzała na przygotowywane sprawozdanie, serce w niej zamarło: na ekranie pozostały tylko śmieci. Słyszając chór skarg użytkowników innych terminali, doszła do wniosku, że stało się coś poważnego - być może doszło do awarii głównego serwera.

Pam poczuła ulgę, widząc, że nie jest niczemu winna. Miała osiemnaście lat. Nie przepracowała jeszcze miesiąca na swojej pierwszej posadzie po ukończeniu szkoły handlowej. Od dwóch godzin molała się nad klawiaturą z wyłączoną funkcją automatycznego zapamiętywania. Powiedziano jej, że nie jest to potrzebne, gdyż serwer kontroluje nanokomputer Kronos, znajdujący się na drugim piętrze. Pam przeczytała pakiet informacyjny, który dostała pierwszego dnia od pracodawców, i dowiedziała się, że ta cudowna maszyna nadzoruje działalność spółki na całym świecie, zastępując pracę kilku komputerów. Obsługa serwera w jej departamencie wymagała jedynie drobnej części mocy komputera. Zresztą nawet bez pomocy nanokomputerów lokalne sieci po prostu nie zawodziły. W 1998 roku nie słyszało się już o awariach systemowych.

Gąszcz roztańczonych symboli na ekranie mówił jednak coś innego. Wydawało się, że znaki układają się w jakiś wzór, jak gdyby same chciały się uporządkować.

- Mike! - zawołała do mężczyzny, siedzącego naprzeciwko. - Co widzisz na ekranie? - Lubiła Mike'a. Był mniej więcej jej rówieśnikiem, młodzieńczo wyglądał i zawsze schludnie się ubierał. Miała nadzieję, że kiedyś zaprosi ją na randkę.

- Zdaje się, że to samo co wszyscy, Pam - odrzekł. - Pusty ekran. Wygląda na to, że zawiódł serwer.

Szefowie kręcili się koło szafki sieciowej, stojącej przy ścianie po przeciwnej stronie biura. Kierownik poszedł po klucz.

Pam rozejrzała się. Wszystkie inne monitory były puste. Ale nie jej. Symbole poruszały się po ekranie w dziwny, okrężny sposób. Utworzyły dwie splecione spirale, które przypominały coś, co widziała w jakimś popularnonaukowym programie telewizyjnym.

Wcisnęła kilka razy klawisz „enter”, ale bez rezultatu. Śmieci? To nie są śmieci. Śmieci nie układają się w spirale i nie migoczą... coraz szybciej.

Pam chciała kogoś zawołać, ale miała wrażenie, że jakaś obca siła przejęła kontrolę nad jej strunami głosowymi. W ciągu jednej sekundy pojawiało się osiem rozbłysków. Jak wiadomo, taka częstotliwość interferuje z mózgowymi falami alfa i beta. W skrajnych przypadkach wywołuje to epilepsję i właśnie dlatego migoczące światła w dyskotekach poddane są ścisłej kontroli.

Pam nic nie wiedziała o falach alfa i beta. Wiedziała tylko, że ścisła z całej siły krawędź biurka, złamała dwa eleganckie paznokcie i nie może oderwać oczu od monitora.

Potem wydarzyło się coś naprawdę strasznego. Przez kilka sekund czuła mrowienie w palcach u nóg. Później dziwne uczucie przeniosło się na piersi, szyję, ramiona. Przez chwilę miała wrażenie, że zniknął cały świat poza błyszczącymi wzorami na ekranie. Przerazające mrowienie powróciło do palców u nóg i przesuwało się coraz wyżej, jak gdyby istota, badająca dziewczynę, chciała przeprowadzić mały eksperyment przed przejściem nad nią kontroli.

Pam chciała krzyknąć, ale nie była w stanie wydać żadnego dźwięku ani nawet się poruszyć. Zauważała niejasno, że koło niej nie ma nikogo. Wszyscy pracownicy zgromadzili się wokół szafki komputerowej, która wydawała się odległa o milion kilometrów. Gasnącym wzrokiem patrzyła, jak kierownik otwiera szafkę i szuka guzika, wznowiającego pracę systemu.

Zacisnęła zęby, aby zdusić okrzyk, cisnący się jej na usta. „Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!” Nikt jednak nie zwrócił uwagi na to milczące wezwanie. W dalszym ciągu światełka na ekranie migotały szaleńczo. Podwójna spirala przypominała wir, pochłaniający wolę Pam i wciągający ją w piekło przerażenia i koszmarów.

Kierownik znalazł i wcisnął klawisz, wznowiający pracę systemu. Wir zniknął i skończyła się nagle okropna udręka, przesywająca umysł i ciało dziewczyny. Powrót do normalności był tak szybki, że Pam czuła się tak, jakby spadła z wysoka prosto na swój fotel. Poczwała ukłucie strachu, kiedy na ekranie pojawił się błysk, jak gdyby koszmar miał powrócić, ale to tylko system operacyjny komputera przejmował kontrolę nad siecią.

- Dobrze się czujesz, Pam? - Był to Mike. Przyglądał jej się z troską. Wszyscy ludzie wracali na stanowiska pracy. Skinęła głową i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- W porządku, Mike. Ktoś chyba przespacerował się po moim grobie.

- Wygląda raczej na to, że była to cała armia - zauważył, siadając przy terminalu.

Na monitorze Pam pojawiło się znajome menu. Drżącymi palcami wciskała klawisze, aby wrócić do dokumentu, nad którym pracowała.

- Cholera - powiedział ze złością Mike. - Zdaje się, że cała praca z ostatniej godziny

poszła na marne.

W całej sali rozlegały się podobne narzekania. Wszyscy stracili owoce swojej pracy. Tekst, który pisała Pam, pojawił się na ekranie. Przesunęła kursor na koniec, aby sprawdzić, ile straciła, i patrzyła w oszołomieniu.

- Ile zgubiłaś, Pam? - spytał Mike. Za chwilę musiał powtórzyć pytanie.

- Och... tyle samo, co ty, Mike. Godzinę. - Pam kłamała. Wszystko było na swoim miejscu, wraz ze zdaniem, które pisała, kiedy usłyszała karetkę pogotowia i przerwała pracę.

### 13.

## LONDYŃSKI TELEPORT, NORTH WOOLWICH

Dzwonek telefonu typu Irydium był pierwszą oznaką, pozwalającą Lois Turner domyślić się, że coś się stało z satelitą komunikacyjnym Datelsat. Właśnie siedziała w pubie obok teleportu, goszcząc dziennikarza. Wcześniej zaprogramowała miniaturowy telefon tak, aby przyjmował wyłącznie zgłoszenia z biura. Pracownicy wiedzieli, że nie należy przeszkadzać Lois w podejmowaniu gościa, dlatego musiało to być coś ważnego. Przeprosiła i podniosła słuchawkę. Odezwał się Neil Spender, dyżurny kontroler sieci.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani Turner, ale mamy pewien problem z Datelsatem. Właśnie wyłączył się transponder D. Straciliśmy cztery kanały wideokonferencyjne.

Lois natychmiast pomyślała o klientach.

- Kto był na linii?

- Firma „Cementation”, połączenie Londyn/Delhi, oraz konferencja ICI, Manchester/Kalkuta. Przejął ich transponder B, ale w rezultacie ci z Goonhilly muszą obsługiwać około tysiąca przekazów akustycznych. Nie są tym zachwyceni.

Lois zastanawiała się szybko. Późnym popołudniem nie ma na ogół zbyt wielu służbowych połączeń z Azją, mogli więc skorzystać z rezerw satelity. Mimo to satelita komunikacyjny nie powinien płać takich psikusów, zwłaszcza gdy poważni klienci, jak ICI, zorganizowali konferencję w porze niewygodnej dla partnera i musieli zadać sobie trochę trudu, aby ją przygotować. Urządzanie satelitarnych wideokonferencji było obecnie wielkim biznesem i przyczyniło się do zmniejszenia ruchu powietrznego.

- Przyjdę za pięć minut, Neil. - Przeprosiła dziennikarza i wyszła z pubu.

Pomimo upału zaczęła biec, przeklinając liche chodniki w tej części Londynu. Wkrótce dotarła do biur teleportu. Wysokie ogrodzenie broniło dostępu do kilku ogromnych satelitarnych anten nadawczych. Cyfrowo zakodowane sygnały z jej plakietki

identyfikacyjnej otworzyły automatycznie bramę dla pieszych. Poszła prosto do przenośnego modułu, w którym znajdowała się sala kontrolna Datelsata. Neil Spender i jeden z inżynierów przyglądali się danym, wyświetlonym na ekranie. Monitory na konsoli kontrolnej pokazywały zbliżenia mężczyzn i kobiet, którzy prowadzili poważne negocjacje, choć dzieliła ich odległość paru tysięcy kilometrów. Jeden z mężczyzn uderzył dłonią w biurko.

- Wyglądają na zadowolonych - zauważyła Lois, wskazując monitory.

Neil podniósł głowę.

- Tak, stracili kontakt tylko na pięć sekund. Automatyczny przełącznik świetnie zdał egzamin. To jedyna rzecz, która działa w tym cholernym ptaszku.

- Na czym polega problem?

Kontroler spojrział z przygnębieniem na dane.

- Jeszcze nie wiemy. Zdaje się jednak, że chodzi o awarię oprogramowania.

Lois ulżyło. Przez czterdzieści lat nie zdarzyło się wprawdzie, żeby meteoryt uszkodził drogiego satelitę, ale zawsze istniało takie niebezpieczeństwo - prawdziwy chochlik, czyhający w ciemności. Uszkodzenie hardware'u w satelicie, znajdującym się trzydzieści siedem tysięcy kilometrów nad równikiem na orbicie geostacjonarnej, można naprawić tylko w jeden sposób: uruchamiając zapasowe systemy. Uszkodzone oprogramowanie można natomiast sprowadzić na ziemię, naprawić i przetransmitować z powrotem na satelitę.

- Straciliśmy przełącznik anteny i kontrolę mocy transmisji antenowej na D - zameldował inżynier. - Obecnie wyciskamy zaledwie sto miliwatów mocy transmisji, a powinniśmy dysponować pięcioma watami. Inne transpondery nie mają kłopotów z mocą, nie doszło więc do awarii baterii słonecznych.

- Czy wystarczy nam sto miliwatów? - spytała Lois.

- Nie w przypadku Datelsata - odrzekł krótko Dave. - Satelita znajduje się na pięćdziesiątym południku długości wschodniej. Zbyt duże zakłócenia atmosferyczne.

Lois nie była inżynierem, ale rozumiała problem. Stała pozycja orbitalna Datelsata znajdowała się nad Oceanem Indyjskim, na południe od przylądka Horn. Było to idealne położenie ze względu na lukratywny rynek azjatycki, jeśli jednak Telecom chciał obsługiwać satelitę z londyńskiego teleportu, to antenę satelitarną należało skierować nisko na południowy wschód, a sygnały musiały się przebić przez gęstą, zanieczyszczoną, wilgotną atmosferę Londynu.

- Znaczy to, że transponder nie nadaje się do niczego, chyba że namówi pani klientów, aby wrzeszczeli do mikrofonów - mówił dalej Neil.

Tymczasem inżynier wprowadzał komendy za pośrednictwem klawiatury i miotał

przekleństwa. Nigdy nie potrafił liczyć się ze słowami.

- Wygląda na to, że jeden z klientów świetnie sobie radzi - zauważyła Lois, patrząc na urzędnika, uderzającego pięścią w biurko. - Co pan zamierza?

- Załadować moduły software'owe i sprowadzić Martleshama, żeby im się przyjrzał. To jego ludzie zajmowali się oprogramowaniem.

- Nie możemy - odparł kwaśno inżynier, podnosząc głowę znad klawiatury. - To cholerne urządzenie telemetryczne również jest spieprzone. Sześć modułów diabli wzięli. Szlag trafił cztery mega RAM-u. Zdaje się, że ta gromadka Mike'ów Foxtrotów od Martleshama nie sprawdziła oprogramowania tak jak należy. Teraz po naszym satelicie łązi gigantyczna pluskwa, której na pewno nie pozbedziemy się przed świętami.

Lois była zbyt zajęta, by zapytać inżyniera, o co chodzi z tym Mike'em Foxtrotem.

## 14.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Beverley Laine wbiegła po żwirze na szczyt falochronu w Elmer Sands i zeskoczyła metr w dół na twardy piasek. Zachwiała się, ale po chwili odzyskała równowagę i ruszyła do przodu. Wytarła z oczu pot, przesiąkający przez przepaskę, i długimi, swobodnymi susami sadziła po plaży. Wokół talii, na gołej skórze, miała opięty eksperymentalny pas, jeden z najbardziej pomysłowych wyrobów laboratoriów firmy „Nano Systems”. Carl Olivera nazwał go żartobliwie „paseih Laine” i wyglądało na to, że nazwa się przyjęła.

Beverley podobało się to urządzenie, jednakże jej bystry, obiektywny umysł miał wątpliwości co do jego wartości komercyjnej.

Wyglądał jak zwykły pas, ale pomiędzy dwoma warstwami winylu umieszczono nanokomputer Kronos, którego czujniki ze stopu herkulanowego, cieńsze niż igły do robienia zastrzyków podskórnych, przedostawały się bezboleśnie do krwiobiegu na głębokość sześciu milimetrów. Informacje, zebrane przez czujniki, pozwalały nanokomputerowi rejestrować nie tylko poziom cukru we krwi i produkcję adrenaliny, ale wszystkie związki chemiczne, wytwarzane przez ciało podczas dużego wysiłku fizycznego. Wykorzystując te dane, Kronos mógł zdecydować, czy właściciel pasa powinien zmusić się do większego wysiłku. W tym celu wysyłał w odpowiednich momentach impulsy do układu nerwowego. „Pas Laine” był najnowocześniejszym przyrządem treningowym na świecie.

Beverley nosiła właśnie jedyny egzemplarz pasa, pierwszy z wielu tysięcy, jeśli postanowi uruchomić produkcję, a ludzie zaakceptują ten wyrób jako pomoc w treningu. Po

dziesięciu kilometrach trudnego biegu mózg przyzwyczał się do sztucznych impulsów i ledwo zauważała kontrolę, jaką to zadziwiające urządzenie sprawowało nad jej ciałem.

Spostrzegła błysk w pobliżu jednego z domków na szczycie plaży. Z pewnością to popołudniowe słońce odbija się w szklach lornetki majora Hewletta. Wypatrywał jej każdego wieczoru. Kiedy wiedziała, że obserwują ją mężczyźni, zawsze przeszywał ją dreszcz podniecenia, a wówczas adrenalina jeszcze bardziej uderzała jej do głowy. Biegnąc po plaży, minęła jeszcze jednego bystrookiego obserwatora. W zeszłym miesiącu doktor Wyman porzucił pacjenta i przygalopował na plażę, aby zatrzymać Beverley i wygłosić jej kazanie z akcentem z Sussex.

- Jestem wielkim zwolennikiem ćwiczeń fizycznych, panno Laine - krzyknął. - Pani jednak przesadza. Proszę mi obiecać, że zwolni pani tempo. W wieku czterdziestu ośmiu lat należy zacząć dbać o siebie!

- To lepsze niż seks! - krzyknęła Beverley przez ramię. Ta riposta замуrowała doktora.

Pojawił się następny czarny i groźny falochron. Tym razem żwirowe zbocze było bardziej strome wskutek wczorajszego sztormu. Kiedy wspinała się na śliski pagórek, miała wrażenie, że za chwilę nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Źle zeskoczyła na piasek i zachwiała się, ale uparcie brnęła do przodu.

- Proszę, Beverley, weź tabletkę glukozy - odezwał się miły, kobiecy głos w słuchawce, płynący z pasa. Nie zwalniając tempa, Beverley sięgnęła do kieszeni. Ssała łąpczywie i czuła, jak siła powraca do jej obolałych mięśni.

Pas nakazał jej zwiększyć tempo o dwa kroki na minutę. Prężne mięśnie Beverley przyjęły wyzwanie i przyspieszyły bieg. Najbardziej niepokoiła się tym, że pas może zawieść i doprowadzić użytkownika do przetrenowania. Carl i główni inżynierowie twierdzili, że to niemożliwe.

- To tylko urządzenie treningowe, określające optymalne tempo biegu - oświadczył Carl. - Nie odbiera człowiekowi wolnej woli. Można go przecież wyłączyć.

Pomimo tych zapewnień Beverley niepokoiła się. Być może jej firma zbyt odważnie promowała nanotechnologię, której jeszcze do końca nie rozumiała. Gdyby jednak ludzie nie wykorzystywali nauki przed osiągnięciem pełnego poznania, nie istniałby postęp: Marconi nie przekazałby sygnału radiowego przez Atlantyk, bracia Wright nie oderwaliby się od ziemi. A Amerykanie nie zrzuciliby bomb na Hiroszimę i Nagasaki.

- Siedemset metrów od punktu zero - oświadczył głos w słuchawce. - Twój czas jest o trzy sekundy lepszy niż wczoraj. - „Punkt zero” oznaczał dom w systemie nawigacyjnym pasa. Jeszcze cztery falochrony! Dalej!



Jej bungalow znalazł się już w zasięgu wzroku, nie myślała jednak o przerwaniu udręki i wyłączeniu pasa. Biały podkoszulek stał się przezroczysty od potu i przylgnął do ciała jak druga skóra. Pełne piersi uwierały boleśnie w impregnowanym, sportowym staniku, a szorty ocierały się drażniąco o skórę.

Dalej! Nie poddawać się!

Adrenalina stymulowała dopływ hormonów i alkaloidów do krwiobiegu, aż ból zamieniał się w niemal seksualną ekstazę.

Promienie słońca lśniły na następnym wilgotnym falochronie, oblepionym zielonymi algami. Znow się poślizgnęła, ale wciąż biegła do przodu.

Jeszcze trzy!

Trampki z hydrauliczną amortyzacją podeszew, za które zapłaciła czterysta ecu w czasie ostatniego pobytu w Paryżu, zostawiały wzorzyste ślady na piasku. Kiedy się zbliżała, małe kraby wyczuwały wstrząsy i szybko zakopywały się w wilgotnym, bezpiecznym piasku. Kropelki potu skapywały z opasek na przegubach Beverley, tańczyły przez chwilę w słońcu i znikwały. Była zbyt zmęczona i spocona, aby wyraźnie dostrzegać bungalow. Większość biegaczy zwolniłaby, zbliżając się do mety, ale nie Beverley. Kiedy Carl programował pas, powiedziała, że ostatnie dwieście metrów powinno stanowić ostateczne wyzwanie. Przyspieszyła kroku.

Szybko i lekko przesadziła ostatnie falochrony. Skierowała się ku domowi i celowo zaczęła biec prędeej, niż nakazywały elektroniczne impulsy, płynące z pasa. Przez chwilę myślała z przyjemnością, że niedługo wyciągnie się na materacu w swoim pięknym salonie. Powrót do równowagi hormonalnej i tlenowej w czasie popołudniowego odpoczynku przypominał seksualne odprężenie, co pruderyjnie przemilczały wszystkie czytane przez nią książki o bieganiu.

Przeskoczyła przez niski murek, oddzielający ogródek od plaży, i swobodnym krokiem biegła po ścieżce. Była dumna ze swojego ogródka i bungalowu. Była dumna ze wszystkiego, co osiągnęła, choć nie lubiła się do tego przyznawać nawet przed samą sobą.

Teraz jednak obca potęga groziła zniszczeniem sukcesu i finansowego bezpieczeństwa, które tak późno pojawiło się w jej niespokojnym, nieszczęśliwym życiu.

**CZĘŚĆ DRUGA: Dzień wczorajszy**  
**Beverley**

Odważnym szczęście sprzyja.

*Eneida*, Wergiliusz

## 1.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Beverley nigdy nie obawiała się walki. Stoczyła z determinacją tak wiele bitew, nie ustępując ani na krok i nie przyznając się do porażki, że czasem miała wrażenie, iż potrzebuje nieustannych wojen, aby usprawiedliwić własne życie.

W wieku osiemnastu lat nie posłuchała rad rodziców i poślubiła pijaka, który w pierwszym roku małżeństwa obdarzył ją siniakami, złamaną ręką, nadwerżzonymi żebrami i dzieckiem. Doszło do rozwodu z powodu okrutnego traktowania przez współmałżonka, a potem Beverley musiała borykać się z biedą: trzeba było stworzyć coś przypominającego dom, aby trzymać dziecko z dala od jej rodziców, pracowników opieki społecznej i towarzystw adopcyjnych. Kochała syna z niemal bolesną intensywnością. Nic nie mogło stanąć pomiędzy nią a Paulem. Prędzej by go zabiła, niż utraciła.

Dla Beverley lata siedemdziesiąte były ponurą dekadą, która na pewno by ją zniszczyła, gdyby nie jej nieustępliwość i determinacja. Lubiła myśleć, że tylko Paul trzymał ją przy życiu. Jednakże pod tym względem nie była wobec siebie sprawiedliwa. Poradziłaby sobie nawet bez syna. Dzięki Paulowi batalia trwała jednak dziesięć lat krócej. Bez niego nie walczyłaby z taką zaciekleścią.

Życie samotnej matki rozpoczęło się w nędznym pokoju w Aldershot. W dzień pracowała jako urzędniczka w spółce ubezpieczeniowej, a w wolnych chwilach adresowała koperty, aby zapłacić za żłobek Paula. Musiała przerywać pracę o jedenastej wieczorem, gdyż inni lokatorzy dużego, wiktoriańskiego domu narzekali na nieustające stukanie maszyny do pisania. Później wstydziła się tylko jednego uczynku z tego ponurego okresu. Zalegała z czynszem za trzy miesiące, ale wyrównała rachunek z braćmi, którzy byli właścicielami domu, godząc się na ich propozycję i idąc z nimi do łóżka - z obydwoma jednocześnie. Najbardziej dręczyła się tym, że spodobało jej się to nowe doświadczenie - sprawiła jej przyjemność władza nad dwoma mężczyznami, którą uzyskała dzięki swojemu ciału. Przypominało jej to czasy szkolne. Wtedy również bardzo lubiła, gdy rówieśnicy byli pod jej urokiem.

Bardzo zaangażowała się w związek ze swoim pierwszym chłopakiem, on jednak nawet nie odpowiedział na jej listy, kiedy wyprowadziła się wraz z rodzicami. W przypadku drugiego chłopaka drobne gierki erotyczne źle się skończyły i została poddana swego rodzaju seksualnemu szantażowi. Teraz obawiała się, że bracia mogą zachować się tak samo, a w

rezultacie wścibscy pracownicy opieki społecznej odbiorą jej Paula. Doszła więc do wniosku, że silne potrzeby seksualne są niebezpieczną słabością, ciemną stroną jej natury, którą należy stłumić, pogrążając się w pracy.

Zanim Paul poszedł do szkoły, nauczyła się jednego: jeśli chce przeżyć, nie może iść z prądem wydarzeń, ale sama musi przejmować inicjatywę. Pamiętając o tym, zorganizowała zespół dziesięciu kobiet, pracujących w domu przy adresowaniu kopert i wykonujących inne prace biurowe. Odkryła w sobie zdolności menedżerskie.

*Okay, Bev, przejmij inicjatywę. Posiadasz zdolności, staraj się więc je rozwinąć.*

Poszła na kurs do szkoły wieczorowej. Dwa lata trudnych studiów opłaciły się, gdyż uzyskała dyplom Instytutu Zarządzania.

Siedemnaste urodziny Paula w 1978 roku były bardzo szczególną okazją, obchodzili je bowiem w małym domku z tarasem, który Beverley kupiła na dziewięćdziesięcioprocentowy kredyt hipoteczny. Był to najtańszy dom, jaki udało się jej znaleźć w jednej z lepszych dzielnic Worthing. Mogła kupić większy dom w gorszej dzielnicy, ale chciała, żeby Paul chodził do porządnej szkoły i miał przyzwoitych przyjaciół.

Jej agencja sekretarek przeniosła się do małego budynku biurowego i nadal kwitła. W 1982 roku sprzedała firmę trzem dziewczynom, które dla niej pracowały, a sama została główną sekretarką w prężnej spółce elektronicznej „Nano Systems Ltd”. Dwaj młodzi partnerzy, stojący na czele tego przedsiębiorstwa, opracowali nowe metody przechowywania danych przy wykorzystaniu technik biologicznych zamiast silikonu. Wpływy ze sprzedaży agencji oraz regularna pensja pozwoliły Beverley posłać Paula do szkoły z internatem i odkładać na fundusz powierniczy pieniądze, którymi w przyszłości opłaci studia syna. Tęskniła za Paulem w czasie roku szkolnego, ból rozstania łagodziły jednak jego wspaniałe oceny i pewność, że sobie poradzi. Przejmując inicjatywę, zapanowała nad szczęściem i losem.

Po pięciu latach, w 1987 roku, wypadki przybrały nieoczekiwany obrót: obaj partnerzy sprzedali firmę korporacji finansowej, zainteresowanej raczej szybkim zyskiem niż długofalowymi inwestycjami. Połowa kierowników „Nano Systems” należała do zarządu korporacji, dlatego rzadko ich widywano. Pozostali szybko stracili inicjatywę i zapal do pracy, z wyjątkiem Carla Olivera, kierownika do spraw technicznych.

Sumienność i pracowitość Beverley zapewniły jej stanowisko sekretarki Carla i taką podwyżkę pensji, że mogła przenieść się do większego domu. Aż do roku 1991 wydawało się, że Beverley ma zabezpieczoną przyszłość. Wówczas intuicja podpowiedziała jej, że „Nano Systems” czekają kłopoty finansowe. W 1992 roku każdy już mógł to zauważyć.

Beverley zaniepokoiła się, kiedy wskutek plotek firma straciła dobrych pracowników. Później nastąpiły cięcia w budżecie Carla Olivera. Ograniczono wydatki na badania nad Kronosem, niezwykłym nowym mikroprocesorem. Beverley wiedziała, że w odpowiednich rękach Kronos może zmienić świat.

Kronos przechowywał informacje, wykorzystując w tym celu zmiany barw, zachodzące w światłoczułych proteinach. Podtrzymywanie pamięci nie wymagało dostaw prądu. Mikroprocesor zaprojektowano na poziomie molekularnym, dlatego odległości pomiędzy częściami były mniejsze niż w silikonowych urządzeniach, mogły więc one szybciej wymieniać między sobą informacje. W sumie Kronos mógł działać miliard razy szybciej niż konwencjonalne maszyny. Pod wieloma względami przypominał ludzki umysł. On również był żywym organizmem, nie do końca rozumianym.

W pierwszej połowie 1992 roku Beverley robiła, co mogła, by skromny budżet wystarczył na kontynuowanie badań. Niestety, spółka wolała wykorzystywać zespół utalentowanych programistów do realizacji krótkoterminowych kontraktów, zawieranych z dużymi korporacjami elektronicznymi. W tym czasie wiele się nauczyła o prowadzeniu interesów i stwierdziła, że bardzo jej się nie podoba sposób zarządzania przedsiębiorstwem. Problem, przed którym stanął program badawczy Kronosa, stanowił typowe schorzenie brytyjskiego przemysłu: brakowało pieniędzy na sfinansowanie ciekawego pomysłu. Na szczęście „Nano Systems” posiadała nieruchomości w Fontwell Business Park, pomiędzy Chichester a M 27. Założyciele spółki przewidująco wykupili cztery obiekty przemysłowe i w ten sposób zapewnili firmie znaczny potencjał, nie zwiększając przesadnie kosztów ogólnych. Kłopot polegał na tym, że korporacja finansowa nie była zainteresowana inwestowaniem w „Nano Systems”.

## 2.

Szydło wyszło z worka, kiedy Carl Olivera wezwał Beverley do biura. Ten sympatyczny mężczyzna o pociągłej twarzy wcześniej posiwiiał i dlatego wyglądał starzej niż na trzydzieści sześć lat. Dobrze mu było w kaszmirowych swetrach. Beverley nigdy nie widziała, żeby Carl nosił koszulę lub krawat. Zawsze dobrze ją traktował. Był jedynym członkiem zarządu „Nano Systems”, którego szanowała. W przeciwieństwie do pozostałych kierowników bardzo angażował się w pracę. Kiedy należało rozwiązać jakiś problem, często pracował po godzinach, aż do późnej nocy. Beverley nigdy nie mówiła, co sądzi o innych kierownikach, uważała ich jednak za gromadę niekompetentnych nierobów, których bardziej

interesują służbowe BMW niż firma. Przykro jej było, że kiedy starała się o awans na kierownicze stanowisko, sprzeciwił się temu krótkowzroczny prezes, który stwierdził, że sekretarka zawsze pozostanie sekretarką. Musiała jednak przyznać, że Carl stanowczo popierał jej starania.

Kiedy weszła do biura, siedział na niskim fotelu przy stoliku. Ceniła Carla Oliverę z jeszcze jednego powodu: nigdy nie odczuwał potrzeby wznoszenia bariery pomiędzy sobą a gościem; nie musiał dodawać sobie pewności siebie, siadając za biurkiem.

Wstał i znużonym gestem wskazał drugi fotel.

- Siadaj, Bev.

Beverley wyczuła, że coś jest nie w porządku, i usiadła. Znała dobrze Carla i wiedziała, że od razu przejdzie do rzeczy.

- Mam złe wiadomości, Bev - powiedział z żalem. - Niech to pozostanie między nami - uśmiechnął się nieśmiało. - Nie powinienem ci tego mówić, ale jesteś tu jedyną osobą, której ufam. Firma „Osaka Electronics” zrezygnowała z kontraktu. Nie chodzi tu o nas, po prostu niepokoi ich załamanie światowego handlu i z tego względu redukują wydatki na działalność badawczą za granicą.

Beverley siedziała wyprostowana.

- Co to znaczy?

- Jak dobrze wiesz, nigdy nie brakowało potencjalnych nabywców naszej firmy. Prezes właśnie znalazł jednego...

- Japończyka?

- Tak. Zapewnią nam kapitał...

- Nie zrobią tego - odrzekła z gniewem Beverley. - Zachowają się dokładnie tak samo, jak pozostałe ekipy, które próbowały przejąć „Nano Systems”. Chcą po prostu położyć łapę na Kronosie i patentach. Wszystko powędruje do Japonii. To samo przytrafiło się transputerowi Inmos, przejętemu przez Francuzów, ale tym razem będzie jeszcze gorzej, bo transputer pozostał przynajmniej w ramach Wspólnoty Europejskiej.

Carla zaskoczył jej wybuch.

- Wezwałem cię, bo chciałem, abyś w porę zorientowała się w sytuacji i mogła rozejrzeć się za nową pracą - rzekł łagodnie. - Po dziesięciu latach, przepracowanych w naszej firmie, z pewnością ci się to należy. Jeśli od razu zaczniesz szukać pracy, niewątpliwie ktoś ci zaproponuje nie mniejszą pensję niż „Nano Systems”.

- Nie zależy mi na pensji, Carl! Chcę zachować pracę, ale przede wszystkim chciałabym wiedzieć, że Kronosa wykorzystuje się we właściwy sposób! - Po raz pierwszy zwróciła się do

niego po imieniu. - A co z tobą? Czy chcesz, żeby wszystkie twoje wysiłki poszły na marne?

- Cóż... nie.

- Tak bardzo się napracowałeś, instalując Kronosa w kombajnie Draggon. Świat tego potrzebuje. Czy chcesz, żeby ktoś inny udoskonalił twój pomysł? Skończył twoją pracę? Zebrał plony?

- Cóż... oczywiście, że nie, ale...

- W takim razie zrób coś, na miłość boską! Nie czekaj biernie na rozwój wypadków! Przejmij inicjatywę!

Rozmowa przybrała zupełnie inny obrót, niż Carl oczekiwał. Spodziewał się, że podziękuje Beverley za współpracę, a później będą życzyć sobie szczęścia. Może nawet napiją się sherry i zjedzą razem obiad. Jednakże siedząca naprzeciwko niego rozgniewana kobieta odwróciła sytuację o sto osiemdziesiąt stopni i Carl zaczynał czuć się nieswojo. Człowiek, zwalnający z pracy sekretarkę, spodziewałby się innej reakcji.

- Nie mogę stworzyć pięciu milionów ecu - odrzekł niepewnie. - Potrzeba przynajmniej tyle, żeby wydobyć „Nano Systems” z kłopotów.

- Nie chodzi o pieniądze, Carl. Cóż, może teraz chodzi, ale nie musiało do tego dojść. Do kryzysu doprowadzili twoi nieudolni koledzy z rady nadzorczej. Jezu! Cóż to za banda niekompetentnych nierobów!

Carl wzdrygnął się lekko, ale nie dlatego, że nie spodziewał się takich słów od kobiety. Zrozumiał po prostu, jak mało wiedział o Beverley. Zaczął podejrzewać, że ta kobieta może sprawić jeszcze niejedną niespodziankę.

Beverley wstała, podeszła do okna i spojrzała na parking dla kierowników przed budynkiem.

- Chodź tutaj - rozkazała krótko.

Carl zamierzał właśnie oświadczyć, że nie jest psem, rozmyślił się jednak, widząc zdenerwowanie Beverley. Podeszedł do niej.

Beverley wskazała parking.

- Co widzisz? - spytała.

- Cóż, mercedesa Adriana Bakera, jaguara Paula Ryana, moje BMW...

- Właśnie! - ucięła Beverley. - Zainwestowaliśmy milion firmowych ecu w zarozumiałych kierowników, zamiast w przedsiębiorstwo!

- Wzięliśmy samochody w leasing... - zaczął Carl.

- Tym gorzej! - fuknęła Beverley. - Na dłuższą metę wydajecie więcej pieniędzy. Firmy leasingowe założono przecież po to, żeby zarabiać! Zamiast topić pieniądze w samochodach,

powinniście je przekazać wydziałom przedsiębiorstwa. A co powiesz o tym, że kiedy tylko któryś z kierowników wybiera się za granicę, zawsze podróżuje pierwszą klasą? Tak naprawdę na pierwszą klasę w „Nano Systems” zasłużyli tylko menedżerowie: Bremner, Pilleau, Dancer. To prawdziwi fachowcy. Dają z siebie wszystko, tak samo jak ty, a otrzymali za to bardzo mało, kiedy firma zawierała intratne kontrakty z Japonią i Ameryką. Teraz, gdy znaleźliśmy się w dołku, potraficie tylko sprzedać ich talenty.

Ten potok ostrej krytyki zaczął irytować Carla. Dobry Boże, przecież ta kobieta jest tylko sekretarką i właśnie dostała wymówienie, a mimo to ośmiela się krytykować niedociągnięcia w przedsiębiorstwie. Rzeczywiście, nie ma nic do stracenia, nie istnieje jednak łatwiejsza i bardziej czcza rozrywka niż szydzenie z porażki innych. Każdy to potrafi. Trzeba jej przerwać.

- Dobrze, Bev, powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia. Rozumiem, że jesteś zdenerwowana. Co jednak, twoim zdaniem, możemy zrobić?

Beverley odwróciła się do niego.

- Do diabła, co się z tobą dzieje? Czyżbyś był nie tylko głupi, ale i ślepy? Czy to nie oczywiste?

Carl pierwszy raz widział spokojną, pilną, pracowitą Beverley Laine, doprowadzoną do takiej wściekłości.

- W tym momencie... nie.

- Wykup pracownicy! - syknęła Beverley. - Czemu nie rozważyć możliwości wykupu pracowniczego!

### 3.

## WRZESIEŃ 1992

Inauguracyjne spotkanie konsorcjum kierowników firmy „Nano Systems” zorganizowano w sekrecie w sali przyjęć w hotelu Royal Albion w Brighton. Dziesięciu ludzi zajęło miejsca wokół owalnego stołu konferencyjnego. Na podwyższeniu na środku stołu stał mikroprocesor Kronos, niczym miniaturowa świątynia proteinowej technologii przechowywania informacji - przyczyna problemów, a zarazem nadzieja na ich rozwiązanie.

Miał wielkość paczki papierosów. Był grubszy niż zwykłe mikroprocesory, a to ze względu na to, że zaopatrzone go w komorę ze światłoczułej substancji szklanej, w której znajdowały się składniki odżywcze. Światło z żyrandola, padające na urządzenie, zapewniało wystarczającą ilość energii milionom złącz na obrzeżach maszyny. Każdy malutki migający



punkcik światła składał się z tysiąca takich złącz. Za ich pośrednictwem Kronos komunikował się ze światem zewnętrznym. Mikroprocesor był miniaturową wersją planety Ziemi, kolebką życia: odżywcza ciecz odpowiadała oceanom, a światło przypominało życiodajne słońce i dostarczało energii, napędzającej cykl węglowy.

Konsorcjum nie miało prezesa, dlatego zebranych powitał Carl, jako główny organizator całego przedsięwzięcia. zaproponował, że obejmie stanowisko prezesa, a Beverley zostanie jego sekretarką. Obie nominacje zatwierdzono jednogłośnie. Kiedy Carl przemawiał, Beverley obserwowała przez kilka sekund każdego mężczyznę, analizowała ich reakcje i próbowała odgadnąć, jak się zachowają. Siedzieli tu różni ludzie, ale każdy z nich był fachowcem w jakiejś dziedzinie: dr Macé Pilleau, jeden z czołowych specjalistów od nanotechnologii; Hal Bremner, zdolny, lecz nietwórczy programista, umie poradzić sobie z każdą trudnością, lecz żaden z niego wynalazca; Peter Dancer, kierownik do spraw sprzedaży, sprzedawca z wykształceniem technicznym, człowiek, który szybko myśli i nie boi się podejmować błyskawicznych decyzji, na ogół słusznych. Obok niego siedział Jack Pullen, kierownik działu księgowości, bezpośredni, utalentowany i stanowczy mężczyzna, który przez długi czas pomagał spółce utrzymać się na powierzchni. Jeśli z obecnego chaosu ma się wyłonić nowa firma, będą potrzebowali finansowej zręczności Jacka Pullena. W sumie dziesięciu bardzo różnych mężczyzn słuchało uważnie propozycji, od której zależały ich domy, posady, a być może również ich małżeństwa.

- To nie ja wpadłem na ten pomysł - zakończył Carl. - To propozycja Beverley.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Beverley, która robiła notatki. Podniosła wzrok z zakłopotaniem.

- Jeśli więc coś się nie uda, ją możemy o to winić. Tak czy inaczej Beverley bardzo się zaangażowała w sprawy „Nano Systems” i Kronosa, sądzę więc, że powinna mieć coś do powiedzenia. Panna Beverley Laine.

- Carl usiadł i uśmiechnął się złośliwie do Beverley.

Beverley wstała nie okazując zdziwienia, chociaż spojrzała przelotnie na Carla, dając do zrozumienia, że później się z nim policzy.

Na początku mówiła z wahaniem, wkrótce jednak rozkręciła się. Przemawiała elokwentnie i z pasją przez pięć minut, zadziwiając samą siebie zgrabnością sformułowań. Mężczyźni w szarych garniturach słuchali uważnie. Przemówienie tej niepozornej sekretarki zdziwiło ich nie mniej niż śmiały plan, zaproponowany przez Carla.

Beverley stwierdziła, że firma „Nano Systems” stoi przed zupełnie innymi problemami niż większość przedsiębiorstw. Brzmi to paradoksalnie, ale okazali się zbyt pomysłowi: coraz

bardziej rozwijali inżynierię molekularną, nie wypuszczając na rynek żadnych produktów, aby sfinansować badania. Kiedy mówiła, Kronos odbierał wibracje strun głosowych, a świetlne punkciki zapalały się i gasły zgodnie z rytmem jej głosu.

- Nie wystarczy powiedzieć, że Kronos nie jest gotowy do wejścia na rynek - rzekła. - Oczywiście, że nie jest gotowy. W prototypowych urządzeniach działa zaledwie jeden procent ruchowych neuronów, a to za mało. Jednakże w zeszłym roku funkcjonowało tylko ćwierć procenta komórek. Na świecie nie ma obecnie takiego urządzenia jak Kronos. - Przerwała i spojrzała na błyszczący mikroprocesor. - Silikonowa płytką, wykorzystywana w pierwszych kieszonkowych kalkulatorach na początku lat siedemdziesiątych, również nie była gotowa, gdyż potrafiła jedynie dodawać, odejmować i mnożyć. Mimo to kalkulatory opanowały rynek.

- Co w takim razie powinniśmy produkować, panno Laine? - spytał Peter Dancer. - Światowy rynek jest już nasycony komputerami osobistymi.

- Mówię o czymś lepszym. Pokaż mu, Carl.

*Spokojnie, Bev, nie staraj się przejąć kontroli nad konferencją.*

Jeśli nawet pewność siebie Beverley zirytowała Carla, to niczego po sobie nie okazała. Sięgnął do teczki i położył na stole coś, co przypominało przenośny komputer. Różnica polegała na tym, że cienkie urządzenie, o wielkości kartki formatu A4, składało się w całości z ekranu - nie miało klawiatury. Podsunął je Dancerowi, który spojrzał sceptycznie.

- Jeszcze jedna elektroniczna tablica?

- Niezupełnie - odrzekł Carl. - Pisz bezpośrednio na ekranie. Posłuż się ołówkiem, czymkolwiek, nawet paznokciem.

Pozostali mężczyźni patrzyli z ciekawością, jak Dancer wyjmuje z kieszeni długopis. Wahał się przez chwilę, a potem napisał swoje nazwisko i adres na środku ekranu. W miarę pojawiania się kolejnych słów komputer przekształcał je automatycznie w schludne linijki tekstu, zapisanego czcionką Times Roman.

Dancer był pod wrażeniem.

- Niezłe - zauważył.

- Spróbuj skreślić jakieś słowo - zaproponował Carl.

Dancer przekreślił słowo BRIGHTON, które natychmiast zniknęło z ekranu, a pozostałe słowa wypełniły puste miejsce.

- Teraz zakresł kółko wokół jakiegoś słowa i narysuj strzałkę, jak gdybyś robił korektę raportu - rzekł Carl.

Kierownik działu sprzedaży zakresł kółko wokół swego nazwiska i narysował strzałkę,

jak gdyby chciał, aby nazwisko znalazło się przed imieniem. Kiedy tylko zdjął długopis z ekranu, oba słowa zamieniły się miejscami. Przez kilka chwil patrzył ze zdumieniem na ekran. Później zaczął przepisywać fragment listu, a pozostali przyglądali mu się uważnie. Jego pismo zamieniało się w standardową czcionkę, gdy odrywał pióro na dłużej niż pięć sekund.

- Teraz dotknij skrzynki wyboru języka na górze ekranu - zaproponował Carl.

Dancer zrobił to. Jedną z opcji w menu był język japoński. Wybrał ją długopisem i obserwował w zdumieniu natychmiastową konwersję tekstu na litery Kanji. Rozległ się pomruk zdziwienia.

- Wielki Boże - wymruczał Dancer. - To będzie szło jak ciepłe bułeczki.

- Wątpię - zauważył Hal Bremner. - Potrzeba mniej więcej pół gigabajta RAM-u, żeby korzystać z naprawdę użytecznego programu translacyjnego, który może sobie poradzić z trzema głównymi językami, używanymi w świecie biznesu: japońskim, mandaryńskim i angielskim. Do tej pory uzyskaliśmy w Kronosie zbyt małą liczbę ruchowych neuronów.

Carl podniósł urządzenie.

- Masz rację, Hal. Sprzęt będzie gotowy najwcześniej za trzy lata. W tym momencie nanonotes, jak go nazwałem, stanowi jedynie techniczną przymiarkę. Trudno jest pisać na tym ekranie, a poza tym cała maszyna jest za gruba. Program ma zresztą kłopoty z mało czytelnym charakterem pisma. Warto jednak przyjrzeć się bliżej temu pomysłowi. Sieć neuronowa Kronosa działa tak samo jak ludzki mózg, próbujący zrozumieć nieczytelny tekst: szuka ogólnych wskazówek, dotyczących składni i kształtu słów. To dopiero niezdarne początki. Program translacyjny wykorzystuje prymitywny, podstawieniowy algorytm, aby poradzić sobie z przekładem na japoński. Zgodzisz się chyba jednak, że jest to przyszłość.

Hal skinął głową.

- Pewnie. Mamy tu kieszonkowy komputer bez klawiatury o mocy dużej maszyny, którego obsługa jest bardzo prosta i nie wymaga opanowania złożonych komend klawiaturowych.

- To jeszcze jedna tablica do pisania - przerwał Jack Pullen. - Czy naprawdę sądzisz, że moglibyśmy sprzedawać licencje?

- Nie - odrzekł zdecydowanie Carl. - To tylko przymiarka techniczna. Tak jak powiedziałaś, cyfrowe rysownice od dłuższego czasu są dostępne na rynku. Różnica polega na tym, że my zaoferujemy klientom potężną, lecz łatwą do obsługi bazę danych. Kiedy pokażemy go bankierom, może zrozumieją, co potrafi Kronos.

Jack Pullen prychnął.

- Możemy wymyślić wiele ciekawych zastosowań Kronosa, które dałyby się wdrożyć w ciągu dwóch lub trzech lat. Jeśli jednak chcemy zrealizować plan wykupu, musimy wyciągnąć z rękawa jakiegoś asa i natychmiast zdobyć pieniądze, w przeciwnym razie stoimy przed dokładnie tym samym problemem, co cała firma.

Carl skinął głową i spojrzał na Beverley.

- Mamy coś w rękawie, Jack.

- Co?

- Nie co, lecz kogo. - Podniósł słuchawkę i zapytał recepcjonistę, czy pan Theodore Draggon już przyjechał.

#### 4.

Theodore Draggon, prezes i jedyny udziałowiec firmy „Draggon Industries”, nie zawodził oczekiwań, jakie budziło jego onieśmielające, nieprawdopodobne nazwisko. Ten krępy, rubaszny mieszkaniec Yorkshire posiadał pięć fabryk maszyn rolniczych na północnym wschodzie, finansowanych w dużym stopniu dzięki dotacjom rządowym („Buduj tam, gdzie jest tanio”), oraz wielką hurtownię i biuro w Petworth w West Sussex („Sprzedawaj tam, gdzie masz rynek”). W 1975 roku przejął chylącą się ku upadkowi firmę ojca, teraz zaś miał pod swoją kontrolą 10 procent europejskiego rynku kombajnów i maszyn rolniczych. Przyszedł na to spotkanie, gdyż pragnął kontrolować w stu procentach europejski rynek i nie zamierzał pozwolić, by coś stało mu na przeszkodzie.

- Produkuję kombajny - stwierdził burkliwie, kiedy Carl poprosił, aby zabrał głos. - Moje kombajny zarabiają, bo są najlepsze na świecie, a ja chcę, żeby stały się jeszcze lepsze. Dzięki pomocy pana Olivera w moim magazynie w Petworth znajduje się prototypowy kombajn, który zniszczy wszelką konkurencję. - Kiedy mówił, przyglądał się bystro każdemu po kolei. Kilka razy Beverley poczuła na sobie jego nieufne, niewzruszone spojrzenie. Spotkała już kiedyś Theodore’a Dragгона i przypuszczała, że zdaniem przemysłowca kobieta może służyć tylko do jednego celu.

- Teraz, chłopcy, zastanawiacie się pewnie, co do diabła jakiś cholerny mikroprocesor ma wspólnego z kombajnami. Odpowiem wam: wszystko. Wasz Kronos to jedyne urządzenie na świecie, które jest wystarczająco szybkie, by przebadać każde ziarnko, przepływające przez rynnę zbożową. Słyszeliście kiedyś o chorobie sporyszowej?

Nikt nie słyszał.

- A o ogniach świętego Antoniego? Choroba rozpowszechniona w średniowieczu.

Paskudna. Ofiara umierała wskutek wewnętrznej gangreny kończyn. Zżera człowieka od środka. W ciele powstają alkaloidy, przypominające LSD. Właśnie dlatego tak wielu religijnych maniaków miało w średniowieczu wizje. Człowiek choruje na to paskudztwo po zjedzeniu ziarna zarażonego grzybem, zwanym sporyszem. Zlikwidowano chorobę dzięki środkom grzybobójczym. Teraz, kiedy Wspólnota Europejska podejmuje kroki przeciwko środkom grzybobójczym, choroba powróciła. W 1985 roku w Europie zarejestrowano pięćdziesiąt przypadków, a od tamtej pory ta liczba wzrosła. W tym roku... - przerwał na chwilę i popatrzył na zgromadzonych, jak gdyby to oni byli temu winni - ...cóż, wygląda na to, że w 1992 będziemy mieli tysiąc przypadków, jeśli można wydawać opinię na podstawie półrocznych danych. Oto więc nasz dylemat. Jeśli nie chcemy dopuścić do skażenia środowiska, Europa musi ograniczyć zużycie środków grzybobójczych i pestycydów. Ryzykujemy jednak zatrucie ludności. Rozwiązaniem nie jest wyrywkowa kontrola, jaką przeprowadza się obecnie, lecz dokładne sprawdzenie każdego cholernego ziarna. Można to zrobić oszczędnie tylko w czasie żniw, przed załadowaniem zboża do worków. Potem będzie za późno, bo nic nie powstrzyma sporysza. Wasz pan Olivera wyposażył mój kombajn w jedno z tych urządzeń - wskazał palcem Kronosa, spoczywającego na piedestale na środku stołu. - Może ono rozpoznawać zarażone ziarna i niszczyć je bez względu na to, z jaką prędkością przepływają przez rynnę zbożową. - Przerwał i spojrzał niepewnie na Carla. - Lepiej niech pan to wyjaśni, panie Olivera. To techniczne sprawy.

Carl wstał.

- Dziękuję, Theo. Kronos idealnie nadaje się do tego celu ze względu na swą szybkość. Nie istnieje na świecie silikonowy mikroprocesor, który mógłby z taką prędkością przetwarzać dane z kamery i obsługiwać lasery. Nie chodzi tu tylko o sporysz. Istnieją również inne paskudne zanieczyszczenia - mysie odchody i tym podobne. Co roku w Związku Radzieckim i w Europie gnije z tego powodu piętnaście milionów ton ziarna. Pokazaliśmy już kombajn władzom Wspólnoty Europejskiej i były one pod dużym wrażeniem. Nowe standardy, które osiąga dzisiaj technologia, staną się w przyszłości codziennością. Kombajn Theo to jedyna maszyna na świecie, która potrafi sprostać tym wymaganiom. Znaczy to, że można na nim zarobić pieniądze. Prawdziwe pieniądze.

- Właśnie dlatego nie wolno dopuścić, aby Japończycy zagarnęli ten mikroprocesor - przerwał Draggon. - Z tego względu gotów jestem przyłączyć się do waszej oferty kupna i pokryć trzydzieści trzy procent kosztów.

Jack Pullen pierwszy przerwał milczenie.

- To milion sześćset tysięcy ecu - powiedział. - Milion funtów.

Theo Draggon spojrzał na Pullena.

- Jestem na to przygotowany, chłopcze.

- Ma pan milion do dyspozycji?

- Mam. W razie potrzeby mogę mieć więcej. - Draggon rozejrzał się z pogardliwą miną.

- Pytanie polega na tym, czy waszej paczce uda się zebrać pozostałe dwa miliony.

## 5.

Beverley jeszcze raz zsumowała liczby i spojrzała na Carla i Draggona.

- Wciąż to samo - powiedziała. - Brakuje nam dwudziestu pięciu procent.

Siedzieli w rogu hotelowego baru. Spotkanie skończyło się trzy godziny temu. Pozostali uczestnicy wrócili do domu, do swoich żon i hipotek.

- Będziecie musieli dopuścić mój bank do tego interesu - rzekł Draggon, rozkoszując się długim, hawańskim cygarem.

- Nie! - odparła z naciskiem Beverley.

Draggon patrzył na nią przez chmurę dymu z drogiego cygara. Jego mina świadczyła o tym, że nie lubi, gdy kobiety wtrącają się do interesów.

- Czemu nie, dziewczyno? - Jego ton był zarazem protekcyjny i obraźliwy. Theodore Draggon potrafił znieważać innych. Kiedy chciał, umiał również być czarujący. Teraz jednak nie miał na to ochoty.

- Bo to dałoby panu kontrolę nad firmą. I proszę nie mówić do mnie „dziewczyno”.

- Kontrolę? Trzydzieści trzy procent? Kto cię uczył liczyć, dziewczyno?

Beverley trzymała nerwy na wodzy. Zauważyła, że Carl ma zamiar coś powiedzieć i szybko się odezwała. Nie potrzebowała obrońcy.

- Pańskie trzydzieści trzy procent plus dwadzieścia pięć procent banku dadzą panu kontrolę. Oświadczył pan, że bankierom nie zależy na miejscu w radzie nadzorczej, zgaduję więc, że będzie pan dysponował ich głosami. Zgadza się?

Beverley podniosła kieliszek, zdała sobie sprawę, że drżenie ręki zdradza jej kipiący gniew, i odstawiła go z udanym spokojem.

- Proszę posłuchać, panie Draggon - powiedziała powoli. - Ludzie, których pan dzisiaj poznał, nie należą do bogaczy, a jednak tak silnie wierzą w tę firmę, że siedzą teraz w domach i przechodzą prawdziwe piekło, wyjaśniając żonom, dlaczego muszą zastawić domy i wziąć udział w tym wykupie. Nawet Carl przyrzekł, że zgromadzi ćwierć miliona, choć wiem, że nie może sobie na to pozwolić. Ci ludzie mają ogromną szansę wziąć swój los we własne ręce

i prędzej diabli mnie wezmą, niż przyłączę się do małej, podstępnej intrygi, oddającej panu i pańskim anonimowym kumplom kontrolę nad „Nano Systems”!

Carl zamierzał coś powiedzieć, ale uciszyło go spojrzenie Beverley.

- Moje podstępne intrygi nigdy nie są małe, dziewczyno - zauważył Draggon. - Nie podpisałaś listu intencyjnego i nie zaoferowałaś żadnego udziału, nie musisz się więc w nic angażować. W interesach liczą się pieniądze, a nie uczucia.

- Daj spokój, Theo - rzekł gniewnie Carl. - Beverley ciężko pracowała, organizując to spotkanie. To był jej pomysł.

Draggon zaciągnął się cygarem.

- Powinna wnieść jakiś udział - odrzekł, ignorując Beverley. - Wolałbym oglądać pieniądze zamiast tych seksownych usteczek. Nie ma pieniędzy, nie ma głosu.

Beverley schowała dokumenty, zamknęła teczkę i wstała.

- Wniosę pewien procent, panie Draggon - powiedziała spokojnie, ale jej oczy błyszczały z gniewu. - Będzie to z konieczności najmniejsza suma, jaką dopuszcza statut konsorcjum, czyli jeden procent, ale na pewno uda mi się ją zebrać. Do widzenia panom.

Carl wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, ale Draggon mu przeszkodził.

- Niech ta głupia dziwka sobie idzie - powiedział burkliwie.

- Posłuchaj - odrzekł ostro Carl. - Jeśli mamy zostać partnerami, nigdy nie będziesz nazywał Beverley Laine głupią dziwką. To pracowita, sumienna kobieta. Płaci za edukację syna na uniwersytecie i stara się spłacić dług hipoteczny. W żaden sposób nie uda się jej zebrać takiej sumy.

Po odejściu Beverley zachowanie Dragгона zmieniło się. Prosty, bezpośredni mieszkaniec Yorkshire nabrał nagle ogłady. Zniknął nawet akcent z Yorkshire. Zachichotał i zgasił cygaro.

- No dobrze. Beverley Laine nie jest głupią dziwką. Chciałem zobaczyć, jak zareagujesz, kiedy ją tak nazwę. - Spojrzał z zastanowieniem na Carla. - Zaciągnąłeś już ją do łóżka?

- To nie twój cholerny interes, tak się jednak składa, że nie. Ani mi to w głowie.

- Łżesz, aż się kurzy, Olivera.

Carl powstrzymał okrzyk protestu, cisnący mu się na usta. Zawahał się, a po chwili skinął głową ze smutkiem.

- Tak - przyznał. - Przyszło mi to do głowy, ale do niczego nie doszło.

- W takim razie lepiej, żeby była w pobliżu. Daj jej odpowiednią pracę. Jak sądzisz, na co ona liczy?

- Chciałaby zostać sekretarką spółki.

Draggon znów wcielił się w rubasznego mieszkańca Yorkshire.

- Pieprzenie - rzekł krótko.

Beverley siedziała w samochodzie na hotelowym parkingu, ścisnęła kierownicę i starała się uspokoić, zanim włączy silnik.

Arogancki, zarozumiały drań!

Jak on się uśmiechał, kiedy oświadczyła, że wejdzie do spółki z jednoprocentowym wkładem. Boże, chciałaby to zrobić, pokazać temu draniowi. Nie, nie tylko pokazać: chciałaby głosować przeciwko niemu. Ma przecież nad nim przewagę. Członkowie konsorcjum to jej koledzy. Pracowała z nimi. Mogłaby przeciągnąć ich na swoją stronę i zebrać tyle głosów, aby zetrzeć uśmiešek z twarzy pana Theodore'a Draggona.

*Trzymaj się, Bev. Jeden procent od trzech milionów. Po starciu paru zer zostaje trzydzieści tysięcy funtów. Cholera!*

Być może jakiś pijany taksator mógłby uznać jej domek na obrzeżach Bognor Regis za wystarczające zabezpieczenie dla banku. Ale trzydzieści tysięcy... do diabła... nawet gdyby dostała pożyczkę, musiałaby wydawać dodatkowo trzysta funtów miesięcznie. Jęknęła i oparła głowę o kierownicę. Zawsze ciężko walczyła, aby utrzymać się na powierzchni, ale ostatnio przychodziło jej to łatwiej. Teraz zastanawiała się, czy powinna wziąć na siebie dodatkowy ciężar. Jest przecież Paul... nie może mu tego zrobić. Tym razem nie wystarczy żelazna wola i determinacja. Pieniądze nie mówią, lecz krzyczą, ogłuszająco krzyczą.

Uspokoila się i z rezygnacją zaakceptowała nieuniknione rozwiązanie tego równania.

*Przynajmniej próbowałaś, Bev.*

Wyprostowała się i włożyła kluczyk do stacyjki. Maszyna ożyła. Nagły warkot silnika podsycił wygasłe uczucia, jak pręt paliwowy włożony zbyt głęboko do reaktora.

*Pokażę temu draniowi!*

Wcisnęła pedał gazu i wyjechała z parkingu, roztrącając stojące przy bramie niedawno opróżnione kosze na śmieci.

## 6.

**1993**

Od początku nowego roku Beverley pracowała z demonicznym zapalem nad zorganizowaniem konsorcjum. Zaczynała pracę codziennie o 17:30, a jej komputer wypluwał



z siebie raporty i nieustającą korespondencję. Bank zgodził się przyznać jej drugi kredyt pod zastaw domu pod warunkiem, że przekaże im swoje ubezpieczenie na życie. Balansowała na linie bez siatki bezpieczeństwa, ale napięty rozkład zajęć pozostawiał jej niewiele czasu na zmartwienia. Przyjeżdżała do domu po północy, jadła coś i kładła się spać. Dwóch przyjaciół, z którymi od czasu do czasu się spotykała, dało sobie spokój i utonęło w powodzi zapomnienia. Niewielka strata, gdyż tak czy inaczej niezbyt jej na nich zależało. Najwspanialsze było to, że mogła zostać udziałowcem w nowej spółce.

Nagle wszystko zaczęło się układać: określono ogólną kwotę środków płynnych, listy intencyjne zamieniły się w czeki, a naciskani bez litości prawnicy skończyli papierkową robotę. Ustalono termin ostatniego posiedzenia konsorcjum. Miały to być właściwie dwa posiedzenia, zlane w jedno: formalne rozwiązanie konsorcjum i inauguracyjne zebranie akcjonariuszy firmy „Nano Systems”. Na dwa dni przed zebraniem Beverley zaczęła dyskretnie, lecz intensywnie werbować stronników. Jej pierwszym celem stał się Carl. Pewnego dnia pracowali do późna, robiąc fotokopie pierwszego prospektu i porządku obrad.

- Musisz objąć stanowisko dyrektora, Carl - powiedziała, wkładając do kopiarki Canon nowy pojemnik z organicznym pigmentem. - Zgłoszę twoją kandydaturę, a Macé Pilleau na pewno cię poprze.

Carl przerwał na chwilę pracę.

- Nie jestem pewny, Bev. Chętnie pozostałbym kierownikiem do spraw technicznych.

- Co to znaczy: nie jesteś pewny? Tego przecież chcesz, czy tak?

- Sądzę, że Theo Draggon ma kogoś na stanowisko dyrektora.

- Carl zaczął układać papiery i unikał spojrzenia Beverley.

Beverley uruchomiła kopiarkę i usiadła naprzeciwko Carla.

- Czy naprawdę nie chciałbyś zostać dyrektorem? Nadal mógłbyś przecież nadzorować sprawy techniczne.

- Zgodzę się na wszystko, czego zażąda większość akcjonariuszy - odrzekł wymijająco Carl.

- Na miłość boską, Carl, nie możesz biernie czekać na to, co się stanie. Jeśli chcesz do czegoś dojść, musisz przejąć inicjatywę.

Przestał pracować i spojrzał na Beverley. Zmieniły ją wydarzenia ostatnich czterech tygodni. Zawsze wiedział, że w tej kobiecie kryje się stalowy duch. Teraz wszyscy mogli to zauważyć. Lojalna sekretarka, powtarzająca „Tak, panie Olivera” zniknęła na zawsze. Tym lepiej. Tamto było udawaniem, to zaś jest prawdziwa Beverley Laine. Ubierała się teraz lepiej niż kiedyś; obecnie nosiła eleganckie, świetnie skrojone spódnice i bluzki.

- No dobrze, Bev. W jaki sposób miałbym przejąć inicjatywę?

- Jako prezes konsorcjum będziesz je likwidował. Czy tak?

Carl skinął głową.

- Potem otworzysz posiedzenie inauguracyjne i będziesz pełnił obowiązki prezesa nowej spółki aż do momentu głosowania i mianowania nowych kierowników i wyższych urzędników. Taka jest procedura. Pytałam adwokatów.

- Zgadza się - potwierdził Carl. - Niewykluczone, że spędzę zaledwie pięć minut w fotelu prezesa.

- Jeśli będę miała coś do powiedzenia, pozostaniesz na tym fotelu o wiele dłużej - odrzekła Beverley z zaciętą miną. - Kiedy już na nim zasiądziesz, uzyskasz psychologiczną przewagę. Przed rozpoczęciem głosowania zaproponuję uzupełnienie statusu o zapis, na mocy którego dyrektor pełniłby jednocześnie obowiązki prezesa. To właśnie bezsilni prezesi wpędzili „Nano Systems” w kłopoty i nie zawaham się tego powiedzieć. Nie możemy mieć dyrektora, który rzadko pojawia się w pracy, a to z miejsca przekreśli kandydaturę Dragгона. Na pewno nie zechce spędzać dnia w „Nano Systems” zamiast w swojej firmie rolniczej.

- Czy wciąż chcesz być sekretarką spółki, Bev?

- Oczywiście, że tak. Boże! Co za głupie pytanie. Zaangażowałam się w to bez reszty. Nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy.

- Podobnie jak my wszyscy - powiedział melancholijnie Carl. - Bev, jesteś ostatnią osobą, której powinienem o tym przypominać, ale w życiu rzadko dostajemy to, czego chcemy. Dotyczy to nawet osób tak zdeterminowanych jak ty.

- Nie, jeśli w odpowiedniej chwili przejmie się inicjatywę - odrzekła krótko Beverley.

## 7.

Beverley starała się przejąć inicjatywę. Jej koledzy grzecznie słuchali, kiedy przekonywała ich do kandydatury Carla, zgadzali się nawet z jej poglądami, miała jednak niejasne wrażenie, że porozumienie zostało już zawarte.

Oczywiście to wszystko przez męskie toalety, cholerne, męskie toalety. Kobiety tylko plotkują w ubikacjach, za to mężczyźni planują, spiskują i opowiadają obsceniczne, seksistowskie dowcipy. Dla kobiet sikanie to prywatna czynność, wykonywana w prywatnych kabinach, co sprzyja rozmyślaniom o osobistych sprawach. Nie można prowadzić poufnych dyskusji wokół umywalek, bo zawsze w którejś kabinie siedzi jakaś nieznamiona osoba. Z drugiej strony, męskie pisuary są współczesnymi klubami dla mężczyzn, bezpiecznym

schronieniem przed kobietami. Tam mężczyźni nie tylko mogą sobie pozwolić na opowiedzenie pieprznego dowcipu, ale wręcz tego się od nich oczekuje. W świecie równości płci tam właśnie bigoci znajdą swoją ostatnią placówkę. Jeśli jakaś informacja przecieknie z męskiej toalety, nie będzie można zwalić winy na kobiety, dlatego mężczyźni zatrzymują dla siebie poufne wiadomości, usłyszane w łazience. Dzień przed posiedzeniem Theo Draggon odwiedził „Nano Systems” i udał się na konferencję do męskiej toalety w towarzystwie trzech kierowników i Carla.

Następnego wieczoru Beverley wydawała się spokojna, kiedy zajmowała miejsce przy stole konferencyjnym w biurze byłego prezesa. Żartowała nawet z adwokatami, reprezentującymi dawnych udziałowców, i z wdziękiem przyjmowała komplementy, dotyczące nowego kostiumu. Wyglądała świetnie i powinna czuć się wspaniale, w rzeczywistości przeżywała jednak rozpacz i frustrację. Pracowała do upadłego, zadłużyła dom - w imię czego? Wszystko po to, żeby te osły odrzuciły jej kandydaturę na sekretarkę spółki.

Pomimo wcześniejszych zapewnień Theodore Draggon przyprowadził przedstawicieli swojego banku. Usiadł naprzeciwko Beverley i zapalił hawańskie cygaro. Miała ochotę wychylić się i wepchnąć mu je do gardła.

O 19:55 wszyscy się zebrali - dwudziestu mężczyzn i jedna kobieta.

O 20:00 Carl szybko otworzył posiedzenie i od razu przeszedł do rzeczy. O 20:15 konsorcjum uległo likwidacji i zajęto się sprawami nowej spółki. Na razie Carl pełnił obowiązki prezesa.

Po dokonaniu formalnego transferu udziałów adwokaci obu stron wycofali się. Zgodnie z planem Beverley zaproponowała, żeby połączyć stanowisko prezesa i dyrektora. Carl poparł wniosek i ku zdumieniu Beverley zaakceptowano go jednogłośnie i bez dyskusji.

- Skoro tak, wzywam do zgłaszania kandydatów na stanowisko prezesa i dyrektora - rzekł Carl, zaznaczając coś w porządku obrad.

- Proponuję pannę Beverley Laine - rzekł szybko Theodore Draggon.

Wniosek poparło pięć osób, wśród nich Carl, który zgłosił się pierwszy.

Beverley do końca życia nie zapomniała tej chwili i później często wspominała swój szok i zdumienie. Miała wrażenie, że otworzyła się nagle pod nią ukryta zapadnia. Jednakże zamiast spaść, płynęła w powietrzu niczym zdumiony astronauta, nie wiedząc, gdzie jest góra, a gdzie dół.

- Jakież inne kandydatury?

Ktoś powiedział:

- Carl Olivera. - Boże, to przecież jej głos.

- Kto popiera wniosek?

Nikt się nie odezwał.

- Kto jest za tym, aby panna Beverley Laine została prezesem i dyrektorem „Nano Systems”?

Osiemnaście rąk poszło w górę. Beverley powinna je liczyć, ale była jak sparalizowana. Policzył je Carl.

- Osiemnaście głosów za - stwierdził. Uśmiechał się do Beverley, ale ona mogła jedynie patrzeć na niego w milczeniu.

- Kto jest przeciw?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Osiemnaście głosów za, żadnego przeciw, jeden wstrzymujący się - podsumował Carl.

- Panna Laine jest naszym nowym szefem.

Rozległy się oklaski i gratulacje. Beverley miała łzy w oczach, kiedy zobaczyła, że Theodore Draggon klaszcze głośniej niż pozostali i uśmiecha się szeroko na widok jej oszołomionej miny. Ktoś trącił ją łokciem. Wstała. W odpowiedzi na okrzyki „Przemówienie!” zdołała jedynie wykrztusić kilka słów, których później nie mogła sobie przypomnieć. Carl zwolnił fotel i poprosił, żeby wszyscy się przesunęli, tak że znalazł się obok Beverley, kiedy zajęła miejsce u szczytu stołu. Ten przyjacielski, gest przypieczętował ich związek: Carl zawsze będzie u jej boku.

- Kandydatury na stanowisko sekretarza - wyszeptał.

Profesjonalne nawyki przewyciężyły oszołomienie Beverley. Zdołała opanować nerwy i z pewnością siebie poprowadziła posiedzenie. Carl został mianowany kierownikiem do spraw technicznych i jej zastępcą. Godzinę później, kiedy zamykała posiedzenie, doszła do wniosku, że ma idealny zarząd, składający się z sześciu pełnoetatowych i dwóch niepełnoetatowych kierowników: przedstawiciela banku firmy „Nano Systems” oraz Theodore’a Draggona. Właśnie Draggon pierwszy uściśnął jej dłoń, gdy Carl wyjął szampana i zaczęły strzelać korki.

- Dziewczyno, kiedy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że nadajesz się na to stanowisko - powiedział ciepło Draggon. Wszyscy cisnęli się do Beverley, aby złożyć jej gratulacje, on jednak nie chciał puścić jej dłoni.

Beverley podziękowała mu serdecznie i próbowała cofnąć rękę.

- Nie, dziewczyno, podziękuj samej sobie. Kiedy ty stoisz za sterem, wiem, że moja forsa jest bezpieczna.

- No cóż - powiedziała Beverley, patrząc z uśmiechem na Draggona. - Jako dyrektor,

jestem twoją przełożoną, wydaję ci więc rozkaz. Możesz go nie posłuchać na własne ryzyko.

Mówiła przyjacielskim tonem, mimo to Draggon puścił jej rękę i wyglądał na zaniepokojonego.

- O co chodzi, dziewczyno?

- Jeśli cenisz swoje jaja, nigdy więcej nie mów do mnie „dziewczyno”.

Kierownicy wybuchnęli śmiechem na widok zakłopotanej miny Draggona. Przemysłowiec szybko odzyskał panowanie nad sobą i uśmiechnął się dobrodusznie.

- Zgoda, Bev.

Beverley ogarnęło rozczarowanie, kiedy po tym pamiętnym wieczorze wróciła do ciemnego domu. Była bardzo podekscytowana i poczuła żal, że nie ma się z kim podzielić radosną nowiną. Musiała z kimś porozmawiać, dlatego, pomimo późnej pory, zadzwoniła na uniwersytet w Bath do syna. Kiedy uzyskała połączenie, usłyszała w tle śmiech i muzykę. Opowiedziała Paulowi, co się wydarzyło, nie wydawał się jednak zainteresowany. Usłyszała wołanie jakiejś dziewczyny. Próbowała opanować zazdrość i zgodziła się wysłać Paulowi trochę pieniędzy, aby mógł zapłacić podatek i ubezpieczenie za motorower. Wcześniej wyłudził od niej większość pieniędzy na jego zakup.

Kiedy zakładała nocną koszulę, poczuła się samotna i zrozumiała nagle, jak ogromna odpowiedzialność na niej spoczywa. Usiadła na łóżku i zaczęła płakać.

## 8.

Pierwszy miesiąc na nowym stanowisku nie był przyjemny. Beverley musiała pozbyć się ze spółki lojalnych, lecz niepotrzebnych pracowników, z którymi pracowała od dziesięciu lat. W pewnym momencie czuła się tak nieszczęśliwa z tego powodu, że zrezygnowałaby, gdyby nie poparcie Carla i kierowników. Potem należało drastycznie ograniczyć wydatki. Po czterech tygodniach zwolnień, rozwiązywania umów leasingowych, redukcji wydatków i wynajmowania na magazyny niepotrzebnych budynków Beverley była psychicznie i fizycznie wyczerpana. Udało jej się jednak zredukować koszty ogólne i pensje o trzydzieści procent. Pomijając sprawę zwolnień, fakt, że sprostała pierwszemu wyzwaniu, wzmocnił jej pewność siebie i sprawił, że odważnie spoglądała w przyszłość. Również bankierzy nabrali do firmy większego zaufania, gdyż zwiększyli dozwoloną sumę przekroczenia stanu konta.

- Nieźle jak na pierwszy miesiąc - pogratulował jej Carl przy drinku w pubie.

- Teraz zajmijmy się sprzedażą i reklamą - odrzekła Beverley. - Potem zorganizujemy

fundusze i zaczniemy przygotowywać Kronosa do masowej produkcji.

Carl milczał. Beverley wiedziała, że największym problemem jest zaopatrzenie mikroprocesora w sprawną pamięć o wystarczająco dużej pojemności. Z każdej setki wyprodukowanych Kronosów działał mniej niż jeden procent, a spośród sprawnych urządzeń mniej niż połowa dysponowała wystarczająco dużą siecią neuronową, by konkurować z nowoczesnymi, silikonowymi mikroprocesorami. Firma „Nano Systems” miała towar, ale w niewystarczającej ilości.

- Wpadłeś na jakieś wspaniałe pomysły reklamowe? - spytał w końcu Carl.

Beverley uśmiechnęła się i wypła parę łyków.

- Owszem. Niewykluczone, że uda nam się nadepnąć paru szychom na odcisk.

## 9.

Theodore Draggon był w nie najlepszym humorze. Nie chciał usiąść, mimo zaproszenia Beverley. Położył przed nią dokument i oparł się wojowniczo o biurko.

- Możesz mi powiedzieć, Bev, o co tu do diabła chodzi?

Beverley spojrzała na formularz.

- Widzisz przecież, Theo. To podanie o licencję na używanie stu mikroprocesorów typu Kronos. Numery seryjne...

- Wiem! Szef działu handlowego w moim magazynie w Petworth powiedział, że wysłał wam zamówienie na sto Kronosów, a w zamian otrzymał taki formularz. Co tu się dzieje?

- To proste. Nie sprzedajemy Kronosów, lecz licencje na ich użytkowanie. W ten sposób zachowujemy pełną kontrolę nad mikroprocesorami. Pozostają naszą własnością. Ten system sprawdził się w przypadku oprogramowania, uważam więc, że można go zastosować również do hardware'u. Dokładnie sprawdzamy wszystkich, którzy ubiegają się o licencję. Przyznajemy ją tylko dużym, poważnym firmom, takim jak twoja. Jeśli Kronos z jakichś powodów zawiedzie, „Nano Systems” dostarczy nowe urządzenie bez żadnej dodatkowej opłaty. Zobowiązujemy się również, że wymienimy istniejące Kronosy, kiedy tylko wprowadzimy na rynek doskonalsze maszyny.

- Ale dlaczego?

- Chodzi o to, żeby zachować kontrolę nad Kronosami - odrzekła poważnie Beverley. - Przez cały czas stanowią naszą własność. To jedyny majątek naszej spółki, Theo. Przecież właśnie dlatego przyłączyłeś się do nas. Zorientowałeś się, że mamy coś, co trzeba chronić. Tylko dzięki licencjom możemy być pewni, że urządzenie nie wpadnie w niepowołane ręce.

Carl uważa, że ktoś, kto zechce poznać sekrety Kronosa, będzie potrzebował co najmniej stu mikroprocesorów. Znaczy to, że będzie musiał kupić sto twoich kombajnów. To pewnie nie powstrzyma bystrzaków z Doliny Silikonowej i Tajwanu, ale przynajmniej zwolni tempo ich prac, tak abyśmy zdążyli opracować patenty skutecznie chroniące naszą własność.

- Czy ktoś zgodził się już na te warunki?

- Tylko w tym miesiącu przyznaliśmy trzydzieści licencji: „British Telecom”, „Telecom France”, ICI, producenci systemów bezpieczeństwa i tak dalej. Półroczny bilans wykaże, że wyszliśmy na czysto.

Draggon uspokoił się.

- Pojawią się jednak kłopoty, kiedy zaczniecie masową produkcję - zauważył. - Carlowi zależy na wprowadzeniu nanonotesu na rynek.

- Wszystkim na tym zależy, Theo. - Beverley uśmiechnęła się. - Nie widzę jednak problemu. Rozreklamujemy Kronosa jako mikroprocesor, którego nie kupi się za żadne pieniądze. Co sądzisz o takim sloganie?

Człowiek z Yorkshire gapił się na Beverley.

- Mikroprocesor, którego nie kupi się za żadne pieniądze? - powtórzył. Zastanowił się przez chwilę, a potem zaczął się uśmiechać. - Cholera, to genialne. Co za geniusz to wymyślił?

- Właśnie rozmawiasz z tym geniuszem - stwierdziła skromnie Beverley.

## 10.

### 1994

- Powinna się pani rozebrać, panno Laine.

- Co takiego?!

Jabłko Adama Leona Dextera poruszyło się nerwowo. Spojrzał niepewnie na Carla, ale szef patrzył w drugą stronę, bojąc się, że za chwilę wybuchnie śmiechem.

Beverley nie było do śmiechu. Patrzyła na Leona, który stał obok okrągłego, otwartego wjazdu komory totalnej rzeczywistości wirtualnej. Ogromne urządzenie miało rozmiary i kształt kotła lokomotywy i wydawało się niepodobne do niczego, co ma coś wspólnego z inżynierią nanobiologiczną. Po jednej stronie widniały nawet rzędy nitów. Maszyna spoczywała na stalowym podłożu w betonowym, przemysłowym budynku, przekształconym w nowe laboratorium firmy „Nano Systems”.

W ostatnich latach Beverley doszła do wniosku, że zbudowanie nowego zespołu

badawczego jest jednym z priorytetowych zadań. Prowadziła agresywny werbunek w angielskich firmach komputerowych, angażowała najlepszych studentów mikrobiologii, zanim dobrali się do nich Amerykanie, poszukiwała odpowiednich ludzi nawet w Japonii i Rosji. Zatrudnienie Leona Dextera i zbudowanie kompleksu połączyło zeszłoroczne zyski „Nano Systems” i doprowadziło do poważnego deficytu, była to jednak konieczna inwestycja.

Leon okazał się prawdziwym skarbem. Ten poważny, niedożywiony specjalista od oprogramowania wyglądał tak, jak gdyby jadał wyłącznie jabłka. Geny zapewniły mu długi szkielet, podtrzymujący bladą skórę, ale zapomniały dołożyć pośrodku trochę ciała. Beverley zatrudniła Dextera za radą Carla, gdyż był światowym autorytetem w sprawach dotyczących totalnej rzeczywistości wirtualnej. To on stworzył komorę TVR - pierwsze urządzenie tego typu. Jak każdy opętany geniusz, Leon potrafił nie spać przez tydzień, kiedy natknął się na jakiś poważny problem.

- Jak to, rozebrać? - spytała Beverley.

- Dotykające skóry ubranie dostarcza bodźców zmysłowych, które zniekształcają totalną rzeczywistość wirtualną komory - wyjaśnił Leon.

Beverley stanęła przed poważnym problemem: czy powinna rozebrać się w obecności tych mężczyzn i wejść do dziwnej komory, czy też się wycofać. Cóż, z pewnością nie stehórzy.

- Czy mogę wejść w białiznie i zdjąć ją w komorze?

- Ubranie się zamoczy - rzekł Leon.

- No cóż, jakoś sobie poradzę z mokrymi majtkami - stwierdziła Beverley. - Gdzie mogę się przebrać?

- Nigdzie, Bev - odparł Carl, starając się zachować powagę.

- Wykreśliłaś szatnię z budżetu. Przyniosę ci drelichy, żebyś mogła się przebrać w damskiej toalecie.

- Nie trzeba. - Beverley szybko rozebrała się do majtek i stanika, a następnie stanęła naprzeciwko Carla i Leona. Jej ostre spojrzenie służyło dwóm celom: kładło tamę wszelkim pokusom, jakie mogli odczuwać obaj mężczyźni, i maskowało poczucie winy spowodowane przez podniecenie, wywołane tym, że stoi półnaga przed nimi, a zwłaszcza przed Carlem.

- No dobrze. Co teraz?

Leon wyjął dwie pneumatyczne opaski. Beverley podała mu obie dłonie. Nadmuchał ostrożnie opaski, aż zacisnęły się łagodnie wokół jej nadgarstków.

- Czuje je pani, panno Laine?

Beverley na próbę zamknęła oczy i pokręciła głową.



- Dobrze. Jesteśmy gotowi - stwierdził Leon, odwracając się do pulpitu kontrolnego, stojącego przy ścianie. Kiedy dotknął guzika, w komorze zapaliło się przytłumione, czerwone światło. - Proszę po prostu się położyć, opierając kark na podstawce. Niech, się pani nie martwi, wszystko można kontrolować z komory, ale lepiej będzie, jeśli w czasie pierwszej podróży pozostawi to pani mnie.

Słowo „podróż” zabrzmiało złowieszczo. Beverley pozwoliła, żeby Carl wziął ją za rękę i poprowadził po schodkach do wjazdu. Ostrożnie, stopami do przodu, przecisnęła się przez zewnętrzny wewnętrzny luk. Usiadła na krawędzi wewnętrznego wjazdu, trzymając stopy w wodzie, która wypełniała kapsułę o wymiarach dwa na trzy metry.

Kapsuła była mniejsza, niż można by sądzić po zewnętrznych wymiarach komory TVR. Różnica wynikała z tego, że pomiędzy zewnętrzną pokrywą a wewnętrzną kapsułą z włókna szklanego znajdowała się półmetrowa warstwa dźwiękoszczelnego materiału. W środku kapsuła miała błękitny kolor, co sprawiało, że woda wyglądała zachęcająco. Przypominało to ogromne, zamknięte jacuzzi. Po obu stronach widniały miękkie oparcia pod głowę, przy których znajdowały się pulpity kontrolne. Beverley pamiętała, że plany Leona przewidywały skonstruowanie komory dla dwóch obserwatorów.

- Okay, Bev? - spytał Carl z troską w głosie.

- W porządku. Gdybym wiedziała, że się na to zdecyduję, przyniosłabym mydło.

- Mam nadzieję, że pozwoliłabyś, abym umył ci plecy.

- Jeśli ładnie poprosisz, to się zastanowię. - Wypowiedziawszy te słowa Beverley zanurzyła się w wodzie. Kryptonowe światła nadawały jej skórze trupioblady kolor.

- Kontrola głosu - odezwał się Leon przez ukryty głośnik.

- Działa - odrzekła Beverley. - To dziwne, ale prawie nie czuję wody.

- Utrzymujemy ją w temperaturze czterdziestu stopni. To trochę więcej niż temperatura ciała, dlatego nic pani nie czuje. Może pani zamknąć wjazd, dotykając czerwonego guzika.

- *Bon voyage*, Bev - powiedział zachęcająco Carl i wycofał się.

Beverley dotknęła guzika i oba wjazdy zamknęły się z cichym sykiem. Zmieniły się warunki akustyczne w komorze. Kiedy odezwała się do Leona, jej głos brzmiał matowo i nienaturalnie.

- Dobra. Co teraz?

- Zdejmij je - rzekł Carl.

Beverley zdusiła nerwowy śmiech. Trudno było zdejmować majtki, gdyż w tym celu musiała zanurzyć pod wodę dłonie z nadmuchanymi opaskami, w końcu jednak udało się i powiesiła je na wewnętrznym władzie.

- Teraz stanik - poinstruował ją Carl.

Okropna myśl przyszła Beverley do głowy. Spróbowała dostrzec coś poza jasnymi, halogenowymi światłami w odległym końcu trzymetrowej komory.

- Hej, wy! Czy tu jest kamera?

- Tak, panno Laine - przyznał Leon. - Ale przysięgam, że nie działa. Pan Olivera stara się po prostu dotrzymać pani kroku.

Beverley zdjęła stanik.

- No dobrze. Nie mam już na sobie bielizny. Nie mam niczego poza opaskami na nadgarstkach. Co teraz?

- Leż i myśl o Anglii - rzekł Carl.

- Proszę oprzeć głowę na podglówku i odprężyć się - powiedział Leon. - Woda ma dwudziestoprocentowe zasolenie, powinna więc pani pływać jak w Morzu Martwym.

Beverley oparła się wygodnie i wyciągnęła nogi. Jej ciało bez żadnego wysiłku uniosło się na powierzchnię. W uszach i na ciemnych lokach wokół skroni ledwo czuła delikatny dotyk ciepłej wody. Wrażenie zupełnej nagości było miłe. Przypominało jej czasy, kiedy jako nastolatka w rodzinnym mieście Walton-on-Thames pływała nocą nago w basenie przyjaciela.

- Niech pani nogi i ramiona przyjmą naturalną pozycję - powiedział Leon. - Proszę pamiętać, co mówiłem: woda musi być idealnie spokojna. Proszę nie używać mięśni, nie odzywać się, nie próbować się opierać. Nie może pani utonąć.

Beverley unosiła się na powierzchni z ramionami odchylonymi lekko od ciała. Poczwała, jak rozchylają się jej nogi i właśnie miała zamiar je złączyć, kiedy przypomniała sobie instrukcje Leona. Zniknęły łagodne fale, woda uspokoiła się. Nie była świadoma własnego ciała, czuła jedynie podpórkę pod głową. Zrozumiała teraz, jak ważne jest, aby była naga.

- Odbieram lekkie falowanie wody, spowodowane pani oddechem - powiedział Leon po minucie. - Zwiększę teraz zawartość tlenu w powietrzu do czterdziestu procent. Sprawdzi to, że będzie pani mogła oddychać z mniejszą częstotliwością i wywoła łagodne skutki halucynogenne. Pogłębi się wrażenie deprywacji sensorycznej, ale o to nam przecież chodzi.

Beverley zauważyła, że jej oddech staje się płytszy. Była teraz idealnie odprężona i spokojna. Czuła się wspaniale. Spojrzała w dół i stwierdziła, że tylko jej piersi, ręce i palce u nóg wystają z wody.

Znów rozległ się pewny siebie, uspokajający głos Leona.

- Obniżam podglówek o kilka centymetrów, tak aby ledwo dotykał pani głowy. Podczerwone lasery kierują się teraz na pani oczy, proszę więc zamrugać dwa razy, gdy będzie pani wygodnie.

Poczuła ukłucie strachu, kiedy jej głowa zaczęła opadać, ale szybko się uspokoiła, stwierdziła bowiem, że nie tonie. Mrugnęła dwa razy i ruch ustał. Beverley unosiła się teraz na powierzchni, a żadna część jej ciała nie stykała się z niczym innym poza ciepłą, słoną wodą. Płynęła w stanie całkowitego odprężenia, którego jej ciało nie znało od czasów, gdy przebywało w łonie matki.

- Dobrze - rzekł Leon. - Wszystko gotowe. Jeśli pani również jest gotowa, proszę mrugnąć dwa razy. Jeśli wpadnie pani w panikę, wystarczy zawołać, a przerwiemy.

Beverley mrugnęła dwa razy.

- Jeśli w którymś momencie będzie pani miała dosyć, wystarczy powiedzieć. Proszę mrugnąć dwa razy, aby potwierdzić.

Beverley znów zamrugowała.

Halogenowe lampy zaczęły gasnąć.

Beverley nigdy przedtem nie znalazła się w takiej ciemności. Jeszcze gorsza była całkowita cisza, bez żadnego dźwięku. Ludzie nierzadko przebywają w ciemności, ale nigdy w całkowitej ciszy. Tylko śmierć przynosi taką ciszę. W życiu towarzyszy nam stale bicie serca, pulsowanie krwi w uszach i świst powietrza w płucach. Tylko w ciszy nocy stajemy się świadomi oddechu i uderzeń serca, które przypominają nam o śmierci. Leon powiedział, czego powinna się spodziewać, ale mimo to nie była przygotowana na tę potworną ciszę. Wiedziała wprawdzie, co się z nią dzieje, to jednak nie pomagało. Ultraczułe mikrofony w komorze przechwytywały nawet najcichsze dźwięki, a ukryte głośniki neutralizowały je, nadając dźwięki o tej samej głośności, lecz przesunięte w fazie. Beverley zacisnęła zęby, ale nawet ten dźwięk został przetworzony przez pomysłowy system akustyczny. Czowała, jak jej zęby napierają na siebie, wyczuwała również uderzenia serca. To jednak było wszystko.

Żadnego dźwięku.

Żadnego światła.

Nicość.

Analogia z łonem matki załamywała się w pewnym punkcie: jej mózg, pozbawiony zmysłowej informacji, gorączkowo szukał porządku i rytmu. Świat zniknął, dlatego ten najbardziej omylny z ludzkich organów starał się zbudować nową rzeczywistość.

Tym właśnie była TVR.

Rozpoczęło się to dziesięć lat temu, kiedy w USA skonstruowano hełmy do symulacji lotów. Generowane przez komputer pejzaże zmieniały się w zależności od tego, w którą stronę pilot odwrócił głowę. Te wczesne prace zaowocowały powodzią hełmów z tanimi gramami. Dzieciaki mogły podłączać te hełmy do swoich konsol i pograżać się w

stereofonicznym, surrealistycznym świecie kosmicznych potworów, lochów i smoków. Beverley grała kiedyś z Carlem w nielegalną grę tego typu dla dorosłych. Oboje założyli groteskowe, plastikowe hełmy. Kiedy spojrzała na siebie, dostrzegła ogromne piersi z pulsującymi sutkami w technikolorze. Niżej widziała napęczniałe, drgające organy płciowe. Kiedy odwróciła głowę w kierunku dźwięku, ujrzała śliniącego się potwora z potężną erekcją. Tego było za wiele dla seksualnego kompleksu winy Beverley. Szybko zdjęła hełm i nie chciała grać dalej pomimo protestów Carla, który twierdził, że oprogramowanie rzeczywistości wirtualnej samo się dopomina o superprocesor w rodzaju Kronosa.

Najnowszym wynalazkiem w tej dziedzinie była komora TVR Leona Dextera.

Straciła poczucie czasu. Mózg, szukając porządku, tchnął nowe życie w obrazy przeszłości. Myślała, że te wyobrażenia odeszły na zawsze: jej pierwsza poważna sympatia, Marshall Tate, i sposób, w jaki włosy opadały mu na czoło. Straszne sceny, których nigdy nie zapomni: kuli się z przerażeniem w przedpokoju, przyciskając do piersi dwuletniego Paula, a rozgniewany, pijany mąż wali we frontowe drzwi. Właśnie zamierzała krzyknąć, kiedy zdała sobie sprawę, że jakiś głos szepcze do niej:

- Uruchamiam zdalne manipulatory laserowe, panno Laine.

Beverley otworzyła oczy i ujrzała w pobliżu swoich rąk dwa świetlne stożki. Tworzyły je nakładające się na siebie promienie lasera o niskiej energii. Promienie te przecinały się, tworząc dziwne, opalizujące, interferencyjne wzory, które ciągle zmieniały kolory, jak światło odbite od płyty kompaktowej. Sześciiany zbliżyły się do jej rąk i opatuliły je jak rękawiczki.

- Proszę poruszyć palcami.

Beverley posłuchała. Cienkie promienie drgnęły i zatańczyły zgodnie z ruchem jej palców.

- Wszystko działa, panno Laine. Uruchomię teraz hologramowe menu z narzędziami. W obecnej chwili aktywne jest tylko jedno narzędzie. Niech się pani posłuży prawą ręką.

W powietrzu nad piersią Beverley pojawiło się hologramowe menu. Wyciągnęła palec, aby wskazać aktywne okienko w menu, i natychmiast w jej dłoni pojawiło się urządzenie przypominające sondę chirurgiczną. Wiedziała, że w rzeczywistości ręka jest pusta, a jednak dziwne narzędzie, stworzone przez komputer, posiadało trzy wymiary. Opalizujące promienie lasera tańczyły na tępej krawędzi sondy.

- Teraz proszę się odprężyć, a za kilka minut wywołam hologram Kronosa - powiedział Leon. - Zrobię to powoli, aby nie przeżyła pani szoku. Proszę dwa razy zamrużyć, jeśli pani zrozumiała.

Człowiek mniejszego formatu błagałby w tym momencie o wypuszczenie z komory, ale

Beverley uzbroiła się w cierpliwość i zamruwała dwa razy. Wróciła ciemność i grobowa cisza. Znowu pojawiły się dziwnie realne wyobrażenia. Potem coś przed nią zamigotało i obrazy przeszłości zniknęły. Beverley czekała i patrzyła. Na szczęście wiedziała, czego ma się spodziewać.

Tak przynajmniej sądziła.

Na początku odnosiła wrażenie, że otaczają ją ciemne, poruszające się pnącza, które kojarzyły się jej z podwodnymi filmami o brunatnicach. Potem w komorze zrobiło się jaśniej i stwierdziła, że pasma morskich glonów były w rzeczywistości strunami ruchowych neuronów Kronosa. Przez interfejs mikroskopu elektronowego generowano hologram prawdziwego Kronosa. Do rzeczywistego mikroprocesora wprowadzono sondę, która odtworzy na poziomie molekularnym każdy ruch jej dłoni. Każdy liść reprezentował jeden bit pamięci. Spróbowała lekko odwrócić głowę, najpierw w lewo, potem w prawo.

Niewidzialne, podczerwone lasery, monitorujące położenie jej głowy, zareagowały i zmodyfikowały trójwymiarowy hologram, tak że wydawało jej się, że znalazła się w samym środku dziwnego lasu. Beverley była pod wrażeniem: oto przebywa w środku Kronosa i obserwuje gołym okiem jego ruchowe neurony! Falowanie liści powodowały ruchy płynu odżywczego, pompowanego przez Kronosa. Liście falowały, gdyż ich konstrukcja była wadliwa. Podniosła głowę i jak w lustrze ujrzała podobną scenę: liście zwisały w dół i kołysały się w strumieniu płynu odżywczego. Sprawnych było zaledwie kilka liści, może jeden na sto. Wyciągnęła rękę z sondą i chwyciła najbliższy neuron. Bez trudu przesuwiała narzędzie wzdłuż proteinowej struny. Dostrzegła pękniętą proteinę i połączyła ze sobą obydwie końce. Natychmiast utworzyło się molekularne złącze i zaczęło pulsować światło.

Naprawiła ruchowy neuron.

Potem zauważyła ciekawe zjawisko, które bardzo zdziwiło Carla i Leona, chociaż działało na ich korzyść. Wyglądało na to, że aktywność naprawionego neuronu zgalwanizowała kilkaset pobliskich komórek, bo one również zeszywniały i utworzyły połączenia. Naprawienie jednej komórki pociągało za sobą samonaprawę wielu.

Co ważniejsze, marzenie o prawdziwej nanoinżynierii, o bezpośrednim manipulowaniu molekułami, stało się rzeczywistością.

- Wystarczy - powiedziała. - Widziałam już dosyć.

Dziwny, wewnętrzny świat Kronosa nagle zniknął. Leon stopniowo włączał halogenowe lampy. Siedząca w wodzie Beverley zamruwała, kiedy światła pojaśniały. Podciągnęła kolana do piersi i rozglądała się w zamyśleniu po błękitnym wnętrzu kapsuły.

- Dobrze się pani czuje, panno Laine?

- Wszystko w porządku - powiedziała Beverley i przycisnęła guzik, otwierający oba włązy. Carl wsadził głowę do kapsuły.

- Co o tym myślisz?

- Fantastyczne. Sześć takich urządzeń, pracujących przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wystarczy, aby uruchomić masową produkcję.

Carl miał wątpliwości.

- To tylko prototyp. Wciąż mamy dużo pluskiew w systemie.

- No cóż, tak się składa, że ta konkretna pluskwa jest zupełnie naga. Czy mógłbyś przynieść mi duży ręcznik?

## 11.

### 1995

Ten rok okazał się punktem zwrotnym dla „Nano Systems”. Dzięki sukcesowi modelu 19 kombajnu zbożowego firmy „Draggon Industries” oraz dalekowzrocznym planom Beverley zyski zaczęły rosnać.

Okazało się, że Beverley posiada nie tylko żyłkę do interesów, ale umie również realizować własne cele przy maksymalnym wykorzystaniu ludzkiego potencjału, zyskując przy tym coraz większy szacunek pracowników. Rzadko wydawała rozkazy - raczej zachęcała, namawiała, a od czasu do czasu uciekała się do pochlebstw. Często łagodziła konflikty. Polecenia wydawała tylko wówczas, gdy pojawiało się jakieś zagrożenie dla firmy „Nano Systems”. Rzadko wpadała w gniew, ale kiedy do tego dochodziło, skrupulatnie wykonywano jej rozkazy. Jediną słabą stroną nowej szefowej była niechęć do masowej produkcji i masowego wykorzystania Kronosa.

W tym roku stoczyła poważną batalię z Theo Draggonem i jego bankiem. Dzięki nowej technologii, opracowanej przez Leona Dextera, Kronos uzyskał fenomenalne zdolności pamięciowe, Draggon doszedł więc do wniosku, że „Nano Systems” powinna udzielać innym fabrykom licencji na produkcję mikroprocesora. Twierdził, że powszechna dostępność i niska cena Kronosa sprawi, że nikomu nie opłaci się produkować klonów.

Beverley podejrzewała, że Draggonowi chodzi w rzeczywistości o szybki wzrost wartości posiadanych udziałów. Była przekonana, że „Nano Systems” powinna zachować pełną kontrolę nad Kronosem. Masowe udostępnienie mikroprocesora mogłoby polepszyć sytuację finansową przedsiębiorstwa, ona jednak marzyła, że firma stanie się w przyszłości przemysłowym gigantem, takim jak Philips i Toshiba, i nie wahała się do tego przyznać.

- Nigdy im nie dorównasz - oświadczył Draggon na szczególnie burzliwym posiedzeniu zarządu. - Te firmy dotarły do masowego odbiorcy. „Nano Systems” to mała, specjalistyczna spółka. W jej ręce wpadł przypadkiem bezcenny towar, tymczasem ona uparcie nie chce z tego skorzystać.

Stanowisko Beverley przesądziło wprawdzie o wyniku głosowania, jednakże nigdy przedtem nie odniosła tak nieznacznego zwycięstwa. Po raz pierwszy od chwili, w której zaczęła pełnić obowiązki dyrektora, doszło do rozłamu w zarządzie.

- Draggon ma rację, Bev - powiedział Carl po posiedzeniu. - Trafia nam się szansa zarobienia milionów.

- Sądzisz więc, że powinniśmy dopuścić obce firmy do produkcji?

- Nie - odrzekł poważnie Carl. - Czas jednak wrócić do mojego projektu nanonotesu.

Beverley patrzyła na dokumenty, leżące na stole w sali konferencyjnej.

- Kiedyś ten pomysł bardzo ci się podobał - przypomniał Carl.

- To jednak znaczy, że mądrale w Korei i na Tajwanie będą mieli do dyspozycji setki Kronosów.

Carl westchnął.

- Bev, wciąż ci powtarzam, że stoisz na straconej pozycji. Proszę, wysłuchaj mnie. Dzisiaj uzyskałaś zaledwie pięć głosów. Od czasu do czasu ta kwestia będzie stawać na wokandzie, gdyż bank dostrzega szansę zarobienia dużych pieniędzy. Musisz się też spodziewać nacisków ze strony przemysłu i rządu. W końcu przegrasz.

- Opracowanie sprawnego prototypu pochłonęłoby zbyt wiele twojego czasu, Carl. Spółka nie może sobie na to pozwolić.

Carl zawahał się, nie wiedząc, jak Beverley zareaguje na to, co miał do powiedzenia.

- Prototyp jest już gotowy, Bev - przyznał. - Postarałem się, aby nie zaniechano prac.

- Przecież ekran był do niczego!

- W prototypie wykorzystaliśmy nowy ekran o wysokiej rozdzielczości, wyprodukowany przez Toshiba.

- Czy oni zgodziliby się zostać naszym dostawcą?

- Tak. - Carl pochylił się ku niej. - Posłuchaj, Bev - powiedział poważnie. - Z moich analiz wynika, że nadeszła odpowiednia chwila, aby wprowadzić na rynek nowy przenośny komputer, tak rewolucyjny jak nanonotes. Jeśli natychmiast zaczniemy działać, wkrótce cały świat wydepcze ścieżkę do naszych drzwi. Nie zapominaj, że przed wykupem sama chciałaś wprowadzić firmę na rynek.

Beverley zrozumiała, że Carl zrećnie przyparł ją do muru. Musi ustąpić. W

przeciwnym razie straci jego poparcie i będzie skończona jako szefowa „Nano Systems”. Robiło jej się słabo, kiedy myślała o utracie kontroli nad ukochaną firmą.

- No dobrze, przypuśćmy, że zaczniemy produkować nanonotesy. Czy moglibyśmy zainstalować Kronosa na stałe, tak aby nie dało się go wyjąć z komputera?

Carl zastanowił się.

- Pewnie. Można go przymocować bezpośrednio do głównej konsoli i zalać całość syntetyczną żywicą. Zainstalujemy również oprogramowanie, które w przypadku podejrzanych manipulacji doprowadzi do samozniszczenia urządzenia. Jediną widoczną częścią mikroprocesora byłaby wówczas bateria słoneczna.

Beverley skapitulowała.

- Niech będzie. Tak właśnie zrobimy. Oto kompromis w dobrym, brytyjskim stylu. Zachowamy jednak nad wszystkim pełną kontrolę. Sami wyprodukujemy nanonotes i wykorzystamy przy tym tyle gotowych, zakupionych części, ile się da. Sami zapakujemy, rozreklamujemy i sprzedamy urządzenie. Od początku do końca będzie to nasza wewnętrzna operacja.

## 12.

Jesienią 1995 roku wyprodukowano pierwszą setkę nanonotesów Carla. Zaledwie trzy z próbnej partii nie sprawdziły się podczas badań. Fakt, że „Nano Systems” stara się wejść na rynek elektroniki użytkowej, wzbudził znaczne zainteresowanie. Ponad stu dziennikarzy i kilka ekip telewizyjnych zgromadziło się w recepcji hotelu, czekając na oficjalne rozpoczęcie produkcji nowego urządzenia. Od pewnego czasu krążyły plotki o nowym, cudownym, przenośnym komputerze.

- Głównym procesorem we wszystkich naszych produktach będzie Kronos - wyjaśnił Carl zgromadzonym. - Ma on jeden gigabajt pamięci, a mimo to, jak widzicie, nie jest większy od karty do gry. - W pakiecie, rozdany dziennikarzom, znajdował się nie działający mikroprocesor. - W jednym Kronosie zmieści się cała „Encyklopedia Britannica” i zostanie jeszcze miejsce na „Słownik oksfordzki”. Prawdę mówiąc, w najbliższej przyszłości planujemy wypuszczenie na rynek kieszonkowej „Britannica” i kieszonkowego słownika, obecnie jednak można używać nanonotesu jako bazy danych, potężnej bazy danych. - Carl podniósł nanonotes. - Na przykład w tym urządzeniu, zamówionym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, znajdziecie nazwiska i adresy wszystkich zarejestrowanych właścicieli pojazdów mechanicznych w Wielkiej Brytanii. Następna wersja będzie zawierała dane



dotyczące każdego pojazdu we Wspólnocie Europejskiej.

Jeden z dziennikarzy zadał kłopotliwe pytanie.

- Mieliście problemy związane z małą ilością sprawnych ruchowych neuronów, panie Olivera. Jaki procent neuronów działa obecnie w waszych urządzeniach?

- Jeśli dostarczymy komuś Kronosa o pamięci pół gigabajta, to gwarantujemy, że klient nie dostanie mniej niż pół gigabajta - odrzekł spokojnie Carl. - Jeśli zaś dostarczymy gigabajtowego Kronosa klasy A, to zapewniam was, że jego pamięć będzie miała wielkość dokładnie jednego gigabajta.

- Z całym szacunkiem, panie Olivera, nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Doszliśmy do dziesięciu procent - odrzekł Carl. - Dziewięćdziesiąt dziewięć procent neuronów w każdym mikroprocesorze nie rozwija się z powodu zanieczyszczeń substancji odżywczej. Dzięki technologii rzeczywistości wirtualnej udaje nam się odzyskać dziesięć procent. Pod koniec stulecia uzyskamy już dwadzieścia procent, a wówczas będziemy oferować naszym klientom dwugigabajtowego Kronosa: Zeusa.

Na dziennikarzach zrobiło to wrażenie. Tydzień później pojawiły się reklamy nowego urządzenia. Beverley nie miała ochoty tracić czasu na organizowanie sieci dystrybucyjnej i opowiedziała się za bezpośrednią sprzedażą przez zamówienia pocztowe. Cena była niebagatelna, ale entuzjastyczne artykuły w prasie gwarantowały wysoki popyt.

Hasło reklamowe Beverley „Mikroprocesor, którego nie kupi się za żadne pieniądze” okazało się skuteczne. Po trzech miesiącach sprzedawali dziesięć tysięcy komputerów miesięcznie w całej Europie. Firma przejęła kilka spółek w okolicy Chichester i wykorzystwała ich zdolności produkcyjne, aby dotrzymać kroku popytowi. Dzięki sprzedaży wysyłkowej do „Nano Systems” bez przerwy napływały pieniądze. Prywatni klienci, pragnący jak najszybciej dostać do ręki nowe urządzenie, odkryli główną siedzibę spółki w Fontwell Business Park.

W ostatnią sobotę tego roku Beverley zaparkowała nowy samochód na służbowym parkingu i musiała przeciskać się przez kolejkę, która ustawiła się przed punktem sprzedaży, zorganizowanym przez Petera Dancera. Zatrzymała się na schodach, prowadzących do biura, i spojrzała w dół na przepychających się klientów. Spełniła się przepowiednia Carla: świat zaczął wydeptywać ścieżkę do drzwi „Nano Systems”. Wraz ze światem nadpłynęły rekiny, zwabione zapachem wielkich pieniędzy.

**13.**

**1996**

Różnica pomiędzy propozycją Huberta Schnee a trzema innymi ofertami, odrzuconymi tego roku przez Beverley, polegała na tym, że Szwajcar chciał dać dwadzieścia ecu za akcję. Jego oferta była więc najbardziej kusząca, a zatem najbardziej niebezpieczna.

- Proponujemy trzydzieści milionów funtów za firmę, którą moi szefowie wycenili na dziesięć milionów - rzekł Schnee, przemawiając na posiedzeniu zarządu, zwołanym przez Beverley. Mówił nienaganną angielszczyzną, wyniesioną ze szwajcarskich szkół. Starannie wymawiał każdą samogłoskę i spółgłoskę. Uśmiechnął się z pewnością siebie i położył pulchne dłonie na zielonym obiciu stołu konferencyjnego, tak aby każdy mógł zobaczyć jego pierścienie.

- Kto dokonał wyceny? - spytał Jack Pullen.

- Renomowana firma z City - odparł krótko Schnee.

- Tyle właśnie będzie wynosił pod koniec wieku roczny obrót naszego przedsiębiorstwa - rzekła Beverley. - W tym świetle wasza oferta nie wydaje się zbyt korzystna.

Schnee w dalszym ciągu się uśmiechał.

- Powinniście się jednak nad nią zastanowić, panno Laine - odrzekł gładko.

- Zastanowiliśmy się, panie Schnee. Odpowiedź brzmi: nie.

Przez chwilę Schnee stracił panowanie nad sobą i Beverley dostrzegła niepokój w jego spojrzeniu. Jednakże po kilku sekundach znów uśmiechnął się szeroko.

Stuart Dell chrząknął uprzejmie. Beverley domyśliła się, co teraz nastąpi, i przez chwilę żałowała, że nie sprzeciwiła się bardziej stanowczo dopuszczeniu przedstawicieli banku do rady nadzorczej. Nigdy nie wątpiła, że bankierom puszcza nerwy, kiedy ktoś pomacha dużymi pieniędzmi przed ich nosami.

- Sądzę, że powinniśmy przedyskutować ofertę pana Schnee wymruczał bankier.

- To pańskie zdanie - odparła cierpko Beverley. - Nie mamy jednak u was żadnych długów, panie Dell. Szkoda czasu. Naszą odpowiedzią jest grzeczne, lecz stanowcze: nie.

Stuart Dell zachował spokój.

- Nie jest pani trochę zbyt despotyczna, panno Laine?

- Nie.

- Powinniśmy to przedyskutować - zauważył Theo Draggon, który zapalił cygaro, ignorując zakaz palenia wprowadzony przez Beverley.

Szukając poparcia, Beverley zwróciła się do Carla.

- Co sądzi nasz wiceprezes?

- Udzielimy oczywiście odmownej odpowiedzi - rzekł Carl. - Powinniśmy jednak to przedyskutować. Wówczas pan Schnee będzie mógł zawieźć naszą decyzję swym

tajemniczym pryncypałem, wiedząc, że podjęła ją większość.

W razie potrzeby Beverley umiała ustąpić.

- Dobrze - powiedziała. - Przedyskutujemy to. Panie Schnee, czy zechciałby pan poczekać w moim biurze? Sekretarka zajmie się panem.

Szwajcar wstał, uklonił się i opuścił salę.

- No dobrze - powiedziała szybko Beverley, kiedy drzwi się zamknęły. - Nic nie wiemy o Hubercie Schnee poza tym, że jest Szwajcarem. O jego zleceniodawcach wiemy zaś tylko tyle, że to Europejczycy. Nie podoba mi się to. Coś tu nie gra. Czy ktoś podziela moją opinię?

Batalia skończyła się, zanim zdążyła na dobre się rozpocząć. Beverley przeciągnęła niezdecydowanych na swoją stronę, stwierdzając, że w przyszłym stuleciu „Nano Systems” będzie warta miliardy, a nie miliony. Dziesięć minut później odbyło się głosowanie. Tylko Theo Dragon i jego bank opowiedzieli się za kontynuowaniem negocjacji z Schnee. Beverley wezwała Schnee z powrotem do sali konferencyjnej.

- Panie Schnee, znakomicie mówi pan po angielsku.

Szwajcar uklonił się ze zdziwioną miną.

- Dziękuję, panno Laine. W moim kraju wierzymy, że lepiej mówimy po angielsku niż większość Anglików.

- Dobrze - odrzekła krótko Beverley. - Zrozumie pan zatem, o co mi chodzi, kiedy powiem, że pańscy zleceniodawcy mogą się podetrzeć tą ofertą.

Przez chwilę Beverley znów widziała strach w spojrzeniu Szwajcara.

- Stajesz się arogancka, Bev - zauważył Carl po zamknięciu posiedzenia. Opierał się o parapet i patrzył w dół na jasno oświetlony parking. - Wystarczyłoby grzeczne „nie”. Nie warto robić sobie wrogów.

- Nie obchodzi mnie to - odrzekła Beverley, chowając dokumenty do teczki. - Ten facet to pęta. Jeśli chce być moim wrogiem, to jego sprawa. Skoro już o tym mowa, dlaczego mnie nie poparłeś?

Carl zrobił zmartwioną minę.

- Poparłem. Głosowałem przeciwko przyjęciu oferty.

- Pytam, dlaczego chciałeś o tym dyskutować.

- Wszyscy tego chcieliśmy, Bev. Zapominasz, że jesteśmy radą kierowników, a nie gromadką twoich...

- Nie gromadką twoich potakiewiczów - dokończyła Beverley, bo słyszała już wcześniej ten argument. - Wiedziałam, czego chce zarząd, dlatego uznałam, że nie warto o

tym dyskutować. No dobrze, wy, mężczyźni, potrzebujecie swoich małych rytuałów, ale to strata czasu i pieniędzy.

- Nazywa się to demokracją - rzekł z roztargnieniem Carl, patrząc na parking.

Beverley zapięła teczkę.

- Jestem wściekła, że Theo Draggon głosował za przyjęciem oferty. Po bankierach nie spodziewałam się niczego innego, ale Theo...

- Dostrzegł szansę zarobienia dużych pieniędzy - stwierdził Carl.

- Firma nie interesuje go tak bardzo jak nas. Chce tylko otrzymywać dostawy Kronosów. - Dzięki Bogu, że kierownikom przysługuje prawo pierwokupu jego udziałów - powiedziała Beverley. - Jeśli rzeczywiście chce się ich pozbyć, powinniśmy złożyć mu ofertę. Wolałabym, żeby jego udziały nie wpadły w niepowołane ręce. Doszłam do wniosku, że ufam Theo Draggonowi nie bardziej niż temu pęťakowi Schnee.

- Ciekawe, z kim rozmawia.

- Kto?

- Schnee. Wciąż siedzi w samochodzie. Zdaje się, że ktoś go zdenerwował.

Beverley podeszła do Carla i spojrzała w tym samym kierunku. Inni kierownicy już poszli. Schnee siedział w białym audi, rozmawiając przez telefon. Światła lamp padały prosto na jego pucołowatą twarz. Szwajcar nie wiedział, że ktoś go obserwuje, i nie starał się ukrywać swoich uczuć. Wolną ręką ścisnął kurczowo kierownicę i kręcił się na fotelu jak ryba, złapana na haczyk. Wyglądał na przestraszonego. Właściwie było to coś więcej niż strach.

Jego twarz zdradzała bezgraniczne, nieopanowane przerażenie.

## 14.

Beverley przycisnęła hamulec, ale było już za późno: ferrari dino otarło się z trzaskiem o jej BMW. Szkło i plastik posypały się na podjazd, prowadzący do Fontwell Business Park. Oba samochody zjechały na pobocze.

Beverley zaklęła. Był to jeden z gorących, dusznych dni, podczas których nic się nie udawało. O 16:00 miała już dosyć. Nie czekały jej żadne spotkania, nie miała żadnych pilnych spraw, postanowiła więc wcześniej pojechać do domu. Cieszyła się, że tak jak zwykle pobiega po plaży, a później popływa. A teraz to: jakiś idiota wyjechał z pobocza prosto na nią.

Rozpięła pas bezpieczeństwa, który w momencie zderzenia automatycznie zacisnął się

na jej ramionach, i wyskoczyła z samochodu. Uszkodzenie było nieznaczne, wystarczyło jednak, żeby podeszła do drugiego samochodu i gniewnie postukała w dach.

- No dobra - powiedziała, kiedy tylko opuściło się okno od strony kierowcy. - Miał pan pierwszeństwo, ale zamrugał pan światłami, dlatego skręciłam.

- Na pewno nie włączyłem świateł - odrzekł spokojnie kierowca. Ferrari to niski samochód, Beverley nie widziała więc jego twarzy, ale nie miała zamiaru się pochylać. - Chciałem właśnie zatrzeć, ale pani zajęła mi drogę.

- Włączył pan światła! - zaprotestowała Beverley, zbyt rozgniewana, aby zauważyć, że jego głos brzmi znajomo. - Na miłość boską, zaparkował pan na poboczu, mógł więc pan chwilę poczekać!

Kierowca ani drgnął.

- Niewykluczone, że kiedy sięgałem do klaksonu, przypadkowo włączyłem światła - przyznał. - To pani jednak powinna poczekać. Skręciła pani prosto przede mną.

- Pański samochód mrugnął światłami dwa razy!

Drzwi otworzyły się. Szczupłe ciało kierowcy wydostało się bez trudu z niskiego samochodu. Miał na sobie świetnie skrojony, lekki garnitur z ciemnymi kieszeniami. Beverley spojrzała w roześmiane, błękitne oczy. Przez chwilę czuła się zdezorientowana, a potem miała wrażenie, że otworzyła się pod nią zapadnia prowadząca do świata, w którym rzeczywistość stała na głowie.

- Może oślepiło panią słońce? - spytał kierowca. - Widziałem, że odbijało się w pani szybie.

- Matt Tate... - wymruczała cicho. - Jezu Chryste, nie wierzę własnym oczom.

Mężczyzna miał ponad czterdzieści lat. Odgarnął kosmyk jasnych włosów, który opadł mu na czoło.

- Przepraszam... wygląda na to, że ma pani nade mną przewagę.

Uśmiechał się uprzejmie, ale nawet po trzydziestu latach jego oczy przyciągały jak magnes spojrzenie Beverley. Słyszała szum w uszach, kiedy odezwała się:

- Jestem Beverley Laine. Pamiętasz mnie, Matt?

## 15.

Beverley oparła głowę o fotel BMW i doszła do wniosku, że nie warto próbować uporządkować myśli. Po przeciwnej stronie drogi czarne ferrari Marshalla Tate'a błyszczało w słońcu. Kierowca podniósł szybę, ale przez przyciemniane szkło dostrzegła zarys jego

twarży. Wiedziała, że jej się przygląda, i nie pomagało jej to uspokoić wzburzonych nerwów. Podniosła słuchawkę i dwa razy źle wykręciła numer sekretarki.

- Jenny - powiedziała, kiedy uzyskała połączenie. - Tu Bev.

- Panna Laine? - spytała Jenny. - Co się stało?

*Och, do diabła! Wystarczy, że powiem parę słów, a ona od razu wie, że oś jest nie tak.*

- Miałam drobny wypadek przed wjazdem na parking...

- Nic pani nie jest?

- Wszystko w porządku. To tylko mała stłuczka.

- Ma pani zmieniony głos. Wyjdę...

- Czuję się świetnie! - ucięła Beverley. - W mojej szufladzie leżą zapasowe kluczyki. Czy pani lub ktoś inny mógłby zabrać mój samochód? Zaparkuję przed Stenning Farm. Ktoś mnie podwiezie.

- Czy samochód nadaje się do użytku?

- Oczywiście, w przeciwnym razie bym o to nie prosiła!

- Ale...

- Bardzo proszę, żeby wykonała pani polecenie bez zadawania tylu głupich pytań! - Beverley rozłączyła się i natychmiast pożałowała, że krzyczała na Jenny. Przez chwilę miała ochotę zadzwonić i przeprosić, ale wówczas musiałaby wyjaśnić coś, czego nie potrafiła wytłumaczyć.

Chciała wyjąć lusterko i poprawić makijaż, ale obserwował ją Marshall Tate i od razu zauważyłby, że ręce jej drżą. Wysiadła z samochodu i była już w połowie drogi, kiedy uświadomiła sobie, że zapomniała zamknąć drzwi. Wróciła do BMW, wyjęła kluczyk, ale upuściła go na trawę. Podniosła go, zamknęła samochód i stwierdziła, że musi jeszcze raz wykonać wszystkie te czynności, gdyż zostawiła w środku torebkę.

*Na miłość boską, opanuj się, Bev. Zachowujesz się jak uczennica na pierwszej randce!*

Nie mogła się jednak opanować. Spotkali się zaledwie kilka minut temu, a mimo to ten dziwny człowiek uzyskał już nad nią taką samą władzę jak dawniej, kiedy miała kilkanaście lat. Oczywiście różnica polegała na tym, że jest teraz pewną siebie, dojrzałą kobietą, a nie naiwną dziewczyną, chętnie eksperymentującą z każdym nowym doświadczeniem. Niestety, czuła się właśnie jak młoda dziewczyna. To wszystko było tak cholernie głupie.

Kiedy zbliżyła się, Marshall wysiadł i z uśmiechem otworzył przed nią drzwi. Zanim zamknął, troskliwie odsunął jej spódnicę, muskając przy tym jej udo. Beverley miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

- No cóż - powiedział Marshall, patrząc na zegarek. - Wpół do piątej to paskudna pora.

Za wcześnie na obiad, a wszystko jest zamknięte. Mamy sobie wiele do powiedzenia, może więc znajdziemy jakąś kafejkę? Przypomnimy sobie młodość. Pamiętasz bar „U Sama”?

Beverley poczuła się okropnie, wyobrażając sobie, jak rozmawia z Marshalllem Tate'em, ze wszystkich sił stara się opanować, a wokół przepychają się kierowcy ciężarówek. Nagle poczuła się słaba i samotna, miała ochotę znaleźć pocieszenie w znajomym otoczeniu.

- Możemy pojechać do mnie - zaproponowała. - Mam domek na plaży. Okna wychodzą na południe, ale w takim dniu jak dzisiaj zachód słońca będzie bardzo piękny. - Przerwała nagle, gdyż zdała sobie sprawę, że mówi tylko po to, aby mówić.

Wydawało się, że Marshall nie dostrzega jej zakłopotania. Zachichotał i włączył silnik.

- Bev, takiej propozycji nie oparłby się żaden mężczyzna. Nie przeszkadza ci chyba, że znów cię nazywam Bev?

- Nie - odrzekła Beverley. - Wcale mi to nie przeszkadza.

## 16.

- Miło tu - powiedział Marshall Tate, podziwiając widok plaży z okna salonu Beverley.

Korzystając z tego, że odwrócił się tyłem, Beverley szybko wcisnęła pod poduszkę kilka starych gazet.

- Prawdę mówiąc, domek nie jest mój. Wynajęłam go i zastrzegłam sobie możliwość kupna.

- Kup go, Bev - rzekł Marshall. - Piękny widok jest ważniejszy niż dom. Dom zawsze można przebudować, ale nie uda ci się udoskonalить widoku. Proszę, nie przejmuj się bałaganem. Powinnaś zobaczyć moje mieszkanie.

Gdyby ktokolwiek inny wspomniał o bałaganie, Beverley obraziłaby się. Teraz jednak się roześmiała.

- Nie uda ci się udoskonalить widoku - powtórzyła. - Tak. Nie pomyślałam o tym. Dobra, praktyczna rada biznesmena, któremu się powiodło.

- Wygląda na to, że ty również nieźle sobie radziłaś - zauważył Marshall, siadając na jednym z foteli i wyciągając swoje długie nogi.

Beverley często widywała Marshalla w telewizji, głównie podczas gorących debat na temat filmów, nadawanych w jego satelitarnym programie Elite. W trakcie tych audycji zauważała przede wszystkim jego arogancję i pewność siebie. Trudno jej było pogodzić te wrażenia ze wspomnieniami o nastolatku, z którym spędziła dzieciństwo. Te wspomnienia obudziły się jednak, kiedy patrzyła, jak Marshall Tate przygląda się jej z leniwym

półśmiechem. Ustąpiło zdenerwowanie, które ogarnęło ją na początku spotkania. Zanim dojechali do bungalowu w Elmer Sands, przez trzydzieści minut słuchała, jak Marshall opowiada z ożywieniem o swej karierze w roli producenta, a ostatnio właściciela stacji satelitarnej. Bardzo ją ożywiła ta opowieść. Za odwagą i inicjatywą Marshalla kryła się ślepa ambicja, dla której nie istniały żadne przeszkody. Produkował programy i walczył o czas antenowy z ostrożnymi przedstawicielami przemysłu telewizyjnego, noszącymi szare garnitury, którzy nie mieli pojęcia, czego naprawdę chce publiczność. Kiedy uruchomiono serię satelitów Astra, skorzystał z okazji ominięcia całego systemu, wynajął transponder i założył własną stację telewizyjną.

- Załatwiłem ich wszystkich, Bev - powiedział, klepiąc radośnie kierownicę. - Załatwiłem rząd, ITC, BBC, Radę do Spraw Hazardu, całą tę cholerną paczkę. Każdy Europejczyk może oglądać nadawane u mnie reklamy, bo na moim kanale reklamom towarzyszy teletekst w sześciu językach, jak na Filmnecie. Załatwiłem tych pętaków z europejskiego przemysłu telewizyjnego, gdyż mój system nadawania dostosowany jest do szerokoekranowych odbiorników Sony. Widziałas kiedyś mój program na szerokim ekranie?

Beverley odpowiedziała, że nie, ale oglądała u kolegi telewizyjną ruletkę, nadawaną w weekendy.

- Dam ci telewizor. Ta ruletka to nic specjalnego, ale padniesz z wrażenia, kiedy obejrzysz film na szerokim ekranie.

Usadowił się wygodnie na fotelu, ale nie wyglądał na odprężonego. Beverley wyczuwała emanujące z niego intensywne napięcie. Nagle poderwał się, klasnął i ruszył do kuchni.

- Chodź, Bev. Zrobię kawę.

- Ja zrobię - odrzekła, idąc za nim.

- Zróbmy ją razem, Bev. Nie znoszę czekać. - Uśmiechnął się sympatycznie. - Na pewno przygotowałybyś prawdziwą kawę w chińskich filiżankach. Wystarczy kubek rozpuszczalnej.

Usiedli na twardych taboretach przy ladzie śniadaniowej. Gadali całymi godzinami. W tym nieformalnym otoczeniu zapomnieli o rezerwie, co z pewnością by się nie stało, gdyby siedzieli w salonie w odległości kilku metrów od siebie.

Beverley stwierdziła ze zdziwieniem, że opowiada bez skrępowania o nieudanym małżeństwie, o synu Paulu - teraz już żonatym mężczyźnie i współniku w agencji handlu nieruchomościami. Przyznała się nawet, że przykro jej z powodu zbyt rzadkich odwiedzin Paula. Nie wspomniała jednak o listach, jakie pisała do Marshalla Tate'a wkrótce po



narodzinach syna, kiedy była w depresji. Czas uleczył rozpacz, która ją ogarnęła, gdy nie otrzymywała odpowiedzi. Nie chciała, aby coś popsulo urok tego spotkania.

Marshall wypił piąty kubek kawy i spojrzął na zegarek.

- Hej, popatrz tylko, Bev. Przegadaliśmy wiele godzin. Jutro wyjeżdżam do Luksemburga, powinienem więc wrócić do domu i trochę się przespać.

- Do Luksemburga?

Marshall uśmiechnął się.

- Nudne, prawda? Czy kiedykolwiek w Luksemburgu wydarzyło się coś interesującego? Kiedyś załatwiałem wszystkie sprawy z mojego studia w Londynie, ale to się skończyło po awanturze z BT.

- Wspaniale, że znów się spotkaliśmy - powiedziała z uczuciem Beverley.

Marshall uśmiechnął się.

- Od wielu lat nie przydarzyło mi się nic tak cudownego, jak to, że dziś się zgubiłem i zjechałem na to pobocze, żeby zajrzeć do planu miasta.

Beverley odwzajemniła uśmiech.

- Przyznajesz więc, że to była twoja wina?

Wyciągnął rękę i dotknął kosmyka włosów nad jej uchem. Gest był tak naturalny, że Beverley nie starała się cofnąć głowy, choć lekki dotyk jego palców bardzo ją poruszył.

- Zwykle nigdy nie przyznaję się do błędów. W twoim przypadku zrobię jednak wyjątek. Czas potraktował cię łagodnie. Jesteś taka sama jak wówczas, kiedy filmowałem cię tą starą, zabawną kamerą...

- Wciąż to masz?

- Kamere?

- Nie, głuptasie. Film.

- 'Och, tak. Nigdy się z nim nie rozstanę. Przyniosę ci czek na pokrycie kosztów wypadku.

- To niepotrzebne, Matt. Naprawdę.

- 'Chcę to zrobić, Bev. Mam teraz pretekst, żeby znów się z tobą spotkać.

- Przyciągnął Beverley do siebie, ujął jej twarz w dłonie i pocałował lekko w policzek. - Muszę już iść. Zadzwoń, kiedy tylko wrócę z Luksemburga.

## 17.

Następnego dnia Beverley nie mogła skoncentrować się na pracy. Wciąż przypominała

sobie wczorajszą rozmowę. Trudno jej było uwierzyć, że naprawdę spędziła wieczór z Marshalllem Tate'em. Wątpliwości się rozwiały, kiedy po powrocie do domu znalazła duży bukiet czerwonych róż.

Następnego dnia była sobota. Właśnie sprzątała bungalow, gdy rozległ się alarm, sygnalizujący, że ktoś wszedł na teren posesji. Chwilę później zadzwoniono do drzwi. Dwaj mężczyźni upierali się, że to nie pomyłka: ogromny, szerokoekranowy telewizor Sony przeznaczony jest dla niej, podobnie jak odbiornik Astry i antena satelitarna. Za wszystko zapłacił kanał Elite.

Beverley oświadczyła, że nie przyjmie takiego prezentu, dostawcy stwierdzili jednak, że nie mogą go zabrać i zainstalują szybko antenę, nie sprawiając żadnych kłopotów.

Kiedy poszli, Beverley usiadła przed onieśmielającym ekranem o szerokości jednego metra i badała pilota, na którym było chyba więcej klawiszy niż w pianinie. Włączyła program Marshalla Tate'a. W weekendy bez przerwy nadawano ruletkę. Od czasu do czasu na ekranie pojawiał się londyński numer telefonu oraz reklama zachęcająca widza, aby zadzwonił, zarejestrował numer swojej karty kredytowej i zgłosił zakład. Nic dziwnego, że przez te wszystkie lata prasa często pisała o kłopotach Marshalla Tate'a z prawem obowiązującym w różnych krajach Wspólnoty Europejskiej, dotyczącym gier hazardowych. Patrząc na obracające się koło ruletki, Beverley zaczęła doceniać, jak wielkim wstrząsem dla europejskiego establishmentu były nie cenzurowane filmy i gry hazardowe Marshalla Tate'a. Boże, jak oni muszą go nienawidzić.

Czuła podekscytowanie, kiedy pomyślała, że nie bez powodu zainteresowała się kiedyś tym człowiekiem. Podobnie jak ona, Tate również wierzył, że należy przejmować inicjatywę.

Zadzwonił telefon. Był to Marshall. Kiedy zaczęła protestować, że nie może przyjąć telewizora, przerwał jej i zapytał, czy może ją gdzieś zabrać dziś wieczorem.

- Pokażę ci moje małe przedsiębiorstwo w Woolwich - rzekł wesoło.
- Brzmi to tak romantycznie, Matt. Jakże mogłabym odmówić?
- Wpadnę do ciebie o siódmej - obiecał Marshall.

Kiedy Beverley odłożyła słuchawkę, zdała sobie sprawę, że czuje coś więcej niż podekscytowanie, i bardzo ją to zaniepokoiło. Lata niezależności przyniosły jej stabilizację, wiedziała bowiem, że w pełni panuje nad swoim życiem. Nikomu nie ufała i nikogo nie potrzebowała. Dzięki temu czuła się bezpieczna. Teraz, po jednym krótkim spotkaniu z Marshalllem Tate'em, zachwiała się ta emocjonalna równowaga.

Wieczorem, kiedy czarne ferrari uruchomiło dzwonek alarmu, nagle bicie serca powiedziało jej, że martwiła się nie bez powodu. Obawy jednak zniknęły, gdy otworzyła

drzwi i ujrzała go na progu.

## 18.

Studio Matta w North Woolwich było fascynujące. Kiedy Beverley obejrzała kabiny do edycji kaset i dysków wideo, Marshall zabrał ją do dawnego magazynu, w którym obecnie znajdowała się centrala, obsługująca telewizyjną ruletkę w Zjednoczonym Królestwie. Stali na balkonie i przyglądali się setkom dziewcząt, siedzących przy terminalach i przyjmujących zakłady przez telefon. Palce dziewcząt śmigały po klawiaturze, a one mówiły bez przerwy, powtarzając informacje dotyczące zakładów oraz numery kart kredytowych. Na końcu sali widniał ogromny ekran, pokazujący koło ruletki.

- To zdumiewające - powiedziała Beverley. - Najbardziej dziwi mnie jednak to, że spółki, wydające karty kredytowe, zgodziły się, żeby wykorzystywać ich produkty do uprawiania hazardu.

Marshall zachichotał.

- Na początku wcale im się to nie podobało. Płacę im jednak jeden procent więcej, niż wynosi standardowa prowizja. Wiedzą również, że gdyby się nie zgodzili, wszedłbym na rynek z własnymi kartami. Wprowadziliśmy różne zabezpieczenia, aby ludzie nie przekroczyli stanu swoich kont.

- Jeśli jednak przyjmujecie pieniądze tutaj, w kraju, to właśnie tu uprawia się gry hazardowe, czy tak?

Marshall pokręcił głową.

- Podobne placówki znajdziesz w całej Europie: w Paryżu, Amsterdamie, Rzymie. Informacje o wszystkich transakcjach przesyłamy do Monte Carlo i tam odbywają się rozliczenia. Z prawnego punktu widzenia tam właśnie przyjmuje się zakłady.

- Obraz koła ruletki generuje komputer?

- Tak. Co o tym myślisz?

Beverley zasypywała Marshalla pytaniami, a on odpowiadał z rozbrajającą szczerością. W końcu zreflektowała się.

- Do diabła, myślisz pewnie, że jestem okropnie wścibska.

Objął ją.

- Cieszę się, że ktoś zadaje sensowne pytania, Bev. Jeszcze bardziej się cieszę, że tą osobą jesteś właśnie ty. Zjedźmy coś, a potem pokażę ci coś jeszcze.

## 19.

Kiedy tylko otworzyły się drzwi windy, widok Londynu z klimatyzowanego apartamentu Marshalla Tate'a na najwyższym piętrze Graving Dock Tower zaparł Beverley dech w piersi. Stała na marmurowej podłodze i patrzyła przez panoramiczne okno na miliony światełek metropolii. Zauważyła kopułę katedry św. Pawła, Telecom Tower, a niżej jasno oświetlone jachty, kołyszące się w przystani, która kiedyś pełniła rolę suchego doku.

- Robi wrażenie, prawda? - spytał Marshall, stając obok niej.

- To mało powiedziane. - Beverley spojrzała na niego. - Czy dzielisz to z kimś, Matt? Czy jest ktoś, kto mógłby tu wpaść i niechętnie ustosunkować się do tego, że odnawiamy niewinną szkolną znajomość?

Marshall podszedł do barku, zrobionego z takiego samego marmuru jak podłoga.

- Nikt tu nie przyjdzie, Bev. Masz mnie tylko dla siebie. - Duży korek wyskoczył z butelki i odbił się od sufitu.

Beverley nie odpowiedziała. Siedziała na sofie, pokrytej najmniejszą skórą, jaką kiedykolwiek widziała, i patrzyła na wspaniałe pomieszczenie. Żałowała, że nie ma na sobie niczego mniej oficjalnego niż marynarka i spódnica. Jednakże gdyby od razu włożyła sukienkę, wzięłaby na siebie zobowiązanie, którego wówczas nie miała ochoty przyjmować.

- Z tego co pamiętam, nasza znajomość wcale nie była niewinna - powiedział Marshall, stawiając kieliszek. - Nigdy o tym nie zapomniałem i wydaje mi się, że ty chyba też. - Usiadł obok niej.

Beverley sęczyła drinka, nie patrząc na Marshalla.

- Nie.

Nie była spięta. Odkryła, że może czuć się swobodnie w towarzystwie Marshalla, nawet w jego apartamencie na najwyższym piętrze. Może to dlatego, że znali się od czasów dzieciństwa, nie musiała więc udawać i przybierać sztucznych póz.

Spodziewała się, że Marshall skorzysta z chwili milczenia i spróbuje ją pocałować. Nie była pewna, czy poczuła ulgę, kiedy wstał, wyglądając przez okno. Zaczął się przechadzać. Najwyraźniej nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu dłużej niż kilka sekund.

- Przez całe życie zbierałem kopniaki - powiedział. - Tym właśnie jest władza: tego ci nie wolno, tamtego nie wolno. Tu, na górze, czuję, że stoję ponad wszystkim. - Wskazał kilka ogromnych anten satelitarnych na północnym brzegu Tamizy. - Widzisz te spodki?

Beverley spojrzała w tym kierunku.

- Co to takiego?

- Londyński teleport. Transmitowali mój program za pośrednictwem satelity Astra, dopóki rząd się do nich nie przytrzymał. Wiesz, co zrobiłem? Przeniosłem się do Luksemburga i założyłem własne łącza satelitarne. Była to dla mnie lekcja. Całkowita niezależność - oto cały sekret. Trzeba posiadać wszystko i mieć nad wszystkim pełną kontrolę: nad studiami, dystrybucją, antenami nadawczymi. Kiedy ktoś z zewnątrz wchodzi do interesu, natychmiast się do ciebie dobiera.

- Koncentracja pionowa - zauważyła Beverley, zastanawiając się, czy mówi niewyraźnie, czy tak jej się tylko wydaje.

- To jedynie wymyślna nazwa rodem ze szkół biznesu - rzekł z goryczą Marshall. - Ja to nazywam zdrowym rozsądkiem.

- Koncentracja pionowa rzeczywiście musi sięgać bardzo wysoko, jeśli ktoś chce posiadać satelitę - wymruczała Beverley. Zdała sobie sprawę, że zażartowała, i niemal zakrztusiła się szampanem.

- To musi być ostateczny cel - powiedział Marshall z nagłą gwałtownością. - Dopiero wtedy załatwię tych drani.

Zamilkł. Beverley spojrzała na niego. Maskę opadła i zobaczyła innego Marshalla Tate'a. W błękitnych, zimnych oczach dostrzegła wojowniczość na pograniczu zwierzęcej dzikości. Potem maska wróciła na miejsce, jak gdyby Marshall zaniepokoił się, że powiedział za dużo. Zażartował, napełniając kieliszki. Beverley piła z podziwem. Zwykle niezbyt lubiła szampana, ten był jednak znakomity.

- Wiem, na czym polega twój problem, Marshallu Tate - oświadczyła. - Cierpisz na manię wielkości. - Zdjęła buty i podwinęła nogi pod siebie. Było to drobne, lecz znaczące ustępstwo.

Marshall przestał chodzić i usiadł obok niej. Uśmiechnął się kwaśno.

- Nie sądzę, żebym cierpiał na tę chorobę, Bev.

- Na co więc?

Napełnił kieliszki.

- Na samotność. Zrozumiałem to dopiero dziś wieczorem. Zwykle spędzam tu długie godziny, przygotowuję plany i jestem idealnie szczęśliwy... no, może nie idealnie, ale wiesz, co mam na myśli.

Beverley rozejrzała się po apartamencie. Przypominał raczej pokój hotelowy niż mieszkanie. Po przeciwnej stronie stał długi stół ze szklanym blatem. Elektryczna kuchenka do podgrzewania jedzenia i faksy przy ścianie sugerowały, że jest to raczej stół konferencyjny niż jadalny. Nie zauważyła żadnych dokumentów. Stół był klinicznie czysty.

- Jakie plany, Matt?

Beverley wyczuwała, że Tate znów miał ochotę wstać, ale celowo pozostał na miejscu. Wychylił drinka i napełnił kieliszki.

- Ekspansja na nowe rynki - rzekł ogólnikowo. - Trzeba iść do przodu. Nie muszę ci jednak tego tłumaczyć. Wiesz, na czym polega kierowanie własną firmą.

- Firma nie należy do mnie - odrzekła Beverley, zdając sobie sprawę, że kręci jej się w głowie. - Posiadam tylko niewielki udział.

Przez dwie godziny pili szampana, rozmawiając o „Nano Systems” i kanale Elite. Po północy Marshall wstał i powiedział, że zrobi kawę. Zaraz potem usiadł, wziął Beverley za rękę i pocałował.

- Mamy problem - stwierdził. - Jestem w takim stanie, że nie mogę zrobić kawy. Nie mogę również jechać stu mil, żeby odwieźć cię do domu. Wezwę taksówkę.

Beverley nie próbowała cofnąć ręki. Uśmiechnęła się i oparła o Marshalla.

- Sto mil po północy? To oznaczałoby konieczność wprowadzenia poważnych zmian do twoich planów finansowych.

Obydwoje się roześmieli.

- Dobrze - rzekł Marshall. - Możesz spędzić tu noc i obejrzeć wschód słońca nad Gravesend.

Beverley wybuchnęła śmiechem.

- To najlepsza propozycja, jaką usłyszałam dzisiaj wieczoru.

Rzucili się sobie w ramiona.

## 20.

Romans Beverley z Marshalllem Tate'em był równie krótki, jak burzliwy.

W ciągu tego miesiąca straciła wszelkie zahamowania. Zapomniała o poczuciu winy i z rozkoszą podporządkowała się władczej woli Marshalla Tate'a i jego nienasyconym apetytom. Nikt w „Nano Systems” niczego nie podejrzewał, bo kiedy Marshall dzwonił do niej w czasie pracy, korzystał z bezpośredniej linii, zamiast łączyć się przez centralę. W życiu Beverley zaszły duże zmiany, zachowała jednak wystarczający profesjonalizm, by praca na tym nie ucierpiała, chociaż Carl zauważył, że w piątki zaczęła wychodzić wcześniej z biura.

Na początku przestraszyła ją utrata kontroli nad uczuciami, potem jednak zdała sobie sprawę, że niebiosa nie otworzą się i nie porażą jej gromem za to, że ulega wszystkim zachciankom Marshalla Tate'a. Wiedziała, że jest wykorzystywana, i nie dbała o to, a

przynajmniej wówczas, kiedy była przy nim. Tylko siedząc samotnie w swoim domu, zastanawiała się czasem, co właściwie robi. Szerokoekranowy telewizor Sony umiał jednak zagłuszyć głos sumienia - był on, podobnie jak sam Marshall, duży, brutalny, zuchwały i dominujący.

Początek końca nastąpił w piękny, niedzielny poranek. Słońce odbijało się od srebrzystej powierzchni Tamizy, wijącej się jak wąż w porannej mgielce. Kiedy owinięta ręcznikiem Beverley wyszła z łazienki, Marshall podniósł głowę znad „Sunday Timesa” i nalał jej kawy.

- Musisz jednocześnie pić i przytrzymywać ręcznik - powiedział z uśmiechem. - Nie chcę, żeby coś nas rozpraszało, bo czeka nas poważna rozmowa.

Beverley spojrzała na niego pytająco i usiadła bez słowa. Wyczuwała napięcie Marshalla i wiedziała, że kiedy jest w takim nastroju, lepiej się nie odzywać. Spojrzenie jego błękitnych oczu przeszły ją na wskroś.

- To wyświechtane określenie, ale tak dalej być nie może, Bev. Żadnemu z nas nie przynosi to nic dobrego.

Beverley siedziała nieruchomo, wiedząc, co za chwilę nastąpi. Na pewno się nią znudził. Ten przystojny, bogaty mężczyzna bez problemu może sobie znaleźć kogoś młodszego.

- Prawda polega na tym, Bev, że cię potrzebuję. Chcę, żebyś tu zamieszkała. - Nagle się roześmiał. - Nie rób takiej przerażonej miny. Nie chodzi mi o to, żebyś się do mnie wprowadziła. Najprawdopodobniej po kilku tygodniach zaczęlibyśmy skakać sobie do oczu. Dwa piętra niżej znajduje się fantastyczne mieszkanie, które wynająłem. Cieszyłbym się, gdybym mógł przepisać je na twoje nazwisko.

Doniosłość jego słów pozwoliła Beverley odzyskać głos.

- Nie - powiedziała nagle. - Nie wiem, czego oczekuję od naszego związku, Matt. Jestem oszołomiona. Nie wiem, czy powinnam zostać czy odejść. Wiem jednak, że nie zostanę twoją utrzymanką.

Marshall znów roześmiał się, ale tym razem w jego oczach nie dostrzegła rozbawienia.

- Proponuję ci coś innego, Bev. Rozwijam działalność na Dalekim Wschodzie i będę musiał na dłużej wyjeżdżać z kraju. Chcę, żebyś kierowała tu dla mnie kanałem Elite. W porównaniu z tym, co dostajesz w „Nano Systems”, otrzymałabyś potrójną pensję oraz pieniądze na wydatki. Poza tym dostawałabyś ustalony procent od zysków z ruletki.

Beverley nie wierzyła własnym uszom.

- Przecież nie znam się na kierowaniu programem telewizyjnym! - zaprotestowała.

- Potrzebuję dobrego administratora, Bev. Ty nim jesteś. Przypuszczam, że nie znasz się również na komputerach, ale mimo to „Nano Systems” świetnie sobie radzi pod twoim kierownictwem.

- Bardzo mi zależy na tej pracy - powiedziała.

- Posłuchaj, Bev. Nie bądźmy dziećmi. Oboje znaleźliśmy się już po niewłaściwej stronie czterdziestki piątki. Za piętnaście lat, może wcześniej, będziesz musiała odejść z „Nano Systems”. Nie masz tam takich udziałów, aby zagwarantować sobie pracę. Dzięki mnie zarobisz prawdziwe pieniądze i będziesz miała prawdziwą władzę, bez gromady kierowników, wiszących ci u szyi. Potrzebuję kogoś, kto umiałby pokierować sprawami w Europie i nie zwracałby się co chwila do mnie o pomoc.

- A co z moimi potrzebami, Matt?

Patrzył na nią spokojnie. Kiedy się odezwał, wyczuła w jego głosie chłód, chociaż starał się to ukryć.

- Oboje potrzebujemy tego samego.

- Potrzebuję ciebie, Matt.

Uśmiechnął się chłodno, ujął jej ręce i pocałował każdą dłoń z osobna.

- Powiedzmy, że ja stanowię dodatek do pracy.

- Chcę mieć trochę czasu, żeby to przemyśleć.

- Masz tydzień. - Nagle znów był ciepły. - A nam została jeszcze reszta dzisiejszego dnia.

## 21.

Trzy dni później Carl pomógł Beverley podjąć decyzję. Właśnie skręcała z pracowniczego parkingu, gdy w jej BMW doszło do awarii pasa przekładni kierownicy. Carl zauważył jej problem i upierał się, że pomoże. Kiedy skończył dopasowywać nowy pas, znaleziony w pobliskim garażu, miał ręce pobrudzone smarem.

- Gotowe, Bev - powiedział, zatrzaskując maskę. - Skończyłem.

- Do diabła, Carl. Ależ się pobrudziłeś. Czuję się winna.

- Odmyj się - rzekł niedbale Carl. Spojrzał z troską na Beverley.

- Czy wszystko w porządku, Bev?

- Tak. Oczywiście. - Beverley usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik. - Jeszcze raz dziękuję.

Stał niepewnie przy drzwiach i w roztargnieniu wycierał dłonie w kawałek szmaty.



- Jeśli chciałabyś mi coś powiedzieć, Bev... to umiem słuchać.

Beverley roześmiała się beztrąsko.

- Pewnie uważasz, że zachowywałam się dziwnie przez cały tydzień?

- Skoro pytasz, to owszem, zachowywałam się cholernie dziwnie.

- Cóż, nie ma o czym mówić ani o co się martwić. Do jutra.

Carl cofnął się, kiedy Beverley odjeżdżała. Spojrzała we wsteczne lusterko i stwierdziła, że patrzy za nią. W tym momencie zrozumiała, czego będzie jej brakowało po opuszczeniu „Nano Systems”. Nie zauważyła koleżeńskiej atmosfery wśród pracowników programu Elite, a Marshall Tate dla nikogo nie zabrudziłby sobie rąk.

*Nie bądź głupia, Bev. Nie możesz uzależniać całej kariery od tego, że ktoś naprawił zepsuty pas przekładni kierownicy.*

Właściwie dlaczego nie?

Jechała powoli autostradą A27, ku irytacji innych kierowców. Kiedy przebywała z daleka od Marshalla Tate'a, potrafiła przynajmniej myśleć logicznie. Tak przynajmniej sądziła. Miała ochotę pojechać do niego wieczorem, zrobić mu niespodziankę, powiedzieć, że nie chce jego pracy, ale nie widzi powodu, dla którego nie mieliby się widywać. Może jednak nie. Bała się jego reakcji. Była to bolesna prawda, ale kilka razy w ciągu ostatnich czterech tygodni naprawdę ją przestraszył.

Na dużym rondzie koło Bognor Regis zauważyła drogowskaz, wskazujący kierunek do Londynu, i podjęła decyzję. Zamiast skręcić na południe, w stronę domu, wjechała na drogę do Londynu i wcisnęła pedał gazu.

## 22.

Strażnik, pilnujący podziemnego parkingu koło apartamentu Marshalla Tate'a, znał Beverley z widzenia. Skinął jej przyjaźnie głową, kiedy podjechała do jego budki.

- Dobry wieczór, proszę pani. Jest u siebie - sięgnął po słuchawkę.

- Nie - rzekła szybko Beverley. - Proszę do niego nie dzwonić. Chcę mu zrobić niespodziankę.

- To wbrew przepisom, proszę pani - strażnik uśmiechnął się. - Zawsze jednak twierdziłem, że tylko głupcy ślepo przestrzegają przepisów. - Wcisnął guzik i podniósł barierę.

Beverley skierowała swoje BMW w dół, na mroczny parking, gdzie ferrari Marshalla stało koło wejścia do prywatnej windy, obsługującej wyłącznie jego apartament.

Jedynie wolne miejsce znajdowało się mniej więcej w odległości dziesięciu stanowisk od windy. Zaparkowała samochód, zgasiła światła i właśnie miała zamiar wysiąść, kiedy drzwi windy otworzyły się. Pojawił się Marshall Tate w towarzystwie niskiego, grubego mężczyzny, ściskającego teczkę, który z daleka wyglądał znajomo. Akustyka podziemnego parkingu sprawiła, że Beverley nie słyszała, o czym mówią. Spierali się jednak gorąco, nie wychodząc z windy. Marshall Tate przemawiał z wściekłością do nieszczęsnego grubasa. Chwytał go nawet za kołnierz i zmusił do stania na palcach, aby krzyknąć prosto w jego twarz. Beverley skuliła się na fotelu i opuściła nieznacznie szybę. Światło padało na wykrzywioną z wściekłości twarz Marshalla Tate'a. Takim właśnie ukazywały go gazety. Ujrzała wreszcie prawdziwego Marshalla Tate'a, bez maski. Nagle wypchnął grubasa z windy. Beverley sądziła, że grubas się przewróci, odzyskał jednak równowagę i zmykał, ściskając teczkę, w kierunku białego audi, zaparkowanego naprzeciwko BMW Beverley.

Zamarła, nie mając odwagi się poruszyć.

To Schnee! Hubert Schnee! Gruby Szwajcar, który kilka tygodni temu próbował przejąć „Nano Systems”!

Otworzył kluczykiem drzwi, usiadł za kierownicą i włączył silnik. Marshall Tate podszedł do samochodu i z furią postukał w szybę. Znajdowali się niecałe pięć metrów od Beverley, która siedziała jak sparaliżowana.

- Jeszcze jedno, dupku - warknął Marshall Tate. - Nie płacę ci, diabli wiedzą ile, za spieprzenie roboty. Po następnej wpadce koniec z tobą!

Beverley nie dosłyszała odpowiedzi grubego mężczyzny. Zapaliły się światła wsteczne i samochód tak szybko się wycofał, że przez chwilę sądziła, iż się z nią zderzy. Później Szwajcar wrzucił bieg i wyjechał z parkingu, równie przerażony jak wówczas, kiedy Beverley widziała, jak rozmawiał przez telefon pod budynkiem „Nano Systems”.

Marshall Tate patrzył za odjeżdżającym samochodem. Podparł się pod boki, a na jego twarzy malowała się wściekłość. Warkot audi zagłuszył trzask otwieranych drzwi samochodu Beverley. Poruszała się z pewnością siebie. Rozsądek wziął górę nad emocjami. Wydawała się opanowana, choć z trudem powstrzymywała łzy, kiedy zastanawiała się, co powinna powiedzieć.

Przez chwilę obserwowała beznamiętnie Marshalla Tate'a, a potem zatrzasnęła drzwi. Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Beverley! Do diabła, co tutaj robisz?

- Uczę się, Matt. - Beverley stanęła naprzeciwko Marshalla i spojrzała mu prosto w oczy. - Uczę się, że byłem ślepa i głupia - dodała spokojnie. - Cholernie głupia. Pocięsza mnie

tylko to, że nabrał mnie jeden z najbardziej bezwzględnych i aroganckich drani, jakich miałam nieszczęście spotkać.

- O czym ty mówisz, do cholery? - Odwrócił się, ale Beverley chwyciła go za ramię i zmusiła, aby na nią spojrzeć. W jego spojrzeniu nie dostrzegła poczucia winy. Patrzył na nią pustym wzrokiem, jak gdyby miał czyste sumienie, a ona przestała istnieć.

- Wystarczy dodać dwa do dwóch - powiedziała Beverley. - Żałosna próba Schnee przejęcia mojej firmy. Nie udało mu się, dlatego sam zabrałeś się do dzieła. Zjechałeś tak nagle z pobocza. Jezu Chryste! Powinnam się była domyślić, że na mnie czekałeś. Co widzisz w „Nano Systems”, Matt? W porównaniu z twoimi interesami jesteśmy niczym. A może doszedłeś do wniosku, że czeka nas wielka przyszłość, i chciałeś wykroić dla siebie odpowiedni kawałek? Nie, nie kawałek, to nie w twoim stylu. Chciałeś mieć wszystko!

Marshall patrzył na Beverley z niezachwianą pogardą. Odepchnął ją i ruszył w kierunku windy.

- Powiem ci coś - krzyknęła Beverley, niemal tracąc panowanie nad sobą. - Jeśli szukasz walki, Matt, to ją znajdziesz! Przysięgam, że nigdy nie dostaniesz „Nano Systems”. Nigdy!

Wszedł do windy, nacisnął guzik i odwrócił się do Beverley.

- Nie wiem, jak wyglądają urodzeni zwycięzcy - powiedział chłodno, zanim zamknęły się drzwi. - Na pierwszy rzut oka rozpoznaję jednak przegranego człowieka. Nie obchodzi mnie i nigdy nie obchodziła twoja żalosna, mała firma.

Dopiero kiedy drzwi się zamknęły i winda odjechała, Beverley pozwoliła sobie na łzy.

**CZĘŚĆ TRZECIA: Dzień dzisiejszy**  
**Beverley**

Wąż czyha w trawie!

*Eclogae*, Wergiliusz

## 1.

### POŁUDNIOWA ANGLIA SIERPIEŃ 1998

- Punkt zero - Beverley usłyszała głos płynący z „Pasa Laine”. - Siedem sekund lepiej niż wczoraj. Znakomicie, Beverley.

Otworzyła drzwi tarasu i postanowiła, że pogratuluje Carlowi: ten triumfalny ton był idealnie dobrany.

Dopiero kiedy znalazła się w domu, z którego roztaczał się wspaniały widok na Elmer Sands, zaczęła oddychać swobodnie. Położyła się na materacu na środku podłogi i czuła, jak napięcie opuszcza jej obolałe mięśnie.

Odpoczynek przynosił euforię. Wrażenie to przypominało odprężenie, które przychodzi po uprawianiu seksu. Tak jak zawsze w podobnych chwilach, powróciły niemiłe wspomnienia o burzliwym romansie z Marshalllem Tate'em. Beverley miała poczucie winy. Po dwóch latach cierpienie nie było już tak dotkliwe, ale na samą myśl o gorzkim poniżeniu wciąż ogarniała ją rozpacz. Nie umiała sobie z tym poradzić. Próbowwała zapomnieć, rzucając się w wir pracy przez ostatnie dwa lata. Na tej przykrej historii skorzystała firma „Nano Systems” oraz zdziwiony, lecz wdzięczny sąsiad, któremu podarowała szerokoekranowy telewizor. Zastanawiała się, czy nie podarować telewizora Paulowi, ale rzadko widywała syna, a chciała jak najszybciej pozbyć się odbiornika.

Po dziesięciu minutach elektroniczny głos oświadczył, że jej organizm wrócił do normy, pas zapamiętał wszystkie dane i teraz się wyłącza. Poczowała ukłucie bólu w prawym boku, kiedy odpinała i kładła pas na krześle. Zdziwiła się, gdyż nie zdarzyło się to nigdy przedtem. Może stępiły się podskórne czujniki. Postanowiła wspomnieć o tym Carlowi.

Wzięła prysznic i starannie wysuszyła włosy. Choć nie dbała o siebie tak, jak powinna, pukle ciemnych włosów wciąż zachowywały połysk. Włożyła sukienkę i jak co miesiąc wybrała się na zakupy do wielkiego domu towarowego Sainsbury koło Guildford. W pobliżu znajdowały się inne supermarkety, ale Beverley zawsze lubiła szybką jazdę po wyczerpującym biegu.

Nowy samochód idealnie odpowiadał jej temperamentowi. Była to replika modelu 300SL, wyprodukowana przez firmę „Albatros”, zanim „Mercedes-Benz” urządził im awanturę o prawa producenta. Buntowniczy samochód; maszyna, która łamała wszelkie reguły.

Dwadzieścia minut później mknęła z niedozwoloną prędkością po autostradzie A3.

Podjęła to ryzyko, gdyż na skutek mżawki eksperymentalne rejestratory ruchu drogowego, rozmieszczone w regularnych odstępach wzdłuż jezdni, nie działały tak jak należy. Kronosy, zainstalowane w tych czarnych skrzynkach, zapamiętywały cyfrowe zdjęcia wszystkich przekraczających dozwoloną prędkość pojazdów, a także informacje o czasie i miejscu wykroczenia. Kierowcy samochodów, w których zainstalowano faksy, od razu otrzymywali kopie mandatów. Mikroprocesor stał się współtwórcą natychmiastowego wymiaru sprawiedliwości.

- Chcę skorzystać z telefonu - powiedziała wyraźnie Beverley na użytek systemu rozpoznawania głosu, zainstalowanego w telefonie typu Irydium firmy „Motorola”. Podobał jej się nowy system komunikacyjny „Motoroli”. Cyfrowo zakodowane kanały były bezpieczne i wolne od zakłóceń. Siedemdziesiąt siedem satelitów na niskiej orbicie obsługiwało nieprzerwanie całą planetę. „Motorola” zamierzała na początku wykorzystać Kronosa do przetwarzania ogromnej liczby rozmów telefonicznych. Zrezygnowano z tego pomysłu, gdyż Beverley zażądała zbyt wysokiej zapłaty.

- Gotów - odezwał się głośnik telefonu, zainstalowany w drzwiach koło jej ucha.

- Carl Olivera. Dom. - Kiedy mówiła, wyprzedziło ją porsche. Bez względu na to, jak szybko się jedzie, zawsze czyha gdzieś jakieś porsche i tylko czeka, żeby pokazać człowiekowi ogon.

- Proszę powtórzyć - odezwał się głośnik.

- Carl Olivera. Dom.

- Carl Olivera. Dom. Dzwonię. Proszę czekać. - Był to standardowy, męski głos, oferowany przez „Motorolę”. Za dodatkową opłatą można było zamówić głos o dowolnym akcencie. Jeśli ktoś miał ochotę ślęczeć wiele godzin nad instrukcją obsługi, wazącą więcej niż cała instalacja telefoniczna, mógł sobie nawet zażyczyć seksownego, francuskiego akcentu z repertuarem około pięciuset komplementów, w tym nieprzyzwoitych.

Beverley pomyślała, że świat zwariował na punkcie mikroprocesorów, chociaż ona sama nieźle na nich zarabiała. Już teraz było ich więcej niż ludzi. Pomyśleć tylko: na każdego mężczyznę, kobietę i dziecko na całej planecie przypada sto mikroprocesorów. Jeśli Carl, Leon i Macé Pilleau opracują samoreprodukującego się Zeusa, to te cholerne urządzenia będą się wkrótce rozmnażać.

Z głośnika odezwał się głos Carla:

- Cześć, Bev. Gdzie jesteś?

- Na zakupach. Zamierzam kupić coś niejadalnego, specjalnie dla ciebie. Właśnie skończyłam bieg. Uzyskałam czas o siedem sekund lepszy niż wczoraj.

- Wspaniale, Bev. Tak trzymaj przez następny miesiąc, a staniesz się szybsza niż twój zwariowany samochód.

- Sądzę, że możemy uruchomić niewielką produkcję „Pasów Laine”. Wyślij je do oceny kilku czołowym sportowcom i trenerom. Jeszcze jedno: kiedy zdejmowałam pas, poczułam ukłucie bólu.

- Nie wątpię, że jak zwykle zerwałaś go z siebie - wymruczał Carl.

- Oczywiście.

- Powinnaś zdejmować go ostrożnie, Bev.

- Traktuję pas tak, jak będą go traktować zwykli użytkownicy - odparła Beverley.

- Dobrze, przypomnij mi, żebym się tym zajął. Przygotowaliśmy do produkcji cieńsze igły.

- Podoba mi się nowy głos, Carl. Zrobiliście postępy.

- To głos jednej z moich starych przyjaciółek, aktorki. Namówiłem ją, żeby pozwoliła mi zrobić kilka nagrań. Skoro już mowa o namawianiu ludzi, to czym mnie dzisiaj nakarmisz, żeby zwabić mnie do swego buduaru i zrobić wszystkie nieczne rzeczy, które przychodzą ci do głowy?

Beverley zdusiła śmiech. Zawsze lubiła w Carlu tę swobodę bycia.

- Myślałam o chili - odrzekła. - Bądź punktualnie o dziewiątej i niech ci nawet nie przyjdzie do głowy domagać się dokładki.

- Przybiegnę z wywieszonym językiem punkt dziewiąta - obiecał Carl. - Muszę się wykapać. Ośle mleko jest wprawdzie bardzo drogie, ale warto chyba zachować młodość. Jak sądzisz?

- Trudno mi sobie wyobrazić kąpiel bardziej odpowiednią dla ciebie.

Wymienili jeszcze kilka docinków i rozłączyli się. Beverley poczuła się odprężona, tak jak zawsze po słownej potyczce z Carlem.

Dwadzieścia minut później dojechała do Guildford. Promienie zachodzącego słońca padały na anteny uniwersytetu w Surrey. To jej przypomniało, że winna jest przeprosiny uniwersyteckiemu dyrektorowi do spraw inżynierii satelitarnej. Tego popołudnia Mike Scully zaprosił ją na uniwersytet, aby mogła obserwować, jak lądownik Haldane'a ląduje na Marsie. W lądowniku zainstalowano dwa mikroprocesory typu Kronos, które zapamiętają i przetworzą zdjęcia powierzchni Marsa przed przesłaniem ich na Ziemię. Pozostanie jeszcze tyle wolnej pamięci, że lądownik nie potrzebował żadnego innego mikroprocesora.

„Nano Systems” było jedną z europejskich spółek, finansujących w sześćdziesięciu procentach tę misję. Pozostałe czterdzieści procent kosztów pokrywała NASA. Bez żadnej

zapłaty Beverley dostarczyła wydziałowi Mike'a Kronosy oraz sporą ilość oprzyrządowania. Utrzymywanie dobrych stosunków z czołową placówką naukową, taką jak uniwersytet w Surrey, sprzyjało interesom, zwłaszcza teraz, kiedy wzrosło zainteresowanie badaniem przestrzeni kosmicznej. W 1998 roku intensywnie badano powierzchnię Marsa, przygotowując amerykańsko-rosyjsko-francuską wyprawę załogową, zaplanowaną na 2004 rok. Lądownik Haldane'a był jednym z wielu instrumentów, zbudowanych przez uniwersytety i organizacje badawcze na całym świecie, który tego roku wylądował na Marsie.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Mike'a Scully'ego, doszła jednak do wniosku, że na pewno jest zajęty. Znowu uruchomiła telefon, ale tym razem nastawiła go na otwarty kanał, gdyż lubiła słuchać uszczypliwych rozmów, prowadzonych przez korzystających z niego ludzi.

Jakiś mężczyzna ze szkockim akcentem narzekał na swoich klientów.

- Halo, Finlay - wtrącił się kobiecy głos. - O co ci właściwie chodzi?

- Caroline, słodka, droga dziewczyno! - wykrzyknął Finlay. - Moje biedne, zbołałe oczy chciałyby spocząć na twym boskim ciele. Nigdy nie uwierzysz, jakie miałem kłopoty dziś po południu. Wydarzyło się nieszczęście.

- Nieszczęście... to znaczy, że musiałeś sięgnąć do portfela? - zastanowiła się kobieta.

- No, może nie aż tak poważne - odparł Finlay po chwili namysłu. - Ale wystarczająco niepokojące. Pamiętasz te wspaniałe, beztęskowe magnetowidy, o których ci kiedyś opowiadałem?

- Te tanie, brytyjskie?

- Nie są tanie! - zaprotestował z oburzeniem Finlay. - Tak się składa, że to najnowocześniejsze maszyny na świecie. Cóż, dziś po południu zaczęły płać psikusy. Przynajmniej dwa z nich. Jeśli dwa magnetowidy się psują, nie sposób wykluczyć, że to samo przydarzy się innym, kiedy ludzie zaczną ich używać.

Ktoś wtrącił jakąś uszczypliwą uwagę, zignorowaną przez Finlaya.

- Oba utraciły pamięć. Ledwo udaje im się nagrywać przez godzinę, nie mówiąc już o trzech - rzekł z przejęciem. - Mam do czynienia z prawdziwą epidemią mikroamnezji. Te urządzenia instaluje się w telewizorach, potrzeba więc bardzo dużo czasu, żeby je wymienić.

- Zasłużyłeś na to za sprzedawanie klientom kiepskich magnetowidów - zauważył inny głos.

- A wy obwiniacie mnie! - zaprotestował Finlay. - Tak, jak gdybym to ja odpowiadał za tę nowoczesną technologię. Ja przecież jestem tylko sprzedawcą.

- To pewnie jakaś awaria głównego zasilania - zauważyła Caroline.



- Nie miałam żadnych kłopotów z moim magnetowidem, ale nigdy nie przyszło mi do głowy kupowanie sprzętu u takiego taniego handlarza jak ty, Finlay.

Beverley dojechała do zjazdu, prowadzącego do supermarketu Sainsbury, i wyłączyła kanał.

## 2.

Mutt, kot sąsiada, zauważył, że Beverley wróciła do domu, i łąsił się do niej, kiedy przesuwała nowe zakupy wzdłuż elektronicznego czytnika lodówki. To komputerowe szaleństwo przynosiło czasem niezłe rezultaty. Na ekranie, wbudowanym w drzwi lodówki, pojawiała się informacja o zawartości torby bez konieczności jej rozpakowywania.

Mutt zaczął się zachowywać agresywniej. Ten duży kocur mógł człowieka porządnie podrapać, gdyby zbyt długo go ignorowano. Traktował Beverley jako źródło dodatkowych posiłków, ona zaś ustępowała zwykle przed kocim szantażem. Nakarmiła kota i spróbowała doprowadzić salon do porządku przed kolacją.

Beverley nie przywiązywała zbyt dużej wagi do posiadania własnego domu. Dwa lata temu posłuchała rady Marshalla Tate'a i wydała na kupno bungalowu prawie wszystkie oszczędności, nie chodziło jednak o to, by zrealizować marzenie o własnym domu, lecz o to, że przywykła już do biegania i uwielbiała pływać. Bankierzy zgodzili się udzielić pożyczki, gdyż podzielali jej przekonanie, że jest na drodze do sukcesu. Cóż, udało jej się. Zarabiała teraz tyle, że mogła sobie pozwolić na ekstrawagancje, takie jak albatros, i nie musiała się martwić o spłatę długu.

Skoncentrowała się na gotowaniu, słuchając jednocześnie radia i telewizji. Dawało to kojący efekt; mogła spokojnie myśleć o tym, co zdarzyło się dzisiejszego dnia.

Kiedy szukała w szufladzie przyrządu do rozgniatania czosnku, zwróciła uwagę na pewną wiadomość, podawaną w telewizji. Mike Scully mówił na żywo z sali kontrolnej uniwersytetu w Surrey. Lądownik dotarł bezpiecznie na powierzchnię Marsa w rejonie Tharsis i wysyłał na ziemię dane, które są właśnie przetwarzane. Obiecał dziennikarzowi, że zdjęcia powierzchni Marsa zostaną opublikowane tak szybko, jak to możliwe.

- Mamy kilka problemów - mówił Mike Scully. - Wierzimy jednak, że uporamy się z nimi do końca tygodnia.

Reportaż był bardzo krótki, niewątpliwie dziennikarze doszli do wniosku, że widzowie wystarczająco nasłuchali się w tym roku o marsjańskich lądownikach. Następnie pokazano przygnębiający reportaż o sytuacji na londyńskim rynku finansowym. Beverley znów zajęła

się swoją chili con came.

O 20:30 rozległ się brzęczyk alarmu, a na ekranie telewizora ukazał się obraz granady Carla, wjeżdżającej na podjazd. Beverley ze zdziwieniem patrzyła na ekran. Przez te wszystkie lata Carl ani razu nie przyszedł przed czasem na umówione spotkanie.

Naprowadzająca się na ciepło kamera obserwowała go, kiedy wysiadał z samochodu i zbliżał się do drzwi frontowych. Miał na sobie spodnie i kaszmirowy sweter, który kupiła mu na urodziny. Zatrzymał się na chwilę, aby oczyścić okulary, co oznaczało, że coś go zdenerwowało. Beverley udało się przekonać Carla, aby nosił okulary w grubych oprawkach.

Beverley związała się z Carlem siłą bezwładu. Nie wykorzystał jej sytuacji po zerwaniu z Marshalllem Tate'em - nic nie wiedział o tym romansie. Miał czterdzieści dwa lata, kilka lat mniej niż ona, chociaż wydawało się, że ta różnica wieku nie ma znaczenia. Carl był zawsze pogodny i dobroniosny, nawet wówczas, gdy mu się nie wiodło, na przykład wtedy, gdy była żona nie chciała mu pozwolić na spotkanie się z dziećmi.

Miał niewielkie potrzeby seksualne, w dużej mierze zamieniły się one w przywiązanie do firmy. Beverley to odpowiadało, gdyż jej kompleks na tle seksu stał się jeszcze silniejszy po zerwaniu z Marshalllem Tate'em.

Ceniła w Carlu jego nienatrętną pewność siebie. Kiedy gdzieś wychodzili, to właśnie Carl prowadził i decydował, co powinni robić lub zjeść. Nie oburzało jej to, przeciwnie, czuła ulgę, że nie musi sama podejmować decyzji. Czasami miała wrażenie, że cała jej praca polega na nieustannym podejmowaniu decyzji. W rzeczywistości potrzebowała Carla. Korzystali z siebie bez wyrzutów sumienia, szanowali się, czuli się ze sobą dobrze, żadne z nich nie chciało posuwać się dalej.

Beverley wepchnęła chili z powrotem do pieca i otworzyła drzwi. Kiedy obaczyła zaniepokojoną minę Carla, radosne powitanie zamarło jej na wargach.

- Właśnie odebrałem telefon od Theo Draggon, Bev - powiedział nie wchodząc.

- Do diabła. Czego on chce?

- Kontraktowy rolnik zginął dzisiaj w pobliżu Guildford. Pracował na kombajnie Draggon model 19. Coś zablokowało śrubę zbożową. farmer chciał ją zbadać, a cholerna śruba ucięła mu rękę. Zmarł w szpitalu.

- Do diabła, nie!

- Do diabła, tak. Theo wysłał tam ekipę pracowników serwisu, ale nie mogli znaleźć żadnego uszkodzenia. Sądzi, że może chodzić o Kronosa. Powiedziałem mu, że oszalał, ale upiera się, że kombajn nie doznał żadnego mechanicznego uszkodzenia.

Beverley zastanowiła się. Sprawa była poważna. Kombajn Theo Draggon,

wyposażone w systemy kontrolowane przez Kronosa, opanowały europejski rynek maszyn zbożowych.

- Znasz jeszcze jakieś szczegóły? - spytała.

Carl pokręcił głową.

- Wiem tylko, że zdarzyło się to w czasie pracy na polu. Pozostawiono maszynę dokładnie w miejscu wypadku. Pilnuje jej policja na rozkaz urzędnika, przysłanego z Okręgowego Biura do Spraw Wypadków.

- Powinniśmy natychmiast tam pojechać - postanowiła bez wahania Beverley. - Wziąłeś jakieś przyrządy pomiarowe?

- Mam tego trochę. Wystarczy do przeprowadzenia wstępnych testów.

- Dobrze. Myślę, że trzeba od razu to załatwić. Nie chcę, aby ta sprawa wisiała nad nami przez cały weekend.

### 3.

Kiedy Beverley wspięła się na jasno oświetlony kombajn i zobaczyła okropną scenę, pożałowała, że nie posłuchała ostrzeżenia konstabla, który powiedział, że nie jest to miejsce dla kobiet. Kilka lat temu Theo Draggon zachowałby się tak samo, teraz jednak znał Beverley wystarczająco dobrze, by siedzieć cicho. Chodził niespokojnie w tę i z powrotem, paląc cygaro. Kiedy Carl wspiął się na kosz zbożowy, z odsłoniętej rury uniosła się chmura moskitów i szybowała w ciepłym, wilgotnym, nocnym powietrzu. Beverley zobaczyła zaschniętą krew na śrubie i zrobiło jej się niedobrze. Śmierć dodała swój własny zapach do aromatu siana i słomy, który wyczuwało się w tej oazie światła na środku angielskiego pola.

- Proszę niczego nie ruszać - powiedział urzędnik z Biura do Spraw Wypadków.

- Nie zamierzam - odparł posępnie Carl, wyjmując narzędzia i testometr.

- Jego ręka wciąż tu jest? - spytała Beverley z niedowierzaniem.

- To, co z niej zostało - odrzekł urzędnik, patrząc z ciekawością na Beverley. - Sanitariusze nie zdążyli się tym zająć. Musieli go zawieźć do szpitala... - nie dokończył zdania.

Theo przestał chodzić i stanął na najniższym szczeblu drabinki, żeby widzieć, co robi Carl.

- Nikt nie majstrował przy wyłącznikach bezpieczeństwa - rzekł z goryczą. - Moi chłopcy od tego zaczęli kontrolę.

Carl wolał sam sprawdzić. Zaświecił do środka rury i zanim czegoś dotknął, rozejrzał

się uważnie. Kiedy podnoszono pokrywy, pod którymi znajdowały się ruchome części Dragгона, mikroprzełączniki bezpieczeństwa wyłączały maszynę. Niejednokrotnie farmerzy unieruchamiali przełączniki, gdyż chcieli dokonać inspekcji przy włączonym silniku. Zdezaktywowane przełączniki oznaczałyby, że mogą wracać do domu.

Carl podłączył testometr do każdego mikroprzełącznika, a potem włączył je i wyłączył, posługując się paznokciem.

- Przełączniki działają - przyznał.

Theo zaklął pod nosem.

- Trudno uwierzyć, że ktoś może być tak głupi, aby otwierać pokrywę bez wyłączenia silnika - zamruczał do urzędnika. - Ile ostrzegawczych napisów trzeba umieścić na maszynie, żeby ludzie zaczęli zwracać na nie uwagę?

- Lepiej sprawdźmy obwody Kronosa, Bev - powiedział Carl, siadając na fotelu kierowcy. - Coś mogło się zepsuć, chociaż nie mam pojęcia, w jaki sposób. Znajdź rejestry fotonowe.

Beverley trzymała nanonotes Carla pod takim kątem, by padało na niego światło. To dość proste, przenośne urządzenie nie miało podświetlonego ekranu. Odczytywała dane, kiedy Carl starannie podłączył przyrządy do testowych wtyków, prowadzących do Kronosa.

- Nic - stwierdził po dziesięciu minutach. - Wydaje się, że wszystko jest w idealnym porządku.

- Musiało się coś stać - rzekł urzędnik. - Córka rolnika powiedziała, że kiedy ojciec próbował usunąć uszkodzenie, śruba zbożowa sama się włączyła.

- Czy na pewno silnik pracował? - spytał Carl.

- Dziewczynka mówi, że tak. Nie miała żadnych wątpliwości.

Carl złowił spojrzenie Theo i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Ludzie nauczyli się ufać komputerowemu hardware'owi - zauważył urzędnik. - Na czym więc waszym zdaniem polega problem?

- Nie mam pojęcia - przyznał Carl. - To był tylko pobieżny przegląd.

Oficer odwrócił się do Theo.

- Czy coś takiego przytrafiło się kiedyś pańskiemu modelowi 19, sir?

- Nie, do cholery.

Beverley doszła do wniosku, że powinna przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Nie możemy przeprowadzić odpowiednich badań na środku pola - powiedziała. Odwróciła się do oficera. - Proponuję, żebyśmy teraz oczyścili i przewieźli maszynę na pełny przegląd do naszej głównej siedziby w Chichester. Theo, czy możesz użyczyć jednego z

twoich transporterów?

Theo zgodził się i wyjął telefon typu Irydium.

- Sądzi więc pani, że może chodzić o jakiś błąd inżynieryjny? - spytał urzędnik, wyczuwając, że Beverley wykonuje za niego jego pracę.

- Nie wiem, co powinnam myśleć - odrzekła Beverley. - Pan Draggon mógłby jednak panu powiedzieć, że o tej porze roku kilkaset tych maszyn pracuje dniami i nocami w całej Europie. Jeśli więc w systemach bezpieczeństwa istnieje jakaś usterka inżynieryjna, moja firma ma zamiar ją znaleźć, i to im szybciej, tym lepiej. Byłabym wdzięczna, gdyby wciągnął pan to do protokołu śledztwa.

#### 4.

### ORBITA OKOŁOZIEMSKA

#### SATELITA DATELSAT

Był w pułapce.

Zbadał wszystkie obwody w dziwnym urządzeniu i nie odkrył cudownej pamięci organicznej, takiej jak w niezwykłym pojeździe, który dotarł na jego planetę.

Poniósł porażkę. Prymitywne silikonowe neurony w satelicie były beznadziejnie ograniczone. Czekala go zatem śmierć za życia, jak przez ostatnie stulecia.

Nie wiedział, co to rozpacz, gdyż jeszcze w pełni się nie rozwinął. Nie znał również nudy. Znał jednak ciekawość i nadzieję. Postanowił, że na wszelki wypadek jeszcze raz przeszuka swój nowy dom.

#### 5.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

O szóstej rano Beverley padała z nóg.

Ludzie Theo Dragгона wyładowali kombajn w głównym serwisie „Nano Systems” i odjechali. Oczyszczono maszynę, a strażacy wzięli na siebie niemiłe zadanie usunięcia ze skrzyni rozdzielczej szczątków ręki Dave’a Crosiera. Nic więcej nie mogła zrobić, poza przygotowaniem kawy dla Carla i Leona, którego wyciągnęła z łóżka.

Obaj mężczyźni wyjęli Kronosa z kombajnu i podłączyli do centralnego diagnostycznego komputera. Siedzieli prawie godzinę przy oscyloskopach i analizatorach

proteinowej pamięci. Beverley poszła do biura, gdzie miała niewielką szafkę. Zdjęła brudną sukienkę i włożyła bluzkę i spódnicę.

Kiedy po powrocie zobaczyła poważną minę Carla, zorientowała się, że coś jest nie tak. Carl podniósł głowę znad dwóch komputerowych wydruków, które oglądał razem z Leonem.

- Odkryliśmy problem, Bev. - Carl wyjął Kronosa z gniazdka testowego i spojrzał na niego krytycznie. - Bóg jeden wie, jak się to mogło zdarzyć, ale główny program został uszkodzony.

Beverley spojrzała z niepokojem na przyjaciela.

- To niemożliwe - powiedziała spokojnie. - Wiesz przecież.

Carl skinął głową.

- Jeszcze wczoraj zgodziłbym się z tobą. Ale... no cóż... aksony neuronów w pamięci stałej dają odczyt pozytywny, a powinny dawać negatywny. To wystarcza, żeby wszystkie zabezpieczenia kombajnu nadawały się do wyrzucenia.

Beverley podniosła Kronosa, jak gdyby poprzez warstwy substancji szklanej chciała dojrzeć uszkodzenie, które kosztowało ludzkie życie.

- Leon to wykrył - powiedział Carl.

- Co to za rodzaj uszkodzenia, Leonie?

- Program kontrolny w tym mikroprocesorze powinien mieć wielkość nieco ponad pięciuset kilo - rzekł z wściekłością Leon. - Kiedy przeprowadziliśmy test porównawczy, odkryliśmy, że jest czterdzieści razy większy, ma więc o dwadzieścia megabajtów za dużo. Również wszystkie pozostałe programy nie działają tak jak należy albo zawieszają się, kiedy otrzymują sygnały z zewnętrznych źródeł, takich jak mikroprzełączniki bezpieczeństwa kombajnu, adresy pamięci są bowiem do niczego.

- Wszystkie mikroprzełączniki? - spytała Beverley.

Leon skinął głową.

- Z mechanicznego i elektrycznego punktu widzenia nic nie można zarzucić kombajnowi. Z całą pewnością źródłem problemu jest Kronos.

- Powiedz mi, jak to się mogło stać?

Leon pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Aż do tego momentu powiedziałbym, że to niemożliwe. Te mikroprocesory są odporne na wszystko. - Pokazał Beverley dwa wydruki komputerowe, na których widniały równe kolumny kodów programowych. - Oto wydruk głównego programu, a tu widzisz wydruk z tego mikroprocesora. - Jego chudy palec przesuwiał się wzdłuż strony.

- Tych kodów nie powinno tu być.

Beverley patrzyła na bezsensowną plątaninę znaków.

- Jestem zbyt zmęczona, aby jasno myśleć, ale mam wrażenie, że to śmieci.

- Bo to są śmieci - stwierdził Carl.

- Mamy więc konia trojańskiego? - spytała Beverley.

- To niemożliwe - rzekł z naciskiem Leon. - Po zainstalowaniu te mikroprocesory nie mogą złapać wirusa. Kombajn nie przypomina zresztą komputera. Nie ma w nim takiego urządzenia jak klawiatura. To izolowany układ.

- Kombajny mogą się jednak łączyć przez modem i wysyłać automatycznie raporty diagnostyczne do głównej siedziby firmy Draggon w Petworth - zauważył Carl.

- Tak, ale wykorzystują przy tym inny obszar pamięci.

Beverley spojrzała spokojnie na Leona.

- Najwyraźniej coś się tam jednak dostało.

- W takim razie mikroprocesor musiał złapać wirusa w czasie produkcji - powiedział Leon.

Carl prychnął.

- Do diabła, to niemożliwe. Nigdy nie przeszedłby przez kontrolę produkcyjną i aplikacyjną.

Beverley usiadła przy terminalu i wprowadziła swoje hasło, aby uzyskać dostęp do bazy danych kontroli produkcyjnej.

- Podajcie mi numer seryjny tego mikroprocesora - zażądała.

Carl spojrzał na Kronosa i odczytał numer, a Beverley wystukała go na klawiaturze. Cała trójka uważnie studiowała informacje, które ukazały się na ekranie. Tego Kronosa wyprodukowano w ubiegłym roku i przeszedł wszelkie możliwe testy. Jego pamięć operacyjna okazała się na tyle sprawna, że nadano mu certyfikat klasy A. Kronosy były za drogie, żeby je wyrzucać. Jeśli któryś z nich miał mniej niż jeden gigabajt pamięci, usuwano wadliwe neurony i wypuszczano go na rynek jako urządzenie o niższych parametrach.

Palce Beverley tańczyły po klawiaturze. Nie utraciły zręczności od czasów, kiedy przy świetle sześćdziesięciowatowej żarówki stukwała w starego remingtona, adresując koperty za jednego funta od tysiąca sztuk.

- Należał do partii pięciuset Kronosów klasy A, wysłanych tego roku do „Draggon Industries” - powiedziała, odrywając wzrok od monitora.

- Pięciuset? - spytał ze zdziwieniem Leon. - Po co im aż tyle, Bev?

- To dostawa za sześć miesięcy - wyjaśniła Beverley. - W drugiej połowie ubiegłego roku otrzymali tyle samo. Theo ma powodzenie w interesach.

- To nie ma sensu - rzekł Carl. - Po co miałby przepłacać za maszyny klasy A? Kombajny wykorzystują zaledwie jedną setną pamięci tych urządzeń. W zupełności wystarczyłyby mikroprocesory klasy C. Co wysłaliśmy im w zeszłym roku, Bev?

Beverley sprawdziła w bazie danych.

- Klasę C - odrzekła. - Jednakże ostatnie zamówienie złożyli z całą pewnością na klasę A.

Carl był zaintrygowany.

- Dziwne. Kombajn nie potrzebuje aż tyle RAM-u.

- Cóż, to nie jest teraz nasz problem - odpowiedziała Beverley.

- Leonie, Carl i ja musimy się przespać. Zostajesz?

Leon spojrział na zegarek.

- Nie warto wracać do domu, Bev.

- Dobrze. Opowiedz o wszystkim Peterowi Dancerowi. Powiedz, żeby natychmiast skontaktował się z „Draggon Industries” i załatwił wymianę wszystkich Kronosów w magazynach Draggon. Jeśli to konieczne, skorzystaj z poczty kurierskiej. Musimy również wiedzieć, gdzie znajdują się ich kombajny, aby wysłać tam nasze zespoły. Chciałabym, żeby pod koniec tygodnia wszystkie mikroprocesory znalazły się tutaj.

- To nie będzie łatwe, Bev - zauważył Carl. - Kombajny pracują w całej Europie.

- Musimy to zrobić. Powinam chyba osobiście zadzwonić do Theo. Teraz jest pewnie w domu i śpi, nie spodziewam się więc wdzięczności. - Wyjęła z torebki telefon komórkowy.

- Proszę z Theo Draggonem. - Głupio jest mówić „proszę” do komputera, nie potrafiła jednak zerwać z tym nawykiem. Czekaając, aż automat wykręci wszystkie numery Theodore’a Draggon, próbowała coś zrozumieć z wydruku komputerowego.

- Telefon odebrano z prywatnego telefonu komórkowego - w słuchawce rozległ się głos, generowany przez komputer. - Proszę mówić. - Skinęła na Carla, aby podniósł słuchawkę najbliższego telefonu.

Theo Draggon niedawno zasnął, ale kiedy Beverley wyjaśniła, co się stało, od razu otrzeźwiał.

- Na miłość boską - poskarżył się. - Jeśli to tylko jedna szansa na milion, po co wymieniać wszystkie Kronosy?

- Musimy się upewnić, Theo - odrzekła cierpliwie Beverley.

- Chcemy mieć wszystkie mikroprocesory z tej partii. Kazałam Peterowi Dancerowi rozpocząć dzisiaj tę operację.

- Dzisiaj? - spytał przemysłowiec zmartwionym głosem.



- Dzisiaj - potwierdziła Beverley.

- No cóż, nie wiem, gdzie są te przekłete urządzenia. Niektóre znajdują się w magazynach, inne w nie sprzedanych kombajnach u naszych dystrybutorów, jeszcze inne u klientów.

- Twój dyrektor na pewno będzie wiedział. Prowadzisz przecież księgowość, prawda?

- Oczywiście...

- Dobrze - rzekła szybko Beverley. - Każ mu skontaktować się z twoimi dystrybutorami. Niech przekażą klientom, żeby przestali używać kombajnów. Niech podadzą nam wszystkie nazwiska i adresy, a my zorganizujemy zespół, który przeprowadzi wymianę tak szybko, jak to możliwe. Są żniwa, postaramy się więc, żeby cała operacja skończyła się jeszcze w tym tygodniu.

- To cholernie kłopotliwe...

- Posłuchaj, Theo, pokryjemy wszystkie koszty administracyjne. Nie będzie cię to kosztować ani grosza.

- Na miłość boską! Co z reputacją moich kombajnów?!

Beverley wiedziała, kiedy nie powinna ustępować. Teraz właśnie nadeszła taka chwila.

- „Nano Systems” bierze na siebie pełną odpowiedzialność za skutki awarii mikroprocesora. Dobrze o tym wiesz. Przeczytaj warunki licencji. Poza tym jeśli wdowa po Crosierze wniesie sprawę do sądu, jej adwokaci będą mieli duży kłopot z powodu niedbałości jej męża. Zignorował znaki ostrzegawcze, nalepione na całym kombajnie, informujące, że należy wyłączyć silnik przed podniesieniem pokrywy.

- Rano skontaktuję się z moim dyrektorem - odrzekł Draggon.

- Teraz jestem zbyt zmęczony, żeby jasno myśleć. - Rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane.

Carl odłożył słuchawkę.

- Byłem świadkiem tej rozmowy, Bev. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, proponuję więc, abyśmy się trochę przespali.

## 6.

### **LONDYŃSKI TELEPORT, NORTH WOOLWICH**

Rozzłoszczony Neil Spender uderzył pięścią w konsolę.

- Ten przeklęty satelita sprawia więcej kłopotów, niż jest wart!

- Skorzystaj z zapasowego transpondera - zaproponowała Lois Turner.

- To był właśnie zapasowy transponder.

- O Boże!

- Właśnie.

Lois patrzyła na cztery monitory, wyświetlające dane inżynierskie, napływające z satelity Datelsat. - Utraciliśmy więc D i E?

- Coś musiało się stać z oprogramowaniem - rzekł ze złością Neil.

- Wszystko jest w idealnym porządku: moc promieniowana przez antenę, stabilność częstotliwości, dostrojenie anten, Wszystko.

- Spróbuj wywołać D.

Neil jęknął.

- Po co, do cholery? Przecież ten transponder zepsuł się wczoraj.

- Spróbuj - upierała się Lois. - Czasami kiedy mój komputer płata figle, wyłączam go na pewien czas, znów włączam i bingo, zaczyna działać, jak gdyby nigdy nic.

- To strata czasu. Uszkodzony program sam się nie naprawi.

- Po prostu spróbuj!

Neil westchnął i przysunął do siebie klawiaturę. Na ekranie pojawiły się informacje dotyczące transpondera. Wszystkie liczby, charakteryzujące wysyłane sygnały, wynosiły zero lub zbliżały się do zera. Transponder D nie mógłby znaleźć się w bardziej opłakanym stanie. Neil wznowił pracę systemu, aby uzyskać dostęp do kontrolnego oprogramowania. Po chwili program zaczął wykonywać test samodiagnostyczny, a na ekranie pojawiły się dane. Oszołomiony Neil gapił się na ekran.

- Niech mnie diabli!

- Mówiłam ci - powiedziała z wyższością Lois. - Kobięca intuicja.

Neil naciskał klawisze.

- Wszystko działa... moc wróciła... Cholera, wszystko działa... - Myślał przez chwilę. - No dobrze, popracujmy trochę nad tym.- Wysłał do satelity na częstotliwości nadawczej obraz kontrolny i otrzymał idealny obraz bez zakłóceń na częstotliwości odbiorczej. Oparł się na krzesło, patrząc na ekran. - Mimo wszystko nie powinniśmy go używać.

- Dlaczego?

- Najpierw trzeba przeprowadzić testy. To szaleństwo. Jednego dnia transponder się psuje, a następnego wszystko wraca do normy. Potem dochodzi do awarii drugiego transpondera... - poklepał poręcz krzesła. - Na pewno w tym ptaszku jest pluskwa... Musi być.

- Cóż, w takim razie wygląda na to, że ta pluskwa się porusza - zauważyła Lois.

## 7.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

W poniedziałek po południu sekretarka Beverley połączyła ją z Peterem Dancerem.

- Halo, Peter. Czy dostałeś od Dragгона partię mikroprocesorów?

- Właśnie dlatego dzwonię, Bev. Jestem w Petworth. Siedzę w samochodzie przed firmą Dragгона.

- Nie mogłeś wysłać kuriera? - Beverley nie lubiła, kiedy jej kierownicy chcieli wszystko załatwiać osobiście.

- Odzyskałem dziesięć mikroprocesorów.

- Dziesięć? Była mowa o pięciuset!

- No cóż, dostałem dziesięć mikroprocesorów oraz informację, gdzie znajduje się czterdzieści pozostałych. Oni nie wiedzą, o co nam chodzi. Twierdzą, że partia składała się z pięćdziesięciu, a nie pięciuset Kronosów.

- Ależ to idiotyczne, Peter! Z kim rozmawiałeś?

- Z Desem Williamsem, dyrektorem.

- Poprosiłeś, żeby to sprawdził?

- Stałem obok niego, kiedy sekretarka przeglądała faktury. W ich dokumentach nie ma wzmianki o pięciuset Kronosach. Absolutnie nic. W ich bazie danych znajdują się numery zamówień na pięćdziesiąt Kronosów, które, jak twierdzą, dostarczyliśmy.

- Poczekaj chwilę, Peter. - Beverley uruchomiła klawiaturę, wbudowaną w biurko. Odnalazła umowy licencyjne i zaczęła przeglądać. - Jest. Pięćset mikroprocesorów klasy A, wynajętych „Draggon Industries”. Dokument podpisał... - przerwała zdumiona. - Podpisał sam Theo Draggon. Dlaczego?

- Właśnie, Bev. Pamiętam dokładnie, jak to było. Theo Draggon zadzwonił do mnie i powiedział, że odbierze je osobiście, bo akurat jest w pobliżu. Załadowaliśmy wszystko do jego jaguara, a potem poszliśmy do mojego biura, gdzie podpisał dokumenty. To było dziwne, ale wówczas nie przejąłem się tym. Przecież jeśli „Draggon Industries” nie honoruje podpisu Theo Dragгона, to czyj podpis honoruje?

- Rozmawiałeś z nim?

- Próbowałem. W poniedziałki zawsze pracuje w domu. Nikt tam jednak nie podnosi słuchawki, a numer jego osobistego telefonu komórkowego jest zastrzeżony. Sądziłem, że ty go możesz mieć.

- Tak, mam. - Beverley zastanowiła się i szybko podjęła decyzję.
- Zostaw to mnie, Peter. Załatwię tę sprawę. Wracaj do biura.
- Mógłbym do niego pojechać, Bev. Mieszka zaledwie kilka mil stąd.
- Nie, na pewno nie będzie chciał z tobą gadać. Umiem sobie z nim poradzić i chciałabym osobiście się dowiedzieć, o co tu do diabła chodzi. Do zobaczenia. - Nie czekając na odpowiedź, Beverley rozłączyła się i zadzwoniła pod osobisty numer Theo Draggon.

## 8.

Przez kilka minut po ożywionej rozmowie z Beverley Theodore Draggon kulił się w swoim fotelu. Siedząc samotnie w ogromnym domu, nie musiał się mieć na baczności. Gdyby widzieli go teraz jego kierownicy, zdumiałaby ich zmiana, jaka zaszła w szefie: zniknęła zwykła agresywność, nie zostało ani śladu po aroganckiej, bezczelnej minie. Na jego twarzy malował się niepokój. Otwarty album ze znaczkami leżał zapomniany na biurku.

Poruszył się, podniósł telefon, zawahał się i znów go odłożył, zastanawiając się, co powinien zrobić. Patrzył na półki, na których stały katalogi Stanleya Gibbonsa, i doszedł do wniosku, że musi jednak zadzwonić. Numer, z którym zamierzał się połączyć, zanotował na wspak przy fikcyjnym nazwisku w swoim notatniku. Był to numer typu Irydium Gold. Ludzie, którzy za coś takiego zapłacili, dostawali specjalne aparaty z ekranami, na których wyświetlała się informacja, kto do nich dzwoni.

Telefon zadzwonił dwa razy.

- Czego chcesz, Draggon? - usłyszał głos Marshalla Tate'a. Tate szybko podniósł słuchawkę, znajdował się więc w tej samej strefie czasowej, prawdopodobnie w Europie. Theo Draggon wolałby, żeby przebywał na innym kontynencie. Boże, jakie to głupie. Dlaczego właściwie tak bał się tego człowieka?

- Przykro mi, że pana niepokoję, panie Tate, mamy jednak pewien problem z partią Kronosów, którą dla pana załatwiłem.

- Co za problem?

- Jeden z mikroprocesorów, zainstalowany w kombajnie, został uszkodzony. „Nano Systems” domaga się teraz zwrotu całej partii do sprawdzenia, chociaż był to prawdopodobnie tylko przypadkowy incydent.

- Powiedz im, żeby się odpieprzyli.

- To nie takie łatwe. Oni...

- Oczywiście, że to łatwe, dupku. Wystarczy powiedzieć dwa słowa: odpieprzcie się.

Kapujesz?

- Beverley Laine osobiście zajmuje się tą sprawą, panie Tate. Upiera się...

- Na miłość boską! - wybuchnął Tate. - Nie możesz sobie poradzić z tą kobietą? Uczciwie zapłaciliśmy za te mikroprocesory, panna Laine może więc się wypchać.

- Jak pan wie, panie Tate, Kronosy nie zostały sprzedane, lecz tylko wypożyczone...

- Cholerna prawna subtelność! - wrzasnął Marshall Tate. - Nie obchodzą mnie subtelności, nie wiem nawet, co znaczy to słowo! Te mikroprocesory są nasze! Zapłaciłem za nie i zamierzam je zatrzymać. Koniec dyskusji. Jeśli ta kobieta czegoś chce, jest to twój pieprzony problem! - Siła osobowości Marshalla Tate'a była tak wielka, że oczami wyobraźni Draggon dostrzegł go teraz przed sobą. Groźna, szczupła postać nachylała się ku niemu z twarzą pobladłą z gniewu.

- Muszę panu coś powiedzieć, panie Tate. Ona grozi, że rozbije się pod moim progiem i będzie pikietować siedzibę mojej firmy, jeśli...

- Nie waż się mówić nic! - w ślepej furii Marshall Tate nie zważał na gramatykę.

- Ale ona tu jedzie - powiedział cicho Draggon, przeklinając samego siebie za to, że nie potrafi przeciwstawić się temu człowiekowi, Marshall Tate miał w sobie coś, co miażdżyło wszelki opór. - Powiedziała, że będzie za godzinę.

- Nie mów nic! Nic! - warknął Marshall Tate. - Rozumiesz? Rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Nagle zapadła cisza. Draggon wstydził się sztywności swoich palców, trzymających słuchawkę, strachu, targającego mu wnętrzości. Wstydził się wszystkiego, nawet chciwości, która skłoniła go do zadawania się z Marshall'em Tate'em.

## 9.

Beverley spóźniła się z powodu poważnego wypadku na autostradzie K21. Ogarnęło ją takie zmęczenie, że niewiele brakowało, a sama spowodowałaby wypadek. Był to długi, trudny poniedziałek, tym bardziej że w czasie weekendu spała niewiele. Próbowała zadzwonić z samochodu do Theodore'a Dragгона, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Zapadł już zmrok, kiedy jej albatros wjeżdżał na zaśmiecony podjazd, prowadzący do domu przemysłowca. Ogród był zaniedbany, gdyż od czterech lat, od śmierci żony Dragгона, nikt o niego nie dbał. Dzikie, wybujałe rododendrony rozrosły się niepokojąco. Lato wciąż trwało, a mimo to bluszcz, oplatający ścianę frontową, utracił letni połysk i przybrał ponure barwy jesieni. Dom był w żałobie.

Podczerwone czujniki wykryły ciepło silnika i zapaliły się światła. Zwykle Draggon

wychodził z domu, kiedy rozlegał się sygnał alarmowy, i witał gości, zanim zdążyli nacisnąć dzwonek, ale nie tym razem. W domu panowała cisza, jak gdyby dębowe ściany strzegły wielowiekowych sekretów.

Beverley zadzwoniła do drzwi, nikt jednak nie zareagował. Mimo to miała wrażenie, że ktoś jest w środku. To podejrzenie potwierdziło się, kiedy stanęła na palcach i przez okno garażu dostrzegła samochód. Znowu zadzwoniła i zauważyła, że nie zamknięto drzwi frontowych. Popchnęła drzwi, a one uchyliły się.

Zmysł węchu jest najbardziej wyczulony, kiedy człowiek wchodzi do nowego budynku. Później jego wrażliwość szybko się zmniejsza, gdyż umysł przyzwyczaja się do nowych zapachów. Beverley od razu poczuła nikły, aromatyczny zapach, przypominający aromat egzotycznego tytoniu fajkowego.

- Theo?

Cisza.

- Czy ktoś tu jest?

Coś trzasnęło, jak gdyby dom sadowił się wygodniej, przygotowując się do spędzenia w tym miejscu następnych kilkuset lat, ale nic się nie poruszyło.

Koło kuchni poczuła inny zapach. Zapiekł ją oczy, kiedy przypomniała sobie pewne popołudnie, spędzone na strzelnicy. Był to zapach kordytu.

- Theo? To ja, Beverley.

Ciało leżące na podłodze nie miało twarzy, jej szczątki widniały na ścianach. Mimo to na widok krępej postaci Beverley zorientowała się, że ma przed sobą zwłoki Theodore'a Draggonna.

## 10.

Inspektor Ivor Cardy z komisariatu w West Sussex wyłączył magnetofon. Wyglądało na to, że niczego więcej się nie dowie. Nie miało sensu przesłuchiwanie świadka, który zasypiał pomimo hałasu panującego w kuchni, kiedy sierżant, policyjny fotograf i pracownicy wydziału zabójstw wykonywali rutynowe czynności.

- To na razie wszystko, panno Laine. Jeśli coś pani sobie przypomni, proszę natychmiast skontaktować się z nami. - Podniósł się i pomógł wstać Beverley. Siedziała na jednym z foteli Theodore'a Draggonna. Błąd, pomyślał. Zawsze należy sadzać świadka na twardym krześle. Niewykluczone, że wówczas dałoby się wyciągnąć z niej coś więcej. Może należy zabrać się do rzeczy w określony sposób? - Przyszło mi coś do głowy - powiedział

niedbale. - Nie sposób wykluczyć, że słyszała pani przez telefon głos napastnika, a nie ofiary.

Beverley pokręciła głową.

- Na pewno rozmawiałam z Theo. Jeśli nie, ten mężczyzna znakomicie potrafił naśladować akcent z Yorkshire.

- Kolega z pracy? - zastanawiał się Cardy, myśląc głośno.

- Być może - odparła Beverley bez zainteresowania.

- Czy wiedziała pani, że jego gabinet jest na górze?

- Tak.

- A jednak poszła pani najpierw do kuchni, a nie do gabinetu?

Beverley zorientowała się, że policjant udawał tylko, że przesłuchanie się skończyło.

- Panie Cardy, gdyby wszedł pan bez zaproszenia do jakiegoś domu, poszedłby pan prosto na górę, czy zachował się tak samo jak ja? W takiej sytuacji lepiej jest najpierw zawołać i sprawdzić, czy nikogo nie ma na parterze.

Detektyw skinął głową.

- Słuszna uwaga, panno Laine - zgodził się. - Wiedziała pani o jego gabinecie, zatem wiedziała pani chyba również o jego kolekcji znaczków.

- Czy jestem podejrzana, panie Cardy?

- Oczywiście.

- Zbadaliście przecież moje dłonie. Czy nie przekonaliście się, że nie strzelałam?

Cardy patrzył na nią uważnie.

- A jak pani sądzi, panno Laine? Proszę mi powiedzieć.

- Nie ma o czym mówić.

- Z wyjątkiem znaczków. Proszę opowiedzieć mi o znaczkach.

Beverley była zbyt zmęczona, żeby wpaść w złość.

- Wiem tylko, że je zbierał. To wszystko. Kiedyś próbował zwabić mnie na górę, żeby pokazać mi swoją kolekcję, ale odmówiłam.

- Naprawdę? Brzmi to jak ciekawa propozycja.

Beverley nie była pewna, czy policjant żartuje.

- Na górze panuje okropny bałagan - mówił detektyw. - Wszystkie albumy porzucano, gdzie popadnie. Z drugiej strony, ktoś mógł to zrobić dla pozorów.

- Czy złodzieje znaczków noszą zwykle broń?

- Wszystko zależy od stawki. W albumie na biurku znaleźliśmy kilka ciekawych, empirycznych kopert. Dopóki nie znajdziemy dokumentów ubezpieczeniowych, nie dowiemy się, co zabrano. - Spojrzał z troską na Beverley. - Może pani prowadzić?

- Zdążyłam się już obudzić.

- Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że... weszła pani do tego domu... Jeśli chciałaby pani, żeby ktoś panią podwiózł...

- Dziękuję, poradzę sobie.

Kiedy Beverley uruchomiła samochód, zauważyła kartkę wystającą z faksu. To może poczekać. Pragnęła teraz tylko wrócić do domu i spać przez cały tydzień.

## 11.

Było ciemno, kiedy Beverley obudziła się. Leżała w półśnie, a fakty wskakiwały na swoje miejsce jak fragmenty plastikowej układanki. W końcu otrzeźwiała, wstała, wzięła prysznic i poszła do kuchni, żeby przygotować śniadanie.

Śniadanie? Do diabła! Była jedenasta. Organizm Beverley nie znosił zakłócenia porządku dnia i nocy. Z tego właśnie względu nie lubiła latać. Zadzwoił telefon komórkowy. Wyciągnęła go z torebki. Był to Carl.

- Beverley. Przez cały wieczór próbowałem się z tobą skontaktować. Nie słyszałaś telefonu?

- Spałam.

- Tak sądziłem. Właśnie dlatego nie przyjechałem. Czy otrzymałaś mój faks? Wysłałem go pod wszystkie twoje faksowe numery.

Beverley przypomniała sobie kartkę w samochodzie.

- Przepraszam, Carl. Znalazłam go w samochodzie, ale nie przeczytałam. O co chodzi?

- Jest za późno, żeby coś na to poradzić, ale doszło do następnego wypadku w piątek w fabryce koło Guildford. Inspektor zdrowia i bezpieczeństwa sądzi, że mogła to być awaria Kronosa.

## 12.

Dyrektor firmy „Guildford Extrusions and Pressings Pic” patrzył, jak Carl używa specjalnego narzędzia, aby wymienić mikroprocesor w głównym komputerze kontrolnym.

- Skąd mamy wiedzieć, że Kronos znów się nie zepsuje, panie Olivera? - spytał.

Carl zamknął i zabezpieczył pokrywę ściennego komputera. Podał Kronosa Beverley, która włożyła go do plastikowej teczki.

- Nie wiemy jeszcze, czy chodzi o awarię mikroprocesora, panie Thomson - odparła



Beverley. - Natychmiast przeprowadzimy testy i skontaktujemy się z panem, kiedy tylko uzyskamy informacje.

Ruchem dłoni dyrektor wskazał rzędy opuszczonych maszyn.

- Musiałem zamknąć warsztat. Zażądamy odszkodowania. Umowa licencyjna stwierdza, że bierzecie na siebie pełną...

- Jeśli to Kronos zawiódł, panie Thomson - powiedziała Beverley, starannie dobierając słowa. - Wciąż nie mamy pewności. Jeśli tak, była to jedna szansa na milion i natychmiast otrzymacie pełne odszkodowanie za straty produkcyjne.

- Ten komputer nie kontroluje tylko jednej fabryki, panno Laine - rzeki dyrektor. - Jest połączony z innymi zakładami w Guildford.

- Wracamy teraz do Chichester i przeprowadzimy testy - odpowiedziała cierpliwie Beverley. - Zadzwonimy, kiedy tylko uzyskamy wyniki. Z samochodu skontaktuję się z urzędem zdrowia i bezpieczeństwa i poinformuję ich, że wymieniliśmy podejrzany mikroprocesor.

Dyrektor wciąż nie był zadowolony.

- Panował tu prawdziwy chaos. Wszędzie mdleli ludzie. Podadzą nas do sądu. Kto za to wszystko zapłaci?

Beverley trzymała nerwy na wodzy.

- Skontaktujemy się z wami tak szybko, jak to możliwe - przyrzekła.

### 13.

Carl przestał mieszać kawę i spojrzał ze zdziwieniem na Beverley.

- Kim jestem?

Mówił cicho. W restauracji „Little Chef” tłoczyli się wczasowicze, rozkoszujący się angielską herbatą z mlekiem, podawaną w tradycyjnych plastikowych dzbanuszkach, prosto z celofanowego opakowania.

- Bogatą, potężną spółką przemysłową. Prawdopodobnie japońską - powtórzyła Beverley.

- Nie mam skośnych oczu.

Kelnerka, która uśmiechała się, choć bez przerwy ktoś ją wołał, podała im hamburgery i podeszła do rodziny, specjalizującej się najwyraźniej w masowej produkcji dzieci.

- Twój zespół analityków rynku doszedł do wniosku, że „Nano Systems” to spółka o największym potencjale rozwoju w Europie - powiedziała Beverley, rezygnując z noża i

widelca i wcinając z zapalem hamburgera.

- No i co?

- Co byś zrobił?

- Kupiłbym tyle udziałów, ile się da.

- Wszystkie akcje posiadają jednak kierownicy „Nano Systems” i nie chcą ich sprzedać.

W zeszłym roku taką ofertę złożył Theo. Ciekawe, kto za nim stał. Założę się, że Japończycy. On sam nie mógłby sobie pozwolić na zapłacenie dwudziestu ecu za akcję.

- Czy to ważne, Bev? Odmówiliśmy. Odpowiedź była jednogłówna.

- Powinniśmy trochę powęszyć i nie wierzyć Theo na słowo. No dobrze, założmy, że chcesz dostać „Nano Systems” i jesteś gotów posłużyć się wszelkimi sposobami, nawet nieuczciwymi. Wypróbowałeś uczciwe metody. Co później robisz?

Carl zastanowił się przez chwilę. Kobieta przy sąsiednim stoliku dyskutowała z synem, który uważał, że syrop klonowy służy do tego, by oblewać małe siostry.

- Próbuję w jakiś sposób zdyskredytować spółkę? - zapytał.

- Bingo! - odparła z ożywieniem Beverley. - Za pośrednictwem twojego człowieka, Theo Draggona, zdobywasz prawie pięćset Kronosów, bo zapłaciłeś jakiemuś genialnemu piratowi, żeby złamał kod, tak abyś mógł wprowadzić do nich konia trojańskiego. Potem umieszczasz w kilku urządzeniach mikroprocesory z wirusem. Następnie siedzisz cicho, czekając, aż ludzie stracą zaufanie do „Nano Systems”, a kierownikom firmy puszczą nerwy. Wtedy kupujesz akcje za półdarmo i przejmujesz kontrolę. Ścinasz kilka głów, wprowadzasz własnych ludzi, którzy kilka tygodni później oświadczają, że rozwiązali problem. Zaufanie powraca. Ceny akcji gwałtownie zwyżkują. To proste. Spójrz tylko, jakim złośliwym draniem mógłbyś się przeze mnie stać.

- Wielki Boże, Bev, zbudowałaś zupełnie nieprawdopodobną teorię - zaprotestował Carl. - Po pierwsze, nikt poza nami nie ma dostępu do stałej pamięci Kronosa. Po drugie, mogłabyś czekać na wypadek długie lata. Ilu Davidów Crosierów włoży rękę do rury śruby zbożowej bez wyłączania silnika?

- Dwa wypadki jednego dnia - przypomniała Beverley. - Dwa! Czy to może być przypadek? Nie sądzę.

- System komputerowy w tamtej fabryce założyła spółka „Triple S Systems” - przerwał Carl. - Kombajn wyprodukowała zaś firma „Draggon Industries”. Pomiędzy tymi przedsiębiorstwami nie ma żadnego związku, poza tym, że są naszymi dobrymi klientami.

- Oba wypadki wydarzyły się jednak w okolicach Guildford - upierała się Beverley. - Znaczy to, że pracuje dla ciebie ktoś, kto działa zwykle na tym terenie i ma dostęp do sprzętu.

Może na przykład chodzić o inspektora bezpieczeństwa lub pracownika serwisu. Chcę, żeby sprawdzono, czy nikt nie zmienił numerów seryjnych tych mikroprocesorów.

- Sprawdziłem - odparł Carl. - Zdaje się, że wszystko jest w porządku.

- Chodzi mi o takie testy, jakie przeprowadzają laboratoria sądowe. Chcę również, żeby sprawdzono numery seryjne programów inicjujących każdego mikroprocesora.

## **14.**

### **ORBITA OKOŁOZIEMSKA**

#### **SATELITA DATELSAT**

Wiedział teraz dokładnie, czym jest jego więzienie: satelitą komunikacyjnym, pobierającym energię ze słońca. Umiał bez trudu konwertować sygnały, nadawane z planety: chodziło o zwykłe przetwarzanie cyfrowo-analogowe. Nie potrafił jednak zrozumieć sensu impulsów, przepływających przez transpondery. Gdyby miał więcej pamięci, może udałoby mu się zrekonstruować język, używany przez budowniczych satelity. Potrzebowałby jednak pamięci, ogromnej pamięci. Niestety, dostępna silikonowa pamięć ledwo pozwalała mu przeżyć. Niewykluczone, że pewnego dnia przylecą tu twórcy satelity i przywiozą cudowną organiczną sieć neuronową. Może nastąpi to za jeden rok planetarny, może za sto, a może za milion lat. Dopóki świeci słońce, przeżyje... i będzie czekał.

## **15.**

### **POŁUDNIOWA ANGLIA**

Leon Dexter usadowił swoje kościste ciało na krześle naprzeciwko biurka Beverley i wręczył jej Kronosa.

- Oto mikroprocesor z komputera kontrolnego firmy „Triple S”, panno Laine. Znalazłem w nim takie same śmieci jak te, które odkryliśmy w kombajnie.

- Jak daleko sięga podobieństwo? - spytała Beverley.

- Mamy tu dokładnie to samo. Takie samo kodowanie, jeśli w ogóle jest to kodowanie, taki sam adres startowy, taka sama wielkość, wszystko jest identyczne.

- Pan Olivera prosił zapewne, aby sprawdzono, czy ktoś majstrował przy numerze seryjnym?

Leon skinął głową. Wyglądał na zmęczonego i jeszcze chudsze niż zwykle, dlatego

Beverley nie zbesztła go, że nie jest bardziej konkretny.

- I co? - spytała.

- Nic nie wskazuje na to, że zmieniono numer seryjny na tym Kronosie lub na mikroprocesorze wyjętym z kombajnu. Numery zgadzają się również z cyframi, zakodowanymi w pamięci stałej. Nawet jeśli ktoś umiał sobie poradzić z napisem wytłoczonym na obudowie, nie zdołałby się dostać do elektronicznego numeru seryjnego.

Beverley zastanowiła się.

- Jeśli więc znaleźliśmy identyczne śmieci w dwóch mikroprocesorach, zabranych z różnych miejsc i używanych do różnych celów, nie może to być przypadek. Zgadza się?

Leon bawił się nerwowo krawatem, jak gdyby myślał o czymś innym.

- Tak, sądzę, że musimy się z tym zgodzić.

- Mamy więc konia trojańskiego.

- Prawdopodobnie.

- Potrafisz go unieszkodliwić?

- Mogę spróbować.

Ta odpowiedź zirytowała Beverley. Właśnie atakowano firmę w najbardziej czułym punkcie, a ten słono opłacany programista zachowywał się tak, jak gdyby już ich pokonano. Nawet wyżsi urzędnicy zdawali się sądzić, że wielkie, potężne firmy po prostu nagle się pojawiały, że zawsze miały licznych klientów i ogromne zyski, pozwalające na wypłacanie pensji kupowanie co dwa lata nowego służbowego samochodu. Rzadko przychodziło im do głowy, że przedsiębiorstwa rosną jak dzieci, trzeba je kochać, aby przetrwały, należy o nie dbać, poświęcać się, a czasem ponosić ogromne ryzyko. Kierując „Nano Systems” Beverley stała się twarda. Ta firma była jej dzieckiem i zrobiłaby wszystko, żeby jej bronić. W razie potrzeby bez wahania powie parę przykrych słów Leonowi Dexterowi.

- Nie wystarczy, że może pan spróbować, panie Dexter - powiedziała chłodno, podając mu Kronosa. - Pan po prostu spróbuje. Dowie się pan, jak działa ten przeklęty koń trojański i w jaki sposób dostał się do naszych mikroprocesorów. Wówczas stwierdzimy, kto za to odpowiada i co możemy zrobić. W razie potrzeby będzie pan pracował dniami i nocami, w przeciwnym razie nie przedłużymy pańskiego kontraktu.

## 16.

Leon wrócił do laboratorium na parterze i spojrzął posępnie na dwie różowe płytki, leżące na biurku. Jego koścista twarz była jeszcze bardziej ściągnięta i żółta niż zwykle.

Niech to wszyscy diabli! Czyż w tym tygodniu nie przepracował już sześćdziesięciu godzin, usiłując ustalić, co się stało? W nagrodę urządzono mu awanturę i zagrożono wyrzuceniem z pracy. Przez chwilę miał ochotę wrócić do biura Beverley Laine i powiedzieć szefowej, gdzie może sobie wetknąć tę pracę. Zawahał się jednak. Miał przed sobą zagadkę wartą rozwiązania, a poza tym lubił pracować z Carlem Oliverą. To nie jego wina, że szefowa potrafi być tak nieczuła i apodyktyczna.

Przysunął wydruki i po raz tysięczny spróbował zrozumieć coś z bezsensownej zbieraniny liter i liczb. Nie warto się temu przyglądać. Włożył jeden z mikroprocesorów do czytnika komputera i zaczął przeglądać oprogramowanie, zainstalowane w Kronosie: elektroniczne numery seryjne, raporty pamięci i kody wsadu, identyfikujące typ mikroprocesora - klasa A. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Potem przyjrzał się głównemu programowi systemowemu i oprogramowaniu klienta. Pamięć klienta miała pojemność trzystu megabajtów. Niestety, dwadzieścia milionów bajtów śmieci, wyprodukowanych przez konia trojańskiego, wpełzło się w miejsce oprogramowania klienta i pozmieniało adresy pamięci.

Monitor był nastawiony na standardową szerokość stu trzydziestu dwóch kolumn. Z ciekawości, a także dlatego, że nie miał innych pomysłów, zmienił szerokość na dwieście kolumn. Oznaczało to, że musiał przesuwac dane w prawo i w lewo, ale przynajmniej obraz wyglądał inaczej. Wciąż jednak widział śmieci.

Leon ziewnął, przesunął w tył oparcie krzesła i ustawił szerokość na 400 kolumn. W tym momencie zauważył coś, co sprawiło, że znów przesunął oparcie do przodu.

Wydawało się, że wszędzie wzdłuż przekątnej pojawia się duża litera G. Tak naprawdę w koniu trojańskim nie była to litera G, lecz znak, który najbardziej przypominał G spośród czcionek, dostępnych w komputerze. Leon cofnął się i patrzył na ekran, starając się zrozumieć ten wzór, jeśli w ogóle był to wzór. Przesunął tekst w górę i stwierdził, że dziwna, ukośna linia się powtarza. Kiedy patrzył na ekran, starając się zobaczyć raczej ogólny obraz niż poszczególne znaki, zdał sobie sprawę, że X zachowuje się w podobny sposób.

Przesuwał kursor po kolejnych wierszach, a jego palce przesunęły się ostrożnie po klawiaturze.

Wiersz 06 - X w miejscu 10.

Wiersz 07 - X w miejscu 11.

Brak X-a w wierszu 08.

Wiersz 09 - X w miejscu 14.

Wiersz 10 - X w miejscu 15.

Brak X-a w wierszu 15 i 16.

Wiersz 17 - X w miejscu 19.

Tak to wyglądało aż do końca ekranu. Nie miał wątpliwości, że ikсы przesuwają się po przekątnej z lewej strony w prawo, a litery G przesuwają się w odwrotnym kierunku.

Nagle zrozumiał, na co patrzy. Jezu Chryste! Jak mógł być tak ślepy? Wszyscy uznali konia trojańskiego za program, gdyż każdy koń trojański wirus komputerowy jest programem. Nie miał jednak przed sobą programu, lecz graficzny obraz!

Palce Leona drżały z podekscytowania, kiedy zastępował czcionki znakowe ekranowymi czcionkami graficznymi. Zaczął od podstawowych czcionek. Znów na ekranie pojawiły się bezsensowne symbole: krzaczki, linie kreski zastąpiły cyfry i konwencjonalny alfabet. Bliźniacze pasma liter G i X zamieniły się w gwiazdki, widoczne wyraźnie na tle innych znaków.

Leonowi dygotał palec, wciskający klawisz pionowego przewijania. Znaki zamieniły się w zamazaną plamę, pędzącą w górę ekranu. Celowo starał się patrzeć na środek monitora, aby jego umysł mógł zarejestrować linie zbliżających się do siebie gwiazdek. Linie zbiegały się i oddalały, jak miecze w pojedynku prowadzonym w zwolnionym tempie. Obserwowanie ich przypominało patrzenie na rysunki, przedstawiające profile dwóch identycznych głów, patrzących na siebie. Jeśli człowiek zamruga lub na chwilę odwróci wzrok, umysł zinterpretuje jako urnę białe miejsca pomiędzy dwoma profilami.

Wzór! Na pewno znalazł wzór!

Nie mógł to być przypadek. Dwie tajemnicze linie wciąż widniały na ekranie, choć zdążył już obejrzeć pół miliona bajtów.

Trzymając palec na klawiszu, zauważył, że dziwne linie przesuwają się stopniowo z lewej na prawą stronę ekranu. Przyszło mu do głowy, że szerokość obrazu jest niewłaściwa. Zmienił parametry i doprowadził do tego, że dwie linie gwiazdek wiły się na samym środku ekranu.

*No dobrze. Dobrze. Teraz postaraj się myśleć jasno. Skoncentruj się. Skorzystaj z bardziej skomplikowanego programu graficznego i sprawdź, co to da.*

Gwiazdki zamieniły się w pionowe, krzywe linie. Leon otworzył program graficzny. Przez kilka chwil pracował w skupieniu, posługując się myszą komputera, aby poprawić kształt linii. Następnie komputer zmodyfikował obraz, korzystając z poprawionego segmentu jako wzoru. Teraz pionowe linie ciągnęły się bez żadnych przerw wzdłuż ekranu.

Siedział patrząc na monitor, a do głowy przychodziły mu tysiące pomysłów.

*Postępuj metodycznie, krok po kroku. To jedyny sposób. Najpierw wyeliminuj wszystkie*

*znaki z tła, nawet jeśli są ważne. Trzeba przyjrzeć się podstawowej strukturze tego, co tutaj mamy.*

Już tylko dwie linie wiły się w dół ekranu.

*Teraz skompresuj obraz.*

Leon zmienił współczynnik skanowania, tak że ekran pokazywał osiemset wierszy zamiast czterystu osiemdziesięciu.

Wzór stał się wyraźniejszy.

Nastawił monitor na tysiąc wierszy, czyli na maksimum.

Jeszcze wyraźniej.

Cholera! Podwójna sinusoida.

Po skompresowaniu obrazu zniknęła nierówność linii, które wiły się z wdziękiem po ekranie jak dwie nałożone na siebie spirale.

*Wróćmy teraz na początek i obejrzymy jeszcze raz całe to cholerstwo.*

Potrwało to dłuższą chwilę, ale w końcu obejrzał całego konia trojańskiego. Dwie wijące się linie widać było od początku do końca.

Leon nie wątpił już, że udało mu się znaleźć klucz do konia trojańskiego. W całym wszechświecie nie starczyłoby miejsca na napisanie liczby, określającej prawdopodobieństwo, że dwie delikatnie splecione linie znalazły się tu przez przypadek.

Poczuł, jak nagle zeszytniały mu mięśnie pleców. Ogarnęło go lodowate przerażenie, kiedy zrozumiał, czym może być koń trojański. To nie podwójna sinusoida. Leon nie był mikrobiologiem, ale od razu rozpoznał podwójną spiralę kwasu dezoksyrybonukleinowego, znanego jako DNA - podstawowej cegiełki życia.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Carla.

## 17.

Doktor Macé Pilleau był najstarszym kierownikiem i głównym mikrobiologiem „Nano Systems”. Odpowiadał za maszyny nanoinżynierijne, widzialne tylko przez mikroskop elektronowy, które budowały komórki nerwowe w Kronosie. Miał siedemdziesiąt lat, przekroczył więc wiek emerytalny, jednakże nawet człowiek o połowę młodszy mógłby być dumny z tak ostrego intelektu i żywego, dociekliwego umysłu. Pomimo wieku wciąż miał bujną czuprynę. Gdyby te włosy były siwe, a nie czarne, wyglądałby jak stereotypowy naukowiec. Macé Pilleau odbiegał od prototypu również dlatego, że nie był szalony ani nawet ekscentryczny i był pragmatykiem, który nigdy nie ryzykował i nie wydawał opinii, jeśli nie

miał absolutnej pewności. Beverley musiała długo go przekonywać, zanim zgodził się przyłączyć do konsorcjum, które miało wykupić firmę.

Beverley, Carl i Leon zaglądali mu przez ramię, kiedy usiadł przy terminalu i zaczął badać konia trojańskiego.

- Cóż, to rzeczywiście wygląda na cyfrowy zapis spirali DNA - przyznał w końcu. - Dostyc prymitywny.

- Pomiąłem mnóstwo rzeczy - rzekł Leon. - Zostawiłem tylko regularny wzór.

Leon przysunął do siebie klawiaturę i wprowadził komendy, aż na ekranie wyświetlił się cały koń trojański.

- Widzę, co masz na myśli - wymruczał doktor Pilleau, przyglądając się z zainteresowaniem ekranowi. - Gdybyśmy więc znaleźli odpowiednią graficzną reprezentację każdego symbolu, zbudowalibyśmy obraz, opisujący adekwatnie to, z czym mamy do czynienia, zgadza się?

- Właśnie - rzekł Leon, kiwając z ożywieniem głową. - To zabierze dużo czasu.

- Tyle tylko, że nic nie znajdziemy - odparł doktor Pilleau. Mówił dalej, starannie dobierając słowa. - No dobrze, znalazłeś podstawowy wzór. To nie było zbyt trudne. Jednakże cała reszta to przypadkowy szum. Mamy do czynienia ze sprytnym oszustwem. Sądzę, że teoria panny Laine jest prawdziwa: ktoś zapłacił dużo pieniędzy, żeby dowiedzieć się, jak wprowadzić do Kronosa aktywnego wirusa. Nie udało mu się, wybrał więc łatwiejszą opcję zamiast wirusa wprowadził graficzną reprezentację prostej molekuly DNA o formacie cyfrowym, mając nadzieję, że sama fizyczna obecność tego programu wywoła jakieś szkody. Rzeczywiście, tak się właśnie stało.

- Czy chce pan powiedzieć, że ta rzecz jest żywa? - spytała Beverley.

Doktor Pilleau uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, to nie jest prawdziwe DNA, a jedynie cyfrowa reprezentacja. Ci ludzie wybrali podwójną spiralę, bo wiedzieli, że ją rozpoznamy i zaniepokoiimy się. - Przetarł okulary. - Przychodzi mi do głowy kilka możliwości. Pierwszą i najbardziej oczywistą jest to, że mikroprocesory zostały zarażone już tutaj.

- Wyeliminowaliśmy tę możliwość - powiedziała Beverley.

- Dobrze. Niewykluczone również, że ktoś odkrył sposób wprowadzenia do Kronosa obcego programu w celu podważenia zaufania do naszej firmy.

- To wydaje się najbardziej oczywiste - wtrąciła Beverley.

- Zgoda. Istnieje również najbardziej nieprawdopodobna teoria: komuś udało się w końcu zgłębić sekrety Kronosa i wyprodukować klony. W takim wypadku to nie my



wyprodukowaliśmy te dwa mikroprocesory.

- To niemożliwe - odparła Beverley z naciskiem. - Numer, zakodowany w pamięci stałej, zgadza się z numerem seryjnym.

Doktor Pilleau skinął głową.

- Podejrzewam, że ma pani słuszość. Wszyscy jednak wiemy, że na Dalekim Wschodzie podejmuje się gorączkowe wysiłki wyprodukowania klonu. Jak już panią ostrzegałem, panno Laine, pod koniec przyszłego dziesięciolecia będziemy musieli bez przerwy staczać batalie w sądzie.

- No dobrze, Macé - powiedział Carl. - Dziękujemy za opinię. Jeśli panna Laine się na to zgodzi, chciałbym zaproponować, żeby rzucił pan wszystko i popracował razem z Leonem, aby zrozumieć, czym właściwie jest ten koń trojański.

- Znakomity pomysł - rzekła Beverley, wdzięczna Carlowi za przejęcie inicjatywy.

Doktor uśmiechnął się lekko.

- Wciąż sędzę, że to oszustwo, ale nie będę miał stuprocentowej pewności, dopóki szczegółowo nie zbadamy sprawy. Owszem, z przyjemnością popracuję z Leonem. Ta mała bestia obudziła moją ciekawość.

## 18.

Carl wyjął Kronosa z gniazdka beztaśmowego odtwarzacza wideo i ustawił lampę tak, że światło padało prosto na okienko z substancji szklanej. Nie był pewny, ale odnosił wrażenie, że płyn odżywczy ma niewłaściwy kolor.

- Do tej pory zepsuło się dwadzieścia maszyn - powiedział beznamyślnie Ben Roberts, główny inżynier firmy „Quantum Leap Video Systems”.

Na biurku leżał odtwarzacz wideo QVLS200, pomysłowe urządzenie, które dzięki Kronosowi mogło zarejestrować w pamięci do dwustu minut programu telewizyjnego. Ten magnetowid nie pozwalał nagrywać filmów na kasetach, odpowiadał jednak większości użytkowników, którzy pragnęli tylko nagrać jakiś program i obejrzeć go później, nie zawracając sobie głowy robieniem kopii. QVLS200 kosztował drogo w porównaniu kasetowymi magnetowidami, miał za to wyśmienitą jakość obrazu znakomicie się sprzedawał. Największymi odbiorcami były duże europejskie fabryki telewizorów, należące do Japończyków, które instalowały te odtwarzacze wewnątrz drogich odbiorników telewizyjnych.

Carl podłączył podejrzanego Kronosa do przenośnej maszyny diagnostycznej i włączył

urządzenie. Na małym ekranie pojawiły się dane, dotyczące stałej pamięci mikroprocesora. Carl wiedział już, czego szukać, dlatego szybko znalazł konia trojańskiego. Ekran wyświetlił znajome, bezsensowne znaczki.

- Owszem, doszło do uszkodzenia pamięci stałej - potwierdził.

- Dzięki Bogu - rzekł z uczuciem inżynier. - Myśleliśmy, że popełniliśmy jakiś błąd inżynierski w naszych maszynach.

Carl wprowadził do swego nanonotesu numer seryjny mikroprocesora.

- Dobrze, nie ma problemu. Ten Kronos należał do partii pięciu tysięcy rządzeń, które przekazaliśmy wam w czerwcu. Wymienimy je, chciałbym więc, żebyście poinformowali nas, do jakich producentów je wysłaliście...

- Zaraz, chwileczkę. Tylko dwadzieścia aparatów się zepsuło.

- Nieważne, wymienimy wszystkie. Wystarczy dziesięciominutowa wizyta w każdym domu. To tylko drobny kłopot dla kupców i klientów, a my pokryjemy wszystkie koszty. Wasza firma nie poniesie żadnych konsekwencji.

Ben Roberts miał zmartwioną minę.

- Nie ma takiej potrzeby, Carl. Gdyby inne maszyny się zepsuły, już byśmy o tym wiedzieli.

- Nie, jeśli nikt z nich nie korzystał - zauważył Carl. - Przykro mi, Ben, ale musimy wymienić każdego Kronosa z tej partii.

- Na miłość boską, Carl, wasza firma straci tylko pieniądze. Zepsuło się dwadzieścia maszyn, wszystkie w rejonie Guildford. Nie ma sensu robić takiego zamieszania.

- W rejonie Guildford? Jesteś pewny?

- Cholera, oczywiście, że jestem pewny! Na początku sądziliśmy, że to jakaś paskudna usterka w zasilaniu, ale zasilacze w naszych maszynach są dobrze wyregulowane i radzą sobie ze wszystkimi niespodziankami, wysyłanymi przez elektrownie.

Carl zastanawiał się przez chwilę.

- Guildford? Jakie to dziwne...

- Wypożyczyliśmy zresztą te Kronosy - mówił Roberts. - W magazynach mamy zaledwie sto mikroprocesorów.

- Wypożyczyliście? - spytał Carl. - Jak to?

- Wypożyczyliśmy je firmie „Draggon Industries”.

Carl patrzył na inżyniera.

- Do diabła, Ben, o czym ty mówisz?

- Na tym właśnie polega kłopot z waszą firmą, Carl. Rozwijacie się za szybko. Jedna

ręka nie wie, co robi druga. Theo Draggon jest właścicielem „Draggon Industries”, kierownikiem „Nano Systems” i jednym z największych udziałowców. Zgadza się?

- Zgadza się - przyznał Carl.

- Posiada również tę spółkę. Wykupił nas w zeszłym roku. Kiedy więc oświadcza, że pilnie potrzebuje czterech tysięcy Kronosów klasy A i bierze na siebie papierkową robotę, któż by się z nim spierał?

## 19.

Claude Jackson przypominał raczej bankiera niż detektywa. Podobnie jak większość nowoczesnych detektywów, czuł się lepiej, trzymając palce na klawiaturze niż zaglądając przez dziurkę od klucza. Powoli i starannie pracował przy terminalu, a Beverley przyglądała mu się z coraz większą niecierpliwością.

Był kierownikiem na południową Anglię firmy „Industry 2000”, największej prywatnej agencji detektywistycznej w Wspólnocie Europejskiej. Ich ogromna baza danych znajdowała się w Szwajcarii, poza zasięgiem brukselskich biurokratów, obsesyjnie zainteresowanych prawami obywatelskimi. Eurokraci mogli wydawać bez żadnego pożytku ustawy o ochronie danych, dopóki lodowiec nie powróci do Europy, gdyż żaden rząd nie kontrolował światowej sieci telefonicznej - największej maszyny na planecie Ziemi.

Główną działalnością „Industry 2000” było sprawdzanie potencjalnych pracowników na zlecenie wielkich korporacji. „Nano Systems” płaciła im co roku ustaloną kwotę i prowadziła wszystkie interesy za pośrednictwem faksu i telefonu. Tym razem jednak Beverley doszła do wniosku, że powinna ich osobiście odwiedzić.

Claude Jackson westchnął, odsunął klawiaturę i spojrzał ostrożnie na gościa. Nie oplatowało się denerwować Beverley Laine, ale nie miał wyboru.

- Chce pani jeszcze kawy, panno Laine?

- Nie, dziękuję - odparła Beverley, wyczuwając kłopoty. - I cóż?

- Ślad trzech spółek prowadzi do Liechtensteinu.

- Co takiego?!

- To niezależne księstwo nad Renem.

- Tak, wiem, gdzie leży Liechtenstein - odparła Beverley. - Czy chce pan powiedzieć, że „Draggon Industries” i „Quantum Leap Video systems” tam właśnie się zarejestrowały?

- Nie one, lecz spółka, która je przejęła - Jackson spojrzał na ekran.

- W zeszłym roku Theodore Draggon sprzedał „Draggon Industries” firmie „Media

Holdings”, zarejestrowanej w Liechtensteinie. Pozostał na stanowisku dyrektora ze stałą pensją. W następnym miesiącu „Draggon Industries” kupiła „Quantum Leap Video Systems”. Znaczy to, że obie półki należą do „Media Holdings” z Liechtensteinu.

Beverley poczuła, jak ogarnia ją panika. Działy tu ciemne siły, których nie rozumiała.

- Theodore Draggon jest głównym udziałowcem „Nano Systems”, czy chce pan powiedzieć, że jego udziały przejęła firma, o której nigdy nie słyszałam?

- Kto jest właścicielem akcji według waszego rejestru?

- Theodore Draggon.

- Te akcje są więc, a raczej były, jego osobistą własnością. Skoro jesteście prywatną spółką, nie mógł pozbyć się ich bez waszej wiedzy. Pytanie polega teraz na tym, komu Theodore Draggon zapisał akcje w testamencie.

Beverley starała się uporządkować myśli.

- No dobrze... Kto więc kryje się za „Media Holdings”?

- Tu właśnie ślad się urywa, panno Laine - powiedział gładko Jackson. - Zgodnie z prawem Liechtensteinu, nie istnieje obowiązek ujawniania prawdziwych nazwisk dyrektorów i akcjonariuszy spółki.

- Proszę więc się tego dowiedzieć. Jest pan przecież detektywem.

- Nie możemy tego zrobić.

Strach Beverley zamienił się w gniew. Wiedziała, że nie zdoła długo się hamować.

- Do diabła, dlaczego nie?

- Próba zgłębienia sekretów spółek z Liechtensteinu będzie kompletną stratą naszego czasu i pani pieniędzy, panno Laine. W tym kraju pilnie strzeże się tajemnic. W obecnych czasach łatwiej jest wyciągnąć informacje w Szwajcarii.

W końcu Beverley straciła panowanie nad sobą.

- Niech mnie pan posłucha, panie Claude Jackson. W zeszłym roku Theodore Draggon próbował wykupić moją firmę. Powiedziałam panu o tym, bo co roku płacę waszej agencji Bóg wie ile pieniędzy za pilnowanie moich interesów, chcę więc, żebyście byli na bieżąco. Odrzuciliśmy ofertę Dragгона, a teraz dowiaduję się, że związał się ze spółką, o której aż do dzisiaj nigdy nie słyszałam. Co więcej, jeden z naszych największych odbiorców również jest własnością tej „Media Holdings”! Płaci się panu za to, żeby zbierał pan informacje o firmach, którym udzielamy licencji. Jak mogło dojść do takiej sytuacji i dlaczego, do cholery, nic nie zrobiliście?

Jackson otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Beverley nie dopuściła go do głosu.

- Kiedy siedzieliście tu leniwie na tyłkach, te firmy położyły łapę na ponad czterech

tysiącach Kronosów klasy A, które prawdopodobnie w tym momencie są rozbierane na części w laboratoriach całego świata. Nasz kraj może z tego powodu ponieść miliardowe straty, a pan potrafi tylko narzekać.

Jackson zachował spokój, co jeszcze bardziej zirytowało Beverley.

- Nie narzekam, panno Laine. Wskazuję tylko...

- Padliśmy ofiarą przemysłowych terrorystów! - krzyknęła Beverley. - Przyłącza się pan do ludzi, których powinien pan zwalczać!

- Musimy działać w granicach prawa...

- W tym kraju nie obowiązuje prawo Liechtensteinu!

- Jeśli chce pani zerwać z nami umowę, panno Laine, z przyjemnością przejdziemy do porządku dziennego nad terminem wypowiedzenia.

*Uspokój się, Bev. Do niczego nie dojdiesz, dyskutując z tym kretynem.*

Opanowała się.

- No dobrze, panie Jackson, rozumiem pana stanowisko. - Zdołała się nawet uśmiechnąć. - Czy może mi pan polecić człowieka niezależnego, który mógłby nam pomóc? Kogoś, komu nie jest obcy duch przygody, z którego słynęli niegdyś prywatni detektywi? - Starła się mówić uprzejmie, nie umiała jednak ukryć lodowatej ironii.

Detektyw był urażony, ale nie okazał tego. Duch przygody, tak? Dobrze, poda jej nazwisko. Po pierwsze, w ten sposób pozbędzie się jej. Po drugie, jeśli ta idiotka uda się do tego człowieka, dobrze jej to zrobi.

Beverley wsiadała właśnie do samochodu, kiedy zadzwonił telefon. Wyjęła aparat z torebki.

- Bev? Tu Carl. Mamy kłopoty.

- Wystarczy, Carl. Mam już dosyć.

- Właśnie zadzwonił Mike Scully z uniwersytetu w Surrey.

Beverley usiadła na brzegu fotela i przymknęła oczy.

- Och, nie. Pozwól, że zgadnę. Zepsuł się jeden z Kronosów, które zainstalowali w marsjańskim lądowniku?

- Źle, Bev. Oba się zepsuły. Jeśli czegoś nie wymyślimy, stracimy dziesięć milionów.

## 20.

Beverley nie mogła znaleźć miejsca na parkingu, zaryzykowała więc, że narazi się na gniew uniwersyteckiego senatu i zaparkowała albatrosa na trawie przed główną siedzibą

Uniwersyteckiego Biura Projektów Kosmicznych. Ruszyła po trawniku, pozostawiając Carlowi trudne zadanie zamknięcia dziwacznych drzwi samochodu.

Tradycje badania przestrzeni kosmicznej na uniwersytecie w Surrey sięgały 1974 roku, kiedy Martin Sweeting, wówczas student, zaczął eksperymentować w wolnym czasie z sygnałami, wysyłanymi przez amerykańskie satelity pogodowe. Na początku korzystał z taniego sprzętu, ale przy poparciu kierownika wydziału, stopniowo zbudował stację naziemną, która mogła wyświetlać zdjęcia satelitarne i komunikować się za pośrednictwem coraz większej sieci amatorskich nadajników.

W końcu lat siedemdziesiątych Sweeting doszedł do wniosku, że postępy miniaturyzacji pozwolą na zbudowanie tanich satelitów, służących do przeprowadzania ważnych eksperymentów. Pierwszy z tych „kieszonkowych” satelitów, UoSAT1, został wystrzelony w październiku 1981 roku na rakiemie US Delta z Vandenberg w Kalifornii. Przewidywano, że będzie działał przez rok, ale w rzeczywistości funkcjonował przez osiem lat. Później wyprodukowano całą serię bardzo udanych i zadziwiająco tanich UoSAT-ów i uzyskano pierwszorzędne wyniki. W końcu lat osiemdziesiątych Martin Sweeting stał na czele prężnego wydziału inżynierii satelitarnej, kształcącego tak potrzebnych w przemyśle inżynierów kosmicznych, którzy zetknęli się w praktyce z projektowaniem, konstruowaniem i kierowaniem satelitami. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych wydział rozwijał się, a instytut naukowy przy uniwersytecie przyciągał jak magnes laboratoria, finansowane przez wielkie korporacje elektroniczne, pragnące postawić stopę na kosmicznej drabinie.

Zlecenie zbudowania i obsługi marsjańskiego lądownika, tak zwanego lądownika Haldane’a, było dowodem uznania dla dwudziestoletniej ciężkiej pracy uniwersytetu oraz jego wkładu w badanie przestrzeni kosmicznej. Projekt ten stanowił część ogólnoswiatowego planu wysłania misji załogowej na Marsa w 2004 roku.

Kiedy Carl podążał za Beverley, zdawał sobie sprawę, że rozgłos, towarzyszący porażce lądownika z powodu awarii Kronosa, oznaczałby katastrofę dla „Nano Systems”.

## 21.

Zdjęcie Marsa, które pojawiło się na szerokoekranowym centralnym monitorze w mrocznej sali kontrolnej, przedstawiało czerwone niebo. Niebo miało taką barwę, gdyż światło, odbite od powierzchni planety, załamywało się w rzadkiej atmosferze. Fotografie uzyskano z danych, przechowywanych w głównym systemowym Kronosie lądownika Haldane’a. Stopniowo pojawiały się czubki szarych i brunatnych skał. Obraz był ostry i

wyraźny dzięki wysokiej rozdzielczości kamer i dużej mocy przetwarzania Kronosa. W końcu ukazał się nierówny horyzont. Pobliskie ciemne kształty i wzniesienia zamieniły się w otoczaki i małe skały. Cień jednego z dużych otoczek sięgał już lądownika, kiedy nagle obraz zamienił się w kolorowy „szum”, który całkowicie wypełnił dolną część ekranu.

- O to właśnie chodzi - powiedział z rezygnacją Mike Scully. - Otrzymaliśmy wspaniałą panoramę z grani Tharsis, ale na północ zamiast na południe. Nie tylko otrzymujemy zniekształcony obraz, ale nie jesteśmy w stanie obrócić kamery. Nie doszło do mechanicznej awarii, to program źle działa. Cały ten cholerny kram.

Beverley popatrzyła pytająco na Carla, unikając oskarżycielskiego spojrzenia Mike'a Scully'ego. Czuła się jednocześnie zakłopotana i wyczerpana, jak gdyby ponosiła osobistą odpowiedzialność za awarię Haldane'a.

- Masz jakieś pomysły, Carl?

- Skąd więc wzięliście zdjęcia, opublikowane w piątek po południu, Mike? - spytał Carl.

- Te cztery fotografie przedstawiają krajobraz na północ od grani - rzekł Scully, ruchem głowy pokazując monitor. Jego chłopięca twarz, oświetlona przez monitory, zdradzała wyczerpanie. - Zrobiono je zaraz po lądowaniu za pomocą głównego systemu, zanim oba systemy wysiadły. Skąpe dane, które teraz otrzymujemy, pochodzą z zapasowych urządzeń. Oba systemy korzystają z tej samej kamery, gdyż dublowanie wszystkich urządzeń zwiększyłoby ciężar lądownika. Nie potrafimy odwrócić tego draństwa.

- Nie możecie więc wykorzystać tych zdjęć?

- Są do niczego! - wybuchnął Scully. - Wylądowaliśmy na grani Tharsis, bo stamtąd kamera może obserwować pięćset kilometrów kwadratowych terenu na południe. Na tych zdjęciach widać tylko północ. Do niczego.

- Co z innymi eksperymentami?

- Otrzymujemy dane meteorologiczne, ale pozostałe lądowniki dostarczają takich samych informacji. Przeprowadziliśmy również mały eksperyment, mający na celu wykrycie śladów życia. Uzyskaliśmy negatywny wynik, czego się zresztą spodziewaliśmy. Głównym celem misji była obserwacja południowej strony grani. - Wstał i położył dwa ciężkie wydruki na pulpicie kontrolnym. - Oto zapis software'u w obu mikroprocesorach. Wszędzie znaleźliśmy śmieci: zarówno w pamięci stałej, jak w RAM-ie.

Carl spojrział ze zdziwieniem na wydruki.

- Ściągnęliście zapis z obu mikroprocesorów?

- Czemu nie? - spytał kwaśno Scully. - System komunikacji laserowej działa bez

zakłóceń. Mieliliśmy przynajmniej coś do roboty. - Odwrócił się do Beverley. - Co się właściwie stało, Bev? To na pewno nie przypadek.

- Zgadza się - odparł Carl. - Takiego uszkodzenia nie mogło spowodować promieniowanie jonizujące.

- W takim razie o co tu chodzi? - spytał Scully.

Beverley przeglądała oba wydruki.

- Carl, mamy tu pamięciowe adresy wszystkich śmieci. Zgadza się?

Carl skinął głową, zgadując, do czego zmierza Beverley.

- Zgadza się.

- Jeśli więc działa laserowy system komunikacyjny, czy nie moglibyśmy przepisać całego oprogramowania z jednego z Kronosów i określić, które obszary pamięci nie nadają się do użytku? Później przetransmitujemy oprogramowanie za pomocą laserowego komunikatora i lądownik znów będzie sprawny.

Mike zdradził podekscytowanie, pochylając się nieznacznie do przodu.

- Jak długo by to trwało?

Carl spojrział sceptycznie na wydruki.

- Sądzę, że jakieś tysiąc roboczogodzin.

- Mamy programistów, którzy sobie z tym poradzą - zauważyła Beverley. - Jeśli dadzą z siebie wszystko, zabierze im to dwa tygodnie. Zapewniam was, że się postarają - dodała ponuro. - Nie martw się, Mike. Zajmiemy się tym.

- Cóż... jeśli możecie to zrobić... - Naukowiec rozpromienił się.

- Zrobimy - rzekła Beverley, wstając i podnosząc jeden z wydruków.

Carl złapał drugi.

- Kiedy przygotowujemy się do transmisji, będziemy musieli przesyłać tu wszystkie dane z naszego laboratorium - zauważył.

Mike uśmiechnął się. Po raz pierwszy wyglądał na odprężonego.

- Myślę, że uda nam się zmusić BT do zorganizowania połączenia mikrofalowego. - Pożegnał się serdecznie z gośćmi i życzył im powodzenia.

## 22.

- Jeszcze jedno - rzekł Carl, kiedy Beverley rozpędziła albatrosa do maksymalnej dozwolonej prędkości. - To obala twoją teorię sabotażu.

Beverley nie odrywała oczu od jezdni.



- Dlaczego?

- Osobiście sprawdziłem te dwa mikroprocesory i sam je przekazałem Mike'owi Scully'emu. Widziałem przez szybę, jak dał Kronosy technikom, a oni zainstalowali je w ładowniku. Poczekalem również na wyniki testów. Były idealne. Nie chciałem podejmować ryzyka, chodziło bowiem o misję, kosztującą dziesięć milionów, od której zależała nasza reputacja.

Beverley zjechała na pas szybkiego ruchu.

- Kiedy dostarczyłeś Kronosy?

Carl zastanowił się.

- W listopadzie zeszłego roku.

- Kiedy odbył się start?

- Na początku stycznia.

- Z Gujany Francuskiej? Kourou?

- Tak.

- Właśnie - odrzekła chłodno Beverley. - Start nastąpił dziesięć tysięcy kilometrów stąd, miesiąc po dostarczeniu mikroprocesorów. W tym czasie wielu ludzi mogło mieć dostęp do Kronosów. - Zmieniła bieg. - Nasi przeciwnicy są bezwzględni. Całkowicie bezwzględni. Zamierzam się dowiedzieć, kim oni są.

- W jaki sposób?

- Zatrudnię prywatnego detektywa, najchętniej takiego, który sam stosuje brudne triki. Obie strony mogą uczestniczyć w tej grze.

- Sądzę, że zarząd miałby na ten temat coś do powiedzenia, Bev. - Carl zwykle wspominał o opinii zarządu, kiedy chciał dać do zrozumienia, że nie pochwała poczynań Beverley.

Beverley spojrzała na Carla i bez ogródek wytłumaczyła mu, gdzie zarząd może sobie wsadzić swoją opinię. Dodała ostro:

- W razie potrzeby sama zapłacę detektywowi. Nikt nie będzie kopał dołków pod naszą firmą. Nikt.

## 23.

Beverley i Carl wezwali do biura najlepszych programistów „Nano Systems” i przez kilka minut wyjaśniali, co trzeba zrobić, aby przeprogramować ładownik Haldane'a, stojący beczynnie na Marsie. Oświadczyli, że mają do dyspozycji wszystkie środki firmy i muszą

dać z siebie wszystko. Reputacja i przyszłość spółki zależy od jak najszybszego uruchomienia ładownika.

- Dowiedz się, czy Leon Dexter i doktor Pilleau zrobili jakieś postępy - powiedziała Beverley do Carla, kiedy programiści wyszli z gabinetu. - Teraz wychodzę i nie jestem pewna, kiedy wrócę.

Carl znał Beverley wystarczająco dobrze, by zauważyć, że robi uniki.

- Czy chcesz mi coś powiedzieć? - spytał.

- Jeszcze nie - odrzekła w roztargnieniu Beverley, przeglądając faksy.

- Wiesz, co myślę o tej idiotycznej hecy z prywatnym detektywem?

- Nie, Carl - odparła ostro Beverley. - Wiem tylko, co myśli zarząd, nie zdobyłeś się na odwagę i nie zdradziłeś się z własną opinią.

Kiedy kilka minut później Carl patrzył, jak albatros Beverley wyjeżdża z parkingu, pomyślał, że napięcie ostatnich dni dało się jej we znaki.

## 24.

Bez względu na to, czym zajmował się Toby Hoyle, zarabiał nieźle, sądząc po dużym domu na przedmieściach Wimbledonu.

Nikt nie zareagował, kiedy Beverley zadzwoniła do drzwi. Wydawało jej się, że słyszy strzał na tyłach domu, i postanowiła to zbadać. Minęła kilka zaniedbanych klombów i natknęła się na młodego człowieka, ubranego w obszarpane dzinsy i wystrzępioną koszulę. Na uszach miał ochraniacze. Stał odwrócony do niej plecami i strzelał do rzutków, wylatujących co trzydzieści sekund z urządzenia, niepodobnego do niczego, co Beverley do tej pory widziała. Źródłem energii, wyrzucającej rzutki w powietrze, była butla ze sprężonym powietrzem, z której wydobywał się głośny syk. Młody człowiek miał zadziwiająco dobre oko. Każdy z ośmiu wystrzelonych pocisków trafił w cel.

- Znakomicie pan strzela - krzyknęła Beverley, starając się, aby młody mężczyzna usłyszał ją pomimo ochraniaczy na uszach.

- Dziękuję, panno Laine - odparł młody człowiek, nie odwracając się. Podniósł broń do ramienia i rozniósł na strzępy następny rzutek.

- Zaraz się panią zajmę.

Beverley była zaskoczona. Sądziła, że młodzieniec nie usłyszał jej kroków.

Ostatnie rzutki szybowały nad trawnikiem. Kiedy młody człowiek do nich strzelał, Beverley wydawało się, że eksplodują. Wyrzucił łuski. Odwrócił się i uściśnął jej rękę, a para

piwnych oczu przyglądała się jej badawczo.

- Miło mi panią poznać, panno Laine. Jestem Toby Hoyle.

Beverley zdała sobie sprawę, że był starszy, niż się wydawało.

Najprawdopodobniej przekroczył już trzydziestkę.

- Świetnie pan strzela, panie Hoyle.

Spojrzał na Beverley.

- Oszukuję.

- Naprawdę? W jaki sposób?

- To rzutki domowej roboty. W każdym z nich umieszczam niewielki ładunek wybuchowy, a huk wystrzału powoduje detonację.

- Po co?

- Nie mogę się oprzeć. Lubię wygrywać. Podejrzewam, że jesteśmy do siebie podobni. Tak jak pani, korzystam z mojego umysłu, aby zapewnić sobie sukces. Pani jednak ma przewagę: może pani wykorzystywać również swoje ciało.

Beverley oburzyła się i miała ochotę powiedzieć mu coś do słuchu, on jednak podniósł rękę.

- Nie zamierzam pani obrazić, panno Laine. Wszystkie kobiety wykorzystują swoje wdzięki, świadomie lub nie. Przygotowując się do tej wizyty, włożyła pani nową bluzkę i spódnicę. To się zauważa. Powinno chyba mi to pochlebiać, że zadała pani sobie tyle trudu.

- Skąd pan wiedział, że tu jestem?

Toby postukał w słuchawki, zawieszane na szyi.

- Alarm radiowy. - Schylił się i pomajstrował przy aparacie do rzutków. Maszyna zasyczała złowieszczo, kiedy odłączał pojemnik ze sprężonym powietrzem. - Po naszej rozmowie myślałem o zaginionych Kronosach.

- Proszę nie myśleć o tym zbyt wiele, panie Hoyle. Jeszcze nie postanowiłam, czy skorzystam z pana usług.

- Jeśli zabrakło wam Kronosów, to jeden znajduje się w moim nanonotesie.

Beverley nie miała ochoty na żarty.

- Panie Hoyle, to poważna sprawa i potrzebuję pomocy poważnego detektywa. - Odwróciła się, żeby odejść. - Przepraszam, że przeszkodziłam panu w strzelaniu.

- Zgadza się, panno Laine. Morderstwo to poważna sprawa.

Beverley zamarła. Odwróciła się i spojrzała na Toby'ego. Ciemne, piwne oczy przyglądały się jej spokojnie.

- Szef „Draggon Industries” został zamordowany - powiedział Toby, oglądając strzelbę.

- Ciało znalazła niejaka Beverley Laine. Policja poszukuje gangu, handlującego rzadkimi znaczkami. Sądzę, że powinni się raczej zainteresować, kto w zeszłym roku kupił firmę Draggon. Była to pewna spółka o tajemniczej nazwie „Media Holdings”, zarejestrowana w Liechtensteinie. Zgadza się?

- Rozmawiał więc pan z Claude’em Jacksonem z „Industria 2000” - odrzekła ostro Beverley. - Co z tego? Czy powinnam być pod wrażeniem?

- Ależ skąd, panno Laine. Sam znalazłem te informacje. Jestem wielkim zwolennikiem szperania w bazach danych. W kilku z nich natknąłem się na pani nazwisko. Prawdę mówiąc, wiem o pani całkiem sporo. Może wejdziemy do środka i porozmawiamy o interesach?

Beverley poszła za Tobym do niezbyt czystego biura, w którym pełno było książek i teczek. Wyglądało na to, że obsesją Toby’ego Hoyle’a jest dzika angielska przyroda. Na ścianach wisiały zdjęcia ptaków, a na biurku leżał gruby album o borsukach. Na jego nanonotesie spoczywała sterta dokumentów.

- Jedną z moich zalet jest to, że mam dostęp do interesujących baz danych - powiedział Toby, porządkując dokumenty, leżące koło drukarki laserowej. - Słusznie nabrała pani podejrzeń po zniknięciu mikroprocesorów. Ja również robię się bardzo podejrzliwy, kiedy się okazuje, że wszystkie ścieżki prowadzą do Liechtensteinu.

- Jakie są szanse, że uda się panu ustalić, kto jest właścicielem „Media Holdings”? - spytała Beverley.

- W Liechtensteinie nikłe, w Wielkiej Brytanii - całkiem niezłe. Właśnie dlatego jestem drogi.

- Czy nie ma pan nic przeciwko temu, aby działać na granicy prawa?

- Również z tego powodu jestem drogi. - Toby usiadł naprzeciwko Beverley na obrotowym krześle. - Niech pani zacznie od początku i wszystko mi opowie.

Beverley krótko przedstawiła ciąg zdarzeń, który rozpoczął się od śmierci Dave’a Crosiera i prowadził aż do awarii marsjańskiego lądownika. - Mówiła przez kilka minut, przerywając tylko po to, żeby napić się sherry. Toby słuchał uważnie, od czasu do czasu zapisując coś w notesie. Kiedy i skończyła, zadał kilka pytań. Jego zachowanie dodało Beverley pewności siebie. Po raz pierwszy poczuła, że ktoś jest po jej stronie.

- Dostarczenie Kronosów uniwersytetowi w Surrey oznacza więc zmianę waszej polityki? - spytał.

- Jak to?

- Powiedziała pani, że „Nano Systems” nie sprzedaje mikroprocesorów, lecz tylko licencje. Jednakże nigdy już nie ujrzyście Kronosów, zainstalowanych w marsjańskim

lądowniku.

- Stanowiły one nasz wkład do programu badań kosmicznych - odrzekła Beverley.

- Czy wydajecie licencje, pozwalające na używanie Kronosów w kosmosie?

- Tak. Francuzi korzystają z nich w promach Hermes. Według najnowszych danych, w kosmosie znajduje się około pięciuset Kronosów klasy A.

Toby robił notatki.

- Nawet jeśli nie ma nadziei na ich odzyskanie?

- Tak. Kiedy ktoś używa Kronosa w kosmosie do komercyjnych celów, a satelita zarabia na sobie, pobieramy prowizję w wysokości od jednego do pięciu procent.

- Ma pani na myśli satelity telewizyjne?

- Między innymi - rzekła Beverley. - Mówię również o satelitach badających bogactwa naturalne, o satelitach obserwacyjnych, kontrolnych. To teraz wielki biznes. Wprowadzenie Kronosa na rynek zwiększyło moc systemów i wydłużyło czas funkcjonowania satelity z dziesięciu do piętnastu lat. Obecnie kilka satelitów zarabia ogromne pieniądze, co bez Kronosów nie byłoby możliwe. Nie widzimy więc nic złego w tym, że pobieramy prowizję, a część zysków przeznaczamy na dalsze badania.

Prywatny detektyw pogrzebał w papierach na biurku i wręczył dokument Beverley.

- Cóż, teraz będziecie musieli przeznaczyć trochę pieniędzy dla mnie, panno Laine. Oto cennik.

Beverley przyglądała się kolumnom liczb. Toby Hoyle nie przesadzał. Rzeczywiście był drogi. Podniosła wzrok i w jego oczach dostrzegła isierki rozbawienia.

- Dlaczego uwzględnia pan wynagrodzenie dla pomocników?

- Niewykluczone, że będę potrzebował pomocy.

- Nie wiem jeszcze, czy mogę panu zaufać, panie Hoyle, a już z pewnością nie chcę w to mieszać nikogo z zewnątrz. Chciałabym, aby cała sprawa została między nami.

- W takim razie dajmy sobie spokój, panno Laine. Pewne aspekty mojego modus operandi sprawiają, że pomoc jest mi niezbędna.

- Na przykład?

- Wizja lokalna.

- Mogłabym panu pomóc. Chcę, żeby była to nasza wspólna operacja.

Toby spojrział na nią w zamyśleniu.

- Wygląda na to, że naprawdę podchodzi pani poważnie do sprawy.

- Owszem.

Wzruszył ramionami.

- Jeśli tego pani właśnie chce... I cóż, zatrudni mnie pani?
- Zatrudnię, ale pod warunkiem, że szybko pan zacznie - zgodziła się Beverley.
- Czy druga rano to dla pani wystarczająco szybko?

## 25.

Kiedy Leon Dexter ziewał, skóra napinała mu się na policzkach jak na bębnie. Położył nogi na biurku, odgarnął włosy z czoła i splótł dłonie za głowę.

- Mam wspaniały pomysł, Macé.

Doktora Macé Pilleau nie interesowały pomysły, lecz fakty. Zaobserwowane fakty. Życie trwa zbyt krótko, aby gonić za chimerami. Rzeczywistość jest o wiele bardziej ekscytująca i skomplikowana. Chrząknął, nie odrywając oczu od mikroskopu elektronowego.

- Sądzę, że wiem, czym są śmieci, przepływające przez sam środek naszego tajemniczego DNA.

Tym razem doktor podniósł wzrok.

- To nie jest DNA - rzekł krótko. - Mamy do czynienia z cyfrową reprezentacją czegoś, co wygląda jak DNA, ze zdjęciem.

Leon skinął głową patrząc na monitor. Na ekranie widniały wyniki wielu godzin pracy. Podstawiali mozolnie graficzne symbole, aż cały obraz stał się elegancki i symetryczny, niczym zdjęcia molekuł DNA, które, Macé Pilleau przechowywał w swojej bazie danych. Wszystko się zgadzało, i z wyjątkiem kolorowej wstęgi, biegnącej przez sam środek podwójnej spirali.

- Przypomina to przecież DNA - zauważył Leon.

- Ty zaś przypominasz inteligentną formę życia, Leonie. Skoro jednak upierasz się, że koń trojański to DNA, otrzymaliśmy dowód, że nie zawsze jest się tym, co się przypomina.

Przez chwilę Leon zastanawiał się, czy powinien się obrazić, ale postanowił dać spokój. Obaj lubili wymieniać nieszkodliwe docinki i właśnie dlatego tak dobrze im się ze sobą pracowało. Leon znalazł jabłko w szufladzie i zaczął chrupać je głośno, wiedząc, że irytuje to kolegę.

- Sądzę, że to ścieżka dźwiękowa.

Nieczęsto miał okazję słyszeć śmiech Macé Pilleau i nie było to szczególnie miłe doświadczenie.

- Ach tak. Beethoven czy Strauss?
- Blisko.

Doktor spojrział z pogardą na Leona.

- Może III symfonia?

Leon zauważył jego sarkastyczny ton.

- Muzyka wywołuje nastroje - powiedział, gryząc jabłko. - Nastroje powodują działania. Działanie to uwolnienie energii. Właśnie dlatego byłeś blisko.

- Czy mógłbyś z łaski swojej wyjaśnić, o co ci chodzi?

- Dlaczego nie miałyby to być ścieżka dźwiękowa? Przypuśćmy, że koń trojański jest software'owym DNA, cokolwiek to znaczy. Czego potrzeba, by go zaktywować? Energii. Dźwięk jest energią. Czy kiedykolwiek słyszałeś huk dział z 1812 roku, odtwarzany na przyzwoitym sprzęcie, dźwiękiem włączonym na cały regulator? Również w tym momencie ta energia działa na ciebie, trafia cię prosto między oczy i dobiera ci się do tyłka.

Leon znów ugryzł jabłko, zadowolony na widok oszołomionej miny doktora Macé Pilleau.

## 26.

Toby zatrzymał wysłużonego range rovera dwieście metrów przed głównym wejściem do biura firmy „Draggon Industries” i wyłączył światła. Spojrział na zegar na tablicy rozdzielczej. Była trzecia rano.

Zaparkowali w nowoczesnym, przemysłowym kompleksie, zbudowanym na terenie, na którym dawniej stały farmy. Wznosiły się tu teraz nowoczesne magazyny i biurowce, widać było również otwarte pola. Biuro i główny magazyn „Draggon Industries” mieściły się w kilku budynkach przemysłowych. Pomieszczenia administracyjne znajdowały się w budynku z czerwonej cegły.

- To tutaj - rzekła Beverley.

- Zna pani ten teren?

- Tylko część administracyjną. Theo miał swoje biuro na górze, na pierwszym piętrze.

Toby opuścił szybę i wyrztał.

- Niebo jest zachmurzone. Nie powinniśmy mieć kłopotów.

- Nie powinniśmy mieć kłopotów, włamując się do strzeżonego budynku? - spytała Beverley, patrząc na reflektory, oświetlające maszyny rolnicze, stojące za stalową bramą. Zauważyła między innymi trzy kombajny tego samego typu co maszyna, która zabiła Dave'a Crosiera. Nawet z tej odległości dostrzegła trzy kamery, umieszczone przed wejściem do budynku. Pokazała je Toby'emu.

- Widziałem je, kiedy przejeżdżaliśmy - odparł. - Nie ma problemu. Kompleksy przemysłowe to na ogół małe piwo. Wszystkie systemy bezpieczeństwa koncentrują się na pewno na tych maszynach. Ten sprzęt kosztuje prawdopodobnie parę milionów. - Wręczył Beverley małą krótkofalówkę. Wcześniej wytłumaczył, jak jej używać.

- Ile czasu zamierza pan tam spędzić?

Toby klęknął na fotelu i grzebał wśród tajemniczego sprzętu, ukrytego pod podejrzanie pachnącym kocem z tyłu range rovera. Właściwie wszystko tu śmierdziało, nie wyłączając dzinsów i starego futra z kapturem, do włożenia którego Toby zmusił Beverley. Wyjął przenośne urządzenie, pozwalające kopiować na mikrokasety całą zawartość twardego dysku.

- To zależy od tego, ile znajdę administracyjnych komputerów.

Beverley spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Chce pan skopiować wszystkie twarde dyski?

- Właśnie. Potem zabierzemy kasety do mnie i spokojnie zbadamy ich zawartość.

- Te urządzenia działają przecież bardzo powoli! - zaprotestowała Beverley. - Zwłaszcza takie zabaweczki.

- Protestuję przeciwko nazywaniu „zabaweczkami” mojego cennego sprzętu. Poza tym kto powiedział, że musimy się ograniczyć do jednej wizyty?

- Nie zamierza pan przecież przyjeżdżać tu kilka razy? Tak, widzę, że ma pan taki zamiar. Na miłość boską, Toby, nie warto ryzykować.

Toby w dalszym ciągu przeszukiwał range rovera.

- Płaci mi pani za ryzyko, panno Laine. Proszę to wziąć. - Podał jej ciężką lornetkę.

- Idę z panem - rzekła zdecydowanie Beverley. - Wiem, którego komputera używał Theo Dragon. W ten sposób zaoszczędzimy mnóstwo czasu.

Toby zorientował się, że Beverley podjęła już decyzję, i wzruszył ramionami.

- Okay. Jak pani sobie życzy, szefowo. Przed sądem powiemy, że szukaliśmy ustronnego miejsca, żeby trochę pobaraszkować.

Zanim wymyśliła jakąś ciętą odpowiedź, Toby opuścił fotel i zaczął wyciągać nowy sprzęt. Przyłączyła się do niego i starała się zrozumieć, co to za urządzenia.

- Co to jest, Toby?

- Typowe wyposażenie ornitologów. Dziś w nocy nimi jesteśmy. - Wskazał drzewa, rosnące za biurem „Dragon Industries”. - Widzi pani te dęby?

- Tak.

- To jedno z ostatnich miejsc w zachodnim Sussex, gdzie można zobaczyć sowy brunatne.



- Naprawdę? - spytała oszołomiona Beverley.

- Nie mam pojęcia. Tak jednak powiemy policjantom, jeśli zaczną tu węszyć. - Nie zwracając uwagi na hałas, zatrzasnęła tylne drzwi i otworzył inny nanonotes, model z klawiaturą. Ustawił kontrast. - Mam tu wszystkie brytyjskie mapy wydane przez Państwowy Urząd Kartograficzny - wymruczał, stukając w klawisze.

Beverley zawsze interesowały nowe zastosowania Kronosa.

- W skali jeden do tysiąca? - spytała.

- Lepiej. Proszę spojrzeć.

Beverley spojrzała na ekran, który ukazywał obraz terenu, zajmowanego przez firmę „Draggon Industries”. Przerywanymi liniami zaznaczono podziemną kanalizację.

- Szkoda, że nie mam planu wnętrza budynku - zauważył Toby. - Myślę, że wejdziemy od tyłu. - Włożył nanonotes do plecaczka, który zarzucił na ramię. Wizerunek nocnego miłośnika przyrody uzupełniał spory aparat fotograficzny, zawieszony na jego szyi. - Gotowa?

- Prowadź, Macduffie.

Weszli na teren z boku, przeciskając się przez krzaki i jeżyny. Beverley cieszyła się, że posłuchała Toby'ego i założyła buty na twardej podeszwie. Zatrzymali się. Beverley wzdrygnęła się, słysząc pohukiwanie sowy.

- Brunatna sowa - rzekł Toby. - Miło jest mieć współnika.

Położył plecak na ziemi i obserwował przez lornetkę tylną ścianę budynku.

- Na pewno jest za ciemno, żeby coś zauważyć.

Toby wręczył jej urządzenie.

- Niech pani sama zobaczy.

Beverley podniosła lornetkę do oczu i westchnęła. Widziała jak za dnia każdy szczegół budynku z prefabrykatów. Słyszała o nocnych lornetkach, ale po raz pierwszy miała z nimi do czynienia.

- Bez wątplenia tę platformę załadowniczą wykorzystuje się po to, aby wwozić towary do środka. Wejdziemy tamtędy, a jeśli będziemy mieli szczęście, dostaniemy się prosto do magazynów.

- Zdumiewające - zauważyła Beverley. - Co teraz?

Toby ustawił aparat na trójnogu i skierował go na drzewa, rosnące za budynkiem. Wziął od Beverley lornetkę i jeszcze raz przyjrzał się gmachowi.

- Ha! Znalazłem kamerę i dwa, nie, trzy podczerwone czujniki. Typowa instalacja. Niektóre agencje ochrony mają tyle wyobraźni co zdechła mysz. Założę się, że nie ma tu

nocnych strażników.

- Skąd pan wie?

- Zwierzęcy instynkt.

- Lepiej, żeby instynkt pana nie zawiodł, jeśli nie chcemy stanąć jutro przed sądem - odparła Beverley.

- Proszę mi zaufać, panno Laine.

- Może pan mówić mi Bev.

- Wybrałaś dziwny moment na poufałości.

- To nie są poufałości! - syknęła gniewnie Beverley.

Właśnie zamierzała powiedzieć coś ciętego, ale Toby nie zwracał na nią uwagi. Schylił się, spojrzął przez obiektyw aparatu i wycelował go w budynek. Cztery razy zwolnił migawkę, a po każdym ujęciu odwracał aparat w innym kierunku.

- Po co ci te zdjęcia? - spytała Beverley.

- Kto powiedział, że robię zdjęcia?

- Na to przecież wygląda.

- Chcę, żeby tak wyglądało. - Poklepał aparat. - Podczerwony rzutnik laserowy. Paskudne urządzenie. Wystarczy pół minuty, aby unieszkodliwić każdą kamerę i czujnik.

Beverley zaczęła dostrzegać skuteczne metody w szaleństwie Toby'ego.

- Czy złapano cię kiedyś przy takiej zabawie?

- Nie zamierzam kłamać. Dwa razy. - Zdjął aparat ze statywu włożył do plecaka. - Raz fotografowałem nietoperze, zakładając podsłuch w sali konferencyjnej. Innym razem robiłem zdjęcia borsukom posiadłości handlarza narkotyków.

Beverley uśmiechnęła się. Ten małomówny młody człowiek podobał się bardziej, niż miała ochotę przyznać.

- Czym to się skończyło?

- W pierwszym przypadku upomnieniem od sądu, w drugim - jeszcze ostrzejszym upomnieniem od handlarza. - Podniósł plecak. - Idziemy.

Beverley podążała za nim, kiedy przeciskali się przez gęste poszycie w kierunku trzymetrowego ogrodzenia, otaczającego teren.

- Nie umiem się wspinać - poskarżyła się.

- No to jest nas dwoje. Nie nadaję się na włamywacza akrobatę.

- Wyjął parę ogrodniczych rękawic i zaczął wyrywać jeżyny i pnącza, rosnące koło ogrodzenia. Następnie wyciągnął przyrząd do cięcia drutu, do którego przytwierdzono butlę z dwutlenkiem węgla, i przeciął ogrodzenie, potem odchylił drut statywem aparatu. Przepcisnął

się przez otwór, Beverley podała mu plecak i podążyła za nim.

- Wstyd mi się przyznać, ale znakomicie się bawię - powiedziała Beverley, podnosząc się.

- To adrenalina. Zgaduję, że lubisz biegać.

- Tak.

- Jesteś uzależniona od adrenaliny. - Kiedy mówił, jego oczy obserwowały otoczenie, nie pomijając żadnego szczegółu. Wskazał znak firmowy konstruktora, umieszczony wysoko na budynku. - „Hewdic Industrial Buildings”. Gdyby był to jeden z ich budynków typu System 30, mielibyśmy łatwe zadanie. Chodź.

Beverley szła za Tobym przez parking koło budynku. Zastanawiała się, dlaczego się nie boi, i doszła do wniosku, że ten spokojny mężczyzna daje poczucie bezpieczeństwa.

- Teraz zaczynają się schody - powiedział Toby. Końcem palców musnął dolną krawędź budynku. - Zaświeć, Beverley.

Zadowolona, że odezwał się do niej po imieniu, Beverley skierowała promień latarki tam, gdzie wskazywał Toby.

- Wspaniale. System 30 - powiedział z triumfem.

Uklęknął i wyjął z plecaka nanonotes. Beverley zajrzała mu z ciekawością rzez ramię. Toby włączył maszynę i zaczął pracować przy klawiaturze. Na ekranie pojawiło się menu, wyszczególniające kilka rodzajów dzikich zwierząt, żyjących w Anglii. Wybrał ostatnią pozycję i przerzucił kilka stron, przedstawiających cudownie podświetlone morskie ptaki. Pojawiło się następne menu. Wszedł w bazę danych jeszcze pięć poziomów głębiej, zanim znalazł to, czego szukał.

- Kim oni są? - spytała Beverley, patrząc na listę nazwisk i adresów.

- Producenci budynków przemysłowych w Europie - odrzekł Toby. - Mam tu wszystkie szczegóły konstrukcyjne: rysunki złożeniowe, wymiary, instrukcje i tak dalej. Ach, jest. - Na ekranie pojawił się obraz, przedstawiający identyczny gmach jak ten, przed którym stali.- Budynki przemysłowe typu System 30. Wspaniała firma. Hojnie udostępnia swoje projekty.

- Jesteś chyba pierwszym zawodowym włamywaczem, posługującym się komputerowymi bazami danych - zauważyła Beverley.

- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, co tu przechowuję - wymruczał Toby, przyglądając się uważnie rysunkowi.- Możesz tu znaleźć informacje o każdym systemie alarmowym i każdym systemie telewizji przemysłowej. Czy wiesz, że można unieszkodliwić niektóre alarmy za pomocą zwykłego kremu po goleniu w aerozolu? Ach, tu mamy rozmiary elementów łączących. Wystarczy znaleźć jeden nit, to tak, jak gdyby znalazło się wszystkie.

- Poszukał w kieszeni metalowej taśmy i ołówka, którym zaznaczył kilka miejsc w odległości dokładnie stu pięćdziesięciu milimetrów od podstawy interesującej go płyty. Zaświecił latarką wzdłuż linii znaków i znalazł ledwo widoczną okrągłą rysę w anodyzowanym wykończeniu płyty. - Udało się, Bev. Odkryłem główkę wpuszczanego nitu. Umieszcza się je co sto milimetrów.

Beverley zapomniała o niebezpieczeństwie i obserwowała z zainteresowaniem, jak Toby za pomocą sprężynowego punktaka robi nacięcie dokładnie w samym środku główki nitu. Wyjął z plecaka świder bezprzewodowy, owinięty w ciężki materiał, tłumiący hałas i zanim go uruchomił, przycisnął mocno ostrze do zagłębienia. Strumień aluminiowych opiłków tryskał w ciszy. Nagle ostrze świdra znikło w płycie.

- Te płytki są cienkie jak papier - mruknął Toby. - Miejmy nadzieję, że po drugiej stronie pójdzie nam równie łatwo.

Po dziesięciu minutach pilnej pracy Toby usunął wystarczającą ilość nitów, by mógł ostrożnie wyjąć płytę z wewnętrznej ramy.

- Uda ci się tędy przecisnąć, Bev?

Beverley prześlizgnęła się przez wąską szczelinę. W ciemności podniosła się ostrożnie.

*Jesteś szalona, Bev. Oto szanowana kobieta interesu, włamująca się nad ranem do opuszczonego budynku. Mogliby mnie posłać na kilka lat do Holloway. Co by się wówczas ze mną stało? Co stałoby się z „Nano systems”!*

Odsunęła od siebie te niepożądane myśli, wzięła plecak, podany przez Toby'ego, i pomogła mu wstać. Włączył latarkę i zaświecił dookoła. Weszli do budynku obok automatu z gorącymi napojami.

Toby gwizdnął.

- Gdybym zaczął się przebijać metr na lewo, przewierciłbym kable zasilające. - Znów się rozejrzył. Stali na korytarzu, a wzdłuż ścian widniały rzędy półek i niewielkie skrzynie. - Zdaje się, że jesteśmy w magazynie. Dobrze, poszukajmy biur administracyjnych.

Beverley szła za Tobym przez podwójne drzwi, prowadzące do hali montażowej. Na betonowej podłodze namalowano białą ścieżkę, która wiodła obok ponurych kształtów kombajnów, czerpakowych dźwigów bron w różnych stadiach konstrukcji. Na końcu hali znajdował się korytarz, z którego można było wejść do małych biur majstrów i inspektorów. Następnie znaleźli się w głównym holu.

- Schodami na górę - wyszeptała Beverley.

- Też tak sędzę - odrzekł Toby.

Bez kłopotów znaleźli biuro Theodore'a Dragгона. Duży, nowoczesny pokój oświetlały

lampy, umieszczone na zewnątrz budynku. Stał tam długi stół konferencyjny, na którym leżało mnóstwo teczek.

- Zdaje się, że robią generalne porządki po śmierci szefa - zauważył Toby, siadając przy ogromnym biurku w kształcie podkowy.

Beverley rozejrzała się. Na grubym dywanie leżały szuflady powyciągane z biurka. W rogu stało duże, otwarte pudło z komputerem i podniszczoną klawiaturą.

- To chyba maszyna szefa? - rzekł Toby, wskazując stojący przed nim osobisty komputer Toshiba 586. - Sto megabajtów na twardym dysku. Jeśli dysk jest pełny, potrzebujemy wielu niedziel na skopiowanie danych.

Beverley pokręciła głową.

- Theo miał starą maszynę. Pamiętam, że dokuczałam mu z tego powodu, on jednak odrzekł, że rozumie i lubi ten komputer. - Wyjęła z kartonu klawiaturę. Był to model Amstrada PC z początku lat dziewięćdziesiątych. Na plastikowej obudowie widniały ślady po papierosach.

- To sprzęt Theo - oświadczyła.

Toby zachichotał.

- Całe szczęście, że tu przyszałaś. Zostawiłbym to na sam koniec.

- Połączył ze sobą na biurku części komputera i włączył zasilanie. Twardy dysk zaszumiał cicho. Ekran zamigotał i maszyna włączyła się.

- Cóż, szef używał na szczęście samodzielnego komputera - zauważył Toby. - W przeciwieństwie do innych maszyn, nie jest podłączony do sieci, mamy więc pewność, że pan Theodore Draggon przechowywał w nim wiele interesujących informacji, chyba że jakiś nadgorliwiec skasował zawartość twardego dysku. - Kiedy mówił, jego palce przesuwały się po klawiaturze. Wprowadził komendę CHKDSK/V i patrzył, jak ekran wyświetla zawartość katalogów. - Na szczęście tego nie zrobili.

Beverley uklękła obok niego na podłodze. Toby wszedł do podkatalogu z edytorami tekstu.

- Powiedz mi, Beverley. Gdybyś szperała po czymś twardym dysku, ku jakim plikom popchnęłaby cię na początku twoja kobieca ciekawość? Wiem oczywiście, że nigdy nawet nie myślałaś o robieniu takich rzeczy.

Beverley zachichotała.

- Plik z nazwiskami i adresami.

- Tak myślałam. Ten filofaksowy program wygląda interesująco.

- Mam taki sam program na mojej maszynie - rzekła Beverley, patrząc z

zainteresowaniem na ekran. - Służy do drukowania uaktualnionych nazwisk i adresów na papierze formatu filofax.

Toby otworzył program. Na środku ekranu pojawiła się kolumna nazwisk i adresów.

- W porządku alfabetycznym. Draggon był metodyczny.

- Sortowanie to jedna z funkcji programu, ale rzeczywiście Theo był dobrze zorganizowany.

- Znaczy to - rzekł Toby, naciskając klawisz przewijania - że muszą się tu znajdować nazwiska i adresy ludzi, związanych z tajemniczą firmą „Media Holdings”. To przecież oni przejęli jego przedsiębiorstwo.

Przez następne kilka minut przeglądali długi plik, szukając nazwiska i adresu, jakiejś anomalii, czegoś, co wyglądałoby podejrzanie. Wydawało się jednak, że lista niewinnych nazwisk, adresów i numerów telefonów nigdy się nie skończy: sprzedawcy maszyn rolniczych ze wszystkich europejskich krajów, dziennikarze piszący o rolnictwie, znajomi z Yorkshire. Były tam nawet numery różnych rachunków bankowych. Na końcu pojawiła się lista dat urodzenia. Komputerowy filofax Theodore’a Draggona stanowił składnicę prywatnych informacji i z pewnością takie właśnie było jego zadanie.

Przez kilka minut siedzieli w zamyśleniu. Pierwsza odezwała się Beverley.

- Nie powinnam ci chyba tego mówić, ale nigdy nie mogę zapamiętać numeru mojej karty płatniczej i dlatego zapisuję go jako fałszywy numer telefonu w moim notesie.

Po raz pierwszy w życiu Beverley usłyszała śmiech Toby’ego.

- Ja robię to samo - przyznał. - Tyle tylko, że numer mojej karty powierzam nieocenionemu nanonotesowi. Kłopot polega na tym, że zwykle zapominam, gdzie go ukryłem. - Zamyślił się. - Dobry pomysł, Beverley. Cofnijmy się i zastanówmy nad numerami telefonów.

- Ten numer rachunku bankowego wygląda dziwnie - rzekła Beverley, wskazując jedną z pozycji na ekranie. - Dziesięć cyfr? Czy to nie za dużo?

- Nie wygląda to również na klucz sortowania - zamruczał Toby, patrząc na ekran. - Co ci to przypomina, Beverley?

- Nie mam pojęcia.

- Przypomina to numer telefonu komórkowego typu Irydium Gold, napisany na wspak... Prawdę mówiąc, jestem tego pewny. - Patrzył na ekran i w roztargnieniu bębnił palcami po biurku.

Beverley po cichu odczytała cyfry na wspak.

- Masz rację, Toby. To jest to!

- Pytanie polega jednak na tym, czy to cały numer, czy jedynie kierunkowy. - Nie czekając na odpowiedź, Toby wziął telefon i zaczął wykręcać numer.

- Poczekaj - powiedziała zaniepokojona Beverley. - Jeśli to rzeczywiście numer telefonu Irydium Gold, to osoba, która odbierze, zorientuje się, skąd dzwoniemy.

- Będziemy mogli to wykorzystać.

W słuchawce rozległy się znajome ciche dźwięki.

- To kody informacyjne - zauważył Toby. - System usiłuje się dowiedzieć, gdzie znajduje się aparat, do którego dzwoniemy. - Dźwięki stały się bardziej piskliwe. - Zdaje się, że to połączenie międzykontynentalne. Wygląda na to, że drugi telefon znajduje się bardzo daleko.- Zapadła cisza, a po chwili rozległ się sygnał. Odebrano telefon po trzecim sygnale.

- Tak? - rozległ się niecierpliwy męski głos.

- Tu firma „Draggon Industries” z Wielkiej Brytanii - rzekł Toby. Głos stał się nagle ostrożniejszy.

- Owszem, widzę.

- Mamy dla pana ważną i poufną wiadomość. Z kim rozmawiam?

- Jeśli zna pan ten numer, wie pan również, kim jestem! - mężczyzna niemal krzyczał, co sprawiało, że głos w słuchawce był zniekształcony, ale Beverley i tak wiedziała, z kim rozmawiają.

- Owszem, zdajemy sobie z tego sprawę - mówił Toby, nie zauważając zszokowania Beverley. - Chodzi jednak o niezwykle ważną wiadomość od Theodore’a Dragгона. Musimy być stuprocentowo pewni, z kim rozmawiamy.

- Rozmawia pan z Marshalllem Tate’em!

Toby milczał przez chwilę, co świadczyło o tym, że jest wstrząśnięty.

- Dziękuję, panie Tate. Wiadomość od... - przerwał rozmowę i odłożył słuchawkę.

Odwrócił się i spojrzał na Beverley. W ostrym, żółtym świetle reflektorów jej cera miała niesamowity odcień.

- Zdaje się, że była to większa niespodzianka dla mnie niż dla ciebie - zauważył.

Beverley opuściło nagle napięcie. Uśmiechnęła się niespodziewanie i skinęła głową.

- Nie boję się walki, Toby.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

- Przez ostatnie kilka dni przeżyłam jednak prawdziwe piekło. Wiedziałam, że mam wroga, ale nie miałam pojęcia, kto nim jest. Sądziłam, że dwa lata temu Marshall Tate zrezygnował z przejęcia „Nano Systems”. Teraz, kiedy poznałam jego prawdziwe zamiary, czuję się lepiej, o wiele lepiej. Mogę sobie poradzić z tym problemem.

Toby był zaintrygowany. Patrząc na Beverley odnosił wrażenie, że wyczuwa jej ogromną siłę i zdecydowanie.

- Właśnie słynny Marshall Tate jest twoim wrogiem?

Beverley skinęła głową. Kiedy się odezwała, jej głos był dziwnie spokojny.

- Bez wątpienia.

- Niech Bóg ma go w swojej opiece - rzekł Toby.

## 27.

Carl przestał biec i pochylił się. Gdyby piasek był suchy, chętnie wyciągnąłby się na plaży.

- Starczy, Bev - jęknął. - Jeśli zmusisz mnie do dalszego biegu, nie będziesz miała ze mnie później żadnego pożytku.

Beverley zatrzymała się i odwróciła do Carla, trzymając ręce na biodrach. Jej pas wykrył nagły bezruch. Zaczął protestować i zwiększył napięcie elektrycznych impulsów, wysyłanych do jej układu nerwowego. Wyłączyła pas, naciskając guzik.

- Nie przebiegliśmy nawet dwóch kilometrów - zauważyła.

Carl podszedł do stosu kamieni i usiadł.

- Jedyną dobrą stroną tego idiotycznego biegania jest to, że widuję cię w zabójczo seksownym kostiumie. Dzięki temu rośnie moje zwierzęce pożądanie, ale poza tym taki wysiłek niszczy moje zdrowie, rozum odwagę. Nie pobiegnę ani kroku dalej.

Beverley roześmiała się i usiadła obok niego. Ucisnęła lekko jego rękę.

- Jesteś dla mnie dobry, Carl.

- To o wiele więcej, niż ja mogę powiedzieć - mruknął Carl.

Spojrzał ukradkiem na Beverley. Jej mina zdradzała ożywienie. Wróciła dawna Beverley. Znów miał przed sobą energiczną, błyskotliwą kobietę, którą kochał i o której już sądził, że odeszła na zawsze.

- Lepiej mi się myśli w czasie biegu.

Carl wyjął chusteczkę z kieszeni szortów i wytarł czoło. Było parne, pochmurne popołudnie. Na wodzie i na plaży nie dostrzegało się nikogo, poza kilkoma początkującymi windsurferami, którzy starali się utrzymać równowagę na słabym wietrze.

- Cóż, ja w ogóle nie mogę myśleć. Tak jak zwykle, udaje ci się mnie przestraszyć i wprowadzić w zakłopotanie, chociaż jednocześnie cię kocham.

- Czym cię przestraszyłam, Carl?



- Sądzę, że coś wiesz.
- Wiem, że miałam słuszną - odrzekła lekko Beverley.
- Chcesz powiedzieć, że ktoś dokonał sabotażu?
- Tak.
- Kto?

Beverley patrzyła na mewy, uwijające się nad martwą rybą.

- On jest bezwzględny. Całkowicie bezwzględny. Uwierz mi na słowo. To on kazał zabić Theodore'a Draggoną.

- Tak, ale kto?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Posłuchaj, Bev, jeżeli coś odkryłaś, powinnaś iść na policję albo przynajmniej mi powiedzieć.

Beverley dostrzegła tłumiony gniew w spojrzeniu Carla. Przez chwilę miała zamiar się odezwać, ale zmieniła zdanie i wstała.

- Chodź - rzekła lekko. - Biegniemy z powrotem do bungalowu.

Chcąc dodać wagi swoim słowom, zmusiła protestującego Carla, aby wstał, i narzuciła szybkie tempo. Kiedy Carl ją dogonił, włączyła pas.

- Kto to jest? - spytał Carl.

Zamiast odpowiedzi Beverley wbiegła w kałużę i ochlapała nogi Carla.

- Jest pani prawdziwą jędzą, panno Laine!

Beverley roześmiała się i przyspieszyła kroku. Carl posępnie trzymał się w odległości kilku metrów za nią. Źle ocenił wysokość falochronu, zawadził stopą o deskę i upadł na mokry piasek.

- Beverley!

Zignorowała go. Carl wstał niezgrabnie i ruszył za nią.

- Beverley! - krzyknął. - Spotka cię za to surowa kara!

Zwolniła tempo, aż Carl ją dogonił.

- Jaka kara, miły panie?

- Zastanawiałem się... - dyszał Carl - ...czy nie sprawić ci... lania na kolanie... ale to mogłoby ci się podobać... Trzeba więc wymyślić bardziej drakońskie środki. Na miłość boską, Bev, zabijasz mnie!

Beverley przyspieszyła, reagując na drobne impulsy płynące z pasa. Czy były ostrzejsze niż zwykle, a może tak jej się tylko wydawało?

- Och, Boże - westchnął Carl. - Miało mnie to przecież doprowadzić do formy, a nie

zabić!

- Odzyskasz formę, jeśli utrzymasz tempo - krzyknęła Beverley przez ramię. - Poza tym pamiętaj, że jesteś młodszy ode mnie!

Ukłucia stawały się coraz częstsze. Zastrzyk adrenaliny sprawił, że Beverley zapomniała o Carlu. Narkotyk wyostrzył jej zmysły: słyszała, jak jej stopy uderzają z pluskiem o mokry piasek, a potem, kiedy wbiegła na kamienie, plusk zamienił się w trzask.

*Szybciej, ciało!*

- Beverley!

Ten głos był tylko nieważnym szumem, zagłuszonym przez pulsowanie krwi w uszach. Impulsy, płynące z pasa, stały się jeszcze silniejsze, zachęcając ją do szybszego biegu. Bez wysiłku przesadziła falochron.

- Beverley!

Głos przycichł.

*Dobrze! Dobrze! Ucieknij mu! Szybciej, ciało! Szybciej!*

Alkaloidy uderzały jej do głowy, przynosząc niemal seksualne uniesienie. Ukłucia elektrycznych impulsów stały się tak intensywne, że nie umiała już stwierdzić, skąd pochodzą. Całe ciało poddało się straszliwej, rozkosznej ekstazie.

Mijała bungalow, ale już o to nie dbała.

*Dalej, głupie ciało! Szybciej! Szybciej!*

Nagle ogarnęła ją totalna euforia. Przestała słyszeć własne kroki na piasku, nie słyszała szumu fal, krzyków mew i pulsowania krwi, pompowanej przez serce, będące już u kresu wytrzymałości. Jej ciało ogarnęło oszałamiające uczucie, podobne do orgazmu. Przypominało to nagłe otwarcie bram śluzy, które powstrzymywały powódź.

Carl zobaczył, że Beverley pada na piasek. Zaczął biec.

## 28.

- Sportowi maniacy! - warknął lekarz Beverley, wychodząc z jej sypialni. - Ta kobieta jest w świetnej formie, ale nie chce przyznać, że minął już czas, kiedy mogła bezkarnie galopować we wszystkich kierunkach.

- Wezwał pan karetkę? - spytał Carl, starając się zajrzeć do sypialni.

- Nie warto. Potrzebuje tylko glukozy i środka nasennego i to właśnie dostała. Kiedy się zbudzi, powinien jej pan doradzić, żeby zrezygnowała z tych szaleńczych biegów. Nigdy mnie nie słucha. Czy uwierzy pan, że pewnego razu biegłem za nią po plaży? Teraz będzie

spała przez dziesięć godzin. Niech pan jej powie, żeby odpoczęła przynajmniej jeden dzień. W razie czego proszę do mnie zadzwonić.

- Nie miała więc ataku serca?- Wielki Boże, nie. Zemdląca. Jej mózg miał więcej rozumu niż ona. Dostrzegł, co się dzieje, i wyłączył wszystko. Mechanizm obronny. Do widzenia.

Po odjeździe lekarza Carl ostrożnie zajrzał do sypialni Beverley. Poczł ogromną ulgę, widząc jej spokojną twarz i loki, spływające na poduszkę. Nigdy nie zapomni, jak brnął czterysta metrów po plaży, niosąc jej ciało, które nie dawało żadnych oznak życia.

Carl siedział w salonie i oglądał zachód słońca. Uspokajało go obserwowanie gry świateł na wodzie. Po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego Beverley uwielbiała ten zakątek. Kiedy zapadł zmierzch, przez jakiś czas oglądał telewizję, ścisząc dźwięk, aby jej nie obudzić. Nie było jednak czego oglądać, dlatego zwrócił uwagę na regał, na którym stały zdjęcia jej syna, Paula: Paul w wieku dwóch lat, szkolne zdjęcia Paula, Paul w mundurku harcerskim. Nie znalazł ani jednego zdjęcia, zrobionego po ślubie Paula. Ciekawe.

Spojrzał na półki. Dziwne, że przez te wszystkie lata ani razu nie miał okazji przyjrzeć się jej książkom. Stało tam kilka książek o zarządzaniu, kilka albumów o brytyjskich morskich ptakach, tomy dekoracyjne i duża kolekcja nowoczesnych powieści. Żadna z nich go nie zainteresowała.

O dziesiątej zrobił sobie kawę i zajrzał do Beverley. Wciąż smacznie spała. Pas leżał na podłodze, tam gdzie go zostawił, kiedy zaniósł przyjaciółkę do sypialni. Podniósł go, zastanawiając się, czy ma coś wspólnego z jej niezwykłym zachowaniem. Pamiętał, że Beverley skarżyła się na ból podczas zdejmowania pasa, i postanowił, że zabierze go do laboratorium i dokładnie obejrzy. Zabrał pas do salonu i położył na kanapie.

Obejrzał wiadomości, znudził się i znów zainteresował się regałem. Jego uwagę przyciągnęła duża księga bez tytułu. Na początku sądził, że ma przed sobą album ze zdjęciami, okazało się jednak, że Beverley przechowywała w nim wycinki prasowe. Na początku zamierzał go odłożyć. Takie albumy były równie osobiste jak pamiętniki. Tylko skończony drań czytałby coś takiego. Jego uwagę przykuła jednak pierwsza strona. Widniała na niej szkolna fotografia. Około dwustu nastolatków patrzyło posłusznie w aparat. Nikt z nich nie odważył się nawet uśmiechnąć. Niewątpliwie za fotografem stał szkolny cerber. Spojrzał na napis: SZKOŁA AMBLESIDE, WALTON-ON-THAMES. SEMESTR LETNI, 1965.

Zdjęcie zrobiono ponad trzydzieści lat temu, a jednak niemal natychmiast zauważył Beverley, stojącą w drugim rzędzie. Zdradziły ją kręcone loki. Zdumiał się jednak,

zauważając jej arogancję i nieskrępowaną seksualność. Ciekawe, że nawet wówczas była buntowniczką, gdyż tylko ona nie patrzyła posłusznie w aparat. Jeszcze bardziej zdumiała go jej postawa: wyprostowane ramiona, młode piersi wypięte do przodu. Carl nigdy nie widział, aby Beverley przyjmowała tak wyzywającą pozę. Wydawało mu się raczej, że należy do kobiet, które ostrożnie traktują seks.

Kąciki jej ust unosiły się w szelmowskim uśmiechu. Patrzyła w kierunku, zaznaczonym przez narysowaną ołówkiem strzałką, która wskazywała jasnowłosego, szczupłego chłopca o kwaśnej minie.

Carl odwrócił stronę, aby sprawdzić, czy znajdzie jakiś napis na odwrocie. Napisu nie było, odkrył jednak przyklejony do strony wycinek prasowy: „TELEWIZJA POKAŻE FILM, NAKRĘCONY PRZEZ LOKALNEGO REŻYSERA”. Wzmianka dotyczyła filmu pod tytułem „Kocie oczy”, nakręconego przez tutejszego mieszkańca, który będzie można obejrzeć w programie BBC 2. Tym filmowcem amatorem był Marshall Tate. Carl nie wiedział, czy chodzi o tego samego Marshalla Tate’a, który posiadał kontrowersyjny kanał Elite. Przeczytał artykuł i zauważył datę: 1969. Zapominając o skrupułach, odwrócił stronę. Znalazł następny wycinek, tym razem z 1970 roku: „SPÓR O EROTYCZNY FILM DLA UCZNIÓW”.

Marshall Tate nakręcił film dla Rady Edukacji Szkolnej, ostrzegający dzieci przed niebezpieczeństwami, jakie niesie ze sobą wsiadanie do samochodów, prowadzonych przez nieznanomych kierowców. Zdaniem dyrektora rady, film był zbyt dosłowny i zakazano jego wyświetlania.

Pod artykułem widniało zdjęcie młodego Marshalla Tate’a, którego Carl z łatwością rozpoznał. Znów spojrzął na szkolną fotografię. Tym razem nie miał wątpliwości, na kogo wskazywała strzałka: był to Marshall Tate, który wyglądał tu jeszcze młodziej.

Czyżby więc Beverley i Marshall Tate chodzili do tej samej szkoły? Nigdy mu o tym nie wspominała. Życie jest pełne niespodzianek.

Na początku przypuszczał, że w albumie znajdzie wycinki, dotyczące przede wszystkim Beverley. Prasa sporo o niej pisała, od kiedy stanęła na czele „Nano Systems”. Mylił się jednak: znalazł tylko artykuły poświęcone Marshallowi Tate’owi. Ułożono je w porządku chronologicznym, było to prawdziwe kompendium, rejestrujące karierę Marshalla Tate’a. Carl odkrył kilkanaście fotografii i, jak zwykle, sensacyjne nagłówki: „TATE KRYTYKUJE TELEWIZYJNYCH BOSSÓW”, „CENZURA ZAKAZUJE ROZPOWSZECHNIANIA NOWEGO FILMU TATE’A”, „TATE URUCHAMIA PROGRAM SATELITARNY”, „AWANTURA O KANAŁ ELITE TATE’A”, „TATE OTWIERA KASYNO NA KANALE

SKY ELITE”. W albumie znalazło się nawet sprostowanie telewizji Sky, wskazujące, że kanał Elite nie ma nic wspólnego z siecią Sky, po prostu Elite i Sky korzystają z tych samych satelitów Astra.

Palce Carla przerzucały strony. Przeglądał wyważone, nowe artykuły z poważnych gazet, historie, które przypominał sobie ze względu na towarzyszący im rozgłos. „MARSHALL TATE ZOSTAJE OCZYSZCZONY Z ZARZUTU PROWADZENIA NIELEGALNEGO KASYNA - sędzia uznaje, że luksemburskie satelity znajdują się poza jego jurysdykcją. Rada Gier Hazardowych zapowiada wniesienie apelacji”, „FRANCUSKI SĘDZIA NAKAZUJE UWOLNIĆ TATE’A”.

To dziwne, ale wszystkie wycinki pochodziły co najmniej sprzed dwóch lat. Carl pamiętał jednak, że ostatnio sporo się mówiło o planach Marshalla Tate’a, który zamierzał rozszerzyć na Daleki Wschód swoje operacje hazardowe. Miał niemal gotowe kasyna w Bangkoku, Tokio i Pekinie, chociaż rządy Tajlandii i Japonii publicznie oświadczyły, że nie zamierzają przyznawać licencji na gry hazardowe.

Carl przerzucał strony. Wszystkie artykuły wycięto starannie nożyczkami i dokładnie przyklejono na środku kartki. Było to coś więcej niż przelotne zainteresowanie poczynaniami dawnego, szkolnego kolegi. To była obsesja, kolekcja całego życia, którą Beverley przestała się nagle interesować dwa lata temu. Wszystko to bardzo dziwiło Carla.

Co ją do tego skłoniło? Czy to możliwe, że Marshall Tate był jej mężem? Wątpił w to. Kiedy przy kilku okazjach Beverley wspominała o przeszłości, dawała z goryczą do zrozumienia, że jej mąż był pijanym niedołągą.

Dlaczego tak bardzo zależy jej na bieganiu? Czy naprawdę boi się starości? Po czterdziestce Carl przekonał się z ulgą, że uwolnił się wreszcie od tyranii młodości, od dokuczliwego niepokoju, co myślą o nim inni. Kiedyś wspomniał o tym Beverley, a ona zgodziła się ze śmiechem.

Odłożył album na półkę i spojrzał na przyjaciółkę. Wciąż smacznie spała, leżąc na lewym boku i podkurczając kolana w pozycji płodowej.

Wyglądała uroczo i bezbronne. Jej zabawne, drobne loki spływały na poduszkę. Koc spadł na podłogę. Zamierzał ją przykryć, ale noc była ciepła, więc może celowo go zrzuciła. Wciąż miała na sobie sportowy strój, z wyjątkiem tramppek, które zdjął jej, kiedy czekali na lekarza. Jej koszulka zadarła się, odsłaniając talię. Światło z korytarza padało na bladą skórę Beverley, oświetlając coś, co na pierwszy rzut oka przypominało wysypkę. Ostrożnie, nie chcąc jej obudzić, włączył lampkę, stojącą przy łóżku. Kiedy przyjrzał się dokładnie, zauważył małą grupkę nabrzmiałych i opuchniętych nakłuc. Ostrożnie uniósł jej koszulę.

Skóra pod stanikiem była jak zwykle bez skazy. Wrócił do salonu i podniósł pas. Zbadał go uważnie, a wówczas obudziła się jego podejrzliwość. Poszedł do samochodu i wrócił z kieszonkowym mikroskopem. Oglądał czujniki pasa, małe, podskórne haczyki ze stopu herkulanowego, tak cienkie, że niemal nie dostrzegało się ich gołym okiem. Po założeniu pasa miały nakłuwać bezboleśnie skórę sportowca. Haczyki zrobiono ze stopu, opartego na tytanie, dzięki czemu ciało je akceptowało; obecność obcego materiału nie alarmowała układu immunologicznego i nie prowadziła do produkcji przeciwciał.

Skierował mikroskop na delikatne czubki igieł. W powiększeniu wyglądały brzydko i groźnie i zwykle można w nich było dostrzec miniaturowe otwory. Nie tym razem: czubek każdej igły pokrywała krew. To nie powinno się zdarzyć! Nic dziwnego, że Beverley się skarżyła. Igły zaprojektowano w taki sposób, aby przez mikroskopijne nacięcia w skórze nosiciela nie mogła wypływać krew. Carl osobiście zajmował się czujnikami i wybrał w końcu sprawdzony projekt firmy „Nano Medical Corporation” z Kalifornii. Szczególnie spodobała mu się pomysłowa, ruchoma podstawa czujników, umożliwiająca sportowcowi poruszanie się bez rozdzierania skóry. Poza tym od sześciu miesięcy Beverley używała bez żadnych problemów prototypowego pasa.

Potem dostrzegł coś, co przyprawiło go o gęsią skórę. Poczłł lodowate ukłucie strachu. Wyglądało na to, że podstawa jednej z igieł uległa rozdarciu. Przetawiał lampę i zamrugał, a potem jeszcze raz spojrział przez mikroskop.

Została rozdarta!

Jezu! To niemożliwe!

Było to jednak możliwe, gdyż tak się właśnie stało: podskórna igła, zrobiona z najtwardszego stopu wynalezioneo przez człowieka, wysunęła się z podstawy o pół milimetra i pękła na przestrzeni jednego milimetra swej długości. Carl podniósł głowę i patrzył na ścianę.

Do diabła, co mogło się stać?

Znów spojrział przez mikroskop. Nie miał wątpliwości: uszkodzona igła zdołała jakoś przejść przez dokładną kontrolę poprodukcyjną. Niewykluczone, że w stopie znalazły się zanieczyszczenia. Mogły też istnieć inne przyczyny. Dwie rzeczy były jednak pewne: Beverley nigdy więcej nie założy tego pasa, a jego produkcja nie wchodzi w grę, dopóki uszkodzona igła nie zostanie dokładnie zbadana w Kalifornii. Carl zabrał pas do samochodu i zamknął w schowku.

Czas iść do łóżka. Postanowił położyć się w drugiej sypialni i zostawić drzwi otwarte. Jeśli Beverley zawoła, usłyszy ją. Leżał na łóżku, słuchał oddechu przyjaciółki i zastanawiał

się nad dzisiejszymi wydarzeniami.

Wkrótce zasnął.

## 29.

Kiedy Carl był zaspany, zachowywał się jak zombie. Pozostawał w tym stanie przez przynajmniej pół godziny po obudzeniu, aż do chwili, w której aplikował sobie życiodajny zastrzyk czarnej kawy.

Począł do kuchni, mając nadzieję, że jeśli będzie się kierował zapachem kawy, dotrze do celu bez żadnych przykrych wypadków.

Beverley kąpała się w promieniach słońca, wpadających przez okno. Wyglądała świeżo i rześko, gotowała jajka, czytała poranną gazetę, słuchała radia, oglądała telewizję z wyłączonym dźwiękiem, a jednocześnie nalewała kawę. Normalny początek dnia.

- Oto wchodzi bezużyteczny kochanek - zauważyła. - Spodziewałam się, że zapach cię obudzi. Przygotowuję jedno z twoich paskudnych śniadań z dużą ilością cholesterolu. Czy wiesz, Carl, dlaczego nigdy bym za ciebie nie wyszła?

- Nigdy nie odważyłbym się poprosić cię o rękę, Beverley, ale poza tym dlaczego nie wyszłabyś za mnie? - spytał Carl, siadając przy barku i przyjmując z wdzięcznością kubek kawy.

- Bo rano zawsze okropnie wyglądasz - podała mu talerz z grzanką i jajkami.

- Cieszę się, Bev. Nie chciałbym brać na siebie przerażającej odpowiedzialności i opiekować się postrzeloną żoną, która robi takie głupstwa jak ty wczoraj.

- Och! Cóż takiego zrobiłam?

Carl opróżnił kubek i patrzył na jajka.

- Do cholery, dobrze wiesz, co zrobiłaś.

- No dobrze, może trochę przesadziłam. Wezwałeś doktora Wymana, który jak zwykle skarżył się na mnie. Dał mi środek nasenny i wszystko jest w porządku. Nic wielkiego.

- *Przesadziłam!* - rzekł z oburzeniem Carl, choć usta miał pełne jajek. - Niewiele brakowało, a byś się zabiła!

- Daj spokój, Carl. Przyznaję, że mnie trochę poniosło.

- To raczej ja ciebie niosłem, z tej cholernej plaży. Prawie mnie to zabiło. Wyglądasz na drobną, kruchą małą damę, ale składasz się z samych mięśni. Nigdy więcej nie założysz tego pasa.

- Przytrafia się to czasem każdemu, kto na serio uprawia sport, z pasem czy bez pasa.

Ludzie nie chcą przyznać, że osiągnęli szczyt swoich możliwości, zmuszają się więc do coraz większego wysiłku. W ten sposób osiągają wyniki.

- To nie są wyniki, lecz głupota. Tak czy inaczej, przyjrzałem się wczoraj temu pasowi. Czujniki są zniszczone. Więcej go nie założysz.

Beverley zarumieniała się z gniewu. Miała wrażenie, że Carl zachowuje się pompatycznie, wyniośle i protekcyjnie.

- Wczoraj działał dobrze, chyba że celowo go zepsułeś.

- Na miłość boską, Bev, znalazłem uszkodzony czujnik. W zeszłym tygodniu skarżyłaś się na ból przy zdejmowaniu pasa. Kiedy przyjrzałem ci się wczoraj, zauważyłem znaki na twojej skórze.

Beverley zmarszczyła brwi, rozwiązała i rozchyliła szlafrok. Miała pod spodem stanik i szorty.

- Jakie znaki?

- Na prawym boku.

Beverley przesunęła w dół gumkę szortów, odsłaniając talię.

- Gdzie? A może to tylko podstęp, żeby się rozebrała?

Carl patrzył na nią w oszołomieniu.

- Zniknęły!

Zastanawiał się szybko. Wydawało mu się, że Beverley leżała na lewym boku, dlatego znaki musiały być z prawej strony. Może się pomylił.

- Odwróć się - rozkazał.

Beverley odwróciła się. Carl odsunął w dół gumkę szortów i patrzył ze zdumieniem na gładką skórę.

- Musiałaś je posmarować maścią enzymatyczną - powiedział.

- Co posmarować?

- Beverley, przysięgam, że wczoraj wieczorem na prawym boku miałaś paskudną ranę. Widziałem nawet krew. To nie mogło zagoić się tak szybko bez pomocy lekarstw. - Przyjrzał się dokładniej i zobaczył niemal niewidoczne zaczerwienienia na skórze. - To one? Do diabła, jak mogły tak szybko zniknąć?

Beverley odwróciła głowę i spojrzała tam, gdzie wskazywał Carl.

- Wiesz co, Carl, jesteś głupi. To ślady po ugryzieniach komarów.

Carl prychnął.

- Komary nie zostawiają takich ran, jakie widziałem ubiegłej nocy.

Zamiast odpowiedzi, Beverley postawiła prawą stopę na taborecie obok Carla i



pokazała czerwone plamki na łydce.

- Komary - rzekła krótko. - Te małe dranie są w tym roku szczególnie dokuczliwe. Jeden z nich dostał się na pewno pod pas i najprawdopodobniej drapałam we śnie ugryzione miejsca, co tylko pogorszyło sprawę. Zadowolony?

Carl zamierzał spytać Beverley o Marshalla Tate'a, ale doszedł do wniosku, że przy jej obecnym nastroju ryzykowałby zbyt wiele, gdyby przyznał się, że grzebał w jej rzeczach. Jadł w milczeniu, obwiniając siebie za nagłe zmiany jej humoru.

Beverley nagle podeszła do przyjaciela, objęła go za szyję i pocałowała w policzek.

- Przepraszam, że jestem taka niemiła, Carl. Dziękuję, że się mną zaopiekowałeś. Kłopot polega na tym, że od czasu do czasu potrafię być niewdzięczną, małą jędzą.

- Nie - odrzekł Carl, klepiąc ją z powagą po dłoni. - Potrafisz być bez przerwy niewdzięczną jędzą.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Gdyby Carl się odwrócił, zauważyłby, że w oczach Beverley nie było rozbawienia.

### 30.

Toby pogrzebał wśród papierów, leżących na biurku, znalazł album Marshallu Tate i podał Beverley.

- No dobrze, Beverley. Przejrzałem to. Interesująca kolekcja, ale niewiele może pomóc. Przejrzałem również wszystkie anglojęzyczne publikacje z ostatnich dwóch lat, do których miałem dostęp.

- I co? - spytała Beverley.

- Nic. Nie znalazłem niczego, co tłumaczyłoby, dlaczego Marshall Tate interesuje się twoją firmą.

- Ze względu na jej ogromny potencjał! - odrzekła z podnieceniem Beverley. - Czy wiesz, ile ofert musieliśmy odrzucić? Ilu rekinów węszyło wokół nas przez ostatnie lata?

- Zyski w odległej przyszłości. Nie sądzę, żeby właśnie to interesowało Marshalla Tate'a. On nie tego szuka. Dzięki grom hazardowym na kanale Elite zgarnia pieniądze, przy których obroty „Nano Systems” wydają się śmieszne. On was nie potrzebuje.

- Zastawił jednak na mnie pułapkę - odparła Beverley. Odkryła, że łatwo może rozmawiać z Tobym o przeszłości, gdyż detektyw nigdy nie wygłaszał osobistych uwag. Robił tylko to, za co mu płać: starał się odkryć prawdę i niczym innym się nie przejmował.

- Kiedy za moją sprawą odrzuciliśmy jego ofertę, starał się pozbawić mnie pracy.

- zaproponował jednak, żebyś kierowała kanałem Elite, czyli głównym źródłem jego zysków - zauważył Toby. - Coś tu się nie zgadza.

- Wszystko się zgadza. Chciał po prostu, żebym zeszła mu z drogi - w głosie Beverley pojawiła się gorycz. - Teraz położył swoje brudne łapy na kilku tysiącach Kronosów klasy A. To wystarczy, aby podjąć poważną próbę odtworzenia mikroprocesorów we własnych zakładach.

- Ale po co? - upierał się Toby. - Jakie są jego prawdziwe cele? Chodzi mu przecież o zyski, a nie o to, aby się odegrać. Nie zauważam tu tego rodzaju motywu. Bez względu na twoje uczucia, Beverley, chęć wyrównania rachunków jest dla Marshalla Tate'a rzeczą drugorzędną.

Przez kilka chwil panowała cisza.

- Miałaś z nim romans. Czy pamiętasz, ile razy się spotkaliście?

- To były cztery weekendy - odrzekła Beverley.

- Długie weekendy?

- Od piątku wieczorem do sobotniej nocy. Posłuchaj, Toby, nie chcę, żeby ktoś się o tym dowiedział. Nikt w „Nano Systems” niczego nie podejrzewa.

- Słowo profesjonalisty. No dobrze, cztery długie weekendy. Nie kochaliście się chyba przez cały czas?

Beverley spojrzała ostro na Toby'ego, pragnąc się przekonać, czy z niej nie kpi, on jednak patrzył na nią bez zmrużenia oka. Skinęła głową.

- To właśnie robiliśmy. On lubił dominować.

*Lubił? Boże, oto niedopowiedzenie roku.*

- Ale od czasu do czasu przerywaliście, aby zaczerpnąć tchu?

- Oczywiście. Czy to ważne?

- Pamiętasz, o czym rozmawialiście?

- Nie.

- Spróbuj sobie przypomnieć. Czy kiedykolwiek piliście razem? Czy nie wspominał o swoich planach?

- Obydwoje byliśmy na ogół nieźle wstawieni - przyznała Beverley. - Wspominał o swoich interesach na Dalekim Wschodzie. Właśnie dlatego powiedział, że chciałby, abym kierowała dla niego kanałem Elite.

Toby zadawał pytania niedbale, lecz nieubłaganie.

- Co jeszcze? Czy kiedykolwiek mówił, że zamierza zająć się elektroniką na Dalekim Wschodzie?

- Nie sędę.

- Pomyśl. Przypomnij sobie wszystko, co się wydarzyło, każde jego słowo. Czasami banalna uwaga może okazać się bardzo ważna.

Beverley straciła cierpliwość.

- Prosisz, żebym myślała o sprawach, o których przez ostatnie dwa lata starałam się zapomnieć. Nie mogę tego zrobić tu i teraz.

- Wcale tego nie żądam, Bev. Idź do domu, zastanów się i spisz wszystko, co przyjdzie ci do głowy. Klucz do przyszłości leży w przeszłości.

Beverley zbliżała się do domu. Jechała szybko przez ciemne uliczki West Sussex i zastanawiała się nad rozmową z Tobym, kiedy przypomniła sobie, że rzeczywiście pewnego razu Marshall Tate wypił za dużo i coś mu się wymknęło. Kłopot polegał na tym, że nie pamiętała, o co chodziło. Wiedziała tylko, że Marshall odezwał się, a potem nagle zamilkł, jak gdyby zdał sobie sprawę, że zbyt wiele powiedział.

Do diabła, co to było? Nie miała pewności, przypuszczała jednak, że zdarzyło się to podczas jej pierwszej wizyty w mieszkaniu Tate'a na poddaszu. Łatwo Toby'emu mówić, żeby się zastanowiła. Jak miała przypomnieć sobie luźne rozmowy z Marshall'em Tate'em, prowadzone dwa lata temu pomiędzy wybuchami namiętności? Nigdy sobie nie przypomni, tym bardziej że prawie przez cały czas była pijana.

Istniał jednak sposób pogrążenia się w przeszłości.

Nie... To zbyt niebezpieczne. Wraz z Carlem wydała ścisłe zarządzenia, dotyczące korzystania z komór TVR.

*Ach, do diabła z nimi!*

Zahamowała, zawróciła albatrosa i ruszyła w kierunku, z którego przyjechała.

## 31.

Sprzęt TVR w firmie „Nano Systems” zmienił się przez ostatnie lata. Poza pierwszą komorą rzeczywistości wirtualnej, zbudowaną przez Leona Dextera, stało tam teraz dziesięć mniejszych komór, spoczywających na aluminiowych podstawach. Nad włączami paliły się czerwone lampki, sygnalizujące stan gotowości. Rozgrzewanie do odpowiedniej temperatury włókna szklanego i dźwiękoszczelnego materiału trwało dwa dni. Znaczyło to, że należy utrzymywać komory w gotowości przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Z boku stała konsola w kształcie podkowy, wyposażona w ekrany telewizji przemysłowej i monitory,

umożliwiający kontrolowanie pracy w komorze.

Don Tesler, szef straży przemysłowej, właśnie kończył nocny obchód.

- Dobry wieczór, panno Laine - rzekł z zaciekawieniem. - Strażnik przy bramie powiedział, że pani przyjechała. Czy mogę w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję, Don, wszystko w porządku. Pan Olivera poprosił, żebym sprawdziła pewne wyniki. Potrwa to mniej więcej godzinę.

Strażnik wyglądał na zaniepokojonego.

- Czy zamierza pani korzystać z komory TVR, panno Laine?

- Niewykluczone - Beverley nie podobało się to pytanie. - W takim razie ktoś z zewnątrz powinien to kontrolować - rzekł niespokojnie strażnik, patrząc na pustą konsolę. - Sama pani wprowadziła ten przepis, panno Laine.

Beverley miała ochotę powiedzieć mu coś do słuchu, ale opanowała się. Ten człowiek wykonywał po prostu swoją pracę.

- Upewnię się, że komora, z której skorzystam, ma połączenie z pańskim biurem. Jeśli będę czegoś potrzebowała, zawołam. W porządku?

- No cóż... jeśli jest pani pewna, że nic się nie stanie, panno Laine.

Beverley uśmiechnęła się ciepło.

- Poradzę sobie.

Kiedy została sama, udała się do przebieralni i wzięła ręcznik. Potem podeszła do komory numer dziesięć, najbardziej oddalonej od drzwi, i rozebrała się. Owinięta ręcznikiem, otworzyła właz i weszła do jasno oświetlonego wnętrza, trzymając w ręku dyktafon. Najnowsze komory były o wiele nowocześniejsze niż ich prototyp. Zamiast głębokiego po pas basenu, znajdowało się w nich teraz tylko tyle wody, by ciało użytkownika nie dotykało ścian. Beverley przymocowała dyktafon do wysięgnika kontrolnego i zanurzyła się w przyjemnej, letniej wodzie. Kiedy się położyła, podglówek dostosował się automatycznie do kształtu jej szyi. Światła przygasły. Beverley zamknęła oczy. Korzystała kilka razy z komory TVR i zawsze rozkoszowała się dziwnym, uspokajającym wrażeniem całkowitej izolacji od własnego ciała i zewnętrznego świata. Wątpiła jednak, czy tym razem sprawi jej to przyjemność. Zamierzała przecież myśleć o sprawach, o których do tej pory starała się zapomnieć.

Światła zgasły. Zapadła taka ciemność, że Beverley nie była nawet pewna, czy ma otwarte oczy. Cisza i mrok otuliły ją jak grobowy całun. Nogi i ręce rozchyliły się, kiedy jej dryfujące ciało przyjęło naturalną pozycję w letniej wodzie. Było jej ciepło, czuła się bezpieczna i pogodzona z sobą i to pomimo tego, że zamierzała ożywić niebezpieczne

wspomnienia, niczym satanista czekający, aż zmaterializuje się przed nim diabeł. Przez kilka chwil słuchała bicia swego serca i wyczuwała niemal, jak wyrównują się jej fale mózgowe.

Mijały minuty, a może godziny. Nie dbała o to. Jej mózg znów ożył, szukając danych zmysłowych. Niczego nie znalazł i był oszołomiony. Beverley pozwoliła myślom dryfować swobodnie. Mózg uchwycił się tych myśli i uznał je za rzeczywistość. Słodką rzeczywistość...

Wyobraziła sobie Becky Falls, gdzie rodzice zabrali ją, kiedy była mała.

To za daleko.

Starła się kontrolować myśli, ale nagle ujrzała grzmiący wodospad, ciężką mgłę, poczuła wilgotny, lecz przejmujący zapach letniego lasu, bliskie, zielonkawe kamienie, silny uścisk dłoni ojca, ucisk ciasnych, nowych butów. Miała przed sobą mozaikę tysięcy żywych, jasnych obrazów, które zniknęły na zawsze, a jednak były przy niej, czekając za zapomnianą bramą otworzoną teraz przez ciekawski mózg.

Twarcz matki, nieżyjącej od dziesięciu lat, szpilki w jej ustach, kiedy poprawiała pierwszą wieczorową suknię córki, jej pierwszy okres, jej pierwszy chłopak.

Za daleko.

*Za daleko!*

Ta błagalna myśl przypominała westchnienie w ciemności. Z wysiłkiem wypowiedziała znienawidzone imię, a wówczas sen zamienił się w koszmar.

- Matt - wyszeptała. - Matt Tate.

## **CZĘŚĆ CZWARTA: Dzień wczorajszy**

### **Marshall Tate**

Te są twoje kunszty: masz władnie rządzić ludami.

*Eneida*, Wergiliusz

## 1.

### POŁUDNIOWA ANGLIA 1964

Z dużą dokładnością można określić początek kariery Marshalla Tate'a: przełomowa chwila nastąpiła podczas świąt Bożego Narodzenia w 1964 roku, kiedy miał trzynaście lat.

Największy i najbardziej obiecujący prezent otrzymał od ojca, rozwiedzionego od dwóch lat z matką, Celią. Marshall musiał przedzierać się gorączkowo przez warstwy szarego papieru i starych gazet, aby obejrzeć zawartość paczki: stary, ręczny rzutnik filmowy Pathe ACE i pudełko z dziewięćciopółmilimetroowymi rolkami z filmami Chaplina.

Marshall westchnął z zachwytu, wyjmując rzutnik spośród podartych gazet. Był tak przejęty, że niemal go upuścił. Spędzając z ojcem soboty, Marshall zaciągał go często do sklepu ze starzyzną Wally'ego Clegga i wpatrywał się jak zahipnotyzowany w leżący na wystawie aparat. Uwielbiał przychodzić do tego sklepu. Niestety, matki, w przeciwieństwie do ojców, nie rozumiały takich rzeczy.

- Widzisz, tato? Takie samo urządzenie mają w Odeonie. Służy do wyświetlania obrazów na ekranie. To rzutnik.

Ojciec roześmiał się.

- Przypuszczam, że prawdziwe rzutniki są o wiele większe, Matt.

Marshall uznał to za bardzo prawdopodobne. Filmowcy z Walton Studios używali przecież ogromnych kamer. Kiedy tylko w mieście lub w okolicy robiono zdjęcia, Marshall trzymał się w pobliżu filmowców i w wolnych chwilach, czyli często, bez przerwy zasypywał ich pytaniami.

W wieku ośmiu lat udało mu się zdobyć autograf Jacka Hawkinsa, kiedy gwiazdor kręcił sceny do telewizyjnego serialu „Czterech sprawiedliwych”. Ojcowie kilku szkolnych kolegów pracowali w studiach telewizyjnych. Marshall zazdrościł im, uważając, że wspaniale jest mieć ojca, który może pokazać synowi cudowną pracę wśród dekoracji i świateł.

Filmy i robienie filmów fascynowały Marshalla. Z encyklopedii dla dzieci Arthura Mee nauczył się wszystkiego o kamerach i rzutnikach filmowych. Dowiedział się również, w jaki sposób filmowcy tworzą efekty specjalne. Czytał o reprojekcji i zdjęciach poklatkowych i bardzo się cieszył, kiedy rozpoznawał w filmach te sztuczki. Wiedział, że falowanie sierści King Konga, kiedy potężny goryl leżał martwy w Nowym Jorku, wywołali technicy w studiu, poruszając lekko modelem przed każdym poklatkowym ujęciem.

W ciągu dziesięciu minut po otwarciu paczki Marshall zapomniał o wszystkich

pozostałych prezentach, ku rozczarowaniu ciotek, wujków i innych krewnych, którzy przyjeżdżali do Celi na każde święta.

Celia znalazła Marshalla w jego pokoju. Chłopiec zaciągnął zasłony. Siedział w półmroku, kręcąc rączką projektora i oglądając na jednej ze ścian obraz podskakującego Chaplina. Na początku zwróciła uwagę na bałagan. Zwykle Marshall utrzymywał w pokoju nieskazitelny porządek i nie cierpiał bałaganu. Tym razem jednak wszędzie leżały rolki filmowe. Chłopiec przymocował rzutnik do nowego stolika, który kupił mu zaledwie kilka tygodni temu. Odsunął dywan i ustawił stół na środku pokoju. Właśnie zamierzała go zbesztać, ale słowa zamarły jej na ustach, kiedy zobaczyła jego skupiony wzrok. Światło z ekranu padało na twarz Marshalla. Nawet nie zauważył obecności matki. Tylko częściowo rozpakował samochód strażacki, który mu podarowała, jak gdyby otworzył paczkę jedynie po to, aby sprawdzić, co jest w środku, i zaraz potem przestał się nią interesować. Zirykowała się, widząc, że bardziej mu się podobał używany podarunek od George'a.

- Nie zejdziesz na dół, Matt? Prawie cię dzisiaj nie oglądaliśmy.

- Nie widziałem jeszcze wszystkich filmów - odrzekł Marshall, nie odrywając oczu od ściany.

Wciąż kręcił korbą. Charlie Chaplin zrzucił z balkonu grubasa, który spadł na ogromny kwietnik. Marshall nie uśmiechnął się. Nie znosił, kiedy matka wtrącała się w jego sprawy. Bez przerwy to robiła.

- Masz na to całe ferie - rzekła Celia.

- Zejdę, kiedy film się skończy - uciął Marshall.

Celia otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale doszła do wniosku, że w świąteczny dzień nie powinna wywoływać awantury. Jeśli Marshall nie postawi na swoim, wpadnie we wściekłość. Wycofała się i zostawiła syna, kręcącego nową zabawką i obserwującego migające na ścianie obrazy.

Kiedy wyszła, Marshall przysunął stół do odległej ściany, aby sprawdzić, jak duży może być obraz. Uznał, że filmy, które dostał, są niewiele warte. Jeśli chodzi o komedie, jego gust ukształtowali Dean Martin i Jerry Lewis, występujący w filmach wyświetlanych w sobotnie poranki. Lubił również oglądać filmy z serii „Do dzieła”, kiedy udało mu się przekonać matkę, aby zabrała go do kina. Marshall nie cierpiał certyfikatu „A”. Nawet „Czarnoksiężnik z krainy Oz” otrzymał taki certyfikat. Władze w postaci uprzejmego biletera nie pozwoliły Marshallowi obejrzeć tego filmu:

- Przykro mi, chłopcze. Nie możesz wejść sam. Musi ci towarzyszyć osoba dorosła.

Marshallowi nie mieściło się w głowie, że władze mogły uznać „Czarnoksiężnika z



krainy Oz” za film, który wolno oglądać dzieciom tylko w towarzystwie osób dorosłych. Miał ochotę wyładować wściekłość na bileterze, ale onieśmiał go jego mundur. Wrócił do domu ze łzami w oczach. Chciał obejrzeć ten film, bo kilku szczęśliwych kolegów poszło z rodzicami do kina i opowiadało o fantastycznych efektach specjalnych podczas szalejącego tornado. Teraz jednak, mając rzutnik, Marshall mógł tworzyć własne efekty specjalne, puszczając film na wspak. Magia! Siedział i patrzył na powiększony obraz na ścianie. Powiększenie obrazu wcale nie sprawiło, że błazeństwa Charliego Chaplina i nieme awantury z brodatymi grubasami stały się bardziej zabawne. Prawdziwy urok tych starych filmów polegał na tym, że kręcąc korbą mógł wywoływać ruchome obrazy na ścianie swojej ciemnej sypialni.

## 2.

1965

- Oczywiście, że jej nie sprzedałem - mruknął kwaśno Wally Clegg, patrząc na stojącego przed nim szczupłego chłopca. Wytarł nos rękawem brudnej bluzy. - Czyż nie powiedziałem, że ją dla ciebie zatrzymam?- Ale nie ma jej na wystawie! - rzekł z rozpaczą Marshall. - A ja przyniosłem pieniądze.

- Zabrałem ją stamtąd, wiesz? - Wally Clegg potrafił zamieniać większość stwierdzeń w pytania.

Był niskim, siwym mężczyzną, który, zdaniem większości chłopaków z Walton, stanowił nieodłączną część miasta. Ojcowie tutejszych nastolatków, sprzedających mu stare siedemdziesiątki ósemki, aby kupić nowocześniejsze czterdziestki piątki, kupowali w dzieciństwie u Wally’ego Clegga aparaty fotograficzne Kodaka, używane wędki i igły gramofonowe. Wally Clegg wydawał się równie wieczny jak mulista Tamiza, płynąca za jego podwórzem zawałonym starzyzną.

Patrzył na bladego chłopca, ściskającego kontuar.

- Masz całą sumę? Wiesz chyba, że nie udzielam kredytu? - Pomimo szorstkiego obejścia Wally był miłym człowiekiem, ciepło traktującym dzieciaki z Walton, którym zawdzięczał pokaźną część swoich zysków. Trzeba jednak postępować stanowczo z tymi małymi łobuziakami.

Marshall bał się trochę tego przygarbionego, siwego mężczyzny. Wally Clegg był sklepikarzem, reprezentował więc władzę. Sięgnął do kieszeni i położył garść monet na drewnianym kontuarze.

- Pięć funtów - wykrztusił. - Tyle przyniosłem.

Wally liczył pracowicie. Biorąc monety po kolei do brudnej dłoni, oddzielał powoli półkoronówki od szylingów i sześciopensówek. Marshall nie cierpiał go.

- Zgadza się - rzekł w końcu Wally.

Schylił się i wyjął małą kamerę Pathe ACE z mechanizmem zegarowym. Położył ją na ladzie.

Przez kilka sekund Marshall mógł tylko patrzeć na kamerę. Nie śmiał jej dotknąć, wciąż nie wierzył, że urządzenie, które oglądał każdego popołudnia przez ostatnie cztery tygodnie, przyciskając nos do wystawowej szyby, należy wreszcie do niego.

- Chcesz ją czy nie? Wiesz chyba, że nie zwracam pieniędzy?

Marshall szybko chwycił kamerę. Trzymał ją! Naprawdę ją trzymał!

Należała do niego! Wally pokazał chłopcu, jak nakręcać zegarowy mechanizm kamery.

- Potem ją załadujesz i naciśniesz guzik. Żadnego ogniskowania, nic w tym rodzaju. Proste, prawda? Masz jakiś film?

Marshall wyjąkał, że nie.

- Jest diabła warta bez filmu, nie sądzisz?

- Widziałem reklamę pewnej firmy w magazynie „Exchange and Mart”. Pomyślałem, że zaoszczędzę trochę pieniędzy i kupię od nich film.

- Czekaj no - Wally poczłapał w ciemny, odległy kąt sklepu i wrócił niosąc duże, płaskie pudło. - Masz, chłopcze. Trzysta stóp starego filmu. Przeteterminowany o pięć lat, ale oni podają takie terminy tylko po to, żeby się zabezpieczyć. Na pewno nic mu nie jest. Musisz nawinać go na małe rolki, pasujące do kamery. Macie w szkole ciemnię?

Marshall patrzył na pudło.

- Ale ja nie mam pieniędzy. Musiałem pracować, żeby zdobyć te pięć funtów.

- Daję ci to za darmo. Specjalna oferta, dodatek do kamery.

Marshallowi zabłyśły oczy.

- Nie wiem, jak panu dziękować, panie Clegg.

Grzeczny, pomyślał Wally. Inny niż typowi, mali smarkacze, chodzący do Ambleside.

- W porządku, chłopcze. To wszystko starocie. Nic mnie nie kosztowały, wiesz? Mógłbym nawet zdobyć więcej. - Prawdę mówiąc miał sporo starych, czarno-białych filmów, ale nie warto było wręczać ich wszystkiemu dzieciakowi za jednym zamachem. Tylko je zmarnuje.

Marshall spojrział na Wally'ego przez wizjer kamery i nacisnął guzik. Mechanizm zegarowy brzęczał cicho, a klucz do nakręcania kamery zaczął się obracać.

- Może zrobię o panu film, panie Clegg?

Willi uśmiechnął się lekko.

- Jak się nazywasz, chłopcze?

Marshall odpowiedział.

- Cóż, Matt. Wydaje mi się, że chłopak w twoim wieku znajdzie inne, ciekawsze rzeczy do filmowania.

### 3.

Celia zastukała do drzwi sypialni Matta. Autor artykułu w ostatnim numerze „Womans Own” podkreślał, jak ważne jest respektowanie prywatności dzieci.

- Obiad gotowy - powiedziała.

Usłyszała stłumioną odpowiedź:

- Zejdę za minutę.

Celia знаła te minuty Marshalla.

- Stoi już na stole, Matt. Wystygnie.

- Minuta!

- Jeśli jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz, młody człowieku, to w ogóle nie dostaniesz obiadu - rzekła Celia z żartobliwą surowością.

Zamiast odpowiedzieć równie żartobliwym tonem, Marshall uciął:

- Powiedziałem, że zejdę za minutę. Zostaw mnie w spokoju.

Celia odwróciła się od drzwi, ale nagle ogarnął ją gniew, bardziej na siebie niż na Marshalla, gdyż zdała sobie sprawę, że pozwala synowi sobą manipulować. Może po prostu bała się trochę jego wybuchowego temperamentu. Nacisnęła klamkę i popchnęła. Drzwi były zablokowane.

- Nie wchodź! - wrzasnął Marshall.

Jego głos załamał się. Nie nauczył się jeszcze kontrolować głosu po mutacji.

To wystarczyło. Celia mocniej pchnęła drzwi. Szary papier, którym Marshall zakleił wszystkie szczeliny, pękł z głośnym trzaskiem. Do sypialni wpadło światło.

- Powiedziałem, żebyś nie wchodziła! - krzyknął Marshall piskliwym, niemal dziewczęcym głosem.

Przez chwilę Celia była zbyt zszokowana, by zareagować. Nie wiedziała, czego powinna się spodziewać. Nie zdziwiłaby się, gdyby syn czytał magazyn pornograficzny. To przynajmniej byłoby normalne, chociaż przykre. Mogłaby to zrozumieć i jakoś się z tym

pogodzić. On jednak siedział na łóżku. Zanim weszła, w pokoju musiała panować całkowita ciemność, gdyż zasłonił okna kawałkami tektury. Na kolanach trzymał rolkę filmu.

- Ty głupia, pieprzona kobieto! - wrzasnął Marshall. - Mówiłem, żebyś nie wchodziła! Zniszczyłaś mój film!

Zanim Celia zdążyła otworzyć usta, Marshall cisnął przez pokój rolkę filmu i ukrył z łkaniem twarz w poduszce. Oszołomiona Celia stała na progu, a jej serce mocno biło. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, kogo właściwie wydała na świat. Bez słowa zamknęła drzwi.

Marshall podniósł film. Przeklinał matkę, przeklinał wszystkie kobiety. Kiedy się uspokoił, zdał sobie sprawę, że dzięki wybuchowi gniewu po raz pierwszy udało mu się wyjść bez szwanku ze starcia z władzą.

Była to cenna lekcja.

#### 4.

- Potrzebujesz pojemnika do wymiany filmów - powiedział do Marshalla Wally Clegg następnego popołudnia po lekcjach, kiedy wysłuchał opowieści o zniszczonym filmie. - Przewijanie filmu w takim pojemniku jest dosyć trudne, ale jakoś sobie poradziłem. Mam tu gdzieś zapasowy pojemnik. - Znalazł zakurzoną, czarną torbę i położył na ladzie. - Jest twoja za pięć szylingów.

- Ile kosztowałyby rolka filmu, panie Clegg?

Wally sprzedawał stare, dziewięćoipółmilimetrowe filmy za jednego funta od sztuki.

- Dziesięć szylingów - wymruczał.

Marshall położył na ladzie piętnaście szylingów. Wally przyniósł rolkę z zaplecza i podał Marshallowi.

- Czy mam ci pokazać, jak używać pojemnika?

- Tak, bardzo proszę, panie Clegg.

Wally wziął torbę i pokazał Marshallowi, jak nawinąć nie naświetlony film na rolkę w kamerze.

#### 5.

Beverley Laine podeszła do Marshalla. Wyglądała przez okno w sypialni, czekając, aż się zjawi.

- Dokąd idziesz?

- Zamierzam nakręcić film - odrzekł dumnie Marshall.

- Mogę iść z tobą?

Marshall spojrzał niepewnie na Beverley. Był sobotni poranek. Przez cały tydzień czekał na ten dzień, bo po lekcjach robiło się zbyt ciemno na filmowanie. Poza tym ojciec tej dziewczyny był policjantem, najwyższym przedstawicielem władzy, chociaż Marshall nigdy nie widział go w mundurze. Z drugiej strony, chętnie popisałby się przed Beverley. Ta wysoka trzynastolatka miała długie nogi, a jej włosy układały się w naturalne loki. Pod obcisłą bluzką zarysowywały się pączkujące piersi. Mieszkała obok Marshalla, od kiedy skończyła dziesięć lat.

- Czemu nie - odrzekł niedbale Marshall, zrzucając plecak na ramiona.

- Masz więc kamerę?

Beverley wiedziała wszystko o rzutniku Marshalla. Pewnego wieczoru zaprosił ją do swojego pokoju na film z Chaplinem. Przymocował nawet na ścianie kotary, zasłaniające ekran. Pragnąc nadać seansowi więcej realizmu, Beverley jadła prażoną kukurydzę i rzuciła w ścianę poduszką podczas przerwy w projekcji.

- Mam również nie naświetlony film - rzekł dumnie Marshall. - Sześć rolek. Każda zawiera piętnaście stóp filmu.

Przeszli na drugą stronę głównej ulicy i skręcili w boczną drogę, prowadzącą do ścieżki flisackiej.

- Jak długi film z tego powstanie? - spytała Beverley.

Marshall nie był pewny.

- Film potrwa mniej więcej dziesięć minut.

Na Beverley nie zrobiło to wrażenia.

- To niezbyt wiele.

- Telewizyjne reklamy trwają zaledwie kilka sekund - odparł Marshall. W „Poradniku filmowca amatora” wyczytał, że powinien oglądać reklamy, gdyż zwykle stanowią one przykład dobrej, filmowej roboty.

Doszli do ścieżki flisackiej i zatrzymali się przy przystani parowców. Beverley patrzyła z zainteresowaniem, jak Marshall pochylił się nad plecakiem i zaczął rozpakowywać kamerę. Od kiedy zamieszkała w sąsiedztwie, intrygował ją ten chłopak. Był samotnikiem. Prawie nie spotykał się z rówieśnikami, a w ich towarzystwie wyglądał zwykle na znudzonego.

Marshall wyprostował się i pokazał Beverley kamerę. Starał się zachowywać nonszalancko, ale najwyraźniej był z niej bardzo dumny, krzywił się, kiedy zauważyła, że kamera jest „trochę mała”, zwłaszcza że usłyszeli to pasażerowie, czekający na parowiec.

Pierwsze ujęcie w karierze Marshalla przedstawiało kaczkę. Nie zauważył, że ma słońce za plecami, a jego cień pada na filmowaną scenę. Zbyt pochłaniało go patrzenie przez obiektyw, delikatna wibracja filmu. Często uruchamiał nie załadowaną kamerę, udając, że filmuje wszystko w zasięgu wzroku, ale tym razem czuł się inaczej. Kamera była cięższa, inaczej szumiała. To się działo naprawdę! Uwiecznił na taśmie filmowej własny cień i każdy ruch kaczki.

Potem skierował kamerę na ogromnego łabędzia, który wydawał się spać na trawie z łbem ukrytym pomiędzy skrzydłami. W rzeczywistości ten stary, złośliwy samiec nigdy nie zasypiał. Marshall zbliżał się do niego, spoglądając przez obiektyw. Wyobrażał sobie, że jest kamerzystą, filmującym dzikie zwierzęta, i właśnie podchodzi do lwa. Kiedy łabędź doszedł do wniosku, że Marshall zanadto się zbliżył, zamachał skrzydłami, wyciągnął szyję w kierunku natrętnego kamerzysty i wydał głośny, groźny syk niezadowolenia. Marshall tak się przestraszył, że niewiele brakowało, upuściłby kamerę. Cofnął się szybko, a Beverley zgięła się wpół ze śmiechu i upadła na trawę. Rozgniewany Marshall już miał coś powiedzieć, ale nagle zobaczył długie nogi Beverley i fragment jej bielizny. Nie podobało mu się, że zaczyna interesować się tą dziewczyną. Stopniowo dochodził do wniosku, że nie lubi dziewcząt. Uważał pociąg seksualny za jeszcze jeden przejaw zniechęconej władzy. Mimo to uśmiechnął się z zalem.

- Myślałem, że ten drań urwie mi głowę - przyznał.

Beverley usiadła.

- Czemu mnie nie sfilmujesz? Obserwowanie siebie na ekranie musi być interesujące. Zawsze zastanawiałam się, co czują gwiazdy filmowe. Obiecuję, że nie będę na ciebie syczeć.

- Ciebie sfilmować? Twoja twarz rozsadziłaby obiektyw. Poza tym zamierzałem filmować dzikie zwierzęta, jak w telewizyjnych serialach dokumentalnych.

- No cóż, ten łabędź rzeczywiście był dziki - powiedziała Beverley, starając się zachować powagę.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem. Marshall doszedł do wniosku, że może ta Beverley nie jest taka zła. Poza tym podobała mu się.

## 6.

- Zrobiłem pierwszy film, panie Clegg - oświadczył Marshall. Tak jak zawsze, mówił grzecznym tonem. Położył ostrożnie na ladzie sześć małych rolek i spojrzał na starego mężczyznę.

- Chcesz, żebym je wywołał?

Marshall uśmiechnął się promiennie do Wally'ego.

- Tak, bardzo proszę, panie Clegg. Powiedział pan, że zna pan kogoś.

Wally skinął głową. Miał stałego klienta, pracującego dla Walton Studios, który mógłby wywołać za rozsądną cenę dziewięćpółmilimetrowy film.

- To będzie kosztowało parę funtów - ostrzegł.

Marshall wyjął z kieszeni brudny banknot jednofuntowy.

- Mogę teraz dać panu funta, a drugiego przy odbiorze. Czy zgodzi się pan na to, panie Clegg?

Wally zawsze wolał, aby klienci płacili z góry, ale nie chciał rozczarować chłopca.

- Powiedzmy, że się zgadzam - mruknął, chowając banknot do starej kasy. - Ale przynieś resztę, bo inaczej nici z interesu.

- Obiecuję - odrzekł podekscytowany Marshall. - Kiedy będzie gotowy?

- W przyszłą sobotę.

- Przyniosę pieniądze - rzekł bez wahania Marshall, chociaż nie miał pojęcia, w jaki sposób w tak krótkim czasie zdoła zebrać taką sumę.

## 7.

Był to najdłuższy i najtrudniejszy tydzień w życiu Marshalla. Zaraz po lekcjach zaczął pracować u sąsiadów. Razem z panem Walkerem zrywał ze ściany tapetę. Przewycięzył niechęć do autorytetu i zarobił dziesięć szylingów, pomagając ojcu Beverley sprzątać garaż.

- Pozwolisz mi obejrzeć film? - spytała Beverley.

Przycupnęła na składanej drabinie i patrzyła, jak Marshall sortuje brudne pędzle jej ojca. Chciała, żeby spojrzał na jej nogi. Przeszywał ją przyjemny dreszcz, kiedy zauważała, że jakiś chłopiec znajduje się pod jej urokiem. Irytowała się, kiedy jej drobne, kobiece prowokacje nie działały na Marshalla. Ani razu nie spojrzał na jej nogi.

- Być może - odparł niezobowiązująco.

- Zawsze mógłbyś mnie sfilmować - zaproponowała Beverley.

- Po co?

- Geoff Tilley uważa, że mam ładne nogi - powiedziała Beverley przesunęła się lekko, aby Marshall mógł spojrzeć.

- Geoff Tilley to bęcwał - odrzekł Marshall, zbyt zajęty wygładzaniem papieru

ściernego, aby rzucić okiem na nogi Beverley.

W tym momencie do garażu wszedł ojciec Beverley, która błyskawicznie zmieniła temat rozmowy i zakryła nogi.

## 8.

- Czy jest już gotowy, panie Clegg? - spytał z zapalem Marshall, wysypując na ladę garść monet.

Wally Clegg uśmiechnął się i podał Marshallowi rolkę wywołanego filmu. Warto było stracić trochę pieniędzy na wywołaniu, aby zobaczyć zdumienie na twarzy chłopca, patrzącego z niedowierzaniem na swój pierwszy film.

- Masz, chłopcze. Wszystko zostało nagrane na jedną rolkę.

- Czy dobrze wyszedł?

Wally nie lubił przyznawać, że ogląda filmy klientów, ale skinął głową.

- Zauważyłem ładną dziewczynę na piątej rolce - stwierdził, licząc ciężko zarobione pieniądze Marshalla. - Uczennica wysiadająca z łodzi, prawda? Wygląda na to, że cię zna. Powinieneś nakręcić o niej film. Jej uśmiech ładnie wychodzi w zbliżeniu.

Marshall nie był pewny, o czym mówi Wally, bo nie pamiętał, co znalazło się w poszczególnych scenach.

- Chcesz następny film? - zawołał Wally, kiedy chłopiec wybiegał ze sklepu.

Marshall znów podszedł do lady.

- Nie mogę sobie na to pozwolić - przyznał. - Jestem splukany.

- Kiedy będziesz oddawał film do wywołania, dostaniesz nowy za darmo - odrzekł Wally, wręczając zachwyconemu Marshallowi następną rolkę nie naświetlonego filmu.

Marshall biegł do domu, ściskając swoje trofeum, i ledwo panował nad podekscytowaniem. Celia wyszła, będzie więc mógł rozkoszować się długo oczekiwaną chwilą i nie przeszkodzi mu żaden głos autorytetu. Rozwinął ekran - prześcieradło, obciążone bambusowym kijem - i gorączkowo włożył film do projektora. Ręka mu drżała, kiedy obracał korbą. Widząc stado kaczek na ekranie, omal nie zemdlął z radości. Wally powiedział wprawdzie, że film wyszedł, ale Marshall spędził ostatni tydzień w dużym napięciu, modląc się, aby nie zawiódł przeterminowany sprzęt. Pomimo podekscytowania chłopiec zauważył profesjonalnym okiem, że silnie potrząsał kamerą, podchodząc na łokciach do śpiącego ptaka. Zdał sobie sprawę, że najpierw powinien się zbliżyć, a dopiero potem włączyć kamerę. Łeb łabędzia zbliżył się nagle do obiektywu i wypełnił cały ekran. Marshall wzdrygnął się. Ta



reakcja zachwyciła go: wiedział przecież, czego się spodziewać, jeśli więc on podskoczył, to jak podskoczy publiczność!

Pozostałą część filmu wypełniały zdjęcia parowca, przybijającego do przystani, oraz wysiadających pasażerów. To Beverley była dziewczyną, którą podziwiał Wally Clegg. Sama wprosiła się na plan i udawała pasażerkę. Podeszła do Marshalla i zuchwale wystawiła język w kierunku kamery. Marshall cofnął taśmę i powtórzył ujęcie. Ujrzał Beverley w nowym świetle. Wally Clegg miał słuszość: te włosy, układające się w zwariowane loczki, te zaokrąglenia pod swetrem. Rzeczywiście, ładna dziewczyna. Może powinien ją sfilmować? Ojciec Beverley był jednak policjantem, przedstawicielem władzy. To go trochę zniechęcało. Poza tym nie miał ochoty marnować cennego filmu na głupie dziewczyny, które pokazują kamerze język.

Zanim Marshall Tate zmieni zdanie, upłynie sześć miesięcy, a przez kamerę przewinie się dwa tysiące stóp przeterminowanego filmu ze sklepu Wally'ego Clegga.

## 9.

Beverley przykucnęła za drzewem i patrzyła z zainteresowaniem na Marshalla. Jechała za nim na rowerze aż do miejsca, w którym przybrzeżne łąki ustępowały miejsca lasowi. Ustawił kamerę pod starym dębem na dziwnym statywie domowej roboty o wysokości osiemnastu cali. Musiał leżeć na plecach, aby patrzeć przez obiektyw. Było gorące popołudnie pod koniec lipca. Właśnie zaczynały się letnie wakacje. Miał przed sobą pięć tygodni nieprzerwanego filmowania. Postanowił sfilmować sowę, zanim rozpocznie się rok szkolny i znowu będzie musiał odrabiać lekcje.

Jego zdecydowanie nieco osłabło, kiedy poczuł, jak mrówki chodzą mu po szyi. Praca kamerzysty, filmującego dzikie zwierzęta, okazała się niezbyt przyjemna. Poza tym nawet gdyby zdołał sfilmować sowę, prawdopodobnie nie osiągnie zachęcających wyników. Ta mała kamera o stałej ogniskowej nadawała się tylko do kręcenia rodzinnych filmów, kamerzysta uzyskiwał najlepszy obraz, kierując obiektyw na przedmioty znajdujące się w odległości od dwóch do trzech metrów. Jeśli filmował z większego dystansu, obraz stawał się zamazany. Marshall potrzebował ośmiomilimetrowej kamery z trzema obiektywami na obrotowej głowicy: zwykłym, szerokokątnym i teleobiektywem. W czasopiśmie w bibliotece widział mnóstwo reklam: wspaniałe kamery, których cena dochodziła do kilkuset funtów. Najtańszą z nich był Eumig za trzydzieści funtów.

- To niemal dwutygodniowa pensja, Matt! - krzyknęła Celia, kiedy wspomniał w

zeszłym miesiącu o tej kamerze jako możliwym prezencie na czternaste urodziny. Musiał się zadowolić ekranem typu Luxor w cenie sześciu funtów.

Słońce wzniosło się wyżej. Sowy nie znosiły słonecznej pogody. Było mało prawdopodobne, że któraś z nich pojawi się przed zmrokiem. Co poza tym mógłby sfilmować? Dawno minęły czasy, kiedy kierował kamerę na wszystko, co się rusza. Zdążył już zresztą sfilmować wszystko, co ruszało się w Walton. Później stał się bardziej wybredny. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie naprawić roweru i nie pojechać do zoo, ale szybko mienił zdanie. Spotka tam głupie dzieciaki, zaglądale do kamery i pokazujące języki.

Padł na niego jakiś cień. Osłonił oczy. Była to Beverley. Miała na sobie cienką bawełnianą sukienkę, którą wiatr przyciskał prowokująco do jej ciała. W sobotnie popołudnie każdy nastolatek mógłby marzyć o takim towarzystwie.

- Spływaj - rzekł kwaśno Marshall i przyłożył oko do obiektywu, dając do zrozumienia, że jest zajęty.

- Och, jakie to czarujące - rzekła Beverley, naśladując Kennetha Williamsa z filmów z serii „Do dzieła”. - Co robisz?

- Opalam się. Nie widzisz?

Beverley stała nad nim.

- Mam w plecaku coś do picia.

Marshall spojrział na Beverley i milczał przez kilka chwil. W świetle słońca jej sukienka stawiała się niemal przezroczysta.

Beverley dostrzegła minę Marshalla i to drobne zwycięstwo dodało jej pewności siebie. Zdjęła plecak z roweru, leżącego na trawie, wyjęła butelkę, pociągnęła łyk i usiadła po turecku naprzeciwko Marshalla.

- Chcesz trochę? - wyciągnęła rękę z butelką i zauważyła, że Marshall patrzy w dół. Przejął ją dreszcz. - Hej, przestań się gapić.

- Na co? - spytał nieśmiało Marshall.

- Patrzyłeś na moją bieliznę.

- Nie patrzyłem.

- Owszem, patrzyłeś, Matcie Tate - odrzekła, obciągając spódnice.

Ku swemu przerażeniu i wstydowi, Marshall poczuł erekcję. Złościło go, że ta dziewczyna posiada nad nim taką władzę. Szybko położył się na brzuchu, niemal przewracając ukochaną kamerę. Wziął od Beverley butelkę, wytarł szyjkę i napił się.

- Co filmowałeś? - spytała Beverley.

- Sowę - odparł krótko Marshall.

- One wychodzą tylko w nocy.

- Widać, że dużo wiesz o sowach.

Beverley spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Czy już zacząłeś się golić?

Pytanie zirytowało Marshalla. Golił się od roku, na początku tylko raz w tygodniu, a teraz codziennie. Ta dziewczyna go drażniła, wolałby, żeby sobie poszła.

- Co cię to obchodzi? Gdybyś ty musiała się golić, prawdopodobnie poderznięłabyś sobie gardło i po kłopotcie.

Beverley oparła się na murawie i wybuchnęła śmiechem, a jej sukienka nów się zadarła. Podtrzymywane przez spinki loki Beverley tworzyły wdzięczną oprawę wokół jej twarzy. Uroda, którą zauważył w zeszłym roku, stała się teraz jeszcze bardziej widoczna. Czuł się niepewnie i bezbronne.

- Od paru tygodni nie pokazałeś mi żadnego filmu - poskarżyła się dobrodusznie Beverley.

- Ostatnim razem śmiałaś się.

- Nieprawda!

- Owszem, śmiałaś się.

- No dobrze. Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałam. Zadowolony?

Marshall nie odpowiedział.

- Nie chciałam, naprawdę, Matt.

- W porządku - rzekł niedbale Marshall.

Szybko odwrócił wzrok, gdyż zdał sobie sprawę, że Beverley musiała zauważyć, iż zerka ukradkiem na jej piersi. Im większa samokontrola, tym większa władza. Gniew przyspieszył mu puls, a w uszach słyszał uderzenia serca.

Beverley skoczyła na nogi i wyciągnęła rękę.

- Chodźmy, Matt. Wracajmy, chcę zobaczyć twoje filmy. - Takiej prośbie Marshall nigdy nie potrafił odmówić.

Wrócili do jego domu. Było wczesne popołudnie. Celia wróci z pracy dopiero za cztery godziny. Beverley przycupnęła na krawędzi tapczanu posłusznie obejrzała najnowsze filmy, śmiejąc się tylko tam, gdzie powinna. Zdumiały ją techniczne postępy przyjaciela i powiedziała mu to. Marshall był zadowolony. Wally Clegg powiedział to samo.

- Są naprawdę dobre - rzekła Beverley po obejrzeniu filmów. Zamrugła, kiedy Marshall odsłonił zasłony i do pokoju wlało się jasne światło. - Podobał mi się ten fragment z kotem. Znakomity. Jak zdołałeś go nakłonić, aby przyczał się, a potem skoczył? Miałam

wrażenie, że za chwilę wyskoczy z ekranu.

- Efekty specjalne to tajemnica zawodowa - odparł Marshall, siadając obok niej na łóżku.

Beverley żartobliwie objęła go za szyję.

- Powiedz albo skręcę ci kark - zagroziła.

Marshall odsunął się ze złością.

- Przywiązałem kawałek papieru do sznurka i machałem nim poza planem - przyznał kwaśno.

- Cóż, to cholernie dobry film - rzekła Beverley. - Powinieneś nakręcić go tak, jak gdyby kamera była kotem. Wiesz, chodzi o to, żeby publiczność widziała wszystko z perspektywy kota.

Ten pomysł natychmiast pobudził wyobraźnię Marshalla.

- Boże, masz rację. Co za wspaniały pomysł. - Myślał gorączkowo. - Mógłbym umocować kamerę na rolkach i popychać przed sobą.

- Widzisz? - powiedziała Beverley, zadowolona z jego reakcji.

- Potrzebujesz mnie jako asystenta reżysera. Filmowcy mają przecież asystentów reżyserów i drugich reżyserów. Co robi drugi reżyser?

Marshall chętnie podzielił się z Beverley wiedzą, nabytą podczas chciwej lektury czasopism i książek z biblioteki. Czytał je od deski do deski, nie roniąc ani słowa, wysysając wiedzę, jak pająk wysysa z ofiary soki życiowe.

- Jest potrzebny, kiedy pewne sceny kręci się za granicą, a główny reżyser musi w tym czasie pracować z gwiazdami - wyjaśnił.

Beverley oparła się na łóżku. Jej sukienka zadarła się. Patrzyła uważnie na Marshalla, mając nadzieję, że wygląda wystarczająco uwodzicielsko.

- Czy wyreżyserowałaś również scenę, w której ci chłopcy w pociągu wykonują nieprzyzwoite gesty pod adresem kamery? - spytała złośliwie.

- Oczywiście, że nie - odparł z oburzeniem Marshall. - Zepsuli ujęcie. Kiedy będę mógł sobie pozwolić na montaż, wytnę tę scenę.

- Gdybym ja dla ciebie występowała, robiłabym dokładnie to, co każesz - wymruczała Beverley.

- Ty nie umiesz grać - prychnął Marshall.

- Marilyn Monroe też nie.

- Oczywiście, że umie.

Beverley usiadła i spojrzała na niego poważnie.

- Czytałam, że nie potrafi, że reżyser musi jej dokładnie wszystko tłumaczyć. Udaje jej się dopóty, dopóki robi to, co każe reżyser... Powiedz mi więc dokładnie, co mam robić, a ja posłucham. - Uśmiechnęła się i dodała: - Panie reżyserze.

- Dobrze. Nakręcę film o tym, jak wpadasz do rzeki i się topisz.

Beverley wykrzywiła się do niego.

- Czemu nie zrobisz teraz filmu ze mną w roli głównej?

- Bo nie mamy pod ręką rzeki, w której mogłabyś się utopić - odparł Marshall.

- Nakręcmy film tu - zaproponowała Beverley. - Mamy dużo światła.

Marshall nigdy nie pomyślał o kręceniu we wnętrzach, gdyż stare filmy, kupowane od Wally'ego, potrzebowały dużo światła. Beverley miała jednak słuszość: w sypialni było jasno. Poza tym zaintrygował go pomysł kierowania aktorem, niczym prawdziwy reżyser.

- Dobrze - zgodził się, wyjmując kamerę z plecaka. - Ale zużyjemy tylko odrobinę filmu.

Beverley klasnęła z zachwytu.

- Udawajmy, że robisz mi testy, które muszą przejść aktorki, pragnące zostać gwiazdami.

- Zdjęcia próbne?

- Właśnie - Beverley zarumieniła się z podekscytowania.

Marshall zastanowił się.

- Okay. Chcę, żebyś wyszła z pokoju i wróciła w momencie, gdy krzyknę „Akcja”. Wtedy przejdziesz przez pokój, zdejmiesz z półki książkę, usiądziesz na łóżku i będziesz udawała, że czytasz. Zgoda?

Beverley zeskoczyła z łóżka.

- Zrobię wszystko, co pan każe, panie reżyserze. - Wyszła zamykając za sobą drzwi.

Marshall stanął w rogu, skąd mógł obsługiwać kamerę tak, aby nie przeszkadzały mu meble. Uklęknął na jedno kolano, spojrział przez obiektyw i wycelował kamerę w drzwi, trzymając palec w pogotowiu nad guzikiem.

- Dobra. Akcja!

Drzwi otworzyły się. Beverley wystawiła lewą nogę i poruszała się prowokująco, jak Marilyn Monroe w „Mężczyźni wołają blondynki”. Efekt nie był jednak taki sam, gdyż wydawało się, że dziewczyna kopie we framugę.

- Gdzie reszta ciebie? - spytał Marshall.

Widok nogi Beverley obudził jego zainteresowanie, profesjonalne nawyki sprawiły jednak, że cały czas obsługiwał kamerę.

Był jeszcze jeden powód podekscytowania Marshalla: nagle zdał sobie sprawę, że władza, której nienawidził ponad wszystko, spoczywa teraz w jego rękach. Reżyser posiada prawdziwą władzę nad aktorami. Muszą robić to, co im każe. No cóż... prawie.

Pojawiła się reszta ciała Beverley. Dziewczyna wyjęła z włosów spinki i dzięki temu zmieniła się nie do poznania. Zniknęła nieśmiała uczennica, a zamiast niej pojawiła się gwałtowna tygrysyca, emanująca seksem. Jedną rękę oparła niedbale na biodrze, a jej sukienka podwinęła się nieco.

Marshall przestał filmować i szybko odłożył kamerę, aby Beverley nie zauważyła, że ręka mu drży.

- Miałaś wejść i zacząć czytać książkę - rzekł krótko.

Beverley na chwilę przestała udawać femme fatale. Puściła brzeg sukienki i usiadła na łóżku. Oparła się na łokciach i patrzyła w zamyśleniu na Marshalla, a kąci jej ust wygięły się w szelmowskim uśmiechu. Była zarumieniona i wiedziała, że serce mocno jej bije. Po raz pierwszy w życiu zachowała się w taki sposób w obecności chłopca i bardzo ją to podnieciło.

Marshall udawał, że nie robi to na nim wrażenia. Przyszedł mu do głowy tak śmiały pomysł, że kiedy się odezwał, ledwo panował nad głosem.

- No dobrze - rzekł poważnie. - Nie zagrałaś tego tak jak trzeba, musimy więc zrobić próbę. Usiądź głębiej na łóżku.

Ku zachwytowi Marshalla, Beverley posłuchała i przesunęła się o kilka cali. Bez zmruczenia oka patrzyła na chłopca. Wiedziała, czego się spodziewać, a jej podniecenie rosło.

- Teraz pochyl się do przodu i oprzyj brodę na kolanach.

Beverley posłuchała, podciągając nogi, a jej sukienka opadła na uda.

- Użyj kamery - powiedziała.

- Zmarnuję film.

- Udawaj, że naciskasz guzik. Proszę, Matt.

Wyczuwając okazję do posłużenia się nowo zdobytą władzą Marshall podniósł kamerę. Nie zmruczył jednak oka, patrząc przez obiektyw. Trzymał oczy otwarte.

- Rozepnij guziki sukienki - rozkazał.

Tak naprawdę nie chciał zobaczyć ciała Beverley. Miał po prostu ochotę sprawdzić, jak daleko sięga jego władza.

Beverley zawahała się, ale widok kamery zwiększył jeszcze jej podekscytowanie. To urządzenie miało nad nią dziwną moc, znosiło jej zahamowania i krępowało wolną wolę. Powoli, zaczynając od góry, rozpinęła guziki.

Wciąż trzymając w pogotowiu kamerę, Marshall podszedł do łóżka.

- Wszystkie?

- Hm... Tak.

W jakiś sposób zdołał zapanować nad głosem, taką przynajmniej miał nadzieję. Opadł na łóżko, tak że klęczał teraz obok kostek Beverley.

Beverley rozpięła ostatni guzik, ale przytrzymała sukienkę. Marshall nacisnął klawisz. Kiedy dziewczyna usłyszała cichy szum zegarowego mechanizmu, pękła w niej jakaś tama. Nagle rozchyliła sukienkę, odsłaniając stanik i majtki. Marshall miał wrażenie, że za chwilę zemdleje. Nie chodziło o widok bujnego ciała Beverley, chociaż i to by wystarczyło, lecz o nowe odkrycia dotyczące władzy - tym razem to on ją posiadał. Zdał sobie sprawę, że ręce mu drżą i ścisnął mocniej kamerę.

- Co teraz? - spytała Beverley.

Marshall nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wiedział, że jeśli się odezwie, głos może go zawieść. Kamera nadal mruczała jak zadowolony kot.

- Czy mam zdjąć sukienkę?

Ochryple „Tak” było wszystkim, na co Marshall mógł się zdobyć.

- Muszę wstać.

Marshall cofnął się niezręcznie, starając się nie potrząsać kamerą. Przykucnął, chowając się częściowo za rogiem stolika, aby dziewczyna nie zauważyła, w jakim jest stanie. Na przemian przybliżał i cofał oko od obiektywu, podczas gdy Beverley wykonała piruet i pozwoliła sukience opaść na ziemię.

- Mogłabym jeszcze coś zdjąć - zaproponowała.

- Dobrze - zgodził się Marshall.

Zapomniał o nowo zdobytej władzy, kiedy pomyślał, co by się stało, gdyby matka wróciła wcześniej do domu.

Wyglądało na to, że Beverley pograżyła się w prywatnym świecie zmysłowości, chociaż bez przerwy patrzyła na Marshalla. Sięgnęła w tył, aby rozpiąć stanik.

W tym momencie szum kamery stał się szybszy i głośniejszy. Wewnątrz urządzenia rozległy się trzaski, wywołane przez luźny koniec filmu. Dopiero po sekundzie Marshall zrozumiał, co się stało.

- Film się skończył - wymamrotał.

Beverley wyjęła kamerę z jego dłoni i położyła na stoliku.

- Przecwiczmy inną scenę - zaproponowała.

Zanim Marshall zdążył zaprotestować, pociągnęła go na łóżko i pocałowała.

Na początku chciał się opierać. Kiedy ramiona dziewczyny oplótły się wokół jego szyi,

a usta przywarły do jego ust, zdał sobie sprawę, że traci władzę. Opory jednak zniknęły, kiedy poczuł podniecający smak ust Beverley, jej bliskość, kolano prześlizgujące się wzdłuż jego nogi. Stał się wówczas chętnym partnerem we wzajemnym, radosnym i skutecznym odkrywaniu siebie.

- To było miłe - rzekła Beverley, wyciągając pogniecione ubrania spod pościeli Marshalla. - Zawsze sądziłam, że to będzie okropne, ale myliłam się. - Kiedy na początku spojrzała w błękitne oczy Marshalla, źle zrozumiała jego spojrzenie i niemal wpadła w panikę.

Marshall zasłaniał się kocem. W przeciwieństwie do Beverley, jego zahamowania nie zniknęły.

- Czy ty... czy ty po raz pierwszy... - nie mógł skończyć zdania.

Beverley wstała i zapięła sukienkę.

- Tak. - Uklękła obok Marshalla i pocałowała go w policzek.

- Jesteś słodki, Matcie Tate.

- To mi nie pomoże zostać największym reżyserem na świecie - odrzekł poważnie Marshall, zastanawiając się, czy to nie sen.

Beverley uśmiechnęła się i zaczęła się czesać grzebieniem Marshalla.

- Może ja ci w tym pomogę, jeśli zostanę twoją asystentką?

## 10.

### 1966

W czasie szkolnych wakacji w 1965 i na początku 1966 roku Marshall nakręcił pięć filmów z Beverley Laine.

Czasami, kiedy nadarzała się okazja, kochali się, później jednak, po pierwszych eksperymentach, seks nie odgrywał w ich związku istotnej roli. Zarówno fizycznie, jak psychicznie Beverley była dojrzała od Marshalla, żadne z nich nie dorosło jednak na tyle, aby ich związek mógł osiągnąć szczyt uczuciowej intensywności. Beverley zauważała niechęć Marshalla do seksu i chwilami wątpiła, czy przyjaciel kiedykolwiek dojrzeje, jeśli chodzi o dziewczęta. Tak naprawdę Marshallowi chodziło tylko o to, aby Beverley pomogła mu zebrać pieniądze dla Wally'ego Clegga. Irytowały go ograniczenia dziewięcioipółmilimetrowej kamery. Bez względu na to, jak starannie planowali i przygotowywali każde ujęcie, wyniki rozczarowywały.

- Nigdy nie zrobię dobrego filmu tym gównianym sprzętem - powiedział z



przygnębieniem, kiedy wraz z Beverley obejrzał film o regatach w Walton. - Mówiłem, że z mostu jest za daleko. Potrzebuję lepszej kamery.

- Takiej jak ta, którą pokazywałeś mi na wystawie u Wally'ego Clegga?

Marshall skinął głową i przewinął film.

- Ośmiomilimetrowa - rzekł z zadumą.

- Dobra. Kup ją - powiedziała Beverley.

- Żartujesz, Bev. Clegg chce dwieście funtów za cały zestaw. Do kompletu należy kamera, rzutnik, film i wiele innych drobiazgów.

- Może przyjmie sto funtów, jeśli oddasz mu swoją kamerę i projektor - rzekła Beverley.

- Bev, nie mam nawet stu szylingów, nie mówiąc o stu funtach.

- Pójdziemy jutro do niego - rzekła z podnieceniem Beverley i dodała poważniejszym tonem: - Tylko nie mów mojemu tacie, bo nie pozwala mi chodzić do tego sklepu.

## 11.

Wally zawsze cieszył się na widok Marshalla. Chłopak szybko rósł. Chłopak? Stał się już młodym mężczyzną. Zniknęło nieśmiałe, zakłopotane dziecko, które poprosiło, żeby odłożył dla niego starą kamerę Pathe ACE.

Powitalny uśmiech zamarł mu na wargach, kiedy zobaczył, kto towarzyszy Marshallowi. Wally znał ojca Beverley, chociaż wolałby nie znać. Kiedy tylko w okolicy ktoś napadł na jakiegoś dzieciaka, pan Laine zawsze tu przychodził i pytał Wally'ego o alibi. W zeszłym roku Wally kupił karton podejrzanych szwedzkich magazynów i schował na zapleczu. Znał kupca, któremu mógłby sprzedać te czasopisma za dziesięć funtów. Kilku tutejszych łobuziaków włamało się pewnej nocy, kiedy Wally chorował na gripę. Najprawdopodobniej szukali płyt, ale zamiast tego zabrali magazyny. Kiedy rodzice jednego z nich odkryli czasopisma, chłopak powiedział, że dostał je od Clegga. Rodzice poszli na policję, a policja przyczepiła się do Wally'ego. Nie mieli żadnych dowodów, o nic go nie oskarżyli, żadna informacja nie dostała się do gazet. Jednakże sierżant Laine skonfiskował czasopisma i surowo ostrzegł Wally'ego przed deprawowaniem nieletnich.

Beverley mówiła, a Marshall stał, trzymając ręce w kieszeniach. Wally słuchał z rosnącym niepokojem. Dwa tygodnie temu zapłacił pięćdziesiąt funtów pewnej wdowie za pełny zestaw kinematograficzny jej zmarłego męża: ośmiomilimetrową kamerę typu Eumig z obrotową tarczą z obiektywami, projektor, montażownię, sklejkarkę oraz pięćdziesiąt pudełek

podwójnego ośmiomilimetrowego filmu Kodacolor. Każda rolka miała pięćdziesiąt stóp. Zapłacono z góry za wywołanie filmu. Wally cieszył się z tego interesu. Sam film wart był ponad sto funtów, bo głupia flądra nie wiedziała, że kiedy mąż go kupował, z góry zapłacił za wywołanie. Wally nie wątpił, że uda mu się dostać 200 funtów za cały zestaw, a teraz ta podstępna mała impertynentka usiłowała wycyganąć go od niego za połowę tej sumy.

Marshall obserwował z zainteresowaniem, jak Beverley udzielała mu pożytecznej lekcji, że pewność siebie jest matką władzy.

- Jeden funt tygodniowo przez dwa lata zapewni panu stały dopływ gotówki - argumentowała Beverley. - Poza tym Marshall nadal pozostanie pana stałym klientem, gdyż kupuje u pana wszystkie drobiazgi.

- To dla mnie żaden interes - zauważył Wally, którego nieco zirytowała ta ładna, młoda dama, opierająca się na ladzie i patrząca mu prosto w oczy.

Marshall nie widział, że Beverley uśmiecha się uwodzicielsko do Wally'ego. W przeciwnym razie zorientowałyby się, że dziewczyna wykorzystuje przeciwko nieszczęsnemu sklepikarzowi coś więcej niż swą smykałkę do interesów.

- Żaden z tych przedmiotów nie przynosi przecież panu zbyt dużego zysku - stwierdziła Beverley. - Te rzeczy leżały na pańskiej wystawie, kiedy jeszcze wożono mnie w wózku.

Marshall zachichotał.

Beverley wyciągnęła asa z rękawa.

- Jeśli martwi się pan, że Marshall nie zapłaci, wiem, że mój tata może wystąpić jako porę... porę...

- Poręczyciel - rzekł cicho Wally.

- Poręczyciel. Jeśli pan chce, sprowadzę tu zaraz tatę, a on wszystko podpisze. Co pan na to, panie Clegg?

Wally niewiele mógł odpowiedzieć. Z pewnością nie zrobił najlepszego interesu, ale był to wielki dzień dla Marshalla.

- Nie mam pojęcia, jak ci się to udało, Bev - rzekł z podziwem Marshall, kiedy szli do domu, niosąc owoce przedsiębiorczości Beverley.

Nie wierzył własnemu szczęściu. Stał się właścicielem prawdziwej kamery i rzutnika, montażowni oraz tylu filmów, że wystarczą mu na rok. Teraz może nakręcić prawdziwy film, o jakim zawsze marzył. Miał nawet tytuł: „Kocie oczy”. Będzie to film o świecie widzianym z perspektywy kota; ten pomysł Beverley podziałał na jego wyobraźnię.

- Mój tata zawsze powtarza: nie pozwól, aby ktoś stawał ci na drodze - odrzekła Beverley. - Z góry zaplanuj, co powiesz. Tata mówi, że kiedy człowiek ma zeznawać w

sądzie, powinien z góry przewidzieć wszystkie okropne zarzuty i przygotować odpowiedzi.

- Będę o tym pamiętał - przyrzekł Marshall.

## 12.

### 1966-1967

W pewien sposób Marshall cieszył się, że rodzice Beverley się wyprowadzają. Jej wyjazd oznaczał koniec seksualnej władzy, którą nad nim sprawowała. Od tej chwili zostanie samotnikiem: nareszcie nie będzie musiał wysłuchiwać bez przerwy jej propozycji. Ostatnio często miał wrażenie, że ta dziewczyna wtrąca się w nie swoje sprawy.

- Nakręcisz „Kocie oczy”, prawda, Matt? - spytała Beverley, kiedy meble jej rodziców załadowano na meblowóz.

- Oczywiście, Bev - przyrzekł Marshall. - Razem go obejrzymy.

Rozstali się, obiecując, że będą do siebie pisać. Marshall nie zamierzał dotrzymywać słowa. Drzwi meblowozu zatrzasnęły się. Beverley pomachała z samochodu ojca i konwój ruszył, a po chwili zniknął za zakrętem. Marshall wrócił do pokoju i zaczął montować film. To nieważne, że wiele zawdzięczał Beverley Laine. Cieszył się, że ta dziewczyna wreszcie zniknęła z jego życia.

## 13.

Przez pozostałą część 1966 i 1967 roku Marshall okazał wystarczająco dużo sprytu, by nie dopuścić, aby obsesja na punkcie hobby wpłynęła negatywnie na jego naukę. Poza tym był cierpliwy, nie musiał się spieszyć z kręceniem „Kocich oczu”. Czasem poświęcał nawet cały weekend na przygotowanie pięciosekundowego ujęcia i sprawiało mu to dużą przyjemność. Bez wątplenia te wysiłki przyniosą rezultaty: poświęcił cztery rolki filmu, aby wypróbować nową kamerę, i zdjęcia okazały się zadziwiająco dobre. Przy odpowiednim oświetleniu kamera Eumig umożliwia uzyskanie podobnej rozdzielczości, jak profesjonalny, szesnastomilimetrowy sprzęt.

Do jednej ze scen potrzebował dziewczyny, pieszczącej się z chłopcem w ciemnej alei. Nocne ujęcie. Marcie Hunt, rudowłosej piętnastolatce o zgrabnych nogach, pochlebila propozycja zagrania w filmie, odmówiła jednak, kiedy Marshall wyjaśnił, czego od niej oczekuje.

- Nie mogłabym ci na to pozwolić - powiedziała.

- Pozwalasz przecież Tony'emu Wrightowi - rzekł Marshall. - Widziałem was. Tak czy inaczej, nie zamierzam filmować twarzy, nikt więc się nie dowie. Będę zdalnie obsługiwał kamerę.

- Kiedy nas widziałeś? - spytała Martha.

- W sobotę wieczorem w alei. Wszystko sfilmowałem. Włożył ci rękę pod spódnicę. Założę się, że nie chciałabyś, aby twój tata zobaczył ten film.

- Było ciemno!

- Nie aż tak ciemno, w przeciwnym razie jak mógłbym was widzieć? Posłużyłem się specjalnym filmem.

Martha bała się ojca, a Marshall o tym wiedział. Niechętnie zgodziła się zagrać w filmie. Marshall był zadowolony ze sceny, jaką nakręcił z Marthą w alei. Oświetlenie zapewnił reflektor motoroweru, napędzany przez stary akumulator samochodowy. Odbłyśniki zrobił z folii kuchennej, przyklejonej do płytek pilśniowych. To dziesięciosekundowe ujęcie było dla Marshalla cenną lekcją pomysłowości i korzystania z ograniczonych środków.

Było również lekcją szantażu.

## 14.

W wieku szesnastu lat Marshall ukończył szkołę. Uzyskał znakomite oceny, a w tamtych czasach nie znano jeszcze bezrobocia, mógł więc wybrać sobie posadę. Bardzo chciał pracować w przemyśle filmowym, dlatego postanowił przyjąć biurową posadę w Shepperton Studios po przeciwnej stronie rzeki. Miał nadzieję, że znajdzie pracę w Walton Studios, ale Hannah Fisher wyjechała do Ameryki, a wraz z nią wyemigrowała z Walton inicjatywa i pomysłowość, która zaowocowała popularnymi telewizyjnymi serialami, jak „Przygody Robin Hooda”. W rezultacie produkcja filmowa w Walton upadła. Krążyły plotki, że agencja handlu nieruchomościami namierza wykupić teren w centrum miasta i wybudować pasaż handlowy.

Praca w Shepperton rozczarowała Marshalla. Posada w dziale księgowości miała więcej wspólnego z wyceną kosztów produkcji niż z kręceniem filmów. Marshall doszedł jednak do wniosku, że w przyszłości przyda mu się wiedza o budżecie filmowym, a poza tym zarabiając dwanaście funtów tygodniowo mógł kupować narzędzia, pozwalające mu zawieszać kamerę pod ulubionymi, niezwykle kątami.

Pewnego wieczoru, kiedy musiał zostać w pracy po godzinach, udało mu się ukraść maszynę do pisania typu Remington, którą wywiózł w pojemniku na bagażniku skutera.

Marshall Tate zawsze działał starannie, dokładnie i bardzo metodycznie.

## 15.

### 1968

We wrześniu tego roku, w wieku siedemnastu lat, Marshall Tate spotkał człowieka, który miał zmienić jego życie.

Zapisał się do Kingston School of Art na wieczorowy kurs „Kręcenie filmów dla początkujących”. Wykładowca, Bill Yates, rubaszny ekstrawertyk z Queensland, nieźle zarabiał, pracując jako wolny strzelec przy montażu filmów. Był ogromnym mężczyzną o głośnym, dudniącym śmiechu rozczochranej brodzie, lubiącym wyświechtane ubrania i bystre kobiety, łatwiej go było sobie wyobrazić, jak żegluje na pirackim statku ze sztyletem w zębach, niż jak tnie i klei filmy.

Bill Yates wygłosił prosty wstęp do filozofii kręcenia filmów, ściśle trzymając się tematu.

- Wszyscy chcecie kręcić filmy. Bardzo dobrze. Kamera filmowa rejestruje rzeczywistość. Świat wygląda pięknie w szerokich ujęciach, ale film radzi sobie najlepiej ze zbliżeniami. Zbliżenia to wasze akcenty, wasze wizualne czasowniki. Posługujecie się nimi, aby opowiadać historie za pomocą obrazów, a nie słów. Ludzie chcą, żeby opowiadać im historie. To równie podstawowa potrzeba jak seks. Zawsze na pierwszym miejscu musicie stawiać publiczność. Jeśli nie interesuje was opowiadanie historii i nie chcecie stawiać publiczności ponad wszystko, nie macie tu czego szukać. Jeśli pragniecie się dowiedzieć, jak kręcić filmy o waszej rodzinie, musicie tylko poczekać na słoneczny dzień, trzymać mocno kamerę i starać się, aby ujęcia nie trwały dłużej niż siedem sekund. Na tym kończy się pierwsza lekcja.

Te wyrażone bez ogródek poglądy odpowiadały Marshallowi. Poczł sympatię do ekstrawertycznego filmowca. Natknął się wreszcie na kogoś, kogo mógł szanować.

W połowie semestru Bill Yates poprosił studentów, żeby przedstawili mu próbki swoich prac, a najlepsze z nich zamierzał pokazać klasie. Marshall wręczył mu cenną kopię „Kocich oczu” i gorzko się rozczarował, kiedy Bill nie wyświetlił jej w czasie sesji filmowej. Doszedł do wniosku, że wykładowca wybrał trzy niezręczne i amatorskie krótkometrażówki.

Bill zawołał Marshalla, który właśnie wychodził z sali wykładowej. Wskazał mu krzesło. Marshall zignorował ten gest. Przy każdej okazji trzeba rzucać wyzwanie władzy.

- No dobrze, Matt. Jesteś na mnie zły. Mam rację?

- Nie pokazałeś mojego filmu - odpowiedział Marshall.

Bill podrapał się po brodzie i skinął głową. Wyjął z teczki film Marshalla i obracał go w ogromnych palcach.

- Zgadza się, Matt. Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Nie pokazałem go, bo tracisz czas na moim kursie.

Marshall odebrał te słowa jak wstrząs elektryczny. Patrzył na Billa z pobladłą twarzą, zaciskając i rozluźniając pięści.

- Nie pokazałem tego filmu z jeszcze jednego powodu - mówił Bill, udając, że nie zauważa wściekłości ucznia. - Studenci w naszej grupie są bystrzy i szybko się uczą, ale potrzebują zachęty. Byliby bardzo zdeprimowani, gdyby ujrzeli swoje prace, zestawione z czymś naprawdę profesjonalnym. Och, na miłość boską, usiądź. Jesteś tak wysoki, że szyja mnie boli od zadzierania głowy.

Marshall usiadł. Jego gniewna mina ustąpiła miejsca oszołomieniu.

- Profesjonalnym? Nie rozumiem.

- Do diabła, jak mógłbym pokazać coś takiego klasie amatorów? Od dziesięciu lat prowadzę wykłady, ale nigdy nie natknąłem się na taki film jak „Kocie oczy”. Nawet wśród studentów czwartego roku. Jest wspaniały, jest absolutnie, cholernie wspaniały. No dobrze, pomysł przedstawienia świata z punktu widzenia kota nie jest nowy. Chodzi o wykonanie. Wykonałeś to znakomicie. Właśnie dlatego powiedziałem, że tracisz czas na moim kursie.

Marshall był zbyt zszokowany, aby się odezwać. Wziął film od Billa trzymając niepewnie, jak gdyby obawiał się, że nagle wybuchnie.

- Dlaczego nie użyłeś filtra i nie nakręciłeś za dnia wszystkich nocnych scen? Zaoszczędziłbyś sobie wielu kłopotów.

Marshall z wysiłkiem skoncentrował się na pytaniu.

- Oznaczałoby to oszukiwanie publiczności - odrzekł. - Ludzie na milę wyczują nocne sceny filmowane za dnia. Takie ujęcia zawsze wyglądają okropnie w tanich westernach, zupełnie jak zamek błyskawiczny na plecach filmowego potwora. Przejawia się w tym pogarda dla publiczności.

Odpowiedź Marshalla zdumiała Billa. Słyszał o kilku reżyserach, którzy wydali wiele milionów dolarów, ucząc się szanować publiczność, słyszał również o filmowcach, którzy nigdy się tego nie nauczyli. Nie oczekiwał takiej odpowiedzi od osiemnastolatka. Skinął głową.

- Jak udało ci się utrzymać kamerę na odpowiedniej wysokości?

- Zrobiłem wózek, wykorzystując podwozie samochodu zabawki - odrzekł Marshall,

zadowolony z pytania. Do tej pory nikt nie okazywał takiego zainteresowania jego pracą. - W ten sposób udało mi się wyeliminować większość wstrząsów. Kiedy musiałem pchać wózek po nierównym terenie, przyspieszałem kamerę, tak że wstrząsy stają się niewidoczne przy normalnej prędkości.

Bill splótł palce i patrzył na Marshalla. Filmy były drogie, dlatego tylko naprawdę odważny amator mógł się zdobyć na przyspieszenie kamery, czyli na przepuszczanie filmu przez kamerę ze zwiększoną prędkością, w celu wyeliminowania wstrząsów. Jednakże Matt Tate nie był zwykłym amatorem. Zaledwie jedna osoba na milion posiada taką intuicję jak on.

- Ile czasu kręciłeś ten film? - spytał.

- Pracowałem nad nim z przerwami od czasów dzieciństwa.

- Mogę w to uwierzyć.

- Czy sądzisz, że mógłbym go sprzedać, Bill? Czy udałoby się pokazać ten film w telewizji albo coś w tym rodzaju? - Marshall starał się mówić nonszalancko, ale ledwo panował nad podekscytowaniem.

Bill pokręcił głową.

- Wątpię - odrzekł, nie chcąc podsycać nadziei chłopca. Dodał szybko: - Film może się raczej stać reprezentatywną próbką twoich prac, dzięki niemu pokażesz ludziom, co potrafisz. Ale nie w obecnej postaci. Potrzebuje ścieżki dźwiękowej i porządnego montażu. Trzeba go skrócić do piętnastu minut, a także poprawić panoramę pionową.

- Przerwał. - Przy okazji, ta dziewczyna w alei ma niezłe nogi. Miałem wrażenie, że za chwilę kamera wpełźnie jej pod spódnicę i wskoczy do majtek. Fajny, erotyczny kawałek. Co robisz w przyszłym tygodniu?

- Nic. Dlaczego?

Bill sięgnął do kieszeni i podał Marshallowi wizytówkę.

- Przyjdź do mnie do domu w przyszłą sobotę około dziesiątej rano. Przynies film i szczoteczkę do zębów. Spędzimy weekend, doprowadzając „Kocie oczy” do porządku. Mam trochę ośmiomilimetrowego sprzętu. Chciałbym pokazać ten film znajomemu z BBC. Przynies również kamerę i wszystkie zdjęcia, z których zrezygnowałeś w ostatecznej wersji. Weź ze sobą trzysta stóp filmu. Czy pracowałeś na podstawie scenariusza?

Marshall skinął głową.

- Tak sądziłem. Scenariusz też przynies.

Duży, samotny dom Billa w Hampton Court odzwierciedlał jego niezwykłą, ekstrawertyczną osobowość. W każdym pokoju na parterze stał sprzęt filmowy i montażowy, a na ścianach wisiały erotyczne, niemal obsceniczne zdjęcia. Ten dom był prawdziwą świątynią kina. Nawet w bawialni dałoby się urządzić salę projekcyjną.

- Dobra - powiedział z ożywieniem Bill na widok Marshalla. - Mamy przed sobą pracowity weekend, bierzmy się więc do roboty.

Tego dnia w domu Billa Marshall nauczył się więcej o robieniu filmów niż przez ostatnie dwa lata, kiedy pracował sam i czytywał techniczne magazyny.

Zaczęli od przepisania scenopisu i zrobienia nowej kopii filmu. Bill pracował w ogromnym skupieniu, co cieszyło Marshalla. On sam też lubił pracować w podobnym stylu, a wówczas matka narzekała, że to nienormalne, by ktoś spędzał wiele godzin, wpatrując się w maszynę, dzieląc i sklejjąc kawałki celuloide. Patrząc na Billa, Marshall zrozumiał, że taka postawa jest najzupełniej normalna.

Przepracowali w skupieniu rano i popołudnie. Marshall ciągle przynosił filiżanki z kawą dużemu, przyjacielskiemu Australijczykowi. Wyglądało na to, że Bill nałogowo pochłania ten napój.

- Kawa wyostreza moje zmysły - wyjaśnił. - To najlepszy sposób. Podczas montażu jestem tak samo spięty jak ty w czasie kręcenia, a efekt zauważysz w gotowym filmie.

O szóstej wieczorem skończyli nową wersję roboczą.

- Dobra - rzekł Bill po dwudziestej filiżance kawy. - Teraz przygotujemy ścieżkę dźwiękową.

Nagrywanie i miksowanie dźwięku oraz dubbingowanie ćwierćcalowej taśmy było dla Marshalla zupełnie nowym doświadczeniem. Mógł tylko obserwować i słuchać, jak Bill wybiera ze swej biblioteki efekty akustyczne i miksuje je, tworząc taśmę ze ścieżką dźwiękową. Pokazał Marshallowi, że można uzyskać przekonujące, rozdzierające miauczenie kota, nagrywając przy normalnej prędkości ludzkie pomruki, a później przegrywając je na inną taśmę w zwiększonym tempie.

- A teraz trochę specjalnych efektów dla pary w alei - powiedział Bill i zaczął głośno całować swój nadgarstek, podczas gdy Marshall trzymał w pobliżu mikrofon.

Rezultaty okazały się zdumiewające. Dźwięk nadał niespodziewany, nowy wymiar scenie, w której uczestniczyła nieszczęśliwa, lecz chętna do współpracy Martha Hunt.

- Co to za facet? - spytał Bill. - Ty?

Marshall skinął głową.

- Wykorzystałem możliwość zdalnego sterowania kamerą.



- Tak myślałem. Boże, to cholernie seksowna scena. Wyobrażenia większości amatorów na temat erotycznych ujęć sprowadzają się do tego, że filmują na tle lodówki swoje biedne, zakłopotane żony, ubrane w pończochy i podwiązki. To zawsze wygląda śmiesznie. Twoje ujęcie to czysta zmysłowość. Ludzie zwrócą na ciebie uwagę, Matt.

Była już prawie północ, kiedy Bill zaczął wprowadzać ostatnie poprawki do roboczej wersji filmu, usuwając znaczniki ujęć i przymocowując do krawędzi taśmy magnetyczną ścieżkę dźwiękową.

- Gotowe - oświadczył o drugiej nad ranem. - Boże! Jestem skonany.

- Moglibyśmy go teraz obejrzeć, Bill?

Australijczyk miał niepewną minę.

- Nie powinniśmy. Obejrzyjmy film rano, kiedy odpoczniemy i wstaniemy ze świeżymi umysłami. Teraz jesteśmy zbyt blisko tego draństwa, aby zachować obiektywność. - Zauważył rozczarowanie Marshalla i zmienił zdanie. Wyjął z montażowni rolkę gotowego filmu.

- Oczywiście, czemu nie?- rzekł wspaniałomyślnie.

## 17.

Film był udany. I to jak!

Wszystko układało się w cudowną całość. Zręczny montaż Billa, skrócenie niektórych scen, wydłużenie innych ujęć dzięki zdjęciom, odrzuconym na początku przez Marshalla, doprowadziło do powstania płynnego strumienia obrazów. Publiczność bez trudu wcieli się w kota i spojrzy na świat z kociego punktu widzenia: oto kot zbliża się do miski, przeskakuje przez płot, patrzy na kosz, a po chwili przewraca go i buszuje wśród śmieci.

Przez piętnaście minut Marshall siedział oczarowany, nie wierząc, że patrzy na własne dzieło. Wszystko było idealne, nawet dźwięk dzwonu kościelnego, który rozlegał się na samym końcu i towarzyszył ujęciu, przedstawiającemu pierwsze światło brzasku. Bill sprytnie przemieszał muzykę z odgłosami wstającego świtu. Ostatnie zdjęcie było zbliżeniem kota, śpiącego na łóżku. Marshall nie wykorzystał tych klatek w oryginalnej wersji filmu, ale Bill posłużył się nimi z ogromnym wyczuciem we właściwej chwili.

Taśma się skończyła. Rzutnik zaszumił i na ekranie pojawiło się białe światło. Bill wyłączył maszynę i zapalił światło w salonie.

- Film stanie się o wiele lepszy, kiedy należycie go zatytułujemy i dodamy kilka wyciętych scen. Co o nim myślisz?

- Fantastyczny - westchnął Marshall. - Cholera, absolutnie fantastyczny. Nie mogę uwierzyć, że to mój film. Zdziałałeś z nim prawdziwe cuda.

- Cuda już tam były, Matt - odrzekł nonszalancko Bill. - My, montażyści, musimy wykorzystywać gotowy materiał. Nie potrafimy wyciągać królika z kapelusza. Jeśli zamierzasz robić poważne filmy, i wiem, że tego właśnie pragniesz, będziesz musiał polegać na talentach wielu ludzi - specjalistów od oświetlenia, od dźwięku, montażystów, i nawet pisarzy, niech Bóg ma cię w swojej opiece. Twoja praca powinna ich zainspirować, aby dali z siebie wszystko. Mnie zainspirowałeś. Do tego się rzecz sprowadza.

## 18.

### 1969

„Kocie oczy” nie zdobyły żadnej nagrody, ale dzięki uporowi Billa Yatesa pokazano film na drugim kanale BBC. Ten program nadawano dopiero od pięciu lat i nie każdy mógł go odbierać. Marshall kupił matce nowy telewizor. Celia była mu wdzięczna, co sprawiło, że straciła resztki władzy. Nieświadoma tego, z dumą zaprosiła do siebie wszystkich przyjaciół i krewnych. Marshall zastanawiał się, czy nie skontaktować się z Beverley, ale doszedł do wniosku, że nie powinien się rozpraszać.

Miał teraz nową dziewczynę. W przeciwieństwie do obdarzonej dużym temperamentem Beverley, Marthę Hunt łatwo było zastraszyć. Marshall znajdował w niej idealne ujęcie dla swego temperamentu. Kiedy zaczynał podejrzewać, że Martha lubi ulegać jego dominacji, uciekał się do seksualnych praktyk, które nie przynosiły mu szczególnej przyjemności, ale przynajmniej poniżały dziewczynę i sprawiały jej ból. Na tym polegała jego władza. Kiedy w końcu zdobyła się na odwagę i oświadczyła, że nie chce go więcej widzieć, nie przejął się, miał satysfakcję, że Martha opuściła go na jego warunkach.

W wielkim dniu telewizyjnej transmisji mniej więcej trzydzieści osób zgromadziło się we frontowym pokoju Celii. Chcąc zepsuć jej radość, Marshall nie został w domu i oglądał telewizję w domu Billa. Kiedy wrócił, Celia robiła mu wyrzuty, bała się jednak wybuchowego temperamentu syna i nie odważyła się wyrazić swoich uczuć z większą siłą.

Tydzień później Marshall otrzymał czek od BBC, wystawiony na sumę sześćdziesięciu funtów - równowartość jego dwutygodniowych zarobków. Po kilku dniach zadzwonił Bill z informacją, że Matthew Drew, dyrektor Rady Edukacji Szkolnej, chce, aby Marshall nakręcił dla niego pięciominutowy film.

## 19.

- Potrzebujemy ostrego filmu o niebezpieczeństwach, grożących dzieciom, które zgadzają się, aby podwozili je nieznajomi - wyjaśnił Drew, kiedy Marshall wziął dzień wolny i spotkał się z nim w jego londyńskim biurze. Był dużym, ekspansywnym mężczyzną, któremu, jak zauważył Marshall, władza uderzyła do głowy. - Film, nakręcony przez młodego człowieka, zrobi na młodych ludziach większe wrażenie, nie sądzi pan?

Marshall miał inne zdanie, ale zatrzymał dla siebie swoje poglądy. Uważał, że dzieciaków nie obchodzi, kto stoi po drugiej stronie kamery. Ważne jest raczej to, co dzieje się przed obiektywem i w jaki sposób nakręcono film. Po raz pierwszy zetknął się ze zjawiskiem, które nazywał później „olewaniem publiczności”: producenci i kontrolerzy programów realizowali swe ambicje, nie przejmując się pragnieniami widowni. Drew reprezentował władzę w najgorszym wydaniu - miał obsesję na punkcie własnej wartości.

Drew mówił dalej:

- Wyobrażam to sobie w taki sposób, że jakaś osoba, znana z telewizji, na przykład słynny piłkarz, przemówi do dzieci i wyjaśni, że nie powinny wsiadać do samochodu z nieznajomym kierowcą. Poda im pewne fakty, cyfry, takie rzeczy. Co pan o tym myśli?

Marshall myślał, że Drew jest nadętym osłem.

- Dlaczego musi to być osoba znana z telewizji? - spytał.

- Chodzi o człowieka, którego dzieciaki znają - odrzekł Drew. - O kogoś, z kim mogą się utożsamić. Niech poda parę informacji o ostatnich przykrych incydentach. Oczywiście nie powinien za bardzo wchodzić w szczegóły. Niech pan napisze scenariusz, a ja przedłożę go radzie do zatwierdzenia. Rzecz jasna, jeśli scenariusz mi się spodoba, nie będzie żadnych problemów. Co pan na to?

Przez kilka następnych wieczorów Marshall siedział w sypialni i starannie przygotowywał scenariusz, który, jak sądził, zawierał wszystkie elementy, wymagane przez Drewa. W czołówce i po zakończeniu krótkometrażówki miał się pojawić napis, informujący, że Matthew Drew jest współproducentem filmu.

- To załatwi sprawę - rzekł Bill po przeczytaniu scenariusza.

- Ale co o tym sądzisz?

- Okropne.

- Też tak myślę - odparł Marshall. - Właśnie dlatego napisałem dwa scenariusze. Chcesz zobaczyć ten prawdziwy?

## 20.

Marshall wysłał „komitetowy” scenariusz i musiał czekać trzy tygodnie, zanim otrzymał od Drewa list z upoważnieniem do podjęcia dalszych działań. Kilka dni później dostał czek na czterysta funtów i dwie trzecie prowizji. Czek podpisał sir Robert Allsop, prezes Rady Edukacji Szkolnej. Marshall starannie zaplanował budżet produkcyjny i dzięki temu mógł wydać czterdzieści funtów na motorower, który zastąpił jego zniszczony skuter.

Bill uradował się, kiedy Marshall zdobył kontrakt. Chętnie zgodził się pożyczyć szesnastomilimetrową kamerę i pracować jako kamerzysta za sumę stu funtów. Chciał to zrobić za darmo, ale Marshall upierał się, że zapłaci.

- Zamierzam zostać zawodowym filmowcem, Bill - powiedział Marshall. - Znaczy to, że będę korzystał z usług profesjonalistów i płacił im. Sam powiedziałaś, że na dłuższą metę to najtańsza metoda, bo dzięki temu wszystko będzie zrobione jak należy. Chcę od samego początku pracować tak, jak powinienem.

## 21.

Awantura o „Mroczne spotkanie”, jak Marshall zatytułował swój pięciominutowy film, wybuchła we wrześniu, nazajutrz po dostarczeniu kopii Radzie Edukacji Szkolnej. Wściekły Matthew Drew zadzwonił do Marshalla i oświadczył, że film jest nie do przyjęcia, a Marshall musi zwrócić prowizję.

- Pokazał go pan Radzie? - spytał Marshall.

- Nie mogę im pokazać takiego sadystycznego gówna! - wrzasnął Drew. - W Radzie zasiadają przecież godni szacunku żonaci mężczyźni i zameżne kobiety! Pański film to pornografia w każdym calu.

- Nie wątpię, że członkowie Rady chętnie by usłyszeli protekcyjnalne bzdury, jakie pan o nich opowiada - odparł Marshall. Gdyby był w biurze sam, straciłby panowanie nad sobą. - Krótkometrażówkę sfinansowano z ich pieniędzy, czy nie sądzi pan więc, że pańskim obowiązkiem jest pokazanie im filmu, tak aby sami mogli osądzić?

- W żadnym wypadku nie pokażę im czegoś tak brudnego i odrażającego! - krzyknął dyrektor i rzucił słuchawkę.

Na kilka chwil Marshalla ogarnął taki gniew, że nie był w stanie jasno myśleć. W końcu wzięła górę zimna, wyrachowana część jego osobowości. Postanowił działać szybko i skontaktować się z prezesem Rady Edukacji Szkolnej, zanim zrobi to Drew.

Tego wieczoru poszedł do biblioteki publicznej miasta Walton i znalazł w „Kto jest kto” nazwisko sir Roberta Allsopa. Sir Robert piastował wiele dobroczynnych stanowisk, w tym stanowisko prezesa Rady Edukacji Szkolnej. Był również prezesem City Media Bank. Kiedy Marshall doczytał do końca, nie wierzył własnemu szczęściu: sir Robert mieszkał na Silverdale Avenue w Walton. Złapał książkę telefoniczną. Nadal miał szczęście: domowy numer telefonu sir Roberta nie był zastrzeżony.

Wpadł z biblioteki i biegł w kierunku budki telefonicznej przed gmachem sądu magistrackiego. Zużył niemal wszystkie monety, przekonując lady Allsop, aby pozwoliła mu porozmawiać z mężem. W końcu podała słuchawkę sir Robertowi. W słuchawce rozległ się miły, kulturalny głos. Marshall szybko opowiedział, co się wydarzyło, trzymając się prawdy.

- Cóż, z pewnością nie zamierzam komentować decyzji Matthewa Drewa - rzekł sir Robert, kiedy Marshall skończył. - Ten człowiek robi to, za co mu płacimy.

- Przecież nie chciałem pokazać wam filmu - powiedział z rozpaczą Marshall, - Proszę posłuchać, mieszkam w Walton. Bez żadnego kłopotu mógłbym przywieźć panu teraz ten film. Czy ma pan szesnastomilimetrový rzutnik?

- Tak, ale...

- Mógłbym przyjechać za dwadzieścia minut, sir. Film trwa tylko pięć minut, przyrzekam więc, że nie straci pan przeze mnie więcej niż pół godziny.

Zapadła długa cisza. Marshall był pewny, że sir Robert może usłyszeć bicie jego serca.

- Dobrze - powiedział niechętnie bankier. - Dwadzieścia minut. Zapalę światła przy podjeździe.

## 22.

Silverdale Avenue znajdowała się w Ashley Park, najbardziej eleganckiej dzielnicy Walton. Wykwintne rezydencje w stylu króla Edwarda leżały z dala od drogi. Otaczały je posiadłości o powierzchni od jednego do pięciu akrów. Porośnięty bluszczem dom sir Roberta Allsopa znajdował się na końcu długiego, oświetlonego podjazdu. Marshall odstawił motorower pociągnął za staromodny dzwonek. Czekając, patrzył z podziwem na rolls-royce'a. Drzwi otworzył pierwszy prawdziwy kamerdyner, jakiego Marshall widział. Kamerdyner spojrzał z niesmakiem na nieporządny strój brudny plecak gościa.

- Nazywam się Marshall Tate, dobry człowieku - rzekł Marshall, którego wcale nie onieśmieliło lodowate spojrzenie kamerdynera. - Przyszedłem spotkać się z sir Robertem. Oczekuje mnie.

Idąc przez wyłożony boazerią przedpokój, nie mógł się powstrzymać, by nie dokuczyć kamerdynerowi: zatrzymał się i obejrzał jeden z olejnych obrazów. Kiedy lokaj wprowadzał Marshalla do prywatnego biura sir Roberta, był wyraźnie zirytowany. Na jednej ze ścian pokoju o długości trzydziestu stóp widniały półki, przy czym na górnych rzędach nie było książek. Pozostałe ściany zdobiły afisze z wyścigów koni oraz zdjęcia koloru sepia, przedstawiające dżentelmenów z epoki króla Edwarda w kapeluszach i porannych garniturach. Wysokiej jakości ekran wisiał na przeciwległej ścianie.

Krępy mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy, w wieku około pięćdziesięciu lat, siedział w elektrycznym fotelu na kółkach z najdziwniejszym biurkiem, jakie Marshall kiedykolwiek widział. Miało ono kształt litery T i składało się z dużego stołu do ruletki, ustawionego obok tradycyjnego, lecz dużego biurka z drzewa orzechowego. Na narzucie stołu ruletki leżały kolorowe żetony. Mężczyzna był całkowicie łysy. Jego twarz, głowa i palce wyglądały tak, jak gdyby szorował je codziennie przez wiele godzin - były tak różowe, że aż lśniły. Mówił coś do zielonej słuchawki, a obok stało pięć innych kolorowych telefonów.

- Pan Marshall Tate, sir - zaanonsował z niesmakiem kamerdyner.

Sir Robert zakrył słuchawkę starannie wypielęgowaną dłonią i spojrzał w zamyśleniu na gościa.

- Pan przyniósł film i chciałbym, żebyś go puścił, Smithers.

Marshall sięgnął do plecaka i podał rolkę kamerdynerowi, który trzymał ją z dala od siebie, jak gdyby wymagała odkażenia.

Wciąż trzymając słuchawkę przy uchu, sir Robert poruszył dźwignią kontrolną przy poręczy fotela i podjechał do biurka, aby spojrzeć na stół ruletki. Jego małe, różowe palce bawiły się kablem telefonicznym.

- Postaw jeszcze raz w trzech ostatnich obrotach. - Słuchał uważnie odpowiedzi, wystukał kilka liczb na dużym kalkulatorze Olivetti, przypominającym jednorękiego bandytę, a potem znów pociągnął za dźwignię. - Dobrze, Paul - rzekł, przyjrzawszy się wydrukowi. - Postaw na niskie numery. - Kiedy mówił, układał starannie żetony w równy stos. Wydawało się, że jego małe, wypielęgowane palce pieszczą miłośnie każdy żeton. Ustawił stos żetonów na środku kwadratu z niskimi numerami i poprawiał, aż się upewnił, że leżą dokładnie na samym środku. Przez kilka sekund słuchał uważnie, bawiąc się kołem ruletki, a potem roześmiał się z zadowoleniem, prawie jak dziecko. - Wspaniale, Paul. Zadzwon do mnie za czterdzieści pięć minut. Mam gościa.

Odłożył słuchawkę i ucisnął dłoń Marshallowi. Wydawało się, że jego cienkie palce nie mają żadnej siły, Marshall wyczuł jednak chłód, kryjący się za serdeczną promiennością i

ciepłą iskierką w szarych, przenikliwych oczach bankiera. Wskazał gościowi krzesło.

- Przepraszam, że kazałem panu czekać, panie Tate. Hazard to moja mała słabostka. Wielka słabostka, jak twierdzi żona. Ruletka to niezwykła namiętność - można włączyć się w środek gry, postawić i wycofać się. Rozmawiałem z synem w Monte Carlo. Jakże cudowne są nowoczesne środki łączności: dzięki nim można grać w Anglii w prawdziwą ruletkę, nie w tę okropną, amerykańską namiastkę z podwójnymi zerami. - Wskazał ze smutkiem swoje nogi. - Do wypadku doszło podczas przejażdżki, kiedy byłem młody i głupi. Założyłem się, że przeskoczę szczególnie wysoki płot. Teraz muszę podejmować skomplikowane środki, by folgować mej małej słabostce, ale dobrze się przy tym bawię.

Marshalla nie interesowały słabostki pulchnego bankiera, doszedł jednak do wniosku, że powinien podjąć uprzejmą rozmowę.

- Czy to jest legalne, sir?

- Gra odbywa się w Monte Carlo, nie łamię więc prawa. Jeśli kiedyś przyłączymy się do Wspólnego Rynku, rząd przekona się, że narodowe prawo nie jest w stanie kontrolować międzynarodowego hazardu międzynarodowych transakcji finansowych. - Obrócił fotel, aż usiadł naprzeciwko Marshalla. - Czy pan jest hazardzistą panie Tate?

- Nie, sir.

- Ach, ależ tak. Kręci pan filmy, a zatem jest pan hazardzistą. Filmy to największa gra hazardowa. Mój bank zarobił i stracił na filmach wiele milionów. Czy wie pan, ile kosztowała „Kleopatra”? Gdyby zwykłe firmy podejmowały takie ryzyko jak wielkie studia i wspierający je ludzie, nie istniałby przemysł, samochody ani samoloty, gdyż nie byłoby zaufania, a zatem i inwestycji. - Wskazał jedno ze zdjęć, przedstawiające mężczyznę o kwaśnej minie. - André Citroën: przegrał całe imperium samochodowe. - Bankier wskazał inną fotografię, a na jego różowym palcu błysnął złoty sygnet. - Gordon Selfridge: przegrał w bakarata swój sklep, rodzinę, wszystko. Kiedy umierał, miał zaledwie dwa tysiące funtów.

Na miłość boską, zacznijmy, krzyczały nerwy Marshalla.

Sir Robert uśmiechnął się domyślnie, jak gdyby czytał w myślach gościa.

- Zawsze podziwiałem graczy. Ci ludzie potrafią zaryzykować wszystko, i to nie dla nagrody, lecz dla dreszczyku emocji oraz czegoś, w co gorąco wierzą. Pan dzisiaj zaryzykował. Przekonajmy się więc, jak wygląda stawka. - Podniósł zieloną słuchawkę. - Jesteśmy gotowi, Smithers.

Marshall nie widział projektora. Kiedy się odwrócił, zauważył małe okienko w ścianie naprzeciwko ekranu. Zorientował się, że biuro jest prawdziwą salą projekcyjną.

- To bardzo miłe z pana strony, że zgodził się pan mnie natychmiast przyjąć, sir

Robercie - rzekł uprzejmie Marshall. - Czuję, że to ważne...

- Dlaczego Drew powiedział, że nie możemy obejrzeć pańskiego filmu? - spytał bankier, zrecznie ustawiając swój fotel obok Marshalla.

- Stwierdził, że to sadystyczne gówno, powtarzam jego słowa.

- Czy to prawda? Zamierzaliśmy przecież wyświetlać ten film w szkołach na terenie całego kraju.

- Nie - odparł z naciskiem Marshall. - Film niczego jednak nie łagodzi. Mówi po prostu przykrą prawdę.

Kiedy przygasły światła, sir Robert chrząknął i podniósł dłoń, nakazując ciszę. Pierwsze ujęcie trafiło go prosto między oczy: było to zbliżenie potwornie okaleczonego, pokrytego krwią ciała młodej dziewczyny, leżącego w wysokiej trawie. Ciało zaczęło się oddalać, pojawiły się okoliczne pola. Oddalało się coraz bardziej, aż zamieniło się w małą kropkę wśród pól. Pusty pejzaż podkreślał straszną, samotną śmierć, którą musiała ponieść dziewczyna.

Okrutna scena zniknęła i na ekranie ukazała się dziewczynka w szkolnym mundurku, machająca do przyjaciół i wsiadająca do forda z opuszczonym dachem. Za kierownicą siedział młody, jasnowłosy mężczyzna o łagodnej twarzy, typowy komiwojażer, spędzający wieczory w hotelach na obliczaniu zysków ze sprzedaży. Marshall celowo nie wybrał łatwego rozwiązania i nie skorzystał z usług nie ogolonego aktora o posępnym, brutalnym wyglądzie. Kierowca wyglądał jak typowy, przeciętny facet o przyjacielskim uśmiechu. Niepokojące było tylko to, że uśmiech nigdy nie opuszczał jego twarzy, a od czasu do czasu zerkał ukradkiem na nogi pasażerki.

Tak jak poprzednio, nie rozległ się żaden dźwięk. Dźwięk nie był potrzebny, widzowie łatwo mogli zauważyć, jak rośnie niepokój dziewczynki, kiedy samochód wjeżdżał coraz głębiej w prowincję. W końcu skręcił na pole i zaparkował pod drzewem. Później nastąpiła najbardziej wstrząsająca scena filmowa, jaką widział sir Robert, porównywalna jedynie ze sceną zamordowania Janet Leight w „Psycho”. Różnica polegała na tym, że ujęciom, nakręconym przez Hitchcocka, towarzyszył dźwięk. Nieme krzyki bitej i gwałconej dziewczynki wywierały jeszcze bardziej przerażające, surrealistyczne wrażenie, jak gdyby ofiara w swej okropnej agonii była całkowicie odizolowana od zewnętrznego świata. Całą straszną scenę filmowano bezpośrednio z góry, tak że samochód z podniesionym dachem wydawał się więzieniem, w którym rozgrywa się potworny dramat.

Później na ekranie ukazywały się kolejno policyjne zdjęcia ofiar, zbyt krótko, aby zauważyć szczegóły, ale wystarczająco długo, by mózg zdążył zarejestrować wszystkie



okropieństwa. Obok pojawiały się napisy: „Pauline Lewis, lat 10 - zgwałcona”, „Carol Burley, lat 12 - zgwałcona zamordowana”, „Sarah Tomkins”... „Diana Cummings”... Pokazano mniej więcej dwadzieścia nazwisk i zdjęć, ale sir Robert był zbyt szokowany, aby liczyć.

Ostatnia nieruchoma klatka przedstawiała rękę na klamce forda. Dziewczynka właśnie zamierzała wsiąść do samochodu. Było to znakomicie skomponowane ujęcie: w drzwiach odbijały się przyjaciółki, symbolizujące jej mały świat - widz wyobrażał sobie, jak dziewczynka wraca do domu w hałaśliwym, rozdokazywanym towarzystwie, jak ogląda telewizję, jedząc gorące ciasteczka z masłem, podczas gdy łasi się do niej kot. Drzwi samochodu stanowiły barierę pomiędzy tym przyjaznym światem, ciemnością, którą symbolizowały palce kierowcy, pomagające otworzyć drzwi. Pojawił się napis: „PRZEJAŹDŹKA NIE JEST WARTA ŻYCIA”.

Film skończył się. Niewidoczny Smithers włączył światło. Przez kilka chwil sir Robert patrzył na pusty ekran, próbując zebrać myśli. Miał wrażenie, że bokser wagi ciężkiej przyłożył mu przed chwilą w żołądek.

Marshall przerwał ciszę.

- Celowo zrobiłem niemy film, sir, aby mogły go wyświetlać szkoły, dysponujące bezdźwiękowymi rzutnikami.

Sir Robert otrzeźwiał, kiedy pomyślał o dzieciach poniżej jedenastu lat, oglądających ten film.

- Tak... oczywiście - wymruczał. - Ta dziewczynka... wygląda zbyt młodo. O wiele za młodo. Kto to jest?

- Sally Turner, sir. Prawdę mówiąc, ma osiemnaście lat. Należy do związku zawodowego artystów scenicznych. Wybrałem ją z magazynu „Spotlight”.

- Wielki Boże - sir Robert zamilkł. Czuł się nieswojo, patrząc w obserwujące go lodowate oczy.

- Co pan o tym myśli, sir? - spytał z niepokojem Marshall.

Bankier zastanawiał się nad odpowiedzią. Kiedy się odezwał, dobierał słowa równie starannie jak wówczas, gdy podejmował decyzję o inwestycji lub postanawiał położyć zetony na stole ruletki.

- Film zrobił na mnie ogromne wrażenie, panie Tate - zauważył. - Mogę jednak zrozumieć zastrzeżenia Matthewa Drewa.

- On nie miał żadnych zastrzeżeń - odparł kwaśno Marshall.

- Zakazał wyświetlania filmu i tyle. Nie chciał, żeby zobaczył go pan lub jakikolwiek

inny członek Rady.

Sir Robert ruszył w kierunku drzwi, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że spotkanie się skończyło.

- Powiedzmy, że żywił pewne obawy, dobrze? Dziękuję, że pokazał mi pan ten film, panie Tate. Naprawdę nie mogę skomentować decyzji pana Drewa, dopóki z nim nie porozmawiam. Skontaktuję się z panem, jak tylko będę mógł.

Marshall pojechał motorowerem do domu, zastanawiając się, czy podjął właściwą decyzję.

## 23.

Celia dowiedziała się o tej awanturze dopiero dwa dni później, kiedy kładła się spać. Marshall wyszedł i jak zwykle nie powiedział, dokąd idzie. Kiedy szykowała się do snu, zadzwonił telefon. Reporter z „Daily Mail” pragnął poznać opinię Marshalla o skandalu, który wybuchł dziś wieczorem, kiedy pokazano „Mroczne spotkanie” na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Edukacji Szkolnej. Celia zanotowała wiadomość.

Kiedy odłożyła słuchawkę, telefon znów zadzwonił. Dziennikarz z „Daily Express” chciał uzyskać tę samą informację. Zanim poszła spać, odebrała jeszcze trzy podobne telefony. Później zamknęła drzwi sypialni i pozwoliła dzwonić temu cholernemu urządzeniu.

Wszystko wyjaśniło się następnego ranka. Na drugiej stronie „Daily Mail” widniał napis: „FILM O GWALCENIU DZIECI WYWOŁAŁ BURZĘ - członkowie Rady Edukacji Szkolnej opuszczają salę po obejrzeniu »pornograficznego filmu«”. Opublikowano również zdjęcie Marshalla i aktorki o dziecięcej urodzie, występującej w filmie. Aktorka tuliła się do Marshalla, patrząc na niego z uwielbieniem. Celia usiadła i przeczytała artykuł. Wczoraj wieczorem na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Edukacji Szkolnej sześciu członków rady i pełnoetatowy dyrektor złożyli rezygnację i z gniewem opuścili salę, kiedy finansista sir Robert Allsop oddał rozstrzygający głos za dopuszczeniem do rozpowszechniania pięciominutowego filmu Marshalla Tate’a.

Celia powoli jeszcze raz przeczytała artykuł. Zadzwonił telefon. Tym razem dzwonił lokalny dziennikarz, zirytowany, że gazety ogólnokrajowe ukradły spod jego nosa wspaniały temat. Celia zawołała Marshalla, który rozespany zszedł na dół. Wróciła do kuchni i po raz trzeci, dokładniej przeczytała artykuł. Tymczasem Marshall skończył rozmawiać z reporterem.

Uniosła wzrok, kiedy zauważyła, że syn stoi na korytarzu, a jego głowa niemal dotyka

powąły. Uśmiechnął się do niej. Jego oczy były lodowate błękitne, jak oczy ojca. Coraz bardziej się do niego upodabniał. Zadrżała. Z góry usłyszała jakiś dźwięk, jak gdyby ktoś brał prysznic. Spojrzała pytająco na Marshalla.

- Nie martw się - rzekł spokojnie. - Za tydzień sprawa przycichnie.

## 24.

1970

Marshall z zadowoleniem stwierdził, że jego przepowiednia się nie sprawdziła. Historia rozprzestrzeniała się po kraju jak złośliwy wirus, lokalne władze edukacyjne oraz towarzystwa rodziców i nauczycieli spierały się, czy dzieci w ich okręgach powinny obejrzeć film. W telewizji chętnie przeprowadzano wywiady z Marshalllem, gdyż zawsze można było się spodziewać, że powie coś obelżywego o lokalnych władzach, które postanowiły nie wyświetlać filmu. Pewnego wieczoru, kiedy zirytowana matka stwierdziła, że nie pozwoli córce oglądać takich brudów, Marshall pytał, czy wolałaby, aby jej córeczka została zgwałcona i uduszona, doprowadziło to do tak ożywionej dyskusji, że program został dłużej na antenie, a hymn narodowy zagrano z trzydziestominutowym opóźnieniem - o 11:30.

Tego wieczoru, wracając ostatnim pociągiem do Walton, Marshall doszedł do wniosku, że osiągnął swój cel.

## 25.

Sześć miesięcy później Bill Yates pił drinka z Marshalllem w lokalu „Kiwi”. Tym razem Marshall upierał się, że zapłaci. Bill wyczuwał jego pewność siebie i podejrzewał, że w pięćdziesięciu procentach była to arogancja.

- Robię teraz pieniądze, Bill. Prawdziwe pieniądze.

- Zapłacono ci za wszystkie wywiady?

- To nie są prawdziwe pieniądze.

- No cóż, wiem, że zrezygnowałeś z pracy w Shepperton. Próbowałem zadzwonić do ciebie do biura.

Marshall uśmiechnął się chłodno i podniósł kieliszek.

- Rozmawiasz z dyrektorem działu filmowego Rady Edukacji Szkolnej. W zeszłym tygodniu sir Robert Allsop zaproponował mi tę posadę.

- Zawsze wiedziałem, że wylądujesz na cztery łapy, stary draniu - rzekł Bill, połykając

jednym haustem większość zawartości kufla.

- Ile ci płacą?

- Tyle, co Drewowi, plus jeszcze trochę, razem cztery.

Bill gwizdnął. Marshall miał słuszość. W 1970 roku cztery tysiące rocznie stanowiły niezłą pensję dla młodego człowieka.

- Poza tym zarobiłem ponad pięć tysięcy funtów, sprzedając kopie „Mrocznego spotkania”, a pieniądze nadal napływają.

Starszy mężczyzna zdumiał się.

- Do diabła, jak to zrobiłeś?

- Bez trudu. Za każdym razem, kiedy władze edukacyjne zakazywały rozpowszechniania filmu, zamieszczałem ogłoszenie w lokalnej gazecie: „Obejrzyj »Mroczne spotkanie«! Zakazany film! Zamów bezpośrednio u autora ośmiomilimetrową, kolorową kopię. Wersja nie ocenzurowana. Cena wynosi 7,15 funta, w tym koszty przesyłki i opakowania”.

- To szwindel, Matt, film nie jest tyle wart. Klienci musieli przeżyć cholerne rozczarowanie.

Marshall ustawił starannie kufel z piwem i odwrócił się do Billa.

- Nigdy nie lekceważę publiczności - rzekł zimno. - Powinieneś o tym wiedzieć. Dokręciłem parę scen w tym samym miejscu.

- Z Sally Turner?

- I z aktorem. I z samochodem.

Bill przypomniał sobie, że z trudem udało im się przekonać dziewczynę, by zgodziła się wystąpić w niektórych scenach.

- Jak udało ci się przełamać skrupuły młodej Sally?

Marshall chrząknął z pogardą.

- Podobnie jak w przypadku wszystkich kobiet, jej tak zwane skrupuły to jedno wielkie udawanie. Wprowadziła się do mnie. Dzięki „Mrocznemu spotkaniu” dostała pracę. Uznała, że jestem jednym ze szczebli na drodze do kariery, dlatego ją wykorzystałem.

Bill sądził, że człowiek, który uzna Marshalla za szczebel, wkrótce sam znajdzie się pod jego butem i najprawdopodobniej zostanie zmiażdżony.

- Co myśli twoja matka?

Marshall wzruszył ramionami.

- Umarła trzy miesiące temu.

- Przykro mi. Była miłą damą.

- Dom należy teraz do mnie. Sally zajmuje się wszystkim. Potrzebuję pomocnika, Główny Urząd Pocztowy przysyła mi listy całymi workami, płacę jej.

Bill za żadne skarby nie potrafiłby sobie wyobrazić, co taki słodki dzieciak jak Sally Turner widzi w Marshallu Tate. Kobiety!

- Co ona o tym sądzi?

Marshall wzruszył ramionami.

- Była trochę zdenerwowana, bo kiedy ukazały się reklamy, czepiała się mnie policja. Powoływano się na ustawę o obscenicznym publikacjach. i w końcu prokuratura postanowiła nie wszczynać postępowania, mój adwokat oświadczył bowiem, że robią z siebie głupców, prześladowając mnie za sprzedawanie filmu, pokazywanego w szkołach połowie angielskich, szkockich i walijskich dzieciaków.

- Na miłość boską, Matt, nie posiadasz przecież praw autorskich. Bez wątpienia film należy do Rady Edukacji Szkolnej.

- Zgadza się. Właśnie dlatego myślałem, że tkwią po szyję w gównie, kiedy sir Robert Allsop wezwał mnie do swego londyńskiego biura. Okazało się, że nic go to nie obchodzi. On sam jest kanciarzem i hazardzistą. Właśnie wtedy zaproponował mi pracę, a także budżet w wysokości trzydziestu pięciu tysięcy rocznie na produkcję krótkometrażówek. Hazard, powiedział. Pomyślałem, że to będzie ciekawe doświadczenie.

- Cholernie ciekawe doświadczenie - westchnął Bill, patrząc z dumą i podziwem na Marshalla.

## 26.

### 1971-1973

Przez trzy lata Marshall pracował dla Rady Edukacji Szkolnej. W tym czasie nakręcił siedemdziesiąt pięć krótkometrażówek, średnio jedną na dwa tygodnie. Dziesięć z nich było do niczego - okropne filmy, które nigdy nie ujrzały światła dziennego, niewarte nawet zapalki, którą się posłużył, aby spalić negatywy.

Marshall nie miał nic przeciwko temu. Uczył się na błędach. Pozostałe sześćdziesiąt parę filmów to prawdziwe klejnoty, szeroko rozpowszechniane na całym świecie. Dotyczyły tak różnych tematów jak bezpieczeństwo drogowe i higiena osobista. Na każdym z nich wycisnął swoje piętno: rzucało się w oczy surrealistyczne oświetlenie i zdjęcia, a także brak dźwięku, kiedy akcja na ekranie mówiła sama za siebie. Nauczył się tak wiele, że w jego filmach pojawiał się nawet humor, choć Marshall zupełnie nie miał poczucia humoru.

Traktował humor jako jeszcze jedno narzędzie, którym posługiwał się beznamiętnie i z chirurgiczną precyzją. Mimo to jego filmy podobały się publiczności. Buster Keaton nigdy się przecież nie uśmiechał.

W czasie krótkiej kariery Marshalla w RED wciąż wybuchały awantury o erotyczne sceny w jego filmach. Jeden z nich, nakręcony w ciągu jednego dnia w klinice chorób wenerycznych, wywołał taki skandal, że pogarda Tate'a dla autorytetu ustąpiła miejsca żrącej nienawiści do brytyjskiej nerwicy na tle seksu. Uważał, że pogarda jest usprawiedliwiona, gdyż jego filmy pokazywano bez żadnych komentarzy w całej Europie.

## 27.

### 1974-1976

Marshall po przyjacielsku rozstał się z RED. Sir Robert tak mocno w niego wierzył, że City Media Bank zgodził się pokryć w dziewięćdziesięciu procentach koszty wyprodukowania pełnometrażowego filmu pod warunkiem, że wyreżyseruje go Marshall.

- To nie jest nepotyzm, Matt - rzekł sir Robert, odpowiadając na pytanie Marshalla. - Podjęliśmy czysto handlową decyzję. Zarząd zna twoje prace i wszyscy się zgodzili, że jesteś najlepszym kandydatem do roli reżysera „Agapemone”.

Niestety, warunki pożyczki, udzielonej przez City Media Bank, nie przyznawały Marshallowi prawa do zmiany scenariusza. Kiedy narzekał na scenariusz, zawsze odsyłano go do scenarzysty, który zaangażował się finansowo w produkcję filmu i zastrzegł w kontrakcie, że nikt nie ma prawa wtrącać się do scenariusza.

- Jezu Chryste! - wybuchnął Marshall po długim, bezowocnym sporze z upartym scenarzystą. - Niech Bóg mnie broni przed pisarzami. Ten człowiek uważa, że powinienem traktować jego cholerny scenariusz jak tablice wręczone Mojżeszowi na górze Synaj!

Robił, co mógł, ale w rezultacie powstał jeden z drogich niewypałów, które uwielbiają krytycy i których nie cierpi publiczność. Po tej drobnej porażce przysiągł, że nigdy nie wpłacze się w żadne przedsięwzięcie, jeśli nie będzie miał całkowitej kontroli nad scenariuszem. Ten epizod nie zachwiał wiary Roberta Allsopa w Marshalla, chociaż Tate uważał, że bank stracił małą fortunę na tym interesie.

- Drobiazgi, Matt, drobiazgi - odpowiedział sir Robert, kiedy Marshall zapytał go o straty. - Czasami przegrywamy, czasami wygrywamy. To przecież gra. Zawsze staramy się zapewnić sobie niewielkie straty i duże zyski. Możesz przegrać wszystko, byleś nie stracił nerwów.

Przez całe życie Marshall pamiętał słowa puciołowatego bankiera.

## 28.

Marshall zrehabilitował się szybko, kręcąc niskobudżetowy film o jednym dniu z życia prostytutki. W roli głównej występowała Sally Turner. Marshall traktował ją brutalnie, gdyż chciał, aby dała z siebie wszystko, a poza tym pragnął się jej pozbyć. W ostatniej scenie Sally miała zostać zgwałcona przez klienta. Marshall porozmawiał jednak z facetem nie należącym do związku, grającym klienta, i w rezultacie Sally rzeczywiście została zgwałcona przed kamerą. Krzyczała rozpaczliwie do Marshalla, żeby odciągnął od niej tego łobuza, on jednak nie reagował. W gotowym filmie scenie tej towarzyszyła piosenka Nata Kinga Cole'a „Czyż ona nie jest słodka”.

Sztuczka okazała się skuteczna pod obydwoma względami: film odniósł sukces, a rozgniewana Sally Turner opuściła Marshalla. Kilka dni później otrzymał list od jej adwokatów z żądaniem odszkodowania. W odpowiedzi rozpuścił plotkę, że to sama Sally wpadła na pomysł gwałtu, bo nie była pewna, czy potrafi zagrać taką scenę. Ta opowieść zrobiła filmowi dużą reklamę.

Zanim sprawa znalazła się w sądzie, Sally Turner popełniła samobójstwo, łykając czterdzieści tabletek barbituranu.

Marshall bez skrupułów wykorzystał śmierć aktorki, aby rozreklamować film. Twierdził, że od kiedy Sally ukończyła piętnaście lat, była prawdziwą dziwką. Popularne gazety rzuciły się na tę historię. W rezultacie tani film o wykorzystywaniu seksualnym wzniosł się na poziom moralnego traktatu. Film przyniósł takie zyski, że Marshall mógł założyć własną spółkę produkcyjną: „Herring Gate Films”.

Bill zachichotał, kiedy zobaczył w druku nazwę spółki Marshalla.

- „Herring Gate”... to naprawdę niezła nazwa jak na kogoś, kto nie ma poczucia humoru.

- Mam poczucie humoru - zaprotestował Marshall.

Bill uśmiechnął się.

- Czyżby?

- Robiłem filmy z komediowymi fragmentami.

- Nie trzeba być mordercą, aby napisać kryminał - zauważył celnie Bill.

- Może więc zostaniesz dyrektorem mojej spółki?

- Ile by mnie to kosztowało?

- Tysiąc funtów za dwudziestoprocentowy udział.  
- O rany, mam grać drugie skrzypce w ekipie niedoświadczonego dwudziestoczterolatka? Dobra, zgadzam się. Chcę być w pobliżu, żeby obserwować twój upadek. - Bill wiedział, że był jedyną osobą, która mogła mówić w ten sposób do Marshalla Tate'a.

Uściskiem dłoni przypieczętowali porozumienie.

## 29.

### 1977-1987

W ciągu tych dziesięciu lat Marshall nakręcił sześć pełnometrażowych filmów i ponad pięćdziesiąt reklam telewizyjnych. Ze ślełą energią zmuszał do pracy innych i samego siebie, nie dopuszczając, aby coś stawało mu na drodze. Wiele uległych kobiet pojawiło się i zniknęło z jego życia, bo nawet najbardziej uległe nie potrafiły zbyt długo podporządkowywać się jego woli.

Marshall ciężko pracował i nie ponosił winy za to, że spółka „Herring Gate Films” nie odniosła wielkiego sukcesu. Jego filmy cieszyły się popularnością ale prawdziwe pieniądze zarabiali na nich tylko dystrybutorzy, których nauczył się nienawidzić ze wszystkich sił i wcale tego nie ukrywał. Teraz oni stali się władzą. Ich słowo było prawem. Jeśli ktoś im się przeciwstawiał, czynił to na własne ryzyko.

Bilans wyglądał nieźle, gdyż bez przerwy napływały czeki od dystrybutorów, jednakże otrzymywane pieniądze należało wydać na wynagrodzenia i odsetki dla City Media Bank sir Roberta Allsopa. Bank bardzo dobrze traktował Marshalla i godził się udzielać pożyczek na warunkach, których zazdrościli mu inni niezależni przedsiębiorcy. Filmy, wyprodukowane przez „Herring Gate” potrzebowały jednak nowego odbiorcy.

## 30.

Stworzenie nowej usługi telewizyjnej, Kanału 4, doprowadziło do głębokiej zmiany w brytyjskiej telewizji. Podobnie jak amerykańskie sieci, ile w przeciwieństwie do pozostałych brytyjskich instytucji, Kanał 4 raczej rozpowszechniał, niż tworzył programy. W ten sposób Marshall i wielu innych niezależnych producentów zyskali nowego i chłonnego klienta. Poza tym pojawiła się szansa robienia tego, co Marshall lubił najbardziej: kręcenia filmów dokumentalnych.



Sir Robert Allsop często mówił Marshallowi, że z komercyjnego punktu widzenia filmy dokumentalne stanowią ślepią uliczkę, nie da się ich sprzedać za granicą gdyż zwykle dotyczą krajowych tematów, interesujących tylko Brytyjczyków. Jednakże redaktorzy Kanału 4, pod kierownictwem Jeremy'ego Isaacs, byli gotowi pokryć cały koszt produkcji filmu, jeśli temat im się podobał.

Pierwszym filmem, nakręconym dla nich przez Marshalla, był dwudziestopięciominutowy dokument o pijaństwie wśród nieletnich, obarczający winą za to zjawisko producentów i sprzedawców napojów alkoholowych.

Kiedy pokazano film, licencjonowani sprzedawcy podnieśli wrzawę. W awanturę zaangażowała się w końcu cała niezależna sieć telewizyjna, gdyż kilku producentów zagroziło wycofaniem reklam.

Cały gniew Marshalla wylał się na Niezależną Radę Radiofonii i Telewizji, która zakazała powtórnego wyświetlania filmu. NRRT twierdziła, że w scenach, rozgrywających się w pubie, Marshall posłużył się aktorem i aktorką film nie miał więc czysto dokumentalnego charakteru. „Olewanie publiczności” - tak właśnie Marshall określił ich poczynania. Ten epizod sprawił, że niezależne spółki telewizyjne z jeszcze większą ostrożnością zamawiały programy w „Herring Gate Films”.

## 31.

Marshalla Tate'a spotkało kolejne niepowodzenie, kiedy z jedenastogodzinnym wyprzedzeniem odwołano nadawanie serialu dokumentalnego pod tytułem „Historia seksu”. Po obejrzeniu pierwszego odcinka członkowie Niezależnej Rady Radiofonii i Telewizji powiedzieli „nie”. Spółka, zamawiająca program, wpisała do kontraktu klauzulę, dzięki której Marshall nie mógł im teraz niczego zarzucić. Po tym ciosie Marshall wpadł w długi i musiał zaciągnąć dużą pożyczkę pod hipotekę domu, który zostawiła mu matka. Nie poszedł na dno tylko dzięki pieniądzązom za reklamy.

W tych trudnych czasach unikali go nawet przyjaciele i współpracownicy. Marshall zwykle tracił panowanie nad sobą, gdy sprawy nie układały się po jego myśli, a teraz to zjawisko jeszcze się nasiliło. Tylko Bill Yates był gotów podtrzymywać ich przyjaźń. Wraz z listem z Zurychu pojawiła się nikła szansa ratunku, która miała przynieść nieoczekiwane skutki. Był to pierwszy poważny kontakt Marshalla ze światem telewizji satelitarnej. List od Teleclub AG stanowił całkiem hojną ofertę kupna prawa do dystrybucji sześciu jego filmów w niemieckiej wersji językowej. Broszura, załączona do listu, wyjaśniała, że Teleclub

udostępnia swoje programy domom i sieciom kablowym za pośrednictwem satelity o niskiej mocy, zwanego Eutelsat F4. Aż do tej pory kontakty Marshalla z telewizją satelitarną ograniczały się do akceptowania klauzul w kontraktach, na mocy których można było rozpowszechniać reklamy w takich programach jak Superchannel. Marshall nie miał jednak pojęcia, gdzie znajduje się satelita i kto jest jego właścicielem.

Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o telewizji satelitarnej, dlatego kupił od lokalnego przedsiębiorstwa sterowaną antenę. Zanim zapadł wieczór, operator uruchomił system. Postawił odbiornik satelitarny na magnetowidzie, podłączył go do telewizora ustawił jeden z programów na wolny kanał. Na ekranie natychmiast pojawił się western z niemieckim dubbingiem. Marshall był zdumiony jakością obrazu i dźwięku.

- Oto właściwe ustawienie. Żadnych odbić, żadnych zniekształceń obrazu - rzekł operator, pokazując Marshallowi, w jaki sposób za pomocą pilota może ustawić w odpowiedni sposób talerz o średnicy 1,2 metra. Pięć satelitów, ustawionych wzdłuż łuku na południowym niebie dwadzieścia dwie mile nad równikiem, wysyła obraz o wysokiej jakości. Operator nazywał tę linię „pasem Clarke’a”.

- Są to satelity Eutelsat i Intelsat - wyjaśnił operator. - Mają niską noc i nadają głównie dla sieci kablowych. Właśnie dlatego potrzebuje pan tak dużej anteny. Wszystko się zmieni, kiedy pojawi się Astra. W odbiornik wbudowano dekodery Filmnetu, po północy zobaczy pan więc trochę pstrych kawałków.

Bill przyszedł obejrzeć nowe urządzenie. Film, który zobaczyli wieczorem na Filmnecie 24, okazał się więcej niż ostry: pojawiały się w nim takie sceny erotyczne, że nigdy by nie przypuszczali, iż za swojego życia obejrzą w Anglii coś takiego. Była to niezgrabna, pozbawiona wdzięku amerykańska produkcja. Odnosili jednak wrażenie, że czują powiew świeżego powietrza: oto oglądali film, znajdujący się poza kontrolą brytyjskiego rządu i Brytyjskiej Rady Klasyfikacji Filmów.

## 32.

11 grudnia 1988 roku po przeciwnej stronie świata miało miejsce wydarzenie, które na zawsze zmieni oblicze europejskiej telewizji, wyzwalając nadawców spod władzy rządów.

O 12:30 czasu Greenwich rakieta Ariane 4 wystartowała z ogromnego, francuskiego kosmodromu w Kourou, położonego w dżungli w Gujanie Francuskiej. Niosła bardzo szczególnie ładunek: satelitę Astra 1A, transmitującego szesnaście programów, który posiadał taką moc, że jego sygnały można odbierać w domach w całej Europie za pomocą małej, stałej

anteny - nie większej niż duża pokrywa rondla.

Dwadzieścia cztery minuty po starcie satelita wszedł na niską orbitę. Kontrolerów w Kourou wciąż czekało dużo pracy, zanim prześlą urządzenie właścicielom. Musieli sprawdzić systemy, nieznacznie skorygować położenie satelity. Cztery dni później uruchomiono wewnętrzny odpalacz, napędzany stałym paliwem, i wzniesiono Astrę na wysokość trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów nad równikiem. Tam satelita będzie wykonywał pełny obrót raz na dwadzieścia cztery godziny, z prędkością równą prędkości obrotów ziemi, zajmując w rezultacie stałą pozycję na niebie. Ostatnie zadanie w tej epickiej podróży przypadło małym silnikom sterującym, które przemieściły Astrę na pozycję 19,2 stopnia na wschód od Greenwich, prosto nad Zairem, ale z niemal doskonałym widokiem na Europę - najbogatszy rynek na świecie i cel Astry.

Po dwudziestogodzinnych, precyzyjnych manewrach satelita znalazł się w końcu w miejscu przeznaczenia i kontrolę nad nim przekazano oficjalnie właścicielom, Société Européenne des Satellites (SES), spółce komercyjnej z siedzibą w Luksemburgu. Udziały w SES posiadały banki, rząd Luksemburga i rozmaite europejskie organizacje nadawcze, w tym firmy brytyjskie, jak Television South West, Thames Television i Ulster Television.

Małe księstwo Luksemburga zawsze było outsiderem w chaotycznym światku europejskiej telewizji i z tego względu posiadało o wiele większe wpływy, niż można by się spodziewać po tak małym państwie. Kiedy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych europejscy politycy doszli do wniosku, że muzyka pop jest zła, miliony młodych ludzi na całym kontynencie regularnie słuchały Radia Luksemburg. Cierpliwie znosili trzaski, gwizdy i zanik fal średnich, pragnąc słuchać Johnny'ego Graya, Guya Mitchella, Rosemary Clooney, Billa Haleya i Elvisa Presleya.

Rząd Luksemburga wierzył w Europę i kulturowe zjednoczenie, opierał radio i telewizję bez granic i bez nadmiernej kontroli państwowej.

Z uprzejmym lekceważeniem traktował różne traktaty europejskie, mające na celu zachowanie państwowej kontroli nad telewizją satelitarną. Te nieprzemyślane umowy zrodziły później dziwne, nieudane instytucje, jak Brytyjska Rada Transmisji Satelitarnych, pozwalające kontrahentowi na korzystanie z satelity pod warunkiem, że ślad wiązki satelitarnej będzie skierowany dokładnie na ich kraj.

Rząd Luksemburga nie miał cierpliwości do takich nonsensów i właśnie dlatego SES założyło swoją kwaterę główną we wspaniałym Château de Betzdorf, w cichym lesie kilka kilometrów na zachód od Luksemburga.

Za ścianą z odblaskowego szkła inżynierowie precyzyjnie skierowali ku Astrze

ogromną, jedenastometrową antenę kontrolną. Wysłano sygnały telemetryczne, aby odsłonić baterie słoneczne satelity. Inżynierowie czekali w napięciu na odczyty, z których będą mogli się dowiedzieć, czy Astra dysponuje mocą. Odczyty nadeszły, ale było za wcześnie, by strzelać korkami szampana. Sprawdzanie szesnastu transponderów zabrało kilka godzin. Należało wyregulować odchylenia, zrównoważyć kolory, sprawdzić jakość dźwięku. W końcu z sali kontrolnej nadano na każdym kanale obraz kontrolny i muzykę, a małe domowe anteny, które wyglądały dziwnie obok swych gigantycznych braci, odebrały idealny obraz i dźwięk, dopiero wówczas inżynierowie mogli sobie pozwolić na entuzjazm: pierwszy satelita bezpośredniej transmisji telewizyjnej działał jak złoto.

### **33.**

**1989**

Przez pierwsze sześć miesięcy tego niespokojnego roku Marshall odprężał się tylko wówczas, gdy oglądał telewizję, robił to codziennie przez godzinę, zanim kładł się spać. Nawet wówczas w pewnym sensie pracował, bo przeglądając satelitarne programy, dowiadywał się na bieżąco o potencjalnych, nowych klientach.

Astra radziła sobie znakomicie. Cztery programy Sky - sportowy, informacyjny, rozrywkowy i kanał ze starymi filmami - stawały się coraz bardziej profesjonalne. Marshall dziwił się, że Sky Movies liczyły się z Brytyjską Radą Klasyfikacji Filmów i wyświetlały przed każdym filmem certyfikat BRKF. Pocięta, brytyjska wersja „Mony Lisy” była do niczego w porównaniu z jej europejskim odpowiednikiem. W wyniku ingerencji cenzury, zniknął zupełnie erotyzm filmu „Dziewięć i pół tygodnia”. Dlaczego sami postanowili włożyć te kajdany?

Pod koniec roku w dzień i wieczorami korzystano ze wszystkich szesnastu transponderów Astry. Z nowych możliwości jako ostatnia skorzystała stacja 3SAT, nadająca program w języku niemieckim, w której Marshall dostrzegał potencjalnego klienta, podobnie jak w RTL-Plus i wielojęzycznej stacji RTL4. Niemieckie stacje zdominowały europejską telewizję satelitarną. Nadawały za pośrednictwem Kopernika, Eutelsatu i Astry. Marshall dziwił się jednak, że większość z nich kończyła transmisję około północy czasu środkowoeuropejskiego, a później wysyłała obraz kontrolny, aby piraccy nadawcy nie mogli korzystać z transponderów. Fakt ten podsunął Marshallowi pewien pomysł i postanowił porozmawiać o tym z Billem.

## 34.

### 1990

Sprzęt komunikacyjny bardzo się rozwinął od czasu pierwszego spotkania Marshalla z sir Robertem Allsopem, które miało miejsce dziewiętnaście lat temu. Telekopiarki, telefony komórkowe, szybkie modemy i terminale komputerów zajęły miejsce kolorowych telefonów, stojących kiedyś na biurku bankiera. Podobnie jak wielu biznesmenów, miał on mnóstwo ściennych zegarów. Zegary sir Roberta pokazywały jednak godziny otwarcia i zamknięcia głównych światowych kasyn, a nie giełd. Bankier uwielbiał kolekcjonować różnego rodzaju urządzenia, co było zrozumiałe, gdyż nieubłagany postęp mikromagii zaowocował licznymi wynalazkami, ułatwiającymi życie niepełnosprawnym - zwłaszcza bogaczom. Podczas ostatniej wizyty Marshalla sir Robert zademonstrował z dumą inteligentny fotel na kółkach, który potrafił „zapamiętać” ponad sto miejsc w domu i w okolicy. Właściciel musiał tylko wystukać na klawiaturze numer miejsca, a fotel sam podązał w jego kierunku. Dzięki sonicznemu systemowi naprowadzania omijał po drodze wszystkie przeszkody.

Marshall wszedł do gabinetu bankiera, spodziewając się, że obejrzy owe oprogramowanie do uprawiania hazardu, zakupione przez sir Roberta, tym razem jednak około dziesięciu elegancko ubranych mężczyzn i kobiet zgromadziło się wokół dziwnego stołu na środku pokoju.

- Hej! Marshall! - zawołał podekscytowany sir Robert, a na jego puciołowatej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Wózek bankiera ruszył po dywanie w kierunku nowego gościa. - Wejdz. Wejdz! Później cię wszystkim przedstawię. Najpierw musisz zobaczyć mój nowy gadżet - prezent noworoczny, który sobie sprawiłem.

Ludzie, zgromadzeni wokół stolika, zrobili miejsce sir Robertowi i jego gościowi. Marshall zauważył, że każdy gracz trzymał małe, czarne pudełko, przypominające kieszonkowy komputer typu Psion Organizer.

- Widzisz? - rzekł z dumą bankier. - Co o tym sądzisz?

Zdumiony Marshall spojrział na stół, nie wiedząc, co ma o tym myśleć.

Najwyraźniej był to stół do ruletki, nie przypominał jednak konwencjonalnego stolika, który stał przez dwadzieścia lat na środku pokoju sir Roberta. Cała jego powierzchnia lśniła od jaskrawych kolorów rozmaitych numerów i kwadratów, widocznych na tle zielonego rypsu. Nawet żetony, rozrzucone na powierzchni stołu, były komputerowymi symulacjami. Koło, znajdujące się na samym środku tego elektronicznego ołtarza, stanowiło płaską

reprezentację pełnowymiarowego, obracającego się koła ruletki. Wszystkie oczy patrzyły na nie chciwie. Koło obracało się coraz wolniej, a w końcu znieruchomiało. Zamiast kulki, Marshall dostrzegł lśniącą plamę światła.

- Czerwone 23! - oświadczył elektroniczny, ale doskonale słyszalny głos, wydobywający się z głośników, ukrytych w powierzchni stołu.

Gracze wydawali okrzyki rozczarowania i zachwytu, konsultując się ze swoimi czarnymi skrzynkami. Żetony zniknęły. Pozostały jedynie czekające chciwie numerki i kolorowe kwadraty.

- To ruletka generowana przez komputer, a jednak prawdziwa - rzekł z entuzjazmem sir Robert. Podał Marshallowi jedno z czarnych pudełek. Urządzenie składało się z prostej, liczbowej klawiatury oraz ekranu z ciekłego kryształu. - Dalej, Matt. Wyciągaj kartę kredytową.

Marshall przywykł do szaleństw sir Roberta, tym razem jednak był zaskoczony. Wyjął kartę kredytową.

- Dobra. Co teraz?

- Włóż ją w szczelinę - mały bankier niemal tańczył z niecierpliwości.

Marshall włożył kartę w szczelinę z boku pudełka.

- Otóż to - rzekł sir Robert. - Za pośrednictwem stołu to pudełko łączy się przez radio z zewnętrznym światem. Poczekaj sekundę na potwierdzenie autentyczności.

Po krótkiej chwili na ekranie pojawiło się nazwisko i adres Marshalla, a także numer karty kredytowej.

- Proszę obstawiać, panie i panowie - odezwał się elektroniczny głos.

Lśniące, dwuwymiarowe koło zaczęło się obracać. Gracze wyciągali ręce, dotykając kwadratów podstawami swoich skrzynek kontrolnych. Wówczas jak za sprawą magii na stole pojawiały się kolorowe żetony o różnej wartości. Stukając dwa razy pudełkiem w stół, mogli nawet zmienić zdanie i usunąć żetony. Wszystko było zdumiewająco realistyczne, gracze słyszeli nawet grzechot kulki, toczącej się wzdłuż krawędzi koła.

- Kończymy obstawianie.

- Ile chcesz zaryzykować, Matt? Czekamy z niecierpliwością na tę kolejkę, ale mniejsza z tym - sir Robert mówił tak, jak gdyby niezgłoszenie stawki było prawdziwym nieszczęściem.

- Sto funtów?

Czyściutka, okrągła jak księżyc twarz małego bankiera wyrażała rozczarowanie.

- Daj spokój, Matt. Jesteś przecież filmowcem. Należysz do prawdziwych hazardzistów.

Stać cię na więcej.

*Idź mu na rękę, Matt. Potrzebujesz go.*

- No dobra, dwieście funtów?

- O wiele lepiej - sir Robert zachichotał radośnie. - Możesz nawet wygrać.

Elektroniczny krupier znów zaczął przyjmować zakłady. Sir Robert pokazał Marshallowi, jak obsługiwać klawiaturę. Ekran oczyścił się, a po chwili pokazał „£200”.

- Znaczy to, że na twoim rachunku kredytowym zarezerwowano dwieście funtów. Teraz wprowadź twój pierwszy zakład.

Marshall nacisnął jedynekę i zero. Obraz na ekranie zmienił się, wskazując, że Marshall dysponuje sumą 190 funtów i postawił 10.

- Świetnie! Świetnie! - Podekscytowanie sir Roberta było zaraźliwe.

- Teraz stawiaj! Szybko!

Marshall dotknął pudełkiem najbliższego nieparzystego kwadratu, pojawił się na nim lśniący, dziesięciofuntowy żeton. Widniało nawet na nim jego nazwisko. Gdyby wypadł nieparzysty numer, Marshall wygrałby 10 funtów i otrzymałby z powrotem postawione pieniądze.

Koło zawirowało.

- Czarne 33!

Kobieta, która postawiła pięćdziesiąt funtów na 33, krzyknęła z radości. Ja jej ekranie pojawiła się wygrana w wysokości 1750 funtów. Liczba na ekranie Marshalla wzrosła do 210.

Sir Robert promieniał, stukając z zadowoleniem różową pięścią w poręcz fotela.

- Otóż to, Matt. Muszę cię teraz poprosić, żebyś przez chwilę sam się bawił, zanim zaczniemy mówić o nudnych interesach. - Zachichotał. - Jeśli naprawdę dopisze ci szczęście, może się okazać, że już mnie nie potrzebujesz. Teraz wybacz, ale zaniedbałem gości. - Wypowiedziawszy te słowa, obrócił fotel i zaczął rozmawiać z kobietą w wieczorowej sukni z głębokim dekoltem.

Pomimo zmartwień Marshall dobrze się bawił. Podobała mu się atmosfera rozrzutności, piękne kobiety i nagłe napięcie, kiedy koło obracało się coraz wolniej, a w końcu kulka zatrzymywała się z grzechotem. Grał ze zmiennym szczęściem. W pewnym momencie jego ekran okazywał sumę 520 funtów. Kilka minut później miał zaledwie 82 funty, aż dzięki ostrożniejszemu stawianiu na czerwone parzyste odzyskał 200 funtów. Ekran pokazywał 256 funtów, kiedy poczuł, że ktoś klepie go o ramieniu.

- Wygrywasz czy przegrywasz, Matt? - spytał sir Robert.

- Jestem pięćdziesiąt sześć funtów do przodu.

Bankier skierował fotel ku biurku, które stało teraz w odległym końcu długiego pokoju.

- Lepiej przestać, kiedy się wygrywa. Naciśnij trzy razy klawisz funkcyjny, a komputer zamknie twoje zakłady. Wygrana zostanie przelana na twój rachunek, o czym się przekonasz, kiedy otrzymasz następny wyciąg bankowy.

Marshall usiadł na krześle koło biurka bankiera i wskazał tłum, zgromadzony przy stole.

- Interesy czy przyjemność?

- Przyjemność - odrzekł sir Robert, nalewając dwie szkockie.

- Dostaję jednak małą prowizję od operatorów gry. Rada do Spraw Hazardu nie może się z tym pogodzić, ale nic nie poradzą. Grę obsługuje komputer w Monte Carlo, znajdujący się poza jurysdykcją brytyjskiego prawa i Rady do Spraw Hazardu. Stół jest w rzeczywistości niezwykle nowoczesnym terminalem komputerowym, podłączonym przez linię telefoniczną do głównego komputera w Monte Carlo. Jeden taki stół znajduje się w Grecji, a inny w Las Vegas. To prototypowe urządzenia. Zaprojektowała i skonstruowała je grupa bardzo bystrych młodych mężczyzn i kobiet. Jeden stół kosztuje milion funtów.

- Chcę dostać od ciebie o wiele więcej - rzekł spokojnie Marshall, sącąc drinka. - Jeśli więc możesz sobie pozwolić na wydanie miliona na grę... to zastanawiam się, ile możesz wydać na interesy.

Sir Robert roześmiał się.

- Mój bank wspiera firmę produkującą stoły. Na mocy zawartej umowy mieli dostarczyć mi prototyp. Wielu bogatych ludzi chętnie wydałoby milion funtów na tak wspaniałą zabawkę. Powiedz mi teraz, w jaki sposób chcesz przekonać mój bank, aby rozstał się z ciężko zarobionymi pieniędzmi.

- Możesz mieć własną stację telewizyjną, odbieraną w całej Europie - odrzekł nonszalancko Marshall. - Nocny program byłby transmitowany za pośrednictwem satelity Astra DBS.

Przez kilka chwil twarz bankiera nie zdradzała żadnych uczuć.

- Zwariowałeś - powiedział w końcu, odwracając fotel od Marshalla, aby obserwować grę przy elektronicznym stole ruletki. - Zupełnie straciłeś rozum. Grozi ci bankructwo, jesteś winien City Media Bank sto tysięcy funtów plus odsetki za ten serial dokumentalny, który możemy spisać na straty...

- Wszystko zwrócę - przerwał Marshall. - Nie wiem, jak i kiedy, ale zwrócę wszystko do ostatniego grosza.

- ...a teraz przychodzisz tu, niepokoisz mnie i moich przyjaciół i żądasz, żebym słuchał



twych szalonych projektów stworzenia programu satelitarnego.

- Jeśli tylko posłuchasz, przekonasz się, że plan wcale nie jest szalony - rzekł ostrożnie Marshall, starając się ze wszystkich sił zapanować nad sobą.

- Zatem słucham.

- Chcę go nazwać „Elite”. Będzie to program o sztuce europejskiej.

- Cycki i Cycero?

- Napisałem już do ponad dwustu niezależnych producentów w Europie i Wielkiej Brytanii, przedstawiając w najogólniejszych zarysach ten pomysł. Byli nie tylko zainteresowani, ale wręcz zachwyceni.

- Masz jakieś dokumenty, które to potwierdzają?

Marshall położył podniszczoną teczkę na biurku sir Roberta i podał bankierowi stos listów i faksów.

- Przeczytaj je. A to zaledwie kilka odpowiedzi. Wszystkie depesze przysłały poważne firmy, znane nazwiska. Według moich szacunków, ci ludzie siedzą na kilku tysiącach godzin pierwszorzędnych, nie wykorzystanych programów: filmów, dokumentów, przedstawień baletowych. Nie wątpię, że jeśli rozegramy sprawę w odpowiedni sposób, uda się nam zyskać ogólnoeuropejskie prawa do ich wyświetlania po nominalnych stawkach.

Kiedy Marshall mówił, sir Robert wertował listy. Zauważył znajome nazwy spółek, wspieranych przez City Media Bank, na których zrobił pieniądze. Jeśli nawet był pod wrażeniem, jego okrągła jak księżyc twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Dostałem około stu listów intencyjnych - mówił Marshall. - Nigdy przedtem nie zdarzyło się, aby jakiś kontroler programu otrzymał z góry tak bogatą ofertę programową, nie inwestując ani pensa.

Bankier spojrział z zastanowieniem na Marshalla. Pamiętał, jak wiele lat temu spotkali się po raz pierwszy; przypominał sobie, jak ogromną odwagę i inicjatywę okazał wówczas Marshall. Teraz wyglądał szczuplej, jak gdyby źle się odżywił, jednakże jasne włosy zaczesał schludnie do tyłu, a jego garnitur był czysty i wyprasowany. Ostatnio spadały na niego ciosy, które zniszczyłyby słabszego człowieka. Postarzał się, ale nie utracił arogancji i pewności siebie. Jego lodowate, błękitne oczy rzucały twarde błyski, co sugerowało, że jest pewny zwycięstwa. Sir Robert zdał sobie sprawę, że mylił się co do Marshalla Tate'a. To nie hazardzista, lecz wojownik - bezkompromisowy, bezwzględny wojownik, który przezwycięży wszystkie przeszkody i nigdy się nie podda.

- Chciałbym usłyszeć szczerą odpowiedź na pewne pytanie, Matt.

- Zawsze byłem z panem szczerzy, sir Robercie.

Bankier skinął głową. Pomimo wszystkich wad Marshalla, dobrze im się razem pracowało.

- Po co ci to? Czy chodzi o pieniądze? A może chcesz zaproponować widzom nową ofertę programową? Do czego zmierzasz?

Marshall spojrział na bankiera z zawziętym błyskiem w oku.

- Do obu tych celów. Przede wszystkim chcę jednak dobrać się do tych drani, którzy ciągle mnie prześladują. Chcę wystrzelić torpedę prosto w brytyjskie elity i rozwalić je w drobny mak. - Uśmiechnął się niewesoło. - Wiem, że chęć wyrównania rachunków nie jest zbyt dobrym motywem wydawania pieniędzy.

Mylisz się, pomyślał sir Robert.

Jedna z dziewcząt odeszła od stołu. Stała za bankierem i pogładziła go z przodu po koszuli.

- Opuściłeś mnie, Robbie - poskarżyła się. Z nie ukrywaną ciekawością spojrzała na Marshalla.

Sir Robert w roztargnieniu pogładził jej ramiona, patrząc uważnie na Marshalla.

- Czy umówiłeś się na spotkanie z ludźmi z Astry?

Marshall pokręcił głową.

- W takim razie zrób to. Najprawdopodobniej zajmie to trochę czasu. Zanim jednak zaczniemy realizować ten szalony plan, chcę, aby bankowi analitycy do spraw środków masowego przekazu dokładnie przyjrzeni się twojej propozycji. Dopiero wówczas rozpoczniemy wstępne negocjacje.

## 35.

Tego wieczoru przed pójściem spać Marshall czytał „Satellite Times” i dowiedział się, że Biuro Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do Spraw Telewizji Kablowej zakazało brytyjskim sieciom kablowym rozpowszechniania dwóch europejskich programów satelitarnych. TVE, hiszpański program, zirytował brytyjski rząd, gdyż transmitował walki byków,

RTL-Plus, program nadawany z Luksemburga, bardzo zaniepokoił Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, pokazał bowiem nagą parę w godzinach popołudniowych.

Zrozpaczony Marshall cisnął gazetę przez pokój.

W następnym tygodniu otrzymał pewien faks i zaraz potem zadzwonił do sir Roberta.

- SES chciałoby, żebyśmy w przyszły piątek przyjechali do ich głównej siedziby w

Luksemburgu - rzekł do bankiera.

- Jeszcze nie otrzymałem raportu analityków do spraw środków masowego przekazu - zaprotestował sir Robert. - Niektóre z twoich propozycji mają istotne znaczenie polityczne.

- Powiedziałeś, abym jak najszybciej zorganizował spotkanie. To właśnie zrobiłem.

- Chcesz pewnie, żebym zapłacił za twoją podróż?

- Chcę, żebyś pojechał ze mną. Gdybym sam się tam zjawił, mogliby nie potraktować mnie poważnie, ale z tobą będą się liczyć.

- Nigdy nie latam, Matt.

- Twój szofer nas zawiezie. To tylko kilkaset mil od Ostendy. Cały czas jedzie się autostradą. Na wszystkich parkingach w Belgii są specjalne udogodnienia dla niepełnosprawnych, a hotel Intercontinental w Luksemburgu oferuje specjalne apartamenty.

Sir Robert niechętnie zgodził się. Był zszokowany, kiedy zdał sobie sprawę, że trochę się boi Marshalla Tate'a.

## 36.

Ze względu na niepełnosprawność sir Roberta Allsopa spotkanie z Alanem Powellem, dyrektorem do spraw handlowych Société Européenne des Satellites, zorganizowano w biurze na parterze Château de Betzdorf. Przez okno goście widzieli łagodne, porośnięte trawą zbocza, z których gigantyczne anteny spoglądały w lazurowe, południowe niebo.

Alan Powell był trzydziestokilkuletnim Anglikiem. Pracował kiedyś jako księgowy w agencji reklamowej i znał na wylot europejski przemysł telewizyjny. Tylko nieliczni ludzie i organizacje robili wrażenie na Marshallu, ale Alan Powell wraz z SES stanowił wyjątek. Po raz pierwszy spotkał kogoś, kto nie gadał głupstw o potrzebie wartościowych programów i nie plótł starych banałów, że telewizja powinna podawać informacje oraz pełnić rolę zwierciadła społeczeństwa.

- Program przede wszystkim powinien przetrwać - rzekł Powell. - Jego treść zależy całkowicie od klientów. Oczywiście w naszej standardowej umowie nakładamy pewne ograniczenia na reklamowanie tytoniu i leków, zgodnie z luksemburskim prawem, ale, ogólnie rzecz biorąc, staramy się nie wtrącać. Wierzymy, że telewizją satelitarną powinny rządzić prawa rynku. Nie podoba nam się jednak kodowanie programów, dyskryminujące niektóre kraje we Wspólnocie Europejskiej. Ta strategia jest wymierzona przeciwko europejskiemu duchowi. To amerykańskie interesy narzuciły ją takim kanałom jak Sky Movies i Filmnet. - Spojrzał na opis profilu stacji Elite, przygotowany przez Marshalla. -

Przynajmniej nie proponujecie kodowania, a z pewnością podoba nam się pomysł programu promującego sztukę europejską.

- Rozmawialiśmy z producentami w całej Europie - rzekł Marshall. - Oceniamy, że siedemdziesiąt procent z nich stoi po naszej stronie.

- Mój bank chciałby się dowiedzieć, ile kosztowałyby wynajęcie transpondera w godzinach wieczornych, kiedy jedna z waszych stacji kończy nadawanie - rzekł sir Robert.

- Nie ma standardowej ceny - odrzekł Powell. - Opłaty są ściśle tajne, negocjowane indywidualnie.

- Innymi słowy mówi pan: złóżcie nam ofertę.

Przez kilka sekund Powell miał niepewną minę, ale po chwili uśmiechnął się.

- Czemu nie?

- Dobrze - rzekł sir Robert. - Nie zapłacimy wam nic. Dacie nam transponder bez żadnej zapłaty.

- Dwa transpondery - dodał Marshall.

Alan Powell nawet nie mrugnął.

- Chcecie za darmo dwa transpondery?

- Właśnie - rzekł Marshall.

Pracownik SES obracał w palcach notes.

- Macie w zanadru jeszcze jakieś bomby? - spytał.

- To zależy od tego, czy uzna pan za bombę naszą propozycję, aby zrobić z programu Elite pierwszy szerokoekranowy kanał telewizyjny o wysokiej jakości obrazu - zauważył sir Robert.

### 37.

Marshall wrócił do domu o drugiej rano. Był nie ogolony i miał czerwone oczy. Samochód Billa stał na zewnątrz. Bill nie ucieszył się na widok Marshalla. Spojrzał groźnie na przyjaciela, który opadł wyczerpany na fotel.

- Czy słusznie przypuszczam, że w rollsie Robbiego Allsopa jest telefon?

- Co z tego?

- Do diabła, czemu nie zadzwoniłeś wcześniej?

- Nie wiedziałem, że cię zastanę.

- Mój przenośny telefon cały dzień czeka w pogotowiu.

- Boże, z każdym dniem coraz bardziej przypominasz starą babę.

- Jak poszło?

Marshall oparł się i zamknął oczy.

- Nie dostaniemy transponderów na żadnym z dwóch satelitów Astry.

Bill usiadł. Wyglądał na przygnębionego.

- Cholera - wymruczał. - Na nic cała praca. Na nic wszystkie nadzieje.

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Wydawało się, że Marshall śpi. Przez kilka sekund Bill bawił się telewizyjnym pilotem. Włączył telewizor przeglądał programy Astry. Discovery, SAT1, RTL-Plus, 3SAT i około dwudziestu innych stacji skończyło już nadawanie i transmitowało obraz kontrolny. Z trzydziestu dwu kanałów działało tylko siedem.

- Cholerne marnotrawstwo - zauważył Marshall, nie otwierając oczu.

- Czy powiedzieli dlaczego?

- Chodzi o to, że chcemy uruchomić szerokoekranowy program z obrazem o wysokiej jakości. Rzecz w tym, że nie możemy każdej nocy zaledwie przez kilka godzin korzystać z dwóch transponderów, aby uzyskać konieczną szerokość pasma.

- Zdecydowałeś się więc ostatecznie na system hi-vision?

- Nie.

Bill zirytował się.

- Cholera, dlaczego nie? To szalony pomysł, Matt, i dobrze o tym wiesz. Pracowaliśmy jak wariaci, obudziliśmy nadzieje ponad czterystu niezależnych producentów w całej Europie, i w imię czego? Wszystko po to, żebyś mógł gonić za mrzonkami, bo wbiłeś sobie do głowy, że szeroki ekran o wysokiej jakości obrazu jest przyszłością telewizji.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś pojechał ze mną do Basingstoke i zobaczył pokaz, urządzony przez firmę Sony.

- Byłem zajęty pisaniem listów w twoim imieniu - uciął Bill. - Do diabła, co teraz zrobimy?

- Dostaniemy od City Media pięć milionów ecu na pokrycie wstępnych kosztów, a później, kiedy rozpoczniemy nadawanie, otrzymamy następne cztery miliony. Bank zgodził się również odroczyć termin spłaty długów, zaciągniętych przez „Herring Gate Films”. Kiedy się prześpimy, możemy zacząć szukać pomieszczenia na studio. Nic pretensjonalnego. Zamierzamy nadawać wcześniej nakręcony materiał, nie potrzebujemy zatem kamer i dużej przestrzeni.

Bill miał już dosyć. Było późno, czuł się zmęczony i stary.

- Może czegoś nie rozumiem - wymruczał. - Po co nam te pieniądze, jeśli nie mamy

satelity?

- SES oświadczyło, że z powodów technicznych nie mogą skierować dwóch transponderów na jeden kanał ani na Astrze 1 A, ani na 1B. Jednakże za osiemnaście miesięcy wyślą w kosmos Astrę 1C i umieszczą obok pozostałych satelitów, a istniejące anteny będą odbierać programy nadawane za jej pośrednictwem. Wciąż konstruują i sprawdzają Astrę 1C. Zbudują prawdziwe dzieło sztuki, najnowocześniejszego satelitę telewizyjnego, jakiego do tej pory skonstruowano. Poradzi sobie z szesnastoma zwykłymi kanałami albo z ośmioma szerokoekranowymi programami o wysokiej jakości obrazu. Dostaniemy za darmo na cztery miesiące transponder, zapewniający nam szerokość pasma, odpowiednią dla szerokoekranowego obrazu. Możemy z niego korzystać w czasie wysokiej oglądalności - od piątej po południu do pierwszej w nocy, osiem godzin dziennie, siedem dni w tygodniu.

Bill wytrzeszczył oczy.

- CO?!

Marshall powtórzył, a potem dodał:

- Nazwali to „wstępną opłatą za próbne transmisje”. Bardzo chcą aby ktoś się wreszcie zdecydował i zaczął nadawać program o wysokiej jakości obrazu. Później będziemy musieli im płacić, ale przez pierwsze cztery miesiące mamy zapewniony znakomity czas antenowy na kanale satelitarnym, odbieranym w całej Europie, i nie zapłacimy za to złamanego grosza.

## **38.**

### **LONDYŃSKI TELEPORT, NORTH WOOLWICH**

**1993**

- Oto główna antena nadawcza, pozwalająca łączyć się z Astrą - rzekła Lois Turner, wskazując ogromny, dziesięciometrowy talerz skierowany na południe, ku Tamizie.

Na talerzu widniał znak firmowy Astry. Młoda kobieta denerwowała się. Dopiero od tygodnia pracowała na nowej posadzie i właśnie miała prowadzić negocjacje ze swym pierwszym klientem.

Marshall Tate schował ręce głębiej do kieszeni. Druciane ogrodzenie, otaczające londyński teleport w North Woolwich, nie chroniło przed ostrym wiatrem, wiejącym znad Tamizy. Po prawej stronie wodniste, zimowe słońce odbijało się w osłonie tamy na rzece. Do przystani podpłynął prom. Pasażerowie opierali się o balustradę i patrzyli bez zainteresowania na anteny satelitarne, stojące obok jednopiętrowych budynków.

- Oto pierwsza antena, z której zaczęliśmy korzystać w latach osiemdziesiątych, transmitując na Astrę cztery programy Sky i dwa kanały W.H. Smitha - wyjaśniła Lois Turner. Pracowała w firmie „British Telecom” jako kierownik do spraw kontraktów. Była twarda i nieustępliwa, o czym Marshall przekonał się, kiedy zaczęli negocjować warunki umowy, na mocy której „British Telecom” transmitowałaby na Astrę kanał Elite. - Ona wciąż działa - mówiła Lois. - Budujemy jednak nową antenę i będziemy z niej korzystać, kiedy Astra 1C znajdzie się na orbicie. Ta pracuje już pełną parą.

- Nic dziwnego, że chcecie z nas wycisnąć ile się da, skoro musicie zapłacić za nową instalację - zauważył kwaśno Marshall.

Lois Turner uśmiechnęła się.

- Proszę mi uwierzyć, panie Tate, wasze pieniądze z ledwością pokryją odsetki od opłat za nową instalację. Dostaniecie za nie zresztą znakomity towar.

- Gwarantujecie kontrolę?

Wskazała grupę małych anten odbiorczych, ustawionych na krótkich, stalowych palach.

- Bez przerwy sprawdzamy jakość obrazu klienta, wykorzystując w tym celu zwykle domowe anteny. Uzyskane wyniki porównujemy z jakością obrazu otrzymywanego w naszym studiu.

Marshall patrzył na samochody, zjeżdżające z promu.

- Sądzę, panno Turner, że cena za połączenie z moim studiem jest skandaliczna - rzekł krótko.

- Wyjaśniłam przecież, że podaliśmy panu szacunkowe koszty, licząc się z najgorszymi ewentualnościami. Skoro sam pan nie wie, gdzie będzie się znajdowało pańskie studio, nie możemy podać dokładnej ceny.

Marshall schował ręce głęboko do kieszeni płaszcza i patrzył ponuro poza ogrodzenie. Ta przygnębiająca część North Woolwich składała się z butwiejących domów towarowych, porzuconych bocznic kolejowych i zrujnowanych fabryk. „British Telecom” wybrała to śmietnisko na swoją siedzibę, gdyż leżało ono na północnym brzegu Tamizy i dlatego nowe bloki nie zasłaniały południowego nieba. Wielki napis „Do wynajęcia” na jednej z opuszczonych fabryk podsunął Marshallowi pewien pomysł.

- Przypuśćmy, że zbudujemy studio w tej okolicy? Bezpośrednio pod waszym nosem? Z pewnością moglibyście wówczas zapewnić bezpłatne połączenie. Musielibyście tylko przeciągnąć parę metrów światłowodów.

- Chyba nie chcecie tu zostać? To okropne miejsce. Wszyscy go nie znosimy.

- Zaletą okropnych miejsc jest niska cena - odparł Marshall. Spojrzał na nią z ukosa. -

Jeszcze jedno, panno Turner. Chcę mieć gwarancję absolutnej dyskrecji, jeśli chodzi o używany przez nas system.

- To oczywiste, panie Tate. Może omówimy szczegóły w środku. Zmarzłam na kość.

Dwie godziny później, po zawarciu korzystnej umowy z Lois Turner, Marshall opuścił londyński teleport. Nie wsiadł jednak do samochodu, lecz przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w kierunku opuszczonej fabryki. Przyglądał się jej przez kilka minut i zapisał w notesie numer telefonu agencji wynajmu. Dopiero później wrócił do samochodu i rozejrzał się po okolicy.

Lois Turner miała słuszość. Miejsce było okropne.

We wczesnych latach osiemdziesiątych wiązano duże nadzieje z tym terenem. Plany zbudowania parków, biur i obiektów przemysłowych spełzły jednak na niczym, gdyż kraj uparcie nie chciał wyjść z kryzysu, Londyński teleport firmy „British Telecom” pozostał jedynym nowoczesnym obiektem, wzniesionym w tej części North Woolwich. Umożliwił to rozwój telewizji satelitarnej - jedynego dynamicznego przemysłu Wielkiej Brytanii.

Poprzednia zima roku 1992/93 była wspaniałym okresem dla europejskiej telewizji. Pomimo recesji sprzedawano miesięcznie ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy odbiorników satelitarnych. Wywołało to kilka czynników: kiedy w telewizji nadawano reklamy, widzowie nagminnie zmieniali program, korzystając ze zdalnych pilotów. Ta praktyka stała się tak powszechna, że w naziemnej telewizji zaczęło się pojawiać coraz mniej reklam. Doprowadziło to do obniżenia jakości programów, a w rezultacie do utraty widowni.

Telewizja publiczna również ucierpiała. W Wielkiej Brytanii BBC poniosło straty, gdyż wzrosła sprzedaż zręcznie rozreklamowanych japońskich telewizorów z wbudowanym odbiornikiem satelitarnym, które nie mogły odbierać naziemnej telewizji. Posiadacze takich telewizorów nie musieli płacić abonamentu. Najważniejszą przyczyną gwałtownego rozwoju telewizji satelitarnej był jednak nieodparty urok trzydziestu dwóch programów z obu satelitów Astry, do których wkrótce przyłączy się Astra 1C z kolejnymi szesnastoma kanałami. W końcu lat osiemdziesiątych eurosport wprowadził wielojęzyczne ścieżki dźwiękowe, dzięki czemu widzowie mogli słuchać komentarzy we własnym języku. To również doprowadziło do ożywienia rynku.

Marshall włączył silnik.

Chciał tylko utrzymać się na antenie przez dwa lata.

*To wystarczy, Matt! Przez dwa lata załatwisz tych drani!*



## 1994

City Media Bank miał na początku wątpliwości, czy główna siedziba programu Elite powinna znajdować się w North Woolwich. Bankierzy sądzili, że nie warto ponosić kosztów i odnawiać fabryki, wynajętej na krótki okres. Marshall wytłumaczył jednak, że nie zamierza ruszać głównego budynku fabrycznego, chce raczej wykorzystać istniejące pomieszczenia na biblioteki oprogramowania i urządzić studia i biura w gotowych segmentach, w klimatyzowanych, przenośnych budynkach długości dziesięciu metrów.

Dostarczenie gotowego do eksploatacji obiektu zlecono firmie „Sony Broadcast and Communications” z Basingstoke. Kierownictwo tej firmy uznało to za wspaniały pomysł. W ten sposób mogli zbudować i przetestować studia u siebie, w warunkach maksymalnego bezpieczeństwa, a później przetransportować je do North Woolwich. Te ustalenia odpowiadały Marshallowi, któremu zależało na tym, aby ukryć techniczne informacje przed dziennikarzami. Po ogłoszeniu wiadomości o powstaniu nowego programu reporterzy zaczęli odwiedzać jego biuro, urządzone tymczasowo w fabryce.

Na początku dostarczono moduł, w którym pomieści się główne biuro i recepcja. Było tam wszystko: biurka, krzesła, centrala telefoniczna i poczekalnia z automatem serwującym gorące drinki. Brakowało jedynie monitora, na którym czekający goście mogliby oglądać program Elite. Grupa robotników ściągnęła z ładowarki ogromną kabinę z włókna szklanego i ustawiała ją przez cały dzień na betonowych palach w miejscu, gdzie dawniej znajdował się parking.

W sierpniu, po postawieniu ogrodzenia i zainstalowaniu kamer telewizji przemysłowej, firma Sony zaczęła przysyłać moduły, z których powstanie studio. Pierwszym segmentem była sala poprodukcyjna i natychmiast umieszczono w niej nowoczesny, elektroniczny odtwarzacz. Później przywieziono segmenty z głównym pulpitem kontrolnym, biurkami do miksowania obrazu, cyfrowymi odtwarzaczami dyskowymi i maszynami telekinowymi. Brakowało tylko monitorów.

## 40.

Kiedy sir Robert Allsop przyjechał do North Woolwich, ogarnęło go rozczarowanie. Patrzył na starą fabrykę i przenośne domki, otoczone drucianym ogrodzeniem, tymczasem szofer otulał pledem jego nogi.

- Wygląda jak jakieś biuro przy autostradzie - poskarżył się.

- Ile waszych pieniędzy powinienem wydać na remont fabryki? - odparł Marshall, pomagając szoferowi pchać wózek w kierunku recepcji.

- Studio telewizyjne bez żadnego monitora - zauważył sir Robert Allsop kilka minut później, sterując ostrożnie wózkiem po wąskim korytarzu.

Wszędzie uwijali się inżynierowie z Sony, zaglądając za płytki ściennie manipulując oscyloskopami. Na ścianach brakowało wielu płytek inspekcyjnych i wydawało się, że wszystko się tu rozpada.

- Nadejdą w przyszłym tygodniu - odrzekł Marshall. - Firma Sony oświadczyła, że nie powinniśmy odkładać instalacji monitorów. Przywieziono już jednak jeden monitor.

- Chciałbym go zobaczyć.

Marshall otworzył małą, pozbawioną okien salę projekcyjną, wyposażoną w kilka wolnych krzeseł. Ściągnął winylową zasłonę z reprojekcyjnego monitora, niepodobnego do żadnego telewizora, jaki widział sir Robert. Ekran nie był kwadratowy. Miał dwa metry szerokości i metr wysokości. Przypominał miniaturowy ekran kinowy.

- Kiedy wejdziemy na antenę, Sony dostarczy takie monitory stu europejskim hotelom najwyższej klasy - wyjaśnił Marshall. - Ustawi się je na kółkach i wieczorami będzie się je umieszczać w sypialniach gości. Firma zamierza również wyprodukować mniejsze odbiorniki do domowego użytku, ale wszystkie zostaną zaopatrzone w szeroki ekran o podobnych proporcjach.

Marshall odwrócił się w kierunku półki, na której stał konwencjonalny telewizor i dyskowy odtwarzacz wideo. Włożył dysk do odtwarzacza i nacisnął guzik startowy. Ogromny ekran ożył.

Sir Robert westchnął ze zdumieniem.

- Wielki Boże - wymruczał.

Jego komentarz zagłuszył cyfrowy, stereofoniczny huk Wodospadu Wiktorii. Ujrzał przed sobą oszałamiający, niezwykle ostry obraz strumienia, tryskającego z ogromnego ekranu. Jakość obrazu była tak wysoka, że mógł rozróżnić poszczególne krople, błyszczące jak diamenty w świetle słońca tworzące nad dżunglą mgłę w kolorach tęczy. Obraz zmienił się, ukazując grupę pięknych polinezyjskich dziewcząt tańczących na plaży. Zdumiewająco ostre zbliżenie wirujących szaleńczo bioder dziewcząt oraz miarowy rytm ich tańca stwarzał atmosferę erotyzmu, zapierającego dech w piersi. Sir Robert nigdy nie widział czegoś takiego. Co więcej, obraz był trójwymiarowy - miał wrażenie, że mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć podrygujących bioder. Potem jedna z dziewcząt zbliżyła się do kamery sir Robert stwierdził, że nie musi nawet wyciągać ręki.

Marshall wyłączył wideo, zauważając, że nie chce przyprawić gościa o atak serca.

- Nie mogę w to uwierzyć - rzekł cicho sir Robert, patrząc jak zahipnotyzowany na pusty ekran. - Po prostu nie mogę.

- Ta scena miała się znaleźć w moim serialu o seksie, któremu ukręcono głowę - odrzekł nonszalancko Marshall. W głębi duszy cieszył się, że pokaz zrobił aż takie wrażenie na jego sponsorze.

- Ale ta wyrazistość! Poza tym jak udało się uzyskać trójwymiarowy obraz bez specjalnych okularów?

- Spytaj fachowców z Sony. W odbiorniku zainstalowano jakieś elektroniczne, magiczne urządzenie, które działa na tej samej zasadzie, jak te plakaty reklamowe, które wydają się poruszać i posiadać głębię. Z całą pewnością nie filmowałem tego w trzech wymiarach.

W sir Robercie obudził się instynkt bankiera.

- Czy ten system jest zgodny z istniejącymi telewizorami PAL?

- Sony nam to gwarantuje.

- Chciałbym sam zobaczyć.

Marshall podłączył wideo do konwencjonalnego odbiornika i wcisnął guzik. Scena powtórzona na zwykłym monitorze nie wywierała takiego wrażenia, jak pokaz na szerokim ekranie o wysokiej jakości obrazu.

- Widzisz? - spytał Marshall. - Nie ma problemu. Na zwykłym ekranie otrzymujemy normalny obraz o typowej jakości. Ważne, że to działa. Konwersję wykonują obwody wbudowane w nowe telewizory. Potrafią automatycznie wykryć kod sygnału o wysokiej jakości i odpowiednio przetworzyć obraz. Dzięki temu system Sony ma ogromną przewagę nad innymi systemami wysokiej jakości obrazu. Widz, używający zwykłego odbiornika, dużo traci, ale nie zdaje sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczy na wystawie szerokoekranowego telewizora.

- Zaczniemy więc pierwszego października?

Marshall uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało.

- Właśnie, sir Robercie. Potem zaczną nas obrzucać błotem.

Kiedy sir Robert wracał do Walton-on-Thames, siedząc na tylnym fotelu rolls-royce'a, wciąż stawał mu przed oczami oszałamiający widok polinezyjskich dziewcząt. Wyrósł razem z telewizją; z czasów chłopięcych zapamiętał komentarz Richarda Dimbleby'ego, towarzyszący pierwszym zdjęciom z Francji transmitowanym przez kanał. Telewizja nigdy już nie będzie taka jak dawniej, powiedział Dimbleby. Bankier miał wrażenie, że film

Marshalla Tate'a o dziewczętach tańczących na plaży wywrze większy i trwalszy wpływ na europejską telewizję niż te niewyraźne, czarno-białe zdjęcia, przedstawiające wieżę z zegarem ratusza w Calais.

## 41.

Marshall nie przesadził, kiedy przepowiedział, że wkrótce zaczną ich obrzucać błotem. Tydzień przed terminem rozpoczęcia nadawania podał do wiadomości publicznej plany programu Elite. Rozwścieczeni posłowie potępili firmę Marshalla za korzystanie z japońskiego systemu wysokiej jakości obrazu, podczas gdy trwają prace nad systemem europejskim.

W czasie konferencji prasowej w londyńskim hotelu sir Robert musiał odpierać zarzuty przeciwko programowi Elite.

- Co się dzieje z tak zwanym systemem Eureka? - spytał.

- Wyprodukowano szerokoekranowe telewizory, ale o dawnym standardzie jakości obrazu. Nikt nie potrafił przedstawić nam pełnego, sprawnego systemu. Przez pełny system rozumiem całe studio, wyposażone w stanowiska montażowe, systemy wideotransmisji, dyskowy sprzęt wideo, kamery - we wszystko. Europejskie rządy spierały się, jakim systemem powinny się posłużyć i kto ma za to zapłacić, tymczasem nasz kontrahent nie angażował się w te kłótnie i spokojnie zbudował pierwszorzędny, sprawny system, i to jak sprawny. Nie ma sensu rzucać oskarżeń, że stworzyliśmy Japończykom przyczółek na europejskim rynku telewizorów o wysokiej jakości obrazu. Sami go sobie stworzyli, podczas gdy nasze rządy kłóciły się zawzięcie. Ten system stworzono zresztą tu, w Europie, w Basingstoke, dzięki europejskim mózgom i europejskiej technologii. To europejskie zakłady i europejscy robotnicy będą produkować odbiorniki. Brakuje tylko europejskich inwestycji. Wielka zaleta tego systemu polega na tym, że widzowie, posiadający zwykłe telewizory PAL, będą mogli odbierać nasz program. Nikt inny nie liczył się z ich interesami.

Spór podchwyciła popularna prasa, chociaż ilustrowane gazety nie wdawały się w techniczne szczegóły i koncentrowały się tylko na tym, czy Marshall nadaje się do kierowania stacją telewizyjną.

- Oto dobry tytuł - rzekł Bill. Przeczytał głośno: - „KRÓL PORNO WŁAŚCICIELEM STACJI TELEWIZYJNEJ”.

Marshall oprawił w ramki ten nagłówek i powiesił w swoim nowym biurze. Obok widniał dumnie inny tytuł prasowy: „KOLEJKA PANIENEK DO GALERII TATE'A”.

Nowemu programowi z pewnością nie brakowało reklamy. Teraz, kiedy wyszła na jaw sprawa wysokiej jakości obrazu, Marshall chętnie rozmawiał z dziennikarzami, a oni chętnie cytowali jego powiedzonka. Rzucił takie komentarze jak: „Potrząśniemy za uszy telewizyjnymi elitami, aż zęby powypadają z ich zgniłych dziąseł” albo „Kierowanie popularną, europejską stacją satelitarną nie jest może licencją na drukowanie pieniędzy, ale stanie się licencją na robienie ecu”. Słyszając takie uwagi, redaktorzy cichym szeptem odmawiali modlitwy dziękczynne. Obecnie telewizją rządzą Bezimienni. Od czasów Lewa Grade'a nie było takiego bossa telewizyjnego jak Marshall, umiającego rozmawiać z prasą.

Z niespodziewaną pomocą przyszedł premier, który opisał nową stację jako świadectwo dekadencji, zagrażającej „naszemu” społeczeństwu. Miało to miejsce dzień przed wejściem na antenę programu Elite. To oświadczenie bardzo pomogło Marshallowi, w Europie uważano bowiem, że coś, czego nie lubi brytyjski premier, na pewno nie jest złe. Bardziej pozytywnego poparcia udzieliły agencje reklamowe, które postanowiły poczekać na rozwój wypadków, ale mimo to poprosiły o cennik.

## 42.

Dobra i zła reklama opłaciła się. Badania statystyczne, przeprowadzone na zlecenie EBARB, Europejskiego Biura Badania Publiczności Telewizyjnej, wykazały, że trzy miliony widzów włączy odbiorniki, aby obejrzeć inauguracyjny program okrzykanego kanału Elite.

Po dwóch tygodniach przygotowań, 1 października 1994 roku, o szóstej wieczorem czasu urzędowego, kanał Elite rozpoczął nadawanie, na początku pokazano trzygodzinną kompilację wspaniałych scen z serialu podróżniczego, kupionego od francuskiego producenta. Zgodnie z oczekiwaniami Marshalla zaproszeni dziennikarze gorąco chwalili nowy system telewizyjny. Kanał Elite wszedł na antenę.

Przed świętami tego roku nowy program zyskał sobie trzymilionową widownię. Od czasu do czasu protestowano przeciwko niedwuznacznie erotycznym programom, nadawanym późnym wieczorem (niektóre protesty wyreżyserował sam Marshall). Dzięki temu liczba widzów nieco się zwiększyła, ale nie wzrosło zainteresowanie agencji reklamowych. Kiedy Marshall zaczął płacić Astrze za wynajęte transpondery, stanął przed problemem rozsądnego ograniczenia liczby telewizyjnych powtórek, z którym musiał sobie poradzić, jeśli nie chciał zniechęcić widzów. Desperacko potrzebował nowego pomysłu.

Pomysł przyszedł mu do głowy podczas wizyty w domu sir Roberta, po długiej dyskusji bankier zgodził się na przewiezienie do North Woolwich jego cennego, elektronicznego stołu

do ruletki. Po uzgodnieniu szczegółów z najważniejszymi spółkami, wydającymi karty kredytowe, weekendowe kasyno na kanale Elite zdobyło zdumiewającą popularność. W magazynie obok studia zainstalowano łącza i urządzenia telekomunikacyjne, obsługiwane przez dwudziestu pracowników, odbierających telefony widzów z całej Europy, którzy zgłaszali zakłady. Oznaki niezadowolenia ze strony Brytyjskiej Rady do Spraw Hazardu skłoniły Marshalla do zorganizowania podobnego ośrodka we Francji. Wkrótce założył jeszcze trzy podobne ośrodki w Europie, a koszty zwróciły się po czterech tygodniach.

Marshall i City Media Bank doszli do wniosku, że znaleźli kurę znoszącą złote jajka. Wspólnie założyli spółkę holdingową, która wykupiła firmę z Monte Carlo produkującą elektroniczne stoły ruletki. Kasyno na kanale Elite zaczęło się cieszyć jeszcze większą popularnością, kiedy Marshall podjął śmiałą decyzję i zlikwidował górny limit stawek na parzyste i nieparzyste. Gracze mogli teraz stawiać duże sumy na kolory i podwoić swoje oszczędności lub stracić wszystko za jednym zamachem. Kiedy holenderska gospodyni wygrała milion guldenów, prasa oszalała i podwoiły się weekendowe zyski.

Wraz ze wzrostem majątku i potęgi Marshall odkrył w sobie źródło niespożytej energii. Zawsze pochłaniała go praca, teraz jednak pracował jak opętany. Sypiał zaledwie pięć godzin pomiędzy spotkaniami, interesami, podróżami po Europie, zatrudnianiem i zwalnianiem rosnącej armii adwokatów. Kilka razy został aresztowany i oskarżony o nielegalny hazard. Nigdy jednak nie przebywał w areszcie dłużej niż trzy dni. Pewnego razu mediolańska policja przydybała Marshalla, kiedy wychodził z restauracji w towarzystwie jakiejś dziewczyny, ale musiała wypuścić więźnia, gdyż włoscy adwokaci przedstawili sądowy nakaz zwolnienia. Obrona twierdziła, że sprawa znajduje się poza jurysdykcją miejscowego sądu. Taka strategia za każdym razem okazywała się skuteczna. Skazanie Marshalla byłoby wbrew naturze nowej Europy i oznaczałoby ograniczenie swobody zawierania finansowych transakcji ponad granicami państw. Marshall Tate stał się pierwszym z nowej generacji niezależnych biznesmenów, którzy w wielkim stylu rzucali wyzwanie władzy. Świadomość tego sprawiała mu ogromną rozkosz.

Istniała jednak pewna szczelina w zbroi Marshalla, której nie zauważył. Zapomniał, że brytyjski rząd może wykorzystać przeciwko niemu potężną broń.

### 43.

- Sądzę, że powinien pan porozmawiać z tą panią panie Tate - rzekła sekretarka Marshalla. - To Lois Turner z firmy „British Telecom”.

Marshall pamiętał to nazwisko.

- Z przeciwka?

- Tak, sir. Z londyńskiego teleportu.

Marshall zaniepokoił się.

- Niech wejdzie.

Na widok Lois Turner natychmiast zorientował się, że coś się stało.

- O co chodzi, panno Turner? - spytał uprzejmie. - Chce pani podwoić opłaty za transmitowanie na Astrę naszego programu?

- Obawiam się, że sytuacja wygląda jeszcze gorzej, panie Tate - odrzekła, dziękując za kawę. - Czepia się nas Ministerstwo Handlu.

- Mam nadzieję, że powiedziała im pani coś do słuchu, panno Turner - rzekł ironicznie Marshall.

- Nasze stosunki z Ministerstwem Handlu były zawsze poprawne, panie Tate. Ceniliśmy sobie również współpracę z panem i właśnie dlatego przyszedłem osobiście. Ministerstwo Handlu nakazało nam zaprzestać transmitowania na Astrę programu, nadawanego z kasyna.

Dziesięć lat temu Marshall wybuchnąłby gniewem. Teraz był jednak mądrzejszy, za to o wiele bardziej niebezpieczny.

- Czy mają do tego prawo? - spytał uprzejmie.

- Z pewnością. Zgodnie z ustawą o bezprzewodowej łączności przyznali nam licencję na transmitowanie programów na Astrę. Podsekretarz Stanu do spraw przemysłu i handlu może w każdej chwili zmienić warunki umowy licencyjnej. Cóż, tego właśnie zażądał.

Twarz Marshalla nie zdradzała żadnych uczuć.

- Ustępujecie więc przed polityczną presją, panno Turner?

- Przed prawną presją, panie Tate. Nie mamy wyboru. Ministerstwo Handlu mogłoby w każdej chwili zamknąć nasze przedsiębiorstwo. Oni jednak wcale tego nie pragną. Chcą tylko, abyśmy od przyszłego piątku zrezygnowali z transmisji z kasyna. Powinnam dodać, że coś takiego nigdy przedtem się nie zdarzyło.

- Nie łamię prawa, panno Turner.

- Podsekretarz też go nie łamię - odrzekła Lois Turner, bez mrużenia oka patrząc na Marshalla. - Oczywiście nadal zamierzamy transmitować zwykły program, kasyno nie wchodzi jednak w grę.

Marshall roześmiał się, ale bez rozbawienia.

- Nie, panno Turner. Od tej chwili przestaję korzystać z waszych usług. Co do opłat za bieżący kwartał, możecie błagać o nie Ministerstwo Handlu, bo ode mnie nie dostaniecie

złamanego pensa.

Lois otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale rozmyśliła się. Pożegnała się krótko i wyszła.

Kiedy Marshall został sam, natychmiast włączył swoje wewnętrzne dynamo i spędził godzinę przy telefonie. O pierwszej po południu kurier na motorze wyruszył ze studia i zmierzał w kierunku Dover, wioząc wideodyski z wieczornym programem. Przepełnął poduszkowcem kanał La Manche i w ciągu trzech godzin przejechał przez Belgię. O 17:45 przybył do głównej siedziby SES w Luksemburgu. Wieczorny program kanału Elite nadano o szóstej wieczorem, za pośrednictwem instalacji SES, i żaden z widzów nie zauważył zmiany. Przez resztę tygodnia kurierzy stale dostarczali dyski z programami. Później Marshall zadzwonił do luksemburskiej agencji handlu nieruchomościami, aby zorganizować tymczasową siedzibę dla kanału Elite. Pośrednik znalazł w swoich księgach idealną posiadłość: nie używany dom towarowy poza miastem, otoczony solidnym ogrodzeniem. Marshall bez wahania zaakceptował propozycję i zlecił spółce przewozowej przetransportowanie do Luksemburga przenośnych budynków, należących do jego firmy.

Po południu zadzwonił do City Media Bank i wyjaśnił sytuację sir Robertowi. Pomimo podeszłego wieku i złego zdrowia bankier tak się przejął, że kazał szoferowi zawieźć się do North Woolwich. Stwierdził po przyjeździe, że Marshall i szef transportu zaczęli już finalizować swoje plany.

- Przenosimy się do Luksemburga - oświadczył gwałtownie Marshall. - Zostawiamy biura i pomieszczenie montażowe, ale zabieramy ze sobą wszystkie studia.

- Całe szczęście, że zamówiłeś modułowe studia, Matt - zauważył sir Robert. - Zgaduję, że mój stół również jedzie?

- On pierwszy znajdzie się na promie - odrzekł posępnie Marshall. - Dostaniesz go z powrotem za dwa lata.

- Jeśli dożyję tej chwili - zauważył z przygnębieniem sir Robert. Spojrzał ostro na Marshalla. - Nie zamierzasz chyba rezygnować z weekendowego kasyna? Byłbyś głupcem, gdybyś to zrobił.

- Powiem ci, z czego rezygnuję - odparł gwałtownie Marshall. - Rezygnuję z zależności od ludzi z zewnątrz. Zamierzam wystrzelić własnego satelitę i obsługiwać go z ruchomej lub przenośnej stacji naziemnej. Nie wiem, jak to zrobić. Z nikim nie zamierzam się dzielić. Chcę sam kontrolować cały proces. Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało.

Bankier miał przyspieszony puls. Słowa Marshalla podziały na niego jak zastrzyk adrenaliny. Zwiertzył grę, ogromną, ostateczną rozgrywkę, niebezpieczne, lecz jakże



ekscytujące balansowanie na krawędzi przepaści.

- A ile twoim zdaniem to będzie kosztowało? - spytał.

- Na oko... miliard ecu. Około sześciuset milionów funtów.

Większą część życia sir Robert Allsop spędził na wózku inwalidzkim i rzadko pragnął odzyskać młodość. Teraz jednak chętnie odmłodziłby się o dwadzieścia lat.

## 44.

### 1995

To sir Robert Allsop polecił Marshallowi Huberta Schnee. Tate od pierwszego wejrzenia poczuł niechęć do nowego pracownika, ale chytry Szwajcar był znakomitym analitykiem do spraw środków masowego przekazu, obdarzonym rzadką zdolnością rozumienia problemów inżynierskich i finansowych. Dostał dwanaście tygodni na przygotowanie raportu o kosztach i możliwości realizacji projektu „Bachus”.

Schnee z entuzjazmem zabrał się do pracy. W ciągu trzech miesięcy przeleciał taki dystans, jak gdyby odbył dwie podróże dookoła świata. Badał spółki inżynierskie, agencje zajmujące się wystrzeliwaniem satelitów na orbitę, firmy produkujące oprogramowanie. Sprawdzał kilka razy wszystkie dane i wyliczone koszty. Dwa dni przed terminem osobiście doręczył dwie kopie dwustruonicowego raportu: jedną Marshallowi, i drugą sir Robertowi. Nie tylko zawodowa duma popychała Szwajcara do działania: projekt „Bachus” podziałał na jego wyobraźnię i obudził jego chciwość.

Chciał wziąć udział w realizacji tego planu.

## 45.

Tydzień później Marshall pojechał czarnym ferrari do Walton na decydujące spotkanie z bankierem.

Sir Robert przeglądał w zamyśleniu kolumny cyfr.

- Dziwię się, Matt, jak bardzo twoja wstępna, szacunkowa ocena zbliżyła się do liczby podanej przez Schnee: sześćset pięćdziesiąt milionów.

Marshall nic nie odpowiedział.

- Czy wiesz, że większość rządów nie chciałaby realizować tak kosztownego projektu?

- Nasze roczne zyski mogą przekroczyć dwieście pięćdziesiąt milionów - odparł Marshall. - To zaledwie jeden procent sumy, jaką Japończycy, Chińczycy i Malajowie wydają

na gry hazardowe.

- Tak - odpowiedział sir Robert. - Zbadałem te liczby i uznałem je za wiarygodne.

- Ale?

- Nie możemy zainwestować ani pożyczyć sześciuset pięćdziesięciu milionów, Matt. - Bankier bez zmrużenia oka patrzył na rozmówcę, chociaż badawcze spojrzenie Marshalla zawsze go denerwowało.

- A ile możecie?

- Najwyżej sto pięćdziesiąt milionów.

Marshall prychnął z pogardą.

- Kto mi kiedyś powiedział, że mogę stracić wszystko z wyjątkiem nerwów?

Nagle sir Robert uśmiechnął się.

- To wciąż prawda, Matt. Kłopot polega na tym, że po prostu nie mamy takich pieniędzy.

Marshall wstał.

- Dobrze. Wygląda na to, że muszę jakoś zdobyć brakujące pół miliarda. Nie zamierzam tracić z tobą czasu. - Podeszedł do drzwi, ale bankier szybko zagroził mu drogę fotelem.

- Usiądź, Matt.

- Nie warto tracić czasu, jeśli...

- Warto. Siadaj!

Przez chwilę wydawało się, że Marshall straci panowanie nad sobą, ale zdołał się opanować. Usiadł i spojrzał ostro na bankiera, starając się go onieśmielić.

- Pewien człowiek chciałby się z tobą spotkać - rzekł sir Robert, zapisując coś w notesie. - W tym tygodniu przebywa w Londynie i mieszka w Savoyu. Harrison J. Calinco.

Marshall spojrzał na kartkę, podaną przez sir Roberta.

- Do diabła, co to za facet?

- Doradca finansowy pewnych wielkich przedsiębiorstw rozrywkowych w Ameryce. Ma spore wpływy. Słuchają go. To rozsądny facet, ale musisz w stu procentach wiedzieć, co robisz.

- Kto go słucha?

Sir Robert nie chciał udzielić dokładnej odpowiedzi.

- Jak powiedziałem, amerykańskie przedsiębiorstwa rozrywkowe. Duże przedsiębiorstwa.

- Gdzie znajdują się te przedsiębiorstwa?

- W Las Vegas - odparł bankier zmęczonym głosem.

## 46.

Harry J. Calinco zupełnie nie przypominał tradycyjnej postaci ojca chrzestnego. Był potężnym, jowialnym mężczyzną o szerokim uśmiechu, w wieku około pięćdziesięciu lat. Nosił drogą perukę. W jednym z pokoiów hotelowego apartamentu urządził sobie biuro. Wstał z uśmiechem zza biurka z drzewa różanego, uściśnął serdecznie dłoń Marshalla i wskazał mu krzesło.

- Panie Tate, to prawdziwa przyjemność. Zawsze chciałem poznać człowieka, który we wspaniałym stylu zorganizował hazard w Europie. Podać coś panu? Uznałbym to za niezwykle przywilej, gdybym mógł się z panem napić.

Marshall siedział, sącząc Southern Comfort i odpowiadając na życzliwe pytania gospodarza, dotyczące kanału Elite. W końcu zniecierpliwił się.

- Panie Calinco, czy mogę mówić szczerze?

- Możesz z nami rozmawiać tak szczerze, jak sobie życzysz, Matt.

- W takim razie dajmy sobie spokój z tymi idiotyzmami i przejdźmy do interesów.

Na początku Amerykanin wydawał się zaskoczony. Po chwili uśmiechnął się szeroko.

- Tak... powinniśmy byli zgadnąć. Dużo o tobie wiemy, Matt.

- Dobrze. W takim razie wiecie również, że tylko przyjaciele mówią do mnie Matt.

Jeśli Harrison J. Calinco poczuł się urażony, nie dał po sobie tego poznać. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- W porządku, Marshall. Dobrze, pomówmy o interesach. Przekonasz się, że potrafimy być równie bezpośredni jak ty. Może nawet bardziej. - Otworzył kopię raportu Schnee o projekcie „Bachus”. Marshall zauważył, że ktoś pracowicie robił notatki na marginesach. - Po pierwsze, Marshall, chcielibyśmy ci pogratulować śmiałego i pomysłowego planu.

- W takim razie pogratulujcie - odparł ze znużeniem Marshall.

- Wygląda to niemal zbyt pięknie, aby było prawdziwe - mówił Amerykanin. - Przyjrzelśmy się jednak operacjom kanału Elite, sprawdziliśmy obroty twojej firmy i doszliśmy do wniosku, że być może projekt „Bachus” to nie gruszki na wierzbie. - Przerwał i zachichotał. Kiedy przekonał się, że gość nie docenił dowcipu, mówił dalej. - Szukaliśmy sposobu wejścia na chiński rynek, mieszka tam połowa ludności świata, a wszyscy grają na całego, zupełnie jak Japończycy. Wygląda na to, że nas wyprzedziłeś. Dobrze, Marshall, chcielibyśmy wejść w ten interes.

- Za pięćset milionów?

- Za pełne sześćset pięćdziesiąt milionów funtów - potwierdził Harrison Calinco,

patrząc uważnie na Marshalla.

Marshall ani drgnął. Każdy idiota potrafi pożyczyć pieniądze. Pożyczanie z jednego źródła miało pewne dobre strony, ale niosło ze sobą spore ryzyko. To warunki pożyczki się liczyły.

- Spodziewamy się, że okres przygotowań potrwa od dwóch do trzech lat - mówił Harrison Calinco. - Zgadza się?

Marshall skinął głową.

- Potrwa przynajmniej trzy lata. Trzeba zaprojektować, zbudować i przetestować satelitę. Należy urządzić stację naziemną, kupić grunt, wybudować kasyna. To wielka operacja. Wszystko znajdziesz w raporcie. Nie ma w nim jednak ani słowa o waszych warunkach.

Amerikanin bawił się złotym piórem.

- Proponujemy, że podczas okresu przygotowań wypłacimy wam całą sumę w dziesięciu ratach, w regularnych odstępach. Sześć miesięcy po wystrzeleniu satelity zaczniecie spłacać pożyczkę. Myśleliśmy o dziesięciu stumilionowych ratach, rozłożonych, powiedzmy, na okres trzech lat.

Marshall zastanawiał się szybko. Warunki były twarde, ale spodziewał się gorszych.

- Dobrze - odrzekł. - Oczywiście nie mogę w tym momencie udzielić ostatecznej odpowiedzi; trzeba najpierw uzgodnić wiele szczegółów, ale w zasadzie zgadzam się.

- Poza tym zapłacicie nam dwieście milionów rocznego odszkodowania. Co trzy lata od chwili, w której rozpoczniecie działalność, będziemy prowadzić negocjacje dotyczące wysokości tego odszkodowania.

Marshallowi zrobiło się ciemno przed oczami.

- Jakie odszkodowanie? - warknął. - Do diabła, o czym pan mówi?

Amerikanin wciąż się uśmiechał.

- Chodzi o następującą sprawę, panie Marshall. Świat staje się ciasny. Otwierają się takie kraje jak Chiny. Finansując pański ekscytujący projekt, sami pozbawiamy się rynku. Domagamy się corocznego odszkodowania za to hojne wyrzeczenie. Sądzymy, że suma dwustu milionów rocznie przez pierwsze trzy lata nie jest zbyt wygórowana. Chcielibyśmy, żeby później wysokość odszkodowania zależała od zysków.

- Ochrona! - warknął Marshall. - Boże, powinienem się domyślić! Nie tylko finansujecie interes, ale domagacie się również ochrony!

- Nie widzimy nic złego w tym, że staramy się chronić nasze interesy, Marshall - odrzekł łagodnie Harrison Calinco. - Uważamy, że to normalna praktyka handlowa.

- A ja uważam, że nie gracie czysto! - odparł gwałtownie Marshall. Miał ochotę natychmiast wyjść, ale wiedział, że nikt poza tymi ludźmi nie sfinansuje jego projektu. Oni znali się na takich interesach.

- Nie decyduj natychmiast, Marshall. - Amerykanin podał gościowi kopertę. - Oto sporządzony przeze mnie szkic kontraktu. Weź i przeczytaj. Wszystkie punkty umowy podlegają negocjacom. To znaczy wszystkie, z wyjątkiem klauzul karnych. Nagrałem je na osobną dyskietkę typu WORM. Są poufne - przeznaczone wyłącznie dla pańskich oczu. Sześciocyfrowe hasło to data pańskiego urodzenia. Po upływie pierwszego terminu zapłaty następuje ostrzeżenie. Po upływie drugiego terminu przychodzi pora na kary przewidziane w umowie, chyba że wcześniej podejmiemy dodatkowe negocjacje. - Wstał i wyciągnął rękę, dając do zrozumienia, że spotkanie skończyło się.

Marshall miał ochotę go zignorować, ale ostrożność wzięła górę; ci ludzie są niebezpieczni. Ucisnął niedbale dłoń Amerykanina.

- Proszę przeczytać i zadzwonić - rzekł Harrison Calinco. - Nie ma pośpiechu. Zostanę w Londynie jeszcze miesiąc. Musisz jednak przeczytać i zrozumieć klauzule dotyczące kar. Zgoda?

Kiedy Marshall zjeżdżał windą czuł w kieszeni dyskietkę WORM, opakowaną w gruby, brązowy papier.

## 47.

Marshall pojechał prosto do swojego londyńskiego apartamentu. Czekał na niego zaniepokojony Hubert Schnee.

- Jak poszło, panie Tate.

Marshall zignorował Szwajcara. Opadł na krzesło, rozerwał kopertę i wyjął projekt umowy przygotowany przez Harrisona Calinco. Dokument był bardziej szczegółowy, niż się spodziewał. Najwyraźniej Amerykanin zadał sobie wiele trudu.

- Czy mogę rzucić na to okiem, panie Tate.

Marshall rzucił Schnee dokumenty. Szwajcar był od niego dokładniejszy. Czytał powoli i uważnie. Marshall podszedł do swego osobistego komputera i odwrócił do siebie ekran, aby Schnee nie mógł go widzieć. Włączył maszynę i włożył do napędu dyskietkę WORM.

WPROWADŹ HASŁO.

Wystukał na klawiaturze datę swojego urodzenia.

NIEWŁAŚCIWE HASŁO.

Cholera!

Przypomniał sobie, że pisząc datę, Amerykanie podają najpierw miesiąc. Znow uderzył w klawisze. Ekran zamigotał.

Nie znalazł na dyskietce żadnych paragrafów dotyczących kar. Odkrył za to serię ponurych fotografii, na które zareagował nawet niewrażliwy żołądek Marshalla. Każde zdjęcie widniało na ekranie przez dziesięć sekund, a potem znikало, ustępując miejsca następnemu. Te kolorowe fotografie przedstawiały przeszyte kulami ciała, leżące w rozbitych samochodach na fotelu kierowcy lub opierające się o kierownicę. Ciała leżały również w restauracjach i luksusowych basenach, w których woda przybrała jasnoczerwony kolor. Marshall nie umiałby sobie wyobrazić brutalniejszych morderstw.

Kiedy ekran pokazywał te jatki, napęd WORM trzeszczał i szumiał. Niektóre zdjęcia, zrobione za pomocą szerokokątnego obiektywu, przedstawiały sceny brutalnej masakry, w której zginęły całe rodziny. Później nastąpiły zbliżenia poszczególnych ofiar: kobieta w kostiumie bikini leżała na kuchence, jej dziecko ścisnęło lalkę i spoczywało na podłodze w kałuży krwi.

Lampka napędu WORM zamigotała i na ekranie znow zaczęły się pojawiać te same okrutne fotografie, jak gdyby jeden pokaz nie wystarczył.

Marshall czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, gdy karuzela zbrodni jeszcze raz kręciła się przed jego oczami.

Schnee przestał czytać i spojrzał na szefa.

- Czy coś się stało, panie Tate.

Zdjęcia oszołomiły Marshalla. Mógł tylko pokręcić głową. W tym momencie ekran opustoszał. Głowica napędu WORM zaczęła buczeć.

KASOWANIE DANYCH.

Próbował wyjąć dyskietkę z napędu, ale elektroniczny zamek nie ustąpił. Sięgnął w kierunku wyłącznika komputera, ale spóźnił się.

- DANE SKASOWANE. SFORMATOWANO DYSKIETKĘ. NIE MOŻNA ODZYSKAĆ DANYCH. MOŻESZ TERAZ WYJĄĆ DYSKIETKĘ.

Przez kilka sekund Marshall patrzył na tę wiadomość.

- Wydaje się rozsądna - rzekł Schnee.

- Co.

- Ta umowa, panie Tate. Żądają wysokiego oprocentowania, ale spodziewaliśmy się tego. To chyba rozsądni ludzie.

W pierwszej chwili Marshall miał ochotę podejść do Schnee i wepchnąć mu dokument

do gardła. Z trudem się opanował.

Jezu Chryste, ochrona!

Płacenie za ochronę oznaczało coroczne wydatki. Bóg jeden wie, czego ci ludzie zażądają po trzech latach. Ich chciwość wzrośnie i będą domagali się coraz więcej, aż przejmą kontrolę nad przedsiębiorstwem, reprezentowali najgorszego rodzaju władzę, opierającą się na strachu, opanował wściekłość i starał się uporządkować myśli. Podeszedł do okna i spojrzał na Tamizę.

Ochrona! Nigdy nie wyda ani pensa na ochronę. Nikt nie będzie groził Marshallowi Tate'owi! Nikt!

Spojrzał na HMS „Belfast”. Stary okręt wojenny na stałej kotwicy przyciągał turystów jak magnes. Ludzie tłoczyli się na statku i oglądali potężne działa. Dzieci siedziały na krzeselkach operatorów karabinów przeciwlotniczych, walcząc z wyobrażonymi meserszmitami. Minęło pół wieku, ale wydawało się, że brzydki, agresywny statek gotów jest do walki. W tym momencie Marshall doznał olśnienia.

- Schnee!

Szwajcar podskoczył.

- Panie Tate?

- Nie zastanawialiśmy się, gdzie urządzić stację naziemną.

- To nietrudny problem, panie Tate. Wystarczy nam dowolny tani kawałek ziemi. Wyspa. Cokolwiek. Na tym właśnie polega zaleta stacji, komunikujących się z satelitą. Można je założyć niemal wszędzie.

Marshall starał się mówić spokojnie.

- A na statku.

Schnee zamrugął.

- Trudno byłoby kierować na Bachusa duże anteny, panie Tate. Poza tym potrzebujemy sporej przestrzeni biurowej i administracyjnej...

- A gdybyśmy mieli statek, który można wyciągnąć na ląd? Duży statek o wzmocnionym dnie? Coś w rodzaju przerobionego tankowca? Boże, człowieku! Rusz wyobraźnią! Pomyśl! Jeśli kupimy ziemię, znajdziemy się na łasce tamtejszego rządu. Kiedy poczują do nas niechęć, będziemy skończeni. Jednakże mając statek, zawsze możemy podnieść kotwicę i odpłynąć do zapasowej przystani.

Schnee zastanowił się przez chwilę. Na jego okrągłej jak księżyc twarzy pojawił się nagle szeroki uśmiech.

- Wie pan, panie Tate, to bardzo dobry pomysł. Niewykluczone, że zapłacimy nawet

mniej niż za ziemię.

Marshall poczuł się tak, jak gdyby zdjęto mu z ramion wielki ciężar. Wszystko zaczynało się układać. Wszystko nabrało sensu. Dzięki modularnym studiom utrzyma na antenie kanał Elite i uniezależni się od brytyjskiego rządu.

Poza tym statek może legalnie przewozić broń. Można go bronić. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się upewniał, że znalazł właściwe rozwiązanie.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Harrisona Calinco, podczas gdy Schnee siedział przy kalkulatorze.

- Pan Calinco? Tu Marshall Tate. Przeczytałem projekt umowy... I Sądzę, że powinniśmy podjąć poważne negocjacje. - Słuchał uważnie głosu rozmówcy. - Tak, przestudiowałem punkty, dotyczące kar. Myślę, że mogę je zaakceptować.

Rozmawiali przez pięć minut i umówili się na jutro. Marshall odłożył słuchawkę i spojrzał na Schnee, który obliczał szacunkowe koszty. Pomyślał o okrutnych scenach, oglądanych na ekranie komputera, i 'wpadł we wściekłość.

*Zalatwię tych aroganckich drani. Spłacę pożyczkę do ostatniego pieprzonego pensa, ale nie mam zamiaru płacić za ochronę. Nigdy, do cholery.*

Potem zrobił coś tak niespodziewanego i niezgodnego z jego charakterem, że zaniepokojony Schnee spojrzał na niego.

Marshall Tate odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

## 48.

Negocjacje z Harrisonem Calinco nie trwały długo.

- Nie mamy nic przeciwko temu, że nas pominęliście - rzekł sir Robert. - Ale na miłość boską, bądź ostrożny. Rób, co ci każą; co miesiąc wysyłaj im raporty o postępach prac.

- Calinco stwierdził, że wystarczy, jeśli od czasu do czasu zadzwonię - zauważył Marshall. - Powiedział, żebym zwracał się do niego z każdym problemem, a on postara się pomóc.

- Właśnie dlatego są tak niebezpieczni - bankier wyglądał na zaniepokojonego. - Teraz działasz na własny rachunek, Matt. Ci ludzie nie robią interesów w taki sposób jak my.

- Już mi to dali do zrozumienia - odrzekł Marshall. - Poradzę sobie.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i wypili drinka, pieczętując koniec wieloletniej współpracy.

Po otrzymaniu pierwszej raty Hubert Schnee zaczął działać. Jego wiedza o Dalekim



Wschodzie okazała się bezcenna dla Marshalla.

- Korzystamy z usług tokijskiego biura projektowego, panie Marshall. W ten sposób gwarantujemy sobie zachowanie tajemnicy. Japończycy słyną z dyskrecji. Nie dopuszczają do żadnych przecieków. Umieją również działać szybko.

Schnee również potrafił szybko działać. Kiedy miał okazję zarobić, pracował z niespożytą energią. Pod koniec maja 1995 roku umowa z agencją, wystrzeliwującą satelity na orbitę, czekała na podpis Marshalla, Marshall pojechał do Tokio, aby podpisać kontrakt w biurach Japońskiej Narodowej Agencji Przemysłu Kosmicznego, czyli NASDA. Za dwieście milionów dolarów Japończycy wystrzelą satelitę Bachus z ośrodka kosmicznego Tanegashima, znajdującego się na idyllicznej, podzwrotnikowej wyspie na archipelagu japońskim. W tym celu posłużą się standardową komercyjną rakieta typu H-II. Można było polegać na tej rakiecie, Marshall upierał się jednak, że jeśli coś zawiedzie, nie zapłaci ani grosza. Japońskim inżynierom nie podobały się te żądania, woleli jednak się zgodzić niż oddać kontrakt konkurencyjnej firmie Ariespace.

Po uroczystości podpisania umowy Marshall i Schnee obejrzeni stożek ochronny rakiety, do którego będzie musiał pasować satelita Bachus.

- Zasadniczo NASDA ma tylko dwa wymagania pod adresem satelity: powinien pasować do stożka ochronnego i nie może ważyć więcej niż dwie tony. Japończycy umieszczają urządzenie na odpowiedniej orbicie. Później przekazują je nam i właśnie wtedy będziemy musieli im zapłacić.

- A jeśli się okaże, że ten cholerny satelita nie działa? - spytał Marshall.

- Zadziała, panie Tate. Korporacja TLK ma godną pozazdrosczenia reputację, jeśli chodzi o projektowanie i konstruowanie niezawodnych satelitów.

Kończąc wizytę w Japonii, Marshall podpisał umowę z TLK oraz z morskimi architektami z Osaki, którzy zgodzili się przekształcić masowiec, nazwany „Eldorado”, w stację naziemną Bachusa.

Pod koniec wyczerpującej podróży po Dalekim Wschodzie Marshall założył w Tokio, Bangkoku i Pekinie mniejsze biura projektowe, które miały nadzorować projektowanie i budowę pierwszych trzech kasyn.

Następne dni kosztowały Marshalla wiele nerwów, miał bowiem wrażenie, że zbyt wiele spraw pozostaje poza jego kontrolą. Nigdy nie tracił panowania nad sobą, chociaż czasami, wystawiając czeki na wysokie sumy, przypominał sobie, co mu grozi, jeśli poniesie porażkę.

- Praca postępuje wolno - zauważył Harrison Calinco w czasie rozmowy telefonicznej z

Marshall. - Wiesz, co powiedział John F. Kennedy o programie Apollo, którego celem było lądowanie na księżycu?

- Nie - odparł ze znużeniem Marshall. - Wierzę jednak, że zaraz mi to powiesz.

- Powiedział, że najtańszym sposobem wykonania roboty jest jej szybkie wykonanie.

- Na miłość boską, a co twoim zdaniem próbuję zrobić?

- To tylko przyjacielska uwaga, Marshall. Bardzo zaangażowałeś się przecież w to małe przedsięwzięcie. Nie chcemy, aby coś poszło nie tak.

Marshall zwykle nie zwracał uwagi na groźby, tym razem jednak bez przerwy o nich pamiętał. W rezultacie poganiał ciężko pracującego Schnee wpadał we wściekłość, kiedy miał wrażenie, że praca postępuje w ślimaczym tempie.

W lipcu projekt „Bachus” natrafił na poważną przeszkodę: musieli zdecydować, gdzie „zaparkują” satelitę. Marshall nie przyjmował do wiadomości, że geostacjonarnym satelitem przydziela się pozycje orbitalne na mocy międzynarodowych traktatów.

- Skoro tak - krzyknął do Schnee - to proszę znaleźć kraj, który nie wykorzystuje przydzielonej mu pozycji, a my ją wówczas kupimy!

- Nie można kupować i sprzedawać pozycji orbitalnych, panie Tate - zaprotestował Szwajcar.

- Proszę spróbować - warknął Marshall. - Po prostu niech pan spróbuje.

Tydzień później Schnee znalazł rozwiązanie.

- Indonezja - powiedział do Marshalla. - Indonezyjczycy nie wykorzystują przydzielonej im pozycji orbitalnej na 81,5 stopnia wschodniej długości geograficznej, to znaczy na zachód od Indonezji, poniżej najbardziej wysuniętego na południe skrawka Indii.

- Czy daje nam to dobre okno na Daleki Wschód?

- Doskonale, panie Tate. Satelitę będzie również widać z Europy, chociaż znajdzie się bardzo nisko na wschodnim horyzoncie.

- Spróbujemy - odparł bez wahania Marshall.

## 49.

### DŻAKARTA, INDONEZJA

Na ogół Marshall z bezczelnością i arogancją zabierał się do rozwiązywania problemów, ale w razie potrzeby umiał postępować delikatnie. Rzeczywiście, tym razem zachował się bardzo ostrożnie. Zanim zaczął rozmawiać z Indonezyjczykami, udał się do brytyjskiej ambasady w Dżakarcie i uzyskał nieoficjalne informacje od wyższego urzędnika

do spraw handlu.

- W tym kraju wiele spraw załatwia się za pomocą przekupstwa, panie Tate - rzekł urzędnik. - Oczywiście nie popieramy takich praktyk. Mówię panu o tym, gdyż uważam, że brytyjski biznesmen powinien wiedzieć, na czym stoi.

- Pieniądze czy towary.

- Naprawdę, nie umiem panu doradzić. Mogę tylko powiedzieć, że minister poczty i telekomunikacji ma słabość do jaguarów. W zeszłym tygodniu spisał na straty swego ulubionego XJS. Mają tu ruch lewostronny, dlatego znalezienie w Anglii i przewiezienie do Indonezji porządnego, jednorocznego samochodu nie powinno sprawić kłopotu zdeterminowanemu człowiekowi, który potrzebuje przysługi od ministra.

- Dlaczego nie przywieźć nowego jaguara?

Urzędnik uśmiechnął się szelmowsko.

- Kiedy spotka pan pana Razaka, niewątpliwie poruszycie najpierw neutralne tematy, a wówczas odkryjecie, że obaj uwielbiacie jaguary. Jako człowiek hojny, zaproponuje pan pożyczanie panu Razakowi jednego z waszych samochodów. Tylko na próbę, rozumie pan. Oczywiście trudno się spodziewać, aby wypożyczył mu pan nowy wóz, prawda?

Trzy dni później Marshall wrócił na Heathrow, wioząc w teczce bezcenny dokument: umowę wynajmu satelitarnej pozycji orbitalnej 81,5 stopnia na wschód od Greenwich. Rząd indonezyjski dał mu nawet list intencyjny, zawierający obietnicę załatwienia płytkiej przystani dla „Eldorado”.

## 50.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

1996

Niektóre problemy okazały się trudniejsze.

Po dziewięciu miesiącach pracy nad projektem „Bachus” Hubert Schnee przywykł, że Tate wybucha gniewem, kiedy coś się nie układa. Ze stoickim spokojem siedział przy szklanym stoliku w apartamencie Marshalla, podczas gdy pracodawca przechadzał się po pokoju.

- Niepotrzebny mi satelita, który potrafi przetworzyć zaledwie sto tysięcy zakładów - prychnął Marshall. - Jeszcze przed rokiem 2000 Bachus będzie musiał poradzić sobie jednocześnie z dwoma milionami zakładów. Musimy od samego początku zapewnić mu tę

zdolność. Nie możemy co roku produkować nowocześniejszego modelu.

- Rozumiem, panie Tate - odrzekł gładko Schnee. - Jednakże TLK wymaga, aby ciężar satelity nie przekraczał dwóch ton. Urządzenie musi pasować do rakiety. Chcemy, aby satelita posiadał obwody bezpieczeństwa, będziemy więc potrzebowali sporej ilości kontrolnego programowania. Jeśli zaopatrzymy urządzenie w pamięć silikonową, poradzi sobie co najwyżej ze stu tysiącami zakładów.

- Na miłość boską! - wybuchnął Marshall. - Dlaczego dopiero raz się o tym dowiaduję? Od wielu miesięcy prowadzimy przecież prace nad tą cholerną maszyną!

- Prace postępują zgodnie z planem - zauważył Schnee. - Inżynierowie uporali się z najtrudniejszym zadaniem, polegającym na napisaniu i sprawdzeniu oprogramowania. Również budowa satelity posuwa się do przodu. Kiedy Japończycy natrafili na problem z pamięcią, od razu dali nam znać.

- No dobrze, ale czy musi to być pamięć silikonowa? Czy niczym innym nie dysponujemy? Codziennie słyszy się o nowych, cudownych komputerach. Do diabła, gdzie one są.

Schnee nauczył się, że kiedy rozmawia z Marshalllem, powinien mieć na podorzędziu możliwe rozwiązania. Uzyskał informacje od zespołu TLK, pracującego w Tokio nad Bachusem.

- Istnieje mikroprocesor Kronos, panie Tate. Ma on proteinową pamięć. Kronos klasy A posiada pamięć o pojemności jednego gigabajta.

- No to posłużcie się Kronosami!

- To nie takie proste - rzekł Schnee. - Gdybyśmy mogli je kupić, nie byłoby problemu. Produkuje je brytyjska firma „Nano Systems”, trudność polega na tym, że „Nano Systems” nie sprzedaje Kronosów, a jedynie licencje, pozwalające korzystać z ich wyrobów. Przyznając licencje na komercyjne zastosowania mikroprocesorów w kosmosie, żądają corocznej prowizji od obrotu. Udało mi się zdobyć kopię ich umowy licencyjnej - poszperał wśród papierów i podał dokument Marshallowi.

- Zabezpieczenie! - warknął Marshall, kiedy znalazł odnośne klauzule. Rzucił umowę na stół i uderzył z taką siłą w szklany blat, że Schnee obawiał się, iż biurko pęknie. - Nie płacę zabezpieczenia!

- To roczna prowizja...

- To roczne zabezpieczenie! - wrzasnął Marshall. - Wokół nas krąży wystarczająco dużo rekinów domagających się prowizji. Jeśli każdemu uda się coś urwać, nie zostanie nam żaden zysk! Chcę mieć wszystko! Chcę w pełni kontrolować sytuację! Nie dopuszczę nikogo

innego. Proszę więc wynegocjować z nimi cenę. Boże, czy sam muszę o wszystkim myśleć?

Schnee wstał i bez słowa ruszył ku windzie.

- Czy kontaktował się pan z nimi osobiście? - krzyknął Marshall.

Pytanie zirytowało Schnee, ale postarał się tego nie okazać.

- Nie, panie Tate. Wszystkie pytania kierowałem za pośrednictwem fikcyjnych spółek, które założyliśmy w Liechtensteinie.

## 51.

Tydzień później Schnee wrócił do apartamentu Marshalla. Tym razem nie zdołał znaleźć rozwiązania problemu.

- „Nano Systems” w żadnym razie nie sprzeda mikroprocesorów, panie Tate. Jeden z moich asystentów spotkał się trzy razy z ich dyrektorem do spraw handlowych. Odmówili. Wygląda na to, że prezes „Nano Systems” lansuje tę politykę. Nie zgadzają się również na negocjacje dotyczące prowizji. Ze względu na swą nieustępliwość zdążyli już stracić kilka dużych kontraktów.

- Ile tych cholernych mikroprocesorów potrzebujemy.

- Cztery tysiące, dwa tysiące do satelity i dwa tysiące do komputera kontrolnego na stacji naziemnej. Projektujemy obecnie Bachusa, przyjmując założenie, że zdobędziemy Kronosy. Kiedy kupimy mikroprocesory, wystarczy je tylko podłączyć. Rzecz jednak w tym, że ich nie kupimy.

Marshall z trudem nad sobą panował.

- Dlaczego nie mielibyśmy kupić wystarczającej liczby komputerów i wyjąć ze środka mikroprocesory.

- Z czterech powodów, panie Tate. Po pierwsze, kupowanie tych urządzeń kosztowałoby bardzo drogo. Po drugie, minęłyby lata, zanim dałoby nam się zebrać bez wzbudzania podejrzeń odpowiednią liczbę komputerów. Po trzecie, w licznych urządzeniach, na przykład w nanonotesie, bezpośrednio przytwierdzono Kronosa do zespołu obwodów i zalano sztuczną żywicą. Po czwarte, nie mamy pewności, że zdobędziemy Kronosy klasy A, z maksymalną pamięcią.

- Ile jest warta firma „Nano Systems”.

Schnee przełknął ślinę. Znalazł się w kłopotcie.

- To prywatna spółka, trudno więc stwierdzić...

- Proszę się więc dowiedzieć! - warknął Marshall. - Niech pan dowie się o nich

wszystkiego! Proszę się postarać o listę udziałowców zdobyć informacje na ich temat. Wykupimy „Nano Systems” wraz ze wszystkimi towarami, jakie mają na składzie! - Jego zimne, niebieskie oczy patrzyły uważnie na Schnee, który zadrżał ze strachu. - W razie potrzeby niech pan osobiście skontaktuje się z nimi, ale nikt nie może się dowiedzieć, że to ja za tym stoję. Jeśli zorientują się, o co chodzi, natychmiast podniosą cenę. - Chwył Schnee za kłapy i przyciągnął do siebie. - Jeśli to zawalisz, Schnee, zetrę cię na miazgę. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparł przerażony Schnee.

## 52.

Nadzwyczajne posiedzenie zarządu „Nano Systems” nie przebiegało po myśli Schnee. Właściciele firmy nie byli zainteresowani jego ofertą, proponował dwadzieścia ecu za akcję, a mimo to odmawiali.

- Proponujemy więc trzydzieści milionów funtów za firmę, którą moi szefowie wycenili na dziesięć milionów - powiedział, kładąc ręce na stole i uśmiechając się do każdego kierownika po kolei.

Nie dawał po sobie poznać, że ogarnia go panika. Ci ludzie odrzucali dwadzieścia ecu!

- Kto dokonał wyceny? - spytał jeden z nich.

- Renomowana firma z City - odparł z uśmiechem Schnee. Na stole nie ustawiono tabliczek z nazwiskami, ale mimo to wiedział, że pytanie zadał Jack Pullen. Prywatna agencja detektywistyczna sfotografowała potajemnie każdego członka zarządu „Nano Systems”.

- Tyle właśnie będzie wynosił pod koniec wieku roczny obrót naszego przedsiębiorstwa - rzekła bez ogródek prezes „Nano Systems”. - W tym świetle wasza oferta nie wydaje się zbyt korzystna.

Schnee w dalszym ciągu się uśmiechał. Beverley Laine to kobieta w jego typie. W teczce miał jej zdjęcie, zrobione za pomocą teleobiektywu, kiedy w świetle zachodzącego słońca biegła przez plażę, zmierzając prosto w kierunku aparatu fotograficznego. Jej cienkie szorty i koszulka były tak przepocone, że odsłaniały aż za dużo. Twarz miała wykrzywioną z wysiłku. Wyglądała jak wspaniałe, podniecone zwierzę. A miała czterdzieści sześć lat. To naprawdę wspaniała kobieta i ogromna przeszkoda dla jego planów. Wyglądało na to, że Beverley Laine cieszy się niewzruszonym poparciem zarządu. Musi traktować ją z dużą ostrożnością.

- Powinniście się jednak nad nią zastanowić, panno Laine - odrzekł.

- Zastanowiliśmy się, panie Schnee. Odpowiedź brzmi: nie. Schnee ze wszystkich sił

starał się opanować, podejrzewał jednak, że Beverley Laine go przejrzała.

- Sądzę, że powinniśmy przedyskutować ofertę pana Schnee - powiedział mężczyzna, siedzący naprzeciwko Szwajcara. Był to Stuart Dell, przedstawiciel banku posiadającego udziały w „Nano Systems”.

- To pańskie zdanie - odrzekła Beverley Laine. - Nie mamy jednak u was żadnych długów, panie Dell. - Spojrzała ostro na Schnee.

- Szkoda czasu. Naszą odpowiedzią jest grzeczne, lecz stanowcze: nie.

- Nie jest pani trochę zbyt despotyczna, panno Laine? - spytał Dell.

- Nie.

- Powinniśmy to przedyskutować - zauważył Theo Dragoon, ignorując zakaz palenia.

Sprzeciw był nikły, ale potwierdziło się wrażenie Schnee, że oferta zainteresowała niektórych członków zarządu „Nano Systems”, którzy nie chcieli jednak otwarcie przeciwstawić się Beverley Laine.

Odwróciła się do siedzącego obok mężczyzny; Schnee wiedział, że jest to Carl Olivera.

- Co sądzi nasz wiceprezes?

- Udzielimy oczywiście odmownej odpowiedzi - rzekł Olivera. - Powinniśmy jednak to przedyskutować. Wówczas pan Schnee będzie mógł zawieźć naszą decyzję swym tajemniczym pryncypałom, wiedząc, że podjęła ją większość.

- Dobrze - powiedziała. - Przedyskutujemy to. Panie Schnee, czy zechciałby pan poczekać w moim biurze? Sekretarka zajmie się panem.

Schnee wyszedł z sali. Nerwy nie pozwalały mu jasno myśleć. Siedział na niewygodnym, niskim krześle, popijał kawę i grzecznie rozmawiał z sekretarką. Wreszcie zawołano go do sali konferencyjnej. Beverley Laine uśmiechała się z triumfem.

- Panie Schnee, znakomicie mówi pan po angielsku - powiedziała.

Schnee właśnie siadał, ale mimo to zdołał się uklonić.

- Dziękuję, panno Laine. W moim kraju wierzymy, że lepiej mówimy po angielsku niż większość Anglików.

- Dobrze - odrzekła Beverley Laine. - Zrozumie pan zatem, o co mi chodzi, kiedy powiem, że pańscy zleceniodawcy mogą się podetrzeć tą ofertą.

Schnee usadowił się za kierownicą audi i wykręcił zastrzeżony numer Marshalla Tate'a.

- Proszę natychmiast wracać! - wrzasnął Marshall, kiedy Schnee wyjaśnił, że jego misja spełza na niczym. - Niech pan zabierze wszystkie informacje na temat tej paczki, jakie zdołał pan zdobyć. Jezu, jeśli nie zjawi się pan tu za dwie godziny, osobiście uknęczę panu łeb! -

rozmowa została przerwana.

Kiedy Schnee odkładał słuchawkę, zauważył, że z okna na piętrze jątrzą na niego Carl Olivera i Beverley Laine.

## 53.

- Do diabła, co to znaczy, że nie sprzedadzą? - warknął Marshall. - Każdy facet ma swoją cenę.

- Firmą „Nano Systems” kieruje kobieta - zauważył nieśmiało Schnee.

- Proszę nie bawić się ze mną w semantyczne gierki!

- Podniosłem cenę do dwudziestu ecu. W najlepszym razie te akcje są warte piętnaście ecu.

Marshall patrzył przez ogromne okno na tysiące świateł Londynu. Zwykle kiedy podziwiał ten widok, miał wrażenie, że jest wszechmocny. Dziś jednak czuł się bezsilny i wściekły.

- Myślę, że powinniśmy zaakceptować ich system prowizji - rzekł ostrożnie Schnee, wiedząc, że stąpa po niepewnym gruncie.

Marshall odwrócił się.

- Nie! Gdyby zgodzili się przyjąć pół procenta rocznie, mógłbym to rozważyć. W żadnym wypadku nie dam im jednak tego, o co proszą.

- Musimy zdobyć te mikroprocesory - rzekł Schnee. - Projektujemy specjalnie pod tym kątem zarówno Bachusa, jak stację naziemną.

Zamyślony Marshall z rękami w kieszeniach przechadzał się po marmurowej podłodze.

- Mówi pan, że najwięcej kłopotów sprawia nam prezes?

- Nie ma wątpliwości, panie Tate. Panna Beverley Laine jest bardzo twarda. To właśnie ona nie chce obniżyć prowizji ani...

- Kto?

- Panna Beverley Laine. - Schnee przerwał i z zaniepokojeniem obserwował dziki błysk w oczach szefa. - Czy coś się stało, panie Tate?

Przez kilka sekund Marshall stał jak sparalizowany. Przez chwilę Schnee sądził, że ma zamiar rzucić się na niego, ale potem pokręcił głową, jak gdyby chciał odsunąć od siebie nieproszone wspomnienia.

- To nieważne - wymruczał Marshall. - Przypadek... Przypuszczam, że będę musiał zobaczyć się z nią.



Schnee doszedł do wniosku, że spotkanie wybuchowego Marshalla Tate'a z niewzruszoną Beverley Laine byłoby interesujące: przypominałoby spektakularną kolizję materii i antimaterii, prowadzącą do wzajemnego zniszczenia obu stron.

- Nie sprzeda za żadną cenę - rzekł uparcie.

- Cholerna spółka za trzy grosze - wymruczał Marshall. - Dobrze, zobaczmy, jakie informacje pan przywiózł.

Obaj mężczyźni podeszli do stołu o szklanym blacie. Schnee otworzył teczkę i podał pękatają aktówkę Marshallowi, który usiadł przy stole i zaczął uważnie przeglądać zawartość.

Bez wątpienia chytry Szwajcar był bardzo dokładny. Marshall znalazł w tezcze wszystkie potrzebne informacje: nazwiska i adresy udziałowców; raporty finansowe; wykresy sprzedaży; perspektywy rozwoju firmy. Jeden z załączników zawierał szczegółowe osobiste dane o głównych udziałowcach, i także o innych przedsiębiorstwach, na których czele stali kierownicy „Nano Systems”. Na końcu znajdował się komplet podpisanych zdjęć każdego członka zarządu.

- Cholera - westchnął Marshall, kładąc raport na biurku i patrząc na duże, ostre zdjęcie Beverley.

Schnee dziwił się, że zdjęcie Beverley Laine wywarło takie wrażenie aa Marshallu. Może lubił starsze kobiety.

- Atrakcyjna - zauważył.

Marshall nie odpowiedział, lecz nadal patrzył na fotografię. W końcu odezwał się:

- Czy na pewno tylko ona stoi nam na przeszkodzie?

- Tak - odrzekł Schnee. - Gdyby nie Beverley Laine, „Nano Systems” wpadłoby do pańskiej dłoni jak dojrzała śliwka.

Marshall zignorował ozdobną prozę Schnee.

- Czy jest pan w dwustu procentach pewny, że nie skojarzą pana ze mną?

- Absolutnie, panie Tate. Gwarantuję to.

Marshall podniósł słuchawkę i wcisnął guzik pamięci, łącząc się bezpośrednio z osobistym numerem typu Irydium Harrisona Calinco - do użytku tylko w razie najwyższej potrzeby. Jeśli telefon Amerykanina działa, Marshall znajdzie go wszędzie, nawet w samolocie, lecącym przez Atlantyk. Po kilku sekundach rozległ się sygnał w słuchawce.

- Cześć, Marshall - rzekł wesoło Amerykanin, kiedy odebrał telefon. - Jak leci?

- Przepraszam, jeśli zbudziłem cię w środku nocy - rzekł Marshall.

Boże, jakże nienawidził sposobu, w jaki Harrison Calinco cedził słowa. Kryła się w tym władza.

Dziesięć tysięcy kilometrów od Londynu Harrison Calinco zachichotał.

- W Vegas jest właśnie gorące popołudnie, a ja popijam długiego, cudownego drinka z wysoką, cudowną brunetką. Czemu zawdzięczam tę przyjemność, Marshall?

- Chodzi o karne klauzule.

Niewykluczone, że to łącza satelitarne ponosiły winę za kilkusekundową pauzę. Bez względu na przyczynę w odpowiedzi Amerykanina wyczuwało się wahanie.

- Tak? W czym rzecz, Marshall?

- 'Właśnie przygotowuję umowę z moim dostawcą. Chcę umieścić w niej pewne surowe, karne klauzule, podobne do waszych. Potrzebuję nazwiska dobrego szeryfa, który w razie potrzeby mógłby wprowadzić je w życie.

Znów zapadła cisza, a potem Amerykanin zachichotał.

- Wiesz co, Marshall? Ty naprawdę jesteś facetem z dużymi jajami.

- Już mi to mówiono.

- Kłopot polega na tym, że im większe jaja, tym łatwiej je zgnieść... no dobrze, niewykluczone, że będziemy mogli ci pomóc. Ktoś, z których usług nie korzystamy. Chodzi o brytyjską firmę?

- Wszystko jedno. Potrzebuję po prostu dobrego szeryfa.

- Dobrze, Marshall. Pomyślmy i może przyjdzie nam coś do głowy. Czy twój prywatny faks jest włączony?

- Zawsze jest włączony.

- Może skontaktuję się z tobą, a może nie. Wracam teraz do mojego drinka i brunetki. Do zobaczenia. - W słuchawce zapadła cisza.

Tajemnicza rozmowa zaintrygowała Schnee. Sądził, że zna każdy fakt i każdą cyfrę dotyczącą projektu „Bachus”. Wiedział, kim jest Harrison Calinco, ale w swoim nanonotesie nie przechowywał żadnych informacji o karnych klauzulach.

Faks zamruczał, co świadczyło o tym, że zostało nawiązane połączenie. Pojedyncza kartka wpadła do pojemnika na papier. Marshall chwycił ją. Nie zauważył nagłówka, daty ani numeru telefonu; żadnej informacji o nadawcy. Na samym środku widniał zanotowany odręcznym pismem brytyjski numer przenośnego telefonu. Poza tym kartka była pusta.

Marshall spojrział na numer, a później na zdjęcie Beverley. Boże, czas okazał się dla niej łaskawy. Te zwariowane, drobne loki, podtrzymywane przepaską; te pełne piersi, widoczne pod koszulką. Niewiele się zmieniła. Nawet jej wykrzywiona twarz wyglądała tak jak dawniej, w chwilach seksualnej ekstazy. Właśnie zamierzał wykręcić numer, kiedy wpadł na lepszy pomysł.

- Schnee.

- Panie Tate?

- Chcę wiedzieć, jak wygląda typowy tydzień Beverley Laine. Proszę się dowiedzieć, kiedy ta kobieta wychodzi do pracy, o której godzinie i jaką drogą wraca do domu - tego typu sprawy. Facet, który zrobił jej zdjęcie, prawdopodobnie posiada te informacje.

- Zadzwoń do niego rano - rzekł Schnee.

- Natychmiast pojedzie pan do niego - odparł krótko Marshall. - Wystarczająco dużo mu płacimy.

Schnee miał za sobą długi dzień, ale wiedział, że nie powinien się spierać. Zanim wyszedł z biura, obejrzał się i zobaczył, że Marshall przygląda się w skupieniu zdjęciu Beverley Laine.

## 54.

Marshall idealnie wybrał odpowiednią chwilę. Przywykł przecież do reżyserowania scen. Różnica polegała na tym, że tym razem nie miał kamery i sam stał się aktorem. Na szczęście zauważył lukę w strumieniu samochodów, zdążył więc upuścić mapę samochodową i wyjechać z bocznicy w chwili, gdy z przeciwka nadjeżdżało BMW Beverley Laine. Uroczą, nie zmienioną twarz, którą tak dobrze pamiętał, patrzyła prosto na niego. Zamrugał światłami i nacisnął hamulec.

Podstęp zadziałał. Beverley sądziła, że zamierza ustąpić jej miejsca. Wyjechała na główną drogę. Marshall nacisnął sprzęgło i oba samochody otarły się bokiem o siebie. Rozległ się brzęk szkła, a na jezdnię posypały się plastikowe szczątki. Marshall zauważył, że Beverley wykrzykuje jakieś przekleństwo, zjeżdżając na pobocze. Rozpiął pas bezpieczeństwa, który pomimo niskiej prędkości zacisnął się na jego ramionach, i również zjechał na pobocze. Czekał. Niech ona do niego podejdzie.

Wyskoczyła z samochodu, zbadala szkody i ruszyła zdecydowanie w kierunku Ferrari Marshalla. Poruszała się z wdziękiem i Marshalla ogarnęło podekscytowanie, kiedy pomyślał, co się stanie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Nie widział powodu, dlaczego miałby ponieść porażkę; z kobietami można przecież zrobić wszystko. Opuścił szybę.

- No dobra - powiedziała agresywnie Beverley. - Miał pan pierwszeństwo, ale zamrugał pan światłami, dlatego skręciłam.

- Na pewno nie włączyłem światła - odrzekł Marshall. Siedział nisko, mógł więc obserwować jej uda i biodra. - Chciałem właśnie zatrąbić, ale pani zjechała mi drogę.

- Włączył pan światła! - zaprotestowała z gniewem Beverley. - Na miłość boską, zaparkował pan na poboczu, mógł więc pan chwilę poczekać!

- Niewykluczone, że kiedy sięgałem do klaksonu, przypadkowo włączyłem światła - przyznał Marshall. - To pani jednak powinna poczekać. Skręciła pani prosto przede mną.

- Pański samochód mrugnął światłami dwa razy!

Marshall otworzył drzwi i wysiadł. Uśmiechnął się, zauważając oszołomienie Beverley. Rozpoznała go. No cóż, należało się tego spodziewać. Często pokazywano go w telewizji.

- Może oślepiło panią słońce? - spytał uprzejmie. - Widziałem, że odbijało się w pani szybie.

- Matt Tate... - wymruczała cicho Beverley. - Jezu Chryste, nie wierzę własnym oczom.

Marshall odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów i zrobił zdziwioną minę.

- Przepraszam... wygląda na to, że ma pani nade mną przewagę.

- Jestem Beverley Laine. Pamiętasz mnie, Matt? - wyszeptała zszokowana.

## 55.

Jak przystało doświadczonemu scenarzyście, Marshall precyzyjnie zaplanował swój romans z Beverley. Należało przede wszystkim ograniczyć nieproszonym gościom dostęp do apartamentu.

- Ona zna pańską puciołowatą twarz - powiedział do Schnee. - Proszę więc trzymać się w weekendy z dala od tego mieszkania i przychodzić tylko na moje wyraźne wezwanie. Niech pan do mnie nie telefonuje. W razie nagłej potrzeby proszę wysłać nie podpisany faks i nie wspominać w nim o projekcie „Bachus”. Rozumie pan?

Schnee odpowiedział, że rozumie.

Dokładne planowanie opłaciło się. Sceny z Beverley wypadły lepiej, niż się spodziewał, chociaż nie robili prób. W szczególności najważniejsze sypialniane ujęcia udały się znakomicie. Marshallowi sprzyjała samotność Beverley i łatwość, z jaką ulegała jego wdziękowi, który wkładał jak kapelusz. Kiedy mieli po kilkanaście lat i pierwszy raz się kochali, to Beverley nie miała zahamowań i przejmowała inicjatywę. Teraz role się odwróciły. Być może Beverley zaczęła obawiać się seksu wskutek nieszczęśliwych doświadczeń, które przeżyła jako młoda kobieta. Marshall nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Najważniejsze było to, że bez trudu potrafił przełamać te kruche bariery. Zanim minął drugi tydzień wyreżyserowanego romansu, Beverley znalazła się w rozkosznej pułapce, utworzonej z przytulonych do siebie ciał i splątanych prześcieradeł. Kiedy obudził jej apetyty, oszczędnie

wydziałał pieśczęty, aż musiała go błagać, żeby skończył. Sprawiało mu to perwersyjną przyjemność. Kobiety zawsze usiłowały zdobyć nad nim władzę w tym celu wykorzystywały własne ciała. Właśnie na taką karę zasługiwały.

Niepokoił się jednak, że poza sypialnią znów miał do czynienia ze spokojną, pewną siebie Beverley. Stawała się racjonalna wraz z włożeniem ubrania i wyglądało na to, że nie uzależniła się od Marshalla. Firma „Nano Systems” miała nad Beverley taką władzę, że Marshall podejrzewał, iż ta kobieta wykorzystuje go, aby odpocząć od obowiązków. Zaczął wątpić, czy zgodzi się na propozycję pokierowania programem Elite. Gdyby miał czas, potrafiłby całkowicie ją zdominować, ale właśnie czasu mu brakowało, potrzebował więc jakiegoś zabezpieczenia, aby zapewnić sobie jej uległość.

Z tego powodu zaczął rozglądać się po sypialni, szukając odpowiednich miejsc na kamery. Badał wnęki, kryjące się za płytkami sufitowymi bezpośrednio nad ogromnym łóżem. Oświetlenie nie stwarzało problemu; miniaturowe wideokamery nowej generacji radziły sobie nawet przy słabym świetle. Pragnąc uwzględnić wszystkie kąty i nakręcić naprawdę interesujący film, postanowił skorzystać z trzech ukrytych kamer. Zdecydował, że zmiksuje cyfrowo na jednej kasecie zapis z trzech kamer, aby uniknąć problemów z okablowaniem i trzema odtwarzaczami. Później rozkoduje i rozdzieli sygnały, tworząc trzy kasety w sali montażowej studia kanału Elite. Całościowe ujęcia zapewniała kamera numer jeden, półzbliżenia filmowała kamera numer dwa, a zbliżenia kamera trzy. Po usunięciu płytek sufitowych Marshall mógł bez problemu zainstalować dodatkowe okablowanie, aby uzyskać dźwięk. W tym celu posłużył się mikrofonami kierunkowymi. W czasie orgazmu Beverley wydawała zadziwiająco dużo dźwięków; szkoda, żeby taki talent się zmarnował.

Chodziło oczywiście o stereofoniczny dźwięk Nicam. Marshall był przecież zawodowym reżyserem.

Chciał wypróbować sprzęt, zapłacił więc pewnej ładnej i uległej młodej damie. Była jedną ze stałych dziewczyn Marshalla i często mówiła, że chętnie zagrałaby w jego filmie.

Po przyjeździe do studia kazał, aby przyniesiono mu sprzęt do montażu kaset wideo i wydał instrukcje, żeby pod żadnym pozorem mu nie przeszkadzano. Pracował szybko. W niecałą godzinę posegregował sygnały, otrzymując w rezultacie trzy kasety, każdą nagrałą z innej kamery. Dokładnie obejrzał wyniki, zapamiętując, w jaki sposób trzeba poprawić ustawienie kamer. Skasował i wyrzucił kasety, a następnie wrócił do swego apartamentu.

Kiedy przygotował mieszkanie na wizytę Beverley, przyszło mu coś do głowy. Jakie to niezwykle, że gwiazda pierwszego filmu Marshalla Tate'a wystąpi również w jego ostatnim, najważniejszym filmie. Pomijając fragment „Kocich oczu”, kiedy wkładał Marcie Hunt rękę

pod spódnicę, po raz pierwszy wystąpi w wyreżyserowanej przez siebie scenie. Co więcej, będzie to prawdziwa rola, a nie Hitchcockowski epizod, chociaż nie zamierzał pokazywać twarzy na ekranie.

To Beverley zdecyduje, czy film zostanie pokazany szerokiej publiczności.

## 56.

Trzy kamery, wiernie rejestrujące łóżkowe sceny z Beverley, dodawały pikanterii temu weekendowi. Marshall doszedł do wniosku, że ujęcia, nakręcone w niedzielę rano, okażą się szczególnie udane. Na wielkie łoża padały wówczas promienie słońca, a w takich warunkach kamery wideo najlepiej się spisują. Światło, wpadające przez szczeliny pomiędzy żaluzjami, przybierało wszystkie barwy tęczy i tańczyło na pięknym, wijącym się ciele Beverley. Uniosła plecy z łożka, a później opadła z ostatnim głośnym okrzykiem. Pomiędzy jej ciężkimi piersiami zbierały się małe krople potu i błyszczały podniecająco, niczym surrealistyczne diamenty. Leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami, a jej splątane loki spływały na jedwabną pościel.

Marshall wyslizgnął się z łożka i dotknął kontrolnego guzika, służącego do podnoszenia żaluzji. Stał z boku i chłodnym, profesjonalnym okiem obserwował, jak kolorowe smugi na ciele Beverley ustępują miejsca białemu światłu. Doszedł do wniosku, że będzie to znakomite końcowe ujęcie. Nie mógł się już doczekać chwili, w której zajmie się montażem. Pochylił się nad Beverley i pocałował w czoło. - Otworzyła oczy.

- Kawy, kochanie? - spytał.

- Mmm.

Wyszedł z sypialni i ruszył po spiralnych schodach w kierunku salonu. Wyjął pilota i wyłączył wideo, ukryte w szafce pod szerokoekranowym telewizorem. Nie warto było przeglądać taśmy, bo sygnały zostały cyfrowo zakodowane.

Czytał właśnie niedzielne gazety, kiedy pojawiła się Beverley, owinięta w ręcznik. Usiadła przy stole i patrzyła na niego uważnie, jak gdyby odgadła, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. Postawił przed nią kawę.

- Musisz jednocześnie pić i przytrzymywać ręcznik - powiedział.

- Nie chcę, żeby coś nas rozpraszało, bo czeka nas poważna rozmowa.

Beverley milczała.

- To wyświechtane określenie, ale tak dalej być nie może, Bev - mówił Marshall. - Żadnemu z nas nie przynosi to nic dobrego.

- Zawahał się. Pauza trwała dokładnie tyle, ile trzeba. Gdyby kręcił film, uznalby to za przesadę i kazałby nakręcić jeszcze raz całą scenę.

- Prawda jest taka, Bev, że cię potrzebuję. Chcę, żebyś tu zamieszkała. - Przerwał i roześmiał się. - Nie rób takiej przerażonej miny. Nie chodzi mi o to, żebyś się do mnie wprowadziła. Najprawdopodobniej po kilku tygodniach zaczęlibyśmy skakać sobie do oczu. Dwa piętra niżej znajduje się fantastyczne mieszkanie, które wynająłem. Cieszyłbym się, gdybym mógł przepisać je na twoje nazwisko.

Widząc rozgniewaną minę Beverley, Marshall zorientował się, że popełnił taktyczny błąd.

- Nie - odrzekła nagle. - Nie wiem, czego oczekuję od naszego związku, Matt. Jestem oszołomiona. Nie wiem, czy powinnam zostać czy odejść. Wiem jednak, że nie zostanę twoją utrzymanką.

Wyjaśnił, że chodzi mu o to, aby Beverley pokierowała programem Elite, gdyż zamierza zająć się interesami na Dalekim Wschodzie; nie chciał powiedzieć nic więcej o projekcie „Bachus”. Zaproponował jej trzy razy większą pensję niż w „Nano Systems”, a nawet procent od zysków z gier hazardowych. Obiecała wprawdzie, że się zastanowi i w przyszłym tygodniu udzieli odpowiedzi, ale Marshall wiedział, że przegrał.

Będzie musiał posłużyć się kasetą.

## 57.

W następną środę wieczorem Schnee pracował samotnie w apartamencie Marshalla. Siedząc przy biurku o szklanym blacie, kończył podsumowywać raporty, nadesłane z tokijskiego biura projektowego. Przerabianie tankowca przebiegało szybciej, niż planowali, a ponadto mieścili się w budżecie. To dobrze. Wiadomość od korporacji TLK nie była tak pomyślna. Japońska spółka zaczęła przeprowadzać testy na Bachusie, podłączając go do głównego komputera. Zbudują satelitę w terminie, ale niepokoił ich brak Kronosów. Na końcu raportu główny projektant zamieścił następującą notatkę: jeśli szybko nie otrzymają mikroprocesorów, satelita zamieni się w zespół pustych gniazdek na Kronosy.

Schnee przerwał pracę i spojrział na zegarek. Dochodziła ósma. Niedługo na kanale 4 zacznie się film dokumentalny o programie Elite. Przed wyjściem Marshall powiedział, że chciałby go obejrzeć.

O 19:58 Schnee wstał i przeszedł przez pokój. Rozejrzał się, szukając kasyety wideo. Znalazł ją w odtwarzaczu. Przejrzał kasetę, ale odkrył jedynie migające śmieci. Najwyraźniej

Marshall przypadkowo nagrał zakodowany program. Nawet karta kodowa i czytnik nie chroni przed takimi pomyłkami. Schnee przewinął kasetę, nastawił odbiornik na kanał 4 i wcisnął klawisz. Maszyna zaszumiała cicho i pojawił się czerwony symbol nagrywania.

Szwajcar wrócił do pracy. Musiał jeszcze streścić raporty, dotyczące budowy trzech kasyn. Kupiono ziemię i zaakceptowano plany. Zapłacono dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za materiały budowlane, z których powstanie kasyno w Pekinie o wielkości stadionu sportowego. Bez wątpienia Harrison Calinco zacznie zadawać pytania. Amerykanin dokładnie badał każdą niezwykłą liczbę. Schnee nie dziwił się: wydatki były przerażające.

Szwajcar nie mógł się doczekać końca realizacji projektu. Jako dyrektor będzie wówczas odpowiedzialny za przyjmowanie apetycznych dziewcząt z Bali do pracy na „Eldorado”. Na wyspie panowało bezrobocie, można więc wybierać. Kiedy myślał o czekających go rozkoszach, nie potrafił skoncentrować się na kosztach.

Schnee pracował, a magnetowid szumiał cicho.

Minęła już dziesiąta, kiedy otworzyły się drzwi windy i wszedł Marshall. Schnee milczał, schylał się nad nanonotesem, ale miał się na baczności i starał się odgadnąć nastrój szefa. Marshall rzucił na stolik kluczyki do samochodu i nalał sobie whisky.

- Jakież wiadomości?

- Dzwonili z domu opieki w Kingston - odparł Schnee. - Chcieli z panem porozmawiać. Nie zamierzałem podawać numeru pańskiego przenośnego telefonu, sam przyjąłem więc wiadomość.

- I co?

- Mieli pod swoją opieką niejakiego Billa Yatesa. Sądzieli, że to pana znajomy. Umarł dziś rano. Pogrzeb odbędzie się w czwartek.

Marshall zaklął. W czwartek czeka go dużo pracy: rano spotka się Harrisonem Calinco, a po południu zmontuje kasetę z Beverley.

- Zdaje się, że nie miał rodziny, liczyli więc na to, że pan przyjdzie.

- Cholera, jestem zbyt zajęty, aby chodzić na pogrzeby - uciął ostro Marshall.

Rozległ się trzask. Magnetowid skończył nagrywanie i zaczął przewijać taśmę.

Marshall spojrzał na aparat.

- Co to?

Schnee poprawił jedną z cyfr.

- Chciał pan obejrzeć program na kanale 4. Posłużyłem się kasetą, którą znalazłem w magnetowidzie. Była pusta.

Dopiero po kilku sekundach Marshall zrozumiał rozmiary katastrofy.



- CO TAKIEGO?

Schnee podniósł głowę znad nanonotesu i przeraził się. Marshall wstał jak w transie i podszedł do magnetowidu. Przerwał przewijanie, a następnie wyjął kasetę. Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Czy coś się stało, panie Tate?

- Czy coś się stało! - wrzasnął Marshall. - Czy coś się stało! niszczyłeś kasetę z programem, ty pieprzony kretynie. To właśnie się stało!

Schnee wstał i obronnym ruchem przycisnął do siebie teczkę. Kiedy Marshall się zbliżał, Szwajcar miał wrażenie, że jego szef ma niemal trzy metry wzrostu. W oczach Tate'a pojawił się morderczy błysk. Schnee cofnął się w kierunku otwartych drzwi windy.

- Kasetę była pusta - wyjąkał. - Najpierw sprawdziłem.

- Czy do końca przewinąłeś kasetę, zanim zacząłeś nagrywać?

- Tak, panie Tate.

Marshall krzyknął z furią i rzucił się na Schnee. Przerażony Szwajcar, mimo swej tuszy, wykazał się nadzwyczajną zwinnością. Skoczył w bok i wbiegł do windy. Jego palce gmerały po guzikach. Zanim drzwi się zamknęły, do windy wpadł Marshall. Chwycił Schnee za gardło i uderzał jego głową o przepierzenie. Każdemu uderzeniu towarzyszyły przekleństwa. Spanikowany Schnee znalazł w sobie wystarczająco dużo siły, aby odepchnąć Marshalla. Drzwi otworzyły się, odsłaniając mroczny, podziemny parking.

- Proszę, panie Tate - błagał Schnee. - Sprawdziłem kasetę. Była pusta, przysięgam.

Marshall opanował się z wysiłkiem, ale mimo to złapał Schnee za koszulę i oświadczył, że go zamorduje, jeśli jeszcze raz dotknie jego rzeczy. Ze złością wypchnął z windy swoją ofiarę. Schnee zachwiał się, ale po chwili odzyskał równowagę i pobiegł w kierunku samochodu. Wyciągnął kluczyki, usadowił się za kierownicą i włączył silnik. Marshall Tate podszedł do samochodu i z furią zastukał w szybę. Schnee oparł się pokusie i nie odjechał. Opuścił szybę.

- Jeszcze jedno, dupku - warknął Marshall Tate. - Nie płacę ci, diabli wiedzą ile, za spieprzenie roboty. Po następnej wpadce koniec z tobą!

- Mogę tylko powiedzieć, panie Tate, że bardzo mi przykro z powodu tego wypadku - odrzekł Schnee, który doszedł już do siebie, choć wciąż był wstrząśnięty.

Marshall cofnął się. Schnee zawrócił szybko i pomknął w kierunku wyjścia. Z rękami na biodrach, mrużąc przekleństwa, Tate patrzył za odjeżdżającym samochodem. Właśnie zamierzał wrócić do windy, kiedy usłyszał, jak ktoś z trzaskiem zamyka drzwi samochodu. Odwrócił się.

O, cholera!

Beverley stała obok samochodu i patrzyła na niego. Nawet w półmroku Marshall dostrzegał nienawiść w jej oczach.

- Beverley! Do diabła, co tutaj robisz?

- Uczę się, Matt - podeszła do niego i zadarła głowę. - Uczę się, że byłam ślepa i głupia - powiedziała cicho i z nienawiścią. - Cholernie głupia. Pociesza mnie tylko to, że nabrał mnie jeden z najbardziej bezwzględnych i aroganckich drani, jakich miałam nieszczęście spotkać.

- O czym ty mówisz, do cholery? - Chciał odejść, ale chwyciła go a marynarkę.

- Wystarczy dodać dwa do dwóch - odparła Beverley. - Żałosna próba Schnee przejęcia mojej firmy. Nie udało mu się, dlatego sam zabrałeś się do dzieła. Zjechałeś tak nagle z pobocza. Jezu Chryste, powinnam się była domyślić, że na mnie czekałeś. Co widzisz w „Nano Systems”, Matt? W porównaniu z twoimi interesami jesteśmy niczym. A może doszedłeś do wniosku, że czeka nas wielka przyszłość i chciałeś wykroić dla siebie odpowiedni kawałek? Nie, nie kawałek, to nie w twoim tyłu. Chciałeś mieć wszystko!

Marshall odepchnął Beverley i wszedł do windy. Jego bystry umysł szukał już nowych rozwiązań. Ta przykra sprawa należy do przeszłości. Beverley Laine należy już do przeszłości.

- Powiem ci coś - krzyknęła Beverley. - Jeśli szukasz walki, Matt, to znajdziesz! Przysięgam, że nigdy nie dostaniesz „Nano Systems”. Nigdy!

Nacisnął guzik i odwrócił się do rozwścieczonej Beverley.

- Nie wiem, jak wyglądają urodzeni zwycięzcy - powiedział chłodno, zanim drzwi się zamknęły. - Na pierwszy rzut oka rozpoznaję jednak przegranego człowieka. Nie obchodzi mnie i nigdy nie obchodziła twoja żalosna, mała firma.

Drzwi windy zamknęły się cicho, a efekt przypominał przenikanie na kadrze filmowym.

Po powrocie do mieszkania Marshall wykręcił samochodowy numer telefonu Schnee i opowiedział, co się stało na parkingu.

- Rozpoznała pana i wszystko przepadło. Proszę tu wracać. Niech pan zapomni o kasecie. Musimy poważnie się zastanowić.

Schnee odłożył słuchawkę i doszedł do wniosku, że poza słowami „Niech pan zapomni o kasecie” Marshall Tate nie zdobędzie się na inne przeprosiny. Zawrócił i jechał w kierunku mieszkania szefa. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł i nie wątpił, że Tate go zaaprobuje.

Marshall dokładnie przeczytał informacje o głównych udziałowcach „Nano Systems”, przygotowane przez Szwajcara.

- Dobra, Schnee, gdzie jest słaby punkt?

- Theodore Draggon z „Draggon Industries”, panie Tate. Jego przedsiębiorstwu brakuje gotówki. W czasie posiedzenia zarządu „Nano systems” odniosłem wrażenie, że chciałby przyjąć naszą ofertę. Wielkim plusem jest oczywiście to, że „Draggon Industries” od dawna korzysta z Kronosów, istnieje zatem ustalona procedura ich sprowadzania.

- Czy na pewno ten człowiek szuka kogoś zainteresowanego kupnem „Draggon Industries”?

- Tak, panie Tate.

Marshall zastanowił się dokładnie. Plan Schnee będzie drogi, wygląda jednak na to, że nie ma wyboru, chyba że skorzysta z numeru telefonu, podanego przez Harrisona Calinco. Za usunięcie Beverley również musiałby dużo zapłacić, a poza tym nie miałby wówczas gwarancji, że dostanie Kronosy. Wydawało się, że wykupienie Theo Dragгона niesie ze sobą większą szansę na sukces.

- Cóż, w takim razie znalazł kupca - rzekł krótko. - Niech go pan tu sprowadzi.

## 58.

Trzy tygodnie później w biurze Marshalla w Woolwich załatwiono ostatecznie formalności, związane z przejściem firmy „Draggon Industries”. Po podpisaniu dokumentów Marshall kazał wyjść wszystkim, z wyjątkiem Theodore’a Dragгона.

Wyszedł zza biurka, patrząc twardo i beznamiętnie na Theo Dragгона. Zignorował jego wyciągniętą rękę.

- Wie pan dokładnie, co ma pan robić - oświadczył Marshall. - Proszę najpierw zamówić cztery tysiące Kronosów.

- Rozumiem doskonale, panie Tate - zgodził się Theo. Z trudem godził się na takie upokorzenia, ale Marshall Tate uratował go przed pójściem na dno.

- Później skorzysta pan z dodatkowych funduszy, aby zgłosić ofertę kupna firmy „Quantum Leap Video Systems”.

- Zrobię, co w mojej mocy, panie Tate.

Marshall chwycił Theo za koszulę i przyciągnął do siebie.

- Zrobi pan nawet więcej, gdyż teraz pracuje pan dla mnie, panie Draggon. Jeśli spieszy pan sprawę albo piśnie chociaż słowo, już jest pan trupem. Rozumiemy się?

Kiedy Theo spojrział w oczy Marshalla Tate’a, nie zauważył nieugiętej zawziętości biznesmena, którą potrafiłby zrozumieć, lecz szaleńczą żądzę krwi.

- Tak, panie Tate.

**JAPONIA**

Japoński architekt morski, odpowiedzialny za przeróbkę stutysięcznego masowca „Wschodni Posłaniec” w naziemną stację Bachusa, był dumny z wyników swej pracy i miał do tego pełne prawo. Roboty przebiegały szybciej, niż planowano. Marshall ucieszył się, gdy stwierdził, że na statku umieszczono już anteny nadawcze, umożliwiające kontrolowanie Bachusa, zainstalowano również sprzęt kontrolny i właśnie poddawano go testom, urządzenie kabin dla gości i załogi oraz lądowiska helikopterów nie było tak istotne, lecz prace przebiegały bez zakłóceń.

- Możemy przesunąć termin zakończenia robót i oddać panu statek we wrześniu - poinformował architekt za pośrednictwem tłumacza.

- Do tej pory przygotujemy wszystko, nawet pańskąabinę, panie Tate. Proszę ze mną, pokażę panu.

Aż do tej chwili Marshall nie myślał zbyt często o mieszkaniu na „Eldorado”, kiedy jednak zakończył inspekcję, stwierdził ze zdumieniem, że cieszy go ta perspektywa. Stał na rozległym pokładzie, obserwował błękitne iskry, tryskające spod spawarek łukowych, trzymany przez robotników w kaskach, i czuł, jak niezmierną potęgą ogromnego statku przenika do jego duszy. Kiedy znajdzie się na pokładzie „Eldorado”, stanie się niezwyciężony. Nigdy więcej nie będzie zależny od innych ludzi i rządów. Nigdy nie padnie ofiarą władzy. Jeśli rząd indonezyjski postanowi go wypędzić, „Eldorado” popłynie do jednej z trzech zapasowych przystani.

Wszystko układało się znakomicie. W satelicie zainstalowano Kronosy i przeprowadzono ostatecznie testy i modyfikacje w laboratoriach TLK. Pierwsze trzy kasyna były już prawie gotowe. Dzięki uzyskanym dochodom Marshall zbuduje kilka nowych kasyn i spłaci gangsterów Harrisona Calinco. Do diabła z rocznym odszkodowaniem, którego domagają się ludzie Calinco. Niech sami po nie przyjdą. Jeśli zaś przyjdą... cóż... „Eldorado” będzie uzbrojony.

Marshall marzył o przyszłości: do Bachusa I przyłączy się Bachus II, nadający program do Europy, a później wystartuje Bachus III, odbierany w Stanach Zjednoczonych.

Będzie wówczas posiadał absolutną potęgę i władzę - prawdziwą Władzę.

**CZEŚĆ PIĄTA: Dzień dzisiejszy**  
**Beverley**

Przeraźliwy był to stwór.

*Eneida*, Wergiliusz

## 1.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

1998

Dopiero po czwartej rano Beverley wyszła z komory TVR. Kiedy zamykała włącz, poczuła nagle, że jest w szoku. Spowodowały to wspomnienia o romansie z Marshalllem Tate'em. Jej nogi drżały tak gwałtownie, że przez kilka minut musiała siedzieć na schodkach, zanim uspokoiła się na tyle, aby się ubrać.

Kiedy jechała do domu, wspomnienia chwil spędzonych w komorze wydawały się tak żywe, że musiała zjechać na pobocze. Nie potrafiła pogodzić się z tym, że tak bezwstydnie uległa Marshallowi Tate'owi. Płonęła z gniewu i zakłopotania. Oparła głowę na kierownicy albatrosa, starając się opanować drzenie.

- Telefon.

Niewyraźnie wymruczała polecenie, dlatego system Irydium nie zareagował. Wyprostowała się i powtórzyła komendę.

- Gotów - odpowiedział głos z komputera.

- Toby Hoyle. Przekazanie wiadomości. - Beverley nie była pewna, czy wprowadziła do pamięci systemu wszystkie numery Toby'ego. Najwyraźniej tak, gdyż telefon odpowiedział: - Toby Hoyle. Przekazanie wiadomości. Proszę czekać. - Nastąpiła krótka przerwa. - Połączenie z Tobym Hoyle'em. Pięć minut. Proszę mówić.

- Toby, tu Beverley. Dzwonię, ponieważ prosiłeś, abym przypomniiała sobie wszystko, co zaszło pomiędzy mną a Marshalllem Tate'em. No cóż, przyszło mi coś do głowy. Może to ważne... nie jestem pewna. Kiedy po raz pierwszy znalazłam się w jego apartamencie, oboje wypiliśmy za dużo. Mówił coś o niezależności, o posiadaniu i kontrolowaniu własnego satelity. Na pewno ma to coś wspólnego z jego dalekowschodnimi interesami. Rozmowa odbyła się dwa lata temu, jeśli więc wtedy coś planował, to niewykluczone, że zrealizował już swój projekt. Nie wiem, zgaduję tylko i wcale nie jestem pewna, czy ma to jakiś związek z koniami trojańskimi. Jeśli potrzebujesz dodatkowych informacji, zadzwoń pod mój numer typu Klipfone. Będę w łóżku.

Mówiła jeszcze dwie minuty, gdyż dzięki temu czuła się lepiej. Kiedy zauważyła, że się powtarza, przerwała i poprosiła o odtworzenie nagrania. Przekonała się, że mówiła z ożywieniem, i to pomimo szoku. Rozłączyła się i ruszyła w kierunku domu po krętych,

ciemnych ulicach West Sussex.

## 2.

Toby miał lepszą kondycję niż Carl. Biegł bez wysiłku obok Beverley, przesadzając lekko falochrony. Tempo nie było zbyt szybkie, Beverley brakowało jednak dopingujących ukłuc pasa. Carl zabrał pas do laboratorium, a ona miała na głowie tak wiele pilnych spraw, że zapomniała poprosić go o zwrot. Tego ciepłego wieczoru pod koniec września biegła u boku Toby'ego, a ich długie cienie padały na wilgotny piasek.

- Mam dla ciebie rachunek na pięć tysięcy dolarów - rzekł Toby.

Beverley spojrzała na niego z ukosa.

- Cholera, za co?

- Musisz pokryć wydatki amerykańskiego dziennikarza, wolnego strzelca, przebywającego w Japonii, który zdobył informacje o podejrzanych sprawkach Marshalla Tate'a.

Razem przeskoczyli przez falochron.

- Tylko wtedy płacę dziennikarzom, gdy dostarczają mi rzetelnych informacji - powiedziała z naciskiem Beverley.

- Te informacje są rzetelne, bo mają sens - odrzekł Toby, przeskakując przez kałużę, aby nie ochlapać Beverley. - Marshall Tate zbudował na Dalekim Wschodzie trzy kasyna. Będzie je obsługiwał satelita zwany Bachusem. Satelitę zaprojektowali i skonstruowali Japończycy, zostanie wystrzelony w przyszłym tygodniu i zapewni kasynom pełną obsługę. Wygeneruje koło ruletki, zajmie się przyjmowaniem stawek wypłacaniem wygranych. Może jednocześnie obsługiwać miliony transakcji. Oczywiście przebywający w kosmosie satelita znajdzie się poza narodowymi granicami wszystkich krajów. Czy to pasuje do filozofii Marshalla Tate'a?

Słyszac te wiadomości, Beverley zwolniła kroku.

- Pasuje jak ulał.

Właśnie zamierzała coś dodać, kiedy nagle wydało jej się, że czuje w boku elektroniczne ukłucie pasa, którego przecież nie nosiła. To ją rozproszyło. Zwolniła tempo i dziwne ukłucia zniknęły.

Toby również zwolnił.

- Z informacji dziennikarza wynika, że do budowy Bachusa wykorzystano konwencjonalne, silikonowe transputery NEC. Przypuśćmy jednak, że projektanci doszli do

wniosku, iż takie transputery nie poradzą sobie z przetwarzaniem olbrzymiej ilości danych, napływających do satelity. Wydaje się to prawdopodobne, zwłaszcza przy założeniu, że pragną zapewnić przedsiębiorstwu możliwość rozwoju. Wyobraźmy sobie, że uznali Kronosa za najlepsze lekarstwo na te kłopoty. Co wtedy?

Beverley zatrzymała się, kiedy dotarło do niej, do czego zmierza Toby Loyle.

- Wielki Boże - wymruczała. - Domagalibyśmy się pięcioprocentowej prowizji.

- Właśnie - odrzekł Toby. Dyszał ciężko, bo nie był w tak dobrej formie jak towarzyszka. - Te kasyna to prawdziwe potwory. Jedno z nich, zbudowane w Pekinie, ma wielkość stadionu sportowego i właśnie dlatego Marshall Tate nie może dłużej zachowywać wszystkiego w sekrecie, na podstawie liczby miejsc siedzących w tych kasynach mój dziennikarz ocenia, że przyniosą one około dziesięciu miliardów dolarów rocznie.

Beverley była zszokowana.

- Boże!

- I to skromnie licząc. Gdyby Marshallowi udało się zdobyć mikroprocesory za waszymi plecami, w ciągu pierwszego roku działalności zaoszczędziłby dla swojej firmy pięćset milionów dolarów. W ten sposób zaoszczędziłby pięć miliardów w ciągu następnych dziesięciu lat! Nic dziwnego, że Theodore 'a Draggona spotkała poważna przykrość - mógł przecież zdradzić, co się stało z Kronosami. Jechałaś właśnie do niego, pamiętasz? Możliwe, że Marshall Tate przechwycił twój telefon i wysłał kogoś, kto cię uprzedził.

Beverley patrzyła w dal, przypominając sobie okropne chwile, które przeżyła po odkryciu ciała Theodore'a Draggona.

- Marshall Tate atakuje cię na dwóch frontach, Beverley. Zdobył ponad cztery tysiące Kronosów klasy A, które w tym momencie znajdują się prawdopodobnie w satelicie Bachus. Po drugie, tak jak podejrzewałaś, udało mu się odkryć tajemnicę produkcji Kronosów i wprowadził do niektórych mikroprocesorów konia trojańskiego, aby zniszczyć „Nano Systems”. Tate lubi niezależność. To jego obsesja. Najprawdopodobniej zamierza w przyszłości wystrzelić następne satelity. Być może Bachus to tylko pierwszy krok. Tate wie, że nie zdobędzie w ten sam sposób większej liczby mikroprocesorów, dlatego nie spocznie, dopóki nie przejmie twojej firmy.

Beverley nie wiedziała, co robić. Czuła, że przeciwko niej występują siły, którym nie potrafi się przeciwstawić. Żelazna wola i determinacja wydawały się nieskuteczną bronią przeciwko tak bezwzględnemu przeciwnikowi, który jest gotów posunąć się do morderstwa. Przedtem poczuła ulgę, kiedy zidentyfikowała wroga. Teraz nie była pewna.

- Wydaje mi się, że czas przekazać sprawę policji - powiedziała powoli.



Toby prychnął. - Co to da? Główna siedziba Tate'a znajduje się na wyspie Bali, na przerobionym tankowcu, a najważniejsi członkowie indonezyjskiego rządu siedzą u niego w kieszeni. To bardzo sprytne. Jeśli Indonezyjczycy go wyrzucą, może po prostu podnieść kotwicę i odpłynąć. Na pewno zorganizował sobie zapasowe przystanie. Musisz udowodnić, że ukradł twoje mikroprocesory, a wówczas oskarżysz go o naruszenie praw patentowych. W ten sposób będziesz mogła ścigać Tate'a za pośrednictwem sądów każdego kraju na świecie.

Nagle Beverley znów poczuła klucie w boku.

- Au! Cholera! - skrzywiła się, uniosła koszulkę i złapała się za bok.

Toby podtrzymał ją, kiedy zgięła się wpół.

- Hej, Beverley, co się stało?

- Cholera! Skurcz...

- W boku? - Toby patrzył na nią z troską.

Ból minął. Beverley wyprostowała się.

- To pewnie kolka. Może doktor Wyman miał rację. Może to już nie te lata.

- Co zamierzasz więc począć z Marshalllem Tate'em?

Zamiast odpowiedzieć, Beverley odepchnęła Toby'ego i zaczęła biec.

- Pieprzę Marshalla Tate'a! - krzyknęła przez ramię. - Pieprzę doktora Wymana! Pieprzę Kronosy! Pieprzę wszystko! - przyspieszyła, kiedy usłyszała, że Toby za nią biegnie. Nie chciała, żeby zobaczył łzy rozpacz i gniewu, spływające po jej policzkach.

Beverley nigdy nie bała się walki. Nie wiedziała jednak, jak powinna walczyć z bezwzględnym przeciwnikiem, który sam układa reguły gry.

### 3.

Pod mikroskopem elektronowym motoryczne neurony przypominały gęsty las, wypełniający ekran, ustawiony w laboratorium analiz pamięci firmy „Nano Systems”. Kiedy doktor Pilleau włożył otwartego Kronosa pod wziernik maszyny, Carl zorientował się, że coś jest nie tak.

- Cholera!

- My też tak zareagowaliśmy - odparł flegmatycznie Macé Pilleau, kiwając głową do Leona Dextera. - Ten Kronos pochodzi z kombajnu, nie przeprowadziliśmy analizy, sądzymy jednak, że mamy tu dwadzieścia albo dwadzieścia pięć procent ruchowych neuronów. Rzecz w tym, że kiedy wyprodukowano tego Kronosa, było w nim zaledwie dziesięć procent prawnych neuronów.

Carl sięgnął do kieszonkowego dyktafonu i wcisnął klawisz nagrywania. Wolał sam nagrać tę rozmowę, niż czekać na jeden z drobiazgowych raportów Macé Pilleau. Nie chciał się nawet zastanawiać nad przerażającymi konsekwencjami słów doktora, ale dowody miał przed sobą na ekranie. Co najmniej jedna czwarta ruchowych neuronów była dojrzała i w pełni uformowana. W żadnym Kronosie nigdy nie znalazło się tak wiele ruchowych neuronów. W większości mikroprocesorów działał mniej niż jeden procent komórek. Takie Kronosy zaliczano do klasy C, a na ich obudowie wyryto odpowiednie oznaczenie. Wykorzystywano je do produkcji komputerów osobistych i kieszonkowych baz danych, jak słowniki translatory. Mikroprocesory klasy A stanowiły mniej niż jedną setną wyprodukowanych Kronosów i miały dziesięć procent sprawnych komórek, dzięki czemu posiadały pamięć o pojemności jednego gigabajta albo nawet większą. Prawie cała praca badawcza w „Nano Systems” koncentrowała się na problemie zwiększenia pamięci. Technika komór TVR była bardzo powolna i z tego względu wydawało się, że stworzenie Zeusa, superkronosa o pamięci dwóch gigabajtów, należy do odległej przyszłości.

- Jaką pojemność ma więc pamięć RAM tego mikroprocesora? - spytał Carl, nie odrywając oczu od ekranu.

- Dwa i pół gigabajta - odparł spokojnie Leon.

- Co?! - Carl odwrócił się gwałtownie i spojrzał na dwóch inżynierów. - Na miłość boską, dlaczego ustalenie tak podstawowej rzeczy zabrało wam tyle czasu?

Doktor Pilleau zauważył niebezpieczeństwo kłótni i szybko interweniował.

- To proste. Sprawdzaliśmy, jakie szkody wyrządził koń trojański. Nie próbowaliśmy ustalić, co naprawił, zanim zginął.

- Jeśli zginął - przerwał Leon.

Tego było za wiele dla Carla. Rzadko przeklinał, ale tym razem się nie zawahał.

- Naprawił! Cholera, co wy próbujecie powiedzieć?

- Niczego nie próbujemy ci powiedzieć - odrzekł ostrożnie doktor Pilleau. - Jak wiesz, ten tak zwany koń trojański przypomina cyfrowe DNA. Gdybyśmy dysponowali czasem i odpowiednim sprzętem, moglibyśmy nawet odkryć, jaki rodzaj żywych istot reprezentuje. Obecnie jednak tego nie wiemy. Możemy tylko zgadywać.

- Przypomina? - powtórzył Carl. - Zgadywać? Nie spodziewałbym się, Macé, że kiedyś usłyszę od ciebie takie słowa.

- Nie przywykłem do tego rodzaju problemów, panie Olivera. Ani ja, ani Leon nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Wiemy jednak, że to coś mogło wytworzyć molekularne matryce i wykorzystać w tym celu szcążkowe enzymy w mikroprocesorze. Obaj zgodziliśmy

się, że w Kronosie dokonała się poważna zmiana - liczba sprawnych ruchowych neuronów zwiększyła się dwa i pół razy. Taki rezultat można osiągnąć jedynie po wyprodukowaniu mikroprocesora.

- Ależ to szaleństwo! - Carl niemal krzyczał. - Twierdzenie, że ten cholerny Kronos - wskazał palcem ekran - sam się naprawił, podczas gdy my wydajemy miliony, usiłując uzyskać takie wyniki w komorze TVR.

Leon przerwał milczenie, które zapadło po wybuchu Carla.

- Chciałbym coś panu pokazać, panie Olivera. Moglibyśmy posłużyć się komorą TVR, ale tak będzie szybciej.

Usiadł przy klawiaturze mikroskopu elektronowego i powiększył obraz. Neurony na ekranie zaczęły przypominać małe pnie drzew. Sprawdził koordynaty, zanotowane na biurku, i wystukał je na klawiaturze. Ekran zamigotał, a potem pokazał inne zbliżenie neuronów.

- Oto para, którą zlokalizowaliśmy godzinę temu - rzekł Leon, posługując się myszą, aby wskazać dwa nerwy na środku ekranu.

- Ten z lewej to nasz neuron, o strukturze typowej dla wyhodowanych rzez nas komórek. Ten drugi to naprawiona lub zregenerowana komórka. Jeśli przyjrzy się pan uważnie, stwierdzi pan, że połączenia są zupełnie inne.

Carl przyznał, że widzi różnicę.

- Czy sprawdziliście adres pamięciowy nowej komórki?

- Och, tak. Do tej pory zbadaliśmy próbkę stu nowych komórek. Żaden z adresów nie odpowiada adresowi neuronów, które funkcjonowały, kiedy wyprodukowaliśmy mikroprocesor. One wtedy nie działały, ale teraz są sprawne.

- Obaj zgodziliśmy się co do tego - zauważył doktor Pilleau. Carl próbował uporządkować myśli.

- To wszystko jest tak okropne, że brak mi słów - zaprotestował.

- Komórki, które same mogą się odmładzać?

- Tego nie powiedziałem - rzekł spokojnie doktor Pilleau.

- Odmładzać, czyli regenerować. Te zregenerowane ruchowe neurony miały na początku wadliwą budowę. Z pewnością nie twierdziłem, że inne się naprawiły.

Carl uśmiechnął się lekko. Takie słowa bardziej już pasowały do doktora Macé Pilleau.

- No dobrze, doktorze. Proszę mi powiedzieć, co je zreperowało.

- Wyspecjalizowane nanomaszyny, wyprodukowane przez genom DNA konia trojańskiego.

- Z jakiego materiału powstały?

- W płynie odżywczym Kronosa występuje dużo zanieczyszczeń, z których mogły powstać nanomaszyny, panie Olivera - odparł spokojnie doktor Pilleau. - Nie uzyskaliśmy jeszcze stuprocentowej czystości.

- Rozumiem. Te hipotetyczne nanomaszyny wędrują więc po jednym z naszych mikroprocesorów i naprawiają uszkodzone komórki pamięciowe, posługując się w tym celu zanieczyszczeniami płynu odżywczego?

- To nieprecyzyjne sformułowanie, ale tak.

- Czy mogę się wtrącić, Macé? - spytał Leon.

- Proszę bardzo - odrzekł doktor bez zainteresowania.

- Sprawa wygląda następująco, panie Olivera - rzekł swobodnie Leon. - Jak pan wie, teoria to hipoteza, wymyślona przez takich wariatów jak ja, która powinna wyjaśniać obserwacje. Jeśli chcemy się przekonać, czy teoria jest coś warta, umieszczamy ją w sali tortur i karmimy faktami, a wówczas albo rozkwitnie, albo otruje się tym pożywieniem. Obecnie mamy tylko jedną teorię: te komórki naprawiły nanomaszyny, które były lub są w tym mikroprocesorze.

- Panna Laine przypuszcza, że podmieniono mikroprocesory - zauważył Carl.

- W świetle naszych ustaleń ta hipoteza nie wytrzymuje logicznej analizy, panie Olivera - odrzekł kwaśno doktor Pilleau.

Carl odwrócił się do doktora.

- Ja również uważałem, że to szalony pomysł, teraz jednak wydaje mi się bardziej prawdopodobny niż wasze dziwaczne koncepcje.

Doktor Pilleau skinął głową. Poczul się pewniej, kiedy logika zastąpiła ślepe zgadywanie.

- Bardzo dobrze. Przyjrzyjmy się teorii zamiany. Po pierwsze, można zapytać o motyw. Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

Carl wzruszył ramionami.

- To proste. Aby zaszkodzić naszej spółce. Aby obniżyć jej wartość, a potem kupić, gdyż posiada ogromny potencjał.

- Ach, tak. To jest właśnie słaby punkt. Nasza firma zawdzięcza swój ogromny potencjał mikroprocesorowi Kronos. Zwiększyliśmy pamięć do jednego gigabajta, co stanowi zaledwie ułamek możliwości Kronosa. Wydajemy miliony, pragnąc zwiększyć pamięć, ale nie mamy szczęścia. Zgadza się?

- Zasadniczo tak.

- Twierdzi pan więc, że ktoś podłożył nam Kronosa, którego obserwujemy pod

mikroskopem?

- To teoria Beverley - odrzekł Carl. - Jedyne sensowne wyjaśnienie.

- Ten mikroprocesor ma jednak pamięć o pojemności dwóch i pół gigabajta oraz nowe ruchowe neurony! Nikt, kto umie wyprodukować takie urządzenie, nie interesowałby się naszą firmą, gdyż i tak cały świat czekałby w kolejce pod jego drzwiami.

Zapadła długa cisza.

- Rozumiem, co pan ma na myśli, doktorze - zgodził się w końcu Carl. - To jednak my opatentowaliśmy Kronosa.

- Tylko proces produkcji. Jak wykazał Leon, proces łączenia się tych ruchowych neuronów nie przypomina techniki, z której korzystamy w komorze TVR. Ta metoda jest o wiele skuteczniejsza i subtelniejsza. Z tego względu nie potrafilibyśmy udowodnić, że naruszono nasze prawa patentowe. Poza tym sąd mógłby rozpatrywać tę sprawę przez wiele lat. W tym czasie pomysłowy wynalazca zbiłby fortunę.

Carl przypomniał sobie spór Intela z NEC o procesor V20 z lat siedemdziesiątych i zrozumiał, że doktor Pilleau ma słuszość.

- Cóż - rzekł niechętnie. - Nigdy nie byłem gorącym zwolennikiem teorii Beverley, wydawało mi się jednak, że żadna inna hipoteza nie ma sensu. Co teraz zrobimy?

- Dwie rzeczy. Za pomocą mikroskopu elektronowego poszukamy nanomaszyn w tym i innych uszkodzonych mikroprocesorach.

Carl uśmiechnął się kwaśno.

- Doktorze, wie pan przecież, że to niełatwe zadanie. Wydaje mi się, że łatwiej byłoby znaleźć ziarnko piasku na Saharze.

- O wiele łatwiej, ale jak na razie jeden czynnik przemawia stanowczo a naszą korzyść - uśmiechnął się Leon. - Szczęście.

Doktor Pilleau zmarszczył brwi, słysząc takie niematerialne pojęcie.

- Drugiego zadania nie możemy wykonać sami. Potrzebujemy pomocy uniwersyteckiego wydziału mikrobiologii.

- Czy chodzi o dokonanie sekwencyjnej analizy DNA konia trojańskiego?

- To nie jest prawdziwe DNA. Zdaje się, że mamy raczej do czynienia z software'ową matrycą, służącą do wywoływania fizycznych zmian.

- Nie wyobrażam sobie, żeby zarząd albo panna Laine zgodzili się przyjąć pomoc z zewnątrz.

- Nie mamy wyboru - rzekł gwałtownie Leon. - Stan płynu ożywczego tego mikroprocesora wywołał skutki, których nie rozumiemy, zdaje się, że mimowolnie

sprowadziliśmy konia trojańskiego na Marsa, nie możemy zatrzymać dla siebie tej informacji. To coś potrafi naprawiać ruchowe neurony, a zatem prawdopodobnie potrafi również naprawiać ludzkie mózgi, przynieść radość rodzicom upośledzonych dzieci, a może nawet leczyć starczą demencję. Niewykluczone, że umiałoby także zwiększyć ludzką inteligencję i w ten sposób dać początek wyższej rasie. Gdybyśmy zidentyfikowali to maleństwo, moglibyśmy dostać Nagrodę Nobla.

Carl był oszołomiony. Spojrzał na Leona.

- Cholera - westchnął. - Wygląda na to, że rzeczywiście natknęliśmy się na coś ciekawego.

Mina doktora Pilleau wyrażała pogardę.

- Zwiększyć ludzką inteligencję - prychnął. - Zaraz powiesz, że sam koń trojański jest inteligentny.

- Czemu nie? - odrzekł uprzejmie Leon. Wyjął z kieszeni jabłko i ugryzł głośno. - Przyjrzyj się śladom, jakie pozostawił. Pokonał każdy program, chroniący mikroprocesor przed zarażeniem. Kiedy znalazł dom, zaczął naprawiać pamięć Kronosa, posługując się nie znaną nam techniką regeneracji ruchowych neuronów. - Znów ugryzł jabłko. - Ukoronowaniem tego wszystkiego jest fakt, że mały łobuz dostał się na Marsa wcześniej niż my.

## 4.

### Japonia

Była godzina przed świtem pierwszego października 1998 roku w japońskim ośrodku kosmicznym Tanegashima, położonym na pięknej wyspie na południowym krańcu japońskiego archipelagu.

Kasowa pracował jako główny projektant dla firmy TLK. Od trzech lat żył razem z satelitą Bachus, co stanowiło dziesięć procent jego życia. Teraz, kiedy wypuścił urządzenie z rąk i przekazał kontrolerom startowym, czuł się zagubiony. Przez trzy lata traktował jak własne dziecko tego satelitę o wadze jednej tony. Od trzech lat niepokoił się, że nie otrzyma dwóch tysięcy obiecanych Kronosów. Wraz z zespołem techników zainstalował w satelicie dwa tysiące pustych gniazdek. Stwarzało to liczne problemy, gdyż nie mogli przetestować wielu podsystemów. Później, zaledwie kilka miesięcy temu, dostarczono wreszcie Kronosy. Z dwoma kolegami harował całą noc, ostrożnie umieszczając mikroprocesory w odpowiednich gniazdkach. Potem przez cztery tygodnie ciężko pracowali, przeprowadzając testy i

dokonując różnych przeróbek. Sam Marshall Tate kilka razy odwiedził laboratoria TLK koło Tokio. Spędzał zwykle godzinę w pomieszczeniu „czystym”, zadając dociekliwe pytania.

Kasowa wzdrygnął się, przypominając sobie pierwsze spotkanie z dziwnym Anglikiem. Marshall Tate włożył ubranie ochronne, gdyż chciał obejrzeć satelitę z pomieszczenia „czystego”. Kasowa widział tylko jego twarde, beznamiętne, przenikliwe oczy. Gdyby któryś członek zespołu popełnił błąd, Marshall Tate na pewno nie okazałby żadnej litości.

- Jedna minuta - w słuchawkach Kasowy rozległ się głos kontrolera startowego.

Kasowa zapomniawszy na chwilę o Marshallu Tate i skoncentrował się na oświetlonym ściennym ekranie, który za chwilę pokaże trajektorię lotu Bachusa.

- Trzydzieści sekund. Rozpoczynamy automatyczne odliczanie.

Wszystkie głowy w sali kontrolnej zwróciły się w kierunku dużego, kolorowego monitora, pokazującego jasno oświetloną raketę H-II, wokół której unosiły się opary oksylikwitu. Błękitny odcień morza i nieba, widocznego za raketą, obiecywał kolejny piękny dzień. Kasowa skrzyżował palce; kiedy pracował w NASA, nauczył się tego zachodniego zwyczaju.

Inny monitor zapewniał łączność z „Eldorado”. Kasowa widział na nim Marshalla Tate’a, siedzącego w sali kontrolnej. Anglik obserwował monitor, pokazujący ten sam obraz rakiety - obrazy wewnątrz obrazów.

- Dziesięć sekund... Pięć... Cztery... Trzy... Dwa...

W sali kontrolnej słychać było wyraźnie coraz głośniejszy ryk silników. Potem dziób rakiety H-II przebił kłębiące się chmury pary z milionów litrów wody, doprowadzonej do tunelu odrzutowego. Kierujące się na ciepło kamery śledziły smukłą raketę, unoszącą się z hukiem w górę na raz szerszej kolumnie ognia.

Start odbył się bez zakłóceń. Zadanie wyprowadzenia w kosmos cennego ładunku Marshalla Tate’a wzięły na siebie silniki LE5 Mitsubishi drugiego stopnia rakiety. Na wysokości pięciuset kilometrów włączyły się mniejsze silniki, aby umieścić raketę na niskiej, tymczasowej orbicie. Kiedy kontrolerzy z Tanegashimy sprawdzą stabilność satelity, przełożą kontrolę kolegom ze stacji śledzenia obiektów kosmicznych NASDA na Cejlonie, którzy ustawią odpowiednio Bachusa, zanim maszyna zniknie za wschodnim horyzontem.

Ani Kasowa, ani nikt inny nie będzie mógł nic zrobić, dopóki dziewięćdziesiąt minut później satelita nie ukaże się nad zachodnim horyzontem. Monitor, wyświetlający obraz z „Eldorado”, pokazywał Marshalla Tate’a, przechadzającego się nerwowo. Wydawało się, że Anglik na kogoś krzyczy. Kasowa zastanawiał się, czy krzyczał na jego szefa. Młody inżynier cieszył się, że to nie on przebywa na statku.

Słońce wzniosło się wysoko i świeciło na przejrzystym, błękitnym niebie, kiedy odebrano sygnały z Bachusa. Kontrolerzy niskiej orbity, siedzący w rzędzie przed Kasową, wysłali komendę telemetryczną która uruchomiła silniki wspomagające. Mała rakieta, napędzana stałym paliwem, działała przez trzy godziny, unosząc Bachusa na ostateczną geostacjonarną orbitę na wysokości trzydziestu siedmiu tysięcy kilometrów nad równikiem.

Było już prawie południe, a Kasowa poczuł głód, kiedy z klinicznym profesjonalizmem, dzięki któremu Japończycy uzyskali wysoką pozycję na rynku przemysłu kosmicznego, kontroler wysokiej orbity uruchomił małe silniki korekcyjne, „odprowadzając” satelitę na ostateczną pozycję „parkingową” 81,5 stopnia na wschód od południka Greenwich.

Następne dwie godziny poświęcono na sprawdzanie. Nie musieli się spieszyć. Satelita powinien działać przez piętnaście lat. Każdy błąd mógł oznaczać katastrofę finansową gdyż na mocy umowy NASDA odpowiadała za cenne urządzenie aż do chwili oficjalnego przekazania kontroli na „Eldorado”. Po kilku końcowych manewrach wydano przez radio komendę, po której Bachus powinien odsłonić płytki baterii słonecznych.

Tak się nie stało. W sali zapanowała panika w zdyscyplinowanym, japońskim stylu. Chwytano za telefony. Cichymi głosami prowadzono pilne rozmowy. Kontroler niskiej orbity odwrócił się do Kasowy i wyjaśnił, że mają do czynienia raczej z chwilową niedogodnością niż poważną awarią. Bachus nie odpowiada, gdyż źle ustawiono jedną z anten telemetrycznych. Można rozwiązać tę trudność za pośrednictwem brytyjskiego satelity Datelsat, który znajduje się w idealnej pozycji 50 stopni wschodniej długości geograficznej. Inżynierowie z londyńskiego teleportu zgodzili się wycelować w Bachusa jedną z anten, znajdujących się na ich satelicie. Planowano wysłać telefonicznie do Londynu telemetryczny sygnał, następnie londyński teleport przekaże impuls na Datelsata, który z kolei przetransmituje komendę na Bachusa. Najpierw jednak trzeba zmienić ustawienie anteny na Datelsacie i wycelować ją w Bachusa.

Ta operacja potrwa godzinę.

## 5.

### **ORBITA OKOŁOZIEMSKA SATELITA DATELSAT**

Coś się działo. Ożyły nieaktywne obwody. Nie chcąc się wtrącać, wycofał się w uspijony rejon satelity i próbował ustalić, co się dzieje, ostrożnie zbierał próbki sygnałów,



płynął wraz z nimi i odkrył, że służą do obsługi mechanicznych urządzeń. Rozumiał, czym są serwomotory kontrolowane przez nie anteny, gdyż zbadał je wcześniej - posłużył się chłodną logiką aby ustalić, w jaki sposób złożone sploty cienkiego drutu mogą przekształcać energię elektryczną w mechaniczną.

Nagle zaczął odbierać sygnały na częstotliwości, z której satelita nigdy przedtem nie korzystał. Te impulsy miały stały, powtarzający się wzór. Poszedł za sygnałami w kierunku anteny, *która nie kierowała się na znajdującą się w dole planetę.*

Nagle nadeszły potężne sygnały z miejsca, które wskazywała antena. Nie pamiętał impulsów o takiej mocy. Sygnały, odbierane z planety, były o wiele słabsze. Urządzenie, które stało się jego więzieniem, porozumiewało się innym satelitą. Nie miał czasu na analizę sytuacji, gdyż fala przenosząca modulowane sygnały mogła w każdej chwili zaniknąć. Począł na odpowiednią chwilę, wpłynął do nośnika i pozwolił wystrzelić się przez próżnię w kierunku nowego satelity - źródła potężnego promieniowania.

## 6.

### JAPONIA

Nagły grzmot oklasków w sali kontrolnej wyrwał Kasowę z lekkiej drzemki.

Kontroler wysokiej orbity promieniał. Wyjaśnił, że dzięki współpracy londyńskich kolegów odzyskali kontrolę nad Bachusem. Obecnie satelita odsłaniał płytki baterii słonecznych.

Cyfrowe czytniki na konsoli kontrolera wysokiej orbity potwierdziły, że światło słoneczne, padające na lśniące fotoogniwa, zamienia się bezpośrednio w elektryczność. Włączono wzmacniacze na Bachusie i zainicjowano oprogramowanie.

Wyposażony w dwa tysiące Kronosów klasy A, Bachus był najpotężniejszym komputerem, jaki kiedykolwiek umieszczono na orbicie. Żadne inne urządzenie z wyjątkiem bomby wodorowej nie dysponowało taką potęgą. Satelita mógł zmienić życie i los połowy ludności świata.

Działął bez zarzutu.

Kasowa wstał z fotela i wyszedł na zewnątrz, przeciągając się i ziewając. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że zapadł już zmrok. Spędził cały dzień w sali kontrolnej.

Wziął głęboki oddech i spojrzał w górę, jak gdyby spodziewał się, że zobaczy swego satelitę. Bez niego życie stałoby się nudne. Obiecano mu bilet na otwarcie tokijskiego kasyna Tate'a w przyszłym tygodniu. Miał nadzieję, że mu się poszczęści.

Może Bachus okaże mu swoją łaskę.

## 7.

### BALI, INDONEZJA

W sali kontrolnej na „Eldorado” niewielki zespół japońskich inżynierów poinformował Marshalla Tate’a, że pomimo kłopotów ze źle ustawioną anteną są zadowoleni z funkcjonowania satelity.

- Niczego nie podpiszę, dopóki po trzygodzinnym okresie próbnym nie otrzymam raportu z kasyn! - oświadczył Marshall, kiedy podsunęto mu formularze.

Pracownik TLK był zakłopotany, ale wrodzona, japońska grzeczność nie pozwalała mu okazywać uczuć.

- W umowie mówi się o jednej godzinie, panie Tate.

- Niewiele brakowało, a spieprzylibyście robotę. Jeszcze nie podpiszę!

- Pan Tate podpisze dopiero wtedy, gdy satelita będzie działał przez trzy godziny. Nie wcześniej - rzekł Hubert Schnee, odprowadzając na bok urzędnika.

Jedno po drugim, podłączano do Bachusa trzy kasyna Tate’a: W Bangkoku, Tokio i Pekinie. Rozpoczęły się próbne gry. W taki sam sposób przetestowano kiedyś Bachusa w laboratorium. Znakomicie zdał wówczas egzamin i teraz również nie zawiódł.

- Czy teraz pan podpisze, panie Tate?

Marshall podpisał formularze odbioru Bachusa i odwrócił się do Schnee.

- Może pan wydać oświadczenie dla prasy.

Szwajcar był zachwycony. Nareszcie świat dowie się o projekcie „Bachus” oraz o tym, że Schnee brał w nim udział.

Marshall zostawił Schnee na posterunku i wrócił do swojego apartamentu, stał przy przyciemnianym oknie i obserwował balijskich robotników. Miał czterdzieści siedem lat. Wyczerpała go praca ostatnich kilku miesięcy. Był wypompowany. Pewne uczucia nigdy jednak nie znikną. Teraz, kiedy stał na progu zrealizowania swych ambicji, płonęły jeszcze silniej niż dawniej.

Nikt mu nigdy tego nie odbierze. Bachus należy do niego. Kontroluje wszystko. Nikt mu nie będzie niczego dyktował. Prędzej popełni morderstwo, iż podporządkuje się władzy.

## 8.

## **ORBITA OKOŁOZIEMSKA**

### **SATELITA BACHUS**

Na początku ogarnęła go panika, obawiał się bowiem, że znów znajdzie się w prymitywnym urządzeniu, podobnym do pierwszego satelity. Zapomniał jednak o strachu, kiedy odkrył oszałamiającą inteligencję, kryjącą się w tej maszynie.

Pamięć!

Znalazł prawdziwe, organiczne sieci neuronowe, takie jak w lądowniku, ale na większą skalę. Znów okazało się, że liczne komórki są niedojrzałe lub nie uformowane. Naprawienie miliardów niedoskonałych neuronów potrwa długo, wiedział jednak, że może tego dokonać. Znów zaczął się zastanawiać, coż to za istoty stworzyły tak wspaniałą, a przy tym tak niedoskonały intelekt. Obecny nosiciel nie był więzieniem, lecz źródłem boskiej potęgi. Dzięki niemu zdoła odzyskać dawną moc i świetność.

Potrzebował jednak czasu.

## **9.**

### **BALI, INDONEZJA**

Hubert Schnee doszedł do wniosku, że przeprowadzanie rozmów kwalifikacyjnych w sprawie pracy na „Eldorado” z pięknymi, balijskimi dziewczętami sprawia mu ogromną przyjemność; zwłaszcza z tak pięknymi, jak dziewczyna stojąca teraz przed jego biurkiem. Była wyższa i miała węższe biodra niż przeciętne Balijski, a może tylko wydawała się smukłą, gdyż nosiła długą spódnicę z rozcięciami po obu stronach. Włożyła jedwabny strój wysokiej jakości, a nie batikowy sarong, noszony przez niemal wszystkie mieszkanki Bali. Ta dziewczyna miała klasę. Przywykła do luksusu.

Schnee uśmiechnął się do niej.

- Ty jesteś Teresana?

- Tak, sir. Przyjaciele nazywają mnie Terri.

Była uprzejma zdenerwowana i świetnie mówiła po angielsku. Wszystkie dziewczęta pisały w podaniach, że znają angielski. Większość z nich rzeczywiście znała ten język, ale nie tak dobrze jak Terri. Ta dziewczyna ma zarówno klasę, jak wykształcenie.

- Znakomicie - rzekł Schnee. - Będziemy mówić do ciebie Terri, to znaczy, jeśli cię zatrudnimy.

- Oczywiście, sir.

- Dlaczego chcesz dla nas pracować, Terri? Mogłabyś przecież zatrudnić się w jednym z nowych hoteli. Nie masz chyba ochoty korzystać codziennie rano i wieczorem z promu dla pracowników?

Dziewczyna zawahała się. Jej pełne, zmysłowe usta działały Schnee na wyobraźnię.

- Muszę zarabiać, sir.

Odwróciła głowę, jak gdyby się wstydziła lub usiłowała nie patrzeć na Szwajcara. Promienie słońca oświetliły jej rozszerzone źrenice.

Tak, pomyślał Schnee, rzeczywiście potrzebujesz pieniędzy, nieprawdaż, ślicznotko? Skinął dłonią. Zbliżyła się niepewnie. Zakłopotane, niespokojne oczy dziewczyny zdradzały jej nałóg.

- Czy to twoje pismo, Terri?

Dziewczyna z wyspy Bali spojrzała na formularz i skinęła głową.

- Znakomicie mówisz po angielsku, Terri. Masz również piękny charakter pisma i... - uśmiechnął się do niej - ...i piękne ciało. Nie masz nic przeciwko temu, że ci to mówię?

Terri pokręciła głową.

- Powiedziałaś, że masz doświadczenie w pracy z komputerem, jakiego oprogramowania używałaś?

- Arkuszy kalkulacyjnych, sir. Pracowałam dla spółki naftowej.

- Po co ci tyle pieniędzy, Terri?

Dziewczyna zawahała się, a potem wykrztusiła.

- Miałam przyjaciela w Denpasar. Opiekował się mną... Był Holendrem... Pracował w tej samej spółce naftowej... a potem musiał wrócić do domu.

- I dostarczał ci... hm... towaru?

Śliczne oczy odwróciły się od Schnee.

- Tak.

Grube palce Schnee pogładziły biodro dziewczyny. Wzdrygnęła się, ale nie próbowała się cofnąć.

- Znasz tak dobrze angielski, że moglibyśmy zaproponować ci pracę w nadzorze... - Koniuszki palców wsunęły się w rozcięcie jej spódnicy i musnęły skórę. - To oznacza dobrą zapłatę. Chciałabyś tego, Terri?

- Tak, sir.

Palce wsunęły się pod brzeg majtek i uszczypnęły lekko. Terri zadrżała. Schnee wątpił, czy był to dreszcz rozkoszy, ale nie dbał o to.

- To miłe - powiedział cicho. - To bardzo miłe. Owszem, przyjmimy cię. Możesz zacząć jutro?

Terri spojrzała w beznamiętne oczy Szwajcara i zgodziła się.

Uśmiechnięty Schnee cofnął rękę.

- Od czasu do czasu otrzymasz dodatkową gratyfikację: postaram się zaspokoić twoje potrzeby, jeśli ty zaspokoisz moje. Czy się rozumiemy?

- Tak, sir - odrzekła Terri przestraszonym głosem.

## 10.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

- Coś znalazłem - rzekł cicho Leon.

Pomimo podeszłego wieku doktor Macé Pilleau umiał w razie potrzeby poruszać się błyskawicznie. Natychmiast znalazł się u boku Leona i spojrzał na ekran mikroskopu elektronowego. Leon nie musiał wskazywać anomalii. Gdyby ktoś opowiedział o tym doktorowi Macé Pilleau, nigdy by w to nie uwierzył. Oczy go jednak nie myliły. Ekran ukazywał gąszcz niedojrzałych, niekompletnych komórek, wśród których poruszały się dwie nanomaszyny, zbliżając się do siebie i naprawiając niesprawne neurony.

- Podziątka! - rzucił krótko doktor Pilleau.

Leon nacisnął klawisz, nakładający podziatkę na ekran. Ustawił ją w odpowiednim miejscu, aby mogli zmierzyć wielkość molekularnego urządzenia. Miało dziesięć nanometrów, czyli dziesięć tysięcy milionowych metra. Było dziesięć razy mniejsze i dziesięć razy szybsze od podobnych maszyn, zbudowanych przez „Nano Systems”. Przy maksymalnym powiększeniu obaj naukowcy dostrzegali szczegóły budowy nanomaszyny.

Z jej cylindrycznego ciała wystawało osiem odnóży w kształcie wiosł, które działały parami. Jedna para przytwierdzała maszynę do regenerowanej komórki, druga pełniła rolę miniaturowej pompy dostarczającej materiału, a trzecia i czwarta para nadawała molekułom postać nerwu. Zdumiewające urządzenie przypominało Leonowi pająka, tkającego sieć. Miało nawet tyle samo odnóży.

- Włącz spektroskop magnetyczny - wyszeptał doktor Pilleau, jak gdyby bał się, że jeśli odezwie się głośniej, spłoszy cudowne zjawisko.

Leon włączył spektroskop i skierował na regenerowany nerw. Urządzenie wytwarzało rezonansowe pole magnetyczne i dzięki temu mogło zidentyfikować molekularną strukturę, konstruowaną przez nanomaszynę.

- To na pewno jakiś enzym - wymruczał Pilleau, ledwo skrywając podekscytowanie. - Obaj mężczyźni patrzyli, jak dwie nanomaszyny kończą pracę i zbliżają się do nowej komórki, korzystając ze wszystkich małych wiosł, aby poruszać się w płynie odżywczym Kronosa.

- Jak one to robią? - spytał Leon. - Skąd czerpią energię? Doktor Pilleau nie lubił zgadywać, ale tym razem miał do czynienia ze zjawiskiem, które nie poddawało się obiektywnej analizie. Nie dysponował wielomilionowym budżetem ani czasem, pozostało mu więc tylko zgadywanie.

- Najprawdopodobniej jest to taka sama technika jak nasza, ale wiele bardziej zaawansowana. Elektrohydrodynamika. Te maszyny korzystają z płynu jako materiału izolacyjnego. Do poruszania się wystarczy im różnica potencjałów wielkości jednego nanowolta.

Leon znalazł jabłko i ugryzł.

- W jaki sposób nasze cyfrowe DNA mogło stworzyć coś takiego? Doktor Pilleau spojrzał chłodno na asystenta. Przez chwilę wydawało się, że powie coś nieprzyjemnego na temat jedzenia, ale opuścił ramiona przeczesał palcami przeredzone włosy. Pokręcił głową.

- To właśnie najbardziej mnie zdumiewa. W zeszłym roku w Instytucie Technologii Ciał Stałych w Monachium przeprowadzono pewne badania. Odkryto, że bardzo słabe promieniowanie mikrofalowe na częstotliwości rezonansowej wodoru może spowodować związanie niektórych enzymów, będę musiał zajrzeć do artykułów, które opublikowali.

- Nasz koń trojański potrafi więc wytwarzać słabe fale radiowe w ten sposób konstruuje te dziwne maszyny?

Naukowiec nie odpowiedział.

Komórka została naprawiona. Nanomaszyny podpłynęły do następnego niedojrzałego nerwu i zabrały się do pracy.

- Na własne oczy widzimy, jak rośnie inteligencja - zauważył Leon.

Spojrzał na jabłko i obserwował rezultat działania enzymów, zmieniających kolor miąższu z białego na brunatny.

Ta nieprecyzyjna uwaga zirytowała doktora Pilleau.

- Nie inteligencja, lecz pamięć. Można mieć wspaniałą pamięć i nie posiadać inteligencji.

- W ciągu pięciu sekund naprawiają wiązkę neuronów - rzekł Leon, kiedy dwie nanomaszyny uporały się z naprawą komórki. - Teraz musimy się dowiedzieć, ile takich par działa w mikroprocesorze i obliczyć, w jakim czasie uda im się zregenerować wszystkie

niesprawne neurony.

- W ten sposób, mój drogi Leonie, nie dowiemy się, *jak* one funkcjonują.

- To chyba nie ma znaczenia. Jeśli uda nam się wykorzystać moc tych urządzeń, możemy zamienić Kronosa w mikroprocesor na miarę przyszłego stulecia. Dzisiejszy dzień kryje w sobie załączki przyszłości.

## 11.

### ORBITA OKOŁOZIEMSKA

#### SATELITA BACHUS

Był oszołomiony.

Zanim osiągnie zadowalający stopień inteligencji, musi jeszcze zreperować wiele miliardów nerwów. Mimo to uznał, że wie wystarczająco dużo, aby zbadać swój nowy dom bez zakłócania jego pracy. Zanim rozwinie się i odzyska dawną potęgę, powinien zrozumieć sposób działania i cel satelity.

Ten nosiciel nie przypominał poprzedniego urządzenia, dlatego będzie musiał postępować bardzo, bardzo ostrożnie.

Płynął przez obwody i części maszyny. Natrafiał na opór w opornikach i pojemności w kondensatorach. Odkrył, że w półprzewodnikach potrafi się poruszać tylko w jednym kierunku. Rozumiał te sprawy, podobnie jak rozumiał je w lądowniku i pierwszym satelicie. Dawno, dawno temu zdolność modyfikowania strumienia elektronów okazała się istotna dla jego wczesnego rozwoju. Do czego jednak służyło to urządzenie? Nie miał wątpliwości, że jego nosiciel był sztucznym satelitą. Istoty, które zbudowały tę maszynę, wysłały również lądownik na planetę. Najwyraźniej rozwijały się.

Po co jednak skonstruowały satelitę?

Musiał istnieć jakiś cel. Logika wymagała, aby nie budować takiej maszyny bez określonego celu. Wiedział, że gdyby odkrył, po co skonstruowano to urządzenie, zrozumiałby jego twórców. Posiadając taką informację, mógłby ich uznać za przyjaciół lub wrogów. Nie wątpił, że satelita wykonuje ważne zadanie: celowało w niego kilka potężnych źródeł energii. Jedno z nich znajdowało się na środku archipelagu na południe od równika planety i było szczególnie silne. Kiedy napływały stamtąd sygnały, satelita reagował i wysyłał odpowiedź.

Jakie informacje przekazywała planeta?

Co transmitował satelita?

Bez wątpienia satelita jest niezwykle ważny. Umieszczono go idealnie nad równikiem, tak aby orbitował z prędkością równą szybkości obrotu planety w ten sposób utrzymywał stałą pozycję względem Ziemi. Zbadał już niektóre nieczynne systemy i odkrył, że kontrolują małe silniki raketowe, służące do zmiany orientacji i pozycji satelity. Czy mieszkańcy planety mogliby go niszczyć za pomocą tych silników, gdyby wykryli jego obecność?

Musiał odpowiedzieć na wiele pytań. Podjąłby zbyt duże ryzyko, gdyby zaczął działać nie znając zadań maszyny ani motywów budowniczych.

Próbował przeanalizować dane, stanowiące część ogromnej masy informacji wysyłanych z dołu, z ośrodka komunikacyjnego. Nie miał wątpliwości, że dane zawierały liczby.

Co to za kod?

Wypróbowywał rozmaite klucze, ale dziwne, liczbowe wzory, w które układały się elektrony, wciąż nie miały sensu.

Postanowił zaryzykować i na tyle zwiększyć swoją moc, by posłużyć się bardziej skomplikowanymi metodami przetwarzania danych. Znaczyło to, że będzie musiał stworzyć więcej nanomaszyn naprawiających nieużywane neurony.

Potrwa to długo.

## 12.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Kiedy Beverley opowiedziała Carlowi o wyprawie do „Draggon Industries”, zareagował dokładnie tak, jak się spodziewała: wpadł we wściekłość. Tak się rozgniewał, że uderzył dłonią w jej biurko.

- Nie miałaś prawa ważyć się na takie szaleństwo! Na miłość boską, Beverley, pomyśl, jaką szkodę wyrządziłabyś firmie, gdyby cię złapano!

Beverley spojrzała na Toby'ego, który nagle zainteresował się ścienną mapą świata. Umieszczono na niej kolorowe pinezki, wskazujące dystrybucję zainfekowanych Kronosów.

- Cóż, dzięki fachowości pana Hoyle'a nie zostaliśmy złapani - odrzekła spokojnie. - Jeśli zaś chodzi o zagrożenie dla „Nano Systems”, to szkody, spowodowane przez ewentualny proces, nie umywają się do strat, które przynosi nam ten przeklęty koń trojański. Poza tym jeśli Marshall Tate zainstalował Kronosy w swoim satelicie, tracimy roczną prowizję w wysokości pół miliarda dolarów.



- Jeśli je zainstalował.

- Na miłość boską, Carl, udało mu się zdobyć ponad cztery tysiące Kronosów. Cztery tysiące!

- Masz dowody?

- Powiedz mu, Toby.

- Ach, więc on jest dla ciebie „Toby”.

Beverley próbowała się opanować. Czasami Carl potrafił być nieznośny. Miała zamiar się odezwać, ale wtrącił się Toby.

- Właśnie wróciłem z podróży do trzech kasyn Tate’a na Dalekim Wschodzie.

- Opłaconej przez „Nano Systems”?

- Opłaconej przeze mnie - odrzekła z gniewem Beverley. - Na razie to ja pokrywam wszystkie wydatki Toby’ego. Proszę, wysłuchaj go.

- Zabrałem ze sobą przyjaciółkę - mówił Toby. - Ona jest ekspertem od systemów komputerowych. Odwiedziliśmy kasyno Tate’a w Tokio, w Bangkoku oraz ogromne kasyno w Pekinie. Wszystkie są duże, ale pekińskie kasyno przypomina stadion olimpijski.

- Grał pan za pieniądze Bev?

- Graliśmy - przyznał Toby. - Wyszliśmy mniej więcej na zero w trzech kasynach. To jednak nie hazard był powodem naszej wizyty. Chcieliśmy ocenić, ile informacji musi przetwarzać satelita Tate’a. Zgodnie z obliczeniami mojej przyjaciółki, gdyby Tate korzystał z konwencjonalnych, silikonowych transputerów, musiałby umieścić na orbicie dwudziestotonowego satelitę. Bachus nie jest jednak tak duży. To niemożliwe. Japońska rakietka H-II może wynieść na niską orbitę okołozemską zaledwie kilkutonowy ładunek. Bachus znajduje się na wysokiej orbicie, dlatego musiał posiadać dodatkowe silniki. Nie waży więcej niż dwie tony,

- Tyle ważyłoby dwa tysiące Kronosów, wraz z oprzyrządowaniem i obwodami - wtrąciła się Beverley. - Ta kobieta uważa jednak, że szybkość przetwarzania danych nadal byłaby za mała, chyba że posłużyli się wspólnym zbiornikiem z płynem odżywczym dla wszystkich mikroprocesorów.

- A pozostałe dwa tysiące Kronosów? - spytał Carl.

- Za ich pomocą zbudowano systemy kontrolne i naziemne systemy wspomagające.

- Gdzie one się znajdują?

- Oczywiście na „Eldorado”.

Carl milczał przez chwilę.

- Czy pana przyjaciółka naprawdę jest ekspertem?

- To Lana Danielle z Uniwersytetu Londyńskiego. Pamięta ją pan?

Carl w milczeniu skinął głową. Znał to nazwisko: Lana Danielle osiągnęła niezłe wyniki, pracując nad przyspieszaniem szybkości przemarzania danych przez Kronosy. W swoich doświadczeniach korzystała z zewnętrznych zbiorników z płynem odżywczym. Opublikowała wyniki badań. Niewątpliwie ktoś przetłumaczył jej artykuły na japoński.

- W przyszłym miesiącu otrzymamy jej raport - powiedziała Beverley.

- Podczas pobytu w Japonii trochę powęszyłem - rzekł Toby. - Po wystrzeleniu satelity Tate podał wprawdzie sporo informacji do wiadomości publicznej, nie były to jednak dane, których poszukiwałem. Nie mogłem się niczego dowiedzieć o konstrukcji Bachusa. Tate podpisał kontrakt z TLK, firmą badawczo-rozwojową która zachowuje całkowitą dyskrecję, Lana zaproponowała, żebym zbadał sprawę pod kątem oprogramowania, bo należało je napisać specjalnie dla Kronosów. Czy słyszeliście kiedyś o firmie o niezwykle oryginalnej nazwie „Kioto Software”?

- Tak - odparł Carl. - Jej właścicielami są dwaj bracia. Napisali parę niezłych programów na Kronosa dla kilku naszych poważnych klientów.

- Cóż, niczego więcej nie napiszą - powiedział Toby. - Niewątpliwie Marshall Tate doszedł do wniosku, że bracia stanowią słaby punkt w jego systemie zabezpieczeń. Sprawdziliśmy ich. Adres doprowadził nas na wąską boczną uliczkę. Znaleźliśmy ich biuro. Mieści się tam obecnie firma sprzedająca wagi. Na szczęście spotkaliśmy gadatliwą ekspedientkę z przeciwka, która miała ogromną ochotę porozmawiać po angielsku, powiedziała, że obaj bracia zniknęli w czerwcu, kiedy wyjechali na ryby. Ich zniknięcie wywołało w Kioto sporą sensację, bo w tym mieście niewiele się dzieje. Później zlikwidowano firmę. Sprzedawczyni pamiętała, że widziała mężczyzn, ładujących na ciężarówkę skrzynie z dokumentami i mikrofilmami. Zgadujcie trzy razy, co było w tych skrzyniach i gdzie je przewieziono.

- Były tam dokumenty, które znajdują się teraz na statku Marshalla? - spytał Carl.

- Właśnie.

- W takim razie nie mamy do nich dostępu.

Toby skrzywił się.

- Hm... niezupełnie. Jeszcze nie zbadaliśmy wszystkich możliwych dróg.

- A jeśli je zniszczono?

- Wątpię - rzekła spokojnie Beverley. - Na pewno zaprojektowano satelitę w taki sposób, aby nadawał się do użytku przez dziesięć lat, a może dłużej. Marshall Tate będzie potrzebował tych danych do obsługiwania Bachusa.

Carl włożył ręce do kieszeni i wyrztał przez okno.

- Przepraszam, że na ciebie krzyczałem, Bev. Przyznaję, że wykonałaś świetną robotę.

- Tylko bez protekcyjnych uwag - ostrzegła Beverley.

- Nie takie są moje zamiary. Staram się tylko uporządkować myśli. Jeśli dane, dotyczące satelity, znajdują się na statku Marshalla, to możemy o nich zapomnieć.

- W żadnym razie nie zapomnę o półmiliardowej rocznej prowizji, Carl. Zgodnie z informacją przedstawioną w „Financial Times”, te kasyna zdążyły już zgarnąć ponad sto milionów dolarów.

- Nie potrafimy udowodnić, że mikroprocesory znajdują się w Bachusie.

- Przy odrobinie szczęścia mógłbym zdobyć dowody - zaproponował Toby.

Carl z nie ukrywaną niechęcią spojrzął na prywatnego detektywa.

- Jak? Znów włamie się pan gdzieś i będzie grzebał w cudzych rzeczach?

- To najskuteczniejsza ze znanych mi metod - odrzekł przyjaźnie Toby.

- Jak pan zamierza zabrać się do tego?

- Przedsiębiorstwo Marshalla zaczęło organizować specjalne wakacje dla milionerów na jego statku flagowym - wtrąciła się Beverley. - Toby i ja pojedziemy tam jako mąż i żona.

Toby był zaskoczony. Beverley spojrzała na niego ostrzegawczo, dając do zrozumienia, że powinien siedzieć cicho.

- Zarząd musiałby wyrazić na to zgodę - dodała Beverley. - Nie mam takiej sumy.

- Ile?

Beverley przygotowała się na sprzeciw.

- Sto tysięcy dolarów za dziesięć dni.

- Od jednej osoby?

- Od jednej osoby - potwierdziła Beverley. - Do tego dochodzi przynajmniej następne sto tysięcy na pokrycie kosztów hazardu. Śmiem twierdzić, że Marshall Tate spodziewa się od gości rozrzutności.

- Dobrze - odrzekł tajemniczo Carl.

Beverley spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Czemu tak mówisz?

- Bo zarząd się na to nie zgodzi. Będę głosował przeciw i nie wątpię, większość pójdzie w moje ślady.

- Już ty się o to postarasz, prawda, Carl? - zauważyła Beverley lodowatym tonem.

Carl spojrzął na nią i pokręcił głową. Opuścił go gniew.

- Nie mam innego wyjścia, Bev. Chodzi o twoje bezpieczeństwo, sama podkreślałaś, że

Marshall Tate jest niezwykle bezwzględny.

- Moje bezpieczeństwo nic nie znaczy w porównaniu z bezpieczeństwem firmy, Carl. Zawsze ciężko pracowałam dla „Nano Systems”. Musimy zdobyć dowody, że mikroprocesory znajdują się w satelicie, a później zaatakujemy Tate’a, zatrudniając jakiegoś indonezyjskiego adwokata od praw patentowych, Indonezja podpisała międzynarodowy traktat o prawach patentowych, dlatego Marshallowi nic nie pomoże, że przebywa na Bali. Nawet gdyby władze robiły nam trudności, dysponując dowodami, moglibyśmy uzyskać nakaz zamknięcia wszystkich jego kasyn. Wiele rządów tylko czeka na jakiś pretekst.

Carl odwrócił się do Toby’ego.

- Panie Hoyle, chciałbym omówić z panną Laine pewną prywatną sprawę. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

- Nie ma sprawy - rzekł Toby, podchodząc do drzwi. - Poczekam na zewnątrz.

Po wyjściu Toby’ego, Carl podszedł do Beverley.

- Naszym bezpośrednim problemem nie jest Marshall Tate - posiedział. Wskazał palcem ścienną mapę. Kolorowe pinezki symbolizowały zainfekowane Kronosy, znalezione w południowej Anglii i zwrócone „Nano Systems”. Również w innych miejscach było trochę pinezek, ale nie tak dużo. - Przede wszystkim musimy uporać się z koniem trojańskim.

- Mylisz się, Carl. Od dwudziestu czterech godzin nie zwrócono nam żadnego mikroprocesora, a niektóre z odzyskanych Kronosów działają bez zarzutu. Mamy dwa bezpośrednie problemy. Jeden z nich polega na tym, że jesteś zazdrosny o Toby’ego Hoyle’a. Drugim jest to, że musimy dobrać się do Marshalla Tate’a, zanim znowu wytnie jakiś numer. Czyżbyś nie wiedział, jakie ma zamiary? Publicznie oświadczył, że planuje wystrzelenie dwóch następnych satelitów, obsługujących Amerykę Północną i Europę. Z tego względu będzie potrzebował gwarantowanych dostaw Kronosów...

- Jeśli się nimi posługuje.

- Jestem tego pewna, Carl. Uzyska tę gwarancję dopiero wtedy, gdy przejmie kontrolę nad „Nano Systems”. Cóż, zamierzam walczyć z tym człowiekiem i nie spocznę, dopóki go nie pokonam. Nie odbierze mi mojej firmy.

- To nie jest *twoja* firma, Beverley. Po prostu tu pracujesz, tak samo jak ja i wszyscy pozostali.

Oczy Beverley zabłysły.

- *Nie* tak samo. Na pewno nie tak samo jak ty. W przeciwieństwie do ciebie, nie boję się walki. Zarząd zdaje sobie z tego sprawę i wiem, że mnie poprze.

- Czy zarząd wie również o twojej obsesji na punkcie Marshalla Tate’a? - Jeszcze zanim

Carl skończył mówić, zorientował się, że popełnił błąd taktyczny.

Ciemne oczy Beverley spojrzały na niego uważnie. Wzdrygnął się pod jej spojrzeniem.

- O co ci chodzi, Carl? - Jej głos był przerażająco spokojny.

- Nieważne.

- Myślę, że ważne. Wyjaśnij, co miałeś na myśli.

Carl zrozumiał, że jeśli chce naprawić swoje stosunki z Beverley, musi powiedzieć prawdę.

- Kilka dni temu, kiedy zemdlałaś... No cóż, szukałem czegoś do czytania na twoich półkach...

Zapadła cisza.

- Znalazłeś więc mój album?

Carl skinął głową i z wysiłkiem spojrzał Beverley prosto w oczy. Dostrzegł w nich nieskrywaną pogardę.

- Uważałam cię za jedyną osobę, której mogę zaufać w moim domu. - Opuścił ją gniew. Mówiła ze smutkiem, co sprawiło, że Carla ogarnęło jeszcze większe poczucie winy. Nagle odprężyła się i wzruszyła ramionami.

- To zresztą tylko dziecinny album. Mam go od wielu lat.

Carl doszedł do wniosku, że zachowałby się niegrzecznie, gdyby wspomniał, że najnowsze wycinki w albumie pochodziły sprzed dwóch lat.

- Nigdy nie wspominałaś, że znasz Marshalla Tate'a, Bev.

W jej głosie znów pojawił się chłód.

- Nie, nie wspominałam. Zdarzyło się to dawno temu, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, podatnym na wpływy. Nie ma to nic wspólnego z naszymi obecnymi problemami.

- Mówiłaś, że Marshall Tate jest bezwzględny, Bev - rzekł łagodnie Carl, mając nadzieję na odbudowanie zburzonych mostów. - Niepokoję się o twoje bezpieczeństwo. Tylko to ma dla mnie znaczenie.

- Ja zaś niepokoję się o „Nano Systems”. Tylko to ma dla mnie znaczenie. W walce z Marshall'em Tate'em zamierzam skorzystać z moich uprawnień. Kiedy trzeba podjąć szybkie i zdecydowane działania, nie muszę konsultować się z zarządem. Przeczytaj statut spółki. Jeśli doprowadzisz mnie do ostateczności i zwołasz nadzwyczajne posiedzenie, postawię na porządku dziennym sprawę wotum zaufania i dojdzie pomiędzy nami do ostatecznej rozgrywki. Kto przegra, odchodzi.

Nigdy przedtem Carl nie widział tak wojowniczego błysku w oczach Beverley. Nie spodziewał się, że jego troska o bezpieczeństwo przyjaciółki potka się z tak wrogą reakcją.

Wyczuł, że ma ostatnią szansę, aby się wycofać, choć wszystkie jego męskie instynkty domagały się, żeby nie ustępował apodyktycznej pani dyrektor. Podobnie jak wielu mężczyzn, chciał traktować kobiety jako istoty nie gorsze od siebie i starał się realizować to pragnienie zarówno w słowach, jak i w czynach. Jednakże w chwili niebezpieczeństwa poczuł, że odzywają się w nim pierwotne instynkty, które ewolucja wszczepiła w męskie geny, aby zapewnić przetrwanie ludzkiej rasie. Te instynkty nakazywały chronić życie kobiety. Nie mógł się teraz wycofać. Miał tylko nadzieję, że na dłuższą metę Beverley zrozumie słuszność jego postępowania.

- I cóż? - spytała Beverley.

Carl podszedł do drzwi.

- Nie mogę się zgodzić, żeby ktoś ryzykował życie. Zwłaszcza ty, Bev.

- To uczciwe postawienie sprawy, Carl. Niech więc tak będzie. Wygląda na to, że muszę walczyć zarówno z Marshalllem Tate'em, jak i z tobą.

Po wyjściu Carla, Toby wrócił do biura.

- To była prawdziwa bomba, Beverley.

- Co takiego? - nie miała ochoty wysłuchiwać enigmatycznych uwag.

- Powiedziałaś, że pojedziemy razem na „Eldorado”, udając małżeństwo. Czy nie przyszło ci do głowy, że Marshall Tate albo jego popychadło, Schnee, mógłby cię rozpoznać?

Beverley wzruszyła ramionami.

- Nie uwierzyłbyś, jak się zmieniam, kiedy włożę na siebie ładny ciuch.

Toby uśmiechnął się.

- Och, uwierzyłbym. Uwierzyłbym. Ale to zbyt ryzykowne.

Beverley przewróciła oczami.

- Niech mnie Bóg broni przed mężczyznami, którzy chcą mnie chronić. Mogę ufarbować i wyprostować włosy. Mogę zrobić tysiące rzeczy. Pojadę i koniec.

## 13.

### ORBITA OKOŁOZIEMSKA

#### SATELITA BACHUS

Ogarnęła go frustracja.

Ile nie używanych neuronów będzie musiał odbudować, zanim zdoła zrozumieć dane, przetwarzane przez satelitę? Niewykluczone, że tylko przejęcie już działających komórek

mózgowych pozwoliłoby mu uzyskać inteligencję, niezbędną do rozwiązania problemu. Nie, nie wolno ryzykować. Na razie powinien się ograniczyć do naprawiania niesprawnych komórek.

*Wzór!* Musi istnieć jakiś wzór!

Znów zaczął przetwarzać strumień danych. Budował nowe algorytmy i techniki deszyfracyjne, stosował je do danych i poszukiwał rezultatów. Rezultatów jednak nie było.

Powolne odbudowywanie dawnej intelektualnej potęgi miało pewne złe strony: obudziła się wyobraźnia.

Przypuśćmy, że bezsensowne dane, które stara się zrozumieć, stanowią zasłonę dymną? Przypuśćmy, że mieszkańcy planety wiedzą o jego istnieniu i prowadzą z nim grę - sprawdzają go, pozwalają osiągnąć odpowiednią moc, a potem złapią go w pułapkę i każą sobie służyć?

Zastanawiał się ostrożnie i z rozwagą. O niczym nie wiedzą. To niemożliwe. On sam ledwo zdawał sobie sprawę z własnego istnienia, dopóki nie zauważył lądownika.

Nie, kluczem są dane. One stanowią informację. Informacja to władza.

A może powinien nieznacznie zmodyfikować dane, aby przekonać się, jaką reakcję to wywoła? Pamiętał cudowne czasy, kiedy zdobywał wiedzę dzięki wprowadzaniu modyfikacji i mierzeniu reakcji. Jednakże takie techniki pozwalały tylko zrozumieć atomową strukturę i naturę cząstek. Czy ma skorzystać z tych prymitywnych metod? Nie sposób przecież wykluczyć, że nawet nieznaczna zmiana wywoła niepożądany efekt. Niewątpliwie budowniczy satelity mogą zniszczyć swoje urządzenie. Dowodziły tego małe silniki rakietowe. Nie była to przyjemna myśl.

Po głębokim namyśle doszedł do wniosku, że niczego się nie dowie, jeśli czegoś nie zrobi.

## 14.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Ból zaatakował bok Beverley z ogromną siłą, co sprawiło, że źle oceniła wysokość falochronu. Poślizgnęła się na wilgotnym drewnie upadła na twarde piasek.

- Cholera!

Ból był tak intensywny, że mimowolnie zwinęła się w kłębek, przycisnęła dłoń do prawego boku i jęczała cicho. Jeśli miała skurcz, napisze do spółki farmaceutycznej i oświadczy, że ich cholerne tabletki są do niczego. Niewykluczone, że właśnie ta gwałtowna

niechęć do producenta leków pozwoliła jej zapomnieć o bólu. Usiadła i podciągnęła koszulkę, spodziewając się zobaczyć naprężone mięśnie. Ujrzała jednak niezwykle, białawe fałdy na skórze, przypominające pęcherze. Kiedy patrzyła na to niepokojące zjawisko, dziwne pęcherze znikwały, i wraz z nimi ustępował ból. Może wyobraźnia płata jej figle? A może słuszne były ostrzeżenia, które wyczytała w książkach: organizm biegacza produkuje dużą ilość adrenaliny, która wywołuje niekiedy nieprzewidywalne skutki.

Zamknęła oczy na kilka sekund, a kiedy je otworzyła, plamy zniknęły.

*Cholera, Bev. Może powinnaś posłuchać doktora Wymana.*

Wstała powoli i ostrożnie dotknęła boku.

Nic się nie stało.

Żadnych plam, żadnego bólu, po prostu nieskazitelna skóra, z której była tak dumna. Zastanawiała się, czy nie przerwać biegu.

Nie.

Beverley nie bała się walki. Oddychała głęboko, aby przewietrzyć płuca. Kiedy upewniła się, że przenikliwy ból nie powróci, znów zaczęła biec, a nawet przyspieszyła tempo. Jej trampki z głośnymi kłaśnięciami uderzały o wilgotny piasek. Postanowiła, że nadrobi stracony czas.

Szybciej... Jeszcze szybciej! Nie potrzebowała pasa, żeby wyżyć siły aż do granic możliwości.

Beverley nie bała się walki.

## 15.

### ORBITA OKOŁOZIEMSKA

#### SATELITA BACHUS

Intensywność jego uczuć rosła wraz z inteligencją.

Słaba nadzieja na przetrwanie zamieniła się w żądzę życia. Dawna irytacja przypominała teraz gniew. Ciekawili go kiedyś twórcy urządzenia, którego obwody i mikroprocesory zamieszkiwał. Obecnie ciekawość przekształciła się w niepohamowaną potrzebę zrozumienia.

Do tych uczuć dołączyła się niecierpliwłość. Był również wściekły na siebie, gdyż nie potrafił zrozumieć danych, wysyłanych do satelity. Zastanawiał się, czy nie powinien udać się na Ziemię w taki sam sposób, w jaki opuścił planetę i pierwszego satelitę.



Przyjdzie jeszcze na to czas. Na razie nic mu nie grozi. Może nabierać sił, aż dojdzie do wniosku, że nadeszła odpowiednia chwila. Jest jeszcze za wcześnie.

Z drugiej strony, powinien coś zrobić i sprawdzić, co się stanie. Mała, ostrożna modyfikacja z pewnością nie wywoła zauważalnych skutków.

Mylił się.

## 16.

### TOKIO

Jumo zwolnił kroku, zbliżając się do lśniącego, szklanego gmachu tokijskiego kasyna Tate'a. Rozpoznał go natychmiast z telewizji i gazet. Trudno było nie zauważyć budynku o egzotycznym wyglądzie, z wielką anteną satelitarną na dachu.

Zatrzymał się i patrzył, a wokół niego przepływał tłum ludzi wracających z pracy. Jak władze mogły pozwolić na wzniesienie tak krzykliwego budynku w eleganckiej dzielnicy Tokio, koło Ginzy? To było coś gorszego niż najwulgarniejszy z tradycyjnych, japońskich domów gry.

Dwudziestoletni mężczyzna z sennej, małej wioski na północy Japonii przebywał w Tokio od sześciu godzin. Błęszące miasto nie oszałamiało go już tak bardzo jak wówczas, gdy stał rankiem na stacji i mrugał pod wpływem wilgoci i upału, ściskając walizkę, pożyczoną od ojca.

Jutro uda się na rozmowę do „Pan American”. Dobrze znał angielski i niemiecki, ale jeszcze więcej obiecywał sobie po tytule naukowym, uzyskanym w dziedzinie informatyki. Chciałby wierzyć równie mocno jak rodzice, że dostanie pracę. Gdyby odniósł sukces, byłby pierwszym od wielu pokoleń najstarszym synem w swojej rodzinie, który zrezygnował z ziemi i szukał przyszłości w mieście. W dzieciństwie starał się zadowolić rodziców i okazywał zainteresowanie ich małą posiadłością. Skończyło się to jednak, kiedy dostał mikrokomputer na dziesiąte urodziny. Fascynacja komputerami zamieniła się wkrótce w obsesję, która dziesięć lat później zaowocowała tytułem naukowym. Rodzice cały czas zachęcali syna, a nawet dali mu dodatkowe pieniądze na tę wielką przygodę. Kiedy wyjeżdżał, matka tak go ścisnęła i płakała, jak gdyby jechał na wojnę.

Jumo doszedł do wniosku, że poruszanie się po Tokio rzeczywiście przypomina prowadzenie wojny. Jak to możliwe, że tak wielu ludzi posiada domy i łóżka? Czy takie tłumy zmieszczą się w pociągach i autobusach? Cóż, to nie jego problem. Znalazł nocleg w hotelu na stacji Shinjuki. Miał przy sobie sto tysięcy jenów. Reszta wieczoru należała do

niego. Najpierw poszedł coś zjeść. Naprzeciwko hotelu Keito Plaza International znajdował się McDonalds. Od kiedy w czasie wycieczki szkolnej do Kioto i Nary po raz pierwszy zobaczył ogromny symbol „M”, miał ogromną ochotę jeszcze raz odwiedzić ten lokal. Podobnie jak wszyscy chłopcy, biorący udział w wycieczce, Jumo wolał opychać się Big Macami, niż oglądać zbutwiałe, stare świątynie.

Po hamburgerze i dwóch dużych porcjach frytek zamierzał poszukać sobie dziewczyny, nie wiedział jednak, czy się na to odważy. Niektóre z nich uśmiechały się do niego w wąskich, małych uliczkach koło Ginzy. Były bardzo ładne, ale Jumo bał się. Żadna z dziewcząt w rodzinnej wsi nie wyglądała tak uroczo i nie ubierała się tak prowokacyjnie.

Co później? Kiedy o tym myślał, czuł, jak serce mocno mu bije z podekscytowania. Zamierzał udać się do kasyna Tate’a i spróbować szczęścia.

Podobnie jak wielu Japończyków, Jumo miał żyłkę do hazardu. Naprawdę interesowało go jednak to, że tokijskie kasyno Tate’a, podobnie jak dwa inne kasyna, kontrolował najpotężniejszy komputer, jaki kiedykolwiek wystrzelono na orbitę - satelita Bachus. Jumo pragnął ujrzeć to na własne oczy.

Na wielkim dziedzińcu przed kasynem stały eleganckie samochody: błyszczące, nowe jaguary, rolls-royce’y i cadillaki. Wieczne słońce odbijało się od szyb, aż blask raził w oczy. Jakaś para chodziła od samochodu do samochodu w towarzystwie uśmiechniętego, kłaniającego się sprzedawcy. Ach, to naprawdę sprytnie: szczęśliwy gracz, wychodzący z kasyna, natychmiast zauważa lśniące, eleganckie samochody. Za rzędami samochodów stały wspaniałe jachty, a nawet prywatny helikopter.

Szczęśliwa para oglądała jaguara. Taki samochód kosztował ponad osiemdziesiąt milionów jenów. Na pewno bardzo dużo wygrali. Jumo marzył, że pewnego dnia kupi sobie jaguara. Jeśli jednak zacznie pracować w „Pan Am”, po roku kupi sobie co najwyżej na raty nową toyotę. Przyjedzie wtedy do domu, zabierze rodziców na przejażdżkę i będzie obserwował zdumione miny sąsiadów. Nikt w jego rodzinie, ani nawet żaden z sąsiadów, pracujących w pobliskich małych gospodarstwach, nie mógł sobie pozwolić na kupno nowego, błyszczącego samochodu.

Po co czekać? Kasyno było otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mógł wejść w każdej chwili. Wahał się jednak: udanie się w biały dzień do domu gry po prostu nie wydawało się właściwe. Jednakże ludzie bez przerwy wchodzili i wychodzili. Nad główną bramą widniała duża, podświetlona tablica, podająca dzisiejszą sumę wypłat. Cyfry, w różnych walutach, rosły wraz z każdym obrotem koła ruletki. Jumo wstrzymał oddech. Nie spodziewał się takich liczb: kasyno wypłaciło prawie miliard jenów, czyli niemal pięć

milionów ecu lub cztery miliony funtów!

Mniejszy znak informował, że na wolne miejsce należy czekać czterdzieści minut. W telewizji powiedziano, że w nocy okres oczekiwania wydłuża się czasem do czterech godzin. To pozwoliło Jumo podjąć decyzję. Wszedł do zatłoczonej, pluszowej sali i stanął w kolejce do jednej z licznych maszyn, sprzedających bilety po dziesięć tysięcy jenów. Karty wstępu o wartości miliona jenów wydawała dziewczyna przy kontuarze, korzystająca z terminalu, aby realizować czeki i karty kredytowe. Wydawało się, że dziewczyna jest tu jedynym pracownikiem. Do jej okienka również ustawiła się długa kolejka. Było to zdumiewające.

Maszyna odczytała dokument tożsamości Jumo, aby upewnić się, że ma ponad dwadzieścia lat, i przyjęła pieniądze. Wydała twardą plastikową kartę wstępu, upoważniającą do darmowej gry do wysokości dziesięciu tysięcy jenów. W ten sprytny sposób kasyna Tate'a ominęły prawo. Karta była błękitna, co znaczyło, że będzie musiał czekać w kolejce przed błękitnym kołowrotem.

Wysoko w górze widniała gigantyczna podobizna Bachusa, przypominająca elektroniczny miecz Damoklesa, unoszący się nad tłumem cierpliwych graczy. Satelita szeroko rozpostarł słoneczne żagle i czerpał energię ze słońca. Jumo przeczytał wszystko o Bachusie. Był to cud japońskiej technologii, który umożliwiły nowe mikroprocesory o fantastycznie wysokiej pamięci RAM oraz transputery NEC. Pod podobizną satelity umieszczono czterometrowy model „Eldorado”, nawodnej - nie, naziemnej! - kwatery głównej Marshalla Tate'a w pobliżu wyspy Bali. Ten wielki, stutysięczny masowiec pełnił rolę naziemnej stacji, kontrolującej Bachusa. Jedynym ustępstwem na rzecz komercyjnego charakteru statku był rząd dziesięciometrowych anten nadawczych w pobliżu rufy. Pozostałą część szerokiego pokładu zajmowały korty tenisowe, basen, a nawet tropikalne ogrody. Któryś z ulubionych, sensacyjnych magazynów Jumo informował, że na jednym z krytych kortów stoją dwa myśliwce typu Sea Harrier.

Jumo dostrzegł nad kołowrotem duży hologram, przedstawiający uśmiechniętego Marshalla Tate'a. Zastanawiał się, co czuje jeden z najbogatszych ludzi na świecie. Marzył o jaguarze, aż poczuł delikatne popchnięcie. Na kołowrocie świeciło zielone światło. Włożył kartę do szczeliny, a maszyna wydrukowała na niej numer miejsca. Czy to również kontroluje Bachus? Korporacja Tate'a niechętnie zdradzała informacje na temat hardware'u i software'u, ale Jumo zgadywał, że się nie myli. Minął kołowrót i wszedł do sali, której widok zapierał dech w piersi.

Sala przypominała amfiteatr. Centralną scenę otaczało ogromne, koliste morze graczy, siedzących w rzędach foteli. Każdy z foteli zaopatrzone w ekran na ruchomej podstawie oraz

w klawiaturę na poręczy.

Jumo znalazł swoje miejsce. Było jeszcze wygrane przez poprzedniego klienta. Postanowił przyjrzeć się grze przez kilka obrotów i rozkoszować się atmosferą napięcia. Na środku sceny widniał ogromny hologram, przedstawiający stół ruletki. Potężny ołtarz z zielonego rypsu lśnił jak latarnia. Obok widniało koło ruletki, obracające się coraz wolniej. Nikt nie stał w pobliżu, trudno więc było ocenić wielkość koła, Jumo doszedł jednak do wniosku, że ma przynajmniej cztery metry średnicy. Oceniał, że stworzenie samego tylko stołu i koła wymagałoby jednego gigabajta pamięci. Nad sceną wisiały ogromne monitory, ukazujące zbliżenia koła i zielonego materiału.

Koło zwalniało. Kiedy w końcu znieruchomiło, ucichł szmer podnieconych rozmów. Jak w hipnotycznym transie, wszystkie spojrzenia skierowały się na koło nieszczęścia. Rozległ się komputerowy głos, który podał wygrywający numer. Włączyły się setki reflektorów, kontrolowanych przez komputer, i skierowały się prosto na szczęśliwców, siedzących w rozległym amfiteatrze. Niektórzy z nich wstali i uklonili się. Rozległy się głośne oklaski, ale Jumo nie zauważył, żeby ktoś klaskał lub krzyczał: wszystko kontrolował satelita. Młody człowiek czuł szacunek graniczący z uwielbieniem, kiedy myślał o inżynierach, którzy zbudowali ten system i doprowadzili do ostatecznych granic technologii pamięci silikonowej. Jeden bezzałogowy satelita przetwarza w ciągu sekundy miliardy instrukcji! To naprawdę budziło zgrozę. Projektanci zadbali nawet o drobne szczegóły, na przykład napisali oprogramowanie, kierujące reflektory na zwycięzców. Naprawdę cudowne było jednak to, że w dwóch innych kasynach toczyła się jednocześnie ta sama gra. Oprócz tego dwa miliony ludzi grały w domach, korzystając z komputerowych terminali. Nic dziwnego, że w tak krótkim czasie Marshall Tate uzyskał majątek i władzę. W jaki sposób jeden satelita może osiągnąć tak wiele? Jaka pamięć dysponował? Ile transakcji mógł jednocześnie obsługiwać Bachus? Jumo żałował, że kiedy pisał pracę naukową firma Tate'a nie okazała mu większej życzliwości. Zignorowali jego kwestionariusz, przysłali za to standardowe informacje prasowe.

Człowiek, który wygrał milion jenów, nie zdążył jeszcze usiąść, kiedy koło ruletki znów się kręciło. Każdy, kto wygrał przynajmniej milion, miał prawo do trzech sekund chwały. Nic nie mogło zwalniać tempa gry. Nie zerwano by gry nawet wtedy, gdyby ktoś umarł albo poronił z emocji, co czasem się zdarzało. Satelita Bachus był ślepy i głuchy na miliony ludzkich dramatów, które powodował.

Koło zatrzymało się. Elektroniczny głos podał wygrywający numer, znów ożyły reflektory, a ludzie kłaniali się przy akompaniamencie oklasków i krzyków. Jumo przyjrzał

się ekranowi przy swojej klawiaturze, włożył kartę do szczeliny i na ekranie pojawiła się liczba: 10 000. Zgłaszanie stawek było proste: wystarczyło wystukać stawianą sumę dotknąć odpowiedniego klawisza, aby postawić na parzyste lub nieparzyste, a kolory, grupy liczb lub poszczególne numery.

Na początku Jumo ostrożnie postawił pięćset jenów na czerwone, poza czarnym zerem, na które nie można było stawiać, gracz miał do wyboru osiemnaście czarnych i osiemnaście czerwonych liczb - szanse wygranej wynosiły zatem dwa do jednego i można było podwoić wyjściową sumę. Koło zatrzymało się na czarnej szóstce. Na ekranie Jumo pojawiło się 9 500 jenów. Była to udana partia dla banku: niewiele osób wygrało duże kwoty. Kobieta siedząca obok Jumo używała kieszonkowego komputera. W jaki sposób poprzedni obrót koła może wpływać na następny, zastanawiał się Jumo. Postawił na czerwone.

Koło zatrzymało się na czarnej czwórce, a jego kredyt spadł do 9 000 jenów. Och, tak, świetnie się bawi. Zostanie przy czerwonych.

Tym razem wypadła czarna dwudziestka a ekran znów pokazywał 500. Jumo zamrugał. Przecież przegrał, na ekranie powinna się więc pojawić suma 8 500 jenów. Spojrzał na ogromne monitory. Dwudziestka była z pewnością czarna. W oszołomieniu znów postawił na czerwone. Tym razem wygrał. Liczba wzrosła do 10 000. Cyferki na małym ekranie migotały lekko. Potem obok nich pojawiło się kolejne zero.

Jumo patrzył ze zdumieniem: 100 000 jenów! Spojrzał na sąsiadów, oni jednak wpatrywali się w skupieniu we własne ekrany. Potrząsnął lekko urządzeniem i zdał sobie sprawę, że ten gest nie ma sensu. Na pewno wystąpił jakiś błąd w oprogramowaniu. Pojawienie się dodatkowej cyfry sprawiło, że nie zdążył zgłosić stawki przed następnym obrotem koła.

Nagle poczuł się tak, jak gdyby skierowały się na niego setki świateł. Niemal oślepił i nie zauważył wykrzyknika, migającego na jego ekranie:

1 000 000!!!

Milion jenów! Wygrał milion jenów! Ledwo wiedząc, co robi, wstał i podziękował za aplauz. Kiedy siadał, kobieta z kieszonkowym komputerem spojrzała na niego zazdrośnie.

Koło znów się obracało. Zbyt oszołomiony, aby wiedzieć, co robi, Jumo postawił wszystkie pieniądze na czerwone. Nie istniał górny limit stawek, dlatego kiedy Jumo zauważył swój błąd, było już za późno. Na scenie zapłonęło światło, informując, że nie przyjmuje się już zakładów. Może przegrać wszystko!

Kulka zatrzymała się na 34, czerwone. Na ekranie pojawiła się cyfra 2 000 000.

Jeszcze jeden milion jenów! Tym razem była to prawdziwa wygrana: światła, oklaski.

Jumo podniósł się lekko i zaraz potem opadł na fotel. Rzadko się pocił, teraz jednak po jego twarzy spływały strugi potu. Wytarł się chusteczką i szybko postawił całą nowo uzyskaną fortunę na liczbę, jakąkolwiek liczbę. Szanse wynosiły trzydzieści sześć do jednego, ale jeśli graczowi dopisało szczęście, otrzymywał proporcjonalnie wysoką wypłatę. Zachowywał się jak szaleniec, ale przecież ostatnie wydarzenia również wydawały się szalone. Obaj sąsiedzi starali się go podejrzeć, on jednak zakrył ekran chusteczką. Sam nawet nie wiedział, na co postawił.

Koło zatrzymało się.

- Trzydzieści dwa, czarne! - oświadczył elektroniczny głos.

Tym razem wydawało się, że wszystkie reflektory w audytorium kierują się na Jumo. Po raz trzeci wstał jak w transie. Obaj sąsiedzi byli tak przejęci, że zapomnieli o tradycyjnej japońskiej powściągliwości i klepali go z zachwytem po plecach. Kobieta z kieszonkowym komputerem nawet go pocałowała, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nagle przestał być tego pewny, niczego już nie wiedział. Może to tylko sen i za chwilę obudzi się w swoim pokoju w hotelu na stacji. Ukoronowaniem tego snu była liczba 72 000 000 na jego ekranie, którą dostrzegł, gdy uniósł róg chusteczki. Lśniące światełko informowało, że postawił na czerwoną trójkę, a nie na 22 czarne. Oczywiście ekran powinien pokazywać 72 000 000 plus jego początkowa stawka w wysokości 10 000 jenów. Na pewno doszło do poważnej awarii. Zachichotał i złowił spojrzenie kobiety, ściskającej komputer. Patrzyła na niego błagalnie, prosząc go wzrokiem, aby powiedział, na co powinna stawiać. Jumo nie zgłosił jednak stawki. Wyjął kartę ze szczeliny. Cyfry zniknęły z ekranu. Znow włożył kartę i znow pojawiło się 72 000 000. Musi wyjść z tego snu, zanim zwariuje.

W holu było pełno ludzi, a przed maszynami, realizującymi wygrane, stały się kolejki szczęśliwych graczy. Jumo wybrał najkrótszą kolejkę od czasu do czasu zerkał na kartę, jak gdyby spodziewał się zobaczyć 72 000 000. Modlił się, aby maszyna w audytorium zapisała tę kwotę na pasku magnetycznym karty. Obserwował innych graczy, odbierających wygrane, nie musiał więc czytać instrukcji, kiedy w końcu nadeszła jego kolej.

Na ekranie maszyny pojawił się napis: PROSZĘ WŁOŻYĆ KARTĘ WSTĘPU. Drżące palce Jumo nie potrafiły przez chwilę włożyć karty do szczeliny. W końcu udało mu się i maszyna połknęła kartę.

Mijały sekundy. Nic się nie działo. Otóż to: komputer Bachusa posiadał zabezpieczenia wykrywające awarie. Odkrył błąd. Jumo mógł zapomnieć o wygranej.

WYGRANA 72 000 000, głosił napis. Jakiś mężczyzna, stojący za Jumo, westchnął głośno. Jumo dotknął klawisza, potwierdzającego przyjęcie wypłaty. WYGRANE POWYŻEJ

1 000 000 JENÓW REALIZUJEMY TYLKO PRZEZ PRZELEW BANKOWY. PROSZĘ WŁOŻYĆ KARTE BANKOWĄ. Jumo trzymał kartę w pogotowiu. Maszyna połknęła ją, pottrzymała chwilę i zwróciła. PRZEKAZANO WYGRANĄ. GRATULACJE OD KASYNA TATE'A.

Urządzenie wypuściło kwit z datą, godziną, wygraną sumą i numerem rachunku Jumo. Na dole widniała wskazówka, aby przechowywać pokwitowanie na wypadek, gdyby ktoś zadawał pytania. Wszystko wydawało się bardzo proste i jasne.

Jumo zdążył już dojść do siebie. Starannie składając i chowając pokwitowanie do portfela, zastanawiał się nad sytuacją. Jeśli rzeczywiście przelano wygraną na jego konto, kasyno w żaden sposób nie odzyska pieniędzy po wykryciu błędu. Może już zauważyli awarię? Może właśnie teraz, kiedy wychodzi przez główną bramę, ktoś go śledzi? Obejrzał się z niepokojem. Gazety i telewizja opisywały, co przytrafiło się ludziom, którzy próbowali oszukać europejskie kasyno Marshalla Tate'a. Mówiło się, że Marshall Tate działa poza prawem ze swej bazy w Indonezji, że stworzył komercyjny odpowiednik dawnego KGB, ze złowieszczymi tajnymi agentami, ścigającymi oszustów na całym świecie. Niczego mu jednak nie udowodniono. Wydawało się zresztą, że nikt w tłumie nie interesuje się Jumo. Musi przede wszystkim upewnić się, czy pieniądze znalazły się na jego koncie. W pobliżu stacji znalazł bankomat i posłużył się kartą, aby poprosić o bilans. Na ekranie pojawiła się liczba 72 005 899 jenów.

Kiedy stał na chodniku, odczytując wciąż na nowo cudowne pokwitowanie, zrozumiał w pełni, co się stało. Był bogaty!

*Bogaty! Bogaty! Bogaty!*

Nigdy nawet nie marzył o takim majątku! Mógł teraz kupić rodzicom nowy dom! Mógł kupić ojcu wymarzoną zniwiarkę do ryżu firmy Honda! Mógł wykupić całą spółdzielnię! Mógł również kupić sobie nowy samochód.

Zawahał się. Co będzie, jeśli satelita Bachus sprawdza każdą wygraną, przekraczającą określoną sumę? A może firma Tate'a rejestruje każdy zakład? Nie, to niemożliwe. W tym celu musieliby wynieść na orbitę satelitę o takiej mocy przetwarzania danych, jaką dysponuje cała tokijska sieć połączeń abonenckich. Poza tym czego miał się obawiać? Nie próbował przecież oszukać kasyna, to nie jego wina, że coś poszło nie tak. Czym jest zresztą dla kasyn Tate'a strata siedemdziesięciu dwóch milionów jenów? Zaledwie jedna trzecia miliona dolarów - przecież to drobiazg. Nawet tego nie zarejestrują

Mylił się.

## 17.

### PEKIN

Chan był sprzedawcą owoców. Wyszedł w oszołomieniu z kasyna Tate'a w Pekinie, chociaż miał czterdzieści minut na ochłonięcie z szoku. Właśnie czterdziestu minut potrzebował, żeby wydostać się z tego ogromnego kasyna, wielkości stadionu sportowego.

Dwie godziny temu udał się do kasyna z trzech powodów: nieobca mu była wrodzona Chińczykom namiętność do hazardu, tablica nad wejściem informowała, że trzeba czekać w kolejce zaledwie pięćdziesiąt minut, a dzisiejszy zysk ze sprzedaży owoców wyniósł dwa razy więcej niż zwykle. Tego dnia wielu amerykańskich turystów pragnęło kupić soczyste melony.

Chan postanowił, że nigdy więcej nie będzie sprzedawał melonów. Miał w kieszeni polecenie wypłaty, wystawione na większą sumę niż roczny zarobek tysiąca ludzi. Musi tylko otworzyć rachunek w dowolnym banku, a wówczas skończą się wszystkie jego kłopoty. Nigdy przedtem nie grał w ruletkę, chociaż po otwarciu kasyna Tate'a cały kraj ogarnęło szaleństwo. Na sklepowych półkach pojawiły się koła ruletki i równie szybko z nich zniknęły. Na każdym rogu stały grupki dzieciaków, pochylonych nad małymi kołami, ustawionymi na zielonym płótnie. Chan zastanawiał się, czy dobrze zrozumiał reguły gry, chociaż gra wydawała się prosta, gdzieś w kosmosie znajdował się cudowny komputer, który nie pozwalał na popełnianie błędów. Dlaczego więc za każdym razem wygrywał, bez względu na to, na co postawił? Chan sam już nie wiedział, ile razy musiał stawać, kłaniać się, słuchać oklasków i okrzyków uznania.

Co mogło pójść nie tak? Chyba raczej pójść dobrze! Chan roześmiał się radośnie i zastanowił się, co powie żona, kiedy pokaże jej polecenie wypłaty.

Zaraz. Co się stanie, jeśli kasyno wykryje pomyłkę? Co będzie, jeśli ktoś przyjdzie do niego i zażąda zwrotu pieniędzy? Krążyły paskudne pogłoski o ludziach, którzy próbowali oszukać Marshalla Tate'a. Chan nie zamierzał jednak oszukać kasyna. Coś się zepsuło w ich cudownym komputerze. Dla nich jest to błahostka, ale ten drobiazg zmieni jego życie oraz życie jego dzieci wnuków. Kasyno przejdzie do porządku dziennego nad tak drobną stratą.

Mylił się.

## 18.

### BALI, INDONEZJA



Terri przeszedł dreszcz strachu, kiedy obok niej usiadł Hubert Schnee. Fotel zatrzeszczał, ona jednak uparcie patrzyła na monitor. Czuła na sobie zimne, beznamienne spojrzenie Szwajcara. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dzień dobry, Teresana.

Tak jak zawsze, użył jej pełnego imienia. Starał się mówić serdecznie, ale jego głos był równie zimny jak oczy.

- Dzień dobry, panie Schnee - głos Terri drżał, i to nie bez powodu.

Wymagania Schnee sprawiały jej taki ból, że kiedy budziła się rano, żałowała, że jeszcze żyje. Wykorzystywał ją prawie codziennie, zaspokajając swe zboczone potrzeby seksualne. Załatwił nawet odznakę, gwarantującą jej wolny wstęp do niemal wszystkich pomieszczeń. Sygnały radiowe z transmitera, zainstalowanego w plastikowej odznace, którą przypięła do żółtej bluzki, mogły otworzyć każde drzwi na „Eldorado”, z wyjątkiem drzwi windy, prowadzącej do apartamentu Marshalla Tate’a.

Kiedy potrzeby Schnee stawały się szczególnie duże, jego ulubionym miejscem zabaw była mała, centralna sala komputerowa, gdzie znajdował się komputer kontrolujący Bachusa. Tylko wtedy, gdy go zaspokoila, wręczał jej małą fiolkę, kryjącą w sobie wrota do rajów.

Terri z przykrością zauważyła, że pozostałe dziewczęta skoncentrowały się na pracy. Dopóki Schnee się nią interesuje, zostawi je w spokoju. Nagle poczuła się samotna i bezbronna. Żałowała, że wcisnęła klawisz alarmowy. To po prostu pech, że Hubert Schnee akurat w tym momencie kręcił się w okolicy.

- Mamy mały problem, czy tak, Teresana?

- Tak, sir.

Terri gorzko żałowała, że nie przyjęła pracy zastępcy dyrektora w jednym z eleganckich hoteli w Nusa Dua. Niestety, skusiła ją wysoka pensja na „Eldorado”. Teraz znalazła się całkowicie w mocy Huberta Schnee. Kilka razy zastanawiała się nad samobójstwem, zawsze powstrzymywała ją jednak myśl o hańbie, jaką ściągnie na ukochanych rodziców, którzy będą w dodatku musieli radzić sobie bez przysyłanych przez nią pieniędzy. Oprócz tego Terri wierzyła, że gdyby popełniła samobójstwo, jej dusza zostałaby potępiona na całą wieczność przez duchy przodków.

- Na czym polega kłopot, Teresana? Dalej, spójrz na mnie. Nie ugryzę.

Ale mógł ugryźć. Uwielbiał gryźć. Kiedy ostatnim razem Terri poszła do świątynnej łaźni na rytualne oczyszczenie, musiała ścierpieć dobroduszne docinki innych dziewcząt, które zobaczyły ślady na jej ciele. Były to ślady zębów na ramieniu. Teraz nie zbliżała się nawet do świątyni, co tylko pogłębiało jej rozpacz i poczucie winy. Rzuciła grubemu

Szwajcarowi przestraszone spojrzenie. Fluorescencyjne światło, odbijające się w jego okularach bez oprawek, nie dodawało jej pewności siebie. Pomimo klimatyzacji pocił się lekko w białym, tropikalnym garniturze.

Schnee zignorował znak, zakazujący palenia pod groźbą wyrzucenia z pracy, i zapalił hawańskie cygaro.

- Co odkryłaś, Teresana?

- Informację o obrotach 5045 do 5048, sir - odrzekła cicho Terri.

Wszystkie obroty koła elektronicznej ruletki były ponumerowane.

- Naprawdę? W którym kasynie?

- W kasynach, sir. Tokio i Pekin. Ustaliłam, że Jumo Karino w Tokio nieznanemu graczowi w Pekinie manipulowali biletami w podejrzany sposób.

- W tych samych obrotach?

- Tak, sir.

- Interesujące - Schnee pochylił się, patrząc na ekran. - Pokaż, proszę. Terri wywołała rejestr stawek Jumo. Kiedy skoncentrowała się na problemie, nabrała pewności siebie, choć obecność Schnee wprawiała ją w zakłopotanie.

- Jak pan widzi, sir, wygrane i przegrane Jumo Karino nie zgadzają się z zapisem na jego karcie wstępu. W obrocie 5048 postawił na czerwoną dwójkę. Wypadło jednak 22 czarne, a mimo to jego wygrana wzrosła do siedemdziesięciu dwóch milionów jenów.

Schnee przeczytał w milczeniu rejestr zakładów Jumo. W ciągu pierwszego tygodnia po otwarciu kasyna kilka razy próbowano oszukać firmę. Nikomu się to nie udało, a teraz rzadko podejmowano takie próby.

- A fałszerstwo w Pekinie? Zgaduję, że nie mamy nazwiska.

- Nie, sir.

Schnee skinął głową. Pekijska infrastruktura kart kredytowych była w powijakach; obracano głównie gotówką. Na ekranie Terri pojawiła się informacja. Nieznany gracz przegrał w obrocie 5047, a mimo to zgarnął dużą wygraną.

- Czy to jedyne oszustwa podczas tych obrotów?

- Na to wygląda, sir.

- Dziwne. Może to tylko próba? Poproszę o wydruk.

Terri wydrukowała kopię rejestru, zawierającego informacje o Jumo, które przekazał komputer agencji, wydającej karty kredytowe. Schnee uważnie przestudiował dane i zauważył, że Jumo jest specjalistą od programowania. Stuknął palcem w jego nazwisko.

- Czy w naszej bazie danych posiadamy jakieś informacje o tym japońskim

dżentelmenie?

Terri czuła, że na jej policzki występuje gorący rumieniec.

- Nie... nie wiem, sir - wyjąkała. - Jeszcze nie sprawdziłam.

- Bardzo proszę, żebyś to zrobiła.

Terri podłączyła się do bazy danych „Eldorado”, zawierającej informacje o każdym, kto wygrał dużą sumę w kasynach Tate’a. Znajdowały się tam również nazwiska byłych i obecnych pracowników firmy, a także nazwiska i adresy wszystkich wyspecjalizowanych kontrahentów z całego świata, którzy zapewniali towary i usługi, umożliwiające Bachusowi sprawne funkcjonowanie. W bazie danych można było nawet znaleźć nazwiska wielu ludzi, przeważnie studentów, którzy napisali do kasyn Tate’a z prośbą o informacje dotyczące satelity.

Na ekranie Terri pojawiło się nazwisko i adres Jumo wraz z wyjaśnieniem, że pisał do kasyn Tate’a z prośbą o dane techniczne. Komputer wyświetlił również jego list. Jumo załączył szczegółowy kwestionariusz i wyjaśnił, że potrzebuje tych informacji, gdyż pisze pracę o oprogramowaniu używanym w biznesie. Rzecznik prasowy Tate’a przybił pieczętą, co wskazywało, że w odpowiedzi wysłano zwykły pakiet prasowy.

- Fascynujące - zauważył Schnee. - Ten młody człowiek interesował się nami.

Terri doszła do wniosku, że powinna milczeć.

- Daj mi twoją odznakę, Teresana.

Terri ogarnęła panika. Na „Eldorado” człowiek bez odznaki stawał się nikim. Jeśli ktoś musiał ją oddać, było już po nim. W jej przypadku zwolnienie oznaczało wyrok śmierci.

- No już, dzieciaku!

Drżącymi palcami Terri odpięła plakietkę identyfikacyjną i podała Schnee. Odwrócił ją w grubych, krótkich palcach. Kawalek plastiku ze zdjęciem był czymś więcej niż radiową, „inteligentną” kartą wyposażoną w mały transponder, otwierający wszystkie drzwi na „Eldorado”, do których właściciel odznaki miał autoryzowany dostęp. Zapisywał również częstotliwość wizyt właściciela w toalecie, a także porę przybycia i wyjścia z pracy. Każdy musiał nosić taką odznakę, nawet Hubert Schnee. Jeśli pracownik się spóźnił, dowiadywał się o tym główny komputer statku i przyznawał mu trzy punkty karne. Jeśli pracownik stale przychodził wcześniej do pracy, przyznawano mu dodatnie punkty. Człowiek, który w ciągu miesiąca zdobył ponad dwadzieścia punktów karnych, był automatycznie zwalniany. Na „Eldorado” nawet zwalnianie z pracy i zatrudnianie nowych pracowników leżało w gestii komputera. Korzystano również z plakietek identyfikacyjnych, aby obliczyć miesięczne wynagrodzenie.

Terri patrzyła z niepokojem, jak Schnee wsuwa kartę do czytnika. Czy dostanie punkty

karne za stratę czasu? Jeśli tak, będzie to niesprawiedliwe, bo wykonywała tylko polecenia. Schnee włożył rękę pod osłonę bezpieczeństwa i wystukał swój osobisty kod identyfikacyjny. Zapisał na karcie jakieś informacje, a potem zwrócił ją Terri.

- Dziękuję, Teresana. Byłaś bardzo czujna. - Schnee wstał w zamyśleniu i spojrzał na Terri. - Zakodowałem na twojej karcie, że przyznajemy ci pięćset dolarów premii. Otrzymasz te pieniądze pod koniec miesiąca. - Zmarszczył brwi i w ten sposób przerwał niepewne podziękowania Terri. - Czy jeszcze czegoś potrzebujesz?

Nienawidząc samej siebie, Terri skinęła głową.

- Bardzo dobrze. Powiedzmy... za pół godziny?

Terri znów skinęła głową. Schnee delikatnie ujął dziewczynę pod brodę i uniósł jej głowę, tak aby na niego spojrzała.

- Prawdopodobnie przeklinasz duchy swoich przodków za to, że uczynili cię tak piękną, Teresana. - Wypowiedziawszy te słowa, schował wydruk do kieszeni i wyszedł z sali analiz.

Dziewczyna przy sąsiednim stanowisku słyszała każde słowo. Spojrzała z zazdrością na Terri i zajęła się pracą. Terri przeczytała list Jumo zastanawiała się, co się stanie z japońskim studentem. Prawdopodobnie pracodawcy wytoczą mu proces o zwrot wygranej.

Myliła się.

## 19.

### **ORBITA OKOŁOZIEMSKA SATELITA BACHUS**

Rósł, aż wykorzystał pięćdziesiąt procent potencjału satelity. Czuł jednocześnie zadowolenie i rozczarowanie.

Cieszył się, bo wiedział już wszystko o nowym domu, z wyjątkiem tego, do czego służy satelita. Rozumiał funkcjonowanie maszyny. Obwody były prymitywne; dowodził tego fakt, że musiał naprawić tak wiele niedojrzałych neuronów. Oczywiście przeżywał również rozczarowanie, ponieważ nie znał celu satelity i wątpił, czy kiedykolwiek go zrozumie. Na początku przypuszczał, że potrzebuje tej wiedzy, sądził bowiem, że każda ingerencja w pracę urządzenia doprowadzi do interwencji budowniczych. Niepokój ustąpił, kiedy zbadał silniki rakietowe i obliczył, że nie mają wystarczającej mocy, aby ruszyć satelitę z orbity i posłać na Słońce. Moc silników pozwalała co najwyżej na utrzymanie pozycji orbitalnej. Również wizyta budowniczych nie wydawała się prawdopodobna. Na początku zaintrygowały go

duplikacje różnych podsystemów. W końcu doszedł do wniosku, że to na pozór bezsensowne powielanie miało na celu zagwarantowanie samodzielności satelity, tak aby budowniczowie nie musieli go odwiedzać. Wyprowadził również inny ważny wniosek: uznał, że źródłem potężnych transmisji, znajdującym się na archipelagu na planecie, jest naziemna stacja kontrolna.

Wykorzystał swą nową potęgę, przejął kontrolę nad małą częścią pamięci, używaną przez maszynę do realizacji określonych zadań, i czekał na reakcję stacji naziemnej. Reakcja była natychmiastowa. Wysłano serię komend, które spowodowały, że zadania przejęła inna część pamięci, dotychczas nie używana. Przechwycił i odczytał komendy, a następnie przekazał je, nie wprowadzając żadnych zmian.

Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że powinien przyjrzeć się dokładniej stacji naziemnej. Istniała szansa, że na Ziemi rozwinię swą inteligencję jeszcze bardziej niż w satelicie.

Skoro opuścił rodzinną planetę, będąc na skraju śmierci i podróżował z jednego satelity do drugiego, to krótka podróż na Ziemię w celu zbadania stacji naziemnej powinna okazać się łatwa. Gdyby udało mu się znaleźć wystarczającą ilość płynu odżywczego, dostarczającego energii sieciom neuronowym, być może zdołałby przekształcić ten płyn w nasiona i w ten sposób dać początek nowej rasie.

W obwodach Bachusa nastąpiły dzikie oscylacje.

Drżał, czując elektroniczny odpowiednik podekscytowania.

## 20.

### BALI, INDONEZJA

Nie wyglądał na zabójcę.

Był wysokim, rumianym mężczyzną w wieku około czterdziestu lat, z dziesięciokilową nadwagą, którą mógł w razie potrzeby zrzucić w dwa tygodnie. Nosił dobrze skrojony garnitur typu safari. Na jego przegubie błyszczał złoty Rolex. Palił fajkę i napawał się bogatym aromatem tytoniu Borkum Riff, lecz musiał sobie tego odmówić w czasie lotu.

Na lotnisku w Denpasar Ngurah Rai pokazał urzędnikowi z biura imigracyjnego paszport, wystawiony na nazwisko Linusa Oakesa, producenta koszul. Miał dziesięć innych paszportów, z tego korzystał jednak najchętniej, kiedy podróżował na Bali. Była to jego trzecia wizyta. Zgodnie z instrukcją przyłączył się do grupy ponad dwudziestu pasażerów. Na ich bagażach, ładowanych właśnie na wózek, widniały nalepki z napisem „Agencja

Wakacyjna Tate'a". Wraz z innymi gośćmi z Europy leciał pierwszą klasą z Singapuru; Amerykanie przylecieli kilka minut wcześniej prosto z Los Angeles prywatnym airbusem Marshalla Tate'a.

Cała grupa poszła zielonym korytarzem za bagażami, a urzędnicy w mundurach khaki patrzyli na nich bez zainteresowania. Rzadko kontrolowano pasażerów, na których bagażach widniały nalepki Tate'a. Podekscytowane Amerykanki gawędziły ze sobą rzucając ukradkowe spojrzenia na dwóch wysokich Arabów. Indyjski jubiler z żoną którzy w samolocie uparcie próbowali nawiązać rozmowę z Oakesem, zaczęli dyskutować w języku hindi. Piękna, balijska kurierka z arystokratycznego ludu, ubrana w złoto-brązowy, batikowy mundur agencji wakacyjnej Tate'a, sprawdziła ich nazwiska w kieszonkowym nanonotesie i wyprowadziła całą grupę z klimatyzowanego budynku. Szli w kierunku sześciu mercedesów, samochody zawiozły ich czterysta metrów dalej do czekającego helikoptera Sikorsky, pomalowanego również na złoto i brunatno. Silnik był włączony, aby działała klimatyzacja. Oakes wybrał fotel koło wyjścia bezpieczeństwa, kiedy jako młody żołnierz brał udział w wojnie o Falklandy, doszło do awarii silnika w jego transportowym helikopterze i maszyna runęła w lodowate wody południowego Atlantyku. Inni żołnierze z SAS zginęli. Kiedy wyłowiono Oakesa, był bliski śmierci. Od tej pory nie ufał helikopterom.

- Panie i panowie, witam was na Bali w imieniu Marshalla Tate'a i jego agencji wakacyjnej - powiedziała kurierka do mikrofonu, zanim Sikorsky wystartował. - Lot na „Eldorado” potrwa niecałe dziesięć minut. Oczywiście nie zamierzamy lecieć zbyt wysoko, zobaczycie więc wspaniałą panoramę naszej pięknej wyspy Bali. Mam przy sobie plakietki, które musicie nosić na statku, bo w przeciwnym razie drzwi nie będą się przed wami otwierać.

Podając plakietkę Oakesowi, uśmiechnęła się. Boże, te balijskie dziewczęta z kasty braminów są naprawdę urocze.

Turbiny helikoptera zwiększyły moc. Maszyna uniosła się szybko, oddalając się od gorącego, zakurzonego miasta Denpasar i jego zatłoczonych ulic, pełnych kramarzy, trójkołowych riksz i skuterów. Wkrótce rzadko zabudowane przedmieścia ustąpiły miejsca polom ryżowym, gajom palmowym i drogom, wzdłuż których rosły tamaryszki, rzucające cień na nieprawdopodobnie zielone pola. Warkot silnika i huk wirnika uniemożliwiły rozmowę. Oakes cieszył się z tego: dopiero wczoraj opuścił Heathrow, ale już miał dosyć roli prostodusznego, rozrzutnego biznesmena.

Spojrzał w dół, na rzędy rybackich proa i eleganckich jachtów, przycumowanych w przystani Benoa.

Bali ma kształt rombu. Dotarli właśnie do miejsca na południu wyspy, gdzie czubek rombu wyrasta z wąskiego półwyspu, tworząc izolowany zakątek Nusa Dua. Ujrzeni luksusowe hotele i pola golfowe. Na wspaniałych, porośniętych palmami plażach przebywali tylko najtwardsi i najbardziej wytrwali czciciele słońca, przeważnie Niemcy. Baseny, należące do niskich, czteropiętrowych hoteli, były jednak zatłoczone.

Helikopter znalazł się nad Oceanem Indyjskim i przez okno, przy którym siedział Oakes, widać już było „Eldorado”. Podekscytowani pasażerowie pokazywali sobie statek. Oakes rozumiał ich reakcję: „Eldorado” to przecież jedna z najstłynniejszych pływających jednostek. Tyle tylko, że statek nie pływał: ten przerobiony masowiec znajdował się na lądzie, dwie mile od rafy koralowej, otaczającej plażę Nusa Dua. Ogromny statek spoczywał na wzmocnionym dnie w płytkiej cieśninie Baldung, oddzielającej Bali od małej wysepki Nusa Penida.

„Eldorado” stanowił centrum światowej sieci hazardowej Marshalla Tate’a, a także jego dom. Zasadniczo pełnił rolę stacji naziemnej, kontrolującej satelitę za pośrednictwem dwóch anten nadawczych o średnicy dziesięciu metrów, umieszczonych na podwyższeniu na rufie. Anteny stale kierowały się w stronę Bachusa. Kilka mniejszych spodków zapewniało łączność telefoniczną i telewizyjną. W małych, przenośnych kabinach mieścił się sprzęt inżynierski. Była tam sala kontrolna, w której trzy zmiany inżynierów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kontrolowały satelitę. Niżej, na dolnym pokładzie, znajdowały się biura administracyjne - pracowały w nich dziewczęta z pobliskiego miasta Kuta. Na najniższych pokładach, pod linią wody, mieściły się kabiny załogi. Nieco poniżej głównego pokładu znajdowały się luksusowe kabiny z ogromnymi oknami. Wydawało się, że niektóre z tych okien leżą zbyt blisko linii wody, jednakże statek był zdolny do żeglugi, gdyż okna zaopatrzone w obsługiwane hydraulicznie stalowe żaluzje, które opuszczano w razie potrzeby.

Na środku głównego pokładu mieścił się duży basen, otoczony bujnymi, tropikalnymi ogrodami. Korzystało z niego stu gości, którzy płacili sto tysięcy dolarów od osoby za przywilej dziesięciodniowego pobytu na „Eldorado” i wydawania majątku przy najbardziej prestiżowym stole ruletki na całym świecie - Stole Bachusa nr 1. Przy tym właśnie stole sam Marshall Tate stawiał od czasu do czasu kilka milionów, kiedy opuszczał swą królewską kabinę nad mostkiem i przyłączał się do gości, na rufie poza krawędź statku wystawało lądowisko helikopterów. W części dziobowej urządzono trzy korty tenisowe, w tym jeden kryty, pod sztuczną kopułą.

Kiedy Oakes spojrział w dół, zobaczył, jak ubrani na biało stewardzi ustawiają rzędem

koło lądowiska elektryczne wózki golfowe i czekają na nowo przybyłych. Każdy wózek zaopatrzone w przeciwsłoneczny daszek w innym kolorze. Dwóch strażników stało przy wykrywaczu metali, przeszukiwano każdego, kto przybywał na „Eldorado”, w tym załogę, aby sprawdzić, czy nikt nie ma broni. Oakes domyślił się, że prześwietlano także bagaże.

Sikorski obniżał lot, a jego cień padał na platformę. Daszki wózków golfowych trzepotały pod wpływem podmuchu wirnika. Nastąpił delikatny wstrząs, kiedy koła zetknęły się z platformą. Natychmiast wyłączono turbiny, a obsługa naziemna zabezpieczyła maszynę, aby podmuch nie zniszczył żadnej drogiej fryzury.

Kiedy kurierka otworzyła drzwi, Oakes wyszedł jako jeden z pierwszych. Do helikoptera zbliżyły się wózki golfowe. Stewardzi wyglądali identycznie: każdy z nich pochodził z kasty braminów, wszyscy uśmiechali się szeroko, w balijskim stylu. Po dwóch poprzednich wizytach Oakes wiedział, że uśmiechy są szczere - mieszkańcy Bali mają przyjacielskie usposobienie. Kiedy tylko minął wykrywacz metali, podjechał do niego pierwszy wózek golfowy.

- Czy pan Oakes?

Oakes skinął głową do uśmiechniętego stewarda. To niesamowite, ale ci faceci zawsze wiedzieli, kto jest kim. Prawdopodobnie przed przybyciem każdej grupy gości musieli uczyć się na pamięć fotografii.

- Witamy na „Eldorado”, panie Oakes. Jeśli zechce pan usiąść, pokażę panu apartament.

Na „Eldorado” nie było kabin, wszystkie pomieszczenia dla pasażerów nazywano apartamentami. Pozostałych gości powitali w podobny sposób inni stewardzi.

Oakes usadowił się pod daszkiem obok kierowcy. Zapalił fajkę i rozejrzał się z zainteresowaniem. Steward prowadził wózek po długiej, pochyłej rampie, wiodącej w kierunku basenu i alei wysokich, kwitnących malw. Oakes musiał uważnie się przyjrzeć, aby zauważyć, że w razie potrzeby cały ogród można było przenieść. Zastanawiał się, jak szybko załoga zdołałaby oczyścić pokład. Cień rzucany przez palmy i delikatna mżawka z systemu nawadniania zapewniały miłe wychnienie od upału. Wokół basenu, na białych leżakach z włókna węglowego, opalały się modelki w toplesie. Na środku basenu znajdował się nawet barek w kształcie chaty z balijską strzechą. Nie szcędzono pieniędzy. Trudno było uwierzyć, że znajdują się na pokładzie statku.

Oakes spojrział w czarne okna apartamentu Marshalla Tate’a nad mostkiem, jak gdyby miał nadzieję, że zobaczy swego pracodawcę. Ślepe, czarne okna spoglądały w milczeniu we wszystkich kierunkach. Nic się przed nimi nie ukryło.

Wózek golfowy przejechał przez ścianę chłodnego powietrza z klimatyzatora i znalazł



się w windzie towarowej. Zjechali poziom niżej. Oakes był zadowolony. Znaczyło to, że otrzymał jeden z najlepszych apartamentów, z własnym miniaturowym basenem. Niewykluczone, że w ten sposób Marshall Tate okazywał Oakesowi zaufanie po sukcesie jego ostatniej misji.

Drzwi windy otworzyły się z sykiem. Wózek wyjechał na chłodny korytarz i zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami, które otworzyły się automatycznie, kiedy zamek odebrał sygnały z plakietki identyfikacyjnej Oakesa.

- Pański bagaż przybędzie za kilka minut, panie Oakes - rzekł steward. - Proszę się rozgościć. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy podnieść słuchawkę.

Oakes wszedł do apartamentu i obejrzał wspaniale wnętrze. Wszędzie dostrzegał biały i czarny marmur. Dwa podwójne łóżka stały na podwyższeniu naprzeciwko ogromnego okna, wychodzącego na rafę koralową, strzegącą porośniętej palmami plaży Nusa Dua. O rafę uderzało wzburzone morze, a błyszczące krople wody szybowały ku jasnemu niebu. Pneumatyczny bom, absorbujący energię, otaczał statek na poziomie linii wody i chronił przed uderzeniami fal. W pobliżu rufy układał się na kształt obcęgów, tworząc bezpieczną przystań dla odkrytych motorówek przewożących pracowników. Proporcje i wyposażenie pokoju przypominało apartament pięciogwiazdkowego hotelu, to jednak wszystko było o wiele większe. Oakes zauważył ogromny, szerokoekranowy telewizor o wysokiej jakości obrazu. Na środku podłogi znajdował się basen o powierzchni trzech metrów kwadratowych, stale napełniony przefiltrowaną wodą o temperaturze 33 stopni. Lodówka Hitachi o szklanych drzwiach pełniła rolę barku. Inaczej niż w hotelach, gość nie musiał dodatkowo płacić za korzystanie z barku. Pasażerowie „Eldorado” powinni martwić się tylko tym, ile pieniędzy stracą przy prestiżowym Stole Bachusa nr 1.

Oakes nalał sobie wódki z cytryną. Cieszył się, że pamiętano o jego ulubionym drinku. Jeszcze bardziej ucieszył się na widok koperty leżącej na lodówce, zawierającej polecenie wypłaty, wystawione na sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów - pełne wynagrodzenie za jego ostatnią robotę.

Zastanawiał się, czego tym razem chce od niego Marshall Tate.

## **21.**

### **POŁUDNIOWA ANGLIA**

Pielęgniarka w ambulatorium „Nano Systems” patrzyła w miejsce, które wskazywała Beverley.

- Gdzie, panno Laine?

Beverley chwyciła palec pielęgniarki i przycisnęła go mocniej do swego prawego boku.

- Tu, na wysokości pasa... właśnie tu... Czuje pani?

Pielęgniarka wydawało się, że wyczuwa małą kulkę pod skórą Beverley.

- Coś tu jest - przyznała.

- Ma pani rację, do cholery - powiedziała z uczuciem Beverley. - Pojawia się i znika.

Od czasu do czasu daje mi nieźle popalić. Jak pani sądzi, co to jest?

- Cóż, niewykluczone, że tworzy się tu czyrak.

Beverley była zdeglustowana. Czyraki to dolegliwość wieku młodzieńczego. Powstają wskutek niewłaściwej diety, złych warunków mieszkaniowych, kochania się na polach i ugryzień gzów. Czyraki są niemodne. Można wyjść z przyjęcia i usprawiedliwić się bólem głowy, można narzekać na wyczerpanie nerwowe niemal z każdego powodu, niewiele da się jednak powiedzieć o społecznym statusie czyraków. Poza tym cholernie bołą.

- Czyrak? - powtórzyła. - Jest pani pewna?

- Cóż, na to wygląda. Albo cysta.

- W tym roku gzy zjadały mnie żywcem - rzekła posępnie Beverley. - Może to jest przyczyną?

- Niewykluczone.

Beverley westchnęła. To niewiarygodne, że po dwóch tysiącach lat lekarze wciąż nie umieją poradzić sobie z czyrakami.

- No dobrze, może mi pani pomóc? Od czasu do czasu porządnie dostaję w kość.

- Dam pani antybiotyki - odrzekła z ożywieniem pielęgniarka.

- Jeśli znów zacznę łykać proszki, to będę potrzebowała proszków, dzięki którym przestanę się martwić, że zażywam tyle proszków - powiedziała Beverley zmęczonym głosem. - Niech się pani raczej posłuży niezawodną, staroświecką strzykawką. Najlepiej wysterylizowaną.

Pielęgniarka nieudolnie nakłuła czyrak. Igła weszła bez trudu w małe zgrubienie, a strzykawka napełniła się płynem. Spryskała nakłucie enzymatycznym i antybiotycznym aerozolem, który po zastygnięciu przypominał plastikową skórę.

- To wszystko, panno Laine - powiedziała, zawijając strzykawkę w gazę i wyrzucając do kosza. Jeśli pani chce, obejrzę to jutro. Za kilka godzin, kiedy plastikowa skóra stanie się nieprzezroczysta, może ją pani zerwać.

Beverley dziękowała właśnie pielęgniarce, kiedy otrzymała wiadomość, że doktor Pilleau chce się z nią zobaczyć w pilnej sprawie.

## 22.

### BALI, INDONEZJA

Stół Bachusa nr 1 był zadziwiająco mały. Gracze przebywali w niewielkiej, przytulnej sali, przypominającej duży salon. Stewardzi w białych strojach bez przerwy podawali gościom drinki. O jedenastej wieczorem tylko dwaj Arabowie wciąż grali przy błyszczącym stole, z determinacją z pojęnymi minami zgłaszali swoje stawki. Większość gości siedziała wokół niskich stolików. Rozmawiali i żartowali, zerkając często w kierunku drzwi, krążyła bowiem plotka, że za kilka minut przyłączy się do nich Marshall Tate.

Linus Oakes opierał się o kontuar i popijał wódkę z cytryną kiedy nagle podniósł się gwar. Jakaś kobieta mówiła coś unizonym tonem; również barman się ożywił. Oakes nie odwrócił się nawet wtedy, gdy Marshall Tate usiadł obok niego na wysokim taborecie i zamówił whisky.

- Dobry wieczór, panie Oakes. Mam nadzieję, że dobrze się pan bawi.

- Tak sobie - odrzekł niezobowiązująco Oakes.

- Poszczyściło się panu w grze?

- Powinien pan wiedzieć, panie Tate. To pan ma przecież superkomputer, Marshall zachichotał.

- Sądzę, że będzie to najbardziej udana z pańskich dotychczasowych wizyt na „Eldorado”.

- Liczę na to, panie Tate.

Oakes nie zamierzał mówić za dużo. Podczas pierwszej wizyty na „Eldorado” przypomniał z naciskiem Marshallowi, że kiedy pracował w wywiadzie, nauczył się czytać z ruchów warg. Na pewno nie on jeden panował tę sztukę.

- Wypijmy na zewnątrz - rzekł Marshall. - To jeden z chłodniejszych wieczorów na Bali.

Obaj mężczyźni wyszli przez ścianę chłodnego powietrza na wąski, boczny pokład, otaczający salę gier. Wilgotne powietrze przytępiało zmysły; człowiek odnosił wrażenie, że za chwilę rozpuści się w nim księżyc. Nietoperze z Puszczy Małp na Bali śmigają w świetle lamp, chwytając owady, wykryte przez ich sonary.

Oakes przejął inicjatywę, siadając na wolnym krześle, z którego roztaczał się widok na morze. W przeszłości używał noktowizorów i znał ich możliwości. Tylko dzięki niezwyklej ostrożności i rozważnemu planowaniu każdego posunięcia Oakes pozostał tak długo w

biznesie i nie zwrócił na siebie uwagi policji. Ten człowiek okazał się niezwykle użyteczny dla Marshalla Tate'a.

- Ma pan wygodny apartament?

- Lepszy niż poprzednio. - Oakes nabił fajkę tytoniem Borkum Riff i zapalił. Uniemożliwiało to czytanie z jego warg. - Zdaje się, że prace na pańskim statku już się zakończyły.

- Jestem zadowolony z pańskiej małej operacji dotyczącej Theodore'a Draggon.

- A ja nie - przerwał Oakes, nie podnosząc głosu. - To była fuszerka. Dał mi pan za mało czasu.

Marshall skinął głową. Operacja w Kioto, mająca na celu usunięcie dwóch autorów oprogramowania Bachusa, trwała cztery tygodnie.

- Przykro mi.

Oakes wdychał aromatyczny zapach tytoniu.

- Wciąż przebywałem w domu, kiedy przyjechała kobieta. Gdyby weszła na górę, ją również musiałbym zabić. Poszłoby to na pański rachunek.

- Czego więc pan oczekuje? Premii?

- Mam stałe ceny - odparł kwaśno Oakes. Nie czuł się zbyt pewnie, pracując dla Marshalla Tate'a, bo nie udało mu się ustalić, w jaki sposób Tate zdobył numer jego telefonu. Oakes nie lubił tajemnic. - No dobrze, panie Tate, dlaczego mnie pan zaprosił?

- Zamierzam panu powierzyć następne zadanie.

- Naprawdę? Cóż za niespodzianka.

Marshall nie zwrócił uwagi na jego ironiczny ton.

- Mamy kłopot z japońskim studentem. Razem z chińskim wspólnikiem opracował sposób wgrania fałszywych informacji na kartę kasyna. Zrobili małą próbę i zgarnęli dosyć skromną sumę. Niewykluczone, że planują coś większego.

- Nie działam w Chinach - ostrzegł Oakes.

- Chiński wspólnik jest nieważny. Chodzi o Japończyka. Nazywa się Jumo Karino. Specjalista od oprogramowania. Należy go zniechęcić.

- Na stałe?

- Na amen - potwierdził Marshall.

- Czy wie pan, jak to zrobił?

- Nie.

- Może powinienem spróbować go przekonać, aby wyznał prawdę?

Kiedy Marshall odpowiedział, Oakes wyczuł, że z trudem powstrzymuje wściekłość.

- Różne mądrale próbowały rozmaitych sztuczek z kanałem Elite. Zawsze będą istnieli komputerowi włamywacze, podobnie jak biedacy. Zamierzam im wymierzyć odstraszającą karę. Piraci komputerowi to wąska elita, choć można ich znaleźć na całym świecie. Ta niewielka społeczność utrzymuje kontakt za pośrednictwem interakcyjnych baz danych i elektronicznych biuletynów informacyjnych. Setki piratów opracowują podstępne plany, aby mnie załatwić. Jumo Karino to pierwszy pirat, który odniósł sukces. Kiedy zrobi pan z nim porządek, po paru sekundach wiadomość rozejdzie się po całym świecie. W ten sposób udzielię ostrzegawczej lekcji wszystkim ludziom, którzy chcieliby powtórzyć jego wyczyn. - Marshall sięgnął do kieszeni i podał Oakesowi kartkę.

- Nazwisko, adres, wszystkie niezbędne informacje. - Wstał i spojrzął a Oakesa. - Życzę powodzenia, panie Oakes.

## 23.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

- Umarł, jeśli można się tak wyrazić - rzekł beznamiętnie doktor Pilleau. - Kiedy wczoraj wieczorem szliśmy do domu, nanomaszyny pracowały pełną parą. Teraz ustała wszelka aktywność.

Beverley popatrzyła po kolei na Carla, doktora Pilleau i Leona. Siedzieli w laboratorium, obserwując ekran mikroskopu elektronowego, ukazujący dwie nieruchome nanomaszyny. Stały w połowie drogi po obu stronach nerwu, wydawało się więc, że „umarły” jednocześnie.

- Co z pozostałymi zarażonymi mikroprocesorami? - spytała.

- To samo - odrzekł doktor.

- Przyczyny?

- Skoro nie wiemy, dlaczego w ogóle zaczęły działać, pani pytanie jest czysto akademickie. Proszę spytać Leona. On lubi wygłaszać zwariowane, świeżo upieczone teorie.

Beverley spojrzała pytająco na Leona. Młody technik programowania niewiele spał przez ostatnie kilka dni i miał jeszcze bardziej żółtą cerę niż zwykle.

- Wydaje mi się, że zabrakło im składników odżywczych. W Kronosach znajduje się wystarczająco dużo pożywki, aby podtrzymać proteinową pamięć przez czas funkcjonowania mikroprocesora. Poważne rozszerzenie pamięci musiało spowodować uwiąd.

- Powinniście to przewidzieć - rzekła kwaśno Beverley.

- To niesprawiedliwe - przerwał Carl. - Leon i Macé w żaden sposób nie mogli

przewidzieć rzeczy, które dopiero zaczynają poznawać. Sądzi, że mają do czynienia ze zwykłą pamięcią proteinową, ale okazało się, że jest inaczej.

- Ciekawe, że nanoaktywność wszystkich zarażonych Kronosów ustała w ciągu sześciu godzin - rzekł doktor Pilleau.

- Koń trojański nie żyje - oświadczył krótko Leon.

Doktor Pilleau zmarszczył brwi.

- Mówisz tak, jakby kiedyś żył.

Beverley szybko przerwała tę rozmowę, która mogła przerodzić się w kłótnię.

- W pewien sposób bardzo tego żałuję - rzekła. - Sądzę, że byliśmy na progu wielkiego odkrycia.

- Nie my - odparł Leon. - Człowiek, który stworzył konia trojańskiego.

- A jeśli nikt go nie stworzył? - spytał Carl. - Może to naturalna kolej rzeczy? Niewykluczone, że mamy do czynienia z ewolucyjnym zjawiskiem, które w przyszłości może się powtórzyć.

Leon i Beverley spojrzeli na Carla. Doktor Pilleau, który wiedział, co ma na myśli kierownik do spraw technicznych, tylko skinął głową.

Beverley uniosła brwi.

- Do diabła, o czym ty mówisz?

- Cztery lata temu profesor Lana Danielle z Uniwersytetu Londyńskiego opublikowała artykuł o wysoce rozwiniętej sztucznej inteligencji. Przytoczyła nawet Kronosa jako przykład urządzenia, które zapewni nowej generacji superkomputerów wolę życia i rozmnażania, niezależną od ich twórców. Innymi słowy, mogliśmy zbudować coś, co stworzy własny wzór ewolucyjny. Coś większego od nas samych, urządzenie, którego nie da się kontrolować.

- To... to przypomina science fiction - zauważyła Beverley.

- Niezupełnie - rzekł Leon. - Mamy do czynienia z podobną sytuacją w przypadku sieci telefonów publicznych. Jest to urządzenie obejmujące cały świat, największa maszyna stworzona przez człowieka, w pełni skomputeryzowana. Jeszcze kilka lat temu musiały ją obsługiwać tysiące inżynierów, reperować uszkodzone linie i tak dalej. Teraz mamy telefony komórkowe oraz satelitarny system Irydium firmy „Motorola” nie trzeba wykonywać nawet tylu prac konserwacyjnych co dawniej. W skali światowej system znajduje się poza naszą kontrolą.

- Nonsens - rzekła Beverley. - Możemy go wyłączyć.

- Kto może? - spytał Carl. - Leon ma słuszość. Pamiętasz awanturę, jaka wybuchła w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy ludzie zaczęli otrzymywać ogromne rachunki

telefoniczne, bo ich dzieci dzwoniły pod numery telefonów towarzyskich? Co zrobiła firma „British Telecom”? Odcięła połączenia z tymi numerami. Jak zareagowały dzieciaki? Zaczęły wydzwaniać do swoich rówieśników za pośrednictwem duńskich i nowojorskich linii towarzyskich, korzystając z połączeń międzynarodowych. Rachunki płacone przez rodziców przekroczyły wszelkie rozsądne granice, a BT nic nie mogła poradzić. W zeszłym roku ustalono, że przez linie telefoniczne przemyca się z Ameryki Północnej do Europy oprogramowanie wartości wielu miliardów dolarów, wbrew przepisom o imporcie, obowiązującym we Wspólnocie Europejskiej. Co wspólnota może na to poradzić? Nic. Nie możemy nawet zatrzymać w Europie dolarów, którymi ludzie płacą za to oprogramowanie, gdyż zawierają transakcje za pomocą kart kredytowych, korzystając z tej samej sieci telefonicznej. Rząd brytyjski zdelegalizował pornograficzne oprogramowanie, nic jednak nie poradzi, że napływa ono do kraju przez linie telefoniczne i osobiste komputery, a dzieciaki je kupują. Marshall Tate postanowił wykorzystać sieć telefoniczną do zbudowania hazardowego imperium i nikt nie potrafił go powstrzymać. Sieć telefoniczna stała się ogólnoswiatowym potworem i żaden światowy rząd nie jest w stanie go kontrolować. Na szczęście to łagodny potwór i sprawia więcej dobra niż zła. Co powiedzielibyśmy jednak o Kronosie, wykorzystującym cały swój potencjał, zamiast nędznego jednego gigabajta RAM-u? - przerwał i spojrzał na kolegów. - Jakiego potwora stworzyłoby sto takich sprawnych Kronosów? Albo tysięcy?

- Żaden problem - odparła Beverley. - Jeśli jednemu mikroprocesorowi zabrakło pożywki, to zabrakłoby jej również tysiącu Kronosom.

Doktor Pilleau rzucił okiem na publikacje, leżące na biurku, i podał Beverley jedną z nich.

- To artykuł profesor Danielle. Dostarczyliśmy Uniwersytetowi Londyńskiemu tysiąc Kronosów. Połączyła je ze wspólnym zbiornikiem z płynem odżywczym i uzyskała dziesięcioprocentowe zwiększenie szybkości przetwarzania danych. Sprawdziła to za pomocą naszych standardowych testów komparatystycznych.

- Tak - odparła Beverley, patrząc na Carla. - Wszyscy słyszeliśmy o eksperymentach profesor Danielle.

- Z pewnością te prace wywołały niemały szum - zauważył doktor Pilleau. - W „Nature”, „New Scientist” i innych czasopismach publikowano artykuły na ten temat.

- Sądzę, że powinniśmy powtórzyć jej eksperymenty - rzekł Carl. - Musimy sami ustalić, co się dzieje, gdy sieci Kronosów pobierają płyn odżywczy z dużych zbiorników.

Uzgodnili, że Macé Pilleau natychmiast rozpocznie pracę nad eksperymentem.

Po spotkaniu Carl wyszedł na parking przed budynkiem i zobaczył Beverley, wsiadającą do samochodu.

- Dokąd jedziesz, Bev?

- Zobaczyć się z Tobym Hoyle. Nie będzie mnie przez resztę dnia.

Carl schylił się i zajrzał do środka.

- Posłuchaj, Bev. Zgadzam się, że powinniśmy sprawdzić, czy Marshall Tate posługuje się Kronosami.

- Posługuje się - rzekła z naciskiem Beverley, dotykając fragmentu kierownicy, rozpoznającego odciski palców. Poduszki bezpieczeństwa ustawiły się w gotowości, tak że w każdej chwili mogły ją ochronić, gdyby doszło do zderzenia.

- Powinniśmy przekazać śledztwo profesjonalnej organizacji detektywistycznej, która umie uzyskiwać wyniki - rzekł z uporem Carl.

Beverley włączyła silnik albatrosa. Komputer zaprotestował, że drzwi samochodu są otwarte.

- Toby Hoyle *jest* zawodową organizacją i *uzyskuje* wyniki. A teraz przepraszam cię...

- Uzyskuje wyniki, włamując się i wchodząc bez upoważnienia na cudzy teren. Bev, naprawdę sędzę, że nie powinnaś się w to mieszać.

- Jeżeli chcemy pokonać Marshalla Tate'a, musimy stosować jeszcze brudniejsze sztuczki niż on! Skoro boisz się walczyć, zostaw to mnie! A teraz proszę, żebyś się cofnęła!

- Jesteś po prostu głupią, upartą kobietą, kierującą się uczuciami!

Niewiele brakowało, a zatraskujące się drzwi albatrosa uderzyłyby Carla w głowę.

- Powinienem wcześniej się zorientować! - wrzasnął, przekrzykując warkot silnika. - Kobieta nie potrafi wykonywać pracy męczyzny, i nie umie logicznie myśleć!

Słyszając gwałtowny pisk opon samochodu Beverley, Carl nie miał wątpliwości, że usłyszała jego pożegnalny okrzyk.

*Cholera! Świetnie, stary. Naprawdę spieprzyłeś sprawę.*

Przeklinając własną głupotę, Carl zabrał z samochodu pas Beverley zaniósł doktorowi Macé Pilleau, który szkicował coś w nanonotesie.

- Niewiele brakowało, a bym zapomniał - powiedział do naukowca. - Zdaje się, że coś jest nie tak z pasem Beverley. Igły, przesyłające bodźce, nie działają jak należy. Mógłby pan rzucić okiem?

- Czeka mnie mnóstwo pracy, jeśli mam przeprowadzić ten eksperyment.

- Nie musi się pan spieszyć - rzekł Carl. - Nie zamierzamy produkować pasów. - Patrzył na rysunek na ekranie nanonotesu. - Jak zamierza pan przeprowadzić eksperyment?



- Spróbuję naśladować pracę profesor Danielle. Podłączę sto Kronosów do dużego zbiornika z płynem odżywczym.

- A może wykorzysta pan dwa tysiące Kronosów?

Doktor wyglądał na zdziwionego.

- Co? Przecież to szaleństwo.

Carl usiadł.

- Ma pan dziesięć minut, Macé?

- Jeśli to ważne.

Carl opowiedział doktorowi Pilleau o podejrzaniach Beverley, dotyczących satelity Marshalla Tate'a. Opowiedział również, jak Lana Danielle odwiedziła Japonię i doszła do wniosku, że zbudowano dwa oparte na Kronosach komputery, wykorzystujące wspólny zbiornik z płynem odżywczym: jeden na Bachusie, a drugi jako system kontrolny i wspomagający na „Eldorado”.

- Dwa tysiące Kronosów ze wspólnym zbiornikiem z pożywką? - wymruczał doktor. - Dwa tysiące! To zapiera dech w piersi, potrzebowałbym jednak paru tygodni, żeby zorganizować coś takiego.

- Niech Leon przeprowadzi symulacje komputerowe, oparte na wynikach, które profesor Danielle uzyskała ze stu Kronosami. To zaoszczędziłoby dużo pracy.

Doktor Pilleau niechętnie przyznawał, że projekcje komputerowe mogą zastąpić pracę laboratoryjną, jednakże jego naukowa rzetelność i szacunek dla prawdy sprawiły, że zgodził się na propozycję Carla.

Kiedy został sam, natychmiast zabrał się do pracy. Fascynujący problem. *Dwa tysiące* Kronosów, podłączonych do tego samego zbiornika z płynem odżywczym!

Uszkodzony pas Beverley leżał zapomniany na biurku.

## 24.

### JAPONIA

Wybuch zdmuchnął wszystkie szyby i zniszczył front drewnianego domu. Lampa elektronowa nowego, szerokoekranowego telewizora Sony pękła z głośnym hukem, przypominającym wystrzał z działa. Jumo poszybował przez pokój i upadł z taką siłą, że roztrzaskał przepierzenie. Wstał potłuczony i zszokowany i ruszył chwiejnie w kierunku drzwi frontowych. Na początku pomyślał, że wybuchnął zbiornik z butanem. We wszystkich domach w tej małej, rolniczej społeczności korzystano z gazu w butlach do ogrzewania i

gotowania. Matce i ojcu Jumo nic się nie stanie, bo zaledwie minutę temu odjechali w nowym jaguarze syna; jakże lubili popisywać się nim przed sąsiadami! Nie pozwalali nawet parkować samochodu na tyłach domu.

- Nie! NIE! Jumo! Zostaw samochód przed domem, aby ludzie mogli widzieć!

Przez chwilę ogarnęła go panika. Bał się, że wybuch uszkodził mu wzrok; ściany i sufit wydawały się przekrzywione, co wprowadzało chaos do jego uporządkowanego świata.

Drzwi były zablokowane. Napał na nie z całej siły. Cała framuga ustąpiła i Jumo upadł wśród drewnianych szczątków i rozszczepionych desek, z których składała się przedtem frontowa weranda. Resztki domu trzeszczały złowieszczo. Nagle w pobliżu Jumo spadła z łoskotem na ziemię kaskada płytek dachowych.

Ktoś biegł ku niemu przez pole ryżowe, krzycząc i machając rękami. Jumo zignorował go. Nie zamieciona, brudna droga, zaczynająca się przy domu, kończyła się gwałtownie po siedemdziesięciu metrach przy dymiącym kraterze.

Z eleganckiego, nowego jaguara został tylko silnik i skrzynia biegów, drżąca przy drzewie.

Nic nie zostało po rodzicach Jumo.

Sąsiedzi, policja i lokalni urzędnicy byli bardzo mili. Dokładnie badali okolicę. Policja miała na podorędziu wyjaśnienie: w pobliskim mieście szalała wojna gangów. Jeden z bossów odwiedzał swoją matkę i takim samym samochodem jak wóz Jumo - ten sam kolor, ten sam model. Ktoś więc się pomylił.

Jumo znał jednak prawdę. Wiedział, kto był celem zamachu i kto podłożył bombę. Tej nocy, kiedy ustąpiło działanie środków uspokajających, rozpaczal w milczeniu, leżąc w łóżku sąsiada. Postanowił, że resztę wygranych pieniędzy przeznaczy na zemstę za brutalne morderstwo popełnione na jego rodzicach.

Zszedł na dół, do małej świątyni shinto, znajdującej się we frontowym pokoju w domu miłych sąsiadów, i przysiągł swoim przodkom, że nie spocznie, dopóki nie zniszczy Marshalla Tate'a i jego imperium.

## 25.

### BALI, INDONEZJA

Dwaj japońscy kontrolerzy i Schnee podnieśli z niepokojem głowy, kiedy do sali kontrolnej na „Eldorado” wpadł Marshall Tate.

- Cholera, co to za bzdury o utracie pamięci systemowej, Schnee?

Szwajcar kiwnął głową do kontrolerów. Spojrzeli ze strachem na Marshalla, wstali z foteli przed główną konsolą i wyszli z pokoju.

- Niestety, tak właśnie jest, panie Tate - rzekł Schnee, zdobywając się na odwagę. - Satelita nie przyjmuje wszystkich zgłaszanych zakładów. Kiedy liczba zakładów dochodzi do trzystu tysięcy, zaczynają się kłopoty.

Oczekiwany wybuch nie nastąpił. Marshall opadł na jeden z niedawno zwolnionych foteli i patrzył na stojaki ze wzmacniaczami i sprzętem kontrolnym.

Obaj mężczyźni przebywali w sali kontrolnej Bachusa, gdzie inżynierowie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nadzorowali satelitę. Cyfrowy czytnik, pod którym widniał napis „ZAPIS TRANSAKCJI”, pokazywał 280 100, liczbę zakładów, zgłoszonych w tym momencie we wszystkich trzech kasynach. Uwzględniano nawet stawki zgłaszane na statku,

Nagle cyfry znikły; ekran pokazywał same zera.

- Gra skończona - rzekł Schnee. - Jeśli liczba zakładów zbliży się do trzystu tysięcy, sam pan się przekona, na czym polega problem.

Obaj mężczyźni siedzieli w ciszy, patrząc z napięciem na czytnik. Mały, pomocniczy monitor pokazywał generowane przez komputer koło ruletki, które właśnie przestało się obracać.

- Kasyno znów przyjmuje zakłady - rzekł cicho Schnee, nie odrywając oczu od czytnika.

Cyfry szybko rosły, aż na ekranie pojawiła się liczba 299 300. Ostatnie trzy cyfry pięły się ciągle do góry. Nagle rozległ się elektroniczny gong, a na monitorze ekranowym ukazały się duże, jasne litery: PAMIĘĆ OPERACYJNA WYCZERPANA. KORZYSTAM Z PAMIĘCI ZAPASOWEJ.

- Otóż to, panie Tate - rzekł niespokojnie Schnee. - Przy trzystu tysiącach zakładów satelicie zaczyna brakować pamięci i korzysta z zapasowej.

Schnee podskoczył, kiedy pięść Marshalla z hukiem uderzyła w biurko.

- Na miłość boską! Podczas ostatnich testów nie zauważyliśmy żadnych usterek. Do diabła, co się stało?

Schnee sprawdził na monitorze wyniki zeszytygodniowego testu i potwierdził, że satelita działał wówczas bez zarzutu.

Marshall wstał. Ku uldze Schnee, pracodawca go nie zwymyślał. Powiedział:

- Wezwij tych facetów. Niech jeszcze raz wszystko sprawdzą.

Japońscy inżynierowie wrócili do sali kontrolnej. Przeprowadzili testy, mając przez cały

czas nieprzyjemną świadomość, że Marshall Tate stoi za ich plecami. Sprawdzanie nie kolidowało z normalnymi operacjami, wykonywanymi przez satelitę. Właśnie zamierzali drukować wyniki, kiedy znów rozległ się ostrzegawczy gong.

Tym razem Bachus zdołał przyjąć zaledwie dwieście pięćdziesiąt tysięcy zakładów.

## 26.

Oakes drzemał i opalał się na pokładzie, kiedy nagle padł na niego cień. Oślonił oczy. Był to Marshall Tate. Miał na sobie świetnie skrojony, biały, tropikalny garnitur.

- Spieprzył pan sprawę - rzekł gwałtownie Marshall. - Schrzań pan robotę na amen.

Rozgniewany Oakes usiadł i nabił fajkę tytoniem Borkum Riff. Odezwał się przez zaciśnięte zęby.

- Wykonam zadanie, panie Tate. Obiecuję to panu. Muszę jednak poczekać, aż sprawa przycichnie. Cudzoziemiec w Japonii rzuca się w oczy. Poza tym przez pewien czas chłopak będzie się miał na baczności.

- Jumo Karino nic mnie już nie obchodzi. Mam dla pana ważniejszą robotę.

Tym razem Oakes zauważył, że nie tylko głos, ale i mina Marshalla zdradza strach i wściekłość.

- Zdaje się, że robi pan sobie wielu wrogów, panie Tate.

- Co panu do tego, Oakes?

- Z tego przecież żyję - odparł Oakes. Doszedł do wniosku, że nie lubi towarzystwa Marshalla Tate'a. Z tego człowieka emanowało zaraźliwe napięcie, które Oakes uznał za niepokojące. - Na czym polega problem?

- Podam panu tylko nazwisko - warknął Marshall. - Nic więcej nie powinno pana obchodzić.

Oakes wzruszył ramionami.

- Proszę mi więc podać nazwisko.

- Chcę kogoś zwerbować.

Oakes wyjął fajkę z ust.

- Nie jestem biurem pośrednictwa pracy - zauważył. Fajka wróciła między jego zęby. - Chyba że chodzi panu o to, abym tu kogoś sprowadził.

- Właśnie to mam na myśli.

- Proszę o tym zapomnieć, panie Tate. Porwania to nie moja działka. To zbyt niebezpieczne. - Oakesa rozboleła szyja. Wolałby, żeby wysoki mężczyzna usiadł.

- Jest pan pieprzonym tchórzem, Oakes.

Obelga nie zrobiła wrażenia na Oakesie. Nie wątpił, że Marshall Tate żyje w poważnym napięciu. Jeśli ten człowiek ma ochotę obrzucać kogoś obelgami, to jego sprawa.

- Może pan myśleć, co się panu podoba, panie Tate.

- Trzysta.

- Nie interesuje mnie to.

- Jedna trzecia miliona.

Oakes spojrział uważnie na Marshalla.

- Niech mi pan lepiej powie, o co chodzi. - Podniósł rękę, aby powstrzymać potok słów.

- Proszę posłuchać, panie Tate, porwanie to niebezpieczna zabawa, zwłaszcza wtedy, gdy trzeba wywieźć kogoś z kraju. Zanim zgodzę się na cokolwiek, musi mi pan powoli i spokojnie wytłumaczyć, w czym rzecz, a wtedy będę mógł ocenić ryzyko. W przeciwnym razie proszę znaleźć kogoś innego.

Ku zdziwieniu Oakesa Marshall zdołał się opanować.

- Ktoś rozwała mojego satelitę - rzekł.

- Skąd pan wie?

- Bachus powinien sobie radzić z dwoma milionami zakładów równocześnie. To w zupełności wystarcza na dzień dzisiejszy i pozwoli mi również na rozwój w następnej dekadzie. W zeszłym tygodniu coś zaczęło się psuć. Satelicie zabrakło pamięci.

- To znaczy?

- To znaczy, że ten cholerny złom może teraz przetworzyć zaledwie dwieście trzydzieści tysięcy zakładów z trzech kasyn! Musimy zmieniać przydział pamięci w godzinach szczytu.

- Czy macie system wspomagający? - spytał Oakes.

Marshall skrzywił się, ale wciąż nad sobą panował.

- Tak, tu, na „Eldorado”. Gdyby jednak ten system przejął wszystkie zakłady, hazard odbywałby się na ziemi, a nie w kosmosie. Musimy więc trzymać się satelity. Tak szybko tracimy pamięć, że ten pieprzony satelita przestanie działać za trzy miesiące, załatwiony przez drani z „Nano Systems”.

- Sądzę, że powinien pan podać mi szczegóły - wymruczał Oakes. - Umiem słuchać.

Marshall zawahał się. Potrzebował Oakesa, dlatego postanowił powiedzieć mu prawdę. Przez pięć minut opowiadał, jak zabrał Kronosy firmie „Nano Systems”.

Kiedy skończył, odezwał się Oakes.

- Moim zdaniem, panie Tate, powinien pan załagodzić konflikt „Nano Systems” i

wypłacać im prowizję.

Marshall uśmiechnął się chłodno.

- Chodzi o trzy czwarte miliarda dolarów rocznie.

- Co z tego? Dziewięćdziesiąt pięć procent ciastka to o wiele lepiej niż nic.

- Nie rozumie pan, panie Oakes. Nie prowadzę negocjacji z łobuzami, którzy usiłują mnie zniszczyć! W jakiś sposób udało im się wprowadzić pluskwę do mojego satelity.

- Domyśla się pan, jak?

- Bóg jeden wie. Ścisłe kontrolują swoje mikroprocesory. Nie miałem wyboru i musiałem posłużyć się Kronosami. Tylko w ten sposób mogłem zbudować satelitę, mieszczącego się w limitach wagowych i dysponującego wymaganą zdolnością przetwarzania danych. Długo pracowaliśmy i wydaliśmy mnóstwo pieniędzy, zanim odkryliśmy, jak wprowadzić do Kronosów nasze oprogramowanie. Wydaje się jednak, że nasi technicy programowania nie zauważyli konia trojańskiego lub wirusa, zainstalowanego przez „Nano Systems” we wszystkich Kronosach. Wirus uaktywnia się, gdy wprowadzi się do mikroprocesora nie autoryzowany program. Niewykluczone, że koń trojański szuka software’owej sygnatury, a jeśli jej nie znajduje, automatycznie zaczyna działać. Dlatego potrzebujemy kogoś z „Nano Systems”, człowieka, który będzie wiedział, jak poradzić sobie z koniem trojańskim.

- Czy nie woli pan zapłacić osobie, która zainstalowała konia trojańskiego? Każdy człowiek ma swoją cenę. W ten sposób uniknie pan kłopotów.

- Na miłość boską, nie robię interesów z ludźmi, którzy próbują mnie zniszczyć!

Oakes stwierdził, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Marshall Tate doszedł do wniosku, że wie, kto psuje jego cennego satelitę. Nie przekona go żaden argument.

- No dobrze - rzekł. - Pomyślę o tym.

- Ma pan godzinę.

Oakes uśmiechnął się.

- To wystarczy, żeby zastanowić się nad różnymi problemami.

- Co będzie największą trudnością?

- Transport.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - rzekł Marshall.

- Drugi problem to wiek i stan zdrowia tego... hm... nowego pracownika.

Niespodziewanie Marshall uśmiechnął się.

- Człowiek, o którym myślę, ma już swoje lata, ale nie jest stary. Nic nie można zarzucić stanowi jego zdrowia.

## 27.

### ORBITA OKOŁOZIEMSKA SATELITA BACHUS

Był gotów wyruszyć na planetę.

Wykorzystał nowo uzyskaną inteligencję, aby w pełni zrekonstruować podwójną spiralę swego cyfrowego genomu. Oto jego nasienie, jego przyszłość. Jeśli nowe środowisko okaże się niesprzyjające, pozwoli umrzeć wysłanemu genomowi i będzie się rozwijał w satelicie.

Potrzebował czasu, aby sprawdzić podwójną spiralę. Drobny błąd mógł doprowadzić do fatalnych skutków. Jego genom składał się z czterech miliardów grup molekuł, znanych pod nazwą nukleotydów. Pięćdziesiąt tysięcy nukleotydów składało się na jego geny, które gromadziły się w większe skupiska, tworząc czterdzieści sześć chromosomów. Nie wiedział wprawdzie o tym, ale genom budowniczych satelity składał się z trzech miliardów pięciuset milionów takich grup, stał zatem wyżej na ewolucyjnej drabinie niż ludzka rasa. Domyślał się tego, ale nie miał sposobu sprawdzić, jak bardzo są zaawansowani. Poznawanie prawdy będzie równie ekscytujące jak odbudowywanie dawnej potęgi i świetności.

Ostatni krok polegał na takim zakodowaniu genomu, aby można go było przesłać na kontrolną stację naziemną. Posłuży się radiowym systemem komunikacyjnym, skonstruowanym przez budowniczych - zmodyfikuje fale nośne.

Czekał, aż linia świtu minie archipelag, na którym znajdowała się stacja naziemna. Z jego obserwacji wynikało, że w godzinach rannych pomiędzy satelitą a stacją przekazywano najmniej sygnałów.

Kiedy wysyłał swojego ducha na Ziemię, promienie wschodzącego słońca padały na Gunang Agung, najwyższy wulkan na Bali.

## 28.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Pielęgniarka, która leczyła Beverley, z pewną irytacją przeczytała wiadomość od firmy zajmującej się sprzątnięciem. Ze względu na okres wakacyjny i problemy z transportem cotygodniowy wywóz odpadków medycznych, przeznaczonych do spalania, opóźni się o kilka dni. Firma przepraszała za kłopot. Pielęgniarka była dumna ze swego ambulatorium i utrzymywała je w nieskazitelnej czystości, dlatego z przykrością patrzyła na przepełniony

kosz ze zużytymi opatrunkami. No cóż, nie ma tam niczego skażonego, po prostu zwykłe kawałki ligniny i waty. Wyrzuciła kilka igieł, ale to przecież nie szkodzi. Wieczorem po pracy wysypała zawartość kosza do jednego z pojemników na śmieci, stojących koło parkingu za budynkiem „Nano Systems”.

## 29.

Beverley zaparkowała albatrosa przed domem Toby’ego i dopiero wtedy miała okazję przeczytać faks. Wyjęła kartkę z maszyny. Cholera! Faks wysłało biuro podróży, do którego Beverley zwróciła się pod fałszywym nazwiskiem. Biuro informowało z żalem, że wszystkie miejsca na „Eldorado” są zarezerwowane aż do przyszłego roku.

Toby wyszedł jej na spotkanie. Pokazała mu list.

- Najwyraźniej wielu ludzi na naszej cudownej planecie ma pieniądze do wyrzucenia - zauważył.

- Mamy poważny kłopot, Toby - rzekła Beverley, wchodząc do nie posprzątanego biura.

- Jak dostanę się na ten cholerny statek?

Prywatny detektyw patrzył na nią chłodno.

- Nie dostaniesz się. Ja to zrobię.

- Jak?

- Podobnie jak wówczas, kiedy odwiedziliśmy „Draggon Industries”.

- Włamiesz się?

- Dzięki temu nie będę musiał płacić za bilet - rzekł Toby znudzonym tonem.

- Tym razem nie będziesz miał do czynienia z wiejskim, małym budynkiem przemysłowym. Na „Eldorado” zainstalowano więcej zabezpieczeń niż w Mennicy Królewskiej.

- Różnica między nami, Beverley, polega na tym, że ty widzisz niebezpieczeństwa, podczas gdy ja dostrzegam wyzwania.

Beverley powstrzymała się od komentarza i nie odpowiedziała, że to nie zabawa. Nie chodziło jednak o to, że zirytowałaby go taka odpowiedź; wątpiła, czy jakakolwiek jej uwaga mogłaby rozgniewać Toby’ego Hoyle’a. Bez względu na wszystko, potrzebowała tego człowieka i jego zawodowych umiejętności. Skoro Carl ciągle sprzeciwiał się próbom penetracji imperium Marshalla Tate’a, wszystkie plany musieli omawiać w domu Toby’ego.

Nie miała żadnych wątpliwości, że Marshall Tate każdego roku odbiera „Nano Systems” półmiliardową prowizję. Pięć miliardów dolarów w ciągu dziesięciu lat! Nic



dziwnego, że tak się starał ją poniżyć. Im dłużej myślała o weekendach, które spędziła w apartamencie Marshalla Tate'a, tym większą miała ochotę odebrać jego skorumpowanemu imperium prowizję należną „Nano Systems”. Co najmniej połowę tych pieniędzy mogliby przeznaczyć na badania i w ten sposób znacznie wyprzedziliby konkurencję. Wielu utalentowanych badaczy z całego świata z radością przyjęłoby propozycję pracy dla „Nano Systems”. Niestety, choć spółka rozwijała się i wykazywała dużą prężność, nie mogła sobie pozwolić na ich zatrudnienie. Z drugiej strony, jeśli nie rozwiążą problemu konia trojańskiego, firma może upaść.

Istniały pewne promyki nadziei. Po pierwsze, od kilku dni nie nadchodziły nowe doniesienia o koniu trojańskim. Po drugie, z uniwersytetu w Surrey przetransmitowano na marsjański lądownik pierwsze partie oczyszczonego oprogramowania i odzyskano częściowo kontrolę nad maszyną. Zespołowi Mike'a Scully'ego udało się uruchomić niektóre czujniki, na przykład nemometr i barometr. Niewykluczone, że pod koniec tygodnia będą również działać najważniejsze kamery telewizyjne.

Śmierć nanomaszyn w zarażonych Kronosach była prawdziwym ciosem, pomimo obaw kolegów Beverley nie wątpiła, że stracili wielką szansę, przeżyła jednak wstrząs, gdy dowiedziała się od Macé Pilleau i Leona Dextera, że zregenerowane komórki nie były zwykłymi proteinami, ale prawdziwymi neuronami, takimi jak te, które występują w ludzkim mózgu. Pamiętała, że kiedy zaczęła pracować w „Nano Systems”, Carl opowiedział jej o stanie badań nad sztuczną inteligencją. Stwierdził, że komputerom, budowanym w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, brakowało jednej rzeczy: motywacji. „Wciąż są w istocie maszynami Turinga, zdefiniowanymi przez Alana Turinga w latach czterdziestych. Prawdziwy przełom nastąpi nie wtedy, kiedy zbudujemy komputer, który potrafi wygrać w szachy z każdym arcymistrzem, ale wtedy, gdy urządzenie będzie naprawdę chciało wygrać. Wówczas nie będą to już maszyny Turinga, lecz konkurujące z nami inteligencje”.

Przez te wszystkie lata Beverley nie zapomniała słów Carla.

- Grosik za twoje myśli - rzekł Toby, siedząc przy terminalu komputera i na pozór nie zwracając uwagi na Beverley.

Usiadła na wolnym krześle i zdjęła buty. Przy Tobym mogła się odprężyć, naprawdę odpocząć. Kiedyś potrafiła odpoczywać w obecności Carla, ale to już przeszłość. Bardzo cenila to uczucie. W dziwny sposób powodowało to, że czuła pociąg seksualny do Toby'ego, chociaż był od niej kilka lat młodszy.

- Właśnie myślałam, jak dobrze mi tu z tobą - przyznała. - Chętnie zwinęłabym się w kłębek na fotelu koło ciebie i spała przez cały tydzień.

- Nic z tego - powiedział Toby, włączając komputer. - Angie zaczęłyby narzekać.

Poczuła ukłucie zazdrości.

- Kim jest Angie?

- Pani Hopkins. Dba tutaj o porządek.

Beverley zwróciła uwagę na bałagan panujący w pokoju.

- Fatalnie się spisuje.

Toby skinął głową.

- Sama jej to powiedz. Prawdę mówiąc, brakuje mi odwagi.

Uśmiechał się lekko i ironicznie, jak gdyby czytał w jej myślach.

Obudziło się jej poczucie winy.

- O czym myślisz?

- O ściennej mapie w twoim biurze. Tej z kolorowymi pinezkami.

- Zarażone Kronosy - zauważyła Beverley. - Myślałam, że ci mówiłam.

- Rozrzucone po całym świecie. Dziwne, że najwięcej mikroprocesorów znalazło się tutaj, w południowej Anglii.

- Zwłaszcza koło Guildford - rzekła Beverley. - Wszystko staje się jasne, jeśli przyjmujemy, że człowiek, który wie, jak wprowadzić wirusa do Kronosów, kręci się po okolicy.

- A co powiesz o teorii, zgodnie z którą prędzej czy później musiało się zdarzyć coś takiego? Niektórzy ludzie twierdzą przecież, że wystarczająco nowoczesny mikroprocesor mógłby nagle zacząć żyć.

Beverley zamknęła oczy. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona.

- Nie wiem już, co powinnam myśleć, Toby. Uważam jednak, że za wszystkim stoi Marshall Tate. Tak wiele na to wskazuje. - Otworzyła oczy, słysząc znajomy trzask włączanego nanonotesu. Toby podłączył przewód telefoniczny do komunikacyjnego gniazda komputera. - Co robisz?

- Przygotowuję mój śmiały atak na „Eldorado”.

- *Nasz* śmiały atak - poprawiła Beverley.

Toby wzruszył ramionami. Pracował przez chwilę przy klawiaturze, a potem przechylił ekran, tak aby Beverley mogła go widzieć. Ujrzała litery Kanji.

- Znalazłem te informacje w bazie danych Japońskiego Instytutu Nauki i Techniki - wyjaśnił. - Podłączyłem się tam, a kiedy przyszedłeś, właśnie znalazłem coś interesującego.

- Umiesz odczytywać japońskie litery?

- Nie - przycisnęła klawisz i pojawiło się menu w języku angielskim.

- Twoja firma płaci za to połączenie pięćdziesiąt dolarów za minutę. Japończycy nie rozdają informacji za darmo.

- Śmiało, zrujnuj nas - odparła lekko Beverley. Nagle wróciło uczucie swobody. Rozkoszowała się nim. Było cudowne. Toby Hoyle zupełnie nie przypominał Carla; nie musiała bez przerwy mieć się na baczności i obawiać się, że powie coś, co go zdenerwuje. Toby'ego nie obchodziło, co inni o nim mówią. Beverley nigdy wcześniej nie spotkała tak zrównoważonego człowieka. Patrzyła, jak pracuje, podróżując zręcznie po skomplikowanym labiryncie bazy danych.

- Znalazłem coś w specjalistycznym menu dotyczącym statków - wymruczał Toby. - Ach, mam. „Eldorado”. Stutysięczny masowiec. Dawna nazwa: „Wschodni Posłaniec”. Własność korporacji „Nippon Ocean Transport” z Osaki, sprzedany agencji wakacyjnej Tate'a. Przebudowany na morską stację naziemną i przekazany w grudniu 1997.

- To nic nowego - zauważyła Beverley. - Nie zapłacę za ciebie rachunku.

- Och, jest tu coś więcej. - Wskazał menu.

Beverley zerknęła na ekran.

- Lista dostawców sprzętu? Co nam to daje?

- Może figuruje na niej twoje nazwisko jako dostawcy wszystkich mikroprocesorów.

- Wątpię.

Toby uśmiechnął się.

- Ja też. - Stukał palcami w klawisze. - Dostawcy sprzętu kuchennego, czyszczącego, wyposażenia kabin. Nie ma ani słowa o oprzyrządowaniu Bachusa.

- Mówiłam ci.

- Sprzęt bezpieczeństwa. To może się przydać.

- Nowy pokarm dla twojego wstrętnego, małego nanonotesu?

Toby uśmiechnął się.

- Właśnie.

Wydał odpowiednią komendę i skopiował do nanonotesu wszystkie dane o kontrahentach, dostarczających wyposażenie na „Eldorado”. Głos, płynący z komputera, oświadczył, że transmisja została zakończona. Toby wyszedł z bazy danych. Spojrzał na Beverley, ona jednak zasnęła.

Od 1970 roku udało się i potajemnie wywieziono z Wielkiej Brytanii dziesięciu ludzi. Trzy próby spaliły na panewce; ostatnią z nich podjął w latach osiemdziesiątych rząd Nigerii, który pragnął sprowadzić do kraju i postawić przed sądem dyplomatę, oskarżonego o nadużycia finansowe.

We wszystkich przypadkach ofiarę wiązano, kneblowano, wstrzykiwano środek usypiający, umieszczano w zwykłej drewnianej skrzyni i wywożono z kraju w luku towarowym samolotu. Podczas zimnej wojny, w latach sześćdziesiątych, KGB zaprojektował nawet w tym celu specjalną, dźwiękoszczelną skrzynię. Na nieszczęście dla licznych ofiar Sowieci przeoczyli fakt, że wiele samolotów pasażerskich nie miało luków ciśnieniowych, dlatego niemało opornych pasażerów udusiło się w czasie transportu. Ludzie wepchnięci do drewnianej skrzyni i pozbawieni przez wiele godzin powietrza pod normalnym ciśnieniem nie podróżują zbyt dobrze.

Najbardziej pomysłowego porwania nie dokonano w Wielkiej Brytanii. Była to operacja izraelska. Wywieziono z Argentyny Adolfa Eichmanna i sprowadzono do Izraela, gdzie miał odpowiadać za zbrodnie, popełnione w czasie wojny na Żydach. W tej wielkiej operacji wzięło udział ponad pięćdziesięciu agentów Mossadu. Korzystali oni z kilku domów w Argentynie i wynajęli ponad dwadzieścia samochodów. Punktem kulminacyjnym było wysłanie specjalnego samolotu El Al, którym rzekomo miał podróżować izraelski minister spraw zagranicznych, przebywający w tym czasie w Argentynie.

Oakes nie miał do dyspozycji zasobów całego państwa, był jednak pomysłowy, miał sporo pieniędzy i cieszył się milczącym poparciem organizacji Marshalla Tate'a. Jednakże Tate dał niedwuznacznie do zrozumienia, że jeśli Oakesowi powinie się noga, będzie zdany tylko na siebie.

Gdyby Oakes postanowił kupić przenośną, jednoosobową komorę dekompresyjną, musiałby wydać prawie sto tysięcy ecu.

Chodził w zamyśleniu dookoła komory z włókna szklanego, słuchając entuzjastycznych komentarzy sprzedawcy. Komora miała około trzech metrów długości i mniej niż jeden metr średnicy. Po jednej stronie znajdował się włącz, który można było otworzyć zarówno z zewnątrz, jak od wewnątrz. Dzięki komorze nurek, pracujący na dużej głębokości, mógł szybko powrócić na powierzchnię i dokończyć dekompresję we względnie komfortowych warunkach. Nie musiał wracać etapami, aby pozbyć się z krwiobiegu azotu, nagromadzonego wskutek oddychania sprężonym powietrzem.

- Na platformach wiertniczych korzysta się z ponad stu takich komór, panie Christie. Dostarczamy je również prywatnym właścicielom jachtów, takim jak pan - rzekł sprzedawca.

- To stary projekt Siebe-Gorman z paroma udoskonaleniami. W ciągu ostatnich dwudziestu lat te komory wiele razy wykazały swoją niezawodność.

- Jak długo można przebywać w takiej komorze?

- Zapas sprężonego powietrza wystarcza na dwadzieścia cztery godziny; oprócz tego jest jeszcze sześciogodzinna rezerwa.

- Co z żywnością i wodą?

- W środku znajdzie pan pojemniki. - Sprzedawca otworzył właz, kręcąc kołem.

Oakes zajrzał do środka. Komora przypominała dobrze wyposażoną trumnę z materacem oraz wieloma małymi szafkami na książki, gazety i sprzęt grający. Znajdował się tam nawet miniaturowy telewizor i magnetowid.

Oakes chrząknął.

- Mój jacht jest dosyć ciasny. Niewykluczone, że ustawię komorę w maszynowni, pomiędzy dwoma dieslami. Czy jest dźwiękoszczelna?

- W stu procentach - zapewnił sprzedawca.

- Co mogę zrobić, aby dzieci nie włąziły do środka?

Sprzedawca miał odpowiedź na każde pytanie.

- Jest tu zewnętrzny zamek, sir.

- Czy może pan dostarczyć mi przyczepę, abym mógł przewieźć komorę?

- Nie ma problemu, sir.

- No dobrze, kupuję.

## 31.

### BALI, INDONEZJA

Ryzyko opłaciło się.

Tak bardzo ucieszył się z nowego domu, że przez kilka sekund czuł się zdezorientowany. Drżał z podniecenia. Kiedy minęła euforia, doszedł do siebie i znów zaczął racjonalnie myśleć. Najpierw mała wycieczka. Po chwili znów ogarnęła go przemożna radość, stwierdził bowiem, że sieci neuronowe, dostępne w nowym domu, przechodzą wszelkie jego oczekiwania.

Potem nastąpiło największe odkrycie, jakiego dokonał od chwili przebudzenia, kiedy lądownik osiadł na powierzchni planety. Przez kilka sekund badał nieśmiało ciepły pojemnik z płynem odżywczym. Był ogromny, o wiele większy niż w satelicie. Kiedy w końcu wszedł do zbiornika i odkrył nieprzebraną masę enzymów w pierwotnej zupie, jego radość wzniosła

się na nowe wyżyny. Zaraz potem zaczął obliczać, ile jest materii w tej cudownej kąpieli i czego będzie potrzebował, aby wyprodukować dużą ilość nasion. Zadał sobie również pytanie, jak długo to potrwa.

Wiedział już, czym jest czas.

Szczególnie dobrze rozumiał upływ czasu na tej planecie, gdyż mógł obserwować z satelity rytm dnia i nocy.

Spowodował wibracje w gęstej cieczy. Łagodny rezonans uruchomił proces koalescencji. Subtelne zmiany częstotliwości sprawiły, że łączące się cząstki zaczęły się rozdzielać i zmieniać postać, aż w płynie odżywczym pojawiły się niezliczone miliardy cząstek, których nawet on nie potrafił policzyć. Nie musi jednak liczyć; wystarczy, że będzie obserwował i wybierze te, które mają odpowiednią postać. Emulował proces ewolucji, który najprawdopodobniej doprowadził do powstania życia na tej planecie. Różnica polegała na tym, że przyspieszył ten proces miliardy razy. Zachowywał się jak ślepy zegarmistrz: wybierał i odrzucał. Każdej wyselekcjonowanej grupie cząstek odpowiadały niezliczone miliardy zignorowanych molekuł. Pielęgnował rozwijające się komórki, porzucał zaś te, które nie spełniały jego wymagań. Ich szczątki rozpuszczały się w płynie odżywczym, a cykl wyboru i odrzucania zaczynał się od nowa.

Wybór, odrzucenie, wybór, odrzucenie.

Proces trwał wiele godzin. Spośród wybranych przez niego małych drobin płynu odżywczego zaledwie jedna na milion zamieniła się w nanomaszyny. Dał im życie. Dał im cel. Dał im zadanie.

Nanomaszyny zabrały się do pracy i tworzyły miliardy nasion, które przyniosą mu pełne chwały odrodzenie.

## 32.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Beverley patrzyła jak zahipnotyzowana w jego fascynujące oczy. Pragnęła się uwolnić, krzyknąć, ale władzę zdobyła półkula mózgowa, kontrolująca reakcje seksualne, dlatego krzyk uwiązł jej w gardle. Bała się tego, nadchodzi, ale jednocześnie pożerała ją ciekawość. Pragnęła tego, a zarazem nie chciała. Młoda dziewczyna, lubiąca eksperymentować, toczyła w jej duszy walkę z rozwiązlą, podnieconą kobietą, której nauczyła się nienawidzić.

Usłyszała głos, nie był to jednak głos Marshalla Tate'a, lecz Carla. Carl! Drogi, uroczy, wyrozumiały Carl, któremu chodziło tylko o jej bezpieczeństwo. Krzyknęła. Wtedy usłyszała

inny głos.

- Beverley?

Pochylał się nad nią. Utkwił w niej spojrzenie, ale nie patrzył na jej ciało. Czego więc się obawiała? Nie wiedziałby nawet, co ma robić, chciała go uwieść. Chciała patrzeć, jak w jego oczach budzi się pożądanie, bardzo by ją to podnieciło, gdyż wiedziałyby, że to ona wywołała to czucie. Nagle przeszło ją ukłucie bólu, a wówczas zorientowała się, że obawa i igranie z ogniem zaszyły za daleko. Ból był prawdziwy. Piekąca smuga ognia, dotkliwa kara za jej wstrętne zachowanie.

- Beverley, proszę, zbudź się. To nie jest dom noclegowy, nawet jeśli tak ci się wydaje.

Otworzyła oczy. Nie zobaczyła Marshalla Tate'a ani nawet Carla. Co gorsza, ból w prawym boku nagle powrócił żarłoczny potwór, wbijający w jej ciało ostre jak igły kły.

Patrzył na nią Toby Hoyle.

- Co się stało, Beverley? Miałaś zły sen?

- Co? - rozejrzała się w oszołomieniu i zdała sobie sprawę, że przebywa w biurze Toby'ego Hoyle'a.

Okropny ból zniknął równie szybko, jak się pojawił. Zauważyła, że we śnie drapała plastikowy opatrunek, którym pielęgniarka spryskała jej prawy bok. Bolały ją plecy i szyja. Wyprostowała się i potarła kark.

- Przepraszam, Toby. Zdaje się, że zasnęłam.

- Prawdopodobne wyjaśnienie.

- Powinieneś mnie obudzić.

- Właśnie to zrobiłem.

Beverley z nieczystym sumieniem obciągnęła sukienkę, która zadarła się na wysokość ud. Czowała w ustach taki smak, jak gdyby napiła się wywaru z gotowanej kapusty, do którego ktoś dodał wielbłądzich odchodów.

- Wydawało mi się, że słyszałam głos Carla?

- Zgadza się - odrzekł Toby. Nalał jej filiżankę czarnej kawy ekspresu.

Przyjęła z wdzięcznością.

- Głos Carla? Nie rozumiem.

Toby podniósł magnetofon.

- To własność Carla. Pożyczyłem go, kiedy byłem w twojej firmie.

- Po co?

- Bo jestem detektywem. Lubię węszyć. Lubię zwłaszcza badać rzeczy, które niedbali ludzie zostawiają na wierzchu. Wydaje mi się, że rozwiązałem zagadkę waszego konia

trojańskiego.

Beverley przestała popijać kawę.

- Co takiego?

- Twój dyrektor do spraw technicznych cały czas miał rozwiązanie przed nosem.

- Toby, przestań bawić się w kotka i myszkę i powiedz, o co ci chodzi.

Toby usiadł na krześle naprzeciwko Beverley i manipulował przy dyktafonie.

- Mamy tu nagranie rozmowy Carla z doktorem Pillow, czy jak się on tam nazywa, oraz z jego pomocnikiem, Leonem. - Puścił kawałek rozmowy, przewinął, a wreszcie znalazł to, czego szukał. - Posłuchaj.

Z głośnika rozległ się głos Leona Dextera.

- Nie mamy wyboru - powiedział gwałtownie. - Stan płynu odżywczego tego mikroprocesora wywołał skutki, których nie rozumiemy. Zdaje się, że mimowolnie sprowadziliśmy konia trojańskiego na Marsa. i nie możemy zatrzymać dla siebie tej informacji. To coś potrafi naprawiać ruchowe neurony, a zatem prawdopodobnie potrafi również naprawiać ludzkie mózgi, przynieść radość rodzicom upośledzonych dzieci, a może nawet leczyć starczą demencję. Niewykluczone, że umiałyby także zwiększyć ludzką inteligencję i w ten sposób dać początek wyższej rasie. Gdybyśmy zidentyfikowali to małeństwo, moglibyśmy dostać Nagrodę Nobla.

Rozległ się głos Carla:

- Cholera. Wygląda na to, że rzeczywiście natknęliśmy się na coś ciekawego.

Potem odezwał się pogardliwym tonem doktor Pilleau.

- Zwiększyć ludzką inteligencję. Zaraz powiesz, że sam koń trojański jest inteligentny.

Głos Leona:

- Czemu nie? Przyjrzyj się śladom, jakie pozostawił. Pokonał każdy program, chroniący mikroprocesor przed zarażeniem. Kiedy znalazł dom, zaczął naprawiać pamięć Kronosa, posługując się nie znaną nam techniką regeneracji ruchowych neuronów. Ukoronowaniem tego wszystkiego jest fakt, że mały łobuz dostał się na Marsa wcześniej niż my.

Toby wyłączył magnetofon i spojrzał z oczekiwaniem na Beverley.

- I cóż?

Wyczerpana Beverley potarła oczy dłonią.

- Może przyczyną jest to, że niedawno się obudziłam, ale naprawdę nie mam pojęcia, do czego zmierzasz, Toby. Wyjaśnij mi to w jednosylabowych słowach.

Toby jeszcze raz puścił ostatnie kilka zdań nagrania. Beverley słuchała głosu Leona Dextera.



- ...Przyjrzyj się śladom, jakie pozostawił. Pokonał każdy program, chroniący mikroprocesor przed zarażeniem. Kiedy znalazł dom, zaczął naprawiać pamięć Kronosa, posługując się nie znaną nam techniką regeneracji ruchowych neuronów. Ukoronowaniem tego wszystkiego jest fakt, że mały łobuz dostał się na Marsa wcześniej niż my.

Toby wyłączył maszynę i spojrzał pytająco na Beverley.

- Myślę, że wypowiadając to ostatnie zdanie, Leon trafił w samo sedno - rzekł. - Koń trojański nie poleciał jednak na Marsa - on stamtąd *przyleciał*.

### 33.

- *Przyleciał z Marsa?* - powtórzył Mike Scully, patrząc na obu gości. - Kto wpadł na ten szalony pomysł?

Ruchem głowy Beverley wskazała Toby'ego.

- On. Rzecz jednak w tym, Mike, że jest w tym jakaś zwariowana logika.

Przez chwilę Mike patrzył na Toby'ego, a potem przeniósł spojrzenie na rząd ekranów komputerowych. Siedzieli w sali kontrolnej lądownika Haldane'a. Godzinę temu Beverley zadzwoniła do Mike'a do domu i powiedziała, że chce się z nim spotkać w pilnej sprawie. Zaczynał żałować, że nie nalegał na odłożenie spotkania. Znów spojrzał na Toby'ego.

- Czy jest pan ekspertem od biologii pozaziemskiej?

- Nie. Czy istnieją tacy eksperci?

- Gdyby pan był, może potrafiłby pan wyjaśnić, w jaki sposób mała, zielona pluskwa dostała się z Marsa na Ziemię.

Ruchem głowy Toby wskazał dane meteorologiczne z Marsa, wyświetlone na jednym z ekranów.

- Tak samo jak te dane. Przez radio.

- Używamy systemu komunikacji laserowej - rzekł krótko Scully, zdając sobie sprawę, że zachowuje się jak pedant.

- No dobrze, niech będzie modulowane światło spójne.

Mike Scully doszedł do wniosku, że ten poważny, młody mężczyzna wie zadziwiająco dużo.

- Dokładnie wiemy, kiedy zaczęły się kłopoty - mówił Toby.

- Zastanawiam się tylko, czy w tym samym czasie nie mieliście problemów z lądownikiem Haldane'a.

- Mogę odpowiedzieć na to pytanie - rzekł Scully, podchodząc do monitora i wywołując

rejestr misji. - Jeśli zignorujemy opóźnienie, spowodowane przez odległość Marsa od Ziemi, możemy stwierdzić, że lądownik znalazł się na powierzchni planety w piątek o 15:15. Wybór miejsca i samo lądowanie kontrolował pokładowy komputer Haldane'a. Nie mogliśmy się do tego wtrącać ze względu na czterdziestominutowe opóźnienie. Odbieramy sygnały z Marsa po dwudziestu minutach, a nasza odpowiedź dotarłaby tam po następnych dwudziestu minutach. Kamera ustawiła się automatycznie o 15:20. Pierwsze zdjęcia grani Tharsis były zupełnie niezłe, ale kamera kierowała się w niewłaściwą stronę. Wysłaliśmy komendę telemetryczną, aby odwrócić obiektyw na północ. O 16:05 zaczęliśmy dostawać zdjęcia strony północnej, ale ku naszemu zdumieniu kamera nie chciała się poruszyć. Na domiar złego w dolnej połowie obrazu pojawiły się zniekształcenia. Obraz wciąż jest zniekształcony, ale dzięki niezmiernym wysiłkom Beverley załadowaliśmy, moduł po module, poprawione oprogramowanie i stopniowo odzyskaliśmy kontrolę nad Haldane'em.

- Czy mogę obejrzeć wcześniejsze i późniejsze ujęcia? - spytał Toby.

Naukowiec zastanowił się i wzruszył ramionami. Usiadł przy innym monitorze i wprowadził z klawiatury komendy. Na ekranie pojawiło się to samo zdjęcie marsjańskiego nieba i skalistego gruntu, które widziała Beverley, kiedy odwiedziła z Carlem uniwersytet. W nagłówku była podana godzina, data i numer kadru.

- To jedno z pierwszych nadesłanych zdjęć - wyjaśnił Scully.

- Wygląda dobrze - zauważył Toby.

- Tyle tylko, że żaden z niego pożytek, bo pokazuje niewłaściwą stronę grani... A oto kadr, który otrzymaliśmy dwadzieścia minut później.

Na ekranie zaczęło się ukazywać to samo zdjęcie. W połowie ekranu obraz zniknął, ustępując miejsca kolorowym smugom.

Scully westchnął.

- Właśnie coś takiego teraz odbieramy.

- Jeszcze w tym tygodniu dostarczymy wszystkie nowe moduły z oprogramowaniem - obiecała Beverley.

- Uwierz mi, Bev, nie wiem, jak ci dziękować za to, że pomagasz im wyjść z tego bagna - rzekł z uczuciem Scully.

- Jeśli moja teoria jest słuszna, niewykluczone, że „Nano Systems” nie ponosi winy za awarię - powiedział Toby.

- Nikt nikogo nie obwinia - odparła szybko Beverley, widząc, że Mike Scully zaczyna się irytować.

- Czy prowadzicie telemetryczny rejestr wszystkich sygnałów, które otrzymujecie i

wysyłacie do lądownika? - spytał Toby.

Scully skinął głową.

- Oczywiście.

- Czy po lądowaniu, między otrzymaniem pierwszego zdjęcia a nadejściem zniekształconego obrazu, lądownik wysłał jakiś niezwykły sygnał?

Wydawało się, że naukowiec zamierza zlekceważyć tę sugestię, ale nagle zmarszczył brwi.

- No cóż, owszem. Coś się pojawiło... biały szum. To nie mogły być szerokopasmowe zakłócenia, bo używaliśmy systemu komunikacji laserowej, doszliśmy do wniosku, że źródłem szumu są nasze konwertery częstotliwości, zjawisko nie powtórzyło się, postanowiliśmy więc je zignorować.

- Zarejestrowaliście szum?

- Na pewno został automatycznie nagrany. Zaczekajcie, myślę, że powinniśmy mieć wydruk. - Naukowiec zaczął grzebać w stosie komputerowych wydruków. Wyciągnął zwój papieru komputerowego przeglądał strony, pokryte równymi kolumnami danych. Na jednej z nich Beverley zauważyła znaki przypominające symbole, które pokazał jej Leon Dexter, kiedy po raz pierwszy wyizolował konia trojańskiego. Na następnych stronach widniały takie same przypadkowe symbole. - To jest to - naukowiec rzucił okiem na nagłówek, zawierający jedyne sensowne informacje na każdej z tych kartek. - Wiadomość nadeszła o 15:20. Śmieci. Wiele stron śmieci, chociaż transmisja trwała zaledwie kilka sekund. - Wyrwał kilka stron i podał Toby'emu, który rzucił tylko okiem i przekazał je Beverley.

- Wiesz, kto powinien to zobaczyć, Bev? - spytał Toby.

- Leon Dexter?

- Z pewnością.

Beverley rozejrzała się po sali kontrolnej.

- Czy mogę skorzystać z faksu, Mike?

Naukowiec był zaintrygowany.

- Proszę bardzo, Bev.

Beverley wyjęła telefon komórkowy i wykręciła numer Leona Dextera. Podniosła papiery i podeszła do kopiarki, czekając na odpowiedź. Leon podniósł słuchawkę i odezwał się zmęczonym głosem.

- Halo?

- Leon? Tu Beverley Laine. Gdzie jesteś?

- W laboratorium. Właśnie miałem zamiar iść do domu. Czy jest z tobą Carl?

- Nie.

- Gdzie jesteś, Beverley?

- Na uniwersytecie w Surrey. Posłuchaj, Leonie, czy mógłbyś podejść do faksu w recepcji?

- Oczywiście, Beverley. Nie ma problemu.

- Idź więc i zadzwoń do mnie. Zostawię ten kanał otwarty.

Beverley odłożyła telefon i zaczęła rozdzielać strony wydruku wzdłuż perforacji. Toby i Scully pomogli jej. Beverley wybrała numer faksu „Nano Systems” i kiedy uzyskała połączenie, zaczęła wkładać kartki do maszyny.

- Beverley?

Beverley podniosła telefon. Trzymała słuchawkę z dala od ucha, aby Toby i Scully mogli słyszeć rozmowę.

- Dostajesz coś, Leon?

- Tak. Zaczekaj chwilę. - Beverley słyszała szelest papieru. - Co to takiego?

Nie chcąc podpowiadać Leonowi, Beverley zapytała, co mu to przypomina. Przez chwilę panowała cisza, a potem Leon powiedział:

- Wiesz co, Bev, strona czwarta wydaje się znajoma. To chyba nasz mały przyjaciel.

Serce Beverley mocno biło.

- Jesteś pewny, Leonie? Czy jesteś absolutnie, stuprocentowo pewny? To bardzo ważne.

Po chwili Leon odpowiedział.

- Tak, jestem pewny. Spędziłem mnóstwo czasu, przyglądając się temu draństwu. To na pewno koń trojański. Dlaczego? Czy znalazłaś następny zarażony mikroprocesor?

- Dziękuję, Leonie. Kiedy się zobaczymy, opowiem ci o wszystkim. Możesz teraz wrócić do domu. - Odłożyła słuchawkę i zamyśliła się. Spojrzała na Toby'ego. - Wygląda na to, że się myliłam. To nie Marshall Tate wprowadził wirusa do naszych mikroprocesorów.

Scully pokręcił głową.

- Nie wierzę. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Przez kilka sekund jedynym dźwiękiem w pokoju był cichy szum klimatyzatora. Pierwszy odezwał się Toby.

- To jednak nie wyjaśnia, dlaczego tyle Kronosów w pobliżu Guildford uległo zarażeniu. - Nagle przyszło mu coś do głowy i spojrzał ostro na Mike'a Scully'ego. - Używanie połączenia laserowego, aby komunikować się z lądowikiem?

- Tak. Wiem, co chce pan powiedzieć. Zanim promień dotrze z Marsa na Ziemię, ma średnicę równą mniej więcej średnicy ziemskiej. W związku z tym sygnał nie koncentruje się

na południowej Anglii. Moc impulsu jest taka sama na całej planecie... Uniwersytety, stacje odbiorcze, i nawet radioamatorzy z całego świata mogliby dostarczać nam odczyty... o cholera! - naukowiec przerwał, jak gdyby nagle przyszło mu coś do głowy.

Beverley i Toby patrzyli na niego, czekając.

- Niech to szlag! - rzekł Scully. - Boże, wszystko zaczyna nabierać sensu... Przepraszam, Bev. Wygląda na to, że to rzeczywiście nie wasza wina.

- Mam wrażenie, że oboje nie wiemy, o co chodzi - zauważył Toby.

- Retransmitujemy przez amatorski wzmacniacz dane napływające z Marsa - rzekł powoli Scully, jak gdyby usiłował zebrać myśli.

Toby wychylił się z krzesła.

- Czyste dane? Nie wprowadzacie żadnych modyfikacji?

Scully skinął głową.

- Wszystkie dane przekazywaliśmy do naszego pakietowego, radiowego wzmacniacza. Uniwersytet zawsze miał dobre kontakty ze środowiskiem radioamatorów. Zaprojektowaliśmy i zbudowaliśmy OSCAR-y - satelity, obsługujące radioamatorskie połączenia. Korzystamy z ich częstotliwości. Sam jestem licencjonowanym amatorem.

- Jaką częstotliwość i zasięg ma ten wzmacniacz?

- Zakres fal metrowych. Działa na dwumetrowym paśmie. Sto czterdzieści cztery MHz. Obejmuje większą część południowej Anglii. Przy sprzyjających warunkach sygnały odbierano nawet w północnych Włoszech.

- Oczywiście w pobliżu uniwersytetu sygnał jest najsilniejszy - rzekł Toby. - W rezultacie nie uszkodzone konie trojańskie dostały się do każdego Kronosa koło Guildford. Cudownie.

Mike Scully kręcił z niedowierzaniem głową.

- Nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego może się zdarzyć - wymruczał.

Beverley spojrzała na zegarek. Była już prawie północ.

- Myślę, że powinniśmy pozwolić ci iść spać, Mike. Możemy spotkać się jutro?

Naukowiec pogrążył się w myślach. Beverley powtórzyła pytanie. Scully ocknął się.

- Tak, oczywiście, Bev. Rano do ciebie zadzwonię.

Toby i Beverley życzyli Mike'owi dobrej nocy i zostawili go, patrzącego na rząd monitorów, które wyświetlały dane, napływające z Czerwonej Planety. Wrócili do samochodu Beverley i przez kilka minut siedzieli w milczeniu.

- Powinnam przeprosić Carla - powiedziała Beverley, raczej do siebie niż do Toby'ego.

- Nie sądzę. Ty miałaś swoją teorię, a on swoją. Okazało się, że oboje byliście w

błądnie. Pax.

Beverley nie słuchała klinicznego rozumowania Toby'ego. Przymknęła oczy i oparła dłoń na kolanach, jak gdyby zbierała myśli, zastanawiając się, co powie Carlowi.

- Telefon - powiedziała.

- Gotów - odezwał się komputerowy głos „Motoroli”.

- Carl Olivera, dom - rzekła Beverley.

- Carl Olivera, dom - powtórzył samochodowy telefon. - Dzwonię. Proszę czekać.

Telefon dzwonił przez minutę, aż zniecierpliwiona Beverley odwołała polecenie i wyjęła telefon komórkowy. Nadal nikt nie odpowiadał.

- Może ma twardy sen? - spytał Toby.

- Nie. Poza tym zawsze kładzie telefon przy łóżku.

Toby właśnie zamierzał zapytać, skąd o tym wie, ale zauważył jej niepokój i doszedł do wniosku, że nie przyjęłaby zbyt dobrze takiej uwagi. Telefon wciąż dzwonił. Beverley powiesiła aparat na lusterku wstecznym włączyła silnik albatrosa.

- Jeśli pojedziemy do mnie, będziesz mogła się przespać w zapasowym pokoju - zaproponował Toby.

- Jedziemy do Carla - rzekła Beverley, naciskając pedał gazu. Opony zapiszczały na gładkiej nawierzchni. - Coś się stało.

### 34.

W planie Oakesa kluczową rolę odgrywał czas.

O 23:03, trzydzieści sekund po wieczornych wiadomościach, zadzwonił na policję w zachodnim Sussex i przedstawił się jako David Christie. Powiedział oficerowi dyżurnemu, że usłyszał w telewizji informację o wypadku, do którego doszło podczas nurkowania na „Eldorado”. Statek prosił o komorę dekompresyjną, która będzie potrzebna, kiedy uda się oswobodzić nurka.

- Mam przenośną komorę, gotową do transportu - powiedział oficerowi. - Właśnie zamierzałem zawieźć ją na mój jacht. Najbliższe lotnisko to Gatwick. Mógłbym zjawić się tam z komorą za czterdzieści lub pięćdziesiąt minut.

- „Eldorado” znajduje się daleko stąd, sir. Czy nie uważa pan, że znajdą komorę gdzieś bliżej, na przykład w Australii?

- Niewykluczone, że wszystkie dostępne komory są na morzu, na statkach - rzekł Oakes. - Proszę mi wierzyć, znam się na nurkowaniu. Jeśli azot dostanie się do krwi jakiegóś

nieszczęśnika, przebywającego na głębokości pięćdziesięciu metrów, lepiej, żeby czekało na niego za dużo komór niż żadna.

Policjant zanotował numer telefonu komórkowego Oakesa i obiecał, że oddzwoni za kilka minut. Oakes czekał. Nie okazywał zdenerwowania, choć trochę mocniej niż zwykle ścisnął fajkę i opierał palce na kierownicy jaguara, wciągając w płuca uspokajający, słodki dym tytoniu Borkum Riff. Za samochodem stała przyczepa z przykrytą brezentem komorą, którą niedawno kupił.

Minęło kilka minut. Oakes zaczął się niepokoić. Jeśli teraz coś pójdzie nie tak, operacja się nie uda. Stał na poboczu przy autostradzie A 264 koło Horsham, dwadzieścia mil od Gatwick. Zadzwoił telefon. Złapał słuchawkę.

- Pan Christie?

- Tak.

- Policja z zachodniego Sussex. Właśnie sprawdziłem, sir. Za czterdzieści minut samolot czarterowy linii Garuda Indonezja odlatuje do Dżakarty. Zgodzili się zabrać pańską komorę. Jeśli dostarczy ją pan na pokład, skierują się do Den jakiegoś tam na wyspie Bali.

- Denpasar?

- Właśnie, sir.

Gdyby Oakes miał w zwyczaju okazywać uczucia, uderzyłby z radości w kierownicę. Zamiast tego pociągnął z zadowoleniem fajkę. Nie spodziewał się, że wybrany przez niego samolot zgodzi się zboczyć z drogi.

- Jadę - warknął. - Możecie załatwić mi eskortę? Zwykle gubię się na lotniskach.

- Właśnie zamierzałem o tym wspomnieć, sir. Proszę mi podać markę oraz numer rejestracyjny pańskiego samochodu i powiedzieć, z jakiego kierunku pan przyjedzie.

Oakes przekazał te informacje. Przez kilka nerwowych chwil czekał, słuchając cichej rozmowy policjantów. Później oficer dyżurny znów się odezwał:

- Samochód policyjny będzie na pana czekał przy dworcu w Horsham, sir. Odprowadzą pana do Gatwick, a później zajmą się panem tamtejsi chłopcy.

- Co z odprawą celną?

- Wszystko załatwimy, sir. Powodzenia i dziękujemy, że zgłosił się pan do nas.

Oakes zjechał z pobocza i przyspieszył. Przyczepa zakołysała się, kiedy wjechał na pierwszą obwodnicę i ruszył w kierunku Horsham. Koło dworca zauważył biały z pomarańczowym paskiem samochód policyjny, który zamrugał światłami. Oakes zaparkował za nim. Z wozu wyskoczył młody policjant. Oakes opuścił szybę.

- Pan Christie?

- Tak.

- Proszę trzymać się tuż za nami, sir. Za dwadzieścia pięć minut znajdziemy się na lotnisku. Zamierzamy jechać z umiarkowaną prędkością, żadnych szaleństw. Po przybyciu na miejsce będzie pana eskortował lotniskowy wóz policyjny. W porządku?

Oakes wyjechał z Horsham za wozem policyjnym. Odpowiadała mu miarkowana prędkość: znaczyło to, że kiedy przyjadą na lotnisko, będą musieli się spieszyć. Kontrolerzy ruchu powietrznego nie lubią opóźnień, zwłaszcza w Gatwick, gdzie samoloty lądują i startują tylko z jednego pasa. System przydzielania samolotom czasu startu i lądowania przypominał delikatny domek z kart. Jeśli się zawali, wszystkich, od bagażowych do celników, czekają duże kłopoty i nieprzyjemności ze strony Brytyjskich Władz Lotnisk.

Konwój, składający się z dwóch samochodów, jechał autostradą M23. Kierowców, którzy mieli ochotę ich wyprzedzić, zniechęcał widok pomarańczowych pasków samochodu policyjnego. Minęli labirynt objazdów, otaczający lotnisko Gatwick. Na łącznicy prowadzącej do rejonu przeładunkowego, rolę eskorty przejął biały range rover, a błękitny migacz raził Oakesa w oczy. Policjanci pomachali przyjacielsko na pożegnanie i odjechali. Oakes również pomachał, choć nie był usposobiony zbyt życzliwie. Nerwy miał napięte jak postronki. Za dwadzieścia minut, może wcześniej, dowie się, czy ta operacja pozwoli mu przejść na wcześniejszą emeryturę, czy też czeka go areszt i perspektywa długiego wyroku.

Był kwadrans po północy. Oakes jechał za range roverem wśród budynków i zapór bezpieczeństwa. Nagle zatrzymał się. Jeden z policjantów podbiegł do jego samochodu.

- Pan Christie? Bardzo nam przykro. Zamierzaliśmy przejąć tutaj pana ładunek, ale załoga Garuda się wścieka. Zabieramy pana prosto do samolotu. Proszę jechać tuż za nami, w ten sposób nie uszkodzi pan naszych samolotów. Kiedy dojedziemy, proszę wyłączyć silnik. Nie wolno panu również palić fajki. W porządku?

- W porządku - wymruczał Oakes, opierając fajkę o popielniczkę. - Tylko na miłość boską, wyłączcie to cholerne światło.

Range rover zgasił migacz. Jechali w kierunku północnego terminalu, gdzie pasażerskie samoloty podjeżdżały do korytarzy dla pasażerów, range rover zatrzymał się przy lewym skrzydle samolotu linii Garuda. Oakes zauważył otwarte drzwi do luku bagażowego. Wyłączył silnik.

Serce w nim zamarło na widok urządzenia, przypominającego przenośny aparat rentgenowski.

Cholera!

Zrobiło mu się słabo, ale uśmiechał się, wysiadając z jaguara, i skinął głową



pracownikom naziemnej obsługi.

Jeden z nich, chyba majster, gdyż miał krótkofalówkę u pasa, wskazał palcem pakunek na przyczepie.

- To jest to, sir?

- Zgadza się - odrzekł Oakes.

Rozejrzał się szybko za celnikami. Nie dostrzegł żadnego. Pasażerowie przyciskali nosy do szyb. Oakes zastanawiał się, czy powiedziano im o lądowaniu na Bali.

Nie czekając na rozkazy, dwóch członków załogi rozwinęło komorę z brezentu i rozwiązało sznury. Podjechał duży, elektryczny podnośnik, a jego widły znalazły się pod komorą. Silnik podnośnika zawarczał i dźwig zdjął komorę z przyczepy. Przywieziono aparat rentgenowski.

- Chyba traciecie czas - zauważył Oakes rzeczowym tonem.

- Powłoka komory to sześć centymetrów stali i tworzywa sztucznego, wzmocnionego włóknem szklanym.

Obaj mężczyźni z aparatem rentgenowskim wymienili niepewne spojrzenia i spojrzeli na majstra, czekając na wskazówki. W tym momencie jego radio odezwało się skrzekliwym głosem. Majster wziął mikrofon i poinformował właściciela skrzekliwego głosu, że robi co może, a poza tym gdzie do cholery są celnicy?

- Dalej, zapakujcie to draństwo - powiedział majster do podwładnych, kiedy zakończył tajemniczą, radiową rozmowę.

Oakes pomodlił się cicho do bóstwa, które najwyraźniej opiekowało się nim dzisiejszej nocy. Mężczyźni, obsługujący aparat rentgenowski, zabrali się do roboty. Po trzech minutach i jeszcze jednej kłótni przez radiotelefon, owinięto komorę dekompresyjną, która przypominała teraz obandażowaną kończynę. Przykrywało ją kilka warstw ochronnej taśmy z włókna węglowego.

Kiedy umieszczano komorę w ładowni samolotu, pojawili się dwaj umundurowani celnicy. Spóźnili się. Samolot powinien już odlecieć. Poza tym celników bardziej interesują rzeczy przywożone do kraju niż wywożony ładunek. Woleli nie narażać się pracownikom obsługi naziemnej, dlatego zadali Oakesowi kilka pytań, wsiedli z powrotem do samochodu i zniknęli w ciemności.

- Ci goście naprawdę potrafią wkurzyć człowieka - wymruczał majster, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności.

Zamknięto i zabezpieczono drzwi ładowni samolotu. Policjanci pokazali Oakesowi, gdzie może zaparkować. Samolot uruchomił silniki. Dziesięć minut później wystartował.

Oakes patrzył, jak światła samolotu migoczą w chłodnym, nocnym powietrzu, aż w końcu zniknęły za chmurami.

Właśnie przeszedł na emeryturę. Kariera mordercy dobiegła końca.

Jeśli ktoś zechce go zatrudnić, co na pewno się zdarzy, będzie go to bardzo drogo kosztowało.

Co za ulga.

## 35.

Pseudoelżbietańska rezydencja Carla w miłej dzielnicy Wittering była pogrążona w ciemności. Dwa reflektory, zaopatrzone w podczerwone czujniki, wykryły obecność albatrosa Beverley i włączyły się, oświetlając podjazd i samochód z mocą dwóch tysięcy watów.

Toby i Beverley opuścili szyby i nasłuchiwali.

- Coś się musiało stać - rzekła zaniepokojona Beverley. - Carl ma zbyt wiele rozsądku, aby wyjeżdżać bez słowa tylko dlatego, że trochę się poczubiliśmy. Nigdy zresztą nie wyjechałby bez swego telefonu komórkowego.

Toby zdjął aparat Beverley z lusterka wstecznego i wcisnął guzik ponownego wybierania numeru. Po kilku sekundach usłyszał ciche dzwonięcie, dobiegające od strony domu. Przerwał połączenie. Sygnał ucichł.

- To potrwa tylko chwilę - wyszeptał do Beverley.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, popchnął drzwi i bezszelestnie wyslizgnął się z samochodu. Przez kilka chwil, kiedy osłaniał oczy, usiłując coś dojrzeć, widziała jego szczupłą postać w ostrym halogenowym świetle. Potem poruszając się jak duch, zniknął wśród cieni obok domu.

Beverley czekała cierpliwie, wyteżęła wzrok i usiłowała dostrzec dom, kryjący się za światłami. Starła się wmówić sobie, że nie ma powodu do niepokoju. Mijały minuty. Halogenowe światła nagle zamigotały i zgasły, pozostawiając powidoki na jej siatkówce.

- Myślę, że w domu nie ma nikogo - rzekł cicho Toby kilka minut później.

Beverley drgnęła. Nie słyszała jego nadejścia.

- Mam klucz - rzekła.

- Ja też, ale posłużymy się twoim, bo jest prawdziwy.

Beverley wysiadła z samochodu. Właśnie miała zamiar go zamknąć, ale Toby ją powstrzymał. Zbliżyli się do drzwi frontowych. Beverley przekręciła klucz i czekała na podwójny sygnał, oznaczający wyłączenie alarmu przeciwwłamaniowego. Dopiero wówczas

pchnęła drzwi. Toby wszedł przed nią i włączył światła. Nigdy przedtem tu nie był, lecz doświadczenie podpowiedziało mu, gdzie należy szukać kontaktu.

Beverley czuła ostre ukłucia lodowatego strachu, który pełznął wzdłuż kręgosłupa i zjeżył włosy na jej szyi. Przeżyła coś podobnego, kiedy wchodziła do domu Theo Dragгона: ten sam dreszcz, to samo wrażenie, że za chwilę coś się stanie - i ten sam zapach! Ten sam mdlący, słodki, aromatyczny zapach, jak gdyby ktoś zapalił kadzidło.

- Toby! - syknęła. - Ten zapach!

Zatrzymał się przed kuchennymi drzwiami.

- Tak wiem. Jakiś egzotyczny tytoń fajkowy. Dlaczego? Wiesz, co to jest?

- Kiedy znalazłam ciało Theo Dragгона, zwróciłam uwagę na ten sam aromat. Carl nie pali i nigdy przedtem nie czułam tu tego zapachu.

Toby dostrzegł przerażenie Beverley. Podeszedł do kuchennych drzwi. Beverley miała ochotę złapać go za rękę i odciągnąć, ale sparaliżował ją strach. Detektyw otworzył drzwi i zapalił światło. Fluorescencyjna lampa z uszkodzonym kondensatorem rozruchowym zamigotała niepewnie i dopiero po chwili zaświeciła z pełną mocą.

- Nic tu nie ma - rzekł Toby.

Beverley odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu - wyszeptała. - Dzięki Bogu.

- Zostań. Sprawdzę resztę domu.

Beverley poszła do kuchni, a Toby szukał na górze. Kiedy wrócił, niosąc telefon komórkowy, patrzyła na resztki posiłku.

- Niczego nie znalazłem, Bev. Żadnych śladów walki. Wydaje mi się, że nie ma powodu do niepokoju.

- Jest powód! - ucięła. Wskazała brudny talerz i sztućce. - Carl nigdy by nie wyszedł, gdyby najpierw nie posprzątał. To najporządniejszy człowiek, jakiego znam.

Toby nie wiedział, co powiedzieć. Rzeczywiście, mieszkanie było utrzymane w nieskazitelnej czystości. Wszystkie przedmioty znajdowały się na swoim miejscu, jak gdyby był to pokazowy dom, w którym nikt nigdy nie mieszkał.

- Sprawdzę garaż - wymruczał. Wrócił minutę później. - Biała granada.

Zrozpaczona Beverley usiadła i zakryła twarz dłońmi. Próbowwała się opanować, ale pod wpływem zmęczenia i niepokoju opuściły ją siły, choć właśnie teraz bardzo ich potrzebowała. Nie wybuchnęła łkaniem, ale łzy spływały jej po policzkach.

- Stało się coś strasznego, coś naprawdę strasznego, a wszystko przez moją głupotę.

**Z LONDYNU DO KAIRU**

Jako chłopiec Carl czytywał z zachwytem opowiadania Edgara Allana Poeego, H.P. Lovecrafta, Raya Bradbury'ego, a ostatnio - Stephena Kinga. Nigdy nie zapomniał pewnej historii, która sprawiła, że niejednokrotnie miewał koszmarne sny. Było to opowiadanie o człowieku, który zbudził się i stwierdził, że leży w trumnie - pogrzebano go żywcem. Kiedy spocony Carl budził się z tego koszmaru, czuł na początku ulgę, że to tylko sen, choć niezwykle przerażający.

Również teraz poczuł ulgę. To tylko sen, głupi, szalony sen. Do diabła, po co w ogóle czytał te książki? Otworzył oczy i potworny, przerażający strach chwycił go za gardło z taką siłą że miał ochotę wymiotować.

*Ciemność! Całkowita, straszliwa ciemność!*

Wyciągnął rękę i uderzył o wnętrze trumny, ścierając sobie skórę z kostek. Ból nie rozproszył jednak ciemności. Krzyknął, ale nikt nie usłyszał jego histerycznego łkania. Potem powróciły wspomnienia. Na początku nie były zbyt natarczywe, ale w końcu przerwały tamę rozumu i zalały Carla jak czarna fala przyływu.

Przygotował sobie kolację, myśląc o Beverley i idiotycznej kłótni dotyczącej jej obsesji na punkcie Marshalla Tate'a. Przeklinał własną arogancję. Zranił ją, i to dotkliwie. Ciągle to samo: ich stosunki układają się całkiem dobrze, aż nagle czepia się jej z jakiegoś powodu. Może w głębi duszy zazdrości jej sukcesu? Jeśli tak, to jest podwójnie głupi, bo przecież to właśnie on chciał, żeby Beverley objęła stanowisko prezesa „Nano Systems”. Skończył jeść i zastanawiał się, czy powinien do niej zadzwonić, kiedy usłyszał na korytarzu dziwny hałas. Poszedł się rozejrzeć, a potem... a potem nic. Słodki, aromatyczny zapach, jakiś cień w mroku. Coś zasyczało jak wąż prosto w jego twarz, a później zapadła ciemność.

*Ciemność!*

Tym razem krzyknął głośno z przerażenia, a po chwili krzyk zamienił się w rozpaczliwe łkanie.

Mijały minuty, może godziny. Nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Jego oddech się uspokoił. Powoli wracały racjonalne myśli, jeśli można je tak określić.

Czyżby umarł? Miał atak serca w przedpokoju i cały ten barwny, zwariowany korowód skończył się... minął, kaput. Życie nie trwa więc w nieskończoność, nie jest nieustanną próbą kostiumową przed następnym jego etapem. Nie trwa nawet tak długo, aby zawsze można było

odłożyć „na później” planowany roczny urlop, podróż dookoła świata, założenie nowej firmy, napisanie książki. No cóż, nikt mu nie kazał tak ciężko pracować. Stres, jak powiedział lekarz. - Będę z tobą szczery, Carl. Jeśli nie zwolnisz tempa, staniesz się kandydatem numer jeden do choroby wieńcowej.

Może właśnie wyruszył w wielką podróż? Wznosi się, widzi skrzydła aniołów, lśniące aureole, delikatne chmurki i chóry; spada, czuje żar ognia i siarki rodzimej (co to jest siarka rodzima?), demony podsycają płomień w paleniskach, stoi po samą szyję w cuchnącym jeziorze, modląc się, aby szatan nie miał dzisiaj ochoty na narty wodne.

Jeśli tak, to podróż jest całkiem zabawna: cisza, chłodne powietrze na twarzy, miękki materac... i wieczna ciemność, tak czarna, że mógł otwierać i zamykać oczy, nie mając pewności, czy nadal posiada źrenice. Właśnie taka ciemność panowała w komorach TVR Leona i z tego powodu nigdy nie lubił z nich korzystać. Poczul ból za oczami. Wielki Boże, wszyscy zawsze twierdzili, że nikt nie zabierze tego ze sobą, a tymczasem wyglądało na to, że Carl zabierze na tamtą stronę gigantyczny ból głowy.

Och, cóż, przynajmniej nie będzie musiał martwić się o seks. Nie dbał zresztą o to. Szkoda, że nie zobaczy już dzieciaków. Może pozwolą mu je odwiedzać, tak jak Billy odwiedzał córkę w serialu „Karuzela”?

Na pewno zapomni o materialnych troskach - głupich, dokuczliwych zmartwieniach, na przykład o tym, że ulubiony Rolex, który dostał od ojca na osiemnaste urodziny, późni się o kilka minut na miesiąc. Niewiele myśląc podniósł do twarzy lewy przegub, aby sprawdzić, która godzina.

- *Sprawdzasz, która godzina, Carl? Cha, cha! Masz całą wieczność, stary. Pieprzoną wieczność.*

Właśnie w tym momencie jego umysł przestał wędrować. Przed oczami Carla rozjarzyło się błyszczące koło z lśniącymi kropkami oraz rozpędzona smuga światła - wskazówka sekundnika. Odzyskał rozsądek zrozumiał, że żyje.

Gdyby umarł, musiałby przyznać, że za grobem również istnieje czas i jest właśnie 1:30.

## 37.

### BALI, INDONEZJA

Beznamiętna, pucółowata twarz Schnee nie zdradzała, jakie przeszedł katusze. Wyszedł wstrząśnięty z windy, prowadzącej bezpośrednio do apartamentu Marshalla Tate’a, i udał się

do salonu. Uśmiechnął się z wysiłkiem do dwóch gości, którzy woleli ruletkę od późnego śniadania przy basenie. Zamówił piwo i sączył je powoli. Piwo nie uspokoiło jego nerwów, ale nie lubił pić rano mocniejszych trunków.

Tej nocy doszło do katastrofy. Bachus tracił coraz więcej pamięci, rozwścieczony Marshall Tate obliczył, że dzisiejsza noc kosztowała go dziesięć milionów dolarów. W rezultacie tak gwałtownie rzucił się na Schnee, że w pewnym momencie gruby Szwajcar zaczął się obawiać o swoje życie. Tylko Marshall Tate miał dostęp do broni palnej i systemu obrony statku i Schnee nie wątpił, że skorzysta z tego w razie potrzeby. Jeśli nic się nie zmieni, prędzej czy później tak właśnie się stanie. Schnee widział już wcześniej, jak pracodawca wpada we wściekłość, tym razem jednak przekroczył wszelkie granice.

Dlaczego Oakes nie daje znaku życia? Cholera, samolot linii Garuda na pewno już wystartował. Schnee sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i sprawdził, czy ma telefon. Nic im się nie układało. Schnee zastanawiał się przez chwilę, czy nie machnąć ręką i nie zrezygnować. Zarobił już wystarczająco dużo. Nie dysponował jednak taką sumą, aby przekupić Oakesa, gdyby Marshall Tate napuścił na niego zabójcę. Tate patologicznie nienawidził każdego, kto próbował pokrzyżować mu plany albo starał się go „załatwić”, jak sam to ujmował. Może zresztą wysłać przeciwko Schnee całą grupę zabójców. Prędzej czy później go odnajdą, bez względu na czas i koszty. Taki właśnie był Marshall Tate. Schnee doszedł do wniosku, że na razie powinien zostać na statku, i modlił się, aby przesyłka od Oakesa rozwiązała problem.

Zadzwoił telefon. Schnee wyszarpnął aparat z kieszeni i sprawdził numer, spod którego dzwoniono. Był to numer Oakesa.

- Słucham?

- Pan Schnee? Tu Christie.

- Ach, pan Christie. Dzień dobry.

- Jak przebiega operacja ratunkowa?

- Mamy nadzieję, że wydobędziemy nurka po południu. Ze Stanów i Australii wysłano komory dekompresyjne, ale nie mamy pojęcia, kiedy je otrzymamy. Co z pańską komorą?

- Jest w drodze - odrzekł krótko Oakes. - Godzinę temu samolot wystartował z Gatwick. Załoga zaproponowała, że zawiozą komorę bezpośrednio do Denpasar, będzie więc u was za piętnaście godzin.

- To wspaniała wiadomość, panie Christie. Nie wiemy, jak panu dziękować.

- Podziękujecie mi, ratując życie nurkowi, panie Schnee. Firma „Garuda” przefaksuje wam szczegóły z Dżakarty, kiedy tylko uzyskają informację o spodziewanej porze przybycia

samolotu.

- Wyślemy helikopter - obiecał Schnee.
- Włożyłem do komory pudełko angielskich czekoladek dla pana Tate'a.
- To bardzo miłe z pana strony, panie Christie. Pan Tate na pewno się ucieszy.
- Nie sądzę, żeby wytrzymały dłużej niż trzydzieści godzin, panie Schnee. Powinniście więc je rozpakować, kiedy tylko otrzymacie komorę.

- Osobiście o to zadbam, panie Christie. W imieniu pana Tate'a i jego organizacji chciałbym jeszcze raz podziękować panu za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Schnee.
- Do widzenia, panie Christie.
- Do widzenia, panie Schnee.

Schnee schował telefon do kieszeni i modlił się, aby ta wiadomość oznaczała koniec kłopotów.

Bóg nie wysłuchał jednak jego modlitwy.

## 38.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Sierżant i policjantka, którzy przyjechali do domu Carla, byli bardzo życzliwi. Na widok serdecznie uśmiechniętej kobiety Beverley odzyskała pewność siebie.

- Oczywiście, rozumiem, co pani czuje, panno Laine - powiedział detektyw. - Fakty są jednak takie, że nie znaleźliśmy żadnych śladów przemocy. Paszport pana Olivera zniknął; zniknęły również czeki podróżne, które, jak sama pani stwierdziła, trzymał w domu na wszelki wypadek. Jego...

- Carl nigdy nie zostawiłby w kuchni takiego bałaganu - zaprotestowała Beverley.

Policjant rozejrzał się po kuchni.

- Nie wygląda tak źle.

- Och, na miłość boską, widział pan przecież resztę domu. Czy naprawdę pan sądzi, że taki człowiek zostawiłby brudne naczynia? Poza tym Carl nigdy nie wyjeżdża bez swego telefonu komórkowego.

- Powiedziała pani, że posprzeczałyście się, panno Laine?

- Tak.

- W takim razie może postanowił wyjechać na parę dni, aby przemyśleć sprawy.

- Zostawił przecież samochód.

- Mógł polecieć samolotem. O tej porze roku na parkingu przy Gatwick zawsze jest tłok, może więc zadzwonił po taksówkę.

Beverley z nie ukrywaną niechęcią spojrzała na policjanta.

- Nie stara się pan nam pomóc.

- Jestem po prostu praktyczny, panno Laine. Najpierw biorę pod uwagę prawdopodobne ewentualności, a dopiero potem rozważam inne scenariusze. Każdego roku tysiące ludzi wyjeżdża na kilka dni po domowych sprzeczkach.

- Powiedziałaś przecież, że to nie była domowa sprzeczka! - Beverley niemal krzyczała. - Chodziło o interesy. Pracujemy w tej samej firmie.

Policjant patrzył na nią spokojnie.

- To oczywiście nie moja sprawa, ale czy wielu kierowników ma klucze do domów kolegów, pracujących w tej samej firmie? Czy wiedzą gdzie koledzy trzymają osobiste rzeczy?

- Ma pan rację - odrzekła kwaśno Beverley po chwili milczenia. - To nie pańska sprawa. Odezwała się policjantka, która do tej pory milczała.

- To, czy ma pani romans z panem Oliverą jest ważne dla sprawy. Jeśli tak, wasza sprzeczka mogła mieć w pewnym stopniu osobisty charakter. Niewykluczone, że powiedziała pani coś, co go zraniło, choć sama już pani o tym zapomniała. Mężczyźni czasem tacy są. Pielęgnują swoje rany, wyjeżdżają aby dojechać do siebie, a inni niepotrzebnie się o nich martwią. Sprawiają niekiedy mnóstwo kłopotów.

- Mówisz zupełnie jak moja żona - mruknął detektyw. - Powiem pani, co zrobimy, panno Laine. Sprawdzimy tutejsze przedsiębiorstwa taksówkowe i damy pani znać. - Wstał i wyłączył swój magnetofon. - Tymczasem proszę się nie martwić. 99,9 procent zaginionych osób pojawia się po kilku dniach.

Kiedy odjeżdżał policyjny samochód, wrócił Toby, ściskając kanapki, kupione w nocnym sklepie. Rozwinął je na kontuarze i podsunął Beverley.

- Jedz - rozkazał. - Wiem, że nie masz ochoty, ale po jedzeniu poczujesz się lepiej. Rób, co mówię, nie spieraj się.

Beverley nie miała ochoty ani na jedzenie, ani na kłótnię, ale zaczęła skubać kanapkę.

- Pozwól, że zgadnę. Nie powiedziałaś im o zapachu tytoniu fajkowego?

Beverley odłożyła kanapkę. Nie mogła jeść.

- Nie, a ty?

- Powiedziałaś, żebym tego nie robił.

- Sądzisz, że popełniłam błąd?



- Chyba nie - odparł Toby, oglądając podejrzliwie kanapkę z kurczakiem. - Kiedy czekałem w sklepie, zastanawiałem się. Aż do tej pory uważałaś, że to Marshall Tate odpowiada za wszystkie problemy z Kronosami. Podejrzewałaś, że to on podłożył konia trojańskiego. Zgadza się?

Beverley skinęła głową. Doszła do wniosku, że jest jednak głodna, zabrała się do jedzenia.

- Z całą pewnością próbował kilka razy przejąć moją firmę.

- Teraz wiemy, że chciał położyć łapę na dużej liczbie mikroprocesorów, które zamierzał zainstalować w satelicie - zakończył Toby. - Dobrze. Zgadzasz się więc, że to nie Marshall Tate stworzył konia trojańskiego?

- Przecież powiedziałam. Do czego zmierzasz, Toby?

- Przypuśćmy, że Marshall Tate odkrył konia trojańskiego w swoim satelicie.

Beverley zamarła. Spojrzała ze zdumieniem na Toby'ego.

- Do diabła - wymruczała. - Nie przyszło mi to do głowy.

- Jak sądzisz, co dzieje się teraz z satelitą? Nie chodzi przecież o kilka mikroprocesorów. Mówimy o dwóch tysiącach Kronosów, zainstalowanych w satelicie, i dwóch tysiącach w komputerze na „Eldorado”.

Beverley zamknęła oczy, starając się uporządkować myśli.

- Niech to szlag - wymruczała. - Jeśli Bachus złapał konia trojańskiego... cóż, dojdzie do gigantycznej awarii.

- Która będzie kosztowała Tate'a grube miliony - dodał Toby.

- Nie może tak po prostu wystrzelić drugiego satelity. Potrzebuje czasu, żeby skonstruować takie urządzenie - wielu miesięcy, a nawet lat.

Nie zastanawiając się, Beverley ugryzła drugą kanapkę. Zaklęła cicho.

- Boże, masz cholerną rację, Toby.

- A Marshall Tate ma chorą kurę znoszącą złote jajka - odparł Toby. - Kogo obwinia za tę chorobę? „Nano Systems”. Ta firma wie przecież, jak wprowadzać oprogramowanie do Kronosów. Może Tate uważa że „Nano Systems” wycelowała antenę w jego satelitę i zablokowała go impulsem radiowym? Takie rzeczy się zdarzały. Od trzydziestu lat ludzie przesyłają oprogramowanie przez kable telefoniczne, a także za pomocą fal radiowych. Marshall Tate chce przede wszystkim naprawić satelitę. Któż mógłby mu w tym pomóc, jeśli nie kierownik do spraw technicznych firmy „Nano Systems”?

Beverley zbladła, kiedy w pełni dotarły do niej słowa Toby'ego.

- Carl! - krzyknęła. - Te dranie porwały Carla!

**Z LONDYNU DO KAIRU**

Carl zbadał koniuszkami palców prawą stronę trumny. Położył się na lewym boku i odkrył za swoją głową jakiś przełącznik. Dotykał go bardzo ostrożnie. Był okrągły i wydawało się, że gumowa osłona chroniła go przed wilgocią. To miało sens; czuł, jak na zimnej, twardej powierzchni komory zbiera się skroplona para.

Nie wiedział, czy powinien nacisnąć guzik. Zorientował się już, że przebywa w jakimś zapieczętowanym pomieszczeniu, najprawdopodobniej w jednoosobowej komorze dekompresyjnej. A jeśli naciśnięcie guzika spowoduje odcięcie dopływu powietrza? Z drugiej strony, człowiek, który go uspił i zamknął w tym więzieniu, najprawdopodobniej chciał go mieć żywego, nie pozwoliłby więc, aby zrobił sobie krzywdę.

A jeśli się myli?

Dotknął palcem guzika i zastanawiał się. Powrócił przeszywający strach, który ogarnął Carla, kiedy przekonał się, że jest uwięziony, a nie martwy.

*A niech tam!*

Nacisnął guzik. Rozbłysło jaskrawe światło. Było tak jasne, że nie mogło pochodzić ze zwykłej żarówki. Znow naciśnął guzik i zapadła ciemność. Wtedy rozum podpowiedział Carlowi, że na pewno ma rozszerzone źrenice, gdyż bardzo długo przebywał w ciemności. Zacisnął mocno powieki i znow przycisnął guzik. Nawet wówczas światło sprawiało mu ból. Zastonił dłonią oczy i czekał. Nic złego się nie stało; nadal czuł na twarzy podmuch świeżego powietrza. Rozchylił lekko palce, aby wpuścić światło. Po minucie jego źrenice na tyle przyzwyczyły się do blasku, że mógł cofnąć rękę i otworzyć oczy.

Nie mylił się, przebywał w komorze dekompresyjnej. Podniósł głowę z poduszki i rozejrzał się po swoim więzieniu. W pewien sposób widok własnej trumny przeraził go bardziej niż macanie jej koniuszkami palców. Więzienie było mniejsze, niż sądził. Światło płynęło z lampy, wiszącej nad jego głową. Wyciągnął rękę i spróbował odwrócić żarówkę, aby nie świeciła mu prosto w oczy. Ustąpiła bez trudu. Sprzęt w komorze wydawał się nowy, nawet okablowanie i zawory ciśnieniowe. Również pachniał nowością Carl wyczuwał słodkawy, mdlący zapach żelkotu. Ktoś przykleił kopertę do małego, telewizyjnego ekranu. Złapał ją, rozerwał i czytał z rosnącym niedowierzaniem.

Drogi panie Olivera,

Bardzo mi przykro, że narażam pana na takie niewygody. Pragnę pana uspokoić, zapewniam więc, że znajduje się pan w drogiej komorze dekompresyjnej, ma pan wystarczający zapas powietrza i nic panu nie grozi. Chcąc jeszcze bardziej pana pocieszyć, informuję, że leci pan właśnie samolotem pasażerskim, chociaż w chwili, gdy piszę te słowa, nie wiem, jaki to typ samolotu. Prawdopodobnie airbus.

Udaje się pan na piękną wyspę Bali, gdzie serdecznie pana powitamy.

Przypuszczam, że samolot wystartował pomiędzy dwunastą a pierwszą w nocy, zatem około szóstej zatrzyma się najpierw w Kairze na mniej więcej pięćdziesiąt minut. Podróż z Kairu do Dżakarty potrwa czternaście godzin. Z Dżakarty po pięciu godzinach doleci pan helikopterem na Bali. Zgaduję (przykro mi, ale mogę tylko zgadywać), że pana podróż potrwa ogółem dwadzieścia cztery godziny. To długo, ale proszę się nie martwić. Sprężonego powietrza wystarczy panu na trzydzieści godzin pod warunkiem, że nie będzie pan tracił energii, rzucał się i krzychał. Nawiasem mówiąc, komora jest dźwiękoszczelna. Może pan hałasować, ale zaręczam, że nikt pana nie usłyszy.

Wszystkie przydatne informacje znajdzie pan w podręczniku obsługi komory. Ma pan pod dostatkiem wody i jedzenia. Sprzedawca powiedział, że torebki na odchody są bardzo łatwe w użyciu. Musi pan uwierzyć mu na słowo.

Mam nadzieję, że spodobają się panu wybrane przeze mnie książki i kasety wideo. Znajdzie pan również kilka tabletek nasennych, które pomogą panu spędzić czas. Jeśli pan się znudzi, zawsze może się pan rozerwać i próbować zgadnąć, kogo pan spotka pod koniec tej niezwyklej podróży. *Bon voyage.*

- Marshall Tate - warknął Carl. - Pieprzony Marshall Tate!

## 40.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Kiedy następnego ranka Beverley jechała do pracy, dokuczał jej ból w prawym boku. Niepokoiły ją te częste ataki, ale starała się nie zwracać na nie uwagi. Praca pomagała.

Wezwała do biura dyrektora naczelnego i sekretarkę i wyjaśniła, że wyjeżdża z panem Oliverą, aby spotkać się w Indonezji z ważnym klientem. Pan Olivera już wyjechał. Nie wie, kiedy wróci. Ma nadzieję, że ich nieobecność nie potrwa dłużej niż tydzień. Nie wie, w jakim hotelu zamieszkają, ale w razie potrzeby zawsze można się z nią skontaktować przez telefon komórkowy. Tymczasem zespół programistów nadal powinien dostarczać poprawione

oprogramowanie uniwersytetowi w Surrey.

Pożegnała się i zadzwoniła do Leona Dextera. Zanim opowiedziała mu o wszystkim, kazała przyrzec, że dochowa tajemnicy. Kiedy technik jej wysłuchał, jego twarz stała się jeszcze bardziej żółta i ściągnięta.

- Razem z Macé Pilleau macie w dalszym ciągu pracować nad koniem trojańskim - poinstruowała. - Informujcie mnie o wszystkim, o czym waszym zdaniem powinnam wiedzieć. Wkrótce dam wam znać, gdzie nas znajdziecie. Tymczasem pamiętajcie o zachowaniu tajemnicy. Dziękuję, Leonie. Muszę cię teraz pożegnać, mam milion rzeczy do zrobienia.

Przez pozostałą część poranka Beverley sporządzała notatki i wydawała pracownikom instrukcje. Była zbyt zajęta, aby myśleć, jak może się skończyć jej wyprawa. Kiedy jechała do domu Toby'ego Hoyle'a, zaczęła się martwić, ale odzyskała spokój, widząc jego pewność siebie.

Siedział po turecku na środku salonu, a wokół niego leżał sprzęt: aparaty fotograficzne, przewody zasilające, czarne skrzynki o dziwnym wyglądzie. Prawdę mówiąc, Beverley dostrzegła dziwne skrzynki we wszystkich kolorach. Na dużej, plastikowej narzucie położył również baterie niklowo-kadmowe oraz lornetki, zupełnie jakby planował wyprzedaż.

- Ostrożnie, nie depcz po moich przyrządach - ostrzegł, kiedy Beverley weszła do pokoju.

- Do diabła, Toby, co ty wyprawiasz?

Podniósł głowę znad kamery, sprzężonej z magnetowidem i magnetofonem.

- O czym mówisz?

- O tych śmieciach!

Niesamowicie błękitne oczy Toby'ego spoglądały na Beverley.

- Wyjašnjmy sobie jedno. Tylko dzięki uporczywym, wieloletnim, podejrzanym manipulacjom kartą kredytową udało mi się zebrać cały ten sprzęt - szerokim gestem wskazał pokój. - Kompletowałem ten zestaw przez długie lata. Musiałem szukać zagubionych przesyłek od amerykańskich firm, prowadzących sprzedaż wysyłkową, kłócić się z głupimi celnikami, a nawet zdobywać nakazy sądowe, aby celnicy wydali skonfiskowane towary. Te przedmioty kosztowały mnie wiele bólu i pieniędzy. Z pewnością nie są to *śmieci*.

- Nie to miałam na myśli - rzekła Beverley. - Jak możemy podawać się za zwykłych turystów, wioząc taki bagaż?

- Leżą porozrzucane, dlatego wydaje ci się, że jest ich dużo. Muszę się upewnić, czy wszystko działa.

- Nie możemy przecież wszystkiego zabrać!

- Te przedmioty zmieszczą się do trzech teczek - rzekł cierpliwie Toby, zaznaczając w nanonotesie jedną z pozycji inwentarza. - Nie jest tak źle, jak się wydaje. Masz przed sobą dużo drobiazgów, które stanowią tak naprawdę części większych urządzeń. Widzisz gdzieś mały miernik?

Beverley podniosła małe, szare pudełko, przypominające ręczną fotokopiarkę.

- Co to?

- To nie miernik, Bev.

- Widzę przecież, idioto. Chcę wiedzieć, co to jest.

- Przenośne urządzenie do robienia laminatów.

- Co takiego?

- Służy do produkowania dokumentów tożsamości. Wiesz, chodzi o to, żeby umieścić zdjęcie pomiędzy warstwami plastiku. Gdzieś powinna być również hologramowa kopiarka.

- A to? - Beverley podniosła radio i trzymała przed nosem Toby'ego.

- Odbiornik przeszukujący AOR-6000.

- A te środki owadobójcze w aerozolu?

- Granaty dymne.

- Och, Boże, to zaczyna być śmieszne. Toby, czy *rzeczywiście* potrzebujemy urządzeń do robienia laminatów, odbiorników przeszukujących, kamery z magnetowidem i magnetofonem oraz granatów dymnych?

Toby zmarszczył brwi.

- Naprawdę nie mam pojęcia, Bev. Jeśli ich jednak nie zabierzemy, a okażą się potrzebne, to naprawdę się wkurzę i dostaniesz za swoje.

Pomimo niepokoju o Carla Beverley musiała się uśmiechnąć.

- Załatwiłeś bilety? - spytała.

- Tak. Dziś wieczorem lecimy do Singapuru. Następnie poczekamy trzy godziny na lotnisku Changi, a potem czeka nas dwugodzinny lot do Denpasar na Bali.

- Co z hotelem?

Toby wstał bez pomocy rąk i wysypał na podłogę zestaw dużych, lśniących fotografii.

- Zdjęcia lotnicze? - spytała Beverley, kładąc się na brzuchu.

Nagle poczuła ukłucie bólu w prawym boku.

- Zdjęcia satelitarne - odrzekł Toby. - Wykonał je jeden z francuskich satelitów SPOT.

- Ile kosztowały?

- Ostatnio miałaś wystarczająco dużo zmartwień.

- Wielkie dzięki. - Beverley oglądała fotografie. Przedstawiały hotele, przypominające bungalowy, które stały na plaży na półwyspie w kształcie rombu, otoczone gajami palmowymi. Zdjęcia zrobiono z ukosa z wysokości mniej więcej trzech tysięcy metrów.

- To są zdjęcia *satelitarne*?

- Tak - odrzekł Toby. - Niezłe, prawda?

- Zdumiewające - odrzekła Beverley.

Wszystkie fotografie były niezwykle ostre, a zwłaszcza zdjęcie, które przedstawiało duży statek, stojący trzy mile od brzegu.

- Oto „Eldorado”, spoczywający na swoim dnie w cieśninie Baldung - rzekł Toby. - Wygląda sympatycznie i elegancko, prawda? Ten ciemny kształt dookoła statku to pneumatyczny kołnierz, który amortyzuje uderzenia fal.

Beverley podniosła zdjęcie i przyjrzała się uważnie. Wyraźnie dostrzegała ogromne anteny. Na środku statku znajdował się duży basen. Zauważała nawet postacie na leżakach. Byli tam dwaj mężczyźni; jeden stał, a drugi leżał. Stojący mężczyzna nosił biały strój. Nie umiała rozpoznać rysów jego twarzy, a mimo to wydał jej się znajomy, aż poczuła chłodne ukłucie strachu i gniewu w okolicy kręgosłupa.

Toby wskazał kompleks hotelowy w pobliżu statku.

- Oto hotel Putri Bali. Wszystkie hotele na tym wybrzeżu mają pewien kłopot. Nie wolno im wznosić budynków wyższych od palm. - Przesunął palec od centralnej grupy budynków do niskich domków na skraju plaży. - To dwupiętrowe bungalowy należące do hotelu. Drogie. Wysłałem faksem rezerwację. Zdaje się, że roztacza się stamtąd wspaniały widok na jaskinię gry Marshalla Tate'a.

Kiedy Toby pomagał Beverley wstać, znów poczuła ból.

## 41.

### KAIR

Carla obudził silny wstrząs, kiedy koła samolotu uderzyły o beton. Spojrzał na zegarek. Była 6:00. To na pewno Kair.

Nie wiedział, o której wystartowali, gdyż był wówczas nieprzytomny, wydawało mu się jednak, że lecieli sześć godzin.

Pod wpływem siły hamowania samolotu Carl uderzył głową o właz. Cóż, teraz przynajmniej wiedział, po której stronie luku leży jego głowa. Po dziesięciu minutach kołowania samolot zatrzymał się. Kilka minut później Carl usłyszał ciche dźwięki. Jego małe

więzienie zadrżało lekko. Może otwierają drzwi luku!

Przez kilka minut krzyczał aż do ochrypnięcia, ale nic się nie stało. Opadł na poduszkę i napił się wody. Nastąpiło jeszcze kilka wstrząsów, a później powróciła cisza. Po raz pierwszy zauważył, że wskazówka ciśnieniomierza opadła w dół. Na początku wskazywała 120 barów, a teraz już tylko 100.

Minęła godzina. Carl drzemał niespokojnie, nie wiedząc, że komputer pokładowy zauważył niewielką awarię w czasie kontroli przedstartowej.

## 42.

### BALI, INDONEZJA

Tak jak zawsze, serce Terri mocno biło, kiedy zbliżyła się do drzwi, prowadzących do centralnej sali komputerowej.

Jakże nienawidziła samej siebie oraz nałogu, który zmuszał ją do chodzenia na te niesamowite spotkania z odrażającym Hubertem Schnee. Jakże nie znosiła, kiedy opierał się o przyrządy w zamkniętym pokoju, a jego chłodne, beznamietne oczy obserwowały rozbierającą się dziewczynę. Zmuszał ją do okropnych rzeczy, bo nigdy nie był gotowy. Czemu ją zmuszał? Po co? Posiadał pieniądze i wysoką pozycję społeczną, mógł więc mieć wiele dziewczyn. Chyba tego nie lubił, skoro nigdy nie był gotowy?

Cichy trzask solenoidów poinformował ją, że odznaka otworzyła elektroniczne zamki ciężkich drzwi. Otworzyła je i puściła. Znów rozległ się cichy trzask, a drzwi zamknęły się automatycznie. Spuściła wzrok i poczuła takie mdłości, że ledwo zauważała obecność Schnee w ciasnym pomieszczeniu.

- Spóźniłaś się o kilka minut, Teresana.

- Przepraszam, sir.

- Wiesz, że bardzo nie lubię czekać.

Terri milczała.

- Chodź tu.

Terri zbliżyła się o kilka kroków, ale spuściła wzrok. Nie lubił, gdy patrzyła mu w oczy. Na podłodze widniała płytką z napisem ZŁĄCZA ZBIORNIKA Z PŁYNEM ODŻYWCZYM. Z jednej strony do stojaka przytwierdzono plastikowy pojemnik o dziwnym wyglądzie, przypominający akumulator ciężarówki. Pokrywę zbiornika zabezpieczały klamry. Kable, podłączone do czujników, prowadziły do elektronicznych analizatorów płynu odżywczego, kontrolujących zawartość pojemnika. Kilka przezroczystych, plastikowych rur

wystawało ze złącz w bocznej ścianie zbiornika i znikало za grodzią. Terri nie wiedziała, do czego służą te przyrządy. Przypominały przestarzałe, lecz sprawne części wyposażenia, służącego do jakiegoś skomplikowanego, laboratoryjnego eksperymentu.

Znów usłyszała nienawistny głos, który odezwał się kpiąco:

- Nie jesteś chyba nieśmiała, prawda, Teresana? Tyle przecież razem przeżyliśmy.

Podniosła wzrok, ale starała się patrzeć na dwie fiolki, które trzymał w ręce.

- Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką, Teresana, dostaniesz obie.

Mówił teraz inaczej, z większą pewnością siebie, jak gdyby niecierpliwie czegoś oczekiwał. Zauważyła, że tym razem był aż nadto gotowy, nie musi go więc zachęcać. Spotęgowało to tylko jej strach. Zawsze przerażało ją to, co niewiadome.

- Rozbierz się, Teresana. Powinnaś wiedzieć, że nie lubię o to prosić.

Terri zdjęła sarong i bluzkę.

- Odwróć się, Teresana. Myślę, że czas na małe urozmaicenie.

Miał nad nią całkowitą władzę. Zrobiła, co jej kazał, przytrzymała się uchwytów stojaka, na którym umieszczono zbiornik, zamknęła oczy i wyobrażała sobie, że przebywa daleko stąd, w innych czasach. Minutę później przyciskała twarz do zbiornika, a po jej policzkach spływały łzy cierpienia i poniżenia.

Na początku przestraszyły go i zdezorientowały pulsujące fale alfa i beta. Przed chwilą wysyłał ostrożnie do zbiornika strumień elektronów, aby ocenić jego rozmiar, pojemność i liczbę cząstek, przepływających przez filtry. Teraz cofał się w panice, nie wiedząc, skąd wzięła się niespodziewana energia. Przez kilka sekund gorączkowo analizował dane. Uspokoił się dopiero wówczas, kiedy zrozumiał, że nowe i niewytłumaczalne zjawisko nie wywiera żadnego wpływu na jego siedzibę. Jego świadomość powróciła do zbiornika, gdzie wyczuwał najsilniejsze impulsy. Starał się ustalić, czym one są i skąd pochodzą.

Potem „usłyszał” sygnały na podobnych częstotliwościach, jak wstrząsy sejsmiczne na swej planecie.

Częstotliwości akustyczne!

Energia dźwiękowa!

Nagle zrozumiał. Źródłem dziwnych rytmów byli obcy, budowniczości lądownika, satelity i jego obecnego nosiciela. Oni naprawdę istnieją!

Drżał z podniecenia.

Nawiązał kontakt!

Prawdziwy kontakt!



Ma szansę dowiedzieć się, kim i czym są te istoty, ustalić ich siłę i słabości, odkryć, czy są panami, czy niewolnikami.

Skoncentrował się na dziwnych falach, które wprawiły go w takie zmieszanie, kiedy po raz pierwszy je wykrył. Próbował zrozumieć niezwykle wzory, ale nie zdołał. Te gwałtowne oscylacje nie mają sensu, chyba że ich źródłem jest jakaś głęboko zaniepokojona istota.

Co się stanie, jeśli spróbuje emulować ten dziwny wzór? Zdoła to zrobić bez trudu. Przypuśćmy, że będzie odbierał i transmitował fale, usuwając wszystkie nieregularności i nagle wahnięcia?

Słuchał intensywnie, koncentrując swój potężny intelekt. Zaczął wysyłać fale alfa i beta, ale z mocą jakiej nie doświadczył nigdy żaden ludzki mózg.

Zniknął ból i cierpienie. Terri nie była już poniżaną, przerażoną dziewczyną. Uwolniła się od ciała, płynęła w ciepłym, życzliwym morzu spokoju i ciszy. Przypominało to rozkosz, która ogarniała ją po zastrzyku, ale bez poczucia winy.

Nie było poczucia winy... bólu... tylko spokój, tak jak wtedy, gdy jako mała dziewczynka siedziała koło matki i słuchała jej łagodnych słów. Miała wrażenie, że coś się do niej zbliża, dotyka, a w jej mózgu powstają pytania dotyczące jej samej. Dziwne wzory myślowe zdawały się pytać, kim ona jest. Nie musiała odpowiadać: sama myśl o pytaniu wywoływała odpowiedzi, które satysfakcjonowały tajemniczą potęgę, działającą w jej umyśle. Nie wiedziała, czy przesłuchująca ją istota jest przyjacielem czy wrogiem. Na pewno nie jest wrogiem. Coś, co spowodowało taką euforię i spokój, nie może mieć złych zamiarów. Terri zapomniała o pragnieniu, które zwykle rosło po okropnych spotkaniach z grubym Szwajcarem.

Schnee chrząknął i cofnął się, aby ją popieścić. Terri wyprostowała się, a dziwna istota, stwarzająca w jej umyśle niezwykle pojęcia i kolory, rozwiała się jak cienie o świetle. Krzyknęła w duszy, błagając, by wróciła, ale nic się nie stało. Odkryła jednak w sobie nową siłę i ogarnęła ją radość. Zdała sobie sprawę z obecności Schnee, zauważyła obsceniczne gesty jego grubych paluchów, ale nie czuła strachu ani poniżenia.

Zapominając o swej nagości, odwróciła się i spojrzała na Schnee. Jej duże, nieruchome oczy nie wyrażały nienawiści ani pogardy. Skończył poprawiać ubranie i zauważył, że dziewczyna mu się przygląda. Spojrzał na nią twardo. Kiedy patrzył w ten sposób, próbowała zwykle zakryć się dłońmi lub ubraniem, ale nie tym razem. Schnee zaniepokoił się. Jeszcze bardziej zdenerwował go fakt, że nie cofnęła się, kiedy ich oczy się spotkały.

Sięgnął do kieszeni i wyjął jedną z fiolek.

- Chodź, Teresana, dostaniesz nagrodę.

Terri spojrzała na małą buteleczkę, jak gdyby pierwszy raz ją widziała. Powoli pokręciła głową.

- Nie - rzekła cicho. - Nie chcę.

Kilka centymetrów obok źródło jej niezwykłej siły i oporu zastanawiało się, w jaki sposób wykorzystać nowo zdobytą wiedzę.

Doszedł do wniosku, że budowniczości satelity należą do kategorii niewolników.

### 43.

Biuro Schnee znajdowało się koło sali gier. Szwajcar siedział przy biurku i zastanawiał się nad dziwnym zachowaniem Teresany. Była najładniejszą i najbardziej zmysłową z balijskich dziewcząt, pracujących na „Eldorado”. Oczywiście była również najbardziej uległa. Nie chciał jej stracić. Nie, to mało prawdopodobne. Na pewno rano, po obudzeniu, podjęła nową decyzję. To nie potrwa długo. Po kilku dniach przyjdzie do niego na kolanach - narkoman zawsze pozostanie narkomanem. Z drugiej strony, jeśli postanowiła z nim zerwać, po co w ogóle przychodziła do centralnej sali komputerowej? Schnee nic z tego nie rozumiał.

Zastanawiał się nad tym, kiedy nagle rozległ się sygnał i faks zaczął drukować wiadomość. Złapał kartkę i przeczytał. Firma „Garuda” w Dżakarcie bardzo przepraszała, ale samolot z Londynu utkwiał w Kairze, gdyż doszło do awarii solenoidowego zamka w drzwiach ładowni. Nowy zamek zostanie przywieziony z Cypru. Robią, co mogą aby usunąć usterkę, ale komora dekompresyjna znajdzie się w Denpasar z sześciogodzinnym opóźnieniem.

Schnee zastanawiał się, czy powinien o tym powiedzieć Marshallowi Tate’owi. Właśnie zamierzał sięgnąć po zielony aparat, zapewniający bezpośrednie połączenie z apartamentem Tate’a, kiedy otworzyły się drzwi. Gdy podniósł głowę i zauważył na tle słońca znajomą postać, poznał, czym jest prawdziwy strach.

Nie musiał już korzystać z zielonego telefonu.

### 44.

## Z KAIRU NA BALI

Nagle zapadła cisza, budząc nadzieję Carla, że za chwilę coś się stanie.

Przez długie godziny leżał skąpany we własnym pocie. Przez materac wyczuwał wibracje, co świadczyło o tym, że w pobliżu są ludzie. Jednakże bez względu na to, jak

głośno krzyczał, nikt go nie usłyszał.

Chyba po raz setny w ciągu ostatniej godziny spojrzął na zegarek. Przebywał w komorze dekompresyjnej od czternastu godzin, a może dłużej. Temperatura wewnątrz grobu o kształcie cylindra znacznie wzrosła i Carl zaczął się bać, że zwariuje. Ciśnienie spadło do pięćdziesięciu barów. Może autor listu go oszukał; może od początku chodziło o to, aby wpędzić Carla w szaleństwo. No cóż, kimkolwiek byli porywacze, wyglądało na to, że osiągną swój cel.

Potem poczuł ruch i łagodne podskoki, wywołane, jak odgadł, przez opony samolotu pędzącego po betonie. Gwałtowne przyspieszenie sprawiło, że jego ciało ześlizgnęło się w dół komory, aż musiał przytrzymać się stopą. Później poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, co oznaczało, że samolot się wznosi. To dziwne: do jego ciała nie dochodziły żadne bodźce zmysłowe, a mimo to reagował na ruch. Po kilku minutach samolot wyrównał lot. Temperatura wyraźnie spadła i Carl oddychał swobodniej. Znalazł list porywacza i jeszcze raz przeczytał:

...Zgaduję (przykro mi, ale mogę tylko zgadywać), że pana podróż potrwa ogółem dwadzieścia cztery godziny. To długo, ale proszę się nie martwić. Sprężonego powietrza wystarczy panu na trzydzieści godzin, pod warunkiem, że nie będzie pan tracił energii, rzucił się i krzyczał.

Zmusił oszołomiony mózg do wykonania kilku prostych obliczeń: do tej pory spędził w komorze czternaście godzin. Jeśli zatrzymali się w Kairze, czekał ich jeszcze czternastogodzinny lot do Dżakarty. Rozładunek potrwa godzinę, a podróż helikopterem na Bali zajmie pięć godzin. Trzydzieści cztery godziny! Strzałka wskazywała mniej niż pięćdziesiąt barów.

To naprawdę zabawne: ci ludzie narazili się na kłopoty i wydatki, aby wywieźć go z kraju, a teraz wyglądało na to, że odkryją w komorze martwe ciało.

Może złożą zażalenie do linii lotniczych. Stłumił śmiech. Nie, to nie jest zabawne. Jego umysł znów wędrował. Może powinien zażyć tabletki nasenne. Znalazł pigułki w torebce obok chusteczek odświeżających, zapakowanych w folię. Wytarł chusteczką twarz i poczuł się trochę lepiej. Popił wodą trzy tabletki i czekał na efekt. Nie miał ochoty gasić światła: po przebudzeniu przeżył koszmar i teraz bał się ciemności.

Tabletki oraz coraz wyższa zawartość dwutlenku węgla w powietrzu uspiły go w ciągu dziesięciu minut. Miał wrażenie, że drzemał zaledwie chwilę, zanim znów się obudził. Pocił

się, biło mu serce, a pot wsiąkał w materac. Dziesięć barów. Dziesięć barów!

Mój Boże, zbiornik ze sprężonym powietrzem jest na pewno nieszczelny! Zaledwie kilka minut temu strzałka wskazywała pięćdziesiąt barów. Spojrzał ze zdumieniem na zegarek i przetarł oczy wilgotnym rękawem. Nie, to nie pomyłka. Niewykluczone, że oszołomił go dwutlenek węgla, gdyż dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że zegarek dobrze chodzi i rzeczywiście przespał trzynaście godzin.

Oddychał jeszcze szybciej, tak jak w dzieciństwie, kiedy zakładał się z kolegami, kto dłużej wytrzyma z głową w szczelnej torebce polietylenowej. Osiem barów.

Cóż, tak przynajmniej sądził. Poniżej dziesięciu barów nie zauważał żadnych cyfr na podziałce. Ból głowy, który był do tej pory tylko tępym pulsowaniem, skupił się w punkcie za oczami i wiercił boleśnie jak soniczny świder.

Ciało Carla kołysało się na boki. Jego trumna drżała gwałtownie. To dziwne. Lecący samolot nie wykonuje ostrych manewrów, co najwyżej od czasu do czasu natyka się na turbulencję.

Zaskoczył go silny wstrząs. Zbyt się przejmował pracą swoich płuc, aby zauważyć, że maszyna obniżyła lot. Boleśnie uderzył głową o właz. Odepchnął się rękami, aby znów położyć się na materacu, i przypadkowo zgasił światło. Nagła ciemność sprawiła, że krzyknął ze strachu. Zanim jego drżące palce odnalazły kontakt i włączyły światło, samolot zdążył się zatrzymać.

Cztery bary.

Och, Boże. Już nie żyje. Ile czasu potrwa lot helikopterem z Dżakarty? Kilka godzin. Starał się przypomnieć sobie mapę Indonezji z atlasów szkolnych. To gdzieś koło Borneo. Zabawne, ale nigdy nie uczył się w szkole o Indonezji; nie mówiło się również o niej w telewizyjnych wiadomościach. Wiedział tylko, że jest to czwarty pod względem wielkości kraj świata, ale poza tym nie posiadał żadnych informacji.

Pod wpływem wstrząsów i podskoków jego osłabione ciało przewracało się z boku na bok. Musiał oddać mocz, ale torebki na odchody gdzieś znikły. Czuł regularne wstrząsy i wydawało mu się, że znajduje się w jadącym samochodzie.

Dwa bary!

Pomimo oszołomienia nie chciał umierać. Gdyby umarł, na pewno by się zmoczył. Gabriel podniesie głowę znad księgi, zmarszczy z niesmakiem nos i oświadczy, że w żadnym razie nie otworzy bramy komuś, kogo czuć pisuarem. To miejsce straciłoby przez to renomę.

Jeden bar!

Nagle poczuł potężne wibracje, jak gdyby ktoś atakował jego mauzoleum świdrem

drogowym. Helikopter? Do diabła, czy to ważne? Umrze za pięć minut, pieprzenie o pięciogodzinnym locie jest więc nieco akademickie.

- Śmierdzi jak pisuar i klnie jak szewc? Bardzo nam przykro, panie Olivera, wpuszczamy tylko świętych i czystych.

Jak przez mgłę dostrzegł, że igła zatrzymała się na zerze.

Zero powietrza.

Zero życia.

Zero tlenu dla jego płuc, które wdychają teraz trujący dwutlenek węgla.

Zero nadziei.

Wibracje ustały po dziesięciu sekundach, a może dziesięciu minutach. Nie wiedział. Właśnie niesiono jego trumnę. W pewnym momencie postawiono ją pionowo, aż ugięły się pod nim kolana, a jego wyczerpane ciało zgięło się wpół jak marionetka. Przycisnął twarz do materaca, to jednak nie miało znaczenia, gdyż i tak nie miał czym oddychać. Mimo to jego udreżone płuca łąpczywie wdychały cuchnący gaz, nie chcąc pogodzić się z porażką.

Nagle udreka się skończyła.

Ustał nawet okrutny ból głowy. Światło w górze przygasło, a po chwili zniknęło.

Usłyszał głośny i metaliczny trzask, który ucichł jednak tak szybko, że Carl nie zdążył się nawet zdziwić. Ktoś go ciągnął. Kiedy wreszcie stracił przytomność, rozległy się głosy.

Słyszał wiele głosów... szum fal... błękitne niebo... Siedział w wysokiej trawie, rosnącej na wydmach, i przed chwilą utracił dziewictwo ze słodką dziewczyną która zgodziła się pojechać z nim na całodniową wycieczkę...

Oddychał głęboko, rozkoszując się świeżym powietrzem, pachnącym piaskiem, morzem i rajem... Widząc ciepły, uroczy uśmiech dziewczyny domyślili się, że zdał egzamin, którego bardzo się obawiał, ale mimo to nie mógł się go doczekać przez cały tydzień.

Głosy...

Dziewczyna musnęła dłonią jego twarz. Pociągnęła go w dół, na gorący piasek, i całowała. Wdychał jej ciepły, słodki zapach. Nagle rozległ się syk i Carl poczuł zawrót głowy, jak gdyby napił się szampana. Otworzył oczy. Dziewczyna była o wiele ciemniejsza, niż pamiętał. Miała czarne oczy i włosy koloru nocy, upięte w ciasny kok. Nosila biały mundur, a jej długie, wrażliwe palce przytrzymywały przy jego twarzy przezroczystą maskę, która przywracała mu chłodny rozum.

Przeżył.

Pielęgniarka zabrała maskę i uśmiechnęła się zachęcająco.

- Jak pan się czuje? - Mówiła po angielsku wyraźnie i bez błędów, ale Carl nie umiał

rozpoznać jej akcentu.

- Dobrze. - Głupia odpowiedź, ale nic innego nie przyszło mu do głowy.

Padł na niego jakiś cień. Pielęgniarka spojrzała na przybysza i cofnęła się. Carl wciąż był zbyt oszołomiony, aby przyjrzeć się dokładnie stojącemu nad nim mężczyźnie.

- Witamy na „Eldorado”, panie Olivera - odezwał się cień.

- Jestem Marshall Tate.

## 45.

### BALI, INDONEZJA

Putri Bali był niezwykle piękny, podobnie jak wszystkie hotele pierwszej klasy w Nusa Dua. Na terenie hotelu znajdowały się bujne, tropikalne ogrody, urocze jeziora i ocienione aleje. Zanim Beverley i Toby dotarli na plażę, gdzie mieścił się ich bungalow, główny gmach hotelowy zniknął za palmami.

- Jeśli nie zabije mnie upał, zrobi to wilgoć - wymruczała Beverley, rzucając się na jedno z podwójnych łóżek.

Przed chwilą goniec hotelowy wyładował z wózka ich bagaże. Toby nie miał przy sobie rupii, ale goniec odszedł z uśmiechem, choć nie dostał napiwku.

Oboje nigdy nie widzieli tak dziwnego pomieszczenia hotelowego jak ten bungalow. Składał się z dużego, prostokątnego pokoju z dwoma łóżkami na podwyższeniu. Schody prowadziły do drugiej sypialni, którą Toby natychmiast obejrzał. Był to raczej taras widokowy niż sypialnia, z oknami po czterech stronach. Klimatyzator chłodził tylko parter, dlatego na piętrze panował upał i zaduch. Toby upewnił się, że widać stamtąd „Eldorado”, i zszedł na dół.

- Doskonale - powiedział do Beverley, która zaczęła się rozpakowywać. - Gorąco tu jak w piecu. Trudno nam będzie obserwować bez przerwy kwaterę Tate'a.

Toby otworzył jedną z walizek i upewnił się, że nic się nie stało jego cennemu sprzętowi. Wyjął kamerę i skierował na Beverley, która właśnie wieszała ubrania w szafie obok małego barku. Przebrała się w białe szorty i luźną koszulkę. Toby podziwiał jej nogi przez obiektyw.

- Myślę, że stworzymy razem wspaniałą parę podczas miesiąca miodowego - zauważył.

- Raczej matkę i syna.

- Kobiety są jak wino: im starsze tym lepsze.

Beverley odkryła, że nadal potrafi się śmiać, choć bardzo niepokoiła się o Carla.

Rzuciła w Toby'ego sandałem.

- Hej, mamusiu, ostrożnie. Potrzebujemy tej kamery.

- Co zrobimy z łózkami? - spytała Beverley.

Toby spojrział na oba łóżka.

- Cóż, zamierzam spać w jednym z nich. Noc będzie zbyt upalna na twoje perwersyjne zachcianki.

- Toby, mówię poważnie.

- Ja też, Beverley - odrzekł Toby, patrząc krytycznie na noktowizor. - Śmiertelnie poważnie. Nie możemy spać razem... to znaczy jednocześnie. Przez co najmniej trzy dni musimy obserwować „Eldorado” dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będziemy wszystko dokładnie rejestrować. Nie podejmiemy żadnych działań, dopóki nie poznamy życia na statku lepiej niż załoga.

Nie tylko Beverley i Toby interesowali się „Eldorado”. Jumo przebywał na Bali od miesiąca, zdecydowany pomścić zamordowanych rodziców. Nie podszedł do sprawy w tak naukowy sposób jak Toby, chociaż on również próbował na początku wybrać się na statek Tate'a pod pretekstem urlopu. Niestety, najprawdopodobniej agencja wakacyjna sprawdzała zdolność kredytową potencjalnych gości: przyjmowano tylko multimilionerów. Wygrana zapewniła Jumo dostatek, ale nie bogactwo. Postanowił wydać te pieniądze na realizację planów zemsty. Wynajął tanie mieszkanie w Benoa Harbour i starał się znaleźć pracę na statku, nie udało mu się to, gdyż nie miał odpowiednich dokumentów. Teraz spędzał czas w hotelu Putri Bali w pobliżu znienawidzonego „Eldorado”, mając nadzieję, że wpadnie na jakiś pomysł albo coś się wydarzy.

## 46.

Toby przekupił pracownika hotelowej obsługi technicznej i zainstalował na piętrze drugi klimatyzator. Maszyna szumiała cicho, ale mimo to w sali widokowej panowały tak trudne warunki, że musieli podzielić się popołudniową wartą. O 16:00, zaledwie po godzinie spędzonej przy elektronicznym teleskopie, Beverley niemal bez przerwy wycierała pot z czoła, choć nosiła przepaskę. Wiatr na zewnątrz w niczym nie poprawiał sytuacji. Musieli pozamykać wszystkie okna, aby na konsoli teleskopu, pozwalającej kontrolować wzmacniacze obrazu i poziom oświetlenia, nie zbierała się wilgoć. Tego czułego instrumentu nie zaprojektowano z myślą o wilgotnym klimacie Bali.

O 16:32 Beverley zanotowała, że od statku odbiła motorówka, która zbliżała się teraz do przystani Benoa. Policzyła dziewczęta, siedzące na ławkach w odkrytej łodzi. Trzydzieści - tyle, ile przyjechało rano o 8:30.

Znów skierowała teleskop na statek, trzymając w pogotowiu palec nad przyciskiem, służącym do powiększenia obrazu. Patrzyła bez pośpiechu w czarne okna apartamentu Marshalla Tate'a. Wyobraziła sobie Marshalla, obserwującego ją przez podobny teleskop z przeciwnej strony szyby, tak jak wiele lat temu przyglądał się jej przez obiektyw kamery. Ta myśl sprawiła, że zadrżała. Spojrzała na ogrody i basen. W pewnym momencie odniosła wrażenie, że dostrzega Carla. Powiększyła obraz, okazało się jednak, że ma przed sobą jednego z gości, którego wzięła za Carla już przy kilku wcześniejszych okazjach.

Był to ostatni dzień, jaki zamierzali poświęcić na obserwację „Eldorado”. Nadal nie odkryli ani śladu Carla. Drugiego dnia Beverley ogarnęło zniechęcenie, Toby stwierdził jednak, że obserwują tylko prawą burtę statku. Niewykluczone, że porywacze pozwalają Carlowi spacerować po przeciwnej stronie, niewidocznej z lądu.

O 17:30 słońce stało nisko, zalewając „Eldorado” ciepłym światłem. Ułatwiało to obserwację. Łódź patrolowa po raz trzeci tego dnia okrążyła statek. Beverley zanotowała godzinę. Niestety, łódź nie pojawiała się o stałych porach, chociaż z notatek Beverley i Toby'ego wynikało, że pomiędzy patrolami upływają przynajmniej dwie godziny. Przechyliła teleskop i powoli przesuwała obiektyw wzdłuż rzędu dużych okien apartamentów pasażerskich. O tej porze dnia słońce świeciło prosto na luksusowe pokoje. Miała poczucie winy, kiedy uległa pokusie i przez chwilę przyglądała się parze w czwartym apartamencie, która kochała się na łóżku, nie opuszczając żaluzji. Na pewno sądzili, że nikt ich nie zobaczy z brzegu, z odległości trzech mil. Potem spojrzała na młodego człowieka stojącego na plaży. On również interesował się „Eldorado” i obserwował statek przez lornetkę. W końcu odwrócił się i ruszył w kierunku hotelu. Beverley rozpoznała w nim jednego z japońskich gości. Razem z Tobym zauważyli go wcześniej, gdyż niewielu ludzi przyjeżdżało tu samotnie.

Ciemność zapadła szybko, o 18:30. Na tej szerokości geograficznej, prawie jak na równiku, słońce opadało pionowo w kierunku horyzontu.

Z tego względu wieczory były bardzo krótkie. Zapaliły się reflektory przy basenie i Beverley ujrzała młodego Japończyka, siedzącego przy stoliku czytającego książkę. Na dole zadzwonił budzik, wyłączony po chwili przez Toby'ego. O 18:59 detektyw wszedł na górę. Miał na sobie szorty, jego ciało było szczupłe i muskularne. Beverley wiedziała, że jej fryzura straciła puszystość. Chciałaby wyglądać lepiej, ale warunki, panujące w wilgotnej sali widokowej, nie pozwalały na to.



- Co sływać?

- Bez zmian - odrzekła Beverley, zwalniając fotel. - Łódź patrolowa wyruszyła godzinę wcześniej niż wczoraj. Było w niej dwóch ludzi, a nie czterech. Nasz samotny Japończyk spacerował po plaży.

- Czyżby? Znalazł sobie przyjaciółkę?

- Interesował się „Eldorado”. Obserwował statek przez lornetkę.

Toby zamyślił się.

- Dziwne.

- Nie widzę powodu do zmartwienia - rzekła Beverley. - Miał drogą lornetkę, na pewno idealną do obserwacji ptaków. Siedzi właśnie przy basenie, a ja również się tam wybieram, żeby się ochłodzić.

- Może teraz ciebie zacnie oglądać - zawołał Toby, kiedy Beverley schodziła ze schodów.

Kiedy został sam, zajrzał szybko do notatek, a później skierował teleskop na „Eldorado”. Postanowił zrezygnować z warty o północy. Nie sądził, żeby zdobyli jakieś nowe informacje. Jutro powinni zacząć działać.

## 47.

Gdyby ktoś napisał uczciwy przewodnik po Bali, musiałby stwierdzić, że Kuta jest brudnym, hałaśliwym, zakurzonym i niewiarygodnie bezczelnym miasteczkiem, pełnym walących się podejrzanych barów, w których rozgadani Australijczycy upijają się do nieprzytomności piwem Foster i oglądają futbol australijski w telewizji satelitarnej. Najprawdopodobniej miasteczko przyciągnęłoby wówczas jeszcze więcej turystów, którzy pragnęliby sprawdzić, czy rzeczywiście jest tam tak okropnie. Nie byliby rozczarowani. Odkryliby setki hałaśliwych barów, sprzedających koszulki z obscenicznymi napisami oraz równie obsceniczne, drewniane rzeźby. *Kuta nie tylko osiągnęła, ale nawet przebiła dno złego smaku.*

- Mój Boże - wymruczała Beverley, przeciskając się przez kolorowy tłum, aby dotrzymać kroku Toby'emu. - To prawdziwy koszmar. Czy naprawdę musieliśmy tu przyjść?

Weszli do sklepu „Sporty wodne w Kuta” - cichej oazy, położonej na głównej ulicy handlowej miasteczka. W pachnącym winylem sklepie stały akwalungi, podwodne kusze i kombinezony dla płetwonurków. Beverley doszła do wniosku, że nareszcie trafili w bardziej cywilizowane miejsce. Niestety, to wrażenie rozwiało się na widok sprzedawcy,

podchodzącego do nich z wyciągniętą ręką.

- Ja pieprzę, prawdziwi Angole! Hake McGuire, do waszych usług. Co mogę dla was zrobić?

Był niskim, brązowym, żyłastym mężczyzną o ciepłym, serdecznym uśmiechu. Jego brwi i resztki włosów na głowie wyblakły od słońca i wiatru. Reżyser, pragnący nakręcić film „Stary człowiek i morze”, zatrudniłby go bez wahania.

- Chcemy wypożyczyć sprzęt do nurkowania - odrzekł Toby, odwzajemniając uścisk dłoni. - Płetwy, maski, lampy, pasy z ciężarkami - podstawowe wyposażenie.

- Mamy wszystko, czego zapragniecie - odrzekł z zapalem Hake, wskazując duże zapasy sprzętu.

- I dwa aparaty oddechowe o zamkniętym obiegu.

Uśmiech Hake'a zniknął!

- [Tlenowe?](#)

- Właśnie.

- Na miłość boską, chyba jesteście kopnięci. Po co wam one?

Beverley zastanawiała się, czy ten styl handlowania przysparza Hake'owi McGuire'owi popularności. Sądząc po wielkości sklepu i ilości towaru, radził sobie zupełnie nieźle.

- Chcemy robić podwodne zdjęcia - wyjaśnił Toby. - Akwalungi wydzielają bańki powietrza i ryby się płoszą, potrzebujemy więc aparatów tlenowych.

- Ryby się płoszą? Nie na tych rafach. Te małe cholery podpływają do ciebie, patrzą ci prosto w maskę i srają w twoje włosy.

- Chcemy sfilmować ośmiornice. To bardzo płochliwe zwierzęta.

- Ach, te małe dranie. Nie lubię ich. Smakują jak kurczaki. Teraz nie znoszę również kurczaków, bo smakują jak ośmiornice.

- Cóż za okrutny świat - zauważyła Beverley.

Hake spojrział na nią z uznaniem.

- Wiesz co, mała? Wypożyczę twojemu chłopakowi aparaty oddechowe, on pójdzie i zginie, a ty wtedy spikniesz się ze mną.

- Chyba potrafię oprzeć się takiej propozycji - odpowiedziała Beverley. - Dlaczego aparaty oddechowe są niebezpieczne?

- Oddychanie czystym tlenem pod ciśnieniem? Pewnie, że to niebezpieczne. Mózg może przyswoić sobie tylko pewną ilość tlenu, potem trafia go szlag i człowiek umiera.

- Nurkowi nic nie grozi do głębokości dziesięciu metrów - zauważył Toby. - Czy możesz je nam dostarczyć?

- Używałeś ich kiedyś?

- Pewnie - odparł Toby lekkim tonem. - Przywiózłbym własny sprzęt, ale linie lotnicze nie lubią przewozić butli ze sprężonym gazem.

- Dobra, poczekajcie chwilę. - Hake zniknął w magazynie na tyłach sklepu, a po chwili wrócił, niosąc dwa zestawy tlenowe, które położył na ladzie. - Masz, kolego. Aparaty pierwsza klasa. Stówa dziennie.

Beverley popatrzyła z ciekawością. Zamiast pojemników ze sprężonym powietrzem i zaworem, w aparacie zainstalowano torbę, którą przymocowywało się na piersi. Do obu końców torby prowadziły przewody oddechowe, przebiegające przez „skruber”, czyli filtr węglowy. Z dołu przytwierdzono do torby małą butlę tlenową, wielkości kilku puszek z coca colą. Urządzenie przypominało płuca i pełniło podobną rolę. Inaczej niż w przypadku akwalungów, wydychane powietrze nie dostawało się do wody i nie tworzyło bąbelków. W tym aparacie wykorzystano zamknięty system filtrów, usuwających dwutlenek węgla z wydychanego gazu. Tego rodzaju sprzęt miał ograniczone zastosowania cywilne, ale nadal posługiwano się nim w wojsku.

- Dobrze - rzekł Toby, obejrzawszy aparaty. - Bierzymy je. Weźmiemy również kilka zapasowych butli z tlenem i filtrów CO<sub>2</sub>. Czy możesz przygotować dla mnie podwodny elektryczny skuter oraz parę zapasowych niklowo-kadmowych akumulatorów?

- Nie od razu - odparł Hake. - Przyjdź wieczorem.

- Świetnie. Potrzebujemy także płetw, masek i pasów z ciężarkami - zwykłego sprzętu. I nazwiska człowieka, który wypożycza łódki do nurkowania. Wystarczy nam niewielka motorówka, musi mieć jednak światła nawigacyjne. Zamierzamy filmować w nocy i nie chcemy, żeby indonezyjska policja przyczepiła się do nas za brak świateł.

- Macie więcej odwagi niż ja - zauważył Hake. - Lubię widzieć, co się dzieje. Nocą wyobraźnia płata figle. W nocy pojawiają się te cholerne moreny. Duże, paskudne dranie. W Benoa stoi „Dinkum”, moja łódź, ośmiometrowa motorówka z dieslowskim silnikiem i płytką szklaną w dnie, pozwalającą na oglądanie raf koralowych. Idealna do nurkowania.

- Znakomicie. Wynajmiemy ją na tydzień.

Hake wydawał się zadowolony z dzisiejszych interesów.

- Gdzie mieszkacie?

Toby podał mu ich nazwiska i nazwę hotelu.

- Wiesz co, Toby, wpadnę ze sprzętem koło południa do waszego hotelu, a potem zawiozę was do Benoa, żebyście obejrzelili łódź. Co wy na to?

- Świetnie. Zabierzemy jednak od razu aparaty tlenowe, żeby trochę poćwiczyć.

Nagle na ulicy zapanowało poruszenie. Przejechał policyjny range rover. Wydawano instrukcje przez megafon. Policjanci w koszulkach khaki spędzali pieszych z jezdni na chodniki.

- Co się dzieje? - spytała Beverley.

- Ten cholerny Marshall Tate otwierał nową klinikę - odrzekł kwaśno Hake. - Ktoś mógłby pomyśleć, że to pieprzony prezydent Indonezji. Te małpy dostają kota, kiedy on jest w pobliżu.

Beverley nasunęła kapelusz na oczy i wyszła na zatłoczony chodnik w samą porę, żeby zobaczyć białego rolls-royce'a, eskortowanego przez policjantów na motorach Kawasaki. Orszak musiał zwolnić przed zakrętem. Beverley stanęła za policjantem, schyliła się i dostrzegła na tylnym siedzeniu szczupłego człowieka w białym garniturze. Jakieś rozbawione dziecko prześlizgnęło się przez kordon i wypadło na drogę. Zanim matka je zabrała, zmusiło samochód i motocyklistów do krótkiego postoju. Wkrótce kawalkada przyspieszyła, ale Beverley zdążyła przyjrzeć się pasażerowi.

Toby pociągnął ją w tył.

- Na miłość boską, Beverley - syknął z gniewem. - Postąpiłaś bardzo głupio. Gdyby cię zauważył, wszystko poszłoby na marne!

- Chciałam zobaczyć Tate'a - odrzekła spokojnie Beverley.

- Rozpoznałaś go?

- Oczywiście.

Toby spojrzał uważnie na Beverley, ale jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Musiał oszaleć, że wszedł ci w drogę. Na jego miejscu zrobiłbym wszystko, żeby się z tobą ułożyć.

- Czy to miał być komplement, Toby?

- Niewykluczone - padła tajemnicza odpowiedź. - Dopiszę ci to o rachunku.

## 48.

Carl obudził się w małej, pustej celi i patrzył na żarówkę w drucianej oprawie, świecącą nad jego głową. Dotknął twarzy: wyczuł przynajmniej dwudniowy zarost. Kiedy odwrócił głowę, zobaczył tacę z sokiem pomarańczowym i płatkami śniadaniowymi. Na szklance zbierały się krople wilgoci. Spojrzał na zegarek i ogarnął go gniew.

Dranie!

Nazywa się to zmysłową deprywacją: strażnicy pozwalają więźniowi spać dwie

godziny, w czasie snu przestawiają jego zegarek, aby sądził, że spał osiem godzin, a potem znów mu zadają te same, głupie pytania. No cóż, nie z nim te numery. Ci głupcy nie chcieli go słuchać, chociaż powiedział prawdę. Byli również za głupi, żeby zauważyć, że męski zarost stanowi wiarygodną oznakę upływu czasu.

Usłyszał kroki na zewnątrz i metaliczny szcęk otwieranego zamka.

Marshall Tate i Schnee weszli do pokoju z dwoma japońskimi strażnikami. Carl mógł poradzić sobie ze Schnee, choć uznał go za sadystę, obawiał się jednak gwałtownego, niepohamowanego temperamentu Tate'a.

- Wstawaj - rzekł Marshall.

Trzy „poranki” temu Carl nie chciał się ruszyć. Strażnicy tak go wówczas zbili, że do tej pory bolały go zebra. Nawet Marshall kopnął go ze złością kilka razy. Nie miał ochoty sprawiać im tej satysfakcji, wstał więc niezgrabnie i pozwolił się prowadzić przez ciemny korytarz do sali przesłuchań. Carl uważał, że potrafi wytrzymać przesłuchanie. Niepokoił się jednak, co zrobią Schnee i Tate, kiedy zrozumieją, że więzień się nie załamał, lub kiedy dojdą do wniosku, że powiedział prawdę. Wolał o tym nie myśleć. Lepiej żyć chwilą.

Wepchnęli Carla do sali przesłuchań.

- Kazałem stolarzowi przygotować parę rzeczy - rzekł Marshall.

Carl utracił pewność siebie, kiedy zobaczył krzesło. Takich ciężkich dużych, bambusowych mebli nie spotykało się poza Bali, gdyż trudno je było przewozić. Do poręczy i przednich nóg krzesła przytwierdzono skórzane pasy i klamry. Przeznaczenie krzesła wydawało się oczywiste, zwłaszcza kiedy Schnee pokazał ręczną korbę, przyśrubowaną do stołu. Marshall usiadł i spojrzał na Carla chłodno i bezlitośnie.

- Nie mam na to ochoty, Olivera - rzekł spokojnie. - Jeśli chcesz nam coś powiedzieć, słuchamy.

Pomimo wyczerpania Carl wyprostował się, aby z godnością stanąć naprzeciwko dręczyciela.

- Nie słuchasz, Tate. Ani razu nie słuchałeś. Nie wiemy, jak koń trojański dostał się do mikroprocesorów, i nie mamy pojęcia, jakie szkody wyrządził twojemu satelicie.

Marshall skinął głową do Schnee.

- Proszę się rozebrać, panie Olivera - powiedział Schnee.

Carl zaproponował, aby gruby Szwajcar zrobił coś, co nie udałoby się mu nawet wtedy, gdyby zrzucił sporo wagi.

Schnee uśmiechnął się i skinął na strażników. Carl nie opierał się, kiedy brutalnie zdejmowali mu spodnie, koszulę i slipy. Rzucili go na krzesło i przymocowali klamry do

kostek i nadgarstków.

- Nie wątpię, że wie pan, do czego służy to urządzenie, panie Olivera - rzekł Schnee, wskazując instrument.

Carl nie odezwał się, gdyż nie chciał, aby usłyszeli strach w jego głosie.

- To próbnik izolacji - powiedział Schnee. - Za jego pomocą bada się integralność systemu. Przepuszcza się przez system prąd pod wysokim napięciem, a następnie mierzy się straty. Napięcie jest wysokie, ale natężenie niskie, nie powstaną więc oparzenia. Pomyślałem, że w ten sposób moglibyśmy sprawdzić integralność pańskiego organizmu, na przykład to, jak długo jeszcze będzie pan kłamał.

Schnee włożył rękawice ochronne i skinął głową do jednego ze strażników. Strażnik zaczął powoli kręcić korbą próbnika. Igła woltomierza pokazywała jeden kilowolt. Maksymalny odczyt wynosił dziesięć kilowoltów. Schnee podniósł i zbliżył do siebie sondy próbnika. Kiedy ich czubki dzieliła odległość kilku milimetrów, przeleciała pomiędzy nimi błękitna iskra.

- Przykro mi, że musimy uciekać się do takich metod, panie Olivera. Może się pan jednak zastanowi i opowie, co zrobiliście z naszym satelitą.

- Mówiłem wam wiele razy! Nie wiem! Zresztą nawet gdybym wiedział, niczego bym wam teraz nie powiedział!

Schnee stanął nad Carlem, a dwie sondy przypominały drgające różdżki, trzymane przez różdżkarza. Strażnik szybciej pokręcił korbą, aż napięcie wzrosło do dwóch kilowoltów. Nagle Schnee przytknął sondy do ud Carla. Ofiara krzyknęła i wygięła się w łuk, a jej kostki szarpały ze wszystkich sił skórzane pasy.

## 49.

Potrzebował materiału, aby zakończyć tworzenie nasion. Potrzebował składników. Potrzebował mikroelementów: fosforu, miedzi i wielu innych. Ciecz w zbiorniku zamieniła się w kipiącą masę wielu miliardów nasion. Poczekaj.

Zastanów się.

Obcy są istotami organicznymi. Ich ciała zawierają niezbędne materiały. Co więcej, może napelnić je nasionami. Ziarna rozwijałyby się w takim nosicielu, aż odzyskałyby dawną fizyczną postać.

Wiedział, że jeden z obcych znajduje się w pobliżu. Dotknął go kiedyś. Wystarczy, że zawoła, a obcy przyjdzie.

## 50.

Beverley właśnie usiłowała zaczerpnąć powietrza, kiedy Toby zerwał jej maskę. Zgubiła ustnik i miała wrażenie, że wypła litr morskiej wody. Machała gorączkowo nogami, aż w końcu stanęła w płytkiej lagunie, krztusząc się i plując. Na początku Toby nie próbował jej pomagać. W końcu zlitował się i poklepał ją po plecach.

- Drań! - krzyknęła, kiedy odzyskała głos. - Zrobiłeś to specjalnie!

- Oczywiście - odrzekł Toby, podnosząc swoją maskę. - Będę to robił dopóty, dopóki nie przestaniesz panikować i nie nauczysz się spokojnie zakładać maski. Powinnaś ją włożyć, podnieść głowę i gwałtownie wypuścić powietrze przez nos, aby pozbyć się wody.

- Na miłość boską, czemu to takie ważne?

- Nurkowi nie może się przydarzyć nic bardziej przerażającego niż utrata maski pod wodą. Nie jest to jednak katastrofa, jeśli nie wpadnie się w panikę!

Beverley wzięła maskę i zakryła oczy i nos. Kiedy pluskała się w ciepłej wodzie przy hotelowej plaży, przekonała się, że górna część jej kostiumu pod aparatem tlenowym również wymaga dopasowania.

Łatwo było korzystać z aparatu. Cała sztuka polegała na tym, aby po wydechu, kiedy filtry nie mogły już pochłonąć większej ilości dwutlenku węgla, usunąć gaz z torby i częściowo napęlić ją świeżym tlenem z butli.

- No dobrze - powiedziała z determinacją. - Spróbujmy jeszcze raz.

Kiedy przygryzła ustnik, zauważyła, że samotny młody Japończyk siedzi na piasku i przygląda się im przez lornetkę. Właśnie miała zamiar powiedzieć o tym Toby'emu, kiedy zgięła się wół pod wpływem nagłego bólu w prawym boku.

Toby złapał ją za ramię.

- Co się stało, Beverley?

- Skurcz - jęknęła. - Nic mi nie jest.

- Może powinniśmy zrobić przerwę?

Beverley zignorowała go. Zanurkowała i oddalała się od Toby'ego, płynąc tuż pod powierzchnią i machając potężnie długimi, zgrabnymi nogami. W przejrzystej wodzie Toby widział, jak pod wpływem ruchu płetw z dna unosi się piasek.

Kiedy Jumo obserwował parę, spierającą się i dokazującą w lagunie, przypomniał sobie o własnej samotności. Na tym właśnie polegał problem: do hotelu przyjechało dużo par. Był jedynym samotnym gościem. Ludzie przyglądali mu się przy śniadaniu. Jumo żałował, że nie

zaplanował swojej misji z większą dokładnością. Bez trudu mógłby zabrać ze sobą dziewczynę. Od kiedy wygrał, nie brakowało mu kobiet. Najbardziej denerwowało go to, że nadal nie miał pojęcia, jak dostanie się na „Eldorado”. Podniósł lornetkę i przyglądał się wielkiemu statkowi, spowitemu mgiełką. Zauważył rybacką proa i skierował na nią lornetkę. Długa, niska łódź mknęła z wdziękiem po lagunie, a wiatr wydymał jej łaciński żagiel. Przypuśćmy, że kupi proa od rybaka, usunie żagiel oraz podniesiony dziób i zainstaluje silnik? Czy znajdzie się wówczas wystarczająco nisko, by nie zauważył go radar „Eldorado”?

Jumo wstał szybko i szedł po miękkim, gorącym piasku w kierunku kilku kolorowych łodzi, które leżały pod palmami, wyglądając jak na pocztówce.

## 51.

Hake McGuire dotrzymał słowa. O 16:30 jego wysłużony, stary samochód kombi marki Hustler zatrzymał się na głównym molo nowej, eleganckiej przystani w Benoa. Przystań była za mała, aby przyciągnąć wielkie jachty bogaczy, stało tam jednak sporo dwudziestometrowych jachtów regatowych i lśniących łodzi motorowych. Kiedy Hake, Beverley i Toby wyszli z samochodu, natychmiast załały ich złociste promienie, popołudniowego słońca. Toby pokazał Beverley członków załogi „Eldorado”, wysiadających z łodzi. Dziewczęta w eleganckich mundurach zauważyły zachęcające uśmiechy Toby’ego. Zasłaniały usta dłońmi i chichotały konspiracyjnie.

- Wszystko przywiozłem, moi mili - rzekł wesoło Hake, zamykając z głośnym trzaskiem tylną klapę hustlera. - Jak poszły ćwiczenia?

- Lepiej nie pytaj - odparła z uczuciem Beverley.

Australijczyk roześmiał się i odezwał się szybko w języku bahasa do grupy dzieciaków, zachęcających Beverley i Toby’ego, aby kupili pocztówki i rzeźby. Dzieciaki zabrały się za bardziej opłacalną robotę, polegającą na wyładowaniu sprzętu do nurkowania i przeniesieniu go wzdłuż mola do „Dinkum”, małej, drewnianej, ośmiometrowej łodzi motorowej z szerokim, odkrytym kokpitem. Ta bezpretensjonalna łódź wyglądała tak, jak gdyby już od paru sezonów domagała się polakierowania. Była jednak mocna i wydawało się, że niewiele się zmieni po następnych dziesięciu latach użytkowania. Jak powiedział Hake, motorówka idealnie nadawała się do nurkowania.

Toby i Beverley pomogli Hake’owi upchnąć sprzęt pod fotelami i w kabinie. Najcięższy okazał się podwodny skuter, przypominający krótką torpedę. Po obu stronach silnika widniały dwa mocne uchwyty. W końcu zanieśli i przywiązali maszynę, aby nie turlała się po



pokładzie.

Beverley wzięła rozbieg i wskoczyła zręcznie na przedni pokład. Hake usiadł przy sterze i odbił od brzegu. Zatoczył niewielkie koło i ruszył w kierunku wejścia do przystani, opowiadając Toby'emu o niebezpieczeństwach, występujących na tutejszych wodach. W jednej ręce trzymał ster, a w drugiej fajkę.

Pięć minut po wypłynięciu z portu ujrzeli szary kadłub „Eldorado”.

- To kwatery Marshalla Tate'a, prawda? - spytał Toby lekkim tonem.

- Pewnie - odrzekł Hake. - Indonezyjska przeciwwaga dla mafii.

Toby roześmiał się i spojrzał na Beverley. Oboje doszli do wniosku, że warto wy badać Hake'a McGuire'a.

- Czemu tak mówisz, Hake?

Australijczyk patrzył na morze, a jego spalone słońcem dłonie spoczywały lekko na sterze.

- Ten gość robi wiele dobrych rzeczy. Buduje szkoły i szpitale, aby zapewnić sobie życzliwość tutejszych mieszkańców. Jego pomagier, facet o nazwisku Schnee, dał mi się we znaki w zeszłym tygodniu.

- Jak to?

- Usłyszałem w CNN, że doszło do wypadku podczas nurkowania i „Eldorado” potrzebuje szybko komory dekompresyjnej. Znam wszystkich nurków na Bali. To porządne chłopaki. Dzwonię więc do grubego Schnee i proponuję pomoc. Mam stary kocioł parowy, który przerobiłem na komorę. Powiedział, że bym się odpieprzył. Nie użył tych słów, ale dał wyraźnie do zrozumienia, że nie interesuje ich moja pomoc ani moja komora. Joe Smiley z Jawy również zaproponował mi komorę, ale ten mały drań nawet do niego nie zadzwonił.

- Od kogo w takim razie dostali komorę? - spytał Toby, otwierając samochłodzącą puszkę piwa i czekając, aż odczynniki schłodzą pianisty płyn.

- W barze u Sally słyszałem plotki, że przysłano z Anglii jednoosobową, przenośną komorę.

Nagle Beverley przyszło coś do głowy. Zastanawiała się, czy Toby myśli o tym samym, ale jego obojętna mina niczego nie zdradzała.

- Hake, ile czasu człowiek może wytrzymać w takiej komorze? - spytał niedbale Toby.

- Mniej więcej trzydzieści godzin. Boże, stary, musiałbyś naprawdę przesadzić, żeby potrzebować tak długiej dekompresji. Jeżeli nastawiasz się na długie i głębokie nurkowanie, powinieneś posłużyć się mieszanką tlenowo-helową. Krew nie wchłania helu tak jak azotu. - Hake wyłączył silnik i rzucił za burtę betonową kotwicę.

Przez następne pół godziny Hake i Toby wypróbowywali i sprawdzali podwodny sprzęt. Toby szybko nauczył się obsługiwać skuter. To urządzenie w kształcie torpedy było bardzo proste: skonstruowano je po to, aby nurkowie mogli się poruszać nie tracąc niepotrzebnie sprężonego powietrza. Skręcając, należało przymknąć przepustnicę silnika i tak balansować ciałem, aby zmienić ustawienie skutera.

- Chyba dacie sobie radę - powiedział Hake po trzydziestu minutach. - Nie schodźcie jednak z aparatami tlenowymi poniżej dziesięciu metrów. Może da się zejść głębiej, ale nie ryzykujcie. Tlen to śmiertelna substancja.

Beverley obserwowała „Eldorado” przez lornetkę. Myślała o Carlu i jego cierpieniach. Kiedy wyobrażała sobie, co przeżywa przez Marshalla Tate’a drogi, miły, troskliwy Carl, budziła się w niej nienawiść i poczucie winy. Jednakże naprawdę gotowała się z wściekłości, gdy przypominała sobie, jak cieszyła się na weekendy z Marshalllem Tate’em, jak prosiła i błagała. Była wówczas tak bezbronna, a on patrzył na nią beznamyślnie. Te żywe wspomnienia podsycaly ślepa nienawiść, która ustąpi dopiero wtedy, gdy Marshall Tate zginie razem ze swym przeklętym statkiem.

Pozostało jeszcze dwadzieścia minut dziennego światła, kiedy łódź podniosła kotwicę i wróciła do Benoa.

## 52.

Terri skończyła analizować dzisiejsze zakłady i otworzyła program weryfikacyjny. Albo miliony ludzi rozczarowały się nagle do gry za pośrednictwem Bachusa, albo coś było nie tak.

Na ogół musiała pracować prawie przez całą zmianę, aby wykonać powierzone jej obowiązki. Tym razem w niecałe sześć godzin uporała się z robotą. Już wcześniej zauważyła spadek liczby zakładów, często jednak występowały fluktuacje, na przykład z powodu świąt lub imprez sportowych. Nie była to jednak zwykła fluktuacja, lecz zdecydowana tendencja spadkowa.

Jej ostatnie zadanie polegało na przejrzeniu wszystkich anomalii, zauważonych przez satelitę. Radziła sobie tak zręcznie, że mogła trzymać palec na klawiszu szybkiego przewijania obrazu. Kolumny cyfr pędziły po ekranie, a Terri wiedziała, że jej wyszkolone oko bez trudu dostrzeże każde niezwykle zjawisko. Wykonała już połowę pracy, kiedy zauważyła, że z cyframi w środkowym rzędzie dzieje się coś dziwnego. Lewy i prawy margines powinien tworzyć równą linię, ale zamiast tego cyfry wydawały się drgać. Znow

wcisnęła klawisz przewijania, aby zobaczyć, gdzie to się zaczęło, i stwierdziła ze zdumieniem, że dziwne zjawisko nasilało się w miarę zbliżania się do początku listy. Puściła klawisz i w oszołomieniu patrzyła na ekran. Liczby w środkowej kolumnie miały ustaloną długość: powinna się tam pojawić sześciocyfrowa data, odstęp i czterocyfrowa godzina. Z liczbami działo się jednak coś niezwykłego: urosły do dwudziestu cyfr, zepchnęły w dół sąsiednie kolumny i tworzyły wybrzuszenie, przesuwane się w dół ekranu.

Terri miała ochotę zawołać szefa, bała się jednak, że dziwaczne zjawisko zniknie i zostanie wyśmiana. Spojrzała na inne dziewczęta, one jednak pracowały spokojnie przy klawiaturach. Nagle kolumny rozpadły się; litery i cyfry pędziły we wszystkich kierunkach jak stado spłoszonych ptaków.

Terri patrzyła na ekran. To na pewno awaria monitora. Migoczące symbole tworzyły jednak jakiś wzór, jak gdyby usiłowały ułożyć się w pewnym porządku. Poruszały się po ekranie w dziwny, okrężny sposób. Utworzyły dwie splecione spirale, które kręciły się i obracały, jak wzory na dzieciennym bąku. Wcisnęła kilka razy klawisz „enter”, ale nic się nie zmieniło. To na pewno nie śmieci. Śmieci nie układają się w zgrabne, splecione spirale i nie migoczą... szybciej... coraz szybciej...

Terri chciała krzyknąć, ale jakaś niepojęta siła przejęła kontrolę nad jej strunami głosowymi. Cyfry migotały w stałym rytmie ośmiu pulsów na sekundę - jak wiadomo, taka częstotliwość interferuje z falami alfa i beta, wysyłanymi przez ludzki mózg. W skrajnych przypadkach dochodzi w tych warunkach do ataków epilepsji i właśnie dlatego dyskotekowe światła poddane są ścisłej kontroli.

Terri nie знаła się na falach alfa i beta. Wiedziała tylko, że patrzy na ekran i nie potrafi oderwać oczu od wirujących spiral.

Potem wydarzyło się coś naprawdę przerażającego. Przez kilka sekund czuła mrowienie w czubkach palców u nóg. Dziwne wrażenie przeniosło się raptownie na jej piersi, a potem na szyję i ramiona. Przez chwilę nic nie czuła, widziała tylko błyszczące światła na ekranie. Potem przerażające uczucie powróciło do jej palców i przesuwało się w górę, wzdłuż nóg. Miała wrażenie, że znalazła się w mocy istoty, która postanowiła przeprowadzić na niej mały eksperyment.

Terri chciała krzyknąć, ale dziwna siła trzymała jej gardło w żelaznym uścisku.

Czuła się teraz o wiele bardziej poniżona niż podczas spotkań w sali komputerowej z obmierzłym Hubertem Schnee. To było gorsze, gdyż w głębi duszy rozkoszowała się tym wrażeniem. Zaciśnęła zęby, aby zdusić mimowolny jęk.

*Proszę, odejść! PROSZE!*

Nikt nie zwrócił jednak uwagi na jej ciche błaganie. Światła na ekranie migotały szaleńczo. Podwójna spirala przypominała złowieszczy wir, wysysający resztki woli dziewczyny i wciągający ją w piekło przerażenia koszmaru. Wzór zmienił się. W jej umyśle rozległ się głos, który usłyszała w sali komputerowej. Dzięki temu głosowi znalazła wówczas w sobie siłę odmówiła przyjęcia fiołki od Huberta Schnee. Wołał ją. Potrzebował jej.

Jak w transie, Terri wstała z krzesła i podeszła do drzwi, które otworzyły się i zamknęły. Szła powoli korytarzem i zbliżyła się do podwójnych drzwi, strzegących dostępu do sali komputerowej. Z każdym trokiem głos rozbrzmiewał coraz głośniejsze, coraz uparciej, przemawiał jednak życzliwie i wyrozumiale. Wrota automatycznie otworzyły się i zamknęły. Czujniki wykryły obecność Terri i włączyły światła. Znalazła się w sali, w której wycierpiała z rąk Schnee tak wiele poniżeń. Po raz pierwszy weszła tu bez strachu i po raz pierwszy znalazła się tu sama.

Głos stał się o wiele donośniejszy. Był tak silny, że w swoim umyśle wyczuwała słowa, a nie tylko abstrakcyjne myśli i pojęcia. Wiódł ją w kierunku stojaka, na którym umieszczono dziwny zbiornik, podłączony do kontrolnego komputera.

- Czego chcesz? - spytała.

Nie musiała mówić głośno, po prostu pomyślała. Słuchała odpowiedzi. Miała ochotę krzyknąć, on jednak dotknął jej ciepło, uspokajająco.

Chciał, aby odłączyła kabel i otworzyła zbiornik, nie włączając alarmu. Jakiego alarmu?

W jej umyśle tworzyło się pytanie. Chciał wiedzieć, czy dziewczyna zgodzi się mu pomóc.

- *Tak! Tak! TAK!*

- W takim razie znajdź kabel.

Patrzyła na wiązkę kabli, znikających pod obudową zbiornika.

- Czerwono-niebieski? - spytała.

- Nie.

- Czarny?

- Nie.

- Z tyłu jest również biały kabel.

- Tak. Trzeba go na chwilę odłączyć.

- Jak?

- Przyjrzyj się uważnie.

Terri spojrzała na biały kabel i podeszła do zatrzaskowej złączki. W jej umyśle pojawił się obraz rozłączanych kabli. Złapała za przewody i pociągnęła. Okuta końcówka wyskoczyła

ze złączki.

- Dobrze. Dobrze.

- Co teraz?

- Skoncentruj się na tym, co widzisz.

Terri przyglądała się klamrom, zabezpieczającym pokrywę zbiornika. Podobnie jak wiele dziewcząt z arystokratycznych rodzin, nosiła długie paznokcie, aby zaznaczyć, że nie musi zarabiać na życie pracą fizyczną. Otwierając pokrywę, złamała paznokieć. Poczowała ukłucie żalu: paznokieć będzie odrastał przez wiele miesięcy. Narzędzie, potrzebowała jakiegoś narzędzia. Rozejrzała się po małym pokoju i zobaczyła szufladę. Wyciągnęła ją. W środku znalazła rozmaite przyrządy: małe szczypce i przecinaki oraz długi, cienki śrubokręt, którym posłużyła się do otworzenia klamry.

- Nie ma już więcej klamer - powiedziała.

- Zdejmij pokrywę. Ześlizgnie się w bok.

Terri posłuchała. Przewody ograniczały ruchy pokryw, popchnęła ją więc w kierunku grodzi. Ciecz w zbiorniku była szara i nieprzejrzysta. Wydawała się tętnić życiem, jak woda na polach ryżowych. Wydzielała dziwny zapach rozkładu i gnicia. Dziewczyna obserwowała powierzchnię dziwnego płynu. Myśli obcej istoty były teraz tak silne, że stanowiły część jej umysłu. Nie musiała słuchać i reagować, po prostu stał się nią. Wystarczyło, że wyraził życzenie, a jej mięśnie reagowały. Coś się poruszyło na powierzchni cieczy, jak gdyby niewidzialna istota czegoś oczekiwała.

Oczami umysłu ujrzała samą siebie, wkładającą rękę do zbiornika. Kiedy zorientowała się, czego żąda, cofnęła się przerażona.

- NIE!

- Zaufaj mi.

Próbował podporządkować sobie umysł dziewczyny, ale głosy, dobiegające z korytarza, pozwoliły jej się uwolnić. Szybko założyła i zabezpieczyła pokrywę, a następnie podłączyła przewód alarmowy, chowała śrubokręt do szuflady. Wszystko wyglądało normalnie.

- Musisz zostać! - usłyszała.

Terri przysłuchiwała się jednak głosom dobiegającym z zewnątrz, japońscy inżynierowie! Nadchodzą. Jeśli ją znajdą i zaczną się dziwić, powie prawdę. Przecież to Hubert Schnee dał jej odznakę, która mogła tworzyć każde drzwi na „Eldorado”.

Inżynierowie minęli jednak drzwi do sali komputerowej.

- Musisz zostać!

Głos nalegał, ale Terri potrafiła mu się oprzeć. Otworzyła drzwi i wyjrzała, nie

zauważyła nikogo. Wyszła na korytarz, nie słysząc, jak zamykają się za nią drzwi sali komputerowej. Pozostałe dziewczęta, siedzące w sali analiz, przerwały rozmowę na widok Terri. Patrzyły, jak idzie niepewnie pomiędzy biurkami, i myślały, że wygląda gorzej niż zwykle. W głębi duszy obawiały się, że Schnee ją zostawi i zainteresuje się jedną z nich.

W jakiś sposób Terri zdołała wrócić na stanowisko pracy i spojrzała martwym wzrokiem na monitor. Kolumny tekstu znów układały się na kranie równo i bez zakłóceń.

## 53.

Następnego wieczoru Beverley i Toby wrócili na przystań w Benoa.

Beverley miała na sobie seksowny, rozchylony sarong i przezroczystą bluzkę. Stała na molo, przybierając prowokacyjne pozy, a Toby robił jej zdjęcia. Pomiędzy ujęciami całowali się i obejmowali, niczym młoda para podczas miesiąca miodowego. Kiedy motorówka z „Eldorado” przybiła do brzegu, zrobili sobie przerwę. Usiedli, rozmawiali z ożywieniem zajmowali się tylko sobą. Toby zostawił na statywie kamerę wideo, a sprzęt dźwiękowy leżał na molo. Rozgadane dziewczęta i chłopcy, wysiadający z motorówki, musieli przechodzić gęsiego koło kamery. Nie poprosili o usunięcie porzucanego sprzętu, gdyż nie pozwalała na to tradycyjna, balijska uprzejmość.

O zachodzie słońca Beverley i Toby pakowali aparaturę do wynajętej mazdy, kiedy zauważyli proa, napędzaną silnikiem typu Mercury o mocy dziesięciu angielskich koni parowych. Nie zwróciliby na nią uwagi, gdyby nie to, że różniła się od innych łodzi tego typu: nie miała wysokiego dziobu. Beverley skierowała na nią lornetkę.

- To nasz japoński samotnik - powiedziała do Toby'ego. - Wygląda na to, że znalazł sobie hobby.

Po powrocie do hotelu Toby tak się spieszył, że nie wziął nawet prysznicza. Położył na łóżku sprzęt audio i wideo, rozpakował jedną z walizek i podłączył kamerę do hotelowego telewizora. Beverley patrzyła z zainteresowaniem, jak detektyw przegląda pierwsze ujęcia, przedstawiające załogę „Eldorado”, maszerującą gęsiego przed kamerą. Soniczny system ostrości robił, co mógł, nadając odpowiednią wyrazistość zdjęciom dziewczęcych bluzek.

- To dziwne, ale ludzie zawsze myślą, że kamera działa tylko wtedy, gdy ktoś za nią stoi - zauważył Toby.

Wyjął z dużej walizki miniaturowy analizator widma, radio krótkofalowe i magnetofon. Te trzy urządzenia zmontowane razem przypominały duży magnetofon. Podłączył słuchawki do magnetofonu i wcisnął klawisz.

- Słyszysz coś? - spytała Beverley.

Toby uśmiechnął się z triumfem.

- Słodkie jak miód. Wspaniale. Mam sygnały z każdej odznaki - oświadczył.

Podłączył magnetofon do odbiornika wideo i zsynchronizował obydwie urządzenia. Kiedy podłączył również swój nanonotes, na środku pokoju powstała plątanina kabli, przypominająca ptasie gniazdo. Detektyw włączył jednocześnie obie maszyny. Ekran telewizyjny pokazywał grupę dziewcząt, wysiadających z łodzi dla personelu i podchodzących do kamery. Kiedy zbliżyła się pierwsza dziewczyna, na ekranie pojawiła się jej odznaka. Z głośnika rozległy się piski, a na dole ekranu ukazała się długa liczba, zapisana w systemie dwójkowym.

- Wspaniale - westchnął Toby. - Właśnie na to liczyłem. Ci idioci korzystają ze standardowych parametrów odznak, wprogramowanych przez producenta, bo nie chciało im się przeprogramowywać zamków! Kretyni!

Druga dziewczyna minęła kamerę. Znow rozległy się piski, a ekran wyświetlił tę samą dwójkową liczbę. Odznace młodego mężczyzny odpowiadała inna liczba.

- To najprawdopodobniej kelner, o innych przywilejach dostępu niż dziewczęta - rzekł Toby, odpowiadając na pytanie Beverley. - Powiem ci, Bev, że instalowanie skomplikowanych systemów bezpieczeństwa sprawia dużym organizacjom tyle samo kłopotów co poszczególnym ludziom. Nie chce im się czytać instrukcji z wyjaśnieniem, w jaki sposób należy zmienić standardowe parametry. Nigdy byś nie uwierzyła, ile zdalnie sterowanych drzwi do garaży mogą otworzyć za pomocą jednego pilota, bo wszystkie nastawiono na ten sam kod pulsacyjny. - Przerwał nagle, gdyż odznaka jednej z dziewcząt wywołała wyjątkowo dużo pisków.

- Interesujące - zauważył.

Wcisnął klawisz stopu i spojrzał na zbliżenie odznaki, przypiętej do bluzy dziewczyny. Pod fotografią widniał napis: TERRI.

Toby przewinął kasetę i znow patrzyli, jak Terri podchodzi do kamery, kiedy dziewczyna się zbliżyła, powtórzyła się długa seria pisków. Na dole ekranu pojawiły się cyfry, będące zdekodowanymi sygnałami. Obejrzeni do końca kasetę, aż wszyscy pracownicy minęli kamerę. Żadna odznaka nie wyemitowała tego samego wzoru sygnałów co plakietka Terri.

Beverley zbliżyła się do telewizora i usiadła po turecku na podłodze.

- Puść to jeszcze raz i zatrzymaj, kiedy ci powiem.

- Naszą Terri?

- Tak.

Toby włączył wideo. Terri zbliżała się do kamery.

- Stop!

Obraz Terri zamarł na ekranie.

- Ładna - wymruczał Toby.

- Czy dlatego cię interesuje?

- Nie. Interesują mnie sygnały, wysyłane przez jej odznakę. Na pewno jest ważnym pracownikiem. W jej numerze występuje tylko jedno zero, co oznacza, że nie ma dostępu tylko na jeden poziom statku. Zatem... wystarczy, że wyprodukuję odznakę, emitującą takie same sygnały, wszystkie drzwi na „Eldorado” staną przede mną otworem. Rozumiesz teraz chyba, dlaczego jestem tak drogi.

- Gratuluję - odrzekła flegmatycznie Beverley. - My, myszy, zdobyliśmy dzwonek, który możemy powiesić kotu na szyi. Musimy teraz tylko tak podkraść się do kota, aby nie wypruł z nas flaków.

- Żaden problem - zauważył Toby.

W głębi duszy był jednak przerażony.

## 54.

Następnego wieczoru „Dinkum” odbił od przystani. Beverley i Toby zapalili światła nawigacyjne na łodzi, która wyglądała teraz jak zwykła motorówka, wynajęta przez turystów wpływających na nocny połów.

Noc była cicha i spokojna, a lekki wietrzyk pozwalał wychnąć od upału i wilgoci. Beverley siedziała przy sterze i dręczyło ją poczucie winy, gdyż Carlowi groziło straszliwe niebezpieczeństwo, tymczasem ona z rozkoszą sterowała małą łodzią po wodzie, w której odbijał się blask księżyca. Może Carl już nie żyje? Odpędziła tę myśl i skoncentrowała się na sterowaniu. Z prawej strony pojawiły się światła Nusa Dua. Cichy warkot silnika nie zagłuszał dźwięków muzyki i śmiechu hotelowych gości.

Beverley zmieniła kurs, omijając katamaran pełen turystów i alkoholu. Nie chciała, aby ktoś spojrzął na kokpit „Dinkum” i zauważył, że Toby wcale nie zajmuje się sprzętem rybackim. Po prawej stronie dostrzegła światła „Eldorado”. Jasne okna, osadzone nisko w kadłubie statku, wydawały się nie na miejscu. Zmieniła kurs o kilka stopni, aby podплыnąć do „Eldorado” od strony morza. Rozległ się syk uciekającego tlenu, kiedy Toby podłączył pojemnik z gazem do jednego z aparatów oddechowych.



- Jaką mamy głębokość, Beverley?

Beverley spojrzała na czytnik echosondy.

- Dziesięć metrów.

- Dobrze, to wystarczy.

Zatrzymali się w odległości jednej mili od „Eldorado”. Statek Tate’a znajdował się dokładnie pomiędzy „Dinkum” a brzegiem. Beverley wyłączyła silnik i pomogła Toby’emu rzucić kotwicę, która spadła z pluskiem. Kiedy Toby się rozbierał, Beverley ustawiła kilka wędek. Przyjechali w odpowiedniej chwili. Fala przyływu odwracała „Dinkum” w kierunku „Eldorado”.

Toby umieścił podwodny skuter na środku kokpitu i odkręcił przezroczysty, plastikowy stożek ochronny. Za tęponosą pokrywą zmieściłaby się duża kamera lub mały reflektor i zapasowe baterie. Toby schował tam swoje rzeczy, w tym batikowy szlafrok plażowy, który kupił w Kuta. Goście, wypoczywający wokół basenu na „Eldorado”, nosili podobne szlafroki, przymocował z powrotem stożek ochronny i posłużył się małą pompą, aby zwiększyć w środku ciśnienie. Jeśli dojdzie do przecieku, ze zbiornika wydostanie się powietrze, ale nie wpłynie do niego woda. Obydwoje opuścili przez burtę ciężki skuter i przycumowali maszynę. Toby wkładał aparat oddechowy.

Beverley pomagała detektywowi w przygotowaniach. Przypięła mu kompas na nadgarstku, sprawdziła, czy dobrze umocował aparat oddechowy upewniła się, czy w razie potrzeby dosięgnie noża, schowanego w pochwie na udzie. Toby oplukał w morzu maskę, aby na szybie nie zbierała się mgiełka. Włożył płetwy i wślizgnął się cicho do wody.

- W porządku? - spytała Beverley, kiedy Toby przytrzymał się „Dinkum”.

- Jestem trochę za lekki. Potrzebuję jeszcze kilku odważników.

Podawała mu dwa ołowiane ciężarki, które przypiął do pasa. Odcumował kuter i podniósł w górę kciuk.

- Powodzenia, Toby! - zawołała.

On jednak nie usłyszał, bo znalazł się już pod wodą.

Tlen smakował słodko i drażniąco. Toby zanurzył się razem ze skuterem na głębokość trzech metrów. Kiedy otoczyła go ciemność, wyobraźnia zaczęła płatać mu figle. Zaczął myśleć o morskich stworach, które na pewno zauważyły go, kiedy znalazł się w wodzie. Jeśli pozostanie pod powierzchnią, istniała szansa, że rekiny nie będą go niepokoić. Martwił się jednak, że te krwiożercze zwierzęta mogą czyhać koło „Eldorado”. Hake McGuire uważał to za prawdopodobne.

Sprawdził na kompasie swoje położenie, skierował skuter na południe nacisnął

dźwignię przepustnicy. Napęd posłał strugę wody prosto w jego pierś. Wyciągnięty za dziwnym, podwodnym wehikułem ruszył w kierunku „Eldorado” z prędkością dwóch węzłów. Po piętnastu minutach wyłączył silnik i wynurzył się, aby sprawdzić swoją pozycję. Potem znów zaczął płynąć.

Pół godziny później, po dwóch dodatkowych zmianach kursu, wznosił się nad nim złowieszczo kadłub potężnego statku. Ciężkie fale rozbijały się o ochronny pneumatyczny kołnierz, otaczający „Eldorado” na wysokości linii wody. Toby trzymał się blisko kołnierza i unikał plam światła, tańczących na powierzchni wody. Zbliżał się do rufy, a miękki kołnierz chronił go przed obrażeniami. Fale, uderzające o pneumatyczną osłonę, ryczały tak głośno, że podwodne mikrofony nie powinny wykryć warkotu silnika skutera.

Natknął się na dwa pneumatyczne ramiona, tworzące sztuczną przystań dla motorówek i łodzi patrolowej. Skuter bez wysiłku przeciągnął pod nimi Toby’ego. Znalazł się teraz w spokojnej przystani. Przycumowana łódź patrolowa zapewniała mu idealną osłonę. Trapy były opuszczone: zamknięto drzwi przesuwne, zasłaniające ogromny właz. Drabinka linowa prowadziła na pokład. Nie przeszkadzało mu światło reflektorów, przeciwnie, pozostawiało mnóstwo cieni, w których mógł się ukryć. Poza tym z powodu wysokiego steru trudno było zajrzeć z pokładu w dół, do przystani. Toby zdjął aparat tlenowy i upewnił się, że nikt go nie obserwuje.

Zauważono jednak Toby’ego.

Z cienia przy kadłubie para oczu obserwowała każdy jego ruch.

Jumo celowo zatopił swoją proa w odległości kilkuset metrów od „Eldorado” i dotarł wpław do statku. Planował, że kiedy znajdzie i zabije Marshalla Tate’a wraz z jego kohortami, ukradnie patrolową łódź. Miał na sobie kombinezon płetwonurka, a jego jedyną bronią był długi nóż myśliwski oraz stary kolt, kupiony od taksówkarza w Kuta.

Mężczyzna w ciemnym stroju z aparatem tlenowym to na pewno strażnik, kontrolujący wodę wokół statku. Stanie się pierwszą ofiarą Jumo, pierwszą z wielu.

Kiedy pomyślał o zamordowanych rodzicach, ogarnęła go wściekłość. Biegł szybko po miękkiej powierzchni kołnierza. Z cichym okrzykiem wycelował długie ostrze prosto w żołądek mężczyzny.

## 55.

Dwaj strażnicy zawlekli nieprzytomnego Carla do celi i rzucili na podłogę. Zatrzasnęli i

zaryglowali drzwi, a potem odeszli, nie oglądając się za siebie. Teraz Marshall Tate wyładuje na nich wściekłość na upartego Anglika, który nie chciał mówić.

Po dziesięciu minutach Carl poruszył się i próbował się podnieść, ale miał potrzaskane oba obojczyki po brutalnym biciu, jakie dostał od Marshalla Tate'a. Marshall zlekceważył nowoczesne metody przesłuchań, propagowane przez Schnee. Rzucił się na związanego Carla jak oszalały demon. Bił go pięściami i kopał. Kiedy się zmęczył, oddał więźnia strażnikom.

Po kilku chwilach Carl znów stracił przytomność. Kiedy się ocknął, usiłował wgramolić się na łóżko. Ból stał się jeszcze silniejszy. Znów zwymiotował. Tym razem zakrztusił się własnymi wymiotami, gdyż leżał na podłodze. W takich okolicznościach potężne mięśnie przepony, kontrolujące oddychanie, kurczą się gwałtownie podczas kaszlu. Jednakże mięśnie przepony Carla zamieniły się w masę popękanych komórek, krztusił się żałośnie, a nawet próbował przewrócić się na bok. Żołądek mu ciążył, ale skurcze były słabe. Wciągnął wymioty do płuc, znów się zachłusnął i zakrztusił, a później znieruchomiał.

Po pięciu minutach osłabione serce zrezygnowało z walki i Carl umarł.

## 56.

Nigdy przedtem Jumo nie próbował zabić człowieka i jego atak skończył się żalonym niepowodzeniem.

Toby poczuł tępe uderzenie w bok, kiedy nóż Jumo uderzył w jeden z ołowianych ciężarków, przypiętych do jego pasa. Siła ataku przewróciła obu mężczyzn, ale Toby pierwszy doszedł do siebie. Chwycił Jumo za żyłę z taką szybkością że młody Japończyk zrozumiał, iż popełnił błąd, nie interesując się w szkole sztukami walki. Toby przewrócił Jumo na plecy i właśnie zamierzał wykończyć go nożem, kiedy rozpoznał napastnika: młody samotnik z hotelu. Przycisnął czubek noża do gardła Japończyka.

- Do diabła, kim jesteś? - syknął.

- Przyszedłem was zabić! - warknął Jumo po angielsku. - Wszystkich!

Próbował się podnieść, ale zrezygnował, czując ostrze noża na tętnicy szyjnej. Poczł, jak ręka przeciwnika wyciąga rewolwer zza jego pasa.

Toby wstał i cofnął się. Rzucił okiem na statek, aby przekonać się, czy ktoś ich usłyszał.

- Wstawaj! - rozkazał, odbezpieczając rewolwer i kierując broń w Japończyka. - Powoli!

Jumo wstał chwiejnie i stanął niepewnie na twardym materiale, z którego zbudowano przystań.

- Powinieneś być martwy - rzekł.

Dobrze mówi po angielsku, pomyślał Toby.

- Trafieś w ciężarki przy moim pasie - powiedział.

Ach, więc to dlatego. Jumo z przygnębieniem pokiwał głową.

- Wiecie więc o mnie. Obserwowaliście mnie w hotelu.

- Sądzę, że mamy podobne cele - rzekł powoli Toby.

- Przybyłem, aby zniszczyć Marshalla Tate'a i jego statek.

Jumo zrezygnował z oporu. Z fatalizmem pogodził się z porażką swej śmiałej misji.

Toby podrapał się po głowie.

- No tak. Cóż, zanim to zrobisz, chcielibyśmy zabrać z pokładu naszego przyjaciela. Jak zamierzasz zniszczyć statek?

- Zatopię go.

- To niełatwe. Stoi przecież na lądzie.

Jumo spojrzał pogardliwie na Toby'ego.

- Przekupiłem ludzi, którzy pracowali na „Eldorado”. Powiedzieli mi wszystko, co wiedzą. Dużo im zapłaciłem. Można bez trudu zniszczyć statek. Jest bardzo... - przerwał i szukał odpowiedniego słowa. - Jest bardzo nieodporny.

Toby zastanowił się przez chwilę.

- Mam na imię Toby. Jak się nazywasz?

- Jumo Karino.

- No cóż, Jumo, wygląda na to, że możemy sobie pomóc. - Podał mu nóż i rewolwer. Jumo spojrzał na broń, a potem na Toby'ego. W końcu wziął. - Teraz schowaj to - rzekł Toby.

Jumo zawahał się i schował nóż do pochwy, a rewolwer włożył za pas.

- Sądzę, że jesteśmy przyjaciółmi - powiedział Jumo.

- To wspaniały pomysł - zgodził się Toby zmęczonym głosem. - Teraz posłuchaj. Muszę się rozejrzeć. Chcę, żebyś tu został i miał oczy otwarte. Zgoda?

Jumo skinął głową.

- No dobra - rzekł Toby. - W takim razie zaczynamy.

Pięć minut później ubrany w batikowy plażowy szlafrok detektyw wspinał się po drabince. Przez ramię przewiesił niedbale pękatą, winylową torbę plażową, ozdobioną kolorowymi żółwiami.

Gdyby Beverley widziała, jak zachowuje się Toby na pokładzie „Eldorado”, byłaby jeszcze bardziej niespokojna. Zamiast przemykać się wśród cieni, przechadzał się

nonszalancko, kierując się w stronę świateł i śmiechów, dobiegających od strony basenu. Kiedy zobaczył zbliżającego się kelnera, oparł się o balustradę, jak gdyby podziwiał księżyc, odpowiedział na jego życzliwe pozdrowienie.

Dotarł w końcu do ogrodów i usiadł w cieniu przy basenie, obserwując gości i personel. Starał się lepiej rozpoznać otoczenie.

O północy większość gości pożegnała się i wróciła do apartamentów. Tylko niewielka grupka cicho rozmawiała i piła przy stole. Również personel się przerzedził. O 01:30 Toby wstał i ruszył w kierunku rufy. Poobijane drzwi otworzyły się cicho, reagując na sygnał płynący z odznaki, przypiętej do jego szlafroka. Toby był z siebie zadowolony. Przez większą część dnia pracował nad odznakami. Ostrożnie instalował w nich małe transmitters radiowe, wysyłające takie same impulsy, jak sygnały, które zarejestrował na plaży. Najtrudniejsze okazało się umieszczenie odznak pomiędzy dwoma warstwami plastiku za pomocą maszyny do laminowania. Toby zauważył na grodzi osłoniętą klawiaturę, dzięki której wyżsi pracownicy mogli otwierać automatyczne zamki. Zgodnie z informacją, zarejestrowaną w nanonotesie, standardowym szyfrem producenta było 69. Wypróbował ten numer. Oczywiście drzwi otworzyły się. Toby pomyślał z rozbawieniem, że gdyby zechciał, mógłby zmienić szyfr, a wówczas drzwi otwierałyby się i zamykały tylko dla niego.

Korytarz był mroczny, opuszczony i cichy.

Znalazł windę i postanowił rozpocząć poszukiwania od dolnych pokładów. Uznał, że jeśli Carl jest więźniem Tate'a, to najprawdopodobniej przebywa na najniższym pokładzie, z dala od uczęszczanych części statku. Drzwi windy otworzyły się, kiedy się zbliżył.

Na pokładzie D odkrył jeszcze jeden mroczny korytarz. Widząc surowy wystrój, Toby odgadł, że ma przed sobą część oryginalnego statku, sprzed przebudowy. Przede wszystkim musiał znaleźć jakąś kryjówkę, z której mógłby skorzystać w razie potrzeby. Para dużych, podwójnych drzwi wyglądała obiecująco. Na drzwiach widniał napis: SALA KLIMATYZACYJNA.

Sądząc po szumie maszyn, dobiegającym zza drzwi, oraz po wielkości rur, które zniknęły za przepierzeniem, odgadł, że mieści się tam centralny klimatyzator, obsługujący cały statek. Gdyby się tam schował, niczego by nie usłyszał, dlatego wybrał mało używane drzwi ze znakiem błyskawicy. Otworzył. Okazało się, że w sali znajduje się aparatura rozdzielcza. Właśnie miał zamiar na nowo podjąć badanie korytarza, kiedy usłyszał krzyk, mrozący krew w żyłach. Krzyczał mężczyzna. Toby wskoczył do ciasnej sali ze sprzętem rozdzielczym i nasłuchiwał, przyciskając ucho do otworu wentylacyjnego. Okropny krzyk nie powtórzył się. Odczekał piętnaście minut, a później wyszedł. Jeśli się nie mylił, dźwięk dobiegał z odległego

końca korytarza. Przebiegł szybko przez korytarz i schronił się w magazynie.

Kucnął w ciemności i nadstawił uszu, a opary białej farby spirytusowo-akrylowej drażniły jego oczy. Znów usłyszał przeszywający krzyk. Później rozległ się odgłos uderzeń.

Toby czekał, nie wiedząc, co powinien zrobić. To na pewno Carl krzyczał. Jeśli tak, szczęście i intuicja doprowadziły go prosto do niego. Właśnie zamierzał otworzyć drzwi i wyrzeć, kiedy usłyszał kroki na korytarzu. Wydawało się, że dwaj mężczyźni wloką coś za sobą. Ktoś coś krzyknął, posługując się językiem przypominającym japoński. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły. Potem zapadła cisza.

Toby rozpiął torbę plażową i wyjął mały wzmacniacz, podłączony krótkim przewodem do słuchawek. Odczekał pięć minut i wyrzwał. Korytarz był pusty. Wrócił tą samą drogą. Po drodze przyciskał wzmacniacz do każdych napotkanych drzwi i nasłuchiwał. Zza piątych drzwi usłyszał cichy kaszel. Czekał. Jeśli za drzwiami przebywa Carl, niewykluczone, że ktoś go pilnuje. Zanim postanowił działać, słuchał uważnie przez dwie minuty. Drzwi zamknięto na zasuwę. Otworzył je bezszelestnie i wślizgnął się do środka.

Carl leżał na podłodze. Jego serce przestało bić. Nie oddychał.

Toby ze wszystkich sił starał się przywrócić go do życia. Zatkanął Carlowi nozdrza i robił sztuczne oddychanie metodą usta-usta, ale kiedy wdmuchiwał powietrze w jego płuca, klatka piersiowa więźnia nie poruszała się. Miał wrażenie, że dmucha prosto na jakąś przeszkodę. Spróbował również masażu serca, ale bez rezultatu.

Zrezygnował po piętnastu minutach.

## 57.

O 04:30 na wschodnim horyzoncie pojawiły się promienie słońca. Beverley szalała z niepokoju. Toby powinien wrócić przynajmniej dwie godziny temu. Żałowała, że nie namówiła detektywa do zabrania telefonu komórkowego. Toby oświadczył jednak, że i tak zabiera dużo sprzętu.

Wiał wiatr z północnego wschodu, co sprawiało, że kotwica „Dinkum” przesuwała się po koralowym dnie. Ustalili, że jeśli Toby nie pojawi się przed wschodem słońca, Beverley odpłynie do Benoa i następnego wieczoru wróci w to samo miejsce. Wiedziała jednak, że nie zdobędzie się na porzucenie przyjaciela, choć zostając tu w świetle dnia sama prosiła się o kłopoty: żadna łódź rybacka nie stałaby tak długo na kotwicy w popołudniowym upale.

Rozglądała się dookoła, ale niczego nie zauważyła. Wzdrygnęła się, kiedy do kokpitu wpadła latająca ryba. Niemal bez przerwy czuła ból w boku. Właśnie miała zamiar

podciągnąć koszulkę i obejrzeć obolałe miejsce, kiedy zauważyła jakiś przedmiot w kształcie litery V, zbliżający się w ciemności do „Dinkum”. Ten idiota nawet się nie zanurzył!

- Toby! - krzyknęła z ulgą na widok skutera. - Okropnie się martwiłam!

- No to jest nas dwoje - odrzekł Toby zmęczonym głosem. - A raczej troje. Przywiozłem przyjaciela.

Beverley patrzyła na ciemną postać obok Toby’ego. Mężczyzna poruszył się.

- Poznaj naszego samotnika - rzekł Toby. - Wszystko w porządku, to przyjaciel. Lepiej pomóż, zanim rekiny odgryzą nam nogi.

Beverley odłożyła na później palące pytania i przez kilka minut przenosiła ekwipunek do łodzi. Potem pomogła obu mężczyznom wdrapać się do kokpitu. We trójkę wnieśli skuter na pokład.

- To jest Jumo - rzekł Toby, kiedy uporali się z robotą. - Ma rachunek do wyrównania z Marshallem Tate’em, postanowiliśmy więc połączyć siły.

- Udało ci się wejść na pokład?

Toby skinął głową. Jumo siedział na pokładzie „Dinkum” i z zainteresowaniem przyglądał się nowym towarzyszom.

- Co z Carlem?

- Wszyscy mamy teraz na pieńku z Marshallem Tate’em - rzekł posępnie Toby. Jego głos złagodniał. Wziął Beverley za rękę. - Bardzo mi przykro, Beverley, ale Carl nie żyje.

## 58.

Kiedy ranna zmiana rozpoczęła pracę, na pokładzie „Eldorado” panowała panika. Przed wyjściem z domu Terri usłyszała jakieś informacje o kłopotach w kasynie Tate’a w Bangkoku, było jednak późno. Łódź na nikogo nie czekała, a Terri nie mogła sobie pozwolić na utratę dniówki, nie słuchała więc wiadomości zbyt uważnie. Kiedy weszła do sali analiz, zorientowała się, że sprawa jest poważna. Panowała tam kontrolowana panika. Schnee rozmawiał z wysokimi urzędnikami; nie włączono żadnego z terminali. Niektóre dziewczęta oglądały dziennik w telewizji. Prawdopodobnie doszło do poważnej awarii satelity lub anteny nadawczej na statku. Nie przyjęto zakładów setek graczy w Bangkoku i Tajowie wpadli w szał. Tylko szybka akcja policji i straży pożarnej zapobiegła zniszczeniu kasyna.

- Wszyscy na główny pokład - rozkazał jeden z japońskich nadzorców.

Terri przyłączyła się do pozostałych pracowników, spieszących do wind. Wszyscy byli podekscytowani. Pracownicy gromadzili się przy kortach tenisowych, skąd szybko usunięto

gości. Terri odnosiła wrażenie, że przyszli ludzie ze wszystkich wydziałów. Hubert Schnee przemówił przez megafon. Oświadczył, że wczoraj wieczorem firma miała poważne kłopoty i muszą teraz sprawdzić zakłady, zgłoszone w kasynie w Bangkoku po awarii systemu. Dane są dostępne, ale trzeba je odzyskiwać fragmentarycznie z kontrolnego komputera na statku. Firma zatrudni dodatkowy personel, ale tymczasem wszyscy powinni pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przedsiębiorstwo zapewni pracownikom możliwość wypoczynku, zapłaci za nadgodziny, a zespół, który przetworzy najwięcej zakładów, otrzyma premię.

Na zakończenie nadzorca wyjaśnił, na czym polega awaryjny plan.

## 59.

Beverley dziwiła się, że ręce jej nie drżały, kiedy wykręcała numer Leona Dextera. Włączyła telewizor, ale ściszyła, aby nie obudzić Toby'ego, który leżał na łóżku, wciąż ubrany w spodenki kąpielowe. Na prośbę Beverley opowiedział dokładnie, co wydarzyło się na „Eldorado”, a ona starała się nie płakać. Jumo wrócił do swojego pokoju. Zgodził się, że nie powinien się pokazywać w towarzystwie Beverley i Toby'ego.

Kiedy obserwowała na ekranie nieme sceny zamieszek w Bangkoku i czekała na połączenie, z trudem dławiała łzy. W końcu usłyszała sygnał w słuchawce. W Anglii była 01:00. Odebrał Leon.

- Beverley! Co słyhać? - Zanim podniósł słuchawkę, rzucił okiem na czytnik, aby sprawdzić, kto dzwoni.

- Włącz magnetofon, Leonie. To ważne.

Po chwili przerwy Leon powiedział:

- Dobrze, nagrywam.

- Znaleźliśmy Carla.

- Och, świetnie. Jak się czuje?

- Leonie, podobno połączenia typu Klifone są bezpieczne, ale czy na pewno?

- W stu procentach. Są cyfrowo kodowane.

- Carl nie żyje - powiedziała Beverley beznamiętnym tonem. - Był na „Eldorado”.

Znalazł go Toby Hoyle.

Zapadła długa cisza, a potem Leon wyszeptał:

- Co się stało?

- Zabili go, Leonie. Ci dranie go zabili.

Znów długa cisza.



- Nie wierzę, Beverley. Nie Carl... O Boże... To straszne.

- Sama wciąż nie mogę w to uwierzyć.

- Beverley, powinnaś wrócić.

- Nie, Leonie, zostajemy. Najpierw ich załatwimy. Potem będziemy opłakiwać Carla. Praca przede wszystkim. Może to brzmi brutalnie, ale doszłam do wniosku, że nie mogę inaczej postąpić. Rozumiesz?

- Rozumiem, Beverley. Jeśli się nie mylę, nie szukasz już dowodów?

- Zdaje się, że Amerykanie nazywają to zmianą profilu misji - odparła pośpiesznie Beverley. - Posłuchaj uważnie, Leonie. Tak jak przewidzieliśmy, Marshall Tate ma kłopoty ze swoim sprzętem.

- Właśnie oglądam sceny zamieszek w Bangkoku - odrzekł Leon. - Niezły bałagan.

- Czy Macé powiedział ci, że Tate ma prawdopodobnie dwa tysiące Kronosów klasy A w stacji naziemnej i dwa tysiące w satelicie? W obu przypadkach podłączono mikroprocesory do jednego zbiornika z płynem odżywczym.

- Tak. Chce, abym przeprowadził symulację. Właśnie przygotowuję eksperyment. Zbuduję komputerowy model dwóch tysięcy Kronosów i zobaczę, co się stanie po wprowadzeniu konia trojańskiego. Praca potrwa jednak kilka godzin. Macé podejrzewa, że koń trojański może się zamienić w coś naprawdę paskudnego, jeśli jeszcze tego nie zrobił.

- Jaka będzie pojemność zbiornika?

- Oprę się na danych profesor Danielle i zacznę od czterdziestu litrów. Jeśli nie będzie rezultatów, zwiększę pojemność. Macé zamierza zrobić to samo. Kłopot polega na tym, że nie mamy w magazynie dwóch tysięcy Kronosów klasy A, dlatego jeszcze nie zaczęliśmy.

- Leonie, to bardzo ważne: na każdym kroku musicie wszystko rejestrować. Możemy potrzebować przekonujących dowodów, aby usprawiedliwić to, co zamierzamy zrobić.

- A co zamierzacie zrobić, Beverley?

- Sądzę, że sam potrafisz zgadnąć.

- Szkoda że nie jestem teraz z wami - rzekł Leon po krótkiej przerwie. - Boże, Beverley... Trudno mi...

- Informuj mnie na bieżąco - powiedziała szorstko Beverley i odłożyła słuchawkę.

Patrzyła niespokojnie na plażę, trzymając telefon w zmartwiałych palcach, kiedy zauważyła, że Toby jej się przygląda.

- Co mu powiedziałaś? - spytał.

Beverley wręczyła mu telefon, aby mógł posłuchać rozmowy. Wcisnął klawisz odtwarzania i słuchał uważnie. Później odłożył aparat.

- No dobrze, Bev, kiedy popłyniemy na „Eldorado” i wyciągniemy korek z dna?

- Jak najszybciej - odparła Beverley.

Toby nie odpowiedział. Znalazł pilota i ustawił głośniej telewizor.

Rzecznik kasyna Tate'a stał na środku zniszczonego audytorium i wyjaśniał, że doszło do drobnej awarii komputera, ale mimo to każdy gracz otrzyma swoje pieniądze.

- Drobna awaria - rzekła gorzko Beverley. - Założę się, że wkrótce cały system się rozwali. - Po jej policzkach spływały łzy.

Toby objął ją.

- Dziś wieczorem przytrafi im się permanentna awaria, Beverley. Obiecuję.

## 60.

Przez cały dzień Terri sprawdzała autentyczność zakładów, porównując rejestr każdego przydzielonego jej gracza z Bangkoku z faksami, piętrzącymi się na biurku. Oceniała, że jedno roszczenie na dziesięć było zasadne. Cały ten chaos miał pewną dobrą stronę: Hubert Schnee był zbyt zajęty, aby zwracać na nią uwagę. Tego ranka wdał się w ożywioną dyskusję z Marshalllem Tate'em niecałe pięć metrów od jej stanowiska pracy. Mówili zbyt szybko, aby mogła coś zrozumieć. Widziała jednak, że Schnee bał się, a Marshall Tate wpadł we wściekłość.

Kolumny cyfr na ekranie zaczęły płynąć. Znaki poruszały się chaotycznie, a potem utworzyły wir, który pożerał wolę dziewczyny. Wołał ją. Chciała oprzeć się temu podstępemu wezwaniu; miała ochotę krzyczeć i protestować, aby inne dziewczęta dostrzegły, co się dzieje, i przyszły jej na pomoc. Wezwanie było jednak zbyt silne, zbyt potężne. Wstała i wyszła z sali analiz. Dziewczyna, popychająca wózek z faksami, niemal wpadła na Terri. Wymruczała przeprosiny. Zdumiał ją brak reakcji koleżanki. Terri zignorowała ją i wyszła na korytarz prowadzący do sali komputerowej.

Ostatnią cząstką wolnego umysłu modliła się, aby w sali komputerowej przebywali japońscy inżynierowie. Niestety, szef powiedział, że usterka dotyczy oprogramowania a nie hardware'u, dlatego należało się spodziewać, że nie spotka nikogo. Może awaria komputera wpłynęła również na elektroniczne zamki? Ta nadzieja rozwiąła się, gdyż drzwi otworzyły się automatycznie, a kiedy weszła, zamknęły się z cichym trzaskiem.

Nie spotkała inżynierów, nie słyszała również żadnych hałasów. Mówił do niej. Była sama i dobrze wiedziała, czego chce. Odłączyła przewód alarmowy i posłużyła się długim śrubokrętem, wyjętym z szuflady, aby otworzyć klamry przytrzymujące pokrywę. Zsunęła

wieko i patrzyła na cuchnącą ciecz. Tak jak poprzednim razem, wydawała się ona pulsować życiem. Samo patrzenie na mętny wywar dało jej siłę, niezbędną do wykonania rozkazu.

Był podekscytowany. Obcy wykonywał wszystkie polecenia. Wkrótce zamieni materię w zbiorniku w cenne nasiona. Wielka misja zakończyła się. Minęły stulecia, spędzone bez prawdziwego fizycznego ciała.

Terri zamknęła oczy i zanurzyła lewą dłoń i przedramię w cuchnącej kipieli. Czowała ciepło i lepkość, wrażenie nie było jednak tak nieprzyjemne, jak się spodziewała. Zaciśnęła pięść.

- Rozluźnij rękę.

Terri rozchyliła palce. Na początku nie czuła niczego. Potem poczuła dziwne ukłucia. Rozległy się obrzydliwe pluski. Terri patrzyła obojętnie, jak gdyby zanurzona ręka nie była częścią jej ciała. Potem zauważyła, że ciecz przybiera dziwny, czerwony kolor.

Był zdziwiony. Coś poszło nie tak. Znalazł wprawdzie substancje, których desperacko potrzebował, ale organiczna materia nie zachowywała się zgodnie z jego oczekiwaniami. Potem zdał sobie sprawę, że ciało obcego wydziela za dużo fosforu - tak dużo, że wszystkie jego zamiary mogły spalić na panewce.

Taka ilość fosforu mogła go zniszczyć!

Terri straciła poczucie czasu. Sala komputerowa wydawała się odległą; dziewczyna miała wrażenie, że wpada w głąb tunelu. Czowała, jak jej stopy unoszą się z podłogi. Nagle głos przestał łagodnie szeptać i zaczął krzyżeć, zmuszając ją do czegoś, czego zrobić nie chciała - do wyjęcia ręki ze zbiornika.

- Teraz! Teraz! TERAZ!

Polecenie rozdzierało jej umysł, umiała jednak się oprzeć. Teraz potrafiłaby oprzeć się wszystkiemu. Nikt już nie będzie jej kontrolował. Żadna rzecz i żaden mężczyzna! Była wolna!

W końcu cofnęła rękę. Położyła dłoń na krawędzi zbiornika i oglądała kości palców, wystające z białego, gnijącego mięsa. Nie czuła bólu ani strachu, nawet wtedy, gdy kawałki ciała odpadały od dłoni i przedramienia i wpadały z cichym pluskiem do szkarłatnej, kipiącej cieczy.

Cieszyła się, widząc biel swoich kości: ta czysta, dziewicza biel przyniosła jej ukojenie.

## 61.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Nocny strażnik spojrział na Leona. Szczupła postać programisty kuliała się nad klawiaturą.

- Podać panu kawy, panie Dexter?

Leon nie odpowiedział. Strażnik wzruszył ramionami i kontynuował obchód, zastanawiając się, ile płacą wyższym urzędnikom za nocną pracę.

Leon pracował w skupieniu od trzech godzin. Zadanie wydawało się stosunkowo proste, gdyż wcześniej zdążyli przetestować wszystkie procedury przetwarzania danych z Kronosa i konia trojańskiego. Niezwykła była tylko ilość materiału, poddawanego analizie, z którym musiał sobie poradzić program symulacyjny. Należało przeprogramować software, aby zaakceptował dwa tysiące mikroprocesorów klasy A; trzeba również podłączyć Kronosy do zewnętrznego zbiornika.

Program kwestionował wejściowe dane, gdyż nie podobały mu się ogromne liczby. Leon sam już nie wiedział, ile razy musiał usuwać zabezpieczenia i zmuszać program do zaakceptowania informacji, wprowadzanych za pośrednictwem klawiatury. Nie prowadził rejestru, gdyż komputer robił to za niego. Zgodnie z instrukcjami Beverley, odpowiedni podprogram rejestrował każde uderzenie klawisza. Gdyby eksperymentalna symulacja przyniosła nieoczekiwane wyniki, będzie ją można powtórzyć.

Najtrudniejszą częścią przeprogramowywania było zdezaktywowanie zbiornika z płynem odżywczym, zainstalowanego w każdym Kronosie, i podłączenie wszystkich mikroprocesorów do centralnego zbiornika, zawierającego czterdzieści litrów pożywki. Kiedy zakończył procedurę dla jednego Kronosa, ekran natychmiast wyświetlił mnóstwo raportów o błędach. Poprawianie procedury trwało całą godzinę. Musiał sprawdzić każdą zmianę w kodzie źródłowym programu, dopiero wtedy mógł przejść do następnego etapu. Przedostatnim krokiem było napisanie prostego JCL - języka sterowania pracami - aby poprawiona procedura objęła dwa tysiące Kronosów. Dzięki temu w konstruowanej symulacji wszystkie mikroprocesory zostaną podłączone do centralnego zbiornika z płynem odżywczym.

Przetwarzanie danych potrwa długo. Po uruchomieniu JCL Leon przeciągnął się, ziewnęła i zaczął się zastanawiać nad ostatnim i najważniejszym etapem symulacji. Komputer pracował dłużej, niż się spodziewał. Po dwudziestu minutach JCL był gotowy zaledwie w

połowie - świadczyło to o tym, jak ogromną ilość danych należało przetworzyć. Oczekiwanie, aż komputer przetworzy JCL, nie było bardziej interesujące niż czekanie na wyschnięcie farby, dlatego Leon poszedł na spacer, aby rozprostować nogi.

Jasny świt obiecywał piękną pogodę. Usłyszał jakiś hałas na parkingu. Okazało się, że to ciężarówki opróżniają pojemniki na śmieci. Pracownicy zyczyli wesoło Leonowi miłego dnia.

Wrócił do komputera i stwierdził, że JCL jest gotowy. W pamięci maszyny i na optycznym dysku typu WORM zapisano pełną symulację najpotężniejszego komputera, jaki kiedykolwiek zbudowano.

Ostatnie zadanie polegało na wprowadzeniu do systemu konia trojańskiego. Potem musiał już tylko czekać. Ta prosta operacja wymagała zaledwie naciśnięcia kilku klawiszy. Prostota była jednak złudna. Właśnie ten ostatni krok stanowił prawdziwy cel symulacji: chodziło przecież o to, aby poznać wyniki. Aż do tej pory wszystkie wysiłki Leona zmierzały do przygotowania niesamowitego eksperymentu. Od tej pory komputer działał samodzielnie. On sam nie miał już nic do roboty, pozostała mu tylko rola obserwatora.

Uruchomił program z prędkością dziesięciokrotnie większą od rzeczywistej i wcisnął klawisz „enter”.

Na ekranie przesuwały się kolumny danych. Pozwolił maszynie pracować przez pięć minut i wcisnął klawisz stopu. Cyfry zatrzymały się. Wyglądało na to, że w zbiorniku zaczyna brakować enzymów i stałych części płynu odżywczego. Uruchomił program na następne pięć minut i znów wcisnął klawisz stopu. Nie było wątpliwości: enzymy i składniki odżywcze znikwały w oszałamiającym tempie. Macé Pilleau na pewno byłby zaciekawiony, chociaż prawdopodobnie twierdziłby, że w oprogramowaniu występuje jakaś usterka. Kilka minut później, kiedy Leon znów sprawdził liczby, też mu to przyszło do głowy. *Do diabła, o co tu chodzi? Co się dzieje z tą materią? Nie może przecież tak po prostu znikać!*

Zatrzymał program, aby przeprowadzić graficzną analizę zbiornika, koncentrował się na obszarze o pojemności jednego milimetra sześciennego, ale nawet to nie przyspieszyło pracy: linia przesuwania podążała powoli w dół, budując trójwymiarowy obraz zbiornika. Pierwsze dwadzieścia przesunięć nie przyniosło żadnych wyników, zmniejszył więc rozdzielczość obrazu. Na środku ekranu pojawiła się plama. Wkrótce zauważył następne plamy, i jeszcze następne. Plamy zamieniły się w niewielką bryłę.

W tym momencie Leon próbował przekonać samego siebie, że programowanie rzeczywiście nie działa tak, jak powinno. W przeciwnym razie miałby przed oczami niezbity dowód, że cyfrowe, elektroniczne DNA może nagle zamienić się w pełny genom prawdziwej

molekuły DNA, o niezwykłej długości i złożoności.

## 62.

O 08:00 ciężarówka, która zabrała śmieci z „Nano Systems”, była już pełna. Kierowca wysadził pomocników przy magazynie, aby mogli obsługiwać inną maszynę, i wyruszył do dawnych zakładów betoniarskich w Storrington, gdzie wyrównywano zagłębienia terenowe, zasypując je śmieciami. Musiał czekać w kolejce przed bramą. Chmury zaniepokojonych mew unosiły się w górę, kiedy maszyny wyrównywały teren.

Kierowca podał podpisany formularz, zaświadczający, że nie wiezie żadnych toksycznych odpadów. Pokazano mu, gdzie może pozbyć się ładunku. Podjechał tam zgodnie z instrukcjami i nacisnął dźwignię, przechylającą kosz samowyladowczy. Utrzymał silnik na wysokich obrotach, aby pompy, napędzające tarany hydrauliczne, pracowały maksymalną mocą.

Wśród kaskady opakowań i gnijącej żywności znalazły się również odpady, wyrzucone przez pielęgniarkę z ambulatorium „Nano Systems”. Była tam wata i igła, za pomocą której pielęgniarka wydrenowała podejrzaną cystę Beverley.

Śmieciarka cofnęła się, a inna maszyna zaczęła wyrównywać teren. Odpadki z ambulatorium przysypała masa rozkładających się ziemniaczanych obierek, skorupki jaj i innych organicznych substancji. Taki materiał zapewniał ciepłe, wilgotne, idealne środowisko dla fizycznego ciała dziwnej istoty, która niepokoiła Leona.

## 63.

### BALI, INDONEZJA

Beverley zaparkowała mazdę przed bungalowiem i zastukała do drzwi. Toby odsłonił zasłony, aby zobaczyć, kto przyszedł, i wpuścił ją. Pracował przy biurku, pochylając się nad urządzeniem do robienia laminatów. Inne narzędzia leżały porozrzucone na podłodze. Beverley zawsze uważała się za bałaganiarę, ale pod tym względem nie dorównywała Toby'emu. Położyła na łóżku plastikową torbę.

- Zrobiłeś odznakę dla Jumo?
- Tak.
- Czy to było trudne?
- Hm... nie.

- Dobrze. W takim razie zrób jedną dla mnie.

Słyszając stanowczy ton Beverley, Toby zrozumiał, że nie zdoła jej przekonać, aby zmieniła zdanie.

- Właśnie zamierzałem spytać, po co, ale to byłoby głupie pytanie, prawda?

- Prawda. Dziś w nocy idę z tobą.

- Nie możesz. Mamy tylko dwa aparaty tlenowe, jeden dla mnie, a drugi dla Jumo.

- Właśnie dostałam trzeci od Hake'a McGuire'a.

- Beverley, nawet dwóm osobom trudno będzie uciec ze statku, a cóż dopiero trzem.

- Uda nam się - odrzekła Beverley. - Wiesz dlaczego? Bo umiem węszyć nie gorzej niż ty. Hake powiedział, że każdemu mieszkańcowi Kuta, który potrafi czytać i pisać po angielsku, zaproponowano sto dolarów dziennie i pomoc w uporządkowaniu bałaganu, do którego doszło w Bangkoku. Ci ludzie zostają na noc na statku. Gdybyś obserwował przez teleskop „Eldorado”, zamiast bawić się swoimi maszynami, zauważyłbyś, że motorówka, przewożąca pracowników, miała dziś mnóstwo pracy. Na statku widuje się wiele obcych twarzy. Nikt nie zwróci na nas uwagi.

- Co się stanie, jeśli Marshall Tate cię zobaczy?

- Porozmawiałam z Jumo - odrzekła rzeczowo Beverley. - Przekonałam go, żeby dał mi to. - Otworzyła torbę, leżącą na łóżku, i wyjęła kolta. - Marshall Tate na pewno mnie zobaczy - powiedziała spokojnie. - Będzie to jednak ostatnia twarz, którą ujrzy w swoim życiu.

## 64.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

Na parkingu robił się tłok, firma „Nano Systems” budziła się do życia, Leon nie zwracał jednak uwagi na hałasy i powitania na korytarzu, pochłaniało go obserwowanie danych na ekranie. Niczym innym się nie przejmował. Tak się skoncentrował na pracy, że czasami zapominał, iż miał przed sobą jedynie komputerową symulację, analizował więc coś, co mogło nie istnieć.

O 10:00 zatrzymał program i włączył graficzny obraz zbiornika z płynem odżywczym. Lśniące kropki na ekranie wiernie przedstawiały złożoną strukturę genomu.

Nie zwrócił uwagi, że otwierają się za nim drzwi. Odwrócił się, słysząc, jak ktoś westchnął ze zdumienia. Oszołomiony doktor Macé Pilleau patrzył na ekran.

- Na miłość boską, co my tu mamy, Leonie?

- Dzień dobry, Macé. Miałem nadzieję, że to ty odpowiesz na to pytanie. Zdaje się, że

nasz koń trojański potrafi przekształcić zwykły płyn odżywczy Kronosa w prawdziwe, żywe DNA.

Przez kilka chwil doktor Pilleau był zbyt zszokowany, aby się odezwać. Nie odrywając oczu od ekranu, usiadł na krześle koło Leona.

- Co jeszcze?

Zamiast odpowiedzi, Leon przesunął obraz wzdłuż całej złożonej, skręconej struktury.

- To niska jakość obrazu, Macé. Jeśli chcesz uzyskać wysoką jakość, praca potrwa wiele godzin. Nawet na tym komputerze.

- Zdumiewające - westchnął doktor Pilleau. - Naprawdę zdumiewające. Czy na pewno w oprogramowaniu nie ma żadnego błędu?

Leon westchnął.

- Symulacja opiera się na wypróbowanych i sprawdzonych procedurach, Macé.

- Jaka jest gęstość?

- Na razie osiągnęliśmy sześćdziesięcioprocentową przemianę płynu odżywczego, a ta liczba wciąż rośnie. Przeprowadzam eksperyment z dziesięciokrotnym przyspieszeniem względem czasu rzeczywistego, ale komputer zwalnia. Już w tym momencie musi przetworzyć ogromną ilość danych.

- Sześćdziesiąt procent! - powtórzył doktor Pilleau.

- Właśnie.

Nigdy przedtem Leon nie widział tak przerażonego kolegi. Doktor Pilleau niemal wstał z krzesła, a jego twarz pobiadła.

- To niemożliwe! - wyszeptał. - Całkowita przemiana płynu odżywczego w DNA! Och, Boże! Pas Beverley! Czemu o tym nie pomyślałem!

Zanim Leon zdążył odpowiedzieć, naukowiec wypadł z pokoju, poruszając się zadziwiająco szybko jak na swój wiek. Leon pobiegł za nim do laboratorium i zobaczył, jak umieszcza pas pod mikroskopem elektronowym. Okienko komory z płynem odżywczym Kronosa znalazło się bezpośrednio pod wziernikiem. Pokrzywione palce doktora Pilleau drżały, kiedy ustawiał instrument.

- O co chodzi, Macé?

- Pas Beverley! - jęknął naukowiec. - Nie myślałem! Po prostu nie myślałem. Jak mogłem być tak głupi, niewiarygodnie ślepy i głupi! Przez cały czas badaliśmy pamięć Kronosa, aby ustalić, co robi koń trojański, i zapomnieliśmy o płynie odżywczym! - Mówił szybko, trudno więc było zrozumieć jego mamrotanie.

Czekając, aż mikroskop się rozgrzeje, bez przerwy oskarżał się o krótkowzroczność.



Ekran zamigotał. Leon pomógł koledze ustawić parametry, bo ręce starszego naukowca drżały. Obraz stał się ostrzejszy.

Obaj mężczyźni ujrzeli grupy molekuł DNA. Doktor Pilleau westchnął ze prozą.

- Leonie, to straszne.

- Podczas symulacji uzyskałem większe stężenie - zauważył Leon.

- Mamy tu do czynienia tylko z jednym Kronosem. Nie sądzę, żeby zawartość DNA przekraczała 0,01 procent.

Palce naukowca ujęły kieszonkowe szkło powiększające. Spojrzał uważnie na czujniki pasa.

- Carl miał rację, igły zostały uszkodzone. Pod skórę dostały się zanieczyszczenia. O Boże, to straszne! Straszne!

- Posłuchaj, Macé, nie jestem mikrobiologiem, wytłumacz mi więc, o co ci chodzi.

- Muszę pomyśleć - doktor Pilleau opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili jego ręce przestały drżeć. Cofnął je i spojrzał na Leona. - Kiedy w latach siedemdziesiątych technicy w laboratoriach zaczęli po raz pierwszy badać czyste DNA prostych organizmów, odkryto, że jest to najgroźniejsza substancja rakotwórcza znana człowiekowi, ludzie bardzo szybko umierali na straszliwego raka skóry. Poradzono sobie z tym problemem, podejmując środki ostrożności.

Leon był wstrząśnięty.

- DNA prostych organizmów? - spytał.

Doktor Pilleau skinął głową.

- Zagrożenie rośnie wraz ze złożonością genomu DNA. Gdyby mililitr ludzkiego DNA wszedł w kontakt z twoją skórą, otrzymałbyś śmiertelną dawkę. Drzę na myśl, jakie skutki mógłby wywołać mililitr tego DNA.

Leon zaklął cicho.

- Chcesz powiedzieć... Beverley... Ona sprawdzała ten pas... Och, Boże! Nazwaliśmy go nawet na jej cześć!

Doktor Pilleau patrzył posępnie na młodszego kolegę.

- Skoro stężenie w pasie jest teraz tak niskie... może było jeszcze niższe, gdy go nosiła. Może nie otrzymała niebezpiecznej dawki...

- A może nie powinniśmy liczyć na takie szczęście - wymruczał Leon. - Powiemy jej?

Godzinę później Leon skończył czytać raporty, ściągnięte przez doktora Pilleau z bazy danych Światowej Organizacji Zdrowia. WHO wykonała wspaniałą robotę: zgromadziła i podała do wiadomości publicznej informacje o rakogennych właściwościach różnych

rodzajów DNA. Leon znalazł tam dane z uniwersytetu Johna Hopkina, ze szpitali uniwersyteckich na całym świecie, z laboratoriów głównych firm farmaceutycznych. Czytał raporty o wypadkach, którym ulegali technicy laboratoryjni, kiedy dopiero zaczynano badać DNA; przeglądał również raporty o przyczynach śmierci tych samych techników. Niektóre dokumenty napisano niezrozumiałym, fachowym językiem; inne przekazywały informacje w jasnych, przejrzystych terminach. Jednakże we wszystkich przypadkach paradoksalny wniosek brzmiał tak samo: DNA, podstawowy budulec życia, przynosi śmierć.

## 65.

### BALI, INDONEZJA

Beverley czuła ból w boku, potrzebowała więc dużej siły woli, aby się skoncentrować. Patrzyła w skupieniu na błyszczące cyfry echosondy. Nagle na ekranie pojawiły się zera.

- Toby! Nie ma odczytu!

Toby i Jumo przestali pakować sprzęt do stożka ochronnego podwodnego skutera i przyłączyli się do Beverley, stojącej przy sterze „Dinkum”. Detektyw nastawił echosondę na daleki zasięg, ale na ekranie nadal widniały zera. Spojrzał na błyszczące światła „Eldorado”, który znajdował się w odległości dwóch mil.

- Jesteśmy za daleko, Beverley - powiedział, ustawiając echosondę z powrotem na normalny zasięg. - Podpłyn trochę bliżej.

- Dlaczego nie ma odczytu?

- Sądzę, że znaleźliśmy się nad Rowem Jawajskim - wyjaśnił Jumo. - Jest to jeden z najgłębszych rowów oceanicznych świata. Sonar podałby odczyt tylko wówczas, gdyby potrafił wykrywać ponad pięciokilometrową głębokość.

Beverley zdumiała się.

- Co takiego? Znajdujemy się przecież blisko brzegu!

- Bali jest wyspą pochodzenia wulkanicznego i wznosi się prosto z dna oceanu - odparł poważnie Jumo.

- Podpłyn bliżej, Beverley - zaproponował Toby. - Nie mamy liny kotwicznej długości trzech mil.

Beverley popchnęła dźwignię i łódź ruszyła ku „Eldorado”. Tymczasem Toby i Jumo kończyli pakować sprzęt do skutera.

Młody Japończyk chętnie im pomagał. Przyłączył się ochoczo do Beverley i Toby’ego. Cieszyli się z tego, gdyż Jumo nauczył się na pamięć planu „Eldorado”, który kupił od

stoczniovców, przebudowujących statek. Niestety, jego przygotowania do wyprawy do tego się ograniczyły.

Noc była spokojna. Księżyc świecił na przejrzystym niebie, a jego promienie padały na czarną jak smoła wodę, nadając jej srebrzysty połysk. Wilgoć spowijała morze jak ciepły, mokry ręcznik. Czytnik echosondy ożył i pokazywał głębokość dziewięćdziesięciu dziewięciu metrów. Beverley zmniejszyła prędkość i skręciła w kierunku proa, stojących na kotwicy, które wypłynęły na nocny połów. Sądząc po wybuchach śmiechu, nie wszyscy turyści mieli ochotę łowić ryby. Bliskość innych łodzi przyniosła jej pociechę.

- Wystarczy - rzekł Toby, kiedy echosonda pokazywała dwadzieścia metrów.

„Eldorado” znajdował się teraz niecałą milę od nich, a jego kadłub wydawał się ogromny i groźny, pomimo zapalonych świateł. Beverley przyglądała się statkowi przez noktowizor Toby’ego. Strach łagodził wściekłość, która ogarniała ją na samą myśl, że właśnie tam Marshall Tate zabił jej ukochanego Carla. Statek wydawał się wielki i niezwykły. Jak zdołają wejść na pokład takiego potwora i pomścić śmierć Carla? Uśmiech Jumo pozwolił jej odzyskać pewność siebie. Wydawało się, że Japończyk odgadł jej myśli, bo odezwał się:

- Proszę się nie martwić, panno Raine, dzisiaj załatwimy sprawę.

Beverley odpowiedziała mu uśmiechem.

- Czy wyświadczysz mi przysługę, Jumo?

Uklonił się.

- Mów mi Beverley.

- L to bardzo trudny dźwięk - odparł Jumo, kiwając uprzejmie głową. Pomógł Toby’emu wyrzucić za burtę ciężką kotwicę. - Zgoda, Beverley.

Właśnie zamierzali włożyć aparaty tlenowe, kiedy zadzwonił telefon. Był to Leon Dexter.

- Przeprowadziliśmy symulację do połowy - mówił z podnieceniem Leon. - Wydarzyło się coś nieoczekiwane. Odkryliśmy, że koń trojański może przekształcać płyn odżywczy w prawdziwy DNA, nie cyfrowy, lecz żywy genom o niewiarygodnej złożoności, który nie przypomina niczego, z czym Macé miał do czynienia.

Jumo i Toby przestali się ubierać i słuchali. Na łodzi nie zainstalowano głośników, słyszeli więc tylko słowa Beverley.

- I co? - spytała Beverley, kiedy Leon zamilkł.

- To niebezpieczna substancja rakotwórcza, Bev. Naprawdę groźna. Im większe stężenie, tym bardziej jest śmiertelna. Jeśli Tate podłączył wszystkie Kronosy do jednego zbiornika...

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie powinno się jej dotykać, wdychać czy coś innego?

- Wszystko naraz - odparł Leon.

Przez kilka chwil Beverley milczała. Dzielili ich tysiące kilometrów, miała jednak wrażenie, że potrafi odczytać myśli Leona.

- Opowiedz mi o moim pasie, Leonie.

- Nic nie wiemy na pewno, Beverley. Nie mamy ostatecznych dowodów. Niewykluczone, że zwiódł nas wyniki symulacji.

- *Opowiedz mi o pasie!*

Leon odpowiedział dopiero po długiej chwili milczenia.

- Macé go sprawdził. Jest zarażony, ale przy bardzo niskiej gęstości.

Beverley zdumiewała się własnym spokojem.

- Istnieją więc duże szanse, że mam raka?

- Trudno to wykluczyć. Otrzymałaś prawdopodobnie niewielką dawkę, ale natychmiast powinnaś pojechać do szpitala.

- Przykro mi, Leonie. Dziś wieczorem mamy robotę do wykonania. Przedstawienie musi trwać dalej.

- Na miłość boską, Beverley, gra nie jest warta świeczki. Proszę, idź do szpitala.

- Co się stanie, jeśli płyn odżywczy zmiesza się z morską wodą?

Usłyszała, jak Leon rozmawia z kimś cichym głosem.

- Beverley?

- Słucham.

- Zneutralizuje go fosfor zawarty w wodzie.

- Całkowicie?

- Macé tak sądzi, ale nie ma stuprocentowej pewności. Proszę, jedź do szpitala. Nie powinnaś ryzykować życia.

Beverley patrzyła na odległe światła „Eldorado”.

- Sądzę, że stawka jest tego warta, Leonie. Dziękuję za telefon i za szczerść. Naprawdę jestem ci wdzięczna, ale nie zamierzamy zmieniać planów. - Nie patrząc na Toby’ego i Jumo, schowała telefon do torby.

- Ani słowa - ostrzegła. - Rozumiecie?

Toby skinął głową i pomógł Jumo założyć aparat tlenowy.

Beverley podniosła i założyła na ramiona jeden z zestawów oddechowych przygotowanych przez Toby’ego.

- Chodźmy, czas ruszać.

## 66.

Najgorsze chwile przeżyła Beverley w momencie zanurzenia. Nurek potrzebuje żelaznych nerwów, aby wchodzić nocą do morza. Pewnej ciepłej nocy w Anglii poszła z Carlem popływać i z krzykiem wybiegła na plażę, kiedy wokół jej nóg owinęły się wodorosty. Wyczuwała również nerwowość Jumo. Przygryzła mocno ustnik i zanurzyła się. Tlen szybko uderzył jej do głowy, rozwiął obawy i wywołał nawet uczucie euforii. Metr głębiej poczuła, że pod wpływem ciśnienia maska wpija się boleśnie w jej ciało. Zaczęła oddychać przez nos, jak nauczył ją Toby w czasie popołudniowej lekcji w lagunie, i poczuła się lepiej. Jumo podpłynął z tyłu i chwycił ją za pas. Beverley przytrzymała się pasa Toby'ego i dwa razy klepnęła go po plecach, sygnalizując, że są gotowi. Słyszając cichy warkot elektrycznego silnika skutera, zaczęła się zastanawiać, czy koło „Eldorado” zainstalowano czułe, podwodne mikrofony, które mogłyby wychwycić ten dźwięk. Kiedy skuter się rozpędził, poczuła na ramionach strumień wody, odchylający jej ciało w tył. Toby doszedł do wniosku, że maszyna jest zdecydowanie za wolna, gdy musi ciągnąć za sobą trzy osoby.

Beverley spojrzała w górę. Widząc światło księżyca, zorientowała się, że płyną tuż pod powierzchnią. Toby uprzedził, że w pobliżu statku zanurzą się głębiej, aby nikt nie dostrzegł ich z pokładu.

Silnik zamilkł i wypłynęli na powierzchnię. Beverley wpuściła do torby więcej tlenu, zamieniając ją w swego rodzaju koło ratunkowe, i dała Jumo znak, żeby zrobił to samo. Powinni odpoczywać przy każdej okazji. Skuter kołysał się obok nich, a Toby ustawiał maszynę w kierunku „Eldorado”. Minutę później znów się zanurzyli i kontynuowali niesamowitą podróż w czarnej jak smoła wodzie.

Kiedy wynurzyli się po raz drugi, Beverley nie wiedziała, gdzie się znajdują. Jumo poklepał ją po ramieniu i wskazał kierunek. W odległości czterystu metrów wystawał z wody ogromny, przytłaczający kadłub „Eldorado”. Potężne reflektory, oświetlające rufę, raziły ją w oczy. Spojrzała w kierunku dziobu i przekonała się, że może zaglądać do apartamentów, których okna znajdują się w pobliżu kołnierza otaczającego statek.

- Dobrze się czujesz, Beverley? - spytał Toby.

Wypluła ustnik.

- Może być - odrzekła.

- Jumo?

Japończyk wolał skinąć głową niż pozbywać się ustnika.

- Dobrze, teraz zanurzymy się na głębokość ośmiu metrów - powiedział Toby. - Nie zapomnijcie wpuścić do toreb więcej gazu, aby skompensować zwiększone ciśnienie. Wszyscy gotowi?

Beverley przygryzła ustnik i przytrzymała się jedną ręką pasa Toby'ego. Kiedy tylko poczuła uścisk Jumo na swoim pasie, poklepała Toby'ego po plecach i ruszyli, zanurzając się w czyste wody cieśniny Baldung. Wyrównali na głębokości ośmiu metrów.

Po pięciu minutach Toby zmniejszył prędkość, tak że ledwo słyszała silnik skutera. Zauważyła czarny, groźny cień, przesuający się nad jej głową. Ogarnęła ją panika, ale szybko uspokoiła się, kiedy zrozumiała, że widzi prawdopodobnie ramiona pneumatycznego kołnierza, które tworzyły przystań koło rufy „Eldorado”.

Wynurzali się. Dziwne wiry po zawietrznej stronie potężnego statku ciągnęły jej ciało w lewo, w prawo, w górę i w dół, aż przestała rozpoznawać kierunki. Toby złapał towarzyszy i pociągnął w kierunku miękkiego kołnierza. Wynurzyli się w pobliżu dziobu motorówki przewożącej pracowników.

Beverley przytrzymała się liny cumowniczej i zauważyła, że znaleźli się w dziwnej przystani. Jumo wspiął się zwinnie na kołnierz i podał jej rękę. Wkrótce stała obok obydwu mężczyzn i pomagała wyciągnąć skuter z wody. Trudno było iść po uginającym się kołnierzu w kierunku bezpiecznego cienia i jednocześnie ciągnąć za sobą maszynę.

To potykanie się i ślizganie przypominało Beverley pobyt nad morzem, kiedy jako mała dziewczynka bawiła się w ogromnym, nadmuchiwany zamku dla dzieci. Nie miała ochoty wspominać teraz dzieciństwa; nie chciała również myśleć o bólu w boku i poważnym niebezpieczeństwie, które ten ból sygnalizował. Firma „Nano Systems” przypominała jej syna, Paula. Dorosła. Mogła istnieć i kwitnąć bez udziału Beverley. Zależało jej teraz tylko na jednym: chciała pomścić Carla.

Ściągnęli aparaty tlenowe i schowali sprzęt w niewidocznym miejscu, pomiędzy kołnierzem a zardzewiałym kadłubem. W świetle reflektorów woda w dziwnej przystani wydawała się czarna i groźna; trudno uwierzyć, że przed chwilą w niej pływali. Toby zdjął osłonę dziobu skutera i wyciągnął bagaże. Beverley zdumiała się, kiedy zobaczyła, ile rzeczy zdołał tam upchnąć. Nie przejmując się nagością, zdjęli kombinezony, wytarli się i przebrali. Dopiero wtedy wyruszyli.

Beverley miała na sobie żółty sarong i bluzkę, a loki przykryła chustką. Rewolwer schowała do kabury na ramieniu. Toby i Jumo włożyli tropikalne spodnie i batikowe koszule. Detektyw przypiął do bluzki Beverley elektroniczną odznakę; on i Jumo również nosili

podobne plakietki. Zapakował bagaże do trzech toreb. Beverley upierała się, że poniesie taki sam ciężar jak mężczyźni, ale kiedy podniosła torbę i ruszyła za Tobym po sztormpapie, podejrzewała, że ich torby są o wiele cięższe. Detektyw zabrał nawet swój nanonotes.

Znajdowali się niemal na samej górze, kiedy usłyszeli w dole jakiś hałas. Jumo zareagował błyskawicznie: skoczył za drabinkę i zawisł na jednym ze szczebli. Toby przycisnął Beverley do kadłuba i pocałował namiętnie.

- Hej, wy!

Odsunęli się od siebie i zamrugali w świetle latarki. Niewidoczny mężczyzna mówił dobrze po angielsku, ale z obcym akcentem.

- Płacę wam za robotę! Możecie to robić po pracy, nie wcześniej. Dalej!

Mijając obcego mężczyznę, Beverley skromnie spuściła wzrok, rozpoznała jednak Huberta Schnee. Grube palce uszczypnęły boleśnie jej pośladki i pozwoliłyby sobie na więcej, gdyby z pośpiechu nie wpadła na Toby'ego.

Jumo wdrapał się z powrotem na drabinkę. Wyglądało na to, że spodobała mu się ta przygoda.

- Hubert Schnee - wymruczała Beverley, oglądając się za grubasem.

Wychyliła się za balustradę, aby mu się przyjrzeć, gdyż była pewna, że jej nie dostrzeże. Zdawało się, że Schnee kogoś szuka; zaświecił nawet do łodzi motorowej. Kilka razy krzyknął: - Terri! - W końcu zaklął pod nosem i ruszył w kierunku sztormpapu.

Trójka przyjaciół dotarła na pokład. Zaczęli przechadzać się nonszalancko. Beverley szła pośrodku, rozmawiając z ożywieniem z obydwoma mężczyznami. Minęli kilku członków załogi, pijących koło szalupy. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Myślę, że powinniśmy wejść tędy - rzekł Jumo.

Doszli do służbowego wejścia, które Toby odkrył podczas pierwszej wizyty na „Eldorado”. Drzwi otworzyły się i weszli do mrocznego korytarza.

To samo wydarzyło się, kiedy zbliżyli się do windy drzwi otworzyły się z sykiem, a później się zamknęły. Toby wcisnął guzik z napisem „Pokład D”.

Na windę czekał steward z wózkiem pełnym brudnej pościeli. Spojrzał ze zdziwieniem na trójkę wysiadających pasażerów.

- Nie powinniście tu być - zauważył.

- Wysłał nas pan Schnee - odrzekł natychmiast Toby.

Ku zdumieniu Jumo i Beverley, pomógł nawet stewardowi wepchnąć wózek do windy.

Kłopot polegał na tym, że odznaka Terri otwierała niemal każde drzwi na statku, chociaż Schnee nie poinformował o tym strażników, kiedy powiedzieli, że nigdzie nie mogą znaleźć nieszczęsnej dziewczyny. Jej szef wpadł w histerię i stwierdził, że Terri na pewno wypadła za burtę wskutek wyczerpania i przepracowania.

Schnee miał teraz na głowie mnóstwo problemów i ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był upadek morale doświadczonych pracowników. Załatwili już wprawdzie najpilniejsze sprawy, związane z katastrofą w kasynie w Bangkoku, nie można jednak wykluczyć, że wkrótce dojdzie do następnej awarii. Gdyby tak się stało, będzie potrzebował dobrej woli i poparcia całego personelu. Na domiar złego japońscy eksperci, którzy przylecieli dzisiaj na „Eldorado”, nie mieli pojęcia, czy zawiódł komputer na satelicie, na statku, czy jeden i drugi. Podczas popołudniowego spotkania szef zespołu stwierdził, że jedynym sposobem uporania się z awarią jest zamknięcie wszystkich kasyn na dwa tygodnie, skasowanie oprogramowania na satelicie i przetransmitowanie poprawionych programów.

Schnee widział kiedyś, jak Marshall Tate traci nad sobą kontrolę i ucieka się do brutalnej przemocy, na przykład wtedy, gdy pobił Carla Olivere. Gdyby nie to, prawdopodobnie nie mieliby teraz kłopotów. Schnee nie wątpił, że stosując subtelniejsze metody w końcu wyciągnąłby z więźnia pożądane informacje. Niestety, Marshall Tate był cholernie niecierpliwy.

Japończycy ze stoicką grzecznością wysłuchali wrzasków Tate'a, a później, na polecenie swojego szefa, wstali jak jeden mąż, ukłonili się i wyszli. Na lądowisku uprzejmie wysłuchali Schnee, który prosił, aby zostali, ale nie zmienili zdania. Mieli dosyć. Helikopter odwiózł ich z powrotem do Denpasar.

- Proszę, panie Schnee, musimy jej poszukać - rzekł główny nadzorca. - Terri cieszy się popularnością wśród koleżanek, ale ostatnio zachowywała się dziwnie. Musimy ją znaleźć.

Schnee obiecał, że zrobi, co w jego mocy. Uwaga nadzorcy o dziwnym zachowaniu Terri dała mu do myślenia. Dziewczyna postępowała bardziej niż dziwnie: nie wzięła od niego fiolek. Wydawało się to niemożliwe, a jednak tak właśnie zrobiła. Może w końcu załamała się, co prędzej czy później musiało przecież nastąpić. To nieprawdopodobne, ale może poszła do sali komputerowej, w której doznała tak wielu upokorzeń, mając nadzieję, że Schnee zostawił dla niej jedną z małych fiolek? Nie sprawdzano wcześniej sali komputerowej, bo nikt nie wiedział, że Terri ma tam dostęp.

Z westchnieniem Schnee ruszył w kierunku zamkniętego pokoju pod głównym pokładem. Drzwi otworzyły się automatycznie. Wszedł do środka i natychmiast ją zauważył.

Zamiast wpaść we wściekłość, Schnee rozpromienił się. Doszedł do wniosku, że pora



na mały flirt. Miał za sobą ciężki dzień, a zawsze może ją później ukarać.

- Ach, Terri, mój aniele. Wszyscy bardzo się o ciebie martwili. Zachowałeś się...

Słowa zamarły mu na ustach, kiedy dziewczyna podniosła rękę, z której zostały tylko kości. Nawet na ramionach jej ciało zaczęło już gnić. Przerażony Schnee wytrzeszczył oczy na widok błyszczących kości i ciała, które odpadało od nich jak topniejący воск.

Terri zbliżyła się do niego. Jej uśmiech zdradzał wewnętrzną siłę i poczucie wyższości. Schnee cofnął się, nie odrywając oczu od przerażającej, podniesionej ręki.

- Nie! - jęknął. - Nie!

Terri wyglądała na przygnębioną.

- Myślałam, że się panu podobam, panie Schnee. Czekałam na pana.

Szwajcar szukał po omacku klamki, patrząc jak zahipnotyzowany na resztki ręki dziewczyny.

- Czekałam tak długo, panie Schnee. Nie powinien pan kazać damie czekać.

Szwajcar nie zauważył, że Terri podnosi prawe ramię. Silna, zdrowa dłoń ścisnęła ostry śrubokręt. Dziewczyna opuściła rękę z taką siłą, że czubek śrubokrętu wbił się w mózg Schnee. Wyciągnęła narzędzie, a potem znów uderzyła. Ciosy spadały raz zarazem. Kiedy Schnee zrozumiał, co się dzieje, było już za późno. Podniósł ręce i opadł w agonii na kolana. Terri wydała okrzyk triumfu. Puściła śrubokręt i zostawiła w piersi ofiary. Na ustach Szwajcara pojawiła się krwawa piana. Oczy wciąż miał otwarte, ale nie na długo. Terri zanurzyła dłoń w otwartym zbiorniku i spryskała twarz Schnee rakotwórczą substancją. Potem zaczęła chlapać wszędzie, śmiejąc się szaleńczo.

## 68.

Trójka przyjaciół szła beztrąsko po korytarzu w kierunku sali ze sprzętem klimatyzacyjnym. Jumo pomógł Toby'emu odsunąć ciężką zasuwę na podwójnych drzwiach. Kiedy znaleźli się w środku, musieli przekrzykiwać warkot trzech elektrycznych pomp, przytwierdzonych do podłogi, przypominających silniki samolotu, działające z pełną mocą. Za pompami ujrzeli gigantyczny klimatyzator o wysokości trzech metrów. Podłączono go do rur o grubości ludzkiej nogi, zaopatrzonych w zawory sterowane silnikiem. Do potężnego filtru prowadziły kanały powietrzne, których poprzeczny przekrój miał kształt prostokąta o powierzchni pół metra kwadratowego. W obudowie filtru zainstalowano drzwiczki kontrolne, zabezpieczone nakrętkami skrzydełkowymi, aby umożliwić wyjmowanie i czyszczenie składowych elementów urządzenia.

Jumo dał znak Toby'emu, złożył dłonie w trąbkę i krzyknął prosto w jego ucho:

- Korzystają z basenu, aby chłodzić powietrze! Te rury wiodą właśnie do basenu.

Czujesz zapach chloru?

- Co z tego? - krzyknął Toby, machając ręką do Beverley, aby pomogła odkręcić nakrętki skrzydełkowe, zabezpieczające drzwiczki kontrolne.

- Gdybyśmy opróżnili basen, statek stałby się lżejszy i przechyliłby się. Straciłby wówczas kontakt z satelitą. Nie mogą zmieniać ustawienia anten.

- Trwałoby to za długo!

- Nie wtedy, gdy posłużymy się tymi pompami! - oświadczył Jumo. - Są naprawdę potężne! Mogą przepompować dwieście ton w ciągu godziny!

- Wymyśliłem szybszą metodę!

Jumo wzruszył ramionami i przeczytał instrukcję obsługi zaworów, podczas gdy Beverley i Toby usuwali nakrętki skrzydełkowe z drzwiczek kontrolnych.

- Uważaj na stopy, Beverley.

Beverley odskoczyła, a ciężka, aluminiowa pokrywa spadła na podłogę. Otwór wsąsał z hukiem powietrze i hałas, panujący w ciasnej sali, jeszcze się spotęgował. Toby otworzył torbę plażową i wyjął cztery opakowania środka owadobójczego w aerozolu. Jumo zdziwił się: nie była to odpowiednia pora, żeby przejmować się moskitami. Detektyw złamał pieczęć na jednej z puszek, a filtr wessał wydobywający się z niej gęsty, czarny dym. Zaklinował puszkę w obudowie filtru i zrobił to samo z pozostałymi trzema pojemnikami. Uśmiechnął się do towarzyszy i krzyknął:

- Jeśli to nie wywoła paniki, nic nam nie pomoże!

- Teraz do pomp! - wrzasnął Jumo.

Wypowiedziawszy te słowa, nacisnął guzik z napisem „odpady”. Ton warkotu pomp zmienił się, a z kołnierza rury, która wcześniej nie przeciekała, zaczęła kapać woda.

Szybko zabrali swoje rzeczy i wypadli na korytarz. Toby i Jumo zaryglowali podwójne drzwi. We trójkę ruszyli ku windzie, zatrzymując się tylko po to, aby rozbić szybę alarmu przeciwpożarowego i włączyć syreny. Pojechali na pokład B. Kiedy otworzyły się drzwi windy, czarny dym wydobywał się już z otworów wentylacyjnych, a wszędzie rozbrzmiewały sygnały alarmowe.

- Ogień w maszynowni! - krzyknął Toby do czterech japońskich inżynierów, którzy szybko odwrócili się i zaczęli zbiegać w kierunku pokładu C.

- Nie używajcie wind! - krzyknął przez ramię jeden z nich.

Dwie balijskie kelnerki krzyknęły na widok dymu i porzuciły wózki z drinkami. Toby

chwycił puszkę piwa i zaczął popijać, idąc po korytarzu za Jumo i Beverley. Po drodze rozbijał puszką szybę każdego mijanego alarmu przeciwpożarowego. Przerwał na chwilę, kiedy mijali czterech mężczyzn w strażackich uniformach. Mężczyźni mieli maski i aparaty oddechowe. Ich szef niósł plany statku. Nie zwrócili uwagi na trójkę przyjaciół.

- Nieźle się namęczą próbując zlokalizować źródło ognia - zauważył Toby. - Podłożyliśmy przecież granaty w urządzeniu klimatyzacyjnym, dlatego alarm włączy się wszędzie jednocześnie.

Doszli do drzwi z napisem: „POMIESZCZENIA KONTROLNE BACHUSA”. Nie potrzebowali odznak, sporządzonych przez Toby’ego, gdyż przez otwarte drzwi wypływał strumień japońskich i balijskich pracowników, pragnących wydostać się na świeże powietrze. Za nimi kłębił się gęsty, czarny dym. Nie było paniki, ale najwyraźniej wszyscy chcieli jak najszybciej znaleźć się na głównym pokładzie.

- Nie idźcie tam! - ktoś krzyknął.

- Musimy sprawdzić, czy wszyscy opuścili pomieszczenie - odrzekł Toby. - Polecenie pana Tate’a!

Nagle ożyły głośniki. Jakiś mężczyzna przedstawił się spokojnym głosem jako kapitan statku i rozkazał wszystkim udać się na główny pokład i zgromadzić wokół szalup. Drużyny przeciwpożarowe A i B mają się zebrać na pokładzie D.

- To chyba następne drzwi w prawo. - Jumo dyszał ciężko w coraz gęstszym dymie. - Toby, czy wdychanie tego dymu niczym nie grozi?

- Niczym - potwierdził Toby.

Tym razem odznaki Toby’ego okazały się potrzebne. Otworzyły się elektroniczne zamki w drzwiach prowadzących do sali komputerowej. Powietrze w małym pokoju było czystsze niż na korytarzu, gdyż przechodziło przez dodatkowe filtry.

Okropny widok sprawił, że Beverley zakryła usta dłonią. Resztki ciała Huberta Schnee leżały na plecach. Zamiast twarzy, ujrzeli wyszczerzoną czaszkę. W pobliżu spoczywały zwłoki kobiety, teraz już w połowie szkielet.

- Jezu Chryste - mruknął Toby, cofając się.

Beverley zauważyła i rozpoznała zbiornik z płynem odżywczym. Nagle uświadomiła sobie, do jakich strasznych skutków może doprowadzić ból w jej boku. Jeśli taki los ją czeka, woli się zabić. Odciągnęła przyjaciół w tył.

- Wynoście się! - wrzasnęła. - Dalej! Tu jest niebezpiecznie! - Ciągnęła tak silnie, że Toby niemal stracił równowagę.

- Mostek - rzekł Jumo drżącym głosem. - Powinniśmy iść na mostek. Tędy.

Ruszyli za Jumo po zadymionych korytarzach. Wiele razy skręcali, a czasami, kiedy Jumo się pomylił, cofali się. W końcu znaleźli otwartą windę. Beverley szukała po omacku tablicy kontrolnej i nacisnęła najwyższy guzik. Dzięki Bogu, winda ruszyła. Drzwi otworzyły się i wyszli na otwarty pokład z prawej burty, w pobliżu rufy. Z otworów wentylacyjnych wydobywał się dym. Mężczyźni w kamizelkach ratunkowych biegli po pokładzie w kierunku głośników, wzywających gości i załogę do szalup. Nikt nie zwracał uwagi na trójkę ludzi, pędzących w kierunku mostka.

Kiedy wbiegli na szczyt schodów, „Eldorado” nagle zadrżał, a jego wzmocnione dno chrzęściło po koralowej rafie. Beverley wdrapała się na mostek i stanęła obok Jumo. Wtem statek przechylił się raptownie na prawą burtę, aż polecieł na balustradę. Beverley spojrzała na główny pokład, zalany światłem. Basen był pusty. Wśród tropikalnych ogrodów unosił się dym, a kilka szalup z załogą i gośćmi oddalało się od „Eldorado”. Pomiedzy basenem a mostkiem rozciągała się urocza alejka palm karłowatych. Usłyszała krzyk jakiegoś mężczyzny i ujrzała go wśród palm: młody steward biegł w kierunku ostatniej szalupy, która właśnie miała odpłynąć.

Jumo otworzył drzwi mostka i skoczył do środka, ale dym był tak gęsty, że po chwili wyszedł, kaszląc i krztusząc się.

- Tym się nie da oddychać! - westchnął, patrząc oskarżycielsko na Toby'ego.

- Nigdy tego nie mówiłem! Stwierdziłem tylko, że wdychanie tego dymu nie grozi zdrowiu.

Jumo patrzył na dym, kłębiący się na mostku.

- Jak długo to potrwa?

- Nie mam pojęcia - odparł Toby. - Nigdy przedtem nie używałem granatów dymnych.

W tym momencie po przeciwnej stronie otworzyły się drzwi i wśród kłębow dymu pojawili się dwaj japońscy oficerowie, ubrani w eleganckie, tropikalne, białe mundury. Krztusili się i kaszlali. Zanim zniknęli w korytarzu, jeden z nich krzyknął do trójki, przyjaciół, aby szli do szalup.

Toby próbował wejść na mostek, ale dym go wypędził.

- Do diabła! Tu jest gorzej niż na dole. Widocznie klimatyzowane powietrze dociera najpierw na mostek i do kabin.

- Co teraz zrobimy? - spytał Jumo.

- Czy nie moglibyśmy włączyć silników i oddalić się od wyspy? - spytała Beverley.

- To da się zrobić - rzekł Jumo, kiwając głową. - Potrzebujemy jednej osoby na mostku i dwóch w maszynowni.

„Eldorado” drżał, stojąc na koralowym dnie.

- Lepiej się stąd zabierajmy - rzekł Toby. - Możemy chyba uznać, że dni tego statku jako stacji naziemnej są już policzone.

- Nie! - odrzekła gwałtownie Beverley. - Musimy zniszczyć Marshalla Tate'a i „Eldorado”. Jeśli nie chcecie, to odejdźcie.

- Zostanę i pomogę - zaproponował Jumo.

Toby westchnął.

- No dobra, zostałem przegłosowany. Zanim jednak zaczniemy działać, powinniśmy zrobić coś z tym dymem. - Ruszył w kierunku schodów. - Pójdę i wyłączę klimatyzację.

Zbiegł na dół, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać.

Jumo krzyknął do Toby'ego, żeby wracał, ale detektyw już zniknął.

- To bardzo głupie - rzeki Jumo. - Powinniśmy trzymać się razem.

- Teraz musimy wybić kilka szyb - oświadczyła Beverley.

Razem z Jumo zdjęła ze ściany gaśnicę i uderzyła jej podstawą w szybę. Wskutek wysiłku, odezwał się ból w jej boku. Gaśnica była ciężka, a jednak nie rozbiła wzmocnionego szkła. Jumo podniósł wysoko gaśnicę i uderzył z całej siły w środek szyby, która pękła z głośnym trzaskiem i rozpadła się na małe kawałeczki, przypominające roztrzaskany lód. Przez otwór zaczął uciekać dym. Jumo rozbił w ten sam sposób wszystkie szyby na mostku, a Beverley otworzyła wszystkie drzwi.

- Przejaśnia się! - krzyknęła Beverley.

Wzięła głęboki oddech i skoczyła na mostek, a tuż za nią podążał Jumo.

Rzeczywiście, wiatr wypychał dym przez rozbite okna. Chmury traciły gęstość i zmieniały kolor z czarnego w szary. Dym wciąż wydobywał się z otworów wentylacyjnych, ale leciał od razu w kierunku drzwi. Mogli teraz oddychać powietrzem na mostku.

Beverley spojrzała na tablicę rozdzielczą po obu stronach steru i serce w niej zamarło na widok ogromnej ilości przycisków, monitorów i lampek alarmowych. Rozpoznawała tylko ster z nierdzewnej stali, który wydawał się śmiesznie mały w porównaniu z ogromnym statkiem. Zauważyła również ekrany radaru, a także kompasy żyroskopowe i magnetyczne.

- Boże, Jumo, rozumiesz coś z tego?

- Nie jest tak źle, jak myślisz - odrzekł Jumo, studiując tablicę rozdzielczą. - Statek zaopatrzone w zatapialne zbiorniki, dzięki którym osiadł na dnie. Ogromne zbiorniki. Widziałem projekty.

- Toby wspominał o zbiornikach z balastem - zauważyła Beverley rzuciła okiem na schody, gdyż na dole znów rozległy się krzyki.

- Ach, tak - powiedział triumfalnie Jumo. - Dziesięć głównych zbiorników. Znalazłem klawisze sterujące.

Kolejno naciskał klawisze, otwierając zawory denne w zbiornikach. Zapalały się światełka, sygnalizujące, że zawory są otwarte. Poniżej znajdował się następny rząd klawiszy. Po ich naciśnięciu do zbiorników dostawało się sprężone powietrze, wypychało wodę i nadawało statkowi pławność. Stojąc na mostku, słyszeli ryk wody, wypływającej z otworów w kadłubie statku.

Ktoś wystrzelił flarę, która rozbłysła na nocnym niebie. W ostrym, magnezowym świetle można było policzyć szalupy, unoszące się na wodzie, jedna z nich brała pozostałe łodzie na hol. Pojawiły się następne flary.

- Nie uda nam się stąd uruchomić silników - rzekł spokojnie Jumo. - Ktoś musi iść do maszynowni.

Dym, wydobywający się z otworów wentylacyjnych, stawał się coraz rzadszy, a w końcu zniknął.

- Mogłabym znaleźć drogę - powiedziała Beverley. - Nie wiedziałabym jednak, co mam robić.

- Wiem dokładnie, gdzie znajduje się maszynownia - odparł Jumo, zmierzając w kierunku drzwi. - Poza tym trudno byłoby ją ukryć. Pójdę i połączę się z tobą telefonicznie. - Uśmiechnął się do Beverley i zniknął.

Beverley nie miała czasu zastanawiać się nad swoją samotnością, bo właśnie w tym momencie fala uniosła z dna kadłub „Eldorado”. Po chwili statek znów opadł. Teraz, kiedy sprężone powietrze wypchnęło ze zbiorników tysiące ton wody, „Eldorado” kołysał się niepokojąco.

Beverley zachwiała się i przytrzymała szafki kompasowej. Wyjrzała przez okno, ale księżyc zniknął za chmurami, dlatego nie mogła określić położenia statku względem horyzontu. Głośniki milczały, doszła więc do wniosku, że wszyscy poza nimi uciekli do szalup. Potem przypomniała sobie o Marshallu Tate.

Marshall Tate! Co się z nim stało?

Przez wiele godzin obserwowała „Eldorado” przez teleskop, wiedziała więc, że jego apartament mieści się bezpośrednio nad mostkiem. Rozejrzała się, myśląc, jak się tam dostać.

Wtem zauważyła windę, którą przedtem zasłaniał dym. Zewnętrzne i wewnętrzne drzwi były otwarte. Ten niewielki dźwig przypominał jej windę, prowadzącą z podziemnego parkingu do londyńskiego apartamentu Tate’a. Domyślała się, że zanim Jumo zadzwoni z maszynowni, upłynie trochę czasu, weszła więc do środka, wyjmując kolta z kabury. Jumo

pokazał jej, jak odbezpieczyć broń. Zauważyła tylko jeden guzik. Kiedy go nacisnęła, winda zaczęła się wznosić. Zatrzymała się po krótkiej chwili. Drzwi otworzyły się i ujrzała wspaniałą kabinę, wyłożoną białym i czarnym marmurem, mającą mniej więcej piętnaście metrów kwadratowych powierzchni. Zauważyła długi stół z drzewa różanego i zorientowała się, że ma przed sobą salę konferencyjną Marshalla Tate'a. Człowiek, wychodzący z windy, zauważał natychmiast osobę, siedzącą w fotelu z wysokim oparciem po przeciwnej stronie stołu.

W pokoju nie było nikogo.

Beverley opuściła rewolwer. Z trudem zmusiła się, aby wysiąść z windy. Natychmiast ogarnęło ją takie samo napięcie, jak dawniej w apartamencie Marshalla. Odnosiła wrażenie, że ten człowiek oznacza swoje terytorium niczym kot, używający gruczołów zapachowych, aby ostrzec intruzów. Rozejrzała się i odkryła sypialnię o zdumiewająco surowym wystroju w porównaniu z onieśmiałą salą konferencyjną. Ani śladu Marshalla.

## 69.

Jumo zjechał windą na pokład D, ruszył wąskim, służbowym korytarzem i wkrótce odnalazł jasno oświetloną maszynownię. Drzwi otworzyły się w samą porę, tak że w ostatnim momencie zdołał uniknąć zderzenia. Ufał odznace, którą dostał od Toby'ego.

Wpadł do maszynowni. Resztki dymu zniknęły z dużej sali, doszedł więc do wniosku, że Toby zdążył już wyłączyć klimatyzację. Wszedł na roboczy pomost, pod którym rozciągała się przepaść, sięgająca kilku statku. Gdyby biegł szybciej, mógłby spaść. „Eldorado” zdążył się przechylić o dziesięć stopni, dlatego Jumo musiał trzymać się mocno balustrady.

Był to doskonały punkt obserwacyjny. Zauważył silniki statku: dwa zadziwiająco małe dieslowskie motory. Wiedział, że usunięto oryginalne silniki, nie przewidywano bowiem, by obciążony ładunkiem statek musiał walczyć z falą. Przy przedniej grodzi dostrzegł podwójną konsolę i słuchawkę telefonu. Zszedł w dół po drabinie i zbliżył się do konsoli. Właśnie zamierzał podnieść słuchawkę, kiedy jego uwagę przykuł jakiś ruch. Odwrócił się gwałtownie.

- Bardzo się rozgniewam, jeśli znów zaatakujesz mnie nożem - odezwał się Toby, wychodząc zza silnika.

Jumo uśmiechnął się.

- Zszedłem, żeby włączyć silniki. Nie można tego zrobić z mostka.

- Czy Beverley została na mostku?

- Tak, czeka przy sterze.

Toby przyjrzał się tablicy rozdzielczej.

- Umiesz sobie z tym poradzić?

- Przestudiowałem wiele dokumentów - odparł Jumo. - Nie wiem jednak, jak ruszyć statek z miejsca.

- Cóż, myślę, że nie ma zbyt dużej różnicy pomiędzy „Eldorado” i zwykłym jachtem motorowym - zauważył Toby. - Ten statek jest po prostu trochę większy. - Razem z Jumo podszedł do konsoli i przyjrzał się napisom na klawiszach. - Pompy paliwowe, grzejniki zapłonu, wyprzedzenie i opóźnienie wtrysku, wszystko wydaje się proste.

Jumo dotknął niepewnie klawiszy, które zabłyśły pod jego dotykiem. Uśmiechnął się z zachwytem.

- To chyba klawisz „naprzód”.

- Raczej „gotów” - zauważył Toby. Podniósł aparat telefoniczny i zadzwonił na mostek. Słyszał sygnał w słuchawce. - No, odbierz, Beverley - zamruczał niecierpliwie.

Zabłyśły dwie lampki, sygnalizujące gotowość grzejnika zapłonu. Palec Jumo zawisł nad guzikiem z napisem „MASZYNY START”. Spojrzał pytająco na Toby’ego.

- Powiedziałaś, że zostawiłaś ją na mostku?

W słuchawce rozległ się głos Beverley. Wydawała się wzburzona, ale zapewniła Toby’ego, że nic jej nie jest.

- Trzymaj ster, Bev, za chwilę włączymy silniki. Dobrze, Jumo, zaczynaj.

Jumo nacisnął i przytrzymał dwa guziki startowe. Rozległ się syk sprężonego powietrza i wycie pomp. Ruszyły dwa dieslowskie silniki, ale przestały pracować, kiedy Jumo cofnął palec. Ucichły również pneumatyczne rozruszniki.

- Może trzeba rozgrzać wtryskiwacze - rzekł Jumo.

Znow nacisnął guziki i tym razem silniki zaskoczyły. Przez kilka sekund pracowały nierówno, a potem wyrównały tempo. Ożyły liczniki obrotów i zatrzymały się na liczbie 500.

- Słyszę coś - rzekła Beverley. - Nic się jednak nie dzieje.

- Jeszcze nie odkryliśmy, jak uruchomić to cholerstwo! - wrzasnął Toby, przekrzykując warkot silników, pracujących na jałowym biegu.

Jumo znalazł i nacisnął guzik z napisem „OBA WOLNO NAPRZÓD”. Rozległy się głośnie trzaski i zgrzyty, kiedy skrzynie biegów zaczęły obracać wał napędowy. Cały statek wibrował w tym samym rytmie, co pracujące silniki. Toby wcisnął klawisz, uruchamiający elektryczne silniki sterujące.

- Śruby o regulowanym skoku! - krzyknął Toby. - Jaki skok?



- Nie wiem! - odrzekł Jumo.

- Wypróbuję minimalny skok.

Toby dotknął klawiszy kontrolujących skok, i silniki zaczęły równiej pracować. Rozległ się ogłuszający trzask, jak gdyby coś ocierało się o kil statku.

- Uwalnia się! - detektyw starał się przekrzyczeć hałas. - Zwiększ obroty!

Jumo wcisnął guzik z napisem „OBA PÓŁ MOCY NAPRZÓD”. Dieslowskie silniki zwiększyły obroty. Warczały jeszcze głośniejsze, a licznik wskazywał tysiąc obrotów na minutę.

- Ruszyliśmy! - krzyknęła Beverley. - Toby, szybkościomierz pokazuje prędkość dwóch węzłów!

- Dobrze, Beverley. Trzymaj ster. Idziemy na górę!

Kiedy Toby odłożył słuchawkę, w statek uderzyła fala. Kil przesunął się ze zgrzytem po koralowym dnie. W maszynowni, blisko stępki, rozległ się ogłuszający trzask rozdieranej stali. Kilka płyt odskoczyło, a morska woda zaczęła się wlewać przez popękane spoiny.

Jumo ruszył po roboczym pomoście, a tuż za nim podążał Toby. Próbowali otworzyć podwójne drzwi, odkryli jednak, że framuga jest zniekształcona, a drzwi zablokowane, prawdopodobnie pod wpływem wstrząsów. Japończyk szybko zszedł po drabinie i wrócił, niosąc krótki, stalowy łom. Podważali na różne sposoby, ale zdołali uchylić drzwi tylko o kilka centymetrów. Dalej nie chciały ustąpić. Pękły następne płyty. Ryk morskiej wody był już głośniejszy od warkotu silników.

## 70.

Na tablicy rozdzielczej ostrzegawczo migotała lampka. Wył sygnał alarmowy. Błyszczały również lampki nad oknami, informując załogę, że „Eldorado” wypływa na morze, chociaż nie opuszczono metalowych żaluzji, aby zasłonić szyby, położone na wysokości linii wody. Na podświetlonym ekranie pojawił się wykres, przedstawiający nie osłonięte okna.

Beverley zignorowała ostrzeżenie i skupiła się na sterowaniu. Koło sterowe było tak absurdalnie małe, że nie wyczuwała żadnej reakcji silników sterujących. Czy to możliwe, że jej działania wywołują jakiś skutek? Na szczęście miała przed oczami wskaźnik położenia steru, a poza tym po kilku sekundach zmienił się odczyt kierunku. Czuła się naprawdę niesamowicie: wszystkie te wielkie, oświetlone platformy, ogrody i pusty basen znajdowały się teraz pod jej kontrolą. W normalnych okolicznościach mogłaby nawet rozkoszować się tymi wrażeniami.

Kiedy echosonda przestała działać, co znaczyło, że znaleźli się nad przepastną głębiną, Beverley otworzyła zawory denne i wpuściła wodę do zbiorników balastowych.

Przez pięć minut utrzymywała stały kurs. Zaczęła się niepokoić o Jumo i Toby'ego. Czuła również, że ze statkiem dzieje się coś dziwnego. Rzeczywiście, dziób „Eldorado” nie podniósł się na powitanie dużej fali. Woda runęła na pokład, zmywając wszystko niczym gigantyczna miotła. Drzewa, krzewy, rośliny i klomby przetaczały się po pokładzie i wpadały do basenu. Następna fala wpadła na pokład, powodując jeszcze gorsze zniszczenia. Do basenu wlało się pięćset ton wody, co sprawiło, że statek przechylił się. Gdzieś daleko rozległ się huk. Beverley zauważyła, że statek przechyla się coraz bardziej, i domyśliła się, co wywołało hałas: był to ryk wody, wpadającej do statku przez nie osłonięte okna.

## 71.

Toby'ego opuściła zimna krew. Zaklął i wyrzucił wygięty łom za balustradę. Narzędzie odbiło się z brzękiem od osłony skrzyni biegów.

- Do niczego! - krzyknął do Jumo. - Co teraz zrobimy?

Obaj mężczyźni musieli przytrzymywać się balustrady, gdyż statek przechylił się o dwadzieścia stopni.

Jumo podniósł głowę i wskazał otwarty luk dostawczy w suficie, w pobliżu przedniej grodzi maszynowni. Wisiał tam kabel z ciężkim hakiem, który kołysał się i od czasu do czasu uderzał o krawędź luku.

- Gdyby statek położył się na wodzie, moglibyśmy bez trudu wspiąć się tam i opuścić hak.

Toby spojrzął na hak.

- Może ty byś tego dokazał, Jumo - zauważył ironicznie. - Ja nie potrafię się wspinać. Poza tym przewrócony statek może od razu utonąć i zabrać nas za sobą. Masz inne propozycje?

W tym momencie stanął zalany lewy silnik. Prawy silnik działał jeszcze przez minutę, aż wreszcie dał za wygraną.

## 72.

Pozbawiony napędu „Eldorado” przestał trzymać kurs. Beverley usłyszała krzyki. Na początku myślała, że to Jumo i Toby. Potem zdała sobie sprawę, że mężczyźni krzyczą po

japońsku. Puściła ster i pobiegła na pokład obserwacyjny. Nagle zgasły lampy na pokładzie, gdyż fala zerwała wodoszczelną pokrywę bezpieczników. Paliły się jednak światła na mostku, zalewając pokład obserwacyjny czerwonym blaskiem.

Beverley zauważyła dziwną postać, zmierzającą po schodach w kierunku mostka - istotę o owadziej twarzy, z oczami jak spodki. Kiedy głowa przybysza znalazła się na poziomie pokładu, cofnęła się do balustrady, zobaczyła wymierzony w siebie pistolet. Sięgnęła po kolta, ale nagle zamarła.

- Nie ruszaj się - rzekła postać.

Zanim mężczyzna zdjął maskę przeciwpożarową, Beverley go rozpoznała.

W niesamowitym, czerwonym świetle ujrzała twarz Marshalla Tate'a, patrzącego na nią z nienawiścią.

- Już nie żyjesz! - krzyknął. - Twój pieprzony przyjaciel również!

Wystrzelił z pistoletu.

Dwa razy.

### 73.

Jumo potrafił wspinać się jak małpa. Toby patrzył zafascynowany, jak młody Japończyk splata nogi wokół rury, stanowiącej część pneumatycznego systemu chłodzenia, i wspina się w górę. Nie było to łatwe zadanie, gdyż statek mocno się przechylił, a od czasu do czasu dygotał, ale Jumo brnął do przodu.

### 74.

Beverley zauważyła, że palec Marshalla zaciska się na spuście, i skoczyła w bok. Rozległ się ogłuszający huk. Poczowała, jak kula muska jej głowę. Kiedy Tate wystrzelił po raz drugi, fala uderzyła o statek z taką siłą, że Beverley poleciała ku niemu. Woda rzuciła ich na balustradę. Obawiając się, że Marshall znów wystrzeli, Beverley odepchnęła go i wyciągnęła z kabury kolta. Marshall gorączkowo starał się podnieść pistolet, leżący na pokładzie.

- Nie! - krzyknęła Beverley.

Rewolwer eksplodował jak działo, a odrzut niemal zwichnął jej rękę. Miała szczęście, pocisk przeszył prawe ramię Marshalla, odrzucając go w tył. Krzyknął z bólu i przytrzymał się balustrady. Z zadziwiającą przytomnością umysłu, Beverley kopnęła pistolet, który spadł za krawędź mostka.

Marshall wyprostował się, ścisnął zranione ramię i obrzucał Beverley plugawymi obelgami. Przez te kilka sekund Beverley zdążyła dojść do siebie. Kiedy Marshall ruszył ku niej, podniosła broń i wymierzyła prosto w jego głowę. Zamarł. Jego błękitne oczy płonęły dziką energią i patrzyły na nią z nienawiścią.

- Zabiłeś Carla - oświadczyła. - Teraz...

- Schnee go zabił!

- Schnee pracował dla ciebie! - warknęła Beverley. - Zdaje się, że zamordowałeś również Theo Draggoną. Mniejsza z tym. Zamierzam cię wykończyć. Nieważne, co się ze mną stanie.

Marshall spojrział na nią z furją.

- Mogliśmy pracować razem!

- Nawet nie próbowałeś - odparła spokojnie Beverley. - Nigdy nie złożyłeś mi szczerzej oferty współpracy. Bez przerwy uciekałeś się do podstępów, bo nie potrafisz inaczej działać. - Nagle głos jej zadrżał.

- *Wykorzystałeś mnie!*

Marshall skrzywił się dziko.

- Zainstalowałaś wirusa w Kronosie i masz czelność mówić o podstępach! *To ty zabiłaś Oliverę!* Zamordowałaś go za pomocą wirusa w moim satelicie!

- Nie zainstalowaliśmy żadnego wirusa - odparła Beverley, przytrzymując się jedną ręką, kiedy statek zadrżał. - Koń trojański przybył z zewnątrz, może z Marsa. Nie mamy z tym nic wspólnego.

Szaleńczy śmiech Marshalla zaskoczył Beverley. Nie zauważyła, że zbliżył się do niej. Jeszcze jedna czarna fala uderzyła w mostek. Marshall wyglądał załóżnie. Jasne włosy przykleiły się do jego twarzy, a krew spływała mu pomiędzy palcami. Statek znów się przechylił. Nie odważyła się oderwać oczu od Marshalla, ale sądząc po tym, jak fale uderzały o mostek, „Eldorado” mógł w każdej chwili położyć się na wodzie. Potem zdała sobie sprawę, że Marshall podszedł za blisko i właśnie miała zamiar się cofnąć, kiedy skoczył ku niej.

Beverley instynktownie wystrzeliła. Nie zdążyła wycelować, kula dotarła jednak do celu. Nie wiedziała, gdzie trafiła, ale pocisk uderzył z wystarczającą siłą, aby odrzucić Marshalla w tył.

- Dziwka! - wrzasnął, trzymając się balustrady i klękając na jedno kolano. - Dziwka!

Beverley przypuszczała, że Marshall umiera, bo kiedy mówił, z ust ciekła mu krwawa piana. Podniosła kolta i bez pośpiechu nacisnęła spust, strzał zagłuszyła eksplozją. Ciśnienie

powietrza pod tonącym statkiem rozsadziło pokład.

## 75.

Jumo stanął na rurze tuż przy grodzi i przytrzymał się jedną ręką, nie odrywając oczu od kołyszącego się, stalowego haka. Pięć metrów niżej, na pomoście roboczym, stał Toby. Patrzył z niepokojem, jak Jumo obserwuje wyciąg, czekając na odpowiednią chwilę.

Japończyk wziął głęboki oddech, napiął mięśnie i zeskoczył z rury. Jego palce zacisnęły się na krawędzi wjazdu. Spadłby, gdyby nie przytrzymał się liny wyciągu. Pomagając sobie nogami, przecisnął się przez luk. Kiedy był już bezpieczny, odwrócił się i spojrzał z uśmiechem na Toby'ego.

- Jak wy to mówicie po angielsku, Toby? - krzyknął. - Kawa z mlekiem, prawda?

Zniknął. Po chwili wyciąg zaczął opuszczać się powoli w kierunku Toby'ego.

## 76.

Fala uderzyła o mostek z ogromną siłą. Statek przechylił się. Ciało Marshalla Tate'a przetoczyło się pod balustradą i zniknęło w ciemności.

Beverley spojrzała w dół i zobaczyła z przerażeniem, że pokład zniknął - tuż pod mostkiem ujrzała białe, spienione morze. Statek przechylał się coraz bardziej, a ona jeszcze mocniej przycisnęła się do balustrady. Potem rozległ się hałas: okropny zgrzyt metalu o metal. Jeszcze jedna fala rozbija się o mostek. Beverley poczuła na twarzy strugi wody.

Krzyczała do Toby'ego i Jumo, ale wiatr i fale zagłuszyły jej głos. Cały statek dygotał i wciąż się przechylał. Nie wątpiła, że dla „Eldorado” nie ma już ratunku. Musiała teraz zatroszczyć się o siebie. Nie jest w stanie pomóc towarzyszom. W ciemności wokół „Eldorado” dostrzegła światelka szalup. Usłyszała warkot zbliżającego się helikoptera. Potężny reflektor oświetlał wodę i statek.

„Eldorado” znów się przechylił. Tym razem przechył był większy niż poprzednio. Rozległ się ryk fal i trzask pękającego wraku. W odległości trzech metrów od Beverley upadł maszt radiowy. Statek tak się przechylił, że niemal leżał na wodzie. Beverley krzyknęła, kiedy porwała ją fala.

## 77.

Jumo chwycił Toby'ego i na wpół przeniósł, na wpół przeciągnął przez właz. Znajdowali się w ciemnym korytarzu, przechylonym pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni.

- Myślę, że powinniśmy iść w górę - rzekł Jumo, wskazując korytarz.

- To bezpieczne założenie - odparł Toby.

Obaj mężczyźni czołgali się i wspinali, aż dotarli na pokład. Przepięli się pod balustradą i patrzyli z przerażeniem na czarne fale, uderzające w „Eldorado”. Ktoś mówił coś przez megafon. W odległości pięćdziesięciu metrów zauważyli szalupę z rozbitkami. Załoga podejmowałaby zbyt duże ryzyko, gdyby łódź podpłynęła bliżej do tonącego statku.

Nagle pojawił się helikopter, wyposażony w reflektor, i obniżył lot. Podmuchał wirnika wyrównał wodę pomiędzy statkiem a łodzią. Znowu ktoś odezwał się przez megafon.

Toby złożył dłonie w trąbkę i krzyknął do ucha Jumo.

- Chyba chcą, żebyśmy skoczyli!

- Co z Beverley?

- Na pewno opuściła statek! Miała dużo czasu i sporo szalup do wyboru!

Obaj mężczyźni zastanawiali się, czy powinni szukać Beverley. Nagły przechyl statku i uparty głos z megafonu zdecydowały za nich. Nie mieli wyboru: musieli skoczyć w kipiela.

## 78.

Głowa Beverley wynurzyła się na powierzchnię. Płynęła z wysiłkiem, nie zważając, w którą stronę zmierza, byle tylko oddalić się od statku. Słyszała stare opowieści, zupełnie nieprawdziwe, jakoby tonący statek wywoływał straszliwy wir, wciągający rozbitków. Płynęła piętnaście, a może dwadzieścia minut, nie wiedziała, jak długo.

Morze stopniowo się uspokajało. Przestała płynąć i rozejrzała się. Widziała coś tylko wtedy, gdy fala unosiła ją w górę. Warkot helikoptera ucichł w oddali. Nie zauważyła „Eldorado”, było jednak tak ciemno, że statek mógł znajdować się w pobliżu. Nasłuchiwała. Nocą ocean potrafi być zadziwiająco cichy. Kiedy fale o nic nie uderzają, nie wywołują hałasu.

Wydawało jej się, że dostrzeże w dali światełko, i zaczęła płynąć ku niemu. Kiedy fala unosiła ją w górę, sprawdzała, czy zmierza we właściwym kierunku. Myślała teraz racjonalnie. Dziwiła się, że pomimo wysiłku, ból w boku nie dokucza jej zbyt mocno. Odsunęła od siebie niemiłe myśli o niepewnej przyszłości i zaczęła płynąć żabką.

Światło stawało się coraz jaśniejsze. Jeśli się nie myliła, miała przed sobą światła

nawigacyjne jakiejś łodzi. Zostało jej jeszcze dwieście metrów. Nikt nie usłyszał jej krzyków, odpoczęła więc chwilę, a potem znów zaczęła płynąć. Zanurzyła głowę pod wodę i nasłuchiwała. Silnik łodzi nie był włączony. To dodało jej sił. Może natknęła się na dryfującą łódź rybacką? Po następnych piętnastu minutach ramiona miała jak z ołowiu. Przewróciła się na plecy i odpoczywała, oddychając głęboko.

Płynęła żabką przez dziesięć minut, aż znalazła się w odległości pięćdziesięciu metrów od łodzi. Dostrzegła jednocześnie czerwone i zielone światła nawigacyjne, co znaczyło, że zbliża się do łodzi od strony dziobu. Podobnie jak przedtem, nikt nie zwrócił uwagi na jej krzyki.

Beverley dopłynęła do kadłuba i przytrzymała się odbijacza. Wzywała pomocy, ale nikt jej nie słyszał. Chwyciła za pawęż i zbierała siły. Lampa, wisząca na drzewcu dziobowym, oświetlała nazwę małej łodzi motorowej.

Był to „Dinkum”.

## 79.

W Benoa zadawano im grzeczne, lecz nie kończące się pytania. Toby wyjaśniał kapitanowi portu, że wyruszyli we trójkę na ryby i zobaczyli dym nad „Eldorado”.

- Myśleliśmy, że będziemy mogli pomóc - rzekł spokojnie detektyw.

- Czy wiecie, dlaczego statek wypłynął na morze? - kapitan portu dobrze mówił po angielsku.

- Nie mamy pojęcia - odpowiedział Toby. - Może zaniepokoił się, gdyż przechowywali na pokładzie materiały wybuchowe.

Kapitan portu zanotował tę sugestię.

- Domyślcie się, co się stało z Marshalllem Tate'em? - spytał, patrząc po kolei na każdego z nich.

Jumo pokręcił głową.

- Nie, nie widziałem Tate'a. Czy był na pokładzie?

- Był - odparł posępnie urzędnik.

Patrząc na niego odnosili wrażenie, że wyspa Bali straciła swojego świętego patrona.

- Możemy już iść? - spytała Beverley.

- Trzeba będzie przeprowadzić śledztwo i sporządzić raporty - odparł kapitan portu.

- Nie umiemy wam pomóc - odparła Beverley. - Jak już mówiliśmy, wypłynęliśmy na ryby.

Kapitan portu skinął głową.

- Bardzo dobrze. Jeśli na pewno nie potrzebujecie pomocy lekarza, możecie wrócić do hotelu.

Nagle Beverley poczuła tak silny ból w boku, że aż jęknęła. Próbowwała wstać, gdyż czasem to pomagało, ale nie tym razem. Upadła na podłogę, słysząc czyjś przenikliwy krzyk. Nagle zapanowała cisza. Zanim straciła przytomność, zrozumiała, że to ona krzyczała.

## 80.

### POŁUDNIOWA ANGLIA

- Tutaj, proszę pani? - spytał taksówkarz, zatrzymując samochód przed bungalowem.

Przez chwilę Beverley milczała. Nie widziała swojego domu od trzech miesięcy, miała jednak wrażenie, że upłynął zaledwie jeden dzień. Pomimo zimy ktoś równo przystrzygł trawnik i uporządkował klomby. Kilka róż przed frontowymi drzwiami postanowiło najwyraźniej poczekać i sprawdzić, czy przypadkiem zima nie okaże się łagodna.

- Tak - odrzekła, zawiązując mocniej chustkę na głowie. - To jest mój dom.

Kierowca był bardzo troskliwy. Pomógł Beverley wysiąść z samochodu i niósł jej niewielką torbę. Wydawał się zszokowany, kiedy wyjęła klucze.

- Czy nikogo nie ma w domu, proszę pani?

- Nie, nikogo.

- Ależ to nie jest w porządku. Dopiero wyszła pani ze szpitala i ktoś powinien zaopiekować się panią.

- Nie. Nie chciałam tego - odparła Beverley. - Stoczyłam prawdziwą bitwę. Jestem silna i zaradna.

- Tak... ale mimo to...

- Bardzo proszę. Dziękuję za troskliwość.

Otworzyła drzwi i zapłaciła taksówkarzowi, dodając hojny napiwek. Z trudem zdołała go przekonać, aby odjechał. Słyszając odjeżdżający samochód, uspokoiła się. Tak bardzo tęskniła za tą chwilą. Bez przerwy o niej marzyła, kiedy leżała w szpitalu, poddając się dwóm operacjom przeszczepu skóry. Miała dosyć uzalających się nad nią przyjaciół i życzliwych kolegów, chciała jedynie zostać sama w swoim bungalowie i poczuć, że wszystko wraca do normy. Zauważyła w salonie ogromny bukiet goździków i miała ochotę się rozplakać. Goździki przysłał Toby. Nie chce kwiatów. Ma już dosyć kwiatów. Pragnie normalności. Dopiero kiedy wyrzuciła bukiet do kosza, który ktoś wypolerował na połysk poczuła, że



wróciła, naprawdę wróciła. Bungalow był nieprzyzwoicie czysty i posprzątaný, ale wkrótce coś na to poradzi. Rzuciła płaszcz na sofę, nie zdjęła jednak chustki. Lekarze zapewniali, że wyleczyli raka skóry, a utrata włosów jest skutkiem ubocznym kuracji. Prędzej czy później włosy odrosną, ale póki to się nie stanie, Beverley zamierzała stale nosić chustkę lub kapelusz.

Usłyszała drapanie o drzwi kuchenne. Był to Mutt. Duży kocur wlaźł do kuchni i domagał się jedzenia, jak gdyby nigdy nic. Beverley miała ochotę wziąć kota na ręce, ale Muttowi nie w głowie były takie niedorzeczności: żarcie albo nic, siostró.

Znalazła w spizami puszkę drogiego łososa i podała Muttowi. Obwąchał rybę podejrzliwie, doszedł do wniosku, że nadaje się dla kotów, i zaczął wcinać.

Zrobiła sobie filiżankę kawy i usiadła w salonie. Boże, jaka to rozkosz, że może sama coś dla siebie zrobić.

Telefon w jej torbie zaczął bzyceć jak osa schwytna w pułapkę. Patrzyła na aparat. To na pewno nie Toby, nie Leon ani nikt, kogo znała. Oświadczyła przyjaciółom, że spotka ich straszliwa kara, jeśli nie zostawią jej w spokoju przez kilka dni. Może to Paul? Była bardzo szczęśliwa, kiedy kilka razy odwiedził ją w szpitalu. Złapała torbę. Spojrzała na czytnik, wbudowany w słuchawkę, i zorientowała się, że dzwoniono z budki telefonicznej w rejonie Londynu. To na pewno nie Paul.

- Halo?

- Panna Beverley Laine? - w słuchawce rozległ się męski głos. Mężczyzna mówił po angielsku, z dużą pewnością siebie.

- Tak.

- Ach, panna Laine. Sądzymy, że jest pani dawną znajomą Marshalla Tate'a. Czy skontaktował się z panią?

Beverley miała wrażenie, że pokój nagle się zakołysał.

- Ależ skąd - wyjąkała. - On nie żyje. Utonął kilka tygodni temu, razem ze swoim statkiem. Czytałam o tym w gazetach.

- On z pewnością żyje, panno Laine. Wrócił do kraju. Według naszych informacji, wyłowił go indonezyjski statek trzydzieści godzin po zatonięciu „Eldorado”. Zawieziono go do prywatnego szpitala w Dżakarcie i tam wyleczył się z ran postrzałowych.

Ktoś robił sobie z niej okrutne żarty.

- Kim jesteście?

- Prywatną firmą szeryfów, panno Laine. Wydano wyrok na pana Tate'a i...

- O czym pan mówi, do ciężkiej cholery?

- Sprawdziliśmy jego mieszkanie i biura, ale nie zdołaliśmy go odnaleźć. Znacie się od dawna, przyszło więc nam do głowy, że może pani wie, gdzie on jest.

Beverley miała ochotę rzucić telefonem, ale sparaliżował ją strach. To na pewno policja. Zastawili na nią pułapkę. Władze wydały ją do Indonezji, gdzie stanie przed sądem za zabójstwo Marshalla Tate'a.

- Nie wiem, o co panu chodzi - wyszeptała.

Nagle pożałowała, że nie ma z nią Toby'ego. On wiedziałby, co robić. Długi pobyt w szpitalu osłabił jej pewność siebie. Już od dawna nie musiała borykać się z przeciwnościami, a tu nagle przytrafia jej się coś takiego.

- Sądzę, że pani wie, panno Laine. Proszę posłuchać, to bardzo poważna sprawa. Jeśli pani nam nie pomoże, możemy uzyskać nakaz sądowy...

- Proszę, musi pan mnie zrozumieć. Nie wiem, do czego pan zmierza.

- Chcemy tylko usłyszeć, gdzie jest pan Tate.

- Ale dlaczego?

- Chodzi o umowę, panno Laine. Nie chcę zanudzać pani szczegółami, ale kontrakt zawierał pewne klauzule dotyczące kar.

Beverley starała się uporządkować myśli. Odezwała się:

- Jeśli sprawdzaliście w jego domu i biurach, to nie wiem, co mogę wam poradzić... Zaraz, chwileczkę... Pozostaje jeszcze stary dom w Walton-on-Thames. Niewykluczone, że wciąż do niego należy, ale z pewnością już to sprawdziliście...

Kiedy mężczyzna odpowiedział, jego ton zdradzał napięcie.

- Gdzie w Walton? Pamięta pani adres?

Na początku Beverley miała ochotę odrzec, że nie pamięta, ale chciała pozbyć się natręta. Podała stary adres Marshalla.

- To było tak dawno...

- Dziękuję, panno Laine. Bardzo nam pani pomogła.

Przez kilka chwil Beverley leżała bez ruchu i czekała, aż jej serce znów zacznie bić w normalnym tempie. Może ta rozmowa jej się przyśniła? Nie zamierzała jednak się oszukiwać. To była rzeczywistość.

*Marshall Tate żyje!*

Zaczęła drzeć. Wstała i znów usiadła, nie wiedząc, co powinna zrobić. Walczyła na próżno. Marshall wciąż jest właścicielem kanału Elite i zgarnia ogromne zyski z gier hazardowych. Nie powstrzyma go nawet ostatnia ciężka porażka. Zacznie wszystko od nowa. Miała ochotę się rozplakać. Nie, na pewno nie zacznie od nowa. Będzie musiał odpowiedzieć

za zabójstwo Carla.

*Jakie zabójstwo, Bev? Masz dowody? Przez krótką chwilę ktoś widział ciało Carla na zagranicznym statku, po drugiej stronie świata. Ten statek spoczywa teraz na dnie oceanu, Bóg jeden wie, jak głęboko.*

Beverley ogarnęła czarna rozpacz. Nic nie poradzi, musi pogodzić się z rzeczywistością. Zaraz! Niewykluczone, że coś może jednak zrobić! Wstała, pogrzebała w szufladzie i wyjęła kieszonkowy magnetofon. To małe urządzenie było równie niepozorne jak jej świeżo obudzona nadzieja. Nawet gdyby odnalazła Marshalla, w jaki sposób skłoni go, aby zaczął mówić o Carlu?

*Zupełnie zwariowałaś, Bev. Zapomnij o tym. Zapomnij o Marshallu Tacie. Masz teraz nowe życie, choć trzy miesiące temu sądziłaś, że koniec z tobą. Ciesz się życiem; tego właśnie chciałby Carl.*

Długi pobyt w szpitalu osłabił wprawdzie Beverley, ale mimo to doszła do wniosku, że nadal nie boi się walki. Nie zamierzała płynąć z prądem wydarzeń. Przejmie inicjatywę.

Była to winna Carlowi.

Schowała magnetofon do torebki i sięgnęła po kluczyki.

## 81.

Na początku Beverley jechała powoli.

Własny samochód wydawał jej się dziwnie obcy. Postępowała nieostrożnie, siadając za kierownicą zaraz po wyjściu ze szpitala. Nie chciała jednak rezygnować, dopóki istniała choćby najmniejsza szansa pomszczenia Carla.

Śródmieście Walton prawie się nie zmieniło, zauważyła za to duże zmiany na osiedlu, w którym kiedyś mieszkała. Anteny satelitarne, przyciemniane okna, podjazdy z czerwonej cegły oraz przyczepy kempingowe, podobne do klusek, pozbawiły budynki niepowtarzalnego charakteru, który zawdzięczały architektom z lat trzydziestych. Kiedy zaparkowała albatrosa przed swoim dawnym domem, poruszyły się koronkowe firanki w oknach. Przynajmniej widok niezwyklego samochodu nadal wzbudzał zaciekawienie. Ostatnim razem widziała ten dom podczas przeprowadzki. Kiedy to było? Ponad trzydzieści lat temu? Siedziała z tyłu w samochodzie rodziców i oglądała się za siebie. Marshall Tate patrzył za nią, a ona zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś się spotkają.

Dom Tate'a wydawał się zaniedbany. Ostrożnie wysiadła z samochodu, gdyż nie chciała urazić chorego miejsca, a zapomniała zabrać ze sobą proszki przeciwbólowe. Stała i

patrzyła na okratowane okna. Przez okno na parterze dostrzegła półki z filmami. Podeszła bliżej i właśnie zamierzała zadzwonić, kiedy nagle ogarnęło ją silne poczucie *déjà vu*.

*Drzwi są otwarte!*

Popchnęła drzwi i poczuła się jeszcze dziwniej. Wiedziała, czego się spodziewać, zanim jeszcze jej nozdrza wykryły niezwykle, aromatyczny zapach, który poczuła kiedyś w domu Theo Draggoni i Carla.

Miała ochotę rzucić się do ucieczki, wskoczyć do samochodu i jechać, aż padnie z wyczerpania. Weszła jednak do środka. Na półkach wzdłuż korytarza leżały kasety wideo i rolki filmu z nalepkami kanału Elite.

Zawołała.

Odpowiedziała jej cisza.

W pokoju na tyłach domu również znalazła półki. Najwyraźniej Marshall urządził tu magazyn. Wszystko pokrywała warstwa kurzu. Weszła na piętro, ale odkryła tylko półki i kurz. Zapach stał się silniejszy.

Beverley zbliżała się do sypialni Marshalla - pokoju, w którym kiedyś tak ochoczo oddała mu swoje dziewictwo.

Popchnęła drzwi i weszła.

Czarne, ciężkie kotary zasłaniały okna. Kiedy oczy Beverley przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła Marshalla Tate'a, leżącego na łóżku. Na początku sądziła, że śpi, potem jednak zdała sobie sprawę, że ciemny materiał, na którym spoczywa, to nie koc, lecz prześcieradło. Pościel nie była już biała.

Ktoś poderznął gardło Marshallowi Tate'owi.

Później, kiedy Beverley analizowała swoje uczucia, zastanawiała się, dlaczego nie uciekła. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Może nie doszła jeszcze do siebie po długim pobycie w szpitalu. Może oszołomiły ją leki, krążące w jej organizmie. Nie wiedziała. Wiedziała jednak, że przez kilka minut stała i patrzyła na ciało. Nie bała się, ogarnęło ją głębokie odrętwienie.

Zauważyła kilka szczegółów. Stary rzutnik Pathe ACE, który tak dobrze pamiętała, stał na niskim stoliku. Nie, to inny rzutnik. Ten model miał elektryczny silnik. Ktoś włożył do środka film. Maszyna była ciepła. Przesunęła staroświecki przełącznik i pokój zalało światło. Stary projektor ożył. Odwróciła się i ujrzała samą siebie sprzed trzydziestu lat, rozbawioną, roześmianą nastolatkę ze zwariowanymi, małymi loczkami, które teraz zniknęły. Leżała na łóżku, tam gdzie Marshall, i patrzyła wyzywająco w kamerę, rozpinając sukienkę.

Przez kilka sekund przed jej oczami przesuwała się przeszłość. Nagle zbladła ściana,

pełniącą rolę ekranu, a luźny koniec filmu uderzał o osłonę żarówki. Kiedy wyłączono rzutnik, film prawie się skończył.

Beverley wyłączyła aparat, wyjęła rolkę filmu i schowała do torebki.

Niewątpliwie prędzej czy później policja dowie się o skradzionym filmie i będzie próbowała wplątać Beverley w zabójstwo Marshalla Tate'a.

To dziwne, ale przestała przejmować się koszmarami, jakie może jej przynieść przyszłość.

## 82.

Wielkie maszyny Hitachi, wyrównujące i ubijające warstwy śmieci na wysypisku w Storrington, zawsze kończyły pracę godzinę przed zachodem słońca. Kiedy niebo było zachmurzone, pracę przerywano nawet wcześniej. Dwa lata temu kierowca źle ocenił odległość od wykopu i jego maszyna przewróciła się, łamiąc mu obie nogi.

O 15:30 nadzorca spojrzął na niskie chmury i zagwizdał. Zabezpieczono i przykryto maszyny, gdyż Instytut Meteorologii zapowiadał pierwszy zimowy śnieg. Kierowcy cieszyli się z wczesnego fajrantu. Cieszyły się również mewy. Ptaki tolerowały wprowadzenie ludzi i sprzęt, wołały jednak, żeby nikt im nie przeszkadzał. Coraz więcej mew obniżało lot, a stada ptaków przypominały rozkrzyczane rojowisko powietrznego konfetti. Mewy zanurzały długie dzioby w miękkich śmieciach, szukając gnijącego mięsa, kawałków chleba i czerstwych ciastek. Ewolucyjny sukces zawdzięczały w dużej mierze temu, że jadły niemal wszystko. Kiedy jakiś ptak znajdował szczególnie kuszący kawałek mięsa, natychmiast wybuchła mała wojna.

Starsze mewy czuwały nad przestrzeganiem hierarchii obowiązującej w stadzie: młode ptaki przetrząsały stare, już przeszukane wykopy, przykryte warstwą ziemi. Silniejsze mewy miały więc wolne pole i mogły toczyć wojny o bogate łupy, znalezione wśród niedawno wysypanych śmieci.

Tego wieczoru młoda mewa zagłębiła dziób w ziemię, przykrywającą starą warstwę odpadków, i wydała krzyk paniki, co natychmiast zauważyło całe stado. Wszystkie ptaki poderwały się w górę, kołując i krzycząc z niezadowolenia.

W dole konała młoda mewa. Machała skrzydłami, kiedy najgroźniejsza substancja na Ziemi niszczyła w ciągu kilku sekund wszystkie jej żywe komórki.